

Kontynuacja „Stąd do wieczności”

James
Jones

GWIZD



JONESS JAMES

Gwizd

JAMES JONESS

Tytuł oryginału

Whistle

**Copyright (c) 1978 by Gloria Jones as executrix for the estate of James Jones
Redaktor Zofia Skorupińska Na okładce wykorzystano fragment obrazu Zdzisława
Beksińskiego Skład i łamanie FOTOTYPE, Milanuwek, tel./fax 55 8414 For the Polish
translation Copyright (c) 1993 by Wydawnictwo Andrzej Grabowski For the Polish
edition Copyright (c) 1993 by Wydawnictwo Da Capo Wydanie I**

ISBN 83-85373-74-8

Druk i oprawa Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca w Krakowie.

**Zam. 8735/93 Pielęgniarski na nocnym dyżurze witał nowo przybyłych pacjentów
nieodmiennie tą samą formułką: "Jeżeli coś będziesz chciał, to gwizdnij".**

R.J. Blessing – Pamiętniki 1918

Tańcz na sznurkach, brykaj, płasaj,

A na cmentarz gwizdź.

Co lub kto tobą porusza,

**Tego nie wie nikt. dawna francuska rymowanka przełożona z oryginału przez Autora
Książkę tę poświęcam wszystkim żołnierzom służącym w Armii Stanów
Zjednoczonych w czasie II wojny światowej – tym, którzy ją przeżyli, wzbogacili się
na niej, walczyli w niej, przesiedzieli ją w więzieniach, przez nią zwariowali, i
pozostałym.**

**Wprowadzenie James Jones zmarł na zawał serca w szpitalu w Southampton na
Long Island w Nowym Jorku 9 maja 1977 roku. Miał pięćdziesiąt pięć lat.**

**Do chwili kolejnego nawrotu ciężkiej choroby zdążył napisać ponad trzydzieści i pół
rozdziału Gwizdu z zamierzonych trzydziestu czterech. Resztę fabuły miał jednak
obmyśloną i dopracowaną niemal do najmniejszego szczegółu.**

**Byłem jego przyjacielem i sąsiadem. Rozmowy, które prowadziłem z nim w ostatnich
miesiącach jego życia, i pozostawione przezeń nagrania magnetofonowe świadczą
niezwykle, jak miały wyglądać końcowe rozdziały powieści. Swoje uwagi nagrywał w
szpitalu jeszcze na dwa dni przed śmiercią.**

Planował, że trzy ostatnie rozdziały będą stosunkowo krótkie. Zakończenie było przesądzone. Zabrakło jedynie czasu. Wierzę, że gdyby żył jeszcze miesiąc, to ku własnej satysfakcji dopisałby brakującą resztę. Niemniej to, co zostawił, należy uznać za ukończone dzieło.

We wstępie do tej książki (patrz. s. 13) Jones określił zamierzenia, jakie miał względem tej powieści. Gwizd jest trzecią częścią jego wojennej trylogii, po Stąd do wieczności (1951) i Cienkiej czerwonej linii (1962).

Gwizd był jego obsesją. Pracował nad nim z przerwami bardzo długo. Stale do niego wracał i "obracał on swój rozeń" w jego głowie "przez blisko trzydzieści lat". Od chwili pierwszego ataku w 1970 roku jeszcze dwukrotnie dopadała go ciężka choroba serca i chyba przeczuwał, iż walczy z czasem, żeby dokończyć tę książkę. Przez ostatnie dwa lata życia pracował nad nią na poddaszu swojego wiejskiego domu w Sagaponack na Long Island po dwanaście, czternaście godzin dziennie. W styczniu 1977 przeżył kolejny atak, po którym aż do swojej śmierci powracał do pisania po kilka godzin dziennie. Ale na wszelki wypadek zostawił przezornie również nagrane taśmy i notatki.

Jones pragnął zamieścić we wstępie kilka słów wyjaśniających, dlaczego powieściowym miastem w Gwiździe jest Luxor, a nie Memphis w w stanie Tennessee. W swoich notatkach i wcześniejszym eseju napisał:

"Luxor naprawdę nie istnieje. Nie ma miasta Luxor w stanie Tennessee. Nie ma żadnego Luxoru w Stanach Zjednoczonych.

W rzeczywistości Luxor to Memphis. W 1943 spędziłem tam w szpitalu wojskowym im. Kennedy'ego osiem miesięcy. Miałem wtedy dwadzieścia dwa lata.

Ale Luxor to także Nashville. Kiedy ze szpitala Kennedy'ego odesłano mnie do służby, trafiłem do znajdującego się w pobliżu Nashville Obozu Campbella w Kentucky. Nashville zastąpiło nam Memphis jako miasto, do którego jeździliśmy na przepustki. Luxor ma w sobie rozpoznawalne cechy obu. W mojej książce nie chciałem rezygnować z postaci, miłostek, zwyczajów, lokali, znajomych miejsc i osób znanych mi z Memphis.

Właśnie dlatego byłem zmuszony zastąpić prawdziwy Obóz Campbella moim Obozem O'Bruyerre'a i umieścić go w pobliżu Memphis.

Tak więc nazwałem moje powieściowe miasto Luxo10 rem i wykorzystałem miasto Memphis takie, jakim je zapamiętałem. Albo swoje wyobrażenia o nim. Tym, którzy znają Memphis, moje miasto wyda się niepokojąco znajome. Lecz po chwili nieoczekiwanie jeszcze bardziej niepokojąco obce. Radzę więc, żeby uważali je za Luxor, a nie Memphis. Za wyłączną własność Jamesa Jonesa, który bierze też za to na siebie pełną odpowiedzialność".

Krótkie wyjaśnienie w sprawie epilogu.

Na stronie 609 są trzy gwiazdki. Do tego miejsca doprowadził Jones rozdział 31. Na podstawie jego własnych myśli i wypowiedzi odtworzyłem i spisałem szczegółowo zamierzenia, jakie miał w związku z brakującymi rozdziałami. Nie włączyłem tam nic,

czego sobie wyraźnie nie życzył. Ostatni, wydzielony fragment epilogu to własne słowa Autora, spisane z nagrania magnetofonowego dokonanego zaledwie kilka dni przed jego śmiercią.

Willie Morris

Bridgehampton, Long Island 28 maja 1977

Wstęp Autora Pracę nad Gwizdem rozpocząłem w roku 1968, ale początki tej książki są znacznie wcześniejsze. Jej pomysł przyszedł mi do głowy już w roku 1947, kiedy po raz pierwszy pisałem do Maxwella Perkinsa o moich bohaterach, Wardenie i Prewicie, i o książce, którą chcę napisać o II wojnie światowej. Przystępując do pisania Stąd do wieczności, nie mającej jeszcze podówczas tytułu, zamierzałem opisać losy moich postaci począwszy od służby w czasach pokojowych, przez Guadalcanal i Nową Georgię do powrotu ich, rannych, do Stanów. A więc w czasie odpowiadającym moim własnym wojskowym doświadczeniom. Jednakże na długo przed dotarciem do połowy dzieła zdałem sobie sprawę z niewykonalności tak ambitnego zamierzenia. Nie pozwalały na to zarówno wymogi powieściowej dramaturgii, jak i same rozmiary takiej książki.

I wówczas przyszedł mi do głowy pomysł trylogii. Jej częścią miała być, nie mająca jeszcze tytułu i nie obmyślona, powieść Gwizd. Tak więc, kiedy w jakieś jedenaście lat później zabrałem się do pisania Cienkiej czerwonej linii, plan trylogii był już gotowy. Gwizd został pomyślany jako jej trzecia część.

Którą oczywiście być powinien. Od samego początku

chciałem, aby każda z powieści tej trylogii stanowiła samodzielną całość. W takim sensie, w jakim nie są nimi, na przykład, trzy powieści Johna Dos Passosa, tworzące jego piękną trylogię USA. 42 równoleżnik, Rok 1919 i Ciężkie pieniądze nie są samodzielnymi powieściami. USA to jedna długa powieść, a nie trylogia.

Zamierzałem napisać trzecią część zaraz po ukończeniu Cienkiej czerwonej linii. Na przeszkodzie stanęły mi jednak inne utwory, inne powieści. Ilekroć odkładałem na bok jej pisanie, to pomysł powieści bardziej dojrzewał. Dlatego za każdym razem, gdy do niej wracałem, musiałem zaczynać od nowa. To eksperymentowanie ze stylami i narracją prowadzoną z różnych punktów widzenia miało wpływ na sam proces pisania.

Na jeden z problemów związanych z pisaniem trylogii natknąłem się w roku 1959, zaraz po rozpoczęciu pracy nad Cienką czerwoną linią. Pierwotnie – najpierw w powieści, potem w trylogii – główne postacie, takie jak sierżant sztabowy Warden, szeregowy Prewitt czy plutonowy Stark, miały występować we wszystkich częściach.

Niestety, dramaturgiczna struktura, a nawet powiem więcej: duch pierwszej powieści wymagały, żeby Prewitt zginął. Gdyby bowiem nie zginął, osłabiłoby to przesłanie tej książki.

Po wyjaśnieniu wątpliwości i napisaniu słowa "koniec" w Stąd do wieczności, której dałem jedyne zakończenie, jakie ta powieść mieć mogła, straciłem Prewitta.

Dziś takie zmartwienie wygląda niepoważnie. Ale wtedy było inaczej. Dla Prewitta od samego początku przeznaczyłem ważną rolę w części drugiej i trzeciej. Nie mogłem go z głupia frant wskrzesić, wykorzystać żywego pod tym samym nazwiskiem.) Z kłopotu tego wybawiła mnie zmiana nazwisk bohaterów. Wszystkich. Ale zmieniłem je w taki sposób, by zostawić ukryty klucz, widoczne podobieństwa do

nazwisk pierwotnych postaci, będące punktem odniesienia. Dziś wygląda to na proste rozwiązanie, ale wtedy tak nie było.

A zatem w Cienkiej czerwonej linii sierżant sztabowy Warden staje się sierżantem sztabowym Welshem, szeregowy Prewitt szeregowym Wittem, a szef kuchni, plutonowy Stark, szefem kuchni, plutonowym Stormem. Są to jednak ci sami ludzie. W Gwiździe Welsh staje się Martem Winchem, Witt Bobbym Prelem, a Storm Johnem Strange'em.

Po ukazaniu się Cienkiej czerwonej linii kilku uważnych czytelników spostrzegło to podobieństwo nazwisk i napisali do mnie pytając, czy jest ono zamierzone.

Odpisałem im, potwierdzając ich domysły, i wyjaśniłem powody. O ile mi wiadomo, podobieństw w nazwiskach moich bohaterów nie zauważył żaden krytyk ani recenzent.

Niewiele pozostaje do dodania. Jedynie tyle, że napisanie Gwizdu będzie z pewnością końcem czegoś.

Przynajmniej dla mnie. Ukazanie się tej powieści oznacza ukoronowanie długiego dzieła. Obmyślonego w 1946 roku i rozpoczętego wiosną 1947, na którego ukończeniu poświęcę w sumie blisko trzydzieści lat. Jest w nim zawarte wszystko, co miałem i co będę miał do powiedzenia o ludzkim wymiarze wojny i czym ona dla nas była, na przekór temu, co na ten temat twierdzimy.

Paryż, 15 listopada 1973

KSIĘGA PIERWSZA

STATEK

Rozdział pierwszy O tym, że wracają, dowiedzieliśmy się na miesiąc przed ich przyjazdem. Dziwne, jak prędko wieści o wszelkich zmianach w kompanii docierały do nas, rozproszonych po różnych szpitalach w całym kraju. Po ich otrzymaniu przekazywaliśmy je sobie listownie albo na kartkach pocztowych. Mieliśmy swoją własną sieć komunikacyjną, obejmującą całe Stany.

Tym razem wracało tylko czterech. Ale jakich ważnych! Winch. Strange. Prell. I Landers. Czterech najważniejszych ludzi w naszej kompanii.

Kiedy nadeszły pierwsze wieści o tym, nie wiedzieliśmy jeszcze, że cała czwórka trafi w jedno miejsce. To znaczy, do nas, do Luxoru.

Zazwyczaj wieści docierały najprędzej właśnie tu, do szpitala w Luxorze. A to dlatego, że stanowiliśmy tam najliczniejszą grupę. W pewnej chwili przebywało nas w nim dwunastu i siłą rzeczy tworzyliśmy centralny węzeł owej sieci. Przyjęliśmy na siebie ten obowiązek bez szemrania i sumiennie rozsyłaliśmy kartki i listy do reszty naszych kolegów, żeby wiedzieli, co słychać.

Wiadomości o naszej kompanii, w dalszym ciągu siedzącej w dżungli, były dla nas najważniejsze. Ważniejsze

i bardziej rzeczywiste od tego, co sami zobaczyliśmy i co nas spotkało.

Winch był szefem naszej kompanii. John Strange szefem kompanijnej kuchni. Landers kompanijnym pisarzem. A Bobby Prell – choć zaledwie kapral, dwukrotnie zdegradowany ze stopnia plutonowego – najtwardszym kozakiem i duszą oddziału.

Aż dziw jak my, "repatrianci", trzymaliśmy się razem. Niczym osierocone rodzeństwo, rozłączone wskutek epidemii i rozesłane do różnych sierocińców. Wrażenie, że jesteśmy zakaźnie chorzy, nie mijało. Ludzie traktowali nas miło i bardzo o nas dbali, lecz zaraz potem śpieszyli, żeby umyć po nas ręce. W jakimś sensie pozostawaliśmy nieczysti. Skażeni. I godziliśmy się z tym.

Zresztą sami też czuliśmy się skażeni. Rozumieliśmy, dlaczego cywile wolą nie patrzeć na nasze rany.

My, hospitalizowani, wiedzieliśmy, że nie jesteśmy u siebie tam, gdzie panuje czystość i zdrowie. Należeliśmy do miejsc nawiedzonych przez klęski i katastrofy, gdzie można się poddać, zginąć, przepaść, szczerząc wraz z rodziną nam podobnych, jedyną, jak się nam teraz zdawało, jaką kiedykolwiek mieliśmy. Oto co znaczyło być rannym. Przypominaliśmy grupę bezużytecznych trzebieńców, którzy, utraciwszy swoje rozhuśtane dzyndzle, jedzą w ogrodzie łakocie ze wzgardliwych dłoni hurys i czekają na wieści z szerokiego świata, przyniesione przez zarządców dworu.

A jednak była w nas zarozumiałość. Przybyliśmy tu przecież z rejonów nawiedzonych katastrofą, gdzie ci inni nigdy nie byli. Przybyliśmy tu ze stref dotkniętych zarazą, na dowód tego przywożąc ową zarazę w sobie.

Szczyciliśmy się tym, że ją w sobie mamy.

Byliśmy zagorzale, obłąkańczo wierni swojemu gatunkowi. Byliśmy gotowi walczyć ze wszystkimi i niekiedy, pijani, na przepustce w mieście, z nimi walczyliśmy.

Biliśmy się z każdym, kto nie był z nami tam, na wojnie.

Dla odróżnienia nosiliśmy tylko nasze odznaki piechoty i nic więcej. Paradowanie z baretkami i odznaczeniami wojennymi uważaliśmy za niegodne. Za propagandę na użytek pocziwych, spokojnych obywateli.

Kompania była dla nas rodziną, naszym jedynym domem. Na dobrą sprawę prawdziwi rodzice, żony, narzeczone właściwie dla nas nie istniały. Na pierwszym miejscu stało zawsze nasze fantastyczne przywiązanie do takich jak my. Okaleczeni, wściekli, osłabieni, pozbawieni męskości w najprawdziwszym sensie, nienawidzący własnego awersu i rewersu, tak jak i wszystkich pozostałych, Ignaliśmy do siebie bez względu na oddalenie od siebie naszych szpitali w oczekiwaniu na choćby najskromniejszy strzęp wiadomości, a potem sumiennie pisaliśmy i przesyłaliśmy wieści, żeby podzielić się nimi z innymi braćmi.

Pierwsze nowiny o przyjeździe tych czterech dotarły do naszego dziwnego półświata na wysmarowanej, powalanej błotem kartce pocztowej od jakiegoś szczęśliwego-nieszczęśliwego wojaka stamtąd.

Z karty wynikało, że przewieziono ich do tego samego szpitala ewakuacyjnego, i to prawie jednocześnie.

Z następnych wieści wynikało, że całą czwórkę wyekspediowano do kraju statkiem szpitalnym. Nadesłał je ze szpitala w bazie jakiś szczęśliwy – albo nieszczęśliwy – żołnierz, którego raniono, lecz nie zabrał się na statek do Stanów. No a potem przyszedł list od sierżanta z naszej kompanii, podający więcej szczegółów.

Wincha odesłano z powodu jakiejś nieokreślonej przypadłości, o której nikt nic konkretnego nie wiedział.

Sam Winch w ogóle o tym nie mówił. Jeden termometr przegryzł, drugi stłukł, przegonił szpitalnego łapiducha z obozu i powrócił do swojego namiotu, gdzie znaleziono go w głębokim omdleniu, zwalonego na książkę raportów dziennych leżącą na prowizorycznym biurku.

Johnowi Strange'owi utkwił w dłoni odłamek pocisku z mózdzierza. Ręka goiła się marnie, a rana coraz bardziej dawała mu się we znaki. Strange'a odesłano więc do kraju na skomplikowaną operację kości i więzadeł oraz usunięcie odłamka.

Kompanijny pisarz Landers oberwał w prawą kostkę odłamkiem ciężkiego pocisku mózdzierzowego i wymagał operacji ortopedycznej. Natomiast Bobby Prell podczas strzelaniny dostał w uda serię z ciężkiego karabinu maszynowego, która spowodowała liczne i skomplikowane złamania kości i poważnie uszkodziła tkankę.

Takich właśnie bezpośrednio nas dotyczących wieści łaknęliśmy. Czy dlatego, że po cichu byliśmy z nich zadowoleni? Że cieszyło nas to, że następni przybysze wkraczają do naszego nie w pełni męskiego świata?

Każdemu, kto wysunąłby takie przypuszczenie, byśmy zaprzeczyli, zaatakowali go i pobili. A zwłaszcza, gdyby dotyczyło to przyjazdu tych czterech.

Kiedy nadbiegł Corello, machając listem, siedzieliśmy właśnie sporą grupą w błyszczącym, nieskazitelnie czystym szpitalnym barze. Ten pobudliwy Włoch pochodził z McMimwille w stanie Tennessee. Nikt nie wiedział, czemu trafił do szpitala w Luxorze zamiast w Nashville, tak jak nikt nie miał pojęcia, dlaczego jego włoscy przodkowie wylądowali w McMinnville, gdzie prowadzili restaurację. Od chwili przyjazdu do Luxoru Corello tylko raz odwiedził dom i przebywał tam niecały dzień.

Wyjaśnił, że nie mógł dłużej wytrzymać. No, a teraz przepychał się ku nam między białymi szpitalnymi stołami, wysoko trzymając list.

Po chwili ciszy w barze wznowiono rozmowy. Szpitalni wyjadacze oglądali takie sceny aż za często. Dwie kelnerki oderwały się, zaniepokojone, od swoich zajęć, ale kiedy spostrzegły list, powróciły do nalewania kawy.

Na całą tę biel w dole padały z wysoka poprzez

szklany sufit promienie południowego słońca. Żołnierze, którzy siedzieli przy stołach w rozświetlonych kątach i pisali listy, woleli brzęk naczyń i rozmowy pacjentów od ciszy szpitalnej biblioteki. Corello zatrzymał się przy stole, przy którym siedzieliśmy w pięciu.

W tej samej chwili pozostali koledzy wstali od swoich stołów i podeszli do naszego. Po kilku sekundach zebrała się cała gromadka. Przekazywaliśmy sobie list z rąk do rąk. Pacjenci z innych oddziałów dali nam spokój, powracając do swojej, kawy i rozmów.

–Przeczytajcie na głos – powiedział ktoś.

–Tak jest, przeczytajcie. Przeczytajcie na głos – zawtórowało kilku innych.

Trzymający list podniósł wzrok i zaczerwienił się.

A potem kręcąc głową, że nie przeczytał listu, przekazał go komuś innemu.

Kolega, który wziął list, wygładził go i odchrząknął.

Przesunął po nim wzrokiem i po chwili zaczął czytać sztucznym tonem, jak uczeń na lekcji deklamacji.

Kiedy skończył, kilku z nas cicho gwizdnęło.

Odłożył list między kubki z kawą i wówczas spostrzegł, że może się on zabrudzić, wziął go więc i zwrócił Corellowi.

–Czterech jednocześnie – odezwał się głucho żołnierz, który stał za jego plecami.

–Ano. Właściwie tego samego dnia – dodał drugi.

Dobrze wiedzieliśmy, że żaden z nas nie wróci do naszej starej kompanii. Już nie, nie po odesłaniu do Stanów Zjednoczonych. Jeśli wracałeś do Stanów, to cię potem przydzielano do nowej jednostki. Niemniej wszystkim nam potrzebna była wiara, że nasza kompania w niczym się nie zmieni, że przetrwa tę wojnę i wyjdzie z niej nietknięta.

–To tak... to prawie tak...

Ten, który to powiedział, nie dokończył zdania, ale dobrze wiedzieliśmy, co ma na myśli.

Ogarnęła nas jakaś zabobonna trwoga. W naszej branży w dużej mierze kierowaliśmy się przesądami. Nie mieliśmy wyboru. Skoro całe doświadczenie i wiedza brały w łeb, to wynik walki, obrony czy ataku, zależał głównie od szczęścia. Cześć i podziw dla nieodgadnionego losu, stanowiące sam rdzeń obsesji nałogowego hazardzisty, było jedyną wiarą pasującą do naszego przypadku. Czciłiśmy Boga, który z zimną krwią uczynił ze szczęścia jedno ze swoich głównych narzędzi. Co do dowódcy, to daj nam takiego, który ma szczęście, modliliśmy się. Niechaj inni mają dowódców wykształconych i przygotowanych.

Byliśmy podobni do człowieka z zamierzchłej przeszłości, który widząc, że piorun zniszczył mu lepiankę, na wytłumaczenie tego stworzył sobie Boga. Nasz Bóg przypominał najbardziej Koło Wielkiej Rulety.

Kiedys myśleliśmy, że Bóg patrzy na nas życzliwym okiem, a przynajmniej na naszą kompanię. Jednakże w tej chwili wyglądało na to, że Koło Rulety obraca się przeciwko nam.

Nic nie można było poradzić. Jako ludzie przesądni, rozumieliśmy to. Takie były zasady tej gry.

Jedyne, co mogliśmy zrobić, to nie stawać na szparach, nie przechodzić pod drabinami, nie pozwalać czarnym kotom, żeby przebiegały nam drogę.

Niemniej trudno było bez strachu pogodzić się z tym, że stara kompania zmieni się tak całkowicie. Że stanie się domem, rodziną, oddziałem jakiejś innej grupy żołnierzy. Bo poza nią niewiele nam zostało.

–No, tak... – odezwał się któryś i głośno odchrząknął.

Zabrzmiało to jak strzał w pustej beczce. I znów dobrze zrozumieliśmy, co miał na myśli. Nie chciał dopowiadać jej do końca. Żeby jeszcze bardziej nie zapeszyć.

–Ale żeby wszyscy czterej naraz – dorzucił ktoś.

–Myślicie, że któregoś z nich przywiozą tutaj? – spytał inny. – Żeby tak trafił tutaj Winch – dodał któryś.

–Aha, byłoby jak dawniej – rzekł jeszcze inny.

–W każdym razie mielibyśmy relację z pierwszej ręki – włączył się inny głos. – Zamiast listów.

–A skoro już mówimy o listach... – powiedział któryś i wstał. – Skoro już mówimy o listach, to sami moglibyśmy zabrać się do dzieła.

Natychmiast wstało jeszcze kilku i przeszło do dwóch pustych stołów. Niemal zaraz potem dołączyli do nich dwaj kolejni. Pojawił się papier, pióra, ołówki, pocztówki, koperty i znaczki.

W przyjemnych, pokrzepiających, ukośnych promieniach letniego słońca, które oślepiająco rozświetlały szpitalną biel, zabrali się do pisania listów, które zanoszą wieści do innych szpitali w całym kraju. Niektórzy pisali z językami wysuniętymi z kącików ust.

Pozostali siedzieli dalej. Przez jakiś czas odzywaliśmy się do siebie nad podziw mało. A potem nagle wezbrała fala gestów proszących o kawę. Po czym znów wszyscy siedzieliśmy, przeważnie gapiąc się na białe ściany albo wlepiając oczy w biały sufit.

Myśleliśmy o tych czterech, o których słusznie można by powiedzieć, że byli poniekąd sercem starej kompanii.

A teraz także oni odbywali tę samą podróż do kraju, którą my już odbyliśmy. Podróż niesamowitą, dziwną, nierzeczywistą. Odbyliśmy ją albo lecąc dużymi, szybkimi samolotami, albo płynąc wolnymi, białymi statkami z czerwonymi krzyżami na burtach, jak ci czterej.

Siedzieliśmy w tym naszym białym półświecie i myśleliśmy o tamtych czterech, podróżujących tak jak przed nimi my sami. Zastanawialiśmy się, czy też mają to samo dziwne poczucie zakłóconego porządku, całkowitego rozkładu i niedostosowania.

Rozdział drugi Wiadomość o dostrzeżeniu brzegów Stanów Zjednoczonych zastała Wincha w kabinie, gdzie się wylegiwał.

Jakiś zdyszany, rozhisteryzowany żołnierz wetknął głowę przez drzwi, wykrzyknął

wieść i popędził dalej.

Statek w jednej chwili ożył. Winch wsłuchał się w tupot nóg dochodzący z obu stron poprzecznego korytarza za drzwiami. Jego czterej towarzysze podróży odłożyli karty i zaczęli zawiązywać szlafroki, żeby wyjść na pokład.

W zatłoczonej kabinie nie było młodszych stopniem od plutonowego. Poranny obchód, stanowiący oś całego dnia w szpitalach wojskowych, który zresztą na tej pływającej trumnie był jedynie karykaturalną formalnością, już się odbył. Przez resztę dnia pacjenci mogli robić, co chcieli. Przyglądający się towarzyszom Winch nie poruszył się. Zdecydował, że nie weźmie w tym wszystkim udziału. Ani nie będzie o tym mówił.

–Pan nie idzie, Winch? – spytał jeden.

–Nie.

–O rany, chodź pan – mruknął któryś. – Jesteśmy w kraju!

–Nie!

Winch spojrzał na nich. Nie wiedział, który go

zagadnął. Zresztą i tak byli mu obcy. Błysnął im w oczy dziwnym uśmiechem głodnego ludożercy.

–Ja już to widziałem – dodał.

–Ale nie w takich okolicznościach, nie w takich okolicznościach – odparł jeden z nich i wskazał na swoją zagipsowaną rękę. Gips utrzymywał ją na aluminiowym stelażu pod pożądanym kątem i wędrował w górę opasując ramię. Jej odsłonięta część była fioletowa.

–E, zostawcie go – rzekł inny. – Przecież go znacie. Wiecie, jaki jest. Szmergnięty.

Wyleźli, wywlekli się z kabiny – dwóch, rannych w nogi, utykało, a cała czwórka poruszała się wolno i ostrożnie, jak to poszkodowani. Szmergnięty. Chciał, żeby tak o nim myśleli. Od lat wszędzie zabiegał o to, żeby tak o nim myślano.

Kiedy wyszli, rozciągnął się na koi i wpatrzył się w gładki spód koi nad głową. Nie miał ochoty wychodzić na pokład i gapić się na amerykański brzeg.

Kraj... Kraj, mówili. Dla niego to był pusty dźwięk.

Czy dla nich naprawdę coś znaczył?

–Wszyscy odczuwamy to samo w jakiejś chwili, powiedział sobie. My wszyscy, którzy wiemy coś niecoś o życiu. Kraj staje się czymś bardzo nierzeczywistym.

A w dodatku nie wydaje się już sprawiedliwy. Straszni z nas szczęściarze. Bo straciwszy nogę, rękę, oko, wracamy z tamtego piekła do kraju, do tych wszystkich barów i dup. Podczas gdy zdrowi muszą tam siedzieć, wdychać dym i starać się przeżyć.

Winch sięgnął po wysłużony chlebak, rozpiął go, wyjął butelkę szkockiej. Powiedział sobie, że się nie napije. Powiedział sobie, że mu nie wolno pić. A potem otworzył flaszkę i pociągnął długi, dwuczęściowy gorący łyk.

No, to do zobaczenia, wy tam! Wasze zdrowie, dupki!

Wznosząc ów toast, przechylił szyjkę butelki. Jeżeli gorzała była trucizną, a już zwłaszcza dla niego w obecnym stanie, to z pewnością trucizną przewyborną.

Dziwna rzecz z tymi opiniami. Wciąż mówiono o cechach przywódczych. O tym, że albo ktoś je ma, albo nie ma. Że tego nie można się nauczyć. Same pierdoły.

Po pięciuset latach znów zaczęło wracać do łask nowe, choć bynajmniej nie nowe słowo. Stare, używane w średniowieczu kościelne słowo – charyzma. Albo byłeś obdarzony charyzmą, albo nie, a jeżeli tak, to nic nie było dla ciebie niemożliwe, mogłeś zażądać, czego tylko chciałeś, a ludzie szli za tobą i byli ci powolni.

Nie rozumieli, że na cechy przywódcze nie ma wpływu duch jakiejś osoby, ale że narzucane są one komuś przez samych wyznawców. To oni pragną mieć kogoś, kogo mogą darzyć szacunkiem. To oni potrzebują osoby, która wydawałaby im rozkazy. Źródłem cech przywódczych są oczy podwładnych. Potężna zmowa ludzkich mas. Być może cechy te istnieją w oczach głupich dowódców. Ale żaden mądry dowódca w to nie wierzy. Po prostu z tego korzysta. Czyż on sam nie robił tego od lat?

Winch westchnął i podłożył dłoń pod głowę. Sam należał do ludzi z charyzmą i od dawna zaliczał się do "gwiazd" swojej dywizji. I to w takim stopniu, że znano go w innych dywizjach, w całej armii. Dzięki temu przekonał się, że wszystkie sławy są do siebie podobne.

Należeli do tajnego klubu złodziei. Rozpoznawali się na pierwszy rzut oka i nigdy nie dobierali się jeden drugiemu do skóry. Ich hasłem była bystrość spojrzenia i malująca się w nim współwina. Nigdy nie rozprawiali o charyzmie.

Ze znajomości z nimi, z faktu, że sam do nich należał, Winch nabrał przekonania, że ludzie charyzmatyczni to gatunek i gniazdo arcykłamców.

Taka wiedza pozbawiała cię wszystkiego. Pozbawiała cię zadowolenia i życiowego napędu. Wszystkiemu odbierała wartość. I wszelki sens. Zaganiała cię z powrotem do wspólnej obory, wyglądającego – i cuchnącego – jak reszta żywego inwentarza. Inwentarza, do którego nie chciałeś się zaliczać.

I ktoś taki jak on uchodził w swojej kompanii za bohatera. A niech ich szlag, niech ich szlag, niech ich wszystkich szlag trafi, pomyślał nagle z furią Winch. Nie zasługiwali nawet na to, by im to wybić z łbów łajnem schowanym do skarpety! Po cholere się nimi przejmował?!

Butelkę nadal trzymał na piersi. Pozwolił ręce ściskającej flaszkę ześlizgnąć się w dół po brzegu koi i odstawił whisky.

A pał sześć ich wszystkich, to przekłute armatnie mięso. Nie mogli przecież oczekiwać, że w nieskończoność będzie utrzymywał ich przy życiu, no nie?

Winch wsparł się na łokciu i przez otwarte drzwi obserwował korytarz. Na jego drugim końcu znajdowała się dawna główna kabina statku. Tam właśnie zgromadzono mięso armatnie.

W liczbie kilkuset sztuk. Miejsce foteli i stolików zajęły szpitalne łóżka, które ustawiono w równych rzędach. W tej jednej dużej, wysokiej sali leżeli ciężko ranni, wymagający stałej opieki. Pomiędzy nimi poruszały się ubrane na biało postacie. Tu i tam przy kuczał lekarz, sprawdzający glukozę i plazmę, które spływały ze szklanych słoików zawieszonych na białych stojakach.

Sali nie odmalowano, tak więc powolnym cichym cierpieniem rannych przyglądały się złocenia, cynobrowe ściany i lustra.

Włącznie z Winchem płynęło tym statkiem tylko czterech żołnierzy z jego kompanii. I tylko jeden leżał na tej sali.

Kiedy pierwszy raz ujrzał główną kabinę, zemdlilo go. Pomyślał, że za pierwszym razem odczuwają to z pewnością wszyscy żołnierze. Widok ten bowiem jasno i wyraźnie uświadamiał im, ile może kosztować wojna.

Nie dostrzegali go jedynie ci, którzy w niej leżeli, i tylko do nich nie docierał odór, jakim zionęła.

Także tędy przeszły wieści o dojrzeniu lądu, ponieważ po sali rozchodził się powoli

nikły poszept. Wiele z leżących tam obandażowanych postaci uniosło się na łóżkach. Widok był niesamowity. Niektórzy z rozglądających się mieli całkowicie obandażowane głowy. Winch patrzył na nich w zadumie. Dobiegający z sali zapach stawał się nie do zniesienia. Żołnierski smród. Do którego tak przywykł w ciągu długoletniej służby. I do jego najrozmaitszych odmian.

Jak brzmiało to słowo? Wyziewy. Smród zapoconych męskich pach i spoconych męskich stóp. Skarpet i bielizny. Cuchnących oddechów. Nie powstrzymywanych pierdnięć i beknięć. Fetor z otwartych basenów i kaczek nad samym ranem. Zmieszany z zapachami pasty do zębów i mydła do golenia, które docierały z umywalek uszeregowanych przy ścianie naprzeciwko.

A teraz mógł do tego dodać nową woń. Woń ropy.

Ropy i zarastających ran. Słodkawy, ohydny zapach poranionego ciała, które próbuje powoli i z wielkim trudem samodzielnie uleczyć się pod splamionymi limfą bandażami. Zapach przenikający każdy zakątek wielkiej sali i wylewający się przez drzwi. Zapach, który miał pozostać w jego nozdrzach do końca życia.

Które w przypadku Marta Wincha wcale nie musiało trwać, niech je szlag, długo. Gdyby o siebie nie dbał. Nie wolno mu było pić. Nie wolno mu było palić. W odruchu buntu sięgnął do chlebaka po flaszkę, napił się i zapalił papierosa.

Ale ani jedno, ani drugie niczego nie zmieniło. Dalej

tkwił na tym samym węźle kolejowym. Węźle nocnym.

Wagony mijały go z dudnieniem. Żaden się nie zatrzymał. Jakże bezradny stawał się człowiek tu, na końcu sznurka! Bez widzów. Starzejący się, bezlitosny, twardy sierżant sztabowy piechoty, rozpaczliwie szukający wzrokiem wszędzie choćby okrucchu litości. Śmiechu warte.

Do diabła, nie był nawet ranny. Jedynie chory. Na dźwięk tego słowa poczuł w sobie niezwykłą pustkę.

Psiakrew, nie chorował w życiu nawet jednego dnia.

Miał w sobie pustkę i alkohol, który wsączał mu w żyły zdradliwą, uwodzicielską, złotomiodną, zaprawioną trucizną pogodę ducha i życzliwość.

Winch spojrział w stronę sali. Dzięki Bogu, leżał tam tylko jeden z jego ludzi. Ten skurczybyk Bobby Prell.

Miał chęć się jeszcze napić. Ale tym razem napił się wody z leżącej pod koją manierki w brezentowym pokrowcu.

Wyjdzie pan z tej dengi – zapewnił go dywizyjny lekarz, pułkownik Harris. Osobiście zaszedł do szpitalnego namiotu w dżungli, żeby zbadać Wincha. – Wszyscy z tego wychodzą. Chociaż jest to bolesne.

–Bardzo panu dziękuję, doktorze – wymruczał Winch.

A więc powaliła go denga. Jak zupełnie zielony rekrut stracił przytomność i zwałił się na prowizoryczne biurko.

–Wyjdzie pan też z tej złośliwej malarii tropikalnej – dodał Harris. – Ale to potrwa dłużej. To jej najgorsza odmiana. Powinien pan był ją zgłosić, Mart.

Winchowi przez dwa miesiące udawało się ukrywać chorobę. Teraz jednak leżał na łóżku w szpitalu polowym, obsypany na całym ciele wysypką, z jaskrawoczerwonymi,

spuchniętymi dłońmi, przeżywszy pierwszy, łamiący w kościach atak malarii, trwającą dobę euforię i nawrót gorączki. Czuł się potwornie.

–Owszem, panie doktorze, owszem. Ale co poradzić? Co poradzić? No więc?

Harris zaczął stukać w wystające zęby gumką na końcu nowego, długiego, żółtego ołówka. Miał słabość do nowych, długich, żółtych ołówków.

–Niestety, Mart, to nie wszystko – powiedział.

–Ma pan poza tym wysokie ciśnienie.

Winch przynajmniej raz nie znalazł odpowiedzi.

Wreszcie roześmiał się.

–Wysokie ciśnienie? Żartuje pan? – spytał.

–Podejrzewam też, że to coś poważnego. Febra zwykle obniża ciśnienie. Odeślemy pana statkiem i zbadają pana dokładnie. Na pewno. O ile się na tym znam, to stwierdzą u pana nadciśnienie.

–A co to takiego?

–Wysokie ciśnienie krwi – odparł Harris. – Jak już powiedziałem.

Zjawił się ponownie w dwa dni później i porozmawiali na ten temat dłużej. Winch mógł się już trochę poruszać, niemniej w łóżku czuł się dziwnie niemęsko.

Czemu inteligentni ludzie wykazywali potrzebę mierzenia wszystkiego fizyczną żywotnością? Bo robili to, wszyscy.

–Koniec ze służbą w piechocie, Mart. Będzie musiał pan przestrzegać diety. Nie wolno panu pić. Nie wolno palić. Niech pan nie pije kawy ani herbaty. Niech pan unika zdenerwowania. Gdybym mógł, to z miejsca przepisałbym panu dietę bezsolną. W każdym razie na pewno nie mogę pana odesłać do kompanii.

–O rany, to wspaniale – odparł Winch. – Jak na dawnej pensji dla panienek. Żadnej kawy i herbaty.

–Na pewno nie mogę pana odesłać do żadnego oddziału frontowego – dodał Harris.

–Szczęściarz ze mnie – mruknął Winch.

–Ile pan ma lat, Mart?

–Czterdzieści dwa. A bo co?

–Trochę mało jak na nadciśnienie.

–I co z tego? – Winch z pewnością nie czuł się szczęściarzem. Połową duszy człowiek pragnął stąd wyjechać, a drugą pozostać i czuł się z tego powodu przegrany. Zawstydzony i pełen winy, że wyjeżdża. Bez względu na to, jak poważnie chorował i jak ciężko był ranny. Dotyczyło to wszystkich żołnierzy. – A właściwie co to za choroba, panie doktorze?

Nadciśnienie? Prawda wyglądała tak, że nie wiedziano o tej chorobie wszystkiego. Należała z reguły do tych łagodnych przypadłości, których przebiegu nie dawało się łatwo ustalić. Zawał albo atak serca mógł cię dopaść jutro, ale mogłeś też dożyć osiemdziesiątki. W przypadku Wincha przyczyną choroby było, zdaniem doktora Harrisa, permanentne wlewanie w siebie dużych ilości alkoholu. Picie i palenie. Ostatnio dokonano interesujących badań na temat wpływu alkoholu na ludzki organizm.

–O kurwa, ale kawał – zaklął z goryczą Winch.

Nikt go nie oskarżał o alkoholizm. Żaden pijak nie podolałby takiej robocie, jaką wykonywał. Ale jego możliwości w piciu obrosły legendą. Ile wypijał dziennie?

–Aha. Też mi legenda – prychnął Winch.

–Więc ile? Pół butelki? Butelkę?

–Spokojnie – przyznał z ociąganiem.

–Półtorej?

–Och, jasne – skłamał. – Jeżeli tyle zdobędę.

Jednakże prawda wyglądała tak, że na dobrą sprawę nie miał pojęcia.

Ile palił? Dwie paczki dziennie? Trzy? W każdym razie doktor Harris przewidywał, że jak tylko Winch dojdzie do siebie i przestanie gorączkować, to ciśnienie krwi na pewno mu podskoczy.

Winch skwitował to skinieniem głowy. Po raz pierwszy zaczęła w nim kiełkować chęć, żeby się poddać. Miał wrażenie, że wisi na parapecie okiennym na palcach, które z wolna się prostują. W pewnym sensie towarzyszyła temu ogromna ulga. Jaką w końcu czują wszyscy kalecy, każdy z nas, pomyślał.

–Pan rzeczywiście uważa, że dla mnie to koniec – powiedział.

–Ze służbą w piechocie, niestety, tak.

I na tym stanęło. Winch znał doktora Harrisa od sześciu lat. Pułkownik był dobrym fachowcem. Przewidział wszystko dokładnie. Ciśnienie krwi istotnie podskoczyło. Kolejni, nie znani Winchowi lekarze, którzy go badali, byli wobec niego w tej mierze bardziej dyskretni i oględni. Niemniej klamka zapadła.

Najwyraźniej wyznawali teorię: "Nie mów choremu nic, czego nie musisz, to go nie wystraszysz". Winch był marnego zdania o większości lekarzy. Dlatego przed wyjazdem jeszcze raz dokładnie wypytał doktora Harrisa o swoją chorobę. Śmierć następowała zazwyczaj po pięćdziesiątce wskutek zastoinowej niewydolności mięśnia sercowego.

Naturalnie, jeżeli choroba była odpowiednio hamowana albo nie nastąpił wcześniej atak serca albo udar. Ale długie życie też nie należało do rzadkości. Zastoinowa niewydolność serca polegała na stopniowym zmniejszaniu się jego sprawności. Powiększało się ono i słabło, natomiast puls przyśpieszał. W końcu dochodziło do przekrwienia płynów w ciele, czyli tak zwanego obrzęku.

W końcowym stadium choroby płuca same wypełniały się wodą. Stanowiło to przyczynę około połowy zgonów.

Była to więc nie tyle choroba, co stan organizmu.

I w tym właśnie sensie nie do uleczenia. Ale i tak między

długością życia poszczególnych chorych występowały przepastne różnice, od kilku do kilkudziesięciu lat.

–Chcę panu powiedzieć, że jeżeli będzie pan o sobie dbał, to najprawdopodobniej długo pan pożyje – oznajmił Harris.

Winch słuchał go pilnie. Tak jak wszyscy, kiedy chodzi o diagnozę ich własnego

zdrowia i prognozy dotyczące długości ich życia, pomyślał. Człowiek czuje się wówczas bardzo szczególnie. Jak bohater filmu stojący przed sędzią, który, po wybornym śniadaniu, z uroczystą miną odczytuje na niego straszny wyrok za popełnienie takiego czy innego przestępstwa.

–Wiele by tu mówić o przyzwoitym życiu – dodał Harris.

–Przyzwoitym życiu! – nie wytrzymał Winch. – Pewnie, pewnie. No dobrze, panie doktorze. Wszystko mi pan wyjaśnił. Wszystko zrozumiałem. Może więc zapomnielibyśmy o tej rozmowie? Stwierdziłby pan moją przydatność do służby i odesłałby mnie pan do mojej kompanii. Co?

–Pan wie, że nie mogę tego zrobić – odparł gniewnie Harris. – Jak Boga kocham, nie rozumiem pana, Mart. Większość żołnierzy tutaj wyskakuje ze skóry, żeby wrócić do Stanów, a nie mogą.

–No cóż, wie pan, jak to jest – rzekł Winch.

–Ma pan w kraju żonę i dzieci, prawda?

–A tak, oczywiście. Gdzieś tam są.

–To pan nawet nie wie gdzie?

–No, wiem. Mieszkają w Saint Louis. Chyba.

–Ja pana w ogóle nie rozumiem.

–E, to nie takie trudne, zrozumieć mnie. – Winch wstał. – A więc to pana ostatnie słowo?

–Niestety, tak.

Nie wiadomo dlaczego Winch poczuł chęć, żeby zasałutować pułkownikowi. Ale zrobił tylko w tył zwrot.

Więcej nie zobaczył doktora Harrisa. Następnego dnia wraz z kilkoma innymi żołnierzami został przewieziony samolotem na Nowe Hebrydy.

Pomimo panującego podniecenia maszyny statku dudniły bez zmian. Do uszu Wincha nadal dochodziły odgłosy niezwyklej krzątaniny, wywołanej ujrzeniem brzegów Ameryki. A więc był tu, na tej cuchnącej, śmierdzącej jak zagroda dla bydła szpitalnej łajbie, i płynął do kraju. W dalszym ciągu wsparty na łokciu wpatrywał się w pokiereszowane postacie w głównej kabinie po drugiej stronie korytarza.

Zastanawiał się, co tak wzburzyło Harrisa. Czyżby nigdy nie słyszał o mężczyznach, którzy mają dość małżeństwa i rozstają się z żonami i dziećmi? Nie wiedział, jaki jest doktor w swoim domu, ale pewien był, że pani Harris przynajmniej stara się ułożyć sobie życie z mężem pułkownikiem. Z pamięci wyłonił mu się migotliwy obraz własnej fładrowatej, tłustawej żony i dwóch płowowłosych smyków. Zdecydowanie odsunął go od siebie. Myśl o nich rozdrażniała go. Dla żony i dwójki podobnych do niej jak dwie krople wody dzieciaków z krowimi oczami nie warto było wracać do kraju. Z pewnością nie cierpiała tam, w Saint Louis, dlatego że go nie ma. Nie z tym jej ciąglým pieprzeniem się na boku we wszystkich garnizonach, w których mieszkali... Tak się kończyło poślubienie córki zapijaczego starszego sierżanta stacjonującego w jakiejś zapchlonej pipidówce. Lubiła zadawać szyku. Dzieciaki były do niej tak podobne, że nie dało się orzec, kto jest ich ojcem. Nie potrafił ustalić, czy ci chłopcy to jego synowie, ale zakładał, że tak. Nie miało to jednak znaczenia. Winch nie dbał o to, czy ich jeszcze kiedykolwiek zobaczy.

Nagle piekielny widok na główną kabinę zakłóciła mu górna połowa czyjejś głowy, która wyskoczyła zza framugi drzwi, a pozbawione reszty twarzy oczy wpatrzyły się w niego jak oczy snajpera.

Winch prędko przestawił się duchowo i jak zwykle przybrał pozę żartobliwej opryskliwości, która w jego długiej znajomości z byłym kompanijnym szefem kuchni stała się rytuałem.

–Johnny Stranger – powiedział. – Odejdź. Odejdź stąd! Idź na pokład pobawić się z tymi dzieciuchami!

Głowa, która pochylała się, aż jej grube brwi znalazły się w pionie, równoległe do framugi, wyprostowała się, za nią pojawiło się ciało i wsunęła się do środka, a po twarzy Johna Strange'a przemknął najkrótszy z uśmiechów. Strange wszystko robił rozważnie i powoli. Był dosyć dziwnie zbudowany, bo nogi miał trochę za krótkie w

stosunku do reszty ciała. Wisząca mu w tej chwili przy udzie prawa ręka przypominała niezdarną łapę, w której chyba nie wszystkie palce są na swoim miejscu.

–Serio – dodał Winch. – Nie ma o czym z tobą rozmawiać, Strange. Nie licząc twoich głupich wspomnień. Tak nudnych, aż mnie w dupie ściska.

Strange skinął potakująco głową.

–Domyśliłem się, że nie wyjdzie pan na pokład, szefie – rzekł. – Żeby zobaczyć tam co? – burknął Winch.

–Ja poszedłem – przyznał odrobinę zawstydzony Strange. – Na trochę. Przepiękny widok. – Wskazał głową pokład. – Wszyscy drą się i krzyczą.

Na jego grubo ciosanej, szerokiej twarzy znów pojawił się uśmiech, grymas ni to pogardliwego, ni to strapionego, złośliwego zrozumienia. Jego niezwykle szerokie oblicze zdradzało zadawnioną cierpliwość wobec wszechświata i smutek. A jednak gruba linia brwi,

odcinająca włochatą ciemną krechę trzecią, górną część twarzy, wyglądała niewiarygodnie gniewnie i wściekle.

Trzeba było znać tego człowieka znacznie dłużej, by rozpoznać w tej minie uśmiech, a nie szyderstwo.

Wszyscy nauczyli się, i to nauczyli bardzo prędko, że Strange należy do tych, którzy lubią warczeć, i że gryzie znacznie mocniej, niż warczy.

–Jak tam szlachetne zdrówko, szefie? – spytał.

–Lepsze niż twoje – odparł Winch. O swojej przypadłości nie mówił nikomu i był pewien, że Strange nie ma pojęcia, co mu dolega. – A poza tym nie nazywaj mnie szefem. Przestałem nim być. Jestem, tak jak ty, ofiarą wojny transportowaną do kraju.

–Ale przecież zachował pan stopień i dostaje pan żołd.

–Głupek!

–Oczywiście. Czemu nie? Jestem tego samego zdania.

–W takim razie rozumiemy się.

–Pomyślałem też sobie, że wpadnę do głównej sali, do Bobby'ego Prella – dodał ciszej Strange.

Winch nie odpowiedział na to.

–Chce pan ze mną iść?

–Nie.

Strange poruszył głową.

–No, to pójdę sam – powiedział.

–Głupi osioł. Nie znalazłby się tutaj, gdyby nie próbował strugać bohatera.

Strange znowu poruszył głową.

–Niektórzy muszą. W każdym razie w tej chwili jest na pewno bardzo przygnębiony. Dzisiaj. Wieści od lekarzy głoszą, że już nie będzie chodził. Podobno może stracić

nogę.

–Cokolwiek z nim się stanie, to sam sobie na to zasłużył – odparł prędko Winch.

38

–Ale i tak należy do naszej starej kompanii – rzekł Strange.

–Z tymi pierdołami o kompanii też koniec – dodał Winch. – Lepiej się z tym pogódź, Johnny Stranger.

Wbij to sobie do swego tępego teksaskiego łba.

Strange uśmiechnął się krótko.

–Wątpię w to – odparł. – Nie, to nie koniec, jeszcze przez jakiś czas. Na pewno pan nie pójdzie?

–Nie.

–Jak pan chce. Twardziel z pana, nie? Właśnie mówiłem dziś komuś, jaki pan jest twardy. – Strange zmarszczył wargę. – Chciałem panu zaproponować uroczystego kielicha. Z okazji dopłynięcia i w ogóle. Ale zapomniałem zabrać gorzały.

Winch mierzył go przez chwilę wzrokiem, a potem sięgnął do manierki i rzucił ją Strange'owi takim ruchem, jakby to była koperta z dokumentami. Strange bez najmniejszego kłopotu schwycił manierkę i zacisnął na niej kciuk i palce zdrowej, lewej dłoni.

–O, dzięki, szefie.

Nim się napił, z pełną pompą i paradą zasalutował manierką, pochylając jej szyjkę. Trzymał ją już w prawej, przypominającej szpony dłoni, której palce rozwierały się i zwierały wyłącznie powoli. Przyjrzał się manierce i zwrócił ją.

–Kończy się – zawyrokował. – Jeżeli będzie pan czegoś potrzebował, szefie, to niech pan wpadnie do starego Strangera.

–Ja mam potrzebować gorzały? – Winch potrząsnął manierką. – Żartujesz sobie? Ten zbiornik zasila więcej źródeł niż fontannę.

–Może pan potrzebować czegoś innego.

–Towarzystwa koleżków z wojska? Ha! Nie pierdol.

W moim wieku?

–Nigdy nic nie wiadomo.

Kompanijny szef kuchni zasalutował. Dla żartu, kaleką dłonią. A potem opuścił kabinę i korytarzem doszedł do dużej sali.

Przyglądając się odchodzącemu, Winch wyciągnął się na koi. Jeżeli w ogóle uważał kogoś za bohatera, to dla niego był nim w jakimś sensie Strange. Podziwiał go za to, że na dobrą sprawę Johnny gwizdał na wszystko.

Inni, jak on sam, udawali, że się niczym nie przejmują, ale przejmowali się. A Strange nie. Nie przejmował się niczym. Wojskiem, kompanią, robotą, ludźmi, kobietami, życiem, sukcesem, człowieczeństwem. Udawał, że mu na tym zależy, ale nie zależało. W duszy był całkiem samotny i zadowolony z takiego stanu. I właśnie za to Winch go podziwiał.

Sięgnął ręką pod koję i pogładził palcem przez klapę chlebaka zimną szyjkę manierki. Dziwne, jak pasowały do siebie te dwie rzeczy, whisky i seks. A zwłaszcza whisky zakazana. Niedozwolone, potajemne picie podniecało równie mocno jak francuska miłość. No cóż, jutro... Jutro, obiecał sobie, nie wypiję ani kropli.

Banda kurewsko. głupich baranów! – przemknęło mu nagle przez głowę. – Czy ten sierżant, który pozostał w kompanii, zdoła utrzymać ich w ryzach?

Mgliście, otępiały jak po zażyciu odurzającego leku, kiedy człowiek nie czuje już bólu, a tylko nieustanne silne ćmienie zęba, Winch pomyślał o tych wszystkich durniach na górnym pokładzie, wybałuszających gały na amerykański brzeg, który tym idiotom wydawał się jakimś rajem.

Rozdział trzeci Widok ojczystego brzegu wzruszał, mącił spokój i w jakimś stopniu porażał każdy bez wyjątku transport żołnierzy. Pod tym względem rejs Wincha, Strange i pozostałych nie różnił się od podróży innych rannych.

Zaledwie garstka z nich naprawdę wierzyła, że brzeg rzeczywiście się pojawi. Ale ukazał się na widnokręgu zgodnie z planem. Jego długa niebieska linia wyłoniła się na wschodzie dokładnie tak, jak im zapowiedziano.

Na pustym bezmiarze wolno pulsującego oceanu wlokący za sobą czarny pióropusz dymu parowiec był jedynym widowym znakiem życia. Biały statek z wielkimi czerwonymi krzyżami sunął po równej wodzie, która ugiwała się i sapała jak żywa istota. Rozpruwał ją.

Ocean połyskiwał, a niekiedy przy lekkim wietrzyku i w jaskrawym słońcu na jego powierzchni pojawiały się malutkie białe grzebyczki piany.

Początkowo na wschodnim horyzoncie ukazała się niczym wylaniający się i znikający miraż długa niebieska chmura, tylko trochę ciemniejsza od nieba. Ojczyzna.

Słowo to rozeszło się szeptem po statku tak chyżo jak mrowienie skóry. Chmura po jakimś czasie usadowiła się niepostrzeżenie na dobre nad linią wody i przestała

znikać. Większość rannych na pokładzie wolno posuwającego się statku służyła za oceanem co najmniej rok. Ojczyzna. Wypowiadali to słowo między sobą bardziej z niepokojem, z zakorzenionym, nie wyegzekwowanym strachem, a nawet z rozpaczą niż z ulgą, miłością czy nadzieją. Jak to teraz będzie? Jacy będą oni sami?

Podobnie było ze wszystkim. Komunikaty i gazetki informowały ich, że jadą do ojczyzny. Ale po tak długim pobycie poza krajem nie ufali gazetkom i urzędowym komunikatom. Gazetki i komunikaty zainteresowane były duchem bojowym żołnierzy i tym, w co oni wierzą, a nie prawdą. Wszyscy wiedzieli, że ich poglądy są słuszne. Boże uchroni, żeby którykolwiek z nich miał poglądy niesłuszne. Trudno wszakże było się zorientować, czy jakiś biuletyn bądź raport sporządzono ze względu na ducha bojowego wojska, czy też żeby po prostu przekazać konkretną wiadomość na temat tej długiej niebieskiej chmury.

Ale nie było jej widać z każdego miejsca, tylko z górnych pokładów od strony dziobu. A jedynym dostępnym dla żołnierzy był tak zwany pokład spacerowy. Właśnie na niego wyszło, żeby popatrzeć na brzeg, tylu ilu mogło, chciało i zdołało się tu wcisnąć. Żałosna gromada. W szarych piżamach i kasztanowych szlafrokach, w papuciach bez pięt, ledwo trzymających się na nogach, przepychali się przez drzwi na pokład dziobowy i przyciskali się do barierki albo do przyciśniętych do niej. Chwiejący się, wychudli, wycieńczeni, z zażółconymi oczami i skórą, zabandażowani, z ropiejącymi ranami, oblepieni gipsem, wdrapywali się na górę, zataczając się, pomagając sobie nawzajem, a niektórzy kuśtykając na zagipsowanych nogach. Byli to najwięksi szczęśliwcy spośród rannych. Uznano ich

za na tyle mocno poszkodowanych, by odesłać ich aż do kraju.

Niektórzy płakali. Inni śmiali się i klaskali albo klepali kolegów po plecach. Wszyscy rozglądali się dookoła i patrzyli na siebie z niepokojem. Z niepokojem, że tak niesłychanie im się poszczęściło. Potajemna, skrywana trwoga w ich spojrzeniach podpowiadała wniosek, że, ich własnym zdaniem, nie mają prawa tu być.

W dole pod nimi, na dawnym przestronnym pokładzie roboczym dla załogi, tłoczył się tłum marynarzy z marynarki wojennej w granatowych uniformach i personelu medycznego w białych. Wszyscy oni byli wynajęci, opłacani, zorganizowani i zhierarchizowani służbowo wyłącznie do obsługi stale wzrastającej liczby zużytych detali nowoczesnej wojny. "Detale" te zaś na swoim małym pokładzie, szpetne jak stado indorów, gulgoczące, wyciągające szyje, potrącające się i rozpychające, żeby zerknąć na kraj rodzinny, były nader żywo i radośnie świadome faktu, że żaden z

nich jeszcze nie umarł.

Głęboko wewnątrz statku, w jednej z kabin Marion Landers próbował pozostać w koi i przekonał się, że nie potrafi. W końcu sturlał się z pośłania i z trudem stanął na nogach. W małym pomieszczeniu nie było to łatwe, bo prawą nogę aż do kolana spowijał mu gips. Nie sposób jednak było oprzeć się wrzawie podnieconych głosów.

Landers, pisarz kompanijny, był zaledwie starszym kapralem i nie zasługiwał na oddzielną przewiewną kabinę tak jak Winch i Strange. Przyzwyczyił się już jednak do podróży głównie pod pokładami i półmrocznego światła nagich żarówek. Sięgnął pod poduszkę po tanie okulary przeciwsłoneczne.

Mimo woli lekko jęknął. Ale nie z powodu rany. Ta

już przestała go boleć. Ból wywołała sztywność nogi uwięzionej w ciężkim gipsowym pancerzu. Nie mógł z nim ani wygodnie siedzieć, ani stać, ani leżeć.

Z drugiego końca sześćosobowej kabiny dobiegł go szelest. To podniósł głowę młody lotnik, strzelec ogonowy, który znowu płakał, tym razem z powodu dotarcia do ojczystych brzegów.

–Ty też mnie zostawisz? – spytał.

–Chyba pójdę na górę. Tak, popatrzę sobie – odparł Landers, starając się ukryć irytację. Zdjął kule z wieszaka.

–Nie zostawiaj mnie, proszę.

Landers zatrzymał się w drzwiach i zręcznie obrócił się na kulach. Człowiek przyzwyczajał się po jakimś czasie do tego draństwa. Uważnie przyjrzał się chłopakowi.

Pomyślał, że na każdego spada kiedyś takie brzemię.

W każdej kabynie była jakaś ofiara losu. We wszystkich kabinach ustalała się hierarchia, a ofiara losu zajmowała w niej miejsce na samym dole. Z kimś takim zawsze był problem moralny. Wszyscy za niego odpowiadali. Tak nakazywał kodeks koleżeński. Nikt tego nie lubił, ale jeżeli chciał żyć w gromadzie, to musiał się do niego stosować. A ofiara losu mogła wykorzystywać ten fakt.

Miała do tego moralne prawo. Należało to do przywilejów, które zyskiwała poddając się losowi i godząc z tym, że jest najśłabsza.

Landers i młodziutki strzelec pokładowy przez pół godziny po wyjściu reszty na pokład nie zamienili ani słowa. Landers nie miał ochoty się odzywać. Leżał beczynnie i gapił się w cienie na suficie. Wtem młody lotnik znowu zaczął płakać. Poniekąd właśnie jego płacz zmusił Landersa do wstania.

–O rany, przestań, mały – powiedział.

–Nie różnisz się od tamtych – zapiszczał cienki

głos z głębi koi. – Myślałem, że jesteś inny. Tylko ty jeden jesteś tutaj przyzwoity. Przecież wiesz, jak bardzo nie lubię zostawać sam.

–Wezwę pielęgniarkę. Posiedzi z tobą. – Landers zamilkł. – Prawdopodobnie ma nas wszystkich po uszy.

–Na pewno. Niech go diabli i jego bloczek z receptami. Cały czas bazgroli w nim i rysuje cipy i kutasy.

Landers poczuł, że jeżeli zaraz stąd nie wyjdzie, umrze. Wybuchnie, rozpadnie się na kawałki. Nie tylko z powodu tego chłopca. Coś go strasznie dręczyło. Tak było od nadejścia wieści o dostrzeżeniu brzegu.

Jakże taka rzecz może człowieka usidlić. Upchnięcie wraz z pięcioma innymi nieszczęśnikami w czteroosobowej kabinie nie było jeszcze najgorsze. Tego chłopca musieli tutaj wciągać. Młodego strzelca ogonowego z wymizerowaną twarzą, z której patrzyły oczy wielkie jak talerze, i z nogami, które toczyła sucha zgorzel.

Przez jeden krótki dzień był bohaterem. Podczas lotu niewłaściwie umocowany kaem kalibru 12,6 mm wyskoczył z łoża, upadając na pokład zablokował się w pozycji "ogień" i zaczął walić po wnętrzu samolotu.

Niczym wypuszczony z ręki wąż strażacki. Chłopak skoczył do niego, złapał go i odblokował, ale cztery wielkie pociski trafiły go w podudzia. Zanim odwieźli go poharatanym, wyziębionym samolotem, już miał suchą zgorzel. Dali mu Krzyż Lotniczy i Srebrną Gwiazdę, wsadzili na ten statek płynący do kraju i tutaj okazał się mazgajem. Wystarczająco przykry był już sam zapach, silny, drażniący brązowo-zielony odór, który wgryzał się głęboko w gardło i smakował w ustach jak miedziaki.

Jego biedne stopy miały również barwę śniedzi i były skurczone jak u mumii. Ten były student drugiego roku cały czas narzekał, a przez pół dnia płakał. Landers nie miał pojęcia, wskutek jakiego niesłychanego bałaganu

w administracji szpitalnej chłopak trafił na ten statek.

Zwłaszcza że był lotnikiem. Powinni go odwieźć do kraju samolotem.

–Wiem, że śmierdę – odezwał się. – Ale proszę cię, zostań ze mną.

–Wezwę pielęgniarkę – powtórzył Landers.

–Dziękuję ci, ty samolubny kutasie. Mam nadzieję, że kiedyś spotka cię to samo co mnie.

–Dzięki – odparł Landers. – Posłuchaj. Może to zabrzmie głupio, trudno, ale wiesz, że wszyscy musimy żyć na własny rachunek. Musisz się nauczyć z tym żyć.

Ja ci w tym nie pomogę. Nikt ci nie pomoże.

–Ale ja nie chcę z tym żyć. – Chłopak rozbeczał się. – Chcę być z matką.

Landers przeciągnął językiem po zębach.

–Polecisz do kliniki Waltera Reeda z San Diego.

Mają tam najlepszych lekarzy na świecie. Jeżeli ktoś może uratować ci nogi, to tylko oni. A przecież obiecali ci, że spotkasz się tam z matką.

–Wierzysz w to? Bo lekarz stąd powiedział mi, że nie ma już żadnej nadziei – odparł cienkim głosem chłopak.

–Byłem tutaj. Nie słyszałem nic takiego – rzekł Landers, świetnie wiedząc, że wierutnie łże.

Zwykle, kiedy przychodzono zmienić chłopcu opatrunki, lokatorzy kabiny wybiegali z niej przez wąskie drzwi jak stado bydła. Ale Landers przynajmniej raz na jakiś czas czuł się w obowiązku zostać i udawać, że brak mu nerwu zapachowego.

–Ale on to powiedział.

–Nie, wcale nie powiedział, do jasnej cholery! Ja tu byłem!

–Owszem, powiedział. Po prostu nie dosłyszałeś.

Posłuchaj, tylko ty jeden tutaj studiowałeś. Pewnie jedyny na tym statku.

–Słyszałem każde jego słowo. A przy okazji, te trzy i pół roku studiów nie na wiele mi się przydało. Nie do tego. Nie dało mi nic. Przyślę ci pielęgniarkę – rzekł Landers.

Odwrócił się i prędko wyszedł, ale z powodu kul nie dość szybko i dogoniło go przekleństwo chłopca, a w chwilę potem jego płacz. Każdy przyzna, że tym razem przekroczył wszelkie normy naszego kodeksu, orzekł.

Dał znak pielęgniarkowi wojskowemu, na co ten z irytacją wzruszył ramionami, ale odłożył komiks.

Landers ruszył mozolnie w górę stromych, żelaznych schodów. Dla człowieka o kulach wejście po nich było bardzo niebezpieczne.

Wyszedł na długi, oszklony pokład główny.

W przeciwieństwie do pokładu spacerowego nie był on otwarty od strony dziobu i w tej chwili opuszczony przez żołnierzy. Zwykle na całej jego długości rozgrywano z pół tuzina partii pokera. Landers obrócił się ku otwartemu oknu i wystawił głowę na morski wiaterek.

Przez dłuższą chwilę wystarczyło mu sycić się morskim powietrzem. Minęło trochę czasu, nim wiatr wywiał mu z gardła tamtą straszną woń. Przez moment bił się z myślami, czy przypadkiem nie był zbyt okrutny dla młodego lotnika. Gdzie kończyła się odpowiedzialność?

Za bliźniego.

Ale to nie ten chłopak wypędził go na pokład. Coś innego. Kiedy rozeszły się wieści o dostrzeżeniu ojczystego brzegu, opadło go straszne uczucie. Złe, przerażające przygnębienie. Najgorsze, że nie znał jego przyczyny.

A poza tym zupełnie nieoczekiwane. Jeszcze wczoraj był gotów postawić cały swój zaległy, wcale nie mały żołądek, że ucieszy go widok brzegów Ameryki.

No, a teraz wpatrywał się w nie – majaczące,

niebieskie wybrzeże. Stąd, gdzie stał, widział niewyraźnie tylko jego krótki odcinek. Szybko zniknęło mu z oczu, przesuając się na południe. I nagle poczuł w sobie taki gwałtowny przyływ szalonej obojętności, że miał ochotę krzyknąć. Ten kraj był taki ogromny. Uświadomił to sobie po raz pierwszy w życiu, wstrząśnięty odkryciem, że

oto pojął wyraźnie coś, o czym mgliście wiedział już dawniej, ale czego nie umiał sobie uzmysłwić. Jakże można było przejmować się czymś tak ogromnym?

A przecież całe życie uczono go, jakie to ważne o coś dbać, że bez względu na to, w co się angażujesz, o coś dbać to rzecz najważniejsza.

Na pewno nie było w tym kraju miejsca dla niego, dwudziestojednoletniego Landersa. Nie dla Landersa, patrzącego na ów kraj przez otwór w wielkiej burcie dużego statku. Statku, który wiózł tam tak potężny ładunek ludzkiej rąbanki. Przerażało go to, przerażało niepomiarnie głęboko. A jednocześnie, niczym głucha, uparcie powtarzana fraza kontrabasu, powracała do niego myśl, że nie zasłużył sobie na to, na ten powrót do bezpieczeństwa.

Za jego plecami przeszło dwóch żołnierzy. Zeszli z pokładu spacerowego. Jeden ciężko stąpał nogą w gipsie, a jego żelazna laska dzwoniła o metalowy pokład.

Ich obecność rozproszyła myśli Landersa.

–Hej, Landers – odezwał się któryś. – Myślisz o tych wszystkich krajowych cipkach, które wyrypiemy?

Landers tylko pokiwał im ręką. Nie ufał sobie na tyle, żeby się odezwać. Spozrzegł, że drugi żołnierz ma zagipsowany tors i rękę, która zgięta w łokciu sterczała mu sztywno w gipsowym pancerzu równoległe do ramienia. Wydawało się, że na statku jest całe mnóstwo takich zagipsowanych ramion i rąk. Być może po prostu bardziej rzucały się w oczy. Żołnierze poszli dalej.

Wybrzeże nad oceanem nie przybliżyło się. A przynajmniej dla patrzących gołym okiem. Ale było to złudzenie optyczne. Kołyszący się na spokojnym morzu statek ledwie się posuwał na leciutkiej fali. Student! Chryste Panie!

Na wyspach Nowej Georgii, gdzie Landers został ranny, coś się w nim zmieniło. Trudno jednak powiedzieć co. Rana nie była groźna. Właściwie banalna.

Blisko niego upadł duży pocisk moździerzowy, który go powalił i pozbawił przytomności. Przydarzało się to tysiącom. Początek nie był wcale taki zły. Żadnego bólu, w ogóle nie cierpiał, nie było czasu się bać.

Ognisty huk rozkwitł i wchłonął go tak szybko, że ledwie go słyszał. A potem prędko rozszumiała się wygodna ciemność. Zaskoczony, zdążył jedynie sformułować okruczeństwo myśli: "O, to wcale nie jest takie złe..." Później uznał, że myślał o śmierci. Zawarta w tym była myśl, że już nigdy nie odzyska przytomności.

A potem ją odzyskał, z nosa leciała mu krew, a głowę miał ciężką i niezdolną do myślenia. Krwawiła i stracił gdzieś hełm. Na przekór zasadom pierwszej pomocy, ktoś odwrócił go i klepał po twarzy. Po tym zaś nastąpił jak zwykle komiczny moment paniki, czyli obmacywanie własnego krocza, żeby sprawdzić, czy wszystko jest na miejscu. Kiedy to zrobił, odszedł stamtąd. W punkcie opatrunkowym lekarz w stopniu porucznika oznajmił mu, że został ogłuszony i że odeślą go na dwudniowy odpoczynek. Dopiero gdy spróbował się podnieść, zauważono, że ma rozwaloną kostkę. Doszedł tam na niej.

Kiedy czekał na odwiezienie jeepem, przydarzyło mu się właśnie to coś szczególnego. Rozcięli mu but, jak się okazało, pełen krwi, i obandażowali kostkę. Czterech

ludzi ułożyło go na noszach i zaniósło tam, gdzie leżeli inni czekający.

Usiadł na noszach na krawędzi wzgórza i wraz z drugim lekko rannym niemal z przyjemnością przyglądał się bitwie toczącej się w dole.

Landers objął dopiero co funkcję podoficera łącznikowego batalionu. Przed czterema dniami, towarzysząc wszędzie swojej kompanii, czego, jako kompanijny pisarz, wcale robić nie musiał, został dostrzeżony przez pułkownika, dowódcę batalionu, i mianowany jego oficerem łącznikowym w miejsce pierwszego, który zginął. Pocisk moździerzowy powalił Landersa w chwili, gdy niósł rozkaz od

pułkownika do jednego z dowódców plutonów. " Świeżo zastąpił batalionowego łącznika, a poza tym był pisarzem, dlatego w strefie walk znalazł się dopiero drugi raz. Gdy za pierwszym razem włączył się ze swoim oddziałem, wziął udział w małej potyczce i zobaczył kilku rannych, ale dowódca, za podszeptem szefa kompanii, sierżanta sztabowego Wincha, rozkazał mu bezwarunkowo wycofać się na tyły pułku. Za drugim razem u dywizyjnego szefa kancelarii uzbroił się w trzy trzydniowe przepustki, co szef uznał za cudowne. Urzekające. Właściwie za donkiszoterię. Landers jednak dostrzegł w tym dziwaczność, temat na dobrą historię do opowiedzenia w przyszłości o tym, jak zdobył przepustkę, żeby się znaleźć tam, gdzie walczą. Pod tym wszystkim zaś tliło się nękające go od dawna dręczące uczucie, że jest względnie bezpieczny, kiedy inni siedzą tam w ogniu i dymie.

Spędził z nimi tylko jeden dzień, kiedy dopadł go i pojmał dowódca batalionu. W rzeczywistości pułkownik po przejrzeniu akt żołnierzy poborowych i odkryciu, że dostał mu się dwudziestojednolatek, który zaliczył trzy i pół roku studiów, natychmiast wciągnął

go na listę kandydatów na adiutantów. Rozwścieczyło to Wincha, któremu Landers prowadził kancelarię.

Właśnie dlatego większość czasu spędził Landers na głębokich tyłach, rozprawiając z batalionowymi oficerami o wojnie i zajmując się sprawami organizacyjnymi. Gdyby nie ta rana, to zapewne zostałby przeniesiony do pułkownika, co łączyło się z awansem.

W każdym razie mógł teraz powiedzieć, że sobie powojował.

Na tym wzgórzu wszystko się zmieniło. W jednej nieuchwytej chwili. Przyglądał się stamtąd żołnierzom, którzy w płytkiej niecce w dole ryczeli, wrzeszczeli, nawoływali się i krzyczeli, biegli przed siebie, trzymając coś w rękach, biegli z tym czymś z powrotem (tak często, jak nikt przed nimi), strzelali z karabinów, rzucali przedmiotami, bili się i walczyli. Landers miał w głowie tylko jedną myśl: że ci wszyscy ludzie. to skończeni idioci. Co oni sobie wyobrażali? Byli żałośni.

Wówczas jeszcze nie zdawał sobie sprawy, że kiedy zostaną ranni, będą na ogół czuli to samo co on.

Ze śmiertelnym spokojem przyglądał się ze wzgórza, jak tamci rzną się i walą, jak strzelają, jak eksplodują ich ciała, jak się dźgają bagnetami. I dobrze! Dobrze im tak! Zasługiwali na to. W pełni się z tym godził. Ale był poza tym wszystkim. A uczucie to nie kończyło się na grzbiecie tego wzgórza. Rozciągało się na dowódcę batalionu, na starą kompanię, armię, naród, naród wroga, wreszcie na całą ludzkość. Nie należał do nich.

Uświadomił sobie, że niczego to zasadniczo nie zmienia. Nadal mogli wydawać mu rozkazy. Mogli go wsadzić do więzienia. I poszedłby siedzieć. Mógł oberwać bagnetem i krzyczeć. Mogli go nawet odznaczyć, a on podziękowałby za odznaczenie i zasalutował. Mogli go też zabić i by poległ. Ale to wszystko. Ponieważ wszystko było idiotyzmem. Skończonym idiotyzmem.

Nie dlatego, że ludzie byli obłąkani. Podejrzewał to już wcześniej, od samego początku. Nie dlatego, że nowoczesna wojna była sama w sobie obłądem. To również wiedział. Nawet nie dlatego, że sądził, iż za dziesięć lat ci sami żołnierze, walczący ze sobą tam w dole, to znaczy, ci z nich, którzy przeżyją, będą zawierać transakcje handlowe i podpisywać porozumienia korzystne dla obu stron, podczas gdy durni zabici pechowcy zbutwieją w jakimś dole. Landers był cynicznie świadom tego wszystkiego znacznie wcześniej. Ale oglądanie teraz tych wszystkich rzeczy na własne oczy było takie głupie, takie potwornie głupie, bezsensowne i okrutne, że nie chciał mieć z tym nic wspólnego.

Nagle, siedząc tam na wzgórzu, rozplakał się.

Ale płacz nie przyniósł oczyszczenia. Kiedy przestał płakać, nie poczuł się ani trochę lepiej. Łzy wypłukały dwie wyraźne, czyste smugi na jego zakurzonych, zapadłych policzkach. Inni żołnierze wokół niego też płakali.

Na twarzach mieli takie same wyraźne, białe smugi. Nie zrobiło to na nim wrażenia.

Całe życie chlubił się tym, że stoi z boku. Tym razem stał z boku naprawdę. I nie było to miłe uczucie. Ludzie byli kłótliwym, agresywnym gatunkiem. Gorszym od pawianów. Byli bestiami. Bestiami z bardzo długim rodowodem. W prostej linii spadkobiercami australopiteka. Choćby nie wiem jak udawali, że tak nie jest. Nie chciał mieć z nimi nic wspólnego.

W ciągu następnych godzin, dni, miesięcy uczucie "stania z boku" nie opuszczało go, nie zmieniało się, nie łagodniało i nie słabło. Czasem, czując je w sobie, szaleńczo pragnął się go pozbyć. Ale nie było sposobu.

Niekiedy w napadzie szału zachowywał się dziko i eks52 trawagancko. Potem jednak zawsze ogarniał go dziwny spokój i nie miało to żadnego wpływu na tamto uczucie.

Po dwóch dniach wywieziono go samolotem, najpierw na Guadalcanal, a następnie na Nowe Hebrydy.

W szpitalu w bazie marynarki wojennej lekarze zajrzeli mu w oczy i uszy, zbadali tu i tam, a po kilku dniach oświadczyli, że wyszedł z szoku. I że są gotowi zoperować mu kostkę.

Operujący go chirurg, młody major, miał miłą chłopięcą twarz, która świadczyła, że w życiu nie spotkało go dotąd nic złego. A z jego zachowania również było miłe przeświadczenie, że zupełnie nic mu nie grozi.

–Z metalowymi odłamkami nie ma najmniejszych kłopotów. Można je w miarę łatwo wyjąć. Ale są dwa sposoby na naprawienie takiej kostki – oświadczył z uśmiechem. – Krótko mówiąc, metoda moja i metoda wojskowa. Metoda wojskowa polega na wyłataniu pacjenta i odesłaniu go do służby. Dzięki niej kostka stanie się niemal w pełni sprawna. Ale nie do końca wyleczona.

Prawie na pewno będzie się dawać we znaki przez resztę życia, zwłaszcza w starszym wieku. Ale po pięciu tygodniach wyjdiesz ze szpitala i wrócisz do swojego oddziału. Natomiast jeżeli zrobię to po swojemu, tak jakbym zrobił to w przypadku pacjenta w kraju, to przez co najmniej dwa miesiące będziesz w gipsie. Nie pozostanie więc nic innego, jak odesłać cię do Stanów.

Jesteś pacjentem, więc sam wybieraj.

Landers zniecka poczuł chęć, żeby na niego nakrzyczeć, skląć go. Pamiętał, że dawniej żył tak jak ten major, że i jemu nie zdarzało się nic złego, zanim zwichrowane poczucie honoru skłoniło go do zaciągnięcia się do piechoty w stopniu szeregowca. Ale zamiast objechać chirurga, rzekł:

–Pewnie powrót do Stanów statkiem byłby najlepszym wyjściem. Prawda?

Majora mocno poruszyły te słowa, bo spodziewał się, że odpowiedź jest z góry przesądzona.

–Mam rozumieć, że wolałbyś nie wracać do Stanów? – spytał.

–Nie, panie majorze.

–No, to jak mam to rozumieć, kapralu... – major zajął do papierów – Landers?

Landers poczuł, że mu odbija. Że znów wydziwia.

Nagle pochylił głowę i łypnął na młodego lekarza spode łba. Koniec świata, tamten nie znał nawet jego nazwiska.

–Myślę, że oni mnie dopadną – odparł, wciąż łypiąc okiem. – Tak czy inaczej. Jeżeli chce pan znać prawdę. Jestem pewien. Nie mam żadnych szans.

Młody chirurg przez chwilę nie wiedział, co myśleć.

–Co za oni? – spytał.

–Oni. Wie pan – odparł Landers. – Obojętniejący.

Ci sami, z którymi próbuje pan walczyć, prawda?

–Rozumiem... Tak. Hmmm. – Major potarł nos.

–Chyba się nie rozumiemy. Ja nie walczę z żadnymi "nimi". Ja walczę z polityką rządu. Wykonuję swoją pracę tak, jak powinna być wykonana, tak jak mnie nauczono.

–Och, doskonale to rozumiem – rzekł Landers.

Właściwie znów miał chęć krzyknąć na majora, nabrać powietrza do płuc i wyrzucić je z siebie. Jak ten palant mógł być taki pewny swego we wszystkim? Jak mógł czuć się tak bezpiecznie?

–Proszę mi powiedzieć, kapralu. Chcecie tam wrócić? – spytał major.

Landers poważnie to sobie przemyślał.

–Nie, panie majorze – odparł wreszcie. – Nie chcę wracać.

–W porządku. – Major klepnął się w kolana.

Wstał. – Każę was przygotować na jutro.

–Wątpię, czy to coś zmienia.

–W końcu moim zadaniem jest zadbać o to, żeby was, żołnierzy, wyreperować jak najlepiej na resztę życia – odrzekł major, jakby nie usłyszał jego słów.

–Tak jest – powiedział kwaśno Landers. – Dziękuję, panie majorze.

–A poza tym jest to zadanie, z którym chciałbym się zmierzyć. Stawia wiele ciekawych kwestii.

–Słucham, panie majorze?

Landers patrzył zdziwiony na chirurga.

–Naturalnie, że to zmienia sprawę – oznajmił tamten zniecacka. – Jakżeby inaczej! – Stojąc w dalszym ciągu przy biurku, spojrzął na Landersa. – Nie zachowujecie się zbyt rozumnie, kapralu. Tak. Ale to prawdopodobnie jest całkiem normalne. – Westchnął.

–Każę was przygotować na jutro.

Wyglądał jednak na urażonego. Tak jakby Landers go zawiódł. Gdyby należał do gniewliwych, to pewnie by się zagniewał.

Za to Landers był niewątpliwie zagniewany. Ale i zmieszany. Nagle poczuł się winny. Zaczął się martwić, zanim jeszcze odwieziono go na oddział. A potem całą noc gryzł się z powodu nieporozumienia z majorem, tego, jak go potraktował. Ale rano, kiedy na wpół przytomnego zawieziono go i położono na stole, chirurg uśmiechnął się do niego. Potem zaś go znieczulili.

Po operacji, leżąc wygodnie w szpitalnym łóżku, dużo spał. Ale przez kilka dni faszerowali go środkami nasennymi, a do głowy powracały mu wciąż obrazy.

Szedł z rozkazem od pułkownika i z pełną manierką.

Upał był potworny, więc, zlany potem, świadomie oszczędzał wodę. Ale kiedy został trafiony, wyjął manierkę i po raz pierwszy w pełni zaspokoił pragnienie. Nic

w życiu nie smakowało mu tak bardzo, jak ta ciepła, zgrzytająca w zębach woda.

Stał pośród leżących na brzuchach ze ściągniętymi, schorowanymi twarzami członków przedniego plutonu, tak jakby odniesiona rana chroniła go przed

ponownym zranieniem, i myślał o zostawieniu im manierki z resztą zawartości. Nie należeli nawet do jego kompanii. Ale nie mieli wody w ustach od połowy ranka. Wystarczyło, żeby wstrzymał się z piciem aż do punktu opatrunkowego.

Pod wpływem uderzenia, wstrząsu i strachu, nie będąc sobą, to się śmiejąc, to płacząc, stał na rannej nodze, ciągle jeszcze w zbyt wielkim szoku, żeby zdać sobie sprawę z własnej rany, tak więc kwestia odkrycia jej dłuższy czas wisiała w powietrzu. A potem napił się jeszcze raz, tak że woda pociekła mu obficie z kącików ust, i schował manierkę.

Kilku żołnierzy przyglądało się mu, lecz w ich spojrzeniach nie było zazdrości o wodę. Głównie współczująca niechęć. Pragnęli, żeby sobie poszedł. Szczęściarz, został ranny, dlatego powinien stąd odejść, i to szybko.

Nie chcieli go oglądać. Nie chcieli, żeby przypominał im, co ich może spotkać.

Na wzgórzu, tak jak większość rannych dookoła, pociągał z manierki aż do odjazdu jeepem, a tymczasem w dole, w rozgrzanej dolinie, pozbawione wody żołnierskie plutony nieudolnie atakowały.

Ta scena wciąż ukazywała się Landersowi, kiedy leżał w szpitalnym łóżku. W głowie nie starczyło mu już, jak widać, miejsca na obrazy odejścia z pola walki, na badanie przez lekarza ani na odkrycie pokierszowanej kostki. Tylko na epizod z manierką. Budził się w nocy odurzony lekarami i paplał o tym do dyżurującego sanitariusza. Ponieważ w jego śnie żołnierze z tamtego plutonu chcieli jego wody i w milczeniu patrzyli na

niego błagalnie, ale on nie zamierzał im jej dać. Sanitariusz nie rozumiał, co Landers chce mu wyjaśnić, więc przynosił mu wodę, której Landers nigdy nie wypijał.

Kiedy przestano mu dawać środki nasenne, sny zniknęły i przestał o tym myśleć.

To znaczy, aż do tej chwili. W koi. Na tym śmierdzącym szpitalnym statku z ludzkim mięsem, po nadejściu wieści, że widać ojczysty brzeg. Landers nagle westchnął.

Minęło go dwóch zagipsowanych rannych, idących na przód pokładu głównego. Landers cofnął głowę, którą wystawiał na wiatr.

Z wnętrza, osadzony w ramach dużego, kwadratowego okna kawałek niewyraźnego niebieskiego brzegu przypominał żywy obraz. Landersowi wydał się przerażającym panaceum, zdolnym pomóc na wszelkie kłopoty, ale za straszną cenę trwałego kalectwa.

Na pokładzie było spokojnie i cicho. Ale gdyby wystawił rękę na zewnątrz, to rękaw jego szlafroka zafurkotałby gwałtownie na wietrze, wiernie towarzyszącym płynącemu statkowi. Landers jednak nie myślał wystawiać ręki. Długi, wyludniony korytarz tchnął bezpieczeństwem kontrastującym z uczuciami, które trzepotały w nim bezskrzydłym trzepotem.

Myślał właśnie, żeby odwiedzić tego cholernego Marta Wincha, kogoś, z kim mógłby porozmawiać w chwili, gdy opadły go zwidy. I obezwładniły, jak sparaliżowanego nagłym atakiem.

W swojej wizji, złudzeniu, śnie na jawie, obłądnie czy czym tam jeszcze Landers spostrzegł nagle, że znajduje się poza statkiem i oddala od niego, wzbijając się w powietrze.

Z góry widział wielkie czerwone krzyże na jego białej

burcie. Nie było wiatru, powietrze stało. Miał wrażenie, jakby unosił go ze statku na linie wielki helikopter.

Tylko że nie było żadnych dźwięków. Panowała cisza.

Zwisał swobodnie i unosił się... aż wreszcie z bardzo wysoka spojrzął na niebywale pomniejszony statek i odległy brzeg.

W dole pod nim, wolno i ostrożnie, bez śladu dymu smużącego się w powietrzu, biały statek bezgłośnie sunął w stronę dalekiego celu przez łagodnie rozkołysany błękitny przestwór, którego fale wyprzedzały go i wyprzedzały, żeby w końcu rozbić się białymi, cichymi bałwanami na oddalonym brzegu. Landers wiedział, że na statku i na wybrzeżu nie ma ludzi i że statek nigdy tam nie dopłynie. Brzeg będzie się cofał wolno, chytrze dostosowując swój ruch do prędkości parowca, tak że odległość pomiędzy nimi nigdy się nie zmieni pod tym jasnym, ciepłym wesołym słońcem, słońcem, które, o dziwo, nie porusza się na niebiosach, a jednocześnie w jego świetle nic nie rzuca cienia.

Nie było istotne, że ten pusty statek nie dopłynie nigdy do pustego kontynentu. Nie wiadomo skąd Landers wiedział, że zadaniem tego statku jest nie dopłynąć do brzegu. Zresztą statek przestał już być statkiem i stał się czym innym. A bezludny tajemniczy niebieski kontynent był... czym? Landers nie miał pojęcia. Ale jeszcze nie widział piękniejszego, bardziej błogiego, spokojniejszego – i właściwszego – widoku, a patrzenie nań napełniało go przeogromnym spokojem i sprawiało nieznaną przyjemność.

Tam gdzieś w dole stał, patrząc zahipnotyzowanymi, rozszerzonymi oczami, drugi Marion Landers. Landers wiedział, że jeżeli tamten drugi mrugnie, to ta wizja, sen, objawienie czy co tam to było – zniknie. Ale nie mogło to przekreślić ani zmniejszyć jego przyjemności. Bo i ona należała do wizji.

Daleko białe bałwany zderzały się łagodnie z wyludnionym, piaszczystym, długim błękitnym brzegiem, gdzie żywe pozostały lasy pełne wysokich zielonolistnych drzew i giętkie zielone trawy. Mający mgliście, nie zamieszkały, tajemniczy, niezmierny i przepastny kontynent wabił. I nie dane było tam dotrzeć żadnemu statkowi.

Landers nie mrugnął. Nie chciał. Nie pozwoliłby sobie na to. Było to jednak bez znaczenia. A zresztą czuł, że powoli zaczyna powracać do siebie. Że zaczyna z wolna wlewać się z- powrotem w swoje ciało, jak płynna czekolada nalewana z misy. I wtedy mrugnął.

Co mu się przydarzyło? Jak elektrowstrząs targnął nim popłoch. Odwrócił się wolno i pokuśtykał, żeby zobaczyć się z Winchem. Żeby z kimś, z kimkolwiek, porozmawiać.

Ale zanim wspiął się po schodach na pokład spacerowy, zmienił zdanie. Winch był jego bohaterem. Był nim od chwili, gdy Landersa przydzielono do kompanii Wincha, a ponieważ znał się na papierkowej robocie, został u niego pisarzem. Ale Winch w żaden sposób nie mógł mu pomóc w tym, z czym się borykał. Być może nie mógł mu pomóc w niczym. Było to jeszcze jedno nowe objawienie.

Tak więc na szczycie schodów Landers zawrócił i skierował się do głównej sali. Tam gdzie na pewno leżał dalej Bobby Prell. Zawieszony na wyciągu jak kurczak przygotowany na sprzedaż, Prell nie mógł wyjść na pokład.

Zbliżając się do drzwi, Landers przygotował się na falę słabego, mdlącego zapachu. Nie pozostawało nic innego, jak wciągnąć go do płuc i nie starać się go uniknąć. Kiedy otworzył drzwi, zapach ten chlusną mu

w twarz wilgotnym, ciepłym, śliskim bryzgiem niczym zsuwające się gładko ścieki.

Chcąc się do niego przyzwyczać, stanął nieruchomo w progu i po chwili w połowie wielkiej sali dostrzegł byłego szefa kuchni ze swej starej kompanii, Johnny'ego Strangera, który śmiał się i gadał, pochylony nad łóżkiem Prella.

Po krótkim niezdecydowaniu Landers otworzył drzwi i wycofał się z sali. Nie miał ochoty na rozmowę ze Strange'em. Właściwie nie pragnął też rozmawiać z Prellem. Z rozpaczą, ale ostrożnie, zaczął schodzić o kulach po stromych schodach.

Zejście po ich wysokich, śliskich stopniach było dla podpierającego się kulami

Jeszcze niebezpieczniejsze niż wejście po nich.

Rozdział czwarty Późnym wieczorem zawinęli do portu w San Diego.

Nikomu nie chciało się spać, zresztą zasnąć i tak było nie sposób. Właśnie tu, do Dago, przywożono rannych z marynarki i piechoty morskiej.

Mały statek, jakby pomniejszony jeszcze przez stojące w pobliżu okręty wojenne, jarzył się światłami. W przejściach i na korytarzach krzatali się nawołując głośno łądowi pielęgniarze z noszami i personel medyczny statku w białych fartuchach. Opróżniano koi po koi kabiny, łóżko po łóżku w głównej sali i odwożono zajmujących je rannych. Niektórzy z nich wracali aż z krańców Oceanu Indyjskiego, z Australii, z Nowej Zelandii. Z Nowej Gwinei, Wysp Salomona, z Morza Koralowego.

Na oświetlonym portowymi reflektorami nabrzeżu panował wielki ruch, bo jedna za drugą podjeżdżały tam karetki i po załadowaniu znikwały w mroku. W wielkiej zatoce, wypełnionej jednostkami wojennymi, wszędzie płonęły światła – na okrętach, urządzeniach portowych, samochodach, autobusach, ciężarówkach.

A ponad światłami w zatoce jarzyło się miasto, oświetlone jak na jakąś uroczystość albo na powitanie rannych wracających do ojczyzny. Żołnierzom, przyzwyczajonym do zaciemnień i przyćmionych światła, ten widok zapierał dech. Niektórzy znów się rozplakali.

Kiedy wyładowano rannych i światła na pokładzie ponownie przygasły, jedna trzecia koi i łóżek opustoszała. Pozostali musieli poczekać do San Francisco.

Do Frisco zaś było jeszcze dwa dni żeglugi. Wszyscy wiedzieli, że te dwa ostatnie dni na częściowo opróżnionym statku okażą się najdłuższe i najgorsze.

Wiedział o tym z pewnością Johnny Strange. Kiedy się uspokoiło, powrócił do łóżka Bobby'ego Prella w mniejszej teraz na oko sali głównej. Oparł się na poręcz w jego nogach i próbował wymyślić coś śmiesznego. Wstąpiła weń nowa nadzieja, że ze względu na tak wspaniałą okazję zdoła namówić Marta Wincha na wspólną wizytę u Prella. Gdyby mu się to udało, byłoby to po raz pierwszy. Właściwie pierwszy od chwili, kiedy Winch pojawił się nieoczekiwanie w szpitalu w bazie marynarki na Nowych Hebrydach, najwyraźniej po drodze do kraju, ale nie wyglądał na rannego ani nawet na bardzo chorego. Nawet tam Winch z miejsca odmówił odwiedzenia Prella i nie chciał mieć z nim nic wspólnego.

Ze względu na Prella Strange spędził w głównej kabinie statku mnóstwo czasu. Nie na darmo w starej kompanii nazywano go Matką Strange. Niemniej nie zdołał przyzwyczać się do tej sali, a przynajmniej nie na tyle, by czuć się tam swojsko.

Strange spostrzegł, że jeszcze długo potem wszyscy wspominali, jak w czasie rejsu

sala ta tylko na krótkie chwile opuszczała ich myśli. Dosłownie wszyscy, bez względu na to dokąd trafili po powrocie i z jakiego szpitala w Stanach nadsyłali kartki i listy! Na temat tej wielkiej kabiny twierdzili to samo. Wszyscy, pomyślał Strange. Tak jakby polowali na jakiś współczynnik,

dzięki któremu ocalał to przeżycie. Ten rejs był dla nich ostatnim aktem sztuki, linią graniczną. Tak jak linia zmiany daty, gdy ją przekraczali w drodze powrotnej.

Oceniali, że trzynaście procent spośród nich było rannych na tyle ciężko, żeby leżeć w głównej kabinie.

Statystyka rannych fascynowała Strange'a tak mocno, jak pozostałych. I stanowiła ulubioną grę na pokładzie.

Zaraz po kartach. Po grze w oko. I w pokera.

Z owych 13 procent w dużej sali jedna piąta, czyli 2,6 procent całości, wymagała intensywnej opieki. Niemal wszyscy z tych 2,6 procent mieli rany płuc. Chyba tylko w sześciu przypadkach były to rany brzucha albo głowy.

A to dlatego, że ranni w głowę niemal z reguły umierali przed zaokrętowaniem, a ranni w brzuch albo umierali, albo też zdrowieli na tyle, żeby płynąć wraz z innymi na oddziale otwartym. Ciekawe, że spośród nas, piechociarzy, 75 procent postrzałów pochodzi z karabinów i broni maszynowej, ale tylko 50 procent w przypadku ran brzucha, pomyślał Strange. Nie wiedzieli, dlaczego tak jest i czy liczby te dotyczą również innych rodzajów wojsk.

O tym, że opieka, w głównej sali jest sprawnie i świetnie zorganizowana, Strange przekonał się, kiedy już przewyciężył jej odrażający zapach, a ciemna strona jego duszy pokonała nadprzyrodzony, kojarzący się z czarownicami na miotłach, zabobonny lęk przed nią.

Lęk, który nigdy człowieka nie opuszczał i był bliski wyobrażeniom jego chrześcijańskich babek o piekle.

Sala nawet z wyglądu przypominała piekło. Szczypce, igły, rurki, nożyczki. A do tego uwijające się diabluki i potępieni ociekający krwią. Wszyscy oni sami płacili za grzechy albo karano ich za nie. Główna kabina była jak składnica, zbiornik i bank wszelkiego ludzkiego zła.

Strange często miewał takie skojarzenia.

Nie był religijny. A przynajmniej nie bardzo. Najtrafniej można by o nim powiedzieć, że był mało religijny.

I nie zawsze żył po bożemu. Ale w Boga wierzył.

I wierzył, że kiedyś zapłaci za swoje potknięcia. Nie musiał też specjalnie wysilać wyobraźni, żeby ujrzeć w głównej sali piekło, w którym kiedyś będzie pokutował.

Tak jak wielu innych, miał duże opory przed wejściem do niej, oddychaniem jej powietrzem, a nawet z dotykiem klamek przy jej drzwiach. Z zabobonnej obawy przed zarazkami. Ale kiedy już człowiek to wszystko w sobie przewyciężył, był zdumiony, jak wszystko sprawnie tam idzie i jak dobrze jest zorganizowane. Tak jak z całą pewnością w piekle, pomyślał Strange.

W jednym kącie mieścił się oddział intensywnej opieki. Od reszty sali oddzielały go zasłony. Na ogół panowała tam cisza. Ale nie przestawały stamtąd dobiegać rozmaite okropne medyczne dźwięki, które cisza tylko podkreślała. Bulgotanie płynów. Ciche posykiwanie powietrza. Jego głośniejsze erupcje. Dziwne tykanie.

Dyszenie. Nikomu nie wolno było tam wchodzić.

Strange często myślał, że gdyby jeszcze bardziej rozwinąć porównanie z piekłem, to ten oddział intensywnej opieki można uznać za siódmy krąg babcinego chrześcijańskiego piekła. Najniższy. Najgorszy ze wszystkich.

Gdyby nie wzgląd na Prella, Strange nigdy nie poznałby głównej sali tak dobrze. Spędzał przy Prellu sporą część każdego dnia, rozmawiając z nim, śmiejąc się i starając się go pocieszyć. Wątpił, czy poświęciłby się tak dla kogoś innego. Nie w tym parszywym miejscu.

W ciągu całego rejsu nie zadał sobie trudu, żeby odwiedzić pisarza kompanijnego, Landersa. Ale Landers był ochotnikiem. Prell zaś, podobnie jak Winch, należał do starej kompanii.

Strange trafił ze swoją uszkodzoną ręką do szpitala

w bazie marynarki w Efate na Nowych Hebrydach na tydzień przed Winchem. A kiedy opuszczał kompanię na Nowej Georgii, wszystko wskazywało, że Winch jest zdrow i w dobrej kondycji. Bobby Prell wyprzedził oczywiście ich dwóch o kilka tygodni, ranny w chwili gdy kampania na Nowej Georgii osiągała swoje apogeum.

Strange gotów był uwierzyć, że Winchowi po prostu znudziło się wojowanie i wyekspediował się do kraju.

Był do tego jak najbardziej zdolny i miał, zdaniem Strange'a, dosyć wpływów, żeby to sobie załatwić. Gdyby rzeczywiście coś takiego postanowił.

Plotka krążąca po szpitalach na Nowych Hebrydach głosiła, że Winch ma jakieś kłopoty z sercem. Inna plotka stamtąd twierdziła, że Prell straci jedną albo obie nogi. Ale Winch zachowywał się i wyglądał jak człowiek po ataku serca w takim samym stopniu, jak Bobby Prell na takiego, który pozwoli sobie odciąć jedną czy dwie nogi. Jeszcze inna plotka obiegająca szpital mówiła, że dowódca dywizji zgłosił Prella do Medalu Honorowego Kongresu*. Ale kiedy Strange wspomniał o tym Winchowi, ten tylko parsknął na to z oburzeniem. Jeżeli ktoś wiedziałby cokolwiek o ewentualnym zgłoszeniu Prella do odznaczenia, to na pewno szef jego kompanii.

Ale Winch nie chciał przyznać, że coś mu o tym wiadomo. Sam Prell nic o tym nie wiedział. Strange uważał jednak, że gdyby zdołał skłonić Wincha, żeby potwierdził fakt zgłoszenia Prella do medalu, to na Prellu wywarłoby to błogosławiony skutek.

Rzecz nie w tym, czy Prell był w depresji, zdruzgotany bądź myślał o samobójstwie. Albo o czymś równie złym.* Nie było to w jego stylu, tak jak nie było to w stylu * Najwyższe wojskowe odznaczenie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej [przyp. tłum.]

Wincha. Prell był bardzo zawzięty i uparty. Typowy dumny twardziel z Zachodniej Wirginii, i po części dlatego Winch go nie lubił. Strange zaś lubił go właśnie za to.

Był jednak na tyle bystry, żeby pod męstwem, z jakim Prell traktował swoje rany, wyczuć rakowatą tkankę.

Dobrze zarośniętą, otorbiałą rozpacz. Stwardniałą i zasklepioną. Która jednak mogła się rozrosnąć. Albo pęknąć i rozlać swoje chorobliwe płyny. A wówczas Prell byłby w niebezpieczeństwie. Trochę wieści, choćby nie sprawdzonych, o Medalu Honorowym byłoby dla niego świetnym lekarstwem.

Ale Winch ani myślał się z tym wygadać, nawet jeżeli wiedział.

Strange zżył się z nim. Nie było to takie trudne. Po prostu trzeba było zaakceptować, że jest trochę narwany, i pogodzić się z tym. Prawdę mówiąc, niemal wszystko dobre, co go spotkało w ciągu trzech ubiegłych lat, zawdzięczał Winchowi. I dobrze o tym pamiętał.

W początkach 1940 roku, na długo przed podstępny atakiem Japończyków, w pokojowych czasach, kiedy ich dywizja stacjonowała w Koszarach Schofielda, Strange był zwykłym kucharzem w oddziale artylerii nadbrzeżnej w Forcie Kamehameha, jako funkcyjny czwartej kategorii, bez żadnych widoków na awans.

I tam właśnie odwiedził go Winch, dawny plutonowy, z którym przed pięciu laty służył w jednym oddziale w Forcie Riley, w Kansas, i zaproponował mu przeniesienie do swojej kompanii w Schofield. Nie była to propozycja dorzeczna. Fort Kam leżał blisko Honolulu, miał własne plaże kąpielowe, a Strange pobierał żołd starszego kaprała. Ale Winch przyrzekł mu, że w ciągu trzech miesięcy zrobi go szefem kuchni. Chce się bowiem pozbyć obecnego. Było to w czasach, kiedy szefowie kuchni i starsi kucharze, żeby zachować pracę, musieli

odnawiać zawodowe kontrakty. Strange przystał na to.

A Winch wszystko załatwił. Dokładnie tak, jak powiedział.

Decyzja ta odmieniła życie Strange'a. Zaraz po wielkim skoku w wysokości żołdu posłał do rodzinnego Teksasu po swoją dziewczynę, sprowadził ją i poślubił. Spodziewał się, że uda mu się to zrobić dopiero za trzy lata. Ale awansowi na plutonowego towarzyszył podoficerski dodatek rodzinny i mieszkanie garnizonowe. Skończył z kawalerskim trybem życia, przepijaniem żołdu, trwonieniem go na dziwki i zabawy i usatkwował się. Mając przy sobie Linde Sue, nie miał z tym trudności. Zaczęli nawet oszczędzać. Do końca 1941 roku, podstępного ataku Japończyków i wybuchu wojny, odłożyli dwa tysiące dolarów.

Wszystko to zawdzięczał wyłącznie Winchowi. Uważał, że nigdy nie zdoła mu się za to dość odwdzięczyć.

Dlatego nie chciał się wtrącać i zwracać mu uwagi, kiedy Winch dostawał bzika, zachowywał się jak dziwak i miewał nieobliczalne wyskoki. Zresztą wtrącanie się w jego sprawy byłoby równie skuteczne co ingerencja w siły natury takie jak szkwał. Nic by nie dało.

We dwójkę, z niewielką pomocą kilku podoficerów, których sami awansowali, uczynili ze swojej kompanii jedną z najlepszych w dywizji. Być może najlepszą w jej historii. W każdym razie Strange'owi zapadła ona w pamięć na całe życie. Wojna wszystko to przekreśliła.

Zrujnowała, rozszarpała na strzępy. Ale takie było przeznaczenie tego oddziału i po to go stworzono. Nie mógł trwać wiecznie. Kiedy więc Strange go opuścił, a po nim opuścił go Winch, uznał, że właściwie kompania przestała istnieć. Ich dawna kompania. Wiedział jednak, że jej nie zapomni.

Nade wszystko, byliśmy zawodowcami, pomyślał po

raz pięćsetny z ponurą satysfakcją. Byliśmy nimi, niech mówią, co chcą. Znowu nie zdawał sobie sprawy, że używa czasu przeszłego.

Cokolwiek by o tej kompanii powiedzieć, to na pewno stworzył ją ten kopnięty Mart Winch. Co z tego, że działał niekonwencjonalnie, oszukiwał, a niekiedy postępował całkiem nieuczciwie, skoro osiągnął fenomenalne wyniki, świadczące o jakimś

oblędnym geniuszu.

Strange kochał go za to.

Ale mimo że gotów był go popierać i liczył się z nim, to darzył też specjalnymi uczuciami Bobby'ego Prella.

Tuż po wybuchu wojny na Wahoo Strange, za każdym razem, gdy patrzył na swoją małżonkę, żałował, że jest żonaty. Czuł się tak po trosze z powodu Prella.

Za takie myśli o Lindzie Sue sam chciał się kopnąć w tyłek. Po japońskim ataku nie widywał jej zbyt często.

Kompanię natychmiast skierowano na pozycje obrony.

Wkrótce potem wszystkie żony wojskowych i osoby na ich utrzymaniu odesłano do Stanów. Nim Linda Sue odpłynęła statkiem, Strange dwa razy dostawał od Wincha całonocne przepustki, żeby spotkać się z nią w hotelu w mieście. I za każdym razem z powodu wiszącej nad ich głowami wojny żałował, że tak się pośpieszył z małżeństwem. Jakże miło, wygodnie i beztrosko byłoby mu to robić z jakąś prostytutką. I nie słuchać tych wszystkich łkań i ciągłego gadania o rozstaniu. Nie docierało do niej, dlaczego chce tutaj zostać i dlaczego ma taki a nie inny stosunek do swojej kompanii.

Właśnie wtedy Strange uświadomił sobie, że gdyby wiedział o nadchodzącej wojnie, to nie poślubiłby tak pośpiesznie Lindy Sue.

Jej wyjazd rozdzierał mu serce, ale z drugiej strony

czuł ulgę, że Linda wyjeżdża. Sądził, że kiedy jej przy nim nie będzie, jego życie zmieni się i wrócą dawne czasy. Ale nie wróciły. Kiedy wybrał się raz na kurwy do miasta z paczką żołnierzy z jednostki, po tym, jak pogotowie bojowe na Wahoo osłabło, był i znudzony, i pełen poczucia winy. Przestał lubić wychodzenie na przepustki i zalewanie pały z kolegami. A kiedy jego kompania przybyła na Guadalcanal, żeby złuzować piechotę morską, odkrył, że dawne zamiłowanie do ryzyka zastąpiły w nim ostrożność i rozwaga. I że strasznie tęskni za żoną.

Z Prelem było jednak inaczej. Zawsze miał pociąg do czynów bohaterskich. A do tego dochodziła jego nieugięta duma rodem z Zachodniej Wirginii. Nie należał do ludzi wesołych, beztroskich, roześmianych.

Był na wskroś rzetelny, chłodny, dokładny. A jednocześnie aż do przesady zarozumiały. Ryzykował bardziej niż szalony, niepoczytalny motocyklista. Na Guadalcanale dokonał rzeczy niebywałych. Przez całą noc przedzierał się sam jeden przez dżunglę za linią frontu, żeby przedostać się do odciętej kompanii. A po wszystkim nawet okiem nie mrugnął. Strange zazdrościł mu, jeszcze zanim ich kompania wyjechała z Canalu na Nową Georgię.

Niski, drobny, z podłużnymi wgłębieniami pod wysokimi kośćmi policzkowymi i wąskimi oczami Prell był w tej chwili bardzo wychudzony. Pod czarnymi jak węgiel oczami miał wielkie fioletowe podkowy. W ciągu dwóch ubiegłych lat dwukrotnie degradowano go ze stopnia starszego kaprała, ostatnio po zakończeniu walk na Guadalcanale. Ale przed przyjazdem na Nową Georgię dosłużył się na powrót kapraleskich winkli. A na dodatek funkcji dowódcy drużyny. Był zbyt dobrym żołnierzem i wszyscy to wiedzieli. No a potem został poharatany podczas małej nieważnej kampanii na Nowej

Georgii. W kraju, w Stanach, najwyraźniej nikt o żadnej Nowej Georgii nie słyszał.

To dziwne, ale Prell cieszył się jak z niczego dotąd, że tak fatalnie oberwał. Jakby uważał, że domagano się tego od niego. Kiedy Strange podszedł do jego łóżka, Bobby uniósł głowę z poduszki i mimo okropnych podków pod oczami uśmiechnął się.

–Już niedługo, co? – spytał.

Strange zmusił się do uśmiechu.

**–Mówią, że dwa dni. Dwa dni, a potem kochane Złote Wrota. Most i stare Presidio. –
Rozejrzał się po sali. – Mocno się przeredziło.**

–A jakie tu były sceny – powiedział Prell. – Ludzie pociągali nosami. I płakali.

–Pewnie. Ale nie ty.

–Nie, ja nie. Ja swoje w życiu przeszedłem.

**–Przeszedłeś tam i z powrotem. Nie jesteś prawiczkim. A nawet gdybyś był, to też
byś się z tym nie zdradził.**

–Tak jest,

**Strange przykucnął po chłopsku, z pośladowkami na piętach. Nie było tu krzeseł.
Brakło na nie miejsca. Prell dzięki pielęgniarzowi zdobył wsteczne lustro wykonane
z lusterka do golenia i drutu do wieszaka, tak że miał widok na salę za swoimi
plecami. Zerknął w nie i zanim znów się odezwał, podpierając się łokciami lekko się
przesunął. Tylko kilka cali, bo obie nogi zawieszono na wyciągu.**

**–Te cholerne odleżyny dają mi się we znaki – wyjaśnił i zamilkł, ale tylko na chwilę. –
Jak tam Winch?**

–O ile wiem, ma się dobrze. Nie widuję go za często.

–Ten sukinsyn zawsze będzie się miał dobrze.

Jeśli tylko będzie coś do zgrandzenia. Nie odwiedził mnie ani razu.

–Nie? A mnie chyba mówił, że do ciebie wpadnie.

Prell patrzył przez chwilę obsydianowymi oczami we wsteczne lustro, śledząc korytarz za plecami.

–Landers był u mnie sześć razy – powiedział.

–Tak? Nie widziałem go od wejścia na statek.

Powinienem go odwiedzić.

Prell nie odpowiedział na to.

–Ty odwiedziłeś mnie siedemnaście razy – rzekł.

–Tak? To ty prowadzisz rachunki czy jak?

–Oczywiście. Pewnie, że prowadzę. Niewiele mam poza tym do roboty – oświadczył Prell.

–A jak tam zeszyt z krzyżówkami?

–Skończyłem go.

–W takim razie muszę się rozpytać, czy nie znajdzie się jeszcze jakiś.

Prell wbił łokcie w posłanie i przesunął się niedostrzegalnie.

–To miło z twojej strony. Przerzedziło się tutaj, nie?

–A, owszem. Faktycznie – przyznał Strange. – Sam miałem to na końcu języka.

Wstał i jeszcze raz rozejrzał się po sali. Pustych łóżek nie było znów aż tak dużo.

–Zabrali stąd nieco mniej niż jedną trzecią. Ale na słuch różnica jest ogromna – powiedział Prell, przyglądając się mu. Mówił swobodniejszym, nieco bardziej przytłumionym tonem. – Jak myślisz, dokąd nas zawiozą?

–Nie mam pojęcia – odparł Strange przykucając, a po chwili siadając. Na gołej podłodze. – Chyba nikt tego nie wie. Brak w tym reguły. Podobno roześlą nas do szpitali najbliższych naszych miejsc zamieszkania.

W zasadzie. Ale tylko pod warunkiem, że będzie tam odpowiednia opieka medyczna. Jeżeli nie, to pošlą cię tam, gdzie ją znajdziesz.

-To znaczy, że nas rozłączą – zakonkludował Prell.

-Tak. Pewnie, tak.

–To mi się nie podoba. Mogliby mieć dość rozumu na to, żeby chłopaków z jednego oddziału wysłać tam, gdzie byliby razem. A przynajmniej do czasu, kiedy przywykniemy do nowej sytuacji.

–Oni chyba nie mają czasu przejmować się takimi duperelami – odparł bez troski Strange.

–To dziwne, wiesz – rzekł po chwili Prell. – Właściwie nie wiemy, co się dzieje z tymi, którzy oberwą i opuszczą oddział. A tym razem dotyczy to nas samych.

Obrywają i odchodzą z frontu albo ich stamtąd zabierają i właściwie więcej ich nie widzimy. Jedni jadą do Efate, drudzy do Nowej Zelandii, a jeszcze inni do Nowej Kaledonii. A stamtąd płyną statkiem albo lecą samolotem do Stanów... i wszelki ślad po nich ginie. Nie znamy ich dalszych losów. No, a teraz spotyka to nas.

–Niektórzy chłopcy otrzymali po parę kartek – powiedział Strange.

–Wiem. Owszem. Takiego a takiego spotkałem tu i tu. A taki i owaki stracili ręce. Ale nigdy nie będziemy wiedzieć, jak było naprawdę.

–Ale teraz chyba już wiemy, jak to jest.

–Ty na pewno pojedziesz dokądś w Teksasie – rzekł Prell. – A ja nie mam pojęcia dokąd. Pochodzę z Big Sandy przy granicy z Kentucky. Ale nie byłem tam od dwunastu lat. Do Wheeling? Waszyngtonu? Baltimore?

Nawet nie wiem, gdzie są szpitale wojskowe.

–Ty i ja możemy mimo wszystko wylądować w tym samym szpitalu. – Strange uśmiechnął się. – Wątpię, czy mnie wyślą do Teksasu. Cała rodzina żony wróciła do Kentucky, żeby pracować w fabryce broni w Cincinnati. A ona pojechała z nimi. W Teksasie nie mam już nikogo.

–Ja też nie mam nikogo w Zachodniej Wirginii – powiedział Prell.

–Ty i ja możemy wylądować w Cincinnati.

–A skąd jest Winch? – spytał Prell.

–Skądś z Nowej Anglii, chyba.

–To dobrze. – Prell za pomocą łokci umościł się w łóżku. – Niedługo zgaszą światła.

–Tak. Pewnie tak – odparł Strange. – Zabieram się. Chyba znowu ruszyliśmy. Wpadnę jutro.

–Jeżeli nie masz ochoty, to nie wpadaj – odparł sztywno Prell.

Strange uśmiechnął się do niego.

–Dobra. Nie wpadnę. Jeżeli nie będę miał ochoty.

Wstał już. Kawalek dalej paru pielęgniarzy zdejmowało pościel z opróżnionych łóżek. Na ten widok poczuł się samotny. Skinął ręką i odszedł. W dużych wahadłowych drzwiach zatrzymał się i obejrzał.

Obserwujący go we wstecznym lusterku z odległości większej niż pół sali Prell podniósł rękę. Strange zdał sobie sprawę, że gdyby się nie obejrzał, to Prell zapewne wzięłyby mu to za złe. Podniósł rękę w pożegnalnym geście i wyszedł na korytarz. Idąc, mimo bólu kurczył i rozkurczał okaleczoną dłoń.

Kiedy przebywał w towarzystwie Prella, coś sprawiało, że czuł się winien. Z pewnością nie chodziło o zachowanie Bobby'ego. Ale zawsze odchodził od jego łóżka ze wzmożonym poczuciem, że nie nadaje się do niczego. Kiedyś zdarzało mu się to rzadko.

Bardzo przypominało to, co czuł, kiedy patrzył na Linde tam, na Wahoo, po wybuchu wojny.

Okna na pokładzie spacerowym okupowali Stojący w dwóch szeregach żołnierze, którzy przyglądali się w nocnym mroku amerykańskiemu brzegowi. Strange zatrzymał się przy nich i chwilę na nich patrzył, nie przestając kurczyć i rozkurczać chorej dłoni, a potem ruszył dalej korytarzem.

Ze znanych mu ran rana Prella była bezkonkurencyjna, najbardziej godna zazdrości. W największym

stopniu bitewna. Najbardziej żołnierska w sensie i powagi, i ceny. Dowodząc swoją drużyną na długim patrolu w dżungli, do którego nie zgłosił jej ochotniczo (nigdy bowiem nie zgłaszał swoich ludzi na ochotnika), w drodze powrotnej, pół mili w głąb terytorium zajętego przez wroga, natknął się na koncentrujące się japońskie oddziały. Japończycy, wśród których był generał Sasaki, przygotowywali się właśnie do ataku z zaskoczenia.

Sasaki był dowódcą Japończyków na Nowej Georgii i za jego głowę wyznaczono nagrodę, jego zdjęcie zaś krążyło po całej dywizji. Prell kazał swojej drużynie iść dalej ścieżką, a sam podkraść się i chciał strzelić do Sasaki. Ale nie zdołał. Japończycy dostrzegli ich, doszło do wymiany ognia i w czasie ucieczki Prell został trafiony, a ponadto dwóch jego żołnierzy zginęło, a dwóch innych odniosło rany. Mocno krwawił i nie był w stanie iść, mimo to zorganizował ucieczkę przed szukającymi ich Japończykami i powrócił z patrolu ze wszystkimi czternastoma ludźmi, włącznie z dwoma zabitymi. Zanim stracił przytomność, zameldował wywiadowi o przygotowywanym ataku.

Właśnie za ten patrol dowódca dywizji zgłosił go podobno do Medalu Honorowego Kongresu. I to właśnie ten patrol Winch miał mu za złe.

W porównaniu z tym wszystkim własna rana wydawała się Strange'owi kosmicznym, niesmacznym żartem.

Odniosł ją na Guadalcanale. Dawno temu. W styczniu. Tuż po tym, jak kompania pomyślnie przeszła swój chrzest bojowy i pierwszy duży atak Japończyków.

Strange i dwóch kucharzy wybrali* się z prowiantem do kompanii, która biwakowała na szczycie zdobytego przed dwoma dniami wzgórza. Jakiś pułkownik ze sztabu nazwał je Koniem Morskim. Siedzieli na jego stoku rozmawiając, a chłopcy relacjonowali im trzem wypad74 ki i wtedy Strange spostrzegł, że zaszła w nich jakaś zmiana. Nie wiedział, na czym ona polega. Po prostu zmienili się. Wtem rozległo się ciche, niemal bezgłośnie szu-szu-szu nadlatujących pocisków moździerzowych, ktoś skrzekliwie wrzasnął i wszyscy padli na ziemię.

Strange rozpląszczył się na niej. Pośród huku wybuchów ktoś krzyknął. Kiedy Strange usiadł, poczuł, że pali go dłoń. W kłykcie środkowych palców wbił mu się ostry, rozgrzany, zębaty, malutki odłamek wielkości pół paznokcia najmniejszego palca, ale nie przeszedł na wylot. Po prostu sterczał spomiędzy nich, nieco ponad dłoń. Kiedy zaopiekowano się rannym, który wcześniej krzyknął, Strange zaczął pokazywać swoją rękę.

Przez chwilę był przerażony i bijące serce skoczyło mu do uszu, ale kiedy przekonał

się, że nic mu nie będzie, że nic nie będzie rannemu, nikt nie został kaleką i nie zginął, zaczął się śmiać. Wkrótce śmieli się wszyscy Jego dłoń okazała się przednim żartem. Matka Strange przybył odwiedzić kompanię, a trafiło mu się Fioletowe Serce. Na dłoni nie było krwi. Gorący metal najwyraźniej przyżgnął ranę. Ostrożnie wyciągnięto mu odłamek i schował go do kieszeni. Krew nie popłynęła. Pozostała jedynie mała podłużna śluzowa szczelina. Jak mała kropka, powiedział ktoś. Wśród powszechnego śmiechu zaprowadzili go na stanowisko dowodzenia, żeby zapewnić mu medal Fioletowego Serca za odniesioną ranę, pokazali ją dowódcy kompanii, a potem sanitariusz zakleił mu ją plastrem. Trochę później, wciąż ze śmiechem, on i jego dwaj, kucharze opuścili kompanię i zabrali się z innymi powracającymi żołnierzami.

Ale po jakimś czasie przestał się śmiać. Na myśl o tym ogarniało go gniewne rozdrażnienie. W pamięci pozostał mu własny strach i chwilowe uczucie całkowitej bezradności. Jednego i drugiego serdecznie nie znosił.

Spostrzegł wolne okno na pokładzie spacerowym, więc stanął w nim i przez jakiś czas również wpatrywał się w amerykański brzeg.

Tu, w kraju, panowało lato, środek sierpnia i okno było otwarte. Podwinął rękawy szlafroka, oparł ręce o szybę i po włoskach na przedramionach przebiegł mu lekki wiaterek.

To wystarczyło, żeby powrócił do niego strach, myśl, że gdyby odłamek uderzył trochę mocniej, to przebiłby mu dłoń, a gdyby z taką samą mocą trafił go w głowę, to by go zabił. Nie miało to najmniejszego znaczenia.

Dla nikogo oprócz niego, Johnny'ego Strange'a. Po prostu przypadkiem nie został trafiony w żadną żywotną część ciała, i tyle. Właśnie ta myśl zawsze wprawiała go w gniewne rozdrażnienie.

Ileć kurczył i rozkurczał dłoń, odczuwał ból, a w głowie mu zgrzytało. Lekarz powiedział, że nadal tkwi w niej małej odłamek. I że ściętno obciera się o ten odłamek lub zdeformowaną kość. Z wyciągnięciem odłamka był najmniejszy kłopot. Uraz i stałe używanie zranionej dłoni spowodowały, że po sześciu miesiącach rozwinęło się w niej zwyrodniające zapalenie stawów.

Przyglądając się czarnemu, pagórkowatemu brzegowi, Strange nabrał głęboko w płuca morskiego powietrza i wypuścił je w przestrzeń, w której statek znów poruszał się równym tempem, płynąc po płaskich, bezludnych, ruchomych pustkowiach słonej wody. Strange nie miał nic przeciwko znalezieniu się w ojczyźnie.

W tę bezchmurną, spokojną, bezksiężycową noc brzeg i morze rozświetlała nie wiadomo skąd żółtoróżowa poświata, a dalej, za nimi, unaoczniły swą obecność góry, których ciemne sylwety rysowały się w świetle niewidocznych, przesłoniętych przez nie gwiazd.

Kiedyś wybrzeża spowijała słaba łuna miejskich świateł. Strange'owi przyszły na myśl wszystkie zaciemnienia, jakie oglądał aż po Nową Kaledonię daleko na południu.

Po sześciu miesiącach dał się przekonać jednemu z kucharzy i zgłosił się ze swoją dłonią do raportu.

Natychmiast zapakowali go do szpitala i wywieźli samolotem. W Efate dowiedział się, że nie podejmą się zoperowania mu dłoni. Tak więc muszą go odesłać do kraju. Tamtejszy lekarz oznajmił, że takimi operacjami zajmuje się tylko kilku chirurgów. A jedna nie wystarczy.

Będzie to długi i bolesny proces, w końcu jednakże powinien odzyskać sprawność dłoni w osiemdziesięciu, dziewięćdziesięciu procentach. A wszystko przez to, że nie zgłosił się z nią zaraz po wypadku. Lekarz dodał, że na szczęście wszystko to zrobi dla niego wojsko. A koszty pokryje rząd. Gdyby bowiem był robotnikiem, to przez takie niedbalstwo straciłby prawo do odszkodowania.

Strange nie powiedział mu, że wstyd mu było przyjść z czymś takim, że krępował się iść z tym do szpitala, gdzie gapiłoby się na niego tak wielu ciężko poszkodowanych, jęczących rannych. Kiwał więc tylko cały czas głową i nic nie mówił.

Nie przyznałby się też nikomu, nawet sobie, że jest nieszczęśliwy i martwi się z powodu tych strasznych wieści o dłoni.

Znacznie wcześniej na Guadalcanale, na samym początku przyrzekł sobie, że nie da się zabić, chyba że nie będzie innego wyjścia.

Kiedy kompania szła do swojego pierwszego boju o Wzgórze 52 na Guadalcanale, kto mógł, chwycił za karabin i chciał iść. Kucharze i piekarze, zaopatrzeniowcy, kierowcy, kanceliści, Strange i jego kuchenna załoga. Wszyscy chcieli powalczyć. Strange'owi wystarczyły dwa dni. Tylko wariat narażałby się na postrzelenie tam, gdzie nie musiał. Tak więc Strange wycofał się i powrócił na dół, a wraz z nim większość

jego kucharzy i magazynierów. Pozostali zeszli następnego dnia. Nie mieli rozkazu, żeby tam pozostać.

Kazano im trzymać się tyłów, strzec kompanijnego wyposażenia i dbać o dostarczanie walczącym gorącej stawy. A Strange już pilnował, żeby to robili. Co do gorącej stawy, to powiodło im się nie najlepiej. Ale nie pozwolili rozgrabić worków kompanii A i B nowemu oddziałowi, który właśnie przybył. A kiedy ich batalion wyruszył do inwazji na Nową Georgię, Strange trzymał się tej samej zasady. Wykonywać swoje rozkazy co do joty. Ale nic ponadto. I pilnować, żeby wszyscy podwładni też tego przestrzegali. Jeżeli kazano im iść na linię frontu w dżungli na Nowej Georgii, to szli. Ale tylko w tym przypadku.

Przecież człowiek zawsze mógł oberwać podczas któregoś z codziennych nalotów. Ale prawdopodobieństwo tego było minimalne w zestawieniu z tym, co mogło cię spotkać, kiedy towarzyszyłeś kompanii.

A Strange, tak jak większość myślących ludzi wyćwiczonych w różnych gałęziach logistyki, od razu zrozumiał, że o zwycięstwach i porażkach w tej wojnie będą decydować przemysłowe procenty i średnie liczbowe, a nie bohaterские czyny jednostek. Decydować również o przeżyciu.

A mimo to pozostał. Pozostał, choć w każdej chwili mógł się zgłosić z niesprawną dłonią i wyjechać. Nawet teraz czuł się okropnie z powodu swojego wyjazdu. Był wystarczająco spostrzegawczy, żeby pojąć paradoksalność własnej sytuacji.

Wyprostował się przy oknie, odrywając wzrok od widoku morza nocą i ciemnego wybrzeża, i rozejrzał się dookoła. Wielu patrzących, już znudzonych, zaczęło odchodzić, bo nowość, jaką był mglisty zarys ojczystego brzegu, spowszedniała. Znowu wsparł się na łokciach.

Przenosiny z Fortu Kam do Schofield, tam, na

Wahoo, i następnie małżeństwo zmieniły nie tylko jego życie. Zmieniły też jego ambicje. Strange splunął przez okno i patrzył, jak wiaterek unosi ślinę. W każdym razie przenosiny zmieniły ambicje Lindy Sue. Linda bowiem lubiła powtarzać, że nie będzie do końca życia żoną plutonowego. Ich dwutysięczne oszczędności miały pozostać nienaruszone aż do końca wojny, a potem wydane na zakup restauracji, tak więc Strange'a, który jeszcze dwa lata wcześniej sądził, że przesłuży w wojsku trzydzieści lat, czekała kariera restauratora.

Za pierwsze pieniądze z żołdu Linda kupiła samochód, podjęła pracę jako kasjerka w dużej restauracji w śródmieściu Honolulu i zapisała się na kurs dla restauratorów. Ich wspólne oszczędności pochodziły pół na pół z jej zarobków i z jego żołdu. Pod koniec jesieni 1941 roku Strange obliczył, że jeszcze jeden trzyletni kontrakt na służbę w wojsku urządzi ich.

Będą wówczas mogli rozstać się z armią i zakupić restaurację dla Lindy Sue.

A potem w grudniu nadlecieli Japończycy i przeprowadzili swój zdradziecki atak. Ale tym dwóm tysiącom dolarów w kraju pod opieką Lindy nic nie groziło.

A przecież cały czas pracowała i stale dokładała do tej sumy. Dostawała poza tym największą część jego żołdu, jaką wolno mu było jej przekazać.

Strange nie wspomniał nikomu w kompanii o restauracji. W pomyśle opuszczenia wojska, a zwłaszcza kompanii, było coś, co go niepokoiło. Dwa razy o mało co nie wygadał się z tym Winchowi, ale powstrzymała go wcześniejsza reakcja Wincha na wieść, że się żeni.

Winch zaczął pohukiwać, wyć i tańczyć po kompanijnej kancelarii, ryczeć ze śmiechu i uśmiechać się z szyderczą pogardą. Strange nigdy dotąd nie był tak bliski pokłócenia się z nim.

Wiedział oczywiście, że Winch jest żonaty i że gdzieś

ma żonę. Albo jest rozwiedziony. Jednak najwidoczniej nikt, oprócz niego, o tym nie wiedział. A przecież w Forcie Riley Strange widywał wysoką kobietę z długą szyją i rozłożystymi biodrami, jego żonę, która kręciła się po garnizonie. Winch nie przywiózł jej ze sobą na Wahoo, a więc coś między nimi zaszło. Rozstrzygnął to jednak jeszcze raz na jego korzyść i usprawiedliwił.

Strange miał świadomość, jak dziwne są jego opory przed mówieniem o restauracji. I jak bardzo przeszkadza mu i doskwiera myśl o pożegnaniu się na dobre z wojskiem. Westchnął i czując ból w ręce odsunął się od otwartego okna. Większość patrzących na wybrzeże już sobie poszła. Statek oddalał się od brzegu i wkrótce miały zniknąć z oczu nawet wysokie góry wznoszące się w głębi lądu, za wybrzeżem.

Ciągłe zwieranie i rozwieranie dłoni wywołało tępy, silny ból, który rozszedł się po niej, dotarł do nadgarstka i po nim przedostał do przedramienia. Strange wiedział, że chcąc zasnąć dziś w nocy, będzie musiał poprosić pielęgniarkę o proszek.

Gdyby dobrze rozegrał sprawę, to za pół roku mógłby już być w cywilu. A zapowiadało się, że ta wojna potrwa znacznie dłużej. Sześć miesięcy w szpitalu, kilka operacji, to znowu nie tak długo. Po zainkasowaniu odprawy za służbę, zaległego żołdu i dodatków oraz dołożeniu tego, co Linda zarobiła w fabryce broni w Cincinnati, mogli otworzyć restaurację zaraz po jego wyjściu z wojska. No i załapać się na koniunkturę rozkręconą przez wojnę.

Ale ta perspektywa przygnębiała go. Wprawdzie cieszył się, ale i smucił jednocześnie.

A poza tym w głębi duszy niemal fizycznie cierpiał z powodu Prella, który wisiał cały spętany. Takich jak on nigdy nie powinna dopadać niemoc, a przecież należał do tych, którzy w życiu zawsze obrywali najgorzej

–i najczęściej. Był jeszcze za młody, by to wiedzieć.

A może właśnie się tego uczył.

Ile miał lat? Dwadzieścia trzy, cztery? Strange miał lat dwadzieścia siedem.

To, że człowiek oberwał, nie było najgorsze. Jeśli tylko go nie zabili. Trwało to tylko sekundę i właściwie nic nie czuł. Dopiero potem musiał się zmierzyć z tym faktem, dopiero wtedy go to dopadało.

Strange po raz ostatni spojrzął przez okno, odwrócił się i skierował do żelaznych schodów z myślą, że jeżeli chce wcześniej wstać, żeby odwiedzić Prella i zobaczyć, czy może mu się do czegoś przydać, to powinien już iść spać.

Rozdział piąty Dopłynęli dokładnie o szóstej. Z tyłu za nimi zachodziło słońce, kąpiąc wszystko przed nimi w złotawej czerwieni. Wielki czerwony most z wielkimi wybrzuszonymi linami i wiszącym na nich kruchym i niepewnym z wyglądu pomostem złocił się w promieniach, widoczny z morza z odległości wielu mil.

Podobnie jak wzgórza na jego krańcach. Rzeczywiście, ze swoimi bliźniaczymi strzelistymi pylonami był Złotymi Wrotami Ameryki. Kiedy statek sunął ku nim, czas jakby się zatrzymał. Na ich widok twardzi, bojowi, posiwiali wiarusi nie wytrzymywali. Cofnięto zarządzenia pozwalające korzystać z górnych pokładów tylko oficerom i wspięli się na nie wszyscy, którzy byli tam w stanie wkuśtykać lub się wczołgać. Wielki okazały most zbliżał się ku nim w kanale wolno i majestatycznie. Kiedy statek przepływał pod nim, porykując na powitanie syreną, żołnierze pozadzierali głowy i rozległy się nie skoordynowane wiwaty. Za mostem rozciągała się ojczysta ziemia, do której w końcu dopłynęli. A w kanale odcinały się na tle brzegu zatoki najpierw wyspa Alcatraz, a za nią Wyspa Anioła i Fort McDowella, skąd większość rannych wyruszyła na Pacyfik. Po prawej burcie połyskiwał Embarcadero. Statek skręcił i skierował się wolno w jego stronę. Za portem wznosiły się łuki Telegraph Hill i Nob Hill. Łapczywe spojrzenia pożerały każdy szczegół. Prawie nikomu z nich, z nielicznymi wyjątkami, nie było sądzone zobaczyć coś jeszcze w San Francisco i zatoce. Gdyby o tym wiedzieli, to z pewnością dokładniej chłonęliby wzrokiem szczegóły.

W porcie czekał na nich długi sznur podjeżdżających jedna za drugą wojskowych i cywilnych karetek. Kiedy statek wpłynął do przystani, pośród żołnierzy w szlafrokach zgromadzonych na górnych, otwartych pokładach pojawił się personel medyczny z poleceniem, by zeszli na dół.

Zaskoczyło ich, jak ogromnie się tu wszystko rozwinęło: budownictwo, przemysł, port i miasto.

Zmiany dostrzegli nawet ci, których, tak jak Landersa, nie było tutaj zaledwie pół roku. Wyrósł całkiem nowy las kominów. Fabrycznych dymów przybyło w dwójnasób. Statków w trójnasób. A ciężarówek było co najmniej dwukrotnie więcej. Wszystkiego więcej – urzędzeń i ludzi. Dla nieobecnych przez rok, dwa lub trzy lata, jak na przykład dla Strange'a, miasto w ogóle nie przypominało dawnego Frisco.

Zgoniono ich na dół, wypakowano na brzeg i upchnięto do karetek, z których wnętrza nie zobaczyli już właściwie nic. Ekspediowano ich z wszelkimi szykanami, godnymi transportu bydła. A potem długim sznurem, korzystając z ulicznych świateł i asysty policjantów, dzięki którym stawał ruch na przecznicach, karetki skierowały się do szpitala wojskowego Lettermana. Jechały w konwojach po dwadzieścia, trzydzieści, zachowując odpowiednie przerwy, by pozwolić na przejazd, samochodom zatrzymanym na skrzyżowaniach. Niektóre z nich obracały po cztery, pięć razy. Tylko niewielu rannych, siedzących przy

tylnych szybach ambulansów, mogło oglądać fragmenty miasta.

W czterdzieści osiem godzin później większość była już w drodze na wschód albo południe, jadąc przeważnie pociągami, a kilku, jak młody lotnik z suchą zgorzelą, lecąc samolotem.

Do tych, którym przenosiny najbardziej dały się we znaki, należał Bobby Prell. I chociaż w ogóle się nie skarżył, nogi bolały go stale. A to z powodu naprężonego wyciągu. Na domiar złego najłżejsze poruszenie statku docierało za pośrednictwem ciężarków do jego stóp, a stamtąd nogami w górę do pokiereszowanych ud.

W czasie rejsu żył w śmiertelnym strachu, że rozszaleje się sztorm. Na szczęście pogoda była dobra.

Od momentu wplynięcia do portu, kiedy każde drgnięcie statku powodowało serię bólu w jego połamanych kościach, aż do ułożenia go w szpitalnym wagonie pociągu jadącego na wschód, Prell i jego nogi byli dwukrotnie zdejmowani z wyciągu, zwożeni na brzeg, wytrzęsieni w pozbawionej chyba resorów karetkie, przetransportowani dwa razy na noszach z oddziału na oddział, wytelepani w drugiej pozbawionej resorów karetkie w drodze na stację i wciągnięci przez okno do wagonu szpitalnego na łóżko. Tylko z czystego uporu powstrzymał się z tuzin razy od płaczu. Ale postanowił, że nikt go na nim nie przyłapie.

W ogóle nie widział San Francisco i nie miał na to najmniejszej ochoty.

Od chwili gdy został ranny i powrócił z drużyną do swoich, zaczął się przybliżać do kraju i cywilizacji: wystawiono mu kartę choroby, oznakowano, ostemplowano, wciągnięto do rejestru, zbadano, opatrzone numerem i zarejestrowano. W przybliżeniu najgorszego zwątpienia miał wrażenie, że dla tamtych najważniejsze jest to, żeby im gdzieś nie zginął, a nie, żeby przeżył.

Prell uważał, że ludzie oddający za swój kraj życie albo członki zasługują na lepsze traktowanie, ale widocznie nie dało się tego lepiej zorganizować. Jeżeli istniał jakiś sposób, to nikt na niego nie wpadł.

Prell był bliski przekonania, że jest tylko kawałem rąbanki, jak w żartach mówili o sobie ranni na statku. Jednakże do tej pory zdołał to zachować dla siebie.

Przeszedł już dwie poważne operacje, po których zdrutowano go gwoździami

chirurgicznymi i skrócono w szynach. A czekało go jeszcze ich usunięcie. Kiedy w szpitalu Lettermana stanął przed pierwszym konsylium lekarskim, jeden z młodszych chirurgów przejrzał jego kartę i gwizdnął, a potem uśmiechnął się z pełnym podziwu niedowierzaniem, tak jak rzeźbiarz oglądający odlane w mosiądzu dzieło dłuta innego artysty. Prell poczuł się nawet odrobinę dumny.

Ponieważ Prell walczył nie tylko o ocalenie nóg, Prell walczył o życie. Już postanowił, że jeżeli amputują mu nogi, to się zabije. Strzeli sobie w głowę. A może w serce. Jeszcze o tym nie zdecydował. Ale na pewno nie miał zamiaru spędzić reszty życia w jakimś Szpitalu Weteranów. Nawet gdyby amputowali mu tylko jedną nogę, to też by nie wystarczyło. Z jedną nogą także nie chciał żyć. Nie musiał i nie miał ochoty. Dlatego uważał, że ratuje nie tylko nogi. On ratował życie. A jeszcze nie kwapił się umierać.

Tak więc reakcja młodego chirurga w szpitalu Lettermana dodała mu nowych sił. Świadczyła bowiem co najmniej o tym, że jest jeszcze jakaś nadzieja. Co prawda w pełnym podziwu uśmiechu tamtego była bezosobowa obojętność, ale dla Prella liczyło się tylko to, że ów lekarz widzi w nim dzieło jakiegoś kolegi. Chirurg nie miał pojęcia, ile razy i jak zaciekle walczył Prell o ocalenie swoich nóg od amputacji. Prell nie powiedział mu

o tym. Zacisnął usta i milczał. Nie wspomniał też o niebywałym, niewiarygodnym bólu, który mu zadawano, przenosząc z miejsca na miejsce. Rozgrywał swoje karty – a dostał do ręki Bardzo złe – trzymając je jak najbliżej przy orderach i nie ryzykując. Straszliwy ból mógł przemówić za amputacją. Ale lekarz chyba o tym nie wiedział. Oznajmił, że Prella czeka jeszcze trzydniowa podróż pociągiem, po czym wkrótce będą mogli mu powiedzieć, co dalej. Jeszcze tylko trzy dni w pociągu i odpocznie. Wysyłali go tak daleko, do Luxoru w Tennessee, nie tylko dlatego, że mieli tam najlepszy zespół chirurgów ortopedycznych, ale i najlepszy zespół opieki pooperacyjnej.

–Dojadę tam nawet stojąc na głowie – powiedział wesoło Prell, ale miał już serdecznie dość tego dyrygowania i badań.

Lekarz odpowiedział mu dziwnym, zarozumiałym uśmiechem.

–Miejmy nadzieję, że nie będzie to konieczne – odparł z wyższością.

Najprawdopodobniej nie podobało mu się, że potencjalny kaleka demonstruje taką pewność siebie. Ale Prell nie przejął się tym ani nawet nie zirytował, bo ten lekarz nie decydował o niczym. Mimo potu na górnej wardze i czole zdobył się więc na uśmiech.

Jednakże znacznie łatwiej było mówić o podróży pociągiem niż nim jechać. Straszny, uporczywy fizyczny ból mógł się po jakimś czasie okazać niezwykle dokuczliwy. Dla ducha i dla ciała. Mógł tak osłabić wolę, jak przecięta żyła organizm. Dwa dni wędrówek ze statku do szpitala i do pociągu kosztowały go potwornie dużo, więcej, niż sądził, kiedy więc, osłabionego i spoconego, umieszczono go wreszcie na łóżku w wagonie szpitalnym, w oszołomieniu, pełen niewiary oczekiwał trzydniowej podróży podskakującym, kołyszącym się pociągiem.

Gdy człowiek jest bardzo chory albo ciężko ranny, to jego świadomość zaszywa się tak głęboko, że w ogóle przestaje on postrzegać, albo co najwyżej postrzega mgliście wszystko, co się dzieje poza nim. Ból po trochu wpycha go w siebie coraz głębiej, aż człowiek kurczy się do prościutkiej, czystej, wypreparowanej, niezłomnej myśli, którą w przypadku Prella było "nie zapłakać". Nie pisać słowa. Wiedział, że gdyby to zrobił, zacząłby krzyczeć "Mamo!". Albo zacząłby błagać, żeby przed odjazdem pociągu zawieziono go z powrotem do szpitala Lettermana i amputowano te przeklęte nogi. Jego zachowanie przypominało reakcję ślimaków, które – kiedy postawiłeś przy nich nogę albo dotknąłeś papierosem – chowały swoje czułki i

kurczyły się. Prell nie miał matki od jedenastego roku życia. I nie zamierzał rezygnować ze swojej jedynej pary nóg.

A wreszcie opuściła go nawet ta myśl. Leżał tylko w milczeniu i czekał, schowany w samym jądrze swojego jestestwa, najgłębszych pokładach świadomości.

Było to przeżycie... niemal religijne. Nie znajdował na nie innego słowa. Równie dobrze mógłby powiedzieć "mistyczne", ale słowa "mistyczny" Prell nie używał, chyba że przy rozwiązywaniu krzyżówek. Więc zamiast niego użył, z braku lepszego słowa "religijne". Miał wrażenie, że upija się samym bólem. Tak jakby ów ból powoli, lecz skutecznie, odcinając odeń świat zewnętrzny, skierował go w głąb własnej jaźni. Przypominało to przebicie zewnętrznego żółtego płomienia świecy i dostanie się do jego ogniska, które nie było gorące, tylko fioletowe i chłodne. W środku zaś tego ogniska towarzyszyła mu świadomość, że nie jest sam. Był tam z nim jeszcze ktoś, a raczej coś. To coś nie zrobiło nic. Nie stanowiło dodatkowej siły. Nie pomagało. Ale też nie szkodziło. Po prostu było tam. Prell zdał sobie sprawę,

że najbardziej brakuje mu towarzystwa Strange'a. Strange'a albo kogoś z kompanii. I to go rozgniewało.

Gniewało go, że nie byli z nim, i gniewało go, że potrzebuje ich obecności.

Przed podróżą lekarze dali mu tyle środków znieczulających, ile mogli, tak więc leżał w stanie szaleńczego upojenia, bardziej czuł na ból niż na narkotyk, czekając, aż podskoczą mu nogi, kiedy pociąg ruszy, i myślał o kompanii. I o swojej drużynie. O jej ostatnim patrolu.

Wątków było wiele. Sam patrol jak to patrol... ale dalej wszystko mieszało się i komplikowało. W obecnym stanie upojenia Prell miał wrażenie, że już jasno pojmuje w czym rzecz.

To nie patrol był tutaj ważny. Jeśli o to chodzi, Prell nie miał najmniejszych wyrzutów sumienia ani wątpliwości: poprowadził go najlepiej jak potrafił. I, bez względu na ludzkie gadanie, nie popełnił błędów. Powrót z zabitymi i rannymi został przeprowadzony wzorowo.

Już samo zabranie ze sobą martwych było wyczynem nie lada. Niewielu tego dokonało. A poza tym dopilnował, kurwa mać, żeby wywiad otrzymał dokładne informacje.

Przekazał je osobiście. W dwa dni później ocaliły one mnóstwo żołnierzy z jego dywizji.

Gdy zaś myślał o własnej drużynie, jego samopoczucie nie było już tak dobre. Ale jeśli popadał w jakieś rozterki, nie były to na pewno wyrzuty sumienia. Nikt nie lubił, jak na jego oczach trafiano albo zabijano kolegów. Nikt nie lubił być w takich razach dowódcą.

Ale w walce żołnierze odnosili rany i ginęli. Było wystarczająco dużo świadków na to, że zanim odleciał samolotem, cała jego drużyna specjalnie przyjechała do niego z daleka, żeby się z nim pożegnać. Nie licząc

siebie, wyszedł z tych opałów z dwoma zabitymi i dwoma rannymi na czternastu w drużynie. Niewielu podoficerów spisałoby się równie dobrze.

Reszta tej historii zaczęła się potem. Od Wincha.

A jeżeli nie od niego, to od kogoś drugiego, a Winch się tego uczeplił. Z czystej zazdrości. Zdaniem Prella nie było to nic innego, tylko zazdrość. Chociaż nie miał pojęcia, jak można zazdrościć jakiemuś biedakowi, któremu grozi utrata obu nóg.

A naprawdę zaczęło się to od pułkownika, dowódcy batalionu. On także przyjechał specjalnie do szpitala, zanim Prella wywieziono stamtąd samolotem. W obecności towarzyszących mu adiutanta i dwóch innych wojskowych, którzy się temu przysłuchiwali, kucnął przy polowym łóżku Prella w dużym namiocie i powiedział, że pragnie, aby Prell wiedział, że chce go przedstawić do jakiegoś odznaczenia. Jeszcze nie wie jakiego.

Prella zbyt bolało i za bardzo się martwił, że straci nogi, żeby słuchać pułkownika uważnie. Odparł, że nie chce żadnego medalu. Niemniej trochę się tym przejął. Pomyślał o Brązowej Gwieździe, a może nawet, kto wie, o Srebrnej.

Następny zjawiał się dowódca pułku, w szpitalu w bazie na Nowych Hebrydach. Co prawda zaatakowanie patrolu Prella przez Japończyków ostrzegło jednostki amerykańskie, ale stoczona bitwa przyniosła tylu rannych, że dowódca pułku postanowił skoczyć samolotem na Nowe Hebrydy, żeby odwiedzić swoich żołnierzy.

Przy łóżku Prella, na dużym oddziale szpitala, oznajmił, że sztab pułku przedstawił go do Krzyża za Wybitną Służbę. Dodał, że chciałby to uczcić, ale ponieważ nie może, bo Prell leży w łóżku, zostawia mu w prezencie dużą australijską kwartę szkockiej whisky. Jako że rannemu nie wolno było pić, pielęgniarz z amerykańskiej marynarki wziął butelkę na przechowanie do czasu

drugiej operacji, po której pacjent mógł już flaszkę opróżnić. A przynajmniej częściowo. Od tej chwili Prell stał się maskotką całego personelu – pielęgniarzy, oddziałowych i lekarzy. Po szpitalu rozeszły się bowiem wieści, że dowództwo dywizji przedstawiło go do Medalu Kongresu. Prell usłyszał o tym od któregoś pielęgniarza.

Być może to właśnie wizyta dowódcy pułku i przedstawienie Prella do Krzyża za Wybitną Służbę przesądziły, że lekarze podjęli walkę o jego nogi. Prell bez wątpienia wykorzystywał swoją świeżo zdobytą sławę, gdzie tylko mógł.

Takiego krzyża nie zbywało się lekceważącym prychnięciem. Prawdę mówiąc, Prell wątpił, czy sobie na niego zasłużył. I powiedział to dowódcy pułku. Ale tamten odparł żartem, że jednak nieźle będzie się on prezentował na piersi Prella obok dwóch Fioletowych Serc. Prell wiedział, że po wojnie zawodowy żołnierz odznaczony Krzyżem za Wybitną Służbę może na dobrą sprawę stawiać swoje warunki w każdej jednostce, do której trafi. Natomiast Medal Kongresu należał do zupełnie innej kategorii, dlatego Prell po prostu wybił sobie tę plotkę z głowy. Do medali miał stosunek konserwatywny i podzielał pogląd starych żołnierzy, że jeżeli ktoś ocalał i otrzymał Medal Honorowy, to na pewno na niego nie zasłużył. Skoro więc nie zasługiwał na Krzyż, to z pewnością również na Medal Honorowy.

A poza tym był zajęty walką z lekarzami i ze wszystkimi o swoje nogi. Sprawa z odznaczeniami przyblakła więc i została zapomniana. Aż do pojawienia się Wincha.

Do Prella dotarło już, że Winch nazywa go łowcą chwały. Taką wiadomość przywiózł ktoś z Nowej Georgii. A potem w Efate pojawił się Winch, który wcale nie był ranny, a co więcej, nie wyglądał na chorego. I tutaj zaczął powtarzać to samo. Ludzie nie zwlekali z przynoszeniem takich wieści, uwielbiali to robić. Winch roz90 głaszał, że Prell stracił dwóch ludzi z drużyny, a dwóch innych zostało rannych, dlatego że próbował zarobić na medal za zabicie generała Sasakiiego. Na szczęście tydzień wcześniej przyjechał do Efate Johnny Stranger.

Prell niewiele mógł zdziałać w jakiegokolwiek sprawie, leżał bowiem zawieszony jak kurczak, cały w linach, ciężarkach i gipsie. Na pewno więc nie był w stanie się poruszać. Winch wpadł do niego zaraz po przyjeździe.

Został poniekąd do tego zobowiązany. Musiał zresztą to zrobić, jeśli nie chciał wywołać poważnego skandalu.

Zmierzyli się wzrokiem. Aż wreszcie Winch uśmiechnął się szyderczo i jakoś lekceważąco wyciągnął do niego rękę. Prell zastanawiał się, czy ją uścisnąć. Najchętniej powiedziałby Winchowi "Spierdalaj". Rozważał jednak, co będzie lepiej wyglądało: jeśli poda mu rękę, czy jeśli jej nie poda – ale wtedy wyjdzie na to, że

plotki i oskarżenia Wincha go denerwują. W końcu więc uściskał mu rękę, potrząsnął nią raz i wypuścił. Po krótkiej, zaledwie odrobinę dłuższej, niż wymagała przyzwoitość, chwili i zadaniu pytania o jego nogi Winch odszedł. Później jednak Prell żałował swojej decyzji.

Jeżeli w ogóle ktoś wiedział, czy dywizja wystąpiła o Medal Kongresu dla Prella, to na pewno dowódca jego kompanii na Nowej Georgii, a skoro wiedział on, z pewnością wiedział też szef kompanii. Prell wolałby jednak umrzeć niż spytać \$ to Wincha. Nie zagadnąłby o to nawet Strange'a. Ale Winch – jeśli nawet znał prawdę – nie wspomniał o niej nikomu w szpitalu w Efate.

Zjawienie się Strange'a w szpitalu na tydzień przed Winchem stanowiło dla Prella wielką i szczęśliwą odmianę. Po jego zachowaniu rozpoznał, że przynajmniej tam, w kompanii na Nowej Georgii, nikt nie myślał o nim źle. Cokolwiek wygadywał Winch. Strange uważał

Prella za bohaterskiego durnia lub kogoś takiego. Bardzo mu pomógł.

Wszystko to było wszakże dodatkiem do reszty.

A sam patrol pozostał patrolem.

Ilekroć Prell myślał o swej drużynie i patrolu, żołądek kurczył mu się ze strachu. Nie pod wpływem wyrzutów sumienia. Był to skurcz z powodu odpowiedzialności, lęku, bezradności – prosty odruch, żeby krzyknąć:

"Nie! Nie!" Graniczył z paniką. Prell zawsze miał ochotę krzyczeć: "Nie! Nie!" – ale krzyk ten nigdy nie pomagał albo było na niego za późno. Portrety wszystkich żołnierzy rozbłyskiwały mu w świadomości jak ruchome zbliżenia na ekranie filmowym. Jakaś głowa obracająca się z uśmiechem w bok. Ręka unosząca się w jakimś geście przy uśmiechniętej twarzy. Po nich zaś ukazywały się dręczące, pamięciowe, bardzo ostre obrazy ofiar, każdej z nich. Zabitych, konających albo rannych.

Wiedział, że nigdy się od nich nie uwolni. I od tego straszego, potwornego brzęku, który ich zdradził.

Chyba brzęku manierki.

Nie należeli nawet do jego drużyny. To on został do nich przydzielony, kiedy ich chorego dowódcę odwieziono statkiem. Ale przekonał się, że w tej drużynie niewiele może poprawić lub zmienić. Współdziałali dobrze i bez niego.

Rozkazano im spatrolować teren i odszukać Japończyków. Duże japońskie oddziały opuściły środkową linię frontu i nie można ich było znaleźć. A dokładnie, mieli sprawdzić, czy Japończycy zajęli małą dolinę po prawej stronie wyspy, z której co prawda wcześniej wyszli, lecz do której, jak podejrzewał wywiad, mogli powrócić.

Było to całkiem normalne zadanie. Jeżeli za normalną

da się uznać wielomilową wędrówkę w dżungli zajętej przez wroga. Taki marsz wąskimi, błotnistymi ścieżkami był nieopisanie forsowny i wyczerpujący. Dolinę, którą mieli zlustrować, znaleźli pustą.

W drodze powrotnej coś kazało Prellowi zejść ze ścieżki i trochę nadłożyć drogi, żeby spojrzeć na małą ustronną dolinę. Kręty szlak, najwidoczniej uczęszczany,

prowadził dwieście metrów w górę na niewielką grań.

I Prell, i żołnierz na szpicy wyczuli, że za granią coś się dzieje.

W połowie drogi Prell zatrzymał drużynę i wraz z żołnierzem na szpicy podczołgał się wyżej, żeby spojrzeć w dół. A tam roilo się od japońskiej piechoty. Na przeciwległym, skalistym zboczu z małymi jaskiniami i występami pełno było Japończyków. Nie ulegało wątpliwości, że szykują się do ataku.

Prell i żołnierz natychmiast rozpoznali Sasakiego.

Nie było to trudne, gdyż na każde słowo japońskiego generała wszyscy natychmiast się podrywali. Sasaki był zażywnym mężczyzną z potężnym torsem i gęstymi siwiejącymi wąsami, jakie noszą angielscy oficerowie.

Jego zdjęcie rozplakatowano w całej dywizji i wyznaczono tysiąc dolarów nagrody dla tego, kto go zabije. Prell i pozostali żołnierze wiedzieli o nim jedynie tyle, że Imamura i admirał Kusaka, którzy wspólnie dowodzili japońskim południowo-wschodnim obszarem okupacyjnym, przysłali generała Naboru Sasakiego, by dowodził tam po inwazji Amerykanów. Prella nagle podnieciła myśl, że ma w rękach życie tak ważnego człowieka i carte blanche na zabicie go. Poznał, co czują polityczni zabójcy. Sasaki z grupą innych Japończyków, na pewno oficerów, studiował dwie mapy. Palił przy tym wielkie, grube, bardzo nieazjatyckie cygaro. Przemawiając do reszty, chodził tam i z powrotem, żywo gestykulując.

Niemniej dla pewności Prell przyjrzał mu się przez

lornetkę, którą wydano mu na ten właśnie patrol. Tak jest, to był Sasaki.

Prellowi przebiegały przez głowę różne myśli. Położył się na brzuchu i zapętlił pas w pozycji do strzału. Najpierw pomyślał, że Sasaki, chodząc nieustannie, może mu zniknąć z oczu lub skryć się w jaskini. Drugą jego myślą było, że jest bez dwóch zdań najlepszym strzelcem w drużynie. Trzecią – myśl o kampanii na Nowej Georgii i jak wpłynęłoby na nią to, gdyby mu się powiodło. Dopiero jako czwarta na ułamek sekundy rozbłysła mu w głowie myśl, jeżeli to w ogóle była myśl, o osobistej sławie i tysiącu dolarów, które może otrzymać za zabicie japońskiego generała. Prell nie miał wątpliwości, że kolejność tych myśli była właśnie taka.

Szykując się do strzału, już szeptał do swojego żołnierza ze szpicy. Żeby wrócił. Przygotował ich do marszu. Nie! Od razu z nimi wyruszył. Ale cicho. Bez hałasu. Po usłyszeniu pierwszego strzału powinni puścić się biegiem.

Prell nie martwił się o to, jak się stąd wydostanie.

Ale był pewien, że mu się uda. Choćby po to, żeby zgłosić się po nagrodę. Dziwił się jednak, że mimo obecności takiej szyszki jak Sasaki, Japończycy nie wystawili wysuniętych czujek.

Dzięki Bogu, zanim wyrzeli przez krawędź grani, zeszli we dwóch ze szlaku w dżunglę. Jeszcze nigdy Prella nie przepełniała taka radość życia. Żołnierz ruszył, on zaś zsunął się niżej, żeby wycelować. Cieszył się, że wszystko wykonał prawidłowo.

Wyprawił swoich żołnierzy w drogę. Wszystko załatwił.

O niczym nie zapomniał. Pozostawało już tylko strzelić.

Ha! Nie na darmo zdobywał cztery lata z rzędu tytuł strzelca wyborowego i pułkowego mistrza w strzelaniu. Żałował jednak, że nie ma ze sobą springfielda 1903 ze

składanym listkowym celownikiem zamiast garanda.

Powinien był zatrzymać przy sobie żołnierza ze szpicy jako świadka zabicia Sasaki.

W dole japoński generał nadal chodził i gestykulował.

Prell musiał uwzględnić, że strzela w dół. Ustawił celownik na stojących przed generałem oficerów z mapami. Przypuszczał, że Sasaki właśnie tam się zatrzyma, kiedy podejdzie do mapy...

I akurat wtedy Prella dobiegł gdzieś ze ścieżki za plecami głośny pojedynczy brzęk jakiegoś amerykańskiego sprzętu.

To go powstrzymało. I stracił z oka cel. Sasaki znów odchodził od map. Prell pomyślał, że złapie Japończyka na drugim końcu jego trasy, kiedy zatrzyma się i zrobi w tył zwrot. Ponownie przesunął karabin przed niego.

Wtem usłyszał – albo wyczuł – za sobą ruch zarośli i za chwilę wypadł z nich z wrzaskiem japoński żołnierz, strzelając do niego z karabinu.

Zadziwiająca, że Japoniec nie trafił go z tak bliska.

Nie za dobrze świadczyło to o ich wyszkoleniu. Ostrzeżony o ułamek sekundy wcześniej, nim byłoby za późno, Prell, który już się toczył, zdążył trzy razy wystrzelić, kiedy pierś tamtego dotknęła lufy jego karabinu. A potem zerwał się na nogi, gotów do ucieczki. Ale nie było tam nikogo więcej. Od ścieżki dobiegło go więcej strzałów i krzyków. Odgłosy katastrofy.

Prell z udręką po raz ostatni spojrzął za siebie. Nie było żadnej nadziei. Generał prędko podążał do jednej z jaskiń, otoczony ciasnym wianuszkiem osłaniających go oficerów. Nic nie można już było zrobić. Prell ruszył biegiem.

Mieli szczęście. Liczny, dobrze przygotowany patrol natychmiast zabiłby ich wszystkich. Skromna grupka, która ich usłyszała, składała się z pięciu żołnierzy,

a w pobliżu nie mieli żadnego wsparcia. Kiedy Prell zbiegał w dół, jego ludzie dobijali właśnie piątego żołtka. Jeden z żołnierzy był lekko ranny. Draśnięty.

Japończyk, który strzelał do Prella, najwyraźniej działał w pojedynkę.

Prell zwolnił na tyle, żeby krzyknąć do nich, aby biegli. Ci na przedzie pędzili już ścieżką w dół i nie potrzebowali zachęty. Reszta podążyła za nimi. "Ruszać się, ruszać się!" – krzyczał do nich. Japończycy często kierowali ostrzał z moździerzy na swoich, i Prell to przewidział.

Dookoła zaczęły łupać pociski. W pobliżu ktoś zwałił się trafiony. Prell z żołnierzem, który biegł tuż przed nim, wzięli tamtego pod pachy i pociągnęli ze sobą. Inny żołnierz z przodu został w tyle i wyręczył Prella w niesieniu kolegi. Prell przystanął, żeby upewnić się, czy pozostali podwładni są przed nim i biegną, a potem odwrócił się i podążając tyłem, chciał osłaniać oddział.

Ale na ścieżce za nimi nie było żadnego wroga. Pocisk z moździerza powalił następnego biegnącego, który jednak po chwili podniósł się i ruszył o własnych siłach.

A potem wydostali się poza zasięg moździerzy. I właśnie wtedy z flanki zaczął do nich pruć ciężki karabin maszynowy.

Japończyk strzelał pod kątem rozwartym do kierunku ścieżki. Na szczęście, zanim uruchomił karabin, znaleźli się prawie poza polem ostrzału. Niemal wszyscy. Pod jego ogień dostali się tylko ci z samego końca.

Prell oczywiście szedł ostatni. Seria przeszła mu uda niczym wielka kosa, ścięła go z nóg i zrozumiał, że już po nim, a w każdym razie po jego nogach. Poleciał w przód. Padając widział, jak ta sama seria, lecąc wyżej, trafia dwóch zbiegających przed nim żołnierzy w piersi i dół pleców, jednego o parę cali wyżej niż drugiego.

Prell nie miał wątpliwości, że zginęli. Tym drugim był

Crozier, żołnierz ze szpicy. Zanim upadli, zrobili kilka kroków. Prell, zaciskając zęby, dzięki sile woli i impetowi ciężkich kul, zdołał jeszcze minąć ich na swoich nogach-nienogach, a potem on również załamał się niczym kartonowe pudło i padł jak długi, z rozrzuconymi rękami. Miał osobliwe wrażenie, że nawet po upadku biegnie dalej, w poziomie. Ale kiedy się zwalił, mózg podpowiedział mu, że to bez znaczenia, że to koniec.

Na jego okrzyk podbiegło w tandemie, niczym para dobranych, świetnie wyszkolonych koni, dwóch żołnierzy i chwyciło go pod pachy. W tej samej chwili jakimś cudem cekaem zamilkł i otoczyła ich wiecznie złowroga, ale nigdy nie cicha dżungla, która zdawała się skapywać na nich z drzew jak wilgoć.

Przekręcili go na plecy. Miny mieli przerażone. Do Prella podczołgał się jego zastępca.

–Dobra, spójrzmy na to! Spójrzmy! – zażądał gniewnie Prell. – Jasna cholera! – Strasznie chciał poznać prawdę. Przekonać się na własne oczy, jak mocno oberwał. – Nie siedźcie tak!

Jego zastępca z drugim żołnierzem rozpięli mu pasek, a kiedy zaczęli ściągać mu spodnie, poczuł, że się poci.

Dwóch innych żołnierzy posłał w górę ścieżki po zabitych, Croziera i Simsa. Za Boga nie zostawiłby ich tam, żeby Japończycy szczali na ich ciała, zjedli ich czy co tam jeszcze robili ze zdobycznymi trupami.

Po zdjęciu spodni nogi wyglądały strasznie. Jak hamburger. Na ten widok skurczył mu się żołądek.

Skóra na udach już zaczęła sinieć. Nie wiadomo ile półcalowych kul go trafiło. Obficie krwawił. Ale na pewno nie z żył. Pierwszy obiecujący znak. Jego zastępca posypał mu nogi sproszkowanym sulfamidem i przystąpił do zakładania opatrunków uciskowych. Tymczasem Prell przez zaciśnięte z bólu zęby zrelacjonował mu, co widział i że był tam generał Sasaki.

–Na wypadek, gdyby mi się coś stało – wyjaśnił.

Musiał stąd wyprowadzić drużynę. I to szybko. Nic już nie mógł uczynić dla Simsa i Croziera, ale mógł coś jeszcze zrobić dla pozostałych. Dwóch rannych było w stanie jakoś iść. On sam nie mógł i czuł, jak w nogach ocierają mu się o siebie kości. Dwaj inni żołnierze z zapiętych bluz i dwóch karabinów zrobili już prowizoryczne nosze. Kiedy położyli go na nich i ponieśli, Prellowi wydawało się przez chwilę, że zemdleje. A potem ponaglił ich, rozkazując wynieść się stamtąd jak najszybciej.

Po ich odejściu u zbiegu ścieżek zaczęły padać pojedyncze pociski z moździerza, które, szukając ich, rozrywały drzewa. Po paru minutach Prell znowu ponaglił swoich ludzi.

Na myśl o własnych nogach znów go ścisnęło w żołądku. Człowiek docenia swoje nogi dopiero wtedy, kiedy je traci lub kiedy nie może już z nich korzystać.

Bez nóg jest niemal całkowicie unieruchomiony. Właśnie wówczas Prell zdecydował, że jeżeli je postrada, to rozstanie się z życiem.

Wiedzieli, że do przejścia mają tylko pół mili. Ale posuwanie się po śliskiej od błota ścieżce było trudne.

Dla rannych, dla dźwigających zabitych i dla niosących Prella. Aż do tej pory Prell nie odczuwał wielkiego bólu, jedynie ćmienie w nogach przypominające ból zębów, które ostrzegało, że nadchodzi niechybnie ból prawdziwy.

I rzeczywiście nadszedł podczas tego marszu. Przy każdym kroku niosących go żołnierzy Prell czuł, jak końce potrzaskanych kości udowych przemieszczają się w już i tak wystarczająco zmaltretowanym ciele i niczym ostre narzędzia jeszcze bardziej kiereszują poharatane mięso. Bał się, że któraś przebije arterię, dlatego starał się jak najmniej poruszać. Ale było to niemożliwe. Dla niego zaczynała się właśnie odyseja ruchu i bólu, która

po dwóch miesiącach, po wędrówce przez pół świata doprowadziła go do szpitala wojskowego w Luxorze.

A i tam ból się nie skończył. Jednego żołnierza posłał na koniec kolumny do osłaniania tyłów, a drugiego z browningiem naprzód, żeby strzegł ich przed japońskimi patrolami, gdyby żółtki chciały na nich zapolować. Na szczęście nie wpadli na żaden. Blisko własnych linii szlak rozsypał się w kilka równoległych i poprzecznych ścieżek służących Japończykom przed wycofaniem się stąd do zaopatrywania tych pozycji. Prell mógł tu już trochę manewrować i stosować fortele.

Dwukrotnie kryli się przed idącymi w pobliżu, równoległą ścieżką, rozmawiającymi Japończykami, którzy ich szukali. Niestety, nosze z bluz pod obficie krwawiącymi nogami Prella zaczęły nasiąkać. Kilka razy na wpół tracił przytomność i ją odzyskiwał. Kiedy zbliżyli się do swoich na odległość głosu, uznali, że powinni zaryzykować i wezwać pomoc.

Wkrótce przybył wzmocniony patrol, żeby ich osłaniać, a wraz z nim sanitariusz, który zajął się Prelem i podłączył mu butelkę z plazmą. Potem zaś, ku ogromnej uldze i radości wszystkich, odprowadzono ich do swoich.

Na punkcie opatrunkowym batalionowy chirurg spojrzał na nogi Prella i pokręcił głową. Ze smutkiem. Bezceremonialnie wsadził je w łubki, żeby unieruchomić kości, i przywiązał rannego do normalnych noszy, przygotowanych do wywiezienia. Prell dobrze wiedział, że dla niego oznacza to koniec wojowania, przynajmniej w tej jednostce. I że prawdopodobnie już jej więcej nie zobaczy. Bywało, że jej nienawidził, nienawidził wszystkich w niej służących, ale w tej chwili nienawidził myśli, że ją opuszcza. Kiedy umocowano jego nosze w jeepie pełnym rannych, twarz miał kamienną. Następnego dnia po południu wywieziono go samolotem. Rano odwiedziła go cała drużyna, którą zwolnił z zadań

dowódca batalionu. Nikt go więc, jak widać, nie podejrzewał o to, że źle postąpił.

Nie był to szczęśliwy patrol. A jednak Prell nie miał wątpliwości, że zrobił wszystko jak należy. Trzymał się ściśle i wojskowych reguł, i niepisanego prawa, które za milczącą zgodą wszystkich szło z nimi w parze. A owo niepisane prawo brzmiało, że nie wolno szafować życiem swoich żołnierzy. Chyba że wart jest tego cel. Wart w dwójnasób. A w jego przypadku cel był wart jeszcze więcej. Nawet, jeśli go nie osiągnął.

Kiedy na punkcie opatrunkowym składano mu nogi i opatrywano wraz z pozostałymi rannymi, zdrowi z ożywieniem dyskutowali o patrolu i o głośnym brzęku, który ściągnął im na głowy Japończyków. Prell słyszał jedynie początek rozmowy. Złożył meldunek dowódcy batalionu podkreślając, że zbliża się japoński atak i to, jak bliski był zabicia Sasakiego, a potem, w czym swój udział miał zastrzyk zrobiony przez lekarza, nie panując już nad sobą w pełni, na pewien czas omdlał. Kiedy jego drużyna przyjechała do dywizyjnego szpitala, żeby się z nim pożegnać, znów zaczęli dyskutować i powróciła kwestia brzęku, który słyszeli wszyscy. Żaden, a dotyczyło to również rannych, nie przyznał się, że to on go spowodował.

Kilku podejrzewało, że zrobił to idący na szpicy Crozier, w chwili gdy do nich zbiegał. Inni przypuszczali, że mógł to być jeden z zabitych: Crozier albo Sims.

Jeżeli tak rzeczywiście było, to obaj niewątpliwie drogo za to zapłacili. Drożej, niż wyniosłaby ich ewentualna kara. Prellowi pozostało więc tylko gorzkie rozpamiętywanie i świadomość, że ten jeden brzęk przeszkodził mu w zdobyciu sławy, tysiąca dolarów nagrody i dodatkowo może go jeszcze kosztować utratę nóg. Prawdopodobnie

100

przeszkodził mu w samodzielnym skróceniu walk na Nowej Georgii o miesiąc. Bo w końcu okazało się, że butny, kroczący jak paw generał Sasaki bronił się dalej uparcie i dzielnie jeszcze w sierpniu, kiedy dopłynęli do Frisco, i utrzymał się tam aż do października. Kiedy Prell dotarł do Luxoru, walki toczyły się nadal, chociaż słabły. Właśnie w Luxorze dowiedział się o ich zakończeniu. Ale do tego czasu przestał już się przejmować Nową Georgią.

W szpitalu dywizyjnym na tyłach, kiedy reszta jego drużyny – pozostało z niej tylko dziewięciu – pożegnała się i opuściła wielki namiot, Prell czynił heroiczne wysiłki, żeby się nie załamać. Musiał dobyć całej siły woli, żeby powstrzymać łzy napływające mu do oczu. Tych dziewięciu żołnierzy uratowało mu życie. Bez prośzenia zrobili

pro wizoryczne nosze i bez żadnego rozkazu nieśli go co najmniej miłą po śliskich ścieżkach. Ogromnie się narażając. W dodatku bez jednego słowa skargi i narzekań. Zachowali się bardzo szlachetnie. I uratowali go, nienawidził więc myśli o tym, że opuszczają go na dobre. Ich opinia znaczyła dla niego więcej niż to, czy w ogóle dostanie medal, a mieli o nim najwyraźniej dobre zdanie. Za to właśnie ich kochał. Podczas jazdy w wagonie szpitalnym, kiedy ból w nogach dawał się we znaki jak nigdy dotąd, tęsknił ogromnie za żołnierzami z drużyny i za kompanią. Na statku miał przynajmniej Strange'a i Landersa, z którymi mógł raz na jakiś czas pogadać. Ale po zamęcie w szpitalu Lettermana stracił ich z oczu. Raz tylko z daleka mignął mu na korytarzu Strange idący spokojnie w żołnierskim szlafroku. I to wszystko. Nie wiedział, czy któryś z nich jedzie do Luxoru. W rzeczy samej jechali tym samym pociągami w dwóch różnych wagonach z przodu, ale Prell nie mógł o tym wiedzieć. Wiedział za to na podstawie usłyszanych gdzieś niekonkretnych wieści, że w Luxorze są jacyś

żołnierze z jego kompanii. Miał nadzieję, że znajdzie z nimi wspólny język. W starej kompanii nie należał właściwie do żadnej paczki. I zaczynał się obawiać, że tak już pozostanie i że nic się w tej mierze nie zmieni.

Wszystko to było przeszłością i należało do przeszłości, a z każdą godziną i milą zostawiali ją za sobą coraz dalej.

Kiedy pociąg ruszył, a przez nogi Prella powędrował do jego połamanych ud bolesny wstrząs, Bobby uświadomił sobie, że w San Francisco nie widział nawet jednego domu. Kiedy poprzednio był tu przejazdem, w śródmieściu na Market Street poderwał dziewczynę i dymał ją w hotelu przez dwa dni. Teraz zastanawiał się, jak jej się powodzi i co się z nią dzieje. A gdy pociąg zaczął nabierać swojego szczególnego rytmu i szybkości, zamknął oczy.

Rozdział szósty Winch należał do nielicznych, którzy nie musieli poddawać się procesowi adaptacji. Odkrył bowiem, że w szpitalu Lettermana ma znajomka.

Podczas gdy innych odsiewano, segregowano, przekazywano od jednego urzędnika do drugiego lub z niebieskimi, zielonymi i żółtymi kartkami w rękach wekslowano do pociągów, on siedział na prawie pustym oddziale, stawiał pasjansę bądź dawał sobie do ręki pokerowe sekwensy i czekał na trzy- lub pięciodniową przepustkę wystawioną przez administrację szpitala.

Oto co znaczyła znajomość z ludźmi dobrze ustawionymi. Dojrzał w tym ironię losu. Większość rannych z tego statku oddałaby zęby mądrości, byleby tylko wyjść na miasto i zakosztować znowu Ameryki. Winchowi nie chciało się ani tutaj siedzieć, ani wychodzić na przepustkę. Było to niemal śmiechu warte, ale on nie mógł wykrzesać z siebie dość zapалу, by się zaśmiać.

Z drugiej jednak strony czyż można było pogardzić nieoczekiwaną, gratisową przepustką do San Francisco?

Przydzielili go na oddział chorób serca. Na badania – oznajmili. W niecałą godzinę po przyjeździe otworzyły się drzwi i jakiś podporucznik z dziecinną twarzą, który wetknął przez nie głowę, spytał, czy jest tu sierżant

sztabowy Winch. Kiedy Winch potwierdził, chłopak wręczył mu zaklejoną kopertę.

–Zaczekam – rzekł. – Na wypadek, gdyby była jakaś odpowiedź, panie sierżancie.

Na ładnej kopercie z wydrukowanym adresem zwrotnym szpitala Lettermana nie było znaczków. W poprzek niej nabazgrołono "Doręczyć osobiście". Po otwarciu koperty okazało się, że jest to list od starego D.T.

Hoggenbecka. Winch poznał go sześć lat temu w Forcie Sama Houstona. D.T. był wtedy sierżantem, a Wincha, świeżo awansowanego plutonowego, przydzielono tam do służby. Stary D.T., przezywany, co wcale nie dziwi, Delirium Tremens, był obecnie, jak wynikało z podpisu, starszym chorążym i szefem kancelarii ewidencyjnej w szpitalu Lettermana. Napisał, że Winch powinien "kiedyś wpaść i odwiedzić" go, gdy nie będzie miał nic do roboty.

Stanowisko szefa kancelarii ewidencyjnej było niezłą fuchą. Bóg wie, ilu rannych przewinęło się przez ten szpital. A świętość każdego żołnierza, jego książeczka wojskowa i akta personalne wędrowały z nim, dokądkolwiek trafiał, tak że nie mogły przepaść. Dokumenty, przewożone przez szpitalne statki wraz z rannymi, zajmowały pewnie niemal tyle samo miejsca, co delikwenci.

–Naturalnie, panie sierżancie, w każdej chwili. Jeżeli pan chce, mogę pana zaprowadzić tam od razu – odpowiedział na pytanie Wincha podporucznik. – Pokażę panu drogę.

Winch przyjrzał się mu uważnie i tylko skinął głową.

Nie był przyzwyczajony, żeby oficerowie, nawet bardzo młodzi, tytułowali go "panem sierżantem". Niemniej pielęgniarka i oddziałowego podporucznik traktował raczej z góry.

Korytarze były zatłoczone. Za kilka dni miał przyplłynąć statek z Nowej Gwinei, trzeba więc było opróżnić szpital, zrobić miejsce, wysyłając rannych na wschód.

Kiedy przedarli się przez rozgorączkowane tłumy ludzi w mundurach i szlafrokach i dotarli do właściwego budynku, okazało się, że kancelaria ewidencyjna mieści się na ostatnim piętrze.

Biuro, wielkie jak boisko do koszykówki, z pewnością mieściło z pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt biurka. Na jego drugim końcu, dokąd podporucznik zaprowadził Wincha, znajdowało się oszklone pomieszczenie, skąd stary D.T. mógł spoglądać na swoich harujących niewolników.

I bynajmniej nie była to klitka.

Sam szef, z kościstymi rękami splecionymi na wąskiej piersi, opierał chude pośladki o krawędź biurka. Na pewno widział przez szybę, jak nadchodzą, ale nie poruszył się i nie zrobił nic, dopóki podporucznik nie wyszedł i nie zamknął drzwi. A wtedy wyprostował się i uśmiechnął. Ale nie uścisnęli sobie dłoni. Podszedł do Wincha z rozłożonymi rękami, ujął go za ramiona, potrząsnął nim lekko i chwycił w objęcia. Przyglądając się mu z chłodnym zaciekawieniem, Winch zastanawiał się, czy oczy D.T. zajdą łzami.

–Jak się masz, Mart, jak się masz, stary? – rzekł stary D.T.

–Witaj, D.T. – odparł Winch. – Widzę, że załatwiłeś sobie klawę fuchę. Nawet porucznicy biegają u ciebie na posyłki.

–Mam nie tylko ich – odparł uśmiechnięty Hoggenbeck, wszedł za biurko i wydobył stamtąd butelkę whisky, "Seven Crown" Seagrama i dwie szklanki.

–Widzisz? Pamiętam nawet twoją ulubioną markę.

Ani myślał zaciągać zasłonek w oknie, Winch był więc aż nazbyt świadom, że widać ich jak na dłoni.

–Kiedy tylko ujrzałem twoje nazwisko na liście przywiezionych, natychmiast posłałem kogoś po butelkę.

–D.T. urwał, żeby zaczerpnąć tchu. – Wam, którzy tyle tam dla nas robicie, należy się, jak Boga kocham, od nas wszystko.

Winch pomyślał chłodno, że tym razem w oczach tego starego zakłamanego krętacza naprawdę pojawiły się łzy. I to prawdopodobnie szczerze.

– Tak, mam znacznie więcej – dodał Hoggenbeck, powracając do pierwszego wątku. – Poruczniczki są u mnie chłopcami na posyłki, a kapitanowie i majory pomagierami. Nareszcie zaczyna do nich docierać, jak nieocenieni i pożyteczni są dla kraju starzy zawodowi podoficerowie. Jest tu więcej zasranych, nie znających się na niczym oficerków, niż zdołałbyś wytrzepać z kapucyna. Z patentami oficerskimi kupionymi dla synalków i pociotków. A jest ich tylu, że wojsku wychodzą już uszami. Nie wiadomo, co z takimi robić, i tacy jak ja i ty muszą stosować wobec nich własną politykę. Mam duży dom blisko Presidio i kupuję drugi. Mam udział w klubie podoficerskim. Mam udziały w kantynach wojskowych.

Należy do mnie w połowie kasyno gry. Żona trzyma sklep. Mówię ci, w tej chwili możesz tu mieć niemal wszystko, co sobie wymarzysz. A nawet więcej. Oni nas potrzebują, Mart, oni nas potrzebują – powtórzył stary D.T. – Gdyby nie my, nikt by nie umiał poprowadzić tej cholerniej cywilbandy w mundurach. – Napełnił szklanki.

– Wiedziałem, że twoja dywizja jest tam. Że zastąpiła na Guadalcanale pierwszą dywizję piechoty morskiej. Aż tu raptem widzę twoje nazwisko na liście przewożonych tym statkiem i jakby we mnie piorun strzelił. – D.T. opróżnił szklankę. – Powiedz mi, jak tam jest, Mart? Bardzo ciężko? Ha? Gdzie oberwałeś?

Winch miał wrażenie, że traci zmysły, bo w całym ciele czuł lodowaty chłód. I że whisky wyparowała ze szklanki, zanim jej dotknął. Stary D.T. znów mu ją napełnił. Winch zacisnął zęby. Wzbierała w nim chęć, żeby chwycić piękną cenną flaszkę "Seven Crown", palnąć nią Hoggenbecka w głowę i rozwalić mu czaszkę.

Na oczach wszystkich siedzących za szybą.

–Bardzo ciężko? Bardzo źle, ha? Czy tak ciężko, jak opisują w gazetach? Nie chcesz o tym mówić, co?

Winchowi przemknęły przed oczami obrazy plutonów żołnierzy o pustych twarzach i zalęknionych oczach, zakrwawionych, z ustami zatkanymi błotem, walczących o każdą piędź ziemi. Przez ich pryzmat przyglądał się chłodno staremu kumpłowi od kielicha. Lodowato.

Wszystko to nie miało absolutnie nic wspólnego z niczym tutaj, zupełnie.

–To piekło, D.T. – powiedział, pozorując obojętność. – Prawdziwe piekło. Japończycy to wspaniali, twardzi żołnierze. Brutalni. Bezwzględni Bezlitośni.

–Wiem o tym, wiem o tym – odparł D.T.

–A do tego znają dżunglę. Ale wykończymy ich, D.T., wykończymy.

–Wiem o tym, wiem o tym – powtórzył D.T.

Winch spostrzegł, że wypił drugą szklankę. D.T. napełnił ją. I swoją.

–Ciężko jest w tej dżungli, co? Gdzie oberwałeś? – powtórzył pytanie.

–W nogę – odparł Winch.

–Mocno?

–Bardzo mocno. Prawdę mówiąc, fatalnie, D.T.

–I miałeś też atak serca?

–Nie, nic takiego. Tylko to, co nazywają szmerami.

Ale jedno z drugim do kupy... Sam wiesz. A poza tym mocno chorowałem na dengę i malarię. To chyba wystarczy na odesłanie do kraju, a wyjechałem w samą porę.

D.T. zachichotał, a jego krzaczaste brwi podskoczyły i opadły.

–Chyba, chyba.

Winch mrugnął i spostrzegł, że wypił trzecią szklankę.

Zwykła, mieszana amerykańska whisky, nie rozcieńczona jak ta, przypominała

**ambrozję bogów. Przy flasce "Seven Crown" Seagrama mogły się schować
wszystkie szkockie**

whisky na świecie. Stary D.T. pchnął butelkę w jego stronę.

–Nalej sobie – zachęcił. – Ja muszę mieć łeb na miejscu. Mam robotę. Ale ty sobie walnij.

Winch pokręcił głową.

–Zawsze mogłeś wypić więcej niż ja – rzekł D.T.

–Lub ktokolwiek...

Uśmiechnął się. Umościł się wygodnie w obrotowym fotelu i powiedział Winchowi, co dla niego zrobi.

Winch nie musi przechodzić przez formalności związane z przydziałem. Do wieczora załatwi mu trzynaście pięciodniową przepustkę. Jeśli uda mu się przepchnąć sprawę, to pięciodniową. A po niej Winch może dostać następną pięciodniową i jeszcze jedną. A kiedy będzie gotów pojechać na wschód, to on, Hoggenbeck, wsadzi go do samolotu lotnictwa transportowego i wyśle do dowolnego szpitala na wschodzie, który sobie wybierze.

Przygnębionemu Winchowi nie w głowie było dotąd San Francisco. Ale pomyślał o nim teraz.

–Ja nie mam tu nawet munduru, D.T. – powiedział.

–To ci go wydadzą!

D.T. chwycił leżący na biurku bloczek zleceń i pióro.

–E! Już ja znam te szpitalne mundury – zaprotestował Winch, ale najwyraźniej nie było ucieczki przed przesadną szczodrobiwością D.T.

–Wyjdiesz w nim stąd za bramę i pójdziesz do krawca! – zawołał Hoggenbeck. – Na Market Street w każdym sklepie za trzydzieści sześć dolców dostaniesz oficerski, tropikalny czesankowy mundur z pagonami.

Spytał Wincha, czy ma pieniądze. Bo jeżeli nie, to załatwi mu asygnatę kasową ze zniżką.

Winch odparł, że ma pieniądze.

–No, to wszystko załatwione – zawołał D.T.

-Dobrze się zabawisz. Zazdroszczę ci. Nie poznasz

tego miasta, Mart. Zmieniło się. Przypomina to z pewnością czasy gorączki złota.

D.T. dodał też, że rad by go zaprosić do siebie na kolację. Ale jest pewien, że spokojna wieczerza w towarzystwie jego starej nie jest tym, czego Winch szuka.

Zwłaszcza po pobycie w dżungli.

Załatwiwszy sprawy drobne, Hoggenbeck przysunął się bliżej z fotelem i oznajmił z uśmiechem, że ma mu do powiedzenia jeszcze coś. Po tym, jak zobaczył jego nazwisko na liście rannych z tego statku, przeprowadził małą sondę. Dlatego chciał go skierować do szpitala w Luxorze, w Tennessee. Mógł bowiem wysłać trafiających tutaj przejazdem rannych, dokądkolwiek chciał.

Wiedział, że żona Wincha urządziła się w Saint Louis, ale z wyjazdem do Saint Louis mogły być duże problemy.

Przejrzał jego akta zaraz po ich nadejściu. Gdyby jednak Winch nie wybierał się do Saint Louis, to był w stanie załatwić mu coś naprawdę ekstra.

–Między nami mówiąc, D.T., zdecydowanie nie chciałbym tam jechać. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby moja żona nie dostała żadnego oficjalnego zawiadomienia, dokąd mnie wysłano.

–To się da załatwić, to się da załatwić – zapewnił D.T. – Zawiadomienia giną.

Rzecz w tym, że w Luxorze, w stanie Tennessee, mieściło się dowództwo Drugiej Armii. I wiadomo było, że już wkrótce będzie tam potrzebny szef ewidencji.

Stary Frank Maynard gonił bowiem resztkami sił i chcieli go przenieść na emeryturę. Hoggenbeck, utrzymujący kontakty ze swoimi dawnymi dowódcami, którzy służyli obecnie właśnie tam, rozmawiał już z nimi o Winchu.

Gdyby więc Winch pojechał do Luxoru, to po wyjściu ze szpitala mógłby od razu przejść do służby w Drugiej Armii. Stamtąd zaś był już tylko mały krok do kariery.

Poznaliby się na nim.

–Jeżeli jesteś zainteresowany, to napiszę do nich jeszcze dziś – dodał z uśmiechem D.T. – Co ty na to?

Rzeczywiście było to długoterminowe i wcale nie ciężkie zajęcie – synekura, według D.T. – w sam raz dla kogoś takiego jak on, na co zresztą sobie zasłużył.

A staremu Frankowi Maynardowi nic to nie szkodziło, bo Frank Maynard i tak był na wylocie.

Winch podniósł oczy. Miał oto do czynienia z wyrafinowaną, subtelną, typowo wojskową żonglerką wieloma elementami, tak pięknie wyważoną i skoordynowaną, że sam by się jej nie powstydział. Jako stary, zawodowy manipulator czuł dla niej podziw.

Kiwał głową i słuchał piąte przez dziesiąte, ale na wzmiankę o Luxorze nadstawił uszu. O ile go pamięć nie myliła, to do Luxoru trafiło przypadkiem sporo żołnierzy z jego dawnej kompanii. Mgliście przypominał sobie, że ktoś mu to mówił. Po chwili jednak ostudził swój zapał.

Czyż to nie on sam ostrzegł Johnny'ego Strangera, że ze starą kompanią koniec? Niemniej D.T. zaproponował mu świetną fuchę. Akurat taką, o jakiej marzył i jaką sobie wyobrażał kilka lat temu, przed Guadalcanalem.

Tylko że marzył o niej na starość.

–Napisz im, że z chęcią bym ją dostał – odparł.

–Jasne, że napiszę, na miły Bóg – zapewnił stary D.T. i klasnął w dłonie. – Przed upływem roku zostaniesz chorążym. To wspaniale, chłopie, to wspaniale.

Winch nagle zdał sobie sprawę, że chociaż gnębi go perspektywa podziękowania staremu Hoggenbeckowi za to wszystko, to jednak będzie musiał to zrobić.

–Coś ci powiem, Mart – ciągnął D.T. – Wiem, że jestem teraz doskonale ustawiony. Ale wiem też, że to nie potrwa długo, a po wojnie ludzie odreagują ją i powrócą nastroje antywojskowe. Ja jednak nie mam zamiaru odsłużyć pełnych trzydziestu lat. Ani dwudziestu, skoro już o tym mowa. Po wojnie odchodzę z wojska. Jeśli będziesz mądry, zrobisz tak samo. Wiem, kim jestem,

i znam swoją wartość. I wiem też, że wiele mogę, przynajmniej w tej chwili. Jeżeli więc mogę coś zrobić dla starych kumpli, którzy byli tam i wrócili, to im to załatwię! Ty jesteś pierwszy, o którym wiem, że stamtąd wrócił. Jeżeli więc mogę dla ciebie zrobić coś więcej, to wpadaj do mnie jak w dym i daj znać.

D.T. zatarł ręce.

–Aha, powiem ci coś jeszcze. Czy wiesz, że dostajesz Medal za Wybitną Służbę?

Winch spojrzał na niego z niedowierzaniem.

–A kto mi go, do diabła, daje? – spytał.

–Nie ja, nie ja. Nie patrz tak na mnie – odparł D.T. napawając się sprawioną niespodzianką. – Są rzeczy, których zrobić nie mogę. Nie. Ale to wszystko jest w twoich aktach. Przedstawił cię do niego dowódca twojej dywizji. Na osobiste wnioski dowódcy twojej kompanii i dowódcy batalionu. A ponadto, wyobraź sobie, na wniosek twojego pocziwego dywizyjnego lekarza.

Przed wyjściem Wincha D.T. wyciągnął dwie półlitrowe piersiówki i wepchnął mu je do rąk.

–Wsadź je za pasek pizamy i przytrzymaj rękami w kieszeniach. No, bierz je. Nie, nie dziękuj mi, jak Boga kocham. Wy, chłopaki, byliście tam. I mnie to w zupełności wystarczy. – Przy drzwiach D.T. udzielił mu ostatniej rady. – Kiedy się tam ustawisz, to kup sobie jakąś nieruchomość. Jakiś bar. Mając bar, nie zginiesz.

W niespełna trzy godziny później, niecałe pięć po wypłynięciu statku do przystani Embarcadero, w czasie gdy inni jego pasażerowie kończyli odgrzewaną kolację z blaszanych talerzy z przegródkami, Winch stał na rogu ulic Geary i Market przy Fontannie Lotty, trzymając ręce w kieszeniach oficerskiego, tropikalnego czesankowego munduru z pagonami, który za trzydzieści sześć dolarów kupił u krawca na Market Street. Zdążył już sobie podpisać. Czuł się wspaniale.

Rozdział siódmy Należało się wybrać oczywiście do Marka Hopkinsa.

Lokal Najwyższa Marka mieścił się na szczycie Nob Hill i był słynny na całym Południowym Pacyfiku jako miejsce, które trzeba bezwarunkowo odwiedzić, jeśli tylko wróci się do kraju. Winch złapał taksówkę i pojechał tam.

"Jeśli wróci się do kraju." Od samego wyrażenia i myśli, jakie rodziło, Winchowi kurczył się żołądek.

A więc wrócił do kraju. Tak czy nie? A reszta? Chuj z nimi. Rozsiadł się wygodnie i spojrzał przez okno taksówki. W głowie tkwiły mu ostrzeżenia, żeby nie pił.

I nie palił. Cały czas wsłuchiwał się w oba. Przyszło mu do głowy, że wsłuchuje się w nie, ilekroć pije lub zapala papierosa. Zaśmiał się głośno w taksówce.

W takim mieście trudno było nie pić. Przy tych wszystkich eleganckich hotelach, które mijali na Nob Hill, tych dziewczynach w towarzystwie marynarzy lub żołnierzy, którzy idąc wieczornymi ulicami ryczeli, pokrzykiwali, zanosili się wieczornym śmiechem i bawili jak dzieci. Wydawało się, że wszyscy mają kupę forsy i czas, żeby ją stracić. Nie do wiary. Winch nagle pomyślał o żołnierzach, pozbawionych wody, dyszących, spoconych żołnierzach z jego kompanijnych plutonów.

I żołądek zapadł mu się głęboko, gdzieś w pobliże miękkiego, sprężystego siedzenia taksówki. Nie do wiary.

Znów naszło go dręczące wrażenie, że to wszystko nie ma żadnego związku z tamtym. Nic nie łączyło jednego z drugim. Chwilowo jego dobry nastrój przepadł.

Najwyższa Marka okazała się do niczego. Najwięcej było w niej lotników z lotnictwa morskiego i zwykłego.

Z medalami, odznaczeniami i wstążkami za bitwę o Midway. Z baretkami. I w zdefasonowanych czapkach z daszkiem. Skakali od stolika do stolika, krzyczeli zanosząc się wesołym śmiechem, tańczyli swinga i kupowali niezliczone butelki szampana. Na dodatek przywłaszczyli już sobie wszystkie atrakcyjne kobiety w lokalu. Winch nie nosił żadnych wstążek ani oznak.

W kieszeni miał co prawda nowiutkie szewrony sierżanta sztabowego, lecz w ostatniej chwili zrezygnował z ich przyszcicia. Jak podstarzały szeregowiec, w swoim sztytym na miarę oficerskim mundurze, którego nie miał prawa nosić, stanął przy barze, wypił dwie szklaneczki whisky, opuścił lokal, zjechał na dół i wyszedł na ulicę. Dwukrotnie zaczepiły go prostytutki, dwie różne, ale równie drogie, bo chciały stówę za numer, porozmawiał też sobie chwilę z przyjemnie rozchichotaną piękną studentką z lepszej sfery, ale porwał ją na tańce kapitan lotnictwa, jakiś Jim.

W Najwyższej Marce były dostępne tylko dwa rodzaje kobiet. Winch zaś nie miał ochoty tracić pieniędzy na rodzaj pierwszy, ani tracić wszystkich wieczorów w tygodniu na zdobycie drugiego. Zresztą większość tam obecnych bez wątpienia się znała.

Na ulicy na chwilę przystanął i szybko cofnął się, żeby przepuścić pędzące susami, rozbawione towarzystwo złożone z dziewcząt i marynarzy. Weszli do Marki.

Winch skręcił w California Street i ruszył w dół w stronę mordowni i knajp na North Beach. Przez chwilę żałował,

że nie wziął sobie którejs z studolarowych dziwek. Miał pieniądze. A te kurwy były rozkoszne. Wszystko jednak spadło na niego zbyt nagle. Na jedenaście miesięcy tak dokładnie wyrzucił z myśli kobiety, że miał teraz trudności z wpuszczeniem ich tam z powrotem. Wydarzenia biegły za szybko.

Mając to wszystko w zasięgu ręki, postanowił pójść przez Chinatown na Grant Avenue. Był to spacer długości trzech czwartych mili, cały czas w dół, ale kiedy tam dotarł, poczuł się zmęczony i wyczerpany.

Na North Beach knajpy wyrastały jak na drożdżach.

Wszędzie było pełno żołnierzy. Na każdym kroku kobiety. Z barów wylewała się muzyka z grających szaf.

Wyglądało to jak ostatnie zachłanne, rozpaczliwe marzenie jego udręczonych, osaczonych żołnierzy, i Winchowi znowu ścisnęło się serce. Był pewien, że już wkrótce bez najmniejszego trudu znajdzie partnerkę.

Obiecał sobie, że aż do placu Waszyngtona nie wypije ani kropli. Ale zanim tam dotarł, widząc już przed sobą ów plac, złamał obietnicę i wstąpił do baru.

Alkohol pokrzepił go i wlał w niego trochę nowej energii. Poczucił się różnie. Od wypicia tamtych trzech szklaneczek whisky w biurze starego D.T. Hoggenbecka bacznie siebie obserwował. W picciu utrzymywał taką miarę, żeby wszystko szło bezkonfliktowo, a życie wydawało się znośne. Nie chciał jednak przekroczyć tej granicy.

Wyszedł na ulicę, po której wędrowała wylewająca się z barów muzyka z grających szaf. Przez chwilę The Boogie-Woogie Bogle Boy of Company B w wykonaniu sióstr Andrews walczyło o lepsze ze śpiewaną przez Inkspots I'm Gonna Buy a Paper Doli. Trochę dalej głosy Sióstr Andrews ucichły, tonąc w głośnych dźwiękach String of Pearls orkiestry Glenna Millera. Przebijała się za to przez nie znana Winchowi piosenka Paper

Moon, śpiewana przez Inkspots, a może przez Braci Millsów. Winch szedł przy jej wtorze w stronę placu Waszyngtona.

Partnerkę znalazł w trzecim z kolei barze. Siedziała przy stoliku ze znajomą, której towarzyszył młody zalany żołnierz z piechoty morskiej. Z pewnością szukała kogoś dla siebie, bo kiedy Winch stanął przy zatłoczonym barze, posłała mu niedwuznacznie zapraszający uśmiech.

Obie dziewczyny miały po jakieś dwadzieścia osiem lat. A może trzydzieści? Były za stare dla pijanego dziesiętnastolatka z piechoty morskiej, który widać nie wlał jeszcze w siebie swojej miary. Nie ulegało wątpliwości, że jeżeli nie zwolni, to żadna z pań nie będzie miała z niego pożytku. Ale nie był to problem Arlette, tylko jej znajomej, co Arlette dała jasno do zrozumienia. Dała też jasno do zrozumienia Winchowi, że wszystko między nimi rozegra się zgodnie z regułami obowiązującymi przy pierwszym spotkaniu i uwodzeniu, a ponadto, że nie jest jakąś lafiryndą.

Obie były ubrane prawie identycznie, po męsku, w spodnie i koszule rozpięte pod szyją, a duże chusty na ich głowach powiadamiały, że są robotnicami. Takimi jak setki innych, które Winch widział od chwili, gdy przekroczył Pacific Avenue. Strój ów był niemal mundurem.

Winch nawet czytał o nim w starych, otrzymanych z piątej ręki, ubłoconych numerach tygodnika "Yank".

Arlette była spawaczką w jakiejś fabryce maszyn w Oakland, włączoną do produkcji na rzecz przemysłu zbrojeniowego. Tak samo jak jej koleżanka. Nie należała do oszałamiających, rozkosznych ślicznotek, jak tamte dwie wykwintne dziwki z Najwyższej Marki, ale Winch wątpił, czy na pierwszy ogień po powrocie zniósłby w łóżku prawdziwą piękność, a dziewczyna była przecieź niczego sobie. W dodatku zamężna. Nie nosiła obrączki, ale zdjęła ją niedawno, bo na palcu miała białą obwódkę.

Wincha znów ścisnęło w żołądku. Opadł go strach z powodu podejrzenia. A jeżeli była żoną któregoś z jego utyłanych, dyszących, zabłoconych żołnierzyków?

Z północnej Kalifornii pochodziło ich kilku. Widząc jego spojrzenie, Arlette pogrzebała w torebce i ze smutnym, surowym uśmiechem wsunęła obrączkę z powrotem na palec.

Chciała tańczyć. Winch poprowadził ją sztywno na zatłoczonym parkiecie wielkości znaczka pocztowego.

W normalnych warunkach tańczył dobrze, ale w takim ścisku nie było gdzie się ruszyć, a zresztą Arlette nie była dobrą tancerką. Nieważne. Okazję do zatańczenia przyjął z radością, bo dało mu to czas na odzyskanie pewności siebie. Cóż go obchodziło, że jej mężem mógł być jakiś biedny kretyn z poboru? Kiedy wrócili do stolika, kupił jej znowu coś do picia i słuchał, jak mówi, przeważnie o swojej pracy. Arlette uwielbiała spawać.

W pewnej chwili partner jej znajomej, młody pijany piechociarz, który nosił medal strzelca wyborowego, podniósł wzrok znad gorzały i wojowniczo, pogardliwie przyjrzał się gołemu, pozbawionemu wstążek i oznak mundurowi Wincha. Winch zmierzył go twardym, wojskowym, służbowym spojrzeniem sierżanta sztabowego, które widać trafiło w jakiś dobrze wyćwiczony, nie całkiem jeszcze znieczulony alkoholem nerw chłopaka, ponieważ ten nagle wyprostował się na krześle i zanim na powrót skrył twarz w szklance, z okrągłymi z popłochu oczami sięgnął do krawata.

Winch z Arlette wstąpili do sklepu spirytusowego i poszli do hotelu tuż za rogiem, gdzie z całą pewnością miano układy z barmanem z knajpy. Kiedy zaczęli się rozbierać, Winch zagadnął Arlette o męża. Mimo że zdjął go kaszel, czuł, że musi ją o to zapytać. Facet był oczywiście tam, a jakże. Ale jednak, co Winch przyjął z ulgą, nie na wyspach Salomona. Był na Nowej Gwinei.

Rany boskie, na Nowej Gwinei! Buna! Gona! Morobe!

Cholera, w tej chwili walczyli w Salamaua. Nie służył jednakże w 32 ani w 41 dywizji, tylko w oddziałach łączności. Nie w piechocie. Winch poczuł się nieco lepiej. Ale nadal miał jej to za złe.

–Czy nie czujesz się przez to trochę jak łajdaczka?

Oczy Arlette zapłonęły.

–Nie, wcale nie czuję się przez to jak łajdaczka!

Z jakiej racji? Przed jego wyjazdem zawarliśmy umowę.

Co cię to zresztą obchodzi?

–Nic mnie nie obchodzi.

–No i dobrze. Więc się zamknij. Niby dlaczego miałabym się czuć jak łajdaczka? On tam łoi wszystko, co mu się nawinie. Łapie wszystko, co mu wpadnie w ręce.

–Tam nie ma co brać – odparł Winch. – Z wyjątkiem szankrowatych miejscowych kobiet, których nikt nie chce.

–Był w Australii – powiedziała Arlette.

–No tak, w Australii. – Winch musiał przyznać jej rację. – Ich wszyscy żołnierze są w Afryce Północnej.

Słyszałem, że Australia jest wspaniała. Ale nigdy tam nie byłem.

–Czy ty nie próbujesz wymówić się od przespania ze mną? – zapytała Arlette. – Z jakiegoś powodu?

–Nie – odparł Winch, lecz przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

–Bo jeżeli próbujesz się wymówić, to świetnie ci to idzie. Ty też jesteś stamtąd, co?

Winch skinął głową.

–Wiedziałaś to, psiakrew. Wiedziałaś. Wiedziałaś od chwili, kiedy zobaczyłam cię w barze, bez żadnych wstążek, oznak na mundurze. Ale zmylił mnie ten kosztowny, szyty na miarę mundur od krawca. Posłuchaj, przedtem, kiedy był jeszcze w kraju,

przed

wybuchem wojny, nie znał hamulców – powiedziała.

–Przed pójściem do wojska. I powiem ci jeszcze coś.

Winch miał wrażenie, że otworzył śluzę. Naga do pasa, zaczęła go besztać w taki sam sposób jak jego ślubna żona, a kiedy się piekliła, jej piersi gwałtownie się huśtały. Rozbierając się dalej, ściągając majtki i odsłaniając bujny gąszcz włosów łonowych, perorowała bez przerwy o wszelkich przejawach niesprawiedliwego traktowania, jakie muszą znosić kobiety.

Winch znał je od dawna. Większość z zarzutów była uzasadniona. Skargi dotyczyły głównie pracy i panujących tam zwyczajów. Przez całe życie nie wolno było jej pracować, przez całe życie musiała siedzieć w domu jak jaki kwiat w cieplarni, aż do nadejścia tej przeklętej wojny, kiedy wszyscy mężczyźni poszli bawić się w żołnierzy. A tak, za nic nie powinni jej pozwolić, żeby zasmakowała w pracy. Ponieważ lubiła pracować. Oświadczyła, że po zakończeniu tej przeklętej wojny będzie im cholernie trudno odebrać jej to zajęcie.

Winch z łatwością przyznałby jej rację. Ale był na nią zły za to, co robiła mężowi. I nie widział żadnego związku jej perory z czymkolwiek. Przestał słuchać i skupił się na jej rozkosznie rozkołysanych piersiach, na okazałym, bujnie owłosionym, aż proszącym się o macanie krocza, kiedy tak miotła się przed nim to w przód, to w tył.

Wtem znieruchomiała, zakłopotana. Tak jakby nagle z zaskoczeniem odkryła, że jest naga.

–Głupio się zachowuję, co? – spytała i uśmiechnęła się.

Winch popatrzył na nią.

–Nie wiem – odparł w miarę szczerze.

Nagle przyszło mu na myśl, że Arlette kropka w kropkę przypomina starego D.T. Nic do niej nie docierało. W ogóle nie docierało do ich zakutych łbów,

że wszystko tam nie ma zupełnie nic wspólnego z niczym tutaj. Nagle zapragnął rozwalić jej głowę butelką, właśnie tak, jak chciał rąbnąć butelką Hoggenbecka.

–Ty naprawdę dopiero co stamtąd wróciłeś? – spytała.

Arlette była szczupła. Niemal cherlawka. Ale nie koścista. Skóry na jej zaokrąglonych, zwisających z chudych pach piersiach nie podtrzymywała choćby odrobina tłuszczu. Osłonięte włosami wargi w kroczu wisiały odrobinę za luźno, nie podwinięte ciasno jak u dziewczyny, bo nahulały się i naigrały w życiu ile wlezie.

Winch czuł, jak wzbierają w nim wszystkie tłumione przez jedenaście miesięcy żądze.

–I nie miałeś kobiety od...? Jak długo?

W jednej chwili podeszła do niego, usiadła naga na jego kolanie i przeczesła mu dłonią włosy.

–Och, biedaku.

Winch nie bardzo wiedział, czy ją pochwycić i walić jej głową o ścianę, aż wbije jej do niej trochę rozumu, czy też wypierdolić ją tak, że się zesra.

Wtem na twarzy Arlette pojawił się cień zrozumienia.

–Przyjechałeś dzisiaj? A więc byłeś na tej jednostce, na tym szpitalnym statku, który dzisiaj zawinął! – Wstała z jego kolana i wpatrzyła się w niego. – Posłuchaj, z tobą jest wszystko w porządku, co? Czy coś jest nie tak? To znaczy., nie masz żadnej sztucznej nogi albo czegoś, nic z tych rzeczy, co?

Winch wstał, ściągnął spodnie i wyszedł z nich. Pod nimi nie miał majtek.

–Miałam kiedyś znajomą, która... – zaczęła Arlette.

–O Jezu – przerwał jej Winch – a facet miał sztuczną nogę i przez pierś biegły mu pasy!

I wtedy spostrzegł, że przy zdejmowaniu spodni z kieszeni wypadły mu na podłogę dwa nowe szewrony sierżanta sztabowego. Było za późno, żeby je schować.

Arlette podniosła je z szydełkowego dywanu.

–Jesteś sierżantem sztabowym! – Wygładziła szewrony na dłoni. – Dlaczego ich nie przyszyłeś?

–Nie wiem – odparł Winch – nie było to dla mnie istotne. Chyba dlatego, że są nowe – dodał.

Siedzieli na pościeli, na brzegu łóżka. Arlette wtoczyła się na nie. Ułożyła się zdecydowanie na samym środku i szeroko rozstawiła nogi, tak jakby szykowała się na gwałtowną morderczą napaść. Winch wygodził jej. Wsadzał i wyciągał członka z całą nienawiścią, furią, gniewem, wściekłością i żądzą gwałtu, które nagromadziły się w nim w ciągu długiego czasu.

–O Boże, uwielbiam się pierdolić – wydobył się spod niego jej wyraźny głos.

Winch jednakże długo nie wytrzymał. Jedenaście miesięcy odmawiania sobie zrobiły swoje. Wtem wydało mu się, że oślepl i że pękną mu bębunki w uszach. Ale Arlette nie była zawiedziona. Chyba zrozumiała, bo poklepała go po ramieniu.

–Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi, mamy mnóstwo czasu – powiedziała pokrzepiająco.

Winch patrzył na nią wsparty na łokciu i pieścił niezręcznie bliższą z jej piersi odzwyczajoną od tego dłonią. W żołądku znów poczuł skurcz. Z powodu tego, że z nią tu jest. Było to takie nieuczciwe wobec pozostałych. Nagle zapragnął uderzyć ją w twarz. Ale zamiast tego wepchnął jej między nogi rękę, która jakby zupełnie zapomniała, co ma dalej robić. Miał wrażenie, że ktoś rozłupał go na dwoje siekierą, on zaś rozpaczliwie stara się złożyć obie połowy do kupy.

Po jakimś czasie wstał z łóżka i poszedł nalać sobie whisky. Czuł się zmęczony, wyczerpany i słaby.

–Mnie też nalej. – Arlette uśmiechnęła się do niego z pościeli. – Mówiłam prawdę o tym, że mamy dużo czasu.

Wyjaśniła mu, że jej brygada w fabryce skończyła właśnie wieczorną zmianę i że idzie teraz na zmianę popołudniową, a więc ma wolne półtora dnia.

–Zresztą, co tam – dodała. – Mam to gdzieś, zrobię sobie dwa dni więcej laby i zostanę z tobą do końca przepustki. Jeżeli mnie chcesz. Nie wyleją mnie za to. Za bardzo potrzebują ludzi. A ja jestem zbyt dobrą pracownicą.

Winch uśmiechnął się krótko do ściany na tę porażającą nagłość, z jaką ludzie przypadkowo się łączyli i zawierali sojusze tylko dlatego, że szli z sobą do łóżka.

Jeżeli wytrwali razem tydzień, nazywali to miłością.

Ale propozycja Arlette podsunęła Winchowi pewną myśl. Jeżeli miał przestać pić całkiem i na dobre, to powinien po raz ostatni pofolgować sobie, po raz ostatni schlać się, żeby uczcić ostateczne rozstanie z gorzałą, ostateczne rozstanie z kompanią. Czyż było na to miejsce lepsze od San Francisco? Czyż była do tego lepsza kompanka od Arlette?

Przyniósł jej szklankę, usiadł na brzegu łóżka i uśmiechnął się do niej.

–Dobrze, damy sobie czas – powiedział.

Jego pomysł przypominał myśli, które błakają się na obrzeżach świadomości, lecz potrzeba szczególnego przypadku albo szczególnego świadectwa, żeby ktoś zdał sobie z nich sprawę. Miał wrażenie, że towarzyszyła mu od chwili, kiedy wszedł do biura Hoggenbecka. Wiedział, że za dużo pije. Ale miał to gdzieś. Dobrze znał twierdzenie, że wola przeciwstawiania się picciu gorzały zmniejsza się wprost proporcjonalnie do liczby wypitych gramów. Prawdę mówiąc, dokładnie zgłębił je w praktyce, i to przede wszystkim podczas podróży statkiem, kiedy naprawdę ostro pił. Dzisiaj też wypił sporo szklanek. Ale co tam, przecież czuł się dobrze. Jedyna dolegliwość to małe przeziębienie, którego nabawił się

na statku, oraz lekki, uporczywy kaszel, jaki mu po nim pozostał. Ześlizgnął się z brzegu łóżka i sięgnął po butelkę. Po cichu myślał, że gdyby tylko mógł ubrać Arlette w jakąś znośną kieckę, to zabrałby ją do Najwyższej Marki.

–Masz dzieci? – spytał.

Wpatrzyła się w niego.

–Dzieci? Tak, mam dzieci. Dwoje. Mieszkają z babką. Moją matką. Ma dom. Nie przeżylibyśmy za to, co mi płacą.

–A nie sądzisz, że ciebie potrzebują?

–Widzą mnie tyle, ile trzeba – odparła ponuro.

Nagle znów się rozzłościła. Winch nie chciał do tego dopuścić.

–Arlette, kochanie, pogzijmy się – rzekł z uśmiechem.

Do następnego popołudnia zdążył wygłosić publiczną mowę na placu Waszyngtona, za co o mały włos nie zwinęła go żandarmeria wojskowa, no a jego przeziębienie rozwinęło się w ostre zapalenie oskrzeli.

Arlette poszła do Chinatown, żeby przynieść im stamtąd obiad. Winch postanowił, że sam też wyjdzie i powalęsa się po barach. Kiedy po odwiedzeniu kilku knajp i wypiciu kilku głębszych wracał do hotelu, na placu Waszyngtona wpadło mu do głowy, żeby wygłosić mowę.

Pomysł ten podsunęły mu tamtejsze gładzące pryki, które – stojąc na skrzynkach po mydle – wygłaszały swoje wyświechtane, zacofane, przedpotopowe, staroświeckie komunały. O socjalizmie. Związkach zawodowych. Samorządach. Czemu nie? – pomyślał szyderczo.

Wprawdzie wiele z tkwiącego w nim gniewu wyładował na Arlette, to jednak tliła się w nim nadal jego spopielała resztką. Podszedł do jednego ze starych grzmotów, dał mu pięć dolarów i pożyczył skrzynkę.

Myśl tę nosił w sobie od jakiegoś czasu. Po raz pierwszy przyszła mu ona do głowy w zeszłym roku, na Guadalcanale, kiedy leżał pod ogniem moździerzy.

Później rozwinął ją i poszerzył, igrając z nią czasem, kiedy pił do lustra albo wraz z dowódcą kompanii obserwował skądś z góry, jak ich przegrzani, zatykający się błotem żołnierze próbują posuwać się naprzód.

Wszystko to podsumował w wymyślonym przez siebie haśle: "Żołnierze całego świata, łączcie się! Nie macie nic do stracenia oprócz karabinów!" I to właśnie zaczął wykrzykiwać stojąc na skrzynce.

Bardzo szybko zebrał się wokół niego tłum rozbawionych żołnierzy. Na początku śmiali się i wiwatowali na jego cześć, ale w miarę jak mówił, niektórzy z nich poczuli się nieswojo.

–Ej, ty – zaczepił wybranego z tłumu szeregowca.

–Ile dostajesz miesięcznie? Trzydzieści osiem dolarów, tak? A ile byście dostali, gdybyśmy mieli swój związek, ha? Nie, nie śmiej się. Pomyśl. Czy byłoby coś dla nas niemożliwe, gdybyśmy byli zorganizowani? Potrzebują nas wszystkie kraje, tak czy nie? Wszyscy inni mają swoje związki, więc czemu nie my? Żołnierze japońscy, niemieccy, angielscy, amerykańscy. Rosjanie, Francuzi, Australijczycy. Wszyscy zjednoczeni. Pełny monopol.

Cholera, moglibyśmy rozbroić wszystkie pociski moździerzowe i artyleryjskie! Proch w nich zastąpić mąką.

Co ty na to?

Z końca tłumu dobiegło parę gwizdów niezadowolenia.

–Nie podoba wam się to? A dlaczego? Koniec z zabijaniem! – ryknął władczo. – Po prostu odeszlibyście na tyły. Moglibyśmy mieć komisje arbitrażowe, które decydowałyby o miejscach bitew. – Rozłożył ręce.

–Koniec z walkami w dżunglach, no nie? No, bo kto chciałby walczyć w dżungli?

–Coś ty za jeden? Komunista?! – krzyknięto z tyłu.

–To nasi wrogowie!

–Ja? Komunista? Skądże znowu. Spójrzcie na mnie.

Jestem sierżantem sztabowym. Widzicie te winkle? – krzyknął Winch. (Arlette chciała mu je przyszyć, więc jej pozwolił. Była z nich taka dumna.) – Ale bardziej przypominam japońskiego czy niemieckiego sierżanta niż tych cywilnych sukinsynów.

Rozległy się okrzyki aprobaty.

–A ty?! Wiesz, ile mam miesięcznie żołdu? Gdybyśmy mieli związek, to dostawałbyś tyle samo co ja.

Zobaczył, że przez tłum przedzierają się w jego stronę żandarmi, więc się wyprostował. – Żołnierze całego świata! Łączcie się! – krzyknął.

–Ja tu jeszcze wrócę. Jutro!

Zeskoczył ze skrzynki i uciekł. Żegnały go gwizdy, życzliwe okrzyki i mocne oklaski.

Do wąskich uliczek, w których mógł się ukryć i zgubić pogoń, było tylko pięćdziesiąt kroków, ale kiedy dobiegł do zaułka, musiał przystanąć, zdumiony, że brak mu tchu. Po prostu nie był w stanie dalej biec.

Gwałtownie się rozkaszał. Na szczęście, pewna liczba żołnierzy zastąpiła drogę żandarmom i spowolniła ich marsz. W zaułku Winch wykaszł z płuc nitki spienionego białego śluzu. Po kilku chwilach zdołał jednak skręcić za róg, wszedł do baru i zamówił whisky. Alkohol chyba mu pomógł.

Zdołał dotrzeć do hotelu. Ale tam pomyślał, że nie da rady wejść na trzecie piętro, gdzie był jego pokój. Na każdym podeście musiał przystawać i łapać oddech.

Kiedy dotarł do pokoju, zastał tam przestraszoną Arlette, a na stole w kartonowych pojemnikach chińskie jedzenie. Czekąło i parowało.

–O mój Boże, słyszałam od samego dołu, jak wchodzisz na górę. Co się stało? – spytała.

–Nic – odparł Winch oparty o drzwi i wpatrzył się w nią. – Rzuciło mi się trochę na oskrzela. Nic takiego, czego nie uleczyłaby dobra chińska kolacja, parę głębszych i jebanko. Nie przejmuj się tym.

I rzeczywiście, kiedy usiadł na krześle i trochę odsapnął, poczuł się znacznie lepiej. Zjedli chińską kolację, wypili i odbyli stosunek. Winch poczuł się świetnie. Atak kaszlu po pięćdziesięciometrowym biegu z placu widać minął. W nocy jednak chwycił go kolejny napad kaszlu i Winch obudził się, nie mogąc złapać tchu. Choć starał się ze wszystkich sił, nie był w stanie nabrać powietrza do płuc. Wykasływał z siebie te same białe spienione farfocle. Jedynym ratunkiem na to wydawało się wypicie kilku szklanek whisky. Ale kiedy to zrobił i położył się spać, przekonał się, że w tej pozycji nie może oddychać. Skończyło się na tym, że większość nocy przedzemał na siedząco w fotelu.

W chwilach kiedy Arlette nie spała, nie piła albo się z nim nie pieprzyła, była bardzo przejęta i zatroskana jego stanem. Cokolwiek jednak mu dolegało, to nie zmniejszało jak widać jego łóżkowych możliwości. Ale rano, kiedy wyszli na śniadanie, niewiele brakowało, a nie wszedłby po schodach na trzecie piętro. Nie wszedłby bez jej pomocy. Dlatego nie wychodził już więcej z pokoju, pozwalając za to do woli wychodzić jej.

W takim stanie wytrzymał dwa dni, ale w środku trzeciej nocy zrozumiał, że się doigrał. Spędził tę noc głównie w kącie łazienki, z łokciami wspartymi na dwóch wieszakach, nie mogąc oddychać i wykasłując białą pianistą wydzielinę.

–Będę musiał wrócić do szpitala – oznajmił głuchym głosem. – Nic innego mi nie pozostaje. Pomożesz mi? Ciężko mi cię prosić, ale sam chyba nie dałbym rady.

–Jasne, że ci pomogę – odparła Arlette, spoglądając

na niego krzywo. – Jesteś chory, wiesz? Zresztą ja też muszę wrócić do roboty.

–No, to zejdź i złap taksówkę.

W taksówce rozmawiali niewiele. W pewnej chwili Arlette chwyciła go za rękę, przytrzymała ją, pochyliła się ku niemu i go pocałowała.

–W kieszeni koszuli znajdziesz mój adres i numer telefonu – powiedziała.

–Bóg da, to się zobaczymy – odparł głucho Winch.

–Wysyłają mnie stąd gdzieś na wschód.

Przy wejściu do szpitala odwrócił się, żeby spojrzeć na nią ostatni raz i pomachać jej ręką. Stała przy taksówce. Pomachała mu w odpowiedzi, wsiadła i zatrzasnęła drzwiczki. Kiedy taksówka odjeżdżała, Winch patrzył na bladą twarz Arlette w ciemnym oknie samochodu.

Mimowolnie uśmiechnął się, bo głowę trzymała tak, jakby cieszyła się, że odjeżdża.

–No i z czym tu przychodzimy? – zagadnął młody dyżurny lekarz, kiedy sanitariusz wprowadził Wincha do gabinetu pogotowia.

–Nie wiem – odparł głucho Winch. – Mam zapalenie oskrzeli. Najlepiej niech pan mnie położy na parę dni do łóżka. Ale muszę się zobaczyć z chorążym Hoggenbeckiem. Mam stąd być wysłany do Luxoru w Tennessee.

Młody lekarz sprawdził mu tętno i spojrzał na niego bystro.

–Mój rozkaz jest już wypisany – dodał Winch.

–Jadę do Luxoru, w Tennessee.

Lekarz włożył mu stetoskop pod koszulę i osłuchiwał serce, a potem płuca.

–Zapalenie oskrzeli, akurat! – powiedział. – Człowieku, pan ma ostrą zastoinową niewydolność serca.

Nigdzie pan nie jedzie.

–Niewydolność serca?

–W płucach ma pan pełno płynu – dorzucił doktor.

–Wody. Pan tonie.

–Jadę do Tennessee – odparł ze znużeniem, ale i z uporem Winch. – Do Luxoru. Hoggenbeck wie o tym wszystko.

–Pakuję pana do łóżka – oświadczył lekarz. – I zapisuję dietę odwadniającą. Chryste, pan ma serce wielkości futbolówki. Przez dłuższy czas nigdzie pan nie wyjedzie.

Winch mógł jedynie zamknąć oczy. Był zbyt wyczerpany, żeby dyskutować.

KSIĘGA DRUGA

SZPITAL

Rozdział ósmy Szpital znajdował się na wschodnich przedmieściach.

Luxor nie miał przedmieść zachodnich. Założono go w roku 1820 i wybudowano na wysokim brzegu szerokiej na milę Missisipi, a jego handlowo-biurowe śródmieście leżało nad samą rzeką. Właśnie ona nie pozwalała na ekspansję miasta w kierunku zachodnim. Z pociągu jadącego przez równiny Arkansas śródmiejskie skupiska budynków na nadrzecznej skarpie wydawały się czołem olbrzymiej fali przyływu, wpychającej się na niebo. Na długim moście ponad rzeką turkot kół zwolnił wraz z pociągiem, a kontury widoczne na tle nieba zyskały metropolitalny powab. W tym mieście żyły kobiety.

Były bary, hotele, restauracje. Wiedzieli o tym nawet najciężej ranni. A już zwłaszcza ranni powracający do zdrowia.

W pociągu spędzili nie trzy, ale pięć dni. Począwszy od Reno wszyscy bez wyjątku byli wykończeni podróżą.

Toczący się wytrwale pociąg zatrzymywał się tylko po to, żeby wyładować pacjentów. W Kansas City podzielono go na dwa pociągi. Jeden ruszył na wschód i północ do Saint Louis i Chicago, a drugi na południe.

Przez Fort Scott, Springfield dotarł do Luxoru i pojechał dalej, do Atlanty.

Już same analizy logistyczne, których wymagała taka operacja w skali kraju, oszałamiały. A przecież kolejne pociągi co tydzień przemierzały tę trasę lub podobną.

Bobby Prell wytrzymał podróż głównie dzięki zagryzaniu zębów, powstrzymywaniu się od płaczu i zaciskaniu mocno oczu, kiedy wiedział, że jest sam. A poza tym bezwstydnie siebie okłamywał. Wmawiał sobie, że już niedługo odpocznie. Że niebawem katusze, zadawane mu przez zmalretowane nogi, ustaną. Ale nie wierzył ani jednemu swojemu słowu. Podróż pociągiem uświadomiła mu jak nic dotąd, że jeśli nawet zdoła uratować nogi, to ból w nich prawdopodobnie nigdy się nie skończy. I będzie mu wiernie towarzyszył przez resztę jego dni. Strach było o tym myśleć. Oznaczało to bowiem dla niego koniec życia, a przynajmniej rozstanie z dawnym aktywnym, dziarskim życiem, jakie prowadził.

Zatrzymało się ono w tamtej jednej chwili na wzgórzu pod Munda, gdy zbiegał w dół błotnistą ścieżką, zatrzymało się jak staroświecki stojący zegar. Kiedy Prell to pojął, nie chciał o tym myśleć i cierpiał w milczeniu.

Milczenie stało się jego talizmanem. Pomagały mu nieco środki, którymi faszerowali go lekarze. Ale ilekroć zapadał w sen, nawiedzały go nowe, powtarzające się zmory. W jego snach pojawiali się – jeden, dwóch lub trzech – żołnierze z drużyny i smutni uśmiechnięci oskarżali go o błędy w dowodzeniu, których nie popełnił.

Czasem byli to zabici albo ranni, a kiedy indziej żyjący, zdrowi. Nigdy nie był w stanie przekonać ich, że się mylą, i budził się pełen nie przetrawionego strachu.

A wówczas kłamał sobie, wsłuchiwał się w stukot stalowych kół i czuł ruch pociągu w swych słabych, wciąż nie pozrastanych kościach.

Kiedy zaszedł do niego lekarz z wiadomością, że wjeżdżają do Luxoru i że wkrótce odpocznie w szpitalu,

Prell nie mógł uczciwie powiedzieć, czy cieszy się z tego, czy żałuje.

Osiem wagonów w przodzie Marion Landers poczuł, jak pociąg zwalnia wjeżdżając na most. W dole pochwycił wzrokiem słynne luxorskie nabrzeże, ogromną połąć nachylonego betonu ciągnącą się w dal. A potem pociąg klucząc wtoczył się pomiędzy brudne stacje przetokowe dworca głównego w śródmieściu. Na peronach stały szeregi sanitariuszy, pielęgniarzy z karetek, lekarzy i – tym razem – na szaro ubranych kobiet z Czerwonego Krzyża. Czekają też wojskowe samochody dla rannych, którzy mogli chodzić. Do nich zaliczono Landersa.

Osiemnaście pojazdów, karetek i ciężarówek, rozciągnęło się w długi konwój i wyjechało z ponurej stacji na wschód.

W ciężarówce Landers stał, trzymając się metalowych żeber. Ściskając pod pachami kule, przyglądał się bogatemu, dostatniemu, czystemu amerykańskiemu miastu, przesuwającemu się obok w letnim rozświetlonym powietrzu, i nie umiał powiedzieć, czy się cieszy, złości czy zazdrości. Zasobnie wyglądający ludzie wychodzili na ulice, żeby im pomachać. Jakaś kształtna blondynka z włosami do ramion, która szła z dwiema koleżankami, zatrzymała się i ukazując w uśmiechu bielutkie jak śnieg zęby, podniosła ręce nad głowę i zakręciła dwa razy biodrami. Landers miał chęć ją udusić, ale ubrani w kasztanowe szlafroki inwalidzi na ciężarówkach gwizdali i wiwatowali.

Jeszcze dalej na wschód, poza dzielnicą biur, przy szerokich alejach, ulicach i dziedzińcach większych niż domy rosły wysokie cieniste drzewa: wiązy, klony, dęby.

Minęli dwie prymitywne fasady sklepowe, stykające się z chodnikiem, przed którymi na ustawionych na ziemi skrzynkach po coca-coli siedzieli w cieniu drzew starcy.

Minęli już zielony park publiczny z polem golfowym, po

którego torach poruszali się mężczyźni w koszulach z krótkimi rękawami, a za nimi czarni pomagierzy, którzy nosili im kije. Potem zaś wyłoniły się ceglane budynki szpitala i Landers odwrócił się, żeby przyjrzeć się swojemu nowemu domowi, w którym pomieszka kilka miesięcy.

Szpital był całkiem nowy. Dwa najstarsze budynki, administracyjny i wypoczynkowy, z pewnością nie miały jeszcze dwóch lat, a im dalej od nich, tym budowle były nowsze i w bardziej surowym stanie. Oddziały szpitalne ciągnęły się w dwóch rzędach na powierzchni wielu hektarów. Wszystkie ceglane dwupiętrowe pawilony były samodzielne, połączone ze sobą jedynie betonowymi chodnikami z ceglaną kolumnadą. Już sam ogrom szpitala odrzucał.

Na jego najdalszych krańcach wznoszono dwa nowe budynki. Gdzieniegdzie, na płaskich, równych kawałkach świeżo nawiezionej ziemi i małych spłachetkach rzadkiej trawy, która miała udawać trawnik, stały z rzadka rachityczne drzewka.

Dowodzony przez oficera w jeepie konwój skręcił nieuchronnie między ceglane kolumny z napisem WOJSKOWY SZPITAL OGÓLNY KILRAINEY i Landersa ścisnęło w sercu, mimo że nie za bardzo wiedział, czego właściwie się spodziewał. Jakiś łebski, bogaty obywatel, który znał senatora, zrobił dobry interes na nieużytkach na skraju miasta. Jakiś przedsiębiorca budowlany (być może tenże sam bogaty obywatel), który znał kongresmena, osiągnął również ogromne zyski, budując na zamówienie rządu szpital na tym terenie. On zaś miał w nim życie. Landers poczuł się więc znowu oszukany.

Był niemal w tak złym stanie jak Prell. Jeśli nawet

nie bolało go tak mocno, to przechodził znacznie silniejszy kryzys psychiczny. Zrodzone po odniesieniu rany poczucie wyobcowania i osamotnienia nie zmalało po wylądowaniu na amerykańskiej ziemi. Przeciwnie, spotęgowały je jeszcze bezosobowe traktowanie oraz sposób, w jaki wylądowano ich ze statku. W pociągu ze względu na kule, zabroniono mu opuszczania wagonu.

Od nieustannych drżeń i wibracji spuchła mu zagipsowana kostka. Na dobrą sprawę mógł jedynie siedzieć albo leżeć na pościeli, wyglądać przez okno i ponuro rozmyślać. Salt Lake City. Denver. Omaha. Rozmyślać o tych wszystkich pięknych i niepięknych miejscach swojego ogromnego kraju, wielkich Stanów Zjednoczonych Ameryki. Gdzie nie było dla niego miejsca. Ani w Sierra Nevada, ani na pustyniach Wielkiej Niecki, ani w Górach Skalistych i ich szmaragdowych dolinach, ani na

gorących, suchych równinach Kansas. Zastanawiające, że w żadnym z tych miejsc nie było żywej duszy, którą by choć trochę obchodziło, czy on, Landers, żyje, czy zginął, w tym również jego własnej rodziny w Indianie.

Ale też dobrze zdawał sobie sprawę, że gdyby nawet znalazł kogoś, komu by na nim zależało albo kto udawałby, że mu na nim zależy, to z chęcią palnąłby go z całej siły w twarz. Nie miało to najmniejszego sensu, nawet dla niego samego.

W tym stanie – w tym miejscu – znalazł go drugiego dnia rano Johnny Stranger, kiedy pociąg wjechał na pustynię Wielkiego Jeziora Słonego.

Landers był przekonany, że Strange czuje się zdecydowanie najlepiej spośród nich trzech. Nogi miał w dobrym stanie. Ręka nie dawała mu się zbytnio we znaki.

Mógł do woli wędrować po pociągu w obie strony, nie przypisany do jednego wagonu. To właśnie on znalazł Prella w jednym ze szpitalnych wagonów na końcu

składu i przyniósł wieści o jego bardzo kiepskim stanie. Powiedział, że nogi zadają Prellowi takie katusze, iż prawie szaleje z bólu i nie chce nikogo widzieć ani z nikim rozmawiać, także z nim i z Landersesem.

Strange, który spenetrował cały pociąg, zapewnił też stanowczo, że szefa kompanii, Marta Wincha, w nim nie ma.

Landers bardzo współczuł Prellowi, ale w tych okolicznościach, wobec własnego kryzysu i rozpacz, nie mógł mu poświęcić wielu uczuć. Bardziej martwiło go to, że w pociągu nie ma Wincha, bo liczył, że z nim porozmawia. O sobie i o tym, co go gnębi. Ze cztery czy pięć razy, kiedy był z nim sam na sam, nie mogło mu to przejść przez gardło. Po prostu nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać i jak to przedstawić. Nie był przecież okaleczony i nie stracił nogi ani też nie groziło mu to, tak jak Prellowi. Zaczął więc w miejsce Wincha upatrywać adresata swoich zwierzeń w Strange'u.

Landers czuł, że musi z kimś porozmawiać, a Strange wyglądał na wrażliwą duszę. W końcu jednak i tak nie miał wyboru. Mógł się zwierzyć albo jemu, albo nikomu.

A dwudziestoczteroletni Landers nadal wierzył, że zwierzenie się z kłopotów pomaga.

Poruszył więc ten temat, kiedy kompanijny szef kuchni po raz drugi dotarł do niego przez rozkołysany pociąg, żeby usiąść i chwilę pogadać.

–Mam pewien problem – rzekł z zakłopotaniem, kiedy porozmawiali już trochę o Prellu i niewygodach podróży. – Może mógłbyś mi pomóc. Kiedy oberwałem, coś się ze mną stało. Jestem w straszliwej depresji od tamtej pory.

Kołyszący się na posłaniu Strange, który siedział spuściwszy ręce między kolana, wpatrywał się w niego dłuższą chwilę bez słowa.

–Wiem, że to zabrzmiało głupio – ciągnął Landers

–ale wszystko straciło dla mnie znaczenie. Wszystko wydaje mi się bez sensu. Bezwartościowe.

–Czy w szpitalu Lettermana dowiedziałeś się czegoś złego o swojej nodze?

–Nie – odparł bezradnie Landers. – To nie ma nic do rzeczy.

–Powinieneś się czuć bardzo dobrze. Masz lekką, nieskomplikowaną ranę, która wyłącza cię na jakiś czas z obiegu. Może na dobre. Czeka na ciebie zaległy żołąd za pół roku i miłe miasto, w którym go możesz wydać.

–Wiem o tym – przyznał skwapliwie Landers, a po chwili, niepocieszony, wzruszył ramionami. – Ja to wszystko wiem.

–Na coś takiego nie można kręcić nosem – oświadczył Strange, ale życzliwym tonem.

Dla Landersa nie było już odwrotu, przyglądał się więc mu z uwagą i rozważał, jak daleko może się posunąć. Zarówno Winch, jak Strange od wielu lat byli żołnierzami zawodowymi, on zaś, przydzielony do ich oddziału w ramach uzupełnień, nie znał ich aż tak dobrze. Bliżej związany był z Winchem, ponieważ dla niego pracował. Winch jednak potrafił być wyniosły, szorstki i porywczy w reakcjach, tak paradoksalnych i sprzecznych, że niepokoiły. O Strange'u Landers wiedział mniej, bo nigdy się nie kolegowali. Ale smutny, gorzki półuśmiech kompanijnego szefa kuchni podsuwał myśl, że być może Strange okaże mu zrozumienie i współczucie. Z drugiej strony Landers miał zawsze wrażenie, że Strange go unika. Może dlatego, że pochodził z uzupełnień? Że unika go zwłaszcza, od kiedy został ranny i wysłany do kraju tym samym statkiem.

Dlatego wahał się.

–Ta wojna jest idiotyczna – powiedział. – Szaleńcza i bezcelowa. Czy ty... Czy nie przyszło ci kiedyś do głowy, że to całe kurestwo nie ma sensu?

–Tak-k-k. Chyba przyszło – odparł rozważnie Strange. – Ale nijak nie widzę, żeby to cokolwiek zmieniło.

–Ja, na przykład, wyobrażam sobie, jak za dziesięć lat ci wszyscy, którzy tak zażarcie w tej chwili ze sobą walczą, znowu będą się przyjaźnić i będzie panował między nimi pokój. I że będą ze sobą handlowali i zawierali traktaty. Zaczną się

bogacić, tak jakby nic się nie stało. Ale ci wszyscy zabici ludzie, młodzi tak jak ty i ja, pozostaną martwi.

–Owszem, to bardzo przykre. Dla nich. Ale źle jest myśleć o tym w taki sposób.

–Nic na to nie poradzę.

–Nigdy nie zapomnę, że to oni nas zaatakowali.

–Tak. To prawda. Ja też o tym nie zapominam – odparł Landers, ale w jego głosie brzmiała rozpacz.

Siedzący na drugim końcu łóżka, kołyszący się w rytm pociągu Strange skinął w zamyśleniu głową.

Zauważył, że z Landersem jest coś nie tak. Spozrzegł to już za pierwszym razem, kiedy szukając Prella i Wincha natknął się na niego w tym wagonie. Strange nie przepadał za żołnierzami z wojennego poboru i ochotnikami. Tak bardzo chcieli stać się prawdziwymi wojskowymi, że przestawali być sobą i nie zachowywali się naturalnie. Do Landersa dodatkowo zrażało go to, że tamten był wykształcony i że przeniósł się z ich kompanii by zostać chłopcem na posyłki u dowódcy batalionu.

Kiedy jednak ujrzał go w takiej depresji, a zwłaszcza gdy przekonał się, że nie może odwiedzić Prella, znów obudziły się w nim wszystkie, nie mające w tej chwili ujścia, opiekuńcze instynkty, które z taką siłą wyzwalała w nim stara kompania. Właśnie dlatego zaszedł tu powtórnie. A także z powodu samotności.

Strange spodziewał się wybuchu rozpacz u Prella, tymczasem odkrył ją niespodziewanie u Landersa. Krótka chwilę żałował, że nie ma tu Wincha z jego życiową mądrością. Winch, przy swojej inteligencji, wiedziałby, co powiedzieć Landersowi. Gdyby mu się chciało.

–Ale co cię właściwie gryzie, Landers? – spytał.

–Rzecz chyba w tym, że nikt nie myśli tak jak ja.

A ja mam przecucie. Wreszcie dotarło do mnie, że zginę na tej wojnie. Trudno mi się z tym pogodzić.

–Podobno mnóstwo żołnierzy, prawie wszyscy, tak się czuje po odniesieniu pierwszej poważnej rany.

–Tak, wiem o tym.

–Ale przynajmniej nie zginiesz od razu. To znaczy, nie dzisiaj ani jutro. Masz przed

sobą kilka ładnych miesięcy.

–Ja to wszystko wiem. Och, nic mi nie będzie.

Nieważne.

–Tylko nie martw się na zapas – rzekł Strange.

Landers wpatrywał się w niego dłuższą chwilę z drugiego końca posłania, a potem wziął głęboki oddech i powiedział:

–Ta wojna nic już mnie nie obchodzi. Taka jest prawda. I to właśnie mnie dręczy. Pierdolę wojnę.

Spójrz tylko na tych wszystkich bogatych skurwysynów, którym dobrze się powodzi. Czy oni nie mają wszystkiego w dupie? Chyba staję się pacyfistą.

Myślał, że Strange'a oburzą te słowa, a co najmniej zgorszą. Ale nawet go nie poruszyły.

–Oczywiście, krajowi służy mnóstwo ludzi, którzy nie są w jednostkach frontowych – odparł Strange.

Landers zwiesił głowę i nie odpowiedział. Strange przypatrzył mu się. Uznał, że sam jest w znacznie lepszym stanie od pozostałych. Psychicznym i fizycznym.

Wszystko miał już zaplanowane i odchodził z wojska.

Był nawet szczęśliwy, jeżeli słowo "szczęśliwy" pasowało do kogoś, kto bez przerwy, mniej więcej co godzinę, łapał się na tym, że myśli o swojej kompanii. Że się

o nich boi i zamartwia się tym, że oni wciąż są tam. I że jak kania dżdżu łaknie wieści od nich. Był szczęśliwy, bo z San Francisco zadzwonił do żony. Dwie godziny stał w kolejce do budki telefonicznej w szpitalu Lettermana.

Ale dodzwonił się do niej do domu w dzielnicy Covington, leżącej po drugiej stronie rzeki w Cincinnati. Za jakiś tydzień wybierała się do niego do Luxoru w odwiedziny. W obecności Landersa czuł się winien, że ma takie szczęście. Wstał.

–Wiesz, pozwól mi to przemyśleć. Może znajdę jakieś rozwiązanie. Wrócę. Musimy coś znaleźć, żeby cię wyciągnąć z tej chandry. Letniej chandry, jak ją nazywał mój dziadzio.

Strange uśmiechnął się i wyszedł.

Landers patrzył za nim w milczeniu, myśląc o tym, że tamten prawdopodobnie już do niego nie wróci. Że uciekł jak złodziej. Tylko że chcąc dostać się na tył pociągu i wywiedzieć o Prella, w drodze powrotnej będzie musiał tędy przechodzić.

Strange jednak powrócił. Wrócił później tego samego popołudnia i zaszedł jeszcze raz wieczorem. A potem wracał często, tak w dzień, jak w nocy, ponieważ w pociągu dzień i noc wymieszały się ze sobą i straciły znaczenie. Ciągłe ktoś wzywał pielęgniarzy, dlatego światła nigdy nie gaszono. Za cichą zgodą wszystkich nikt się na to nie skarżył, ani nie prosił o ich wyłączenie, więc paliły się bez przerwy. Ludzie spali, kiedy mogli, w nocy albo w dzień.

Strange najwyraźniej wolał przychodzić w nocy. Tak jakby i on miał kłopoty z zaśnięciem wieczorem.

Niemniej był zatroskany. Widać było, że bardzo mocno stara się dopomóc.

–Co do śmierci, to prawda, możesz zginąć – powiedział w trakcie jednej z wizyt. – Jeżeli zostaniesz tym, kim jesteś. Starszym kapralem piechoty. Bo ja nie

wiem, czy zginę. To znaczy, robiąc to, co robię. Gotując i prowadząc stołówkę. Ja nawet nie widziałem prawdziwej bitwy. W przeciwieństwie do ciebie.

–Ja też jej właściwie nie widziałem – odparł Landers.

–No, ale uczestniczyłeś w dwóch potyczkach i zabiłeś paru Japońców.

–Tylko jednego. I to z bardzo dużej odległości. Nie wiem, czy rzeczywiście go zabiłem. Wiem, że go trafiłem.

Naprawdę, jestem tylko pisarzem.

–Owszem, pisarzem kompanii piechoty. I to musisz zmienić.

–Myślisz, że załatwię sobie przeniesienie do służby kwatermistrzowskiej?

–Nie.

–Nie wiedziałbym nawet od czego zacząć.

–Wszystko przez tę ranę. Gdyby nie ta rana, nic by ci nie było.

–Pewnie tak – przyznał Landers. – I wciąż byłbym tam.

Strange podał mu butelkę, którą udało mu się skądś wytrzasnąć.

–No, rozchmurz się, chłopie. Cholera, nawet nie wiemy, co nas czeka tam, w Luxorze. Może się okaże, że jesteś niezdolny do dalszej służby.

–Wątpię. Lekarz, który mnie operował, mówił co innego.

–E, nigdy nic nie wiadomo.

Innym razem Strange spytał:

–A co z twoją rodziną?

–Ha, z moją rodziną. – Landers roześmiał się.

Z każdą kolejną wizytą nagabywania Strange'a o jego rodzinę coraz bardziej go śmieszyły. – Mogę ci wiele opowiedzieć o swojej rodzinie. Gdybym zginął, matka kupiłaby sobie flagę ze złotymi gwiazdami i wystawiła ją

w oknie, ot co. I nie posiadałaby się z radości, że co tydzień ma kogo oplakiwać w swoim klubie brydżowym.

Moja studiująca socjologię siostra mogłaby dzięki temu zwrócić na siebie uwagę na uczelni. No, a ojciec? Ojciec przez trzy wieczory w tygodniu odwiedzałby lokal Amerykańskiego Związku Kombatantów i przechwalał się, jak to jego syn walczył, oddał krew i zginął za ojczyznę.

Strange wpatrzył się w niego z nic nie mówiącą miną i przeciągnął językiem po zębach.

–Nie za bardzo przypomina mi to rodzinę – rzekł.

–To faryzeusze. Hipokryci. Posłuchaj, kiedy wybuchła wojna, rzuciłem studia i zaciągnąłem się do piechoty – kontynuował Landers. – Ojciec pieklił się jak wszyscy diabli. Chciał, żebym dokończył studia, i oznajmił, że potem załatwi mi jakiś przyjemny i bezpieczny przydział w Waszyngtonie. Odmówiłem. Przy odjeździe nawet nie przyszedł się ze mną pożegnać.

–Wygląda jednak na to, że w końcu wyszło na jego, nie? – spytał Strange.

–Chyba tak. W jakimś sensie. To stary, cyniczny drań.

–Czym się zajmuje?

–Jest prawnikiem.

–A może tym razem byś mu pozwolił, żeby ci załatwił ten przydział?

–Niedoczekanie – odparł Landers. – A zresztą, już by tego nie zrobił.

–No, a może da się to załatwić inaczej. Jesteś wykształcony. Powinieneś to jakoś wykorzystać.

–Nie wiedziałbym, co zrobić, od czego zacząć.

A poza tym wstydziłbym się.

–O rany, tu się nie ma czego wstydzić – zapewnił Strange. – Niech sobie jeszcze to wszystko przemyślę.

Wrócę później.

Wstał, kołysząc się w rytm pociągu.

Po jego wyjściu Landersowi zbierało się na śmiech.

Zaciśnięta szczęka Strange'a i jego potrząsanie głową wskazywały, że stał się dla niego osobistym wyzwaniem.

A kiedy Strange odwiedził go znowu, koślawo i ostrożnie stąpając po rozkołysanym korytarzu, nim zdążył usiąść, Landers zaczął się śmiać. Strange stanął, spojrzął na niego zakłopotany, uśmiechnął się i sam się roześmiał.

Tym razem przyniósł nową, prawie pełną butelkę.

Wysączyli ją do dna, upili się i rycząc ze śmiechu zaczęli się prześcigać w wymyślaniu coraz to innych i coraz bardziej horrendalnych sposobów uratowania Landersa.

I ocalenia mu życia.

Tym razem Landers odprowadzał Strange'a ciepłym spojrzeniem.

Strange miał powód do zadowolenia. Ale jeżeli sądził, że jego mała kuracyjka wyleczyła Landersa z rozpacz, to się mylił. Wracał do niego coraz częściej, coraz więcej pili, coraz więcej śmiali się, ale po jego wyjściu Landersowi znów pozostawało gapienie się w noc za oknem.

Nad pszenicznymi polami Kansas stał w czasie tej podróży księżyc. Jak na zamówienie. Landers zaś Ignął do Strange'a coraz mocniej. Kiedy konwój ciężarówek zatrzymał się na terenie szpitala Kilrainey i zaczęto wyładowywać rannych, w młodzieńczym popłochu myślał tylko o tym, jak znajdzie swojego spowiednika.

Podobnie jak większość tych, którzy wybrali sobie powiernika dla swych zwierzeń, także i on stał się niewolnikiem własnego terapeuty.

Ale w beładnej ciżbie rannych wyładowywanych z ciężarówek, i tych, którzy przybyli ich zobaczyć, nie sposób było znaleźć kogokolwiek. Landers skorzystał przy wysiadaniu z czyjejs pomocy i wsparty na kulach gorączkowo rozglądał się za Strange'em, kiedy z tłumu widzów dobiegł go czyjś okrzyk: "Tam jest Landers!"

Kiedy spojrzął w tamą stronę, zobaczył pięciu ludzi ze starej kompanii, którzy wydawali mu się znajomi, ale na dobrą sprawę nie rozpoznał ich. Nie przypominali sobie.

W ich twarzach zaszła nieokreślona zmiana. Nie potrafił powiedzieć, na czym ona polega. Nie należeli do jego kolegów z tej kompanii, którą znał. Zdołał im tylko pomachać ręką, bo wraz z całą grupą pod ceglana kolumnadą wzniesioną nad chodnikami z betonu został pognany na kulach w stronę jednego z odległych oddziałów.

Kiedy wreszcie po kilku dniach wolno mu było samodzielnie opuścić przez wielkie drzwi swój oddział i zapoznać się ze szpitalem, dowiedział się, że Strange zdążył tymczasem wyjechać na krótki urlop wypoczynkowy do Cincinnati.

Rozdział dziewiąty Badania zajęły pełne sześć dni. I to nie tylko dlatego, że było tyle zachodu z poszczególnymi chorymi, ale również ze względu na czas, jaki pożerały najprostsze zabiegi.

Takim jak Landers czy Strange, którzy mogli chodzić, zrobienie prześwietlenia zajmowało często cały dzień.

Wymagało pójścia na radiologię (która zawsze znajdowała się daleko i trudno ją było znaleźć), siedzenia i czekania od początku do końca przyjęć, a nierzadko ponownego przyjścia następnego dnia. Kiedy chodzący chorzy czekali cierpliwie z wypisanymi skierowaniami w rękę, zawsze mógł się zjawić jeden, dwóch lub trzech chorych na noszach, którzy mieli pierwszeństwo, i wtaczano ich na "masarskich" wózkach. Czekających pacjentów było zawsze więcej, niż personel mógł przyjąć.

Równie trudno było z badaniami krwi w laboratorium.

Wszyscy chorzy musieli przejść pełne badania wenerologiczne i odbyć kontrolę zębów. A do tego dochodziły wszelkie badania na samym oddziale. Każdego pacjenta badał internista. Każdego badał lekarz wojskowy. Dokładnie czytano karty choroby. Trzeba było przeprowadzić wywiad z chorym. I to nie raz.

Nowi przybysze szybko przekonywali się, że z faktu,

iż jest to szpital, wcale nie wynika, że nie będzie on prowadzony po wojskowemu. To zaś oznaczało ryczałtowe stawianie diagnoz i także traktowanie mnożących się problemów, a więc i rannych. Zaoszczędzając dzięki temu "ryczałtowemu" podejściu czas i zwiększając wydajność na najwyższych szczeblach, owa metoda zarządzania przenosiła wszelkie straty czasu i niewydolność na sam dół, gdzie potęgowała je i zwielokrotniała, zwiększając szkody, ludzkie błędy, niewygody i nieskuteczność na szczeblu najniższym. Czyli szczeblu pacjenta. Właściwie nie była to specyfika wyłącznie wojskowa. Tak samo działały bowiem wszelkie duże organizacje: fabryki, uczelnie, wielkie biura, ogół szpitali, wojsko i inne.

Ponieważ w większości żołnierze nie zetknęli się dotąd z tą metodą zarządzania, uważali ją za typową dla wojska, cierpliwie ją znosząc i przeklinając. Wkrótce po trafieniu do szpitala odkrywali jednak, że bynajmniej nie uwolnili się od niej tylko dlatego, że się w nim znaleźli.

Zanim Landers mógł naprawdę opuścić oddział i dowiedział się o wyjeździe Johnny'ego Strangera na urlop wypoczynkowy, przesiedział tam zamknięty ponad pięć dni. Powiedziano mu, że w szpitalu jest gdzieś wielka ogólna stołówka, ale że wszelkie posiłki szpitalne będzie dostawał na oddziale.

Bez Strangera, z którym mógł porozmawiać, znowu się pogubił.

Strange'a natomiast szybko zaliczono do chorych na specjalnych prawach. Tak ze względu na charakter jego kontuzji, jak i dlatego, że z Cincinnati zadzwoniła do niego żona.

Bezzwłocznie wywiedział się, czego mógł, o zasadach obowiązujących w szpitalu. Z czystego przypadku trafił na młodszego i bardziej wyrozumiałego z dwóch głównych chirurgów na ortopedii, cywilów wcielonych do wojska. Dzięki szczęściu też trafił na ten sam oddział, co

dwaj członkowie jego starej kompanii: Corello, Włoch z McMinnville, i wysoki, chudy południowiec z Alabamy, Drake. Obaj prędko przekazali mu wszystko, co wiedzieli bądź słyszeli. Opiekujący się nim młody podpułkownik uchodził według szpitalnej plotki za świetnego pokerzystę. Już samo to podnosiło go w oczach żołnierzy. Kiedy podczas obchodu najpierw zbadał dłoń Strange'a, a potem, z ręką na kolanie siedząc na jego łóżku, obejrzał jej zdjęcie rentgenowskie, pokręcił głową i uśmiechnął się krzywo. Zastrzegł się, że to tylko wstępna ocena, ale obawia się, iż operacja może nawet pogorszyć sprawność dłoni. Dlatego potrzebuje więcej czasu na przyjrzenie się jej i dokonanie dalszych badań.

Na te słowa stojący za jego plecami w nogach łóżka płowowłose major z administracji, który nosił szpeceniaste, rude wojskowe wąsy i podlegali mu wszyscy chorzy na ortopedii, mruknął z niezadowoleniem, chrząknął i zakaszał. Podpułkownik Curran odwrócił się do niego i uśmiechnął się promiennie.

Wymiana spojrzeń pomiędzy nimi dwoma nie uszła uwagi zerkającego na nich ukradkiem Strange'a. O majorze też już wszystko słyszał. Niewiele dobrego. Prawdę mówiąc, zadaniem majora było jak najszybciej przywrócić żołnierza do służby. A uwaga chirurga na temat dłoni od razu natchnęła Strange'a myślą, że zostanie zwolniony z wojska nawet prędzej, niż się spodziewał.

Celowo nie podnosząc wzroku, żeby nie okazać zadowolenia, skorzystał z okazji i cichym, uniżonym głosem spytał, czy, skoro tak się sprawy mają, nie mógłby otrzymać trzydniowej przepustki, ponieważ przyjeżdża do niego z Cincinnati żona, której nie widział osiemnaście miesięcy.

Młody podpułkownik Curran przeniósł jasne, żywe, rozbawione oczy z dłoni Strange'a na jego twarz i zaśmiał się cicho.

–Właściwie nie widzę najmniejszego powodu do odmowy – odparł. – Dopilnuje pan tego, majorze?

Major znowu odchrząknął.

–Nasza praktyka nie przewiduje żadnych urlopów i przepustek, zanim żołnierz nie osiągnie stanu przedoperacyjnego.

–Moim zdaniem, plutonowy... Jak nazwisko?...

Strange?... Plutonowy Strange osiągnął stan przedoperacyjny. Przynajmniej na dwa tygodnie. Czy więc dopilnuje pan tego, doktorze Hogan?

–Tak jest, panie doktorze. Dopilnuję – odparł lodowato Hogan. – Ale z pewnością zdaje pan sobie sprawę, że nie jest to zgodne z ogólnie przyjętymi zasadami. Kiedy przyjedzie wasza żona, stawicie się u mnie – rzekł do Strange'a.

Strange nie podniósł wzroku. Ale wiedział, że zyskał sobie wroga.

–Dziękuję, panie majorze. Żona doceni to tak bardzo jak ja – powiedział.

Oczy podpułkownika Currana nie przestały się uśmiechać.

Linda Sue jednak nie przyjechała, a zamiast tego zadzwoniła.

Prywatna rozmowa na zatłoczonym oddziale, zwłaszcza przynosząca kłopotliwe wieści, była i nieprzyjemna, i rozczarowywała. Człowiek nie mógł powiedzieć właściwie niczego, co chciał. Na każdym oddziale był mały pokój z telefonem, ale klucze do niego mieli lekarz i pielęgniarka. Tak więc Strange był zmuszony odebrać telefon przy biurku oddziałowego.

Sens rozmowy z Lindą był taki, że nie mogła opuścić pracy. Pracowała w fabryce broni, w której produkowano precyzyjne części do haubic stopiątek, i nie chcieli jej zwolnić. Tak, powiedziała, że to z powodu męża, który wrócił ranny z zagranicy. Mimo to nie chcieli jej puścić.

Strange'owi jej głos wydał się daleki i przygnębiony.

I nagle przyszło mu na myśl, że podobnie brzmiał, kiedy dzwonił do niej z San Francisco. Tylko że on sam za bardzo wówczas rozradowany, nie zwrócił na to uwagi.

Z tyłu czaszki coś go ostro zakłuło. No, to czemu – spytał – po prostu nie rzuci tej przeklętej roboty?

W czasie wojny z łatwością może zdobyć inną. Linda odparła, że nie może. O dobrą pracę wcale nie jest tak łatwo. A do tej przeszła specjalne przeszkolenie. Gdyby teraz z niej zrezygnowała, gdzie indziej musiałaby zaczynać od zera. A poza tym, zaprzyjaźniła się tam z ludźmi i lubi tę pracę. Strange raptem zamilkł. Bez patrzenia wiedział, że twarze pacjentów z oddziału zwracają się w jego stronę. W dodatku naraz zrozumiał jej racje, jej punkt widzenia. Nie miał podstaw podejrzewać jej o cokolwiek. No, a co by powiedziała, gdyby załatwił sobie dwutygodniowy urlop wypoczynkowy?

–Czy byś się ucieszyła? – spytał.

–Oczywiście, że tak – odparła po chwili. Nie posiadała się z radości. – Czy mógłbyś go sobie załatwić?

–Nie wiem – odparł Strange. – Ale spróbuję.

Kiedy będę wiedział, to zadzwonię albo wyślę ci telegram.

Zapewniła, że go kocha. Odparł cicho, że on ją również. A potem odłożył słuchawkę i poszedł do swojego łóżka, próbując nie okazać po sobie, że jest nieszczęśliwy. Właśnie wtedy postanowił, że pójdzie wprost do Currana. Sam, z własnej inicjatywy.

Wiedział, że zrobi sobie z Hogana jeszcze większego wroga, ale miał gdzieś drogę służbową. Zaczekał na chirurga przed jego gabinetem obok wielkiej sali operacyjnej. Zawsze zadowolony Curran, z nieskazitelnymi rękami i resztą, wyszedł skądś pogwizdując.

Miał na sobie nadal swój "rzeźnicki" fartuch.

–Aha. Plutonowy Strange, czy tak? – spytał.

Owszem, mógł mu załatwić zwolnienie ze szpitala.

Ale tylko na dwa tygodnie. I nie mógł wydać nikomu rozkazu. Tylko zalecenie. Teoretycznie każdy żołnierz po powrocie stamtąd miał prawo do miesięcznego urlopu wypoczynkowego. Dużo jednak zależało od aktualnej sytuacji. Niektórzy dostawali miesiąc, inni nic. Ostrzegł, że jeżeli Strange weźmie teraz dwa tygodnie urlopu, to najprawdopodobniej później nie dostanie pozostałych dwu. Strange odparł, że się ich zrzeknie. Curran chciał jeszcze raz wszechstronnie go przebadać w laboratorium, gdzie mógł za pomocą różnych aparatów dokładniej określić stan jego dłoni. Potem zaś zaleciłby mu urlop.

Jednakże w ciągu tych dwóch tygodni – oświadczył – Strange musi jak najczęściej używać dłoni. Zmuszać się do jej używania. Na przykład brać do niej szklanki, zapalać papierosy, wyjmować z kieszeni bilon... Takie rzeczy. Nawet gdyby go bolało. A ból jest nieunikniony, dużo bólu. Curran uśmiechnął się do niego wesoło i znów złożył usta do gwizdu.

–Widzi pan te dłonie? – spytał raptem podnosząc je w górę. Rozpostarły się na końcach jego wąskich, muskularnych przedramion, kształtem i ruchami zaświadczać o swojej delikatności i wyćwiczeniu nerwów i mięśni. – Są warte majątek, wie pan? – Curran uśmiechnął się szeroko. – Nie ma w tym żadnej mojej zasługi. Po prostu takie mi się dostały. Czy pan wie, że nie mogę ot, tak sobie wyjść, upić się i z kimś się pobić?

W obawie, że je uszkodzę? – Zagwizdał cichutko.

–Jesteśmy wampirami. Pasożytami. Ta wojna jest dla nas wielkim dobrodziejstwem. Ta wojna i wy, ranni.

–Chwyć Strange'a za rękę powyżej łokcia i uśmiechnął się wesoło. – Ale dla was to ciężkie przeżycie. Powinniśmy wam czasem okazać nasze uznanie. Strange*, tak?

Dziwne nazwisko, co? * "Strange" znaczy: "dziwny" [przyp. tłum.]

Curran zaśmiał się z własnego żartu.

W taksówce jadącej na dworzec autobusowy Strange nie potrafił się zdecydować, czy lubi chirurga, czy nie.

W każdym razie Curran mówił samą prawdę. Nie próbował ubierać tej całej wojny w fałszywą propagandę o obowiązku i służbie ludzkości, tak jak Hogan. Hogan wściekł się, cały poczerwieniał, kiedy szef szpitalnej administracji zatwierdził wniosek Currana.

Na wielkim dworcu autobusowym linii Greyhound panował ścisk. Żołnierze ze swoimi rodzinami lub bez nich i rodziny z lub bez swoich żołnierzy rozjeżdżali się stąd w niemal wszystkich kierunkach. Pod dachami osłaniającymi perony stały w rzędach grupy wielkich niebiesko-białych autobusów. Metaliczny głos z głośników obwieszczał ich przyjazdy i odjazdy. Załadowywane i opróżniane albo czekające w ciszy na swoich wielkich kołach tak przytłaczały własną masą, że otaczający je ludzie wydawali się przy nich mali i nieważni.

Jadąc głównie na północny wschód, w stronę Nashville, albo na zapadłe południe, do Birmingham, Atlanty, Montgomery i Jackson, z regularnością zegarka wtaczały się i wytaczały niezgrabnie przez główny wjazd.

W zatłoczonych poczekalniach dla białych i czarnych przed źródłkami z wodą pitną stały białe i czarne kolejki. W poczekalni dla Murzynów było luźniej i mundury nie były tu w przewadze, jak w części dla białych.

Zmęczeni, spoceni ludzie przysiadali na walizkach bądź siedzieli na brudnej podłodze przy przeładowanych ławkach. W kącie, rywalizując z głośnikiem, grająca szafa ryczała Pistol Packin' Mama. Urodzony i wychowany w Teksasie Strange przyjmował jako oczywisty ów podział* na oddzielne poczekalnie i źródelka do picia. Ale ponieważ tak długo przebywał za oceanem, segregacja wydała mu się czymś bardzo dziwnym dla oka. Niezdarnie grzebiąc się z pieniędzmi, ponieważ

świadomie używał niesprawnej dłoni, zapłacił za bilet, usiadł i oparty plecami o ścianę czekał na autobus.

Często marzył na jawie o swoim powrocie do domu.

Wyobrażał sobie, jak wraca z zieloną, elegancką składaną lotniczą walizką w jednym ręku, w drugim zaś ma pełno pakunków z prezentami dla wszystkich. Na Guadalcanale, Nowych Hebrydach, Nowej Kaledonii i w Australii nakupował wymyślnych prezentów, ale ponieważ część z nich mu skradziono, a inne zgubił, połamał lub po prostu wyrzucił, nie pozostał mu ani jeden. Nie miał walizki. A ubranie tylko to, co na sobie. W małej torbie z suwakiem wiózł zapasowy letni mundur. Nie dbał o nic. Zadowolony i uszczęśliwiony, siedział oparty o ścianę w zatłoczonej, dusznej poczekalni dla białych, wśród wrzeszczących dzieci i wyczerpanych młodych matek, które jechały lub wracały od mężów w wojsku.

Strange podróżował autobusami Greyhounda przez całe dorosłe życie. Do głowy mu nie przyszło, żeby jeździć pociągiem.

Zresztą pociągi wcale nie były lepsze.

Sama jazda, w połowie przespana, była długim koszmarem, na który składały się silny zaduch, zapakowane kanapki z kielbasą, spuchnięte stopy, postoje za potrzebą, piwo, piersiówki z whisky i reflektory pojazdów z naprzeciwka, oświetlające twarze śpiących w mrocznym wnętrzu autobusu. A do tego przerwy w podróży i przesiadki w środku nocy w Nashville i Louisville.

Strange zawarł znajomość z młodym marynarzem z sąsiedniego siedzenia, który przed przeniesieniem na Zachodnie Wybrzeże do służby na Południowym Pacyfiku jechał na urlop z jednostki lotnictwa morskiego w Luxorze. Na wieść, że Strange właśnie stamtąd wrócił, zasypał go nie kończącymi się pytaniami. Trudno mu było jednak coś wyjaśnić. Nic bowiem nie pasowało do wyobrażeń tego chłopca o wojnie. W trakcie opisywania

mu bazy marynarki w Noumea na Nowej Kaledonii Strange przysnął, zapadając na powrót w koszmar pełen kanapek z kiełbasą i spuchniętych nóg.

Nie był zresztą pewien, czy chłopak mu uwierzył.

Nie miał przecież żadnych baretek i tamten to spostrzegł.

Jeżeli jednak sama jazda autobusem przypominała częściowo koszmar, to była niczym w porównaniu z tym, co Strange zastał w Covington.

Może spotykało to każdego piechociarza, który wracał zza morza? Strange nie wiedział, czyja to wina: jego, Lindy czy żadnego z nich. Z nikim tutaj nie mógł nawiązać kontaktu. Nikt tu nie interesował się, na przykład, gazetami i bitwami toczonymi za granicą. To było jedyne wytłumaczenie.

Do tego domu (miał adres, ale nie numer mieszkania, nie znał też jego wyglądu) dotarł w środku popołudnia, sądził przeto, że nikogo nie zastanie. Na pukanie nikt mu nie otworzył, dwie godziny przesiedział więc na schodkach czekając, aż ktoś się pokaże. Wreszcie ze środka wyszedł i odkrył jego obecność jeden z trzech śpiących w domu mężczyzn, który właśnie się obudził.

Spali, ponieważ pracowali na nocnej zmianie. Jeden był stryjem Lindy, właścicielem domu, drugi jej starszym bratem, który nie nadawał się do służby w wojsku, a trzeci krewniakiem ze strony matki, synem jej ciotki, i mieszkał na samej górze. Pozostali domownicy byli albo w pracy, albo do niej wyszli, gdyż, w tym wszystkie dorosłe kobiety, pracowali na drugą zmianę. Strange usiadł w kuchni, a mężczyźni, szykując sobie śniadanie (obiad, a może kolację), z różnym akcentem (dwóch było z Kentucky, jeden z Teksasu) zaczęli go wypytywać, jak tam było. Odpowiedział im, że w porządku.

Któryś spytał, co mu się stało w rękę, a kiedy

wyjaśnił, że go postrzelono, zapragnęli ją obejrzeć, więc im pokazał.

–Wielkiej dziury to ta kula nie zrobiła – wycedził kuzyn Lindy, przypatrując się jego dłoni.

Strange wyjaśnił, że oberwał odłamkiem pocisku mózdzierzowego. Ale żadnego z nich nie interesowały mózdzierze.

Tak samo było z kobietami i innymi mężczyznami, kiedy wrócili do domu. Najgorzej, że nie wszyscy wracali o jednej porze. Przy tym ciągłym wchodzeniu i wychodzeniu z domu, trudno ich było odróżnić i połapać się, kto jest kto. W czasie pobytu Strange'a nie zdarzyło się, żeby w domu byli obecni naraz wszyscy mieszkańcy.

W kuchni cały czas jedzono lub pitraszono jakieś posiłki – śniadania, kolacje albo południowe obiady – często zaś jedne nakładały się na drugie. Tak więc gdy ci z drugiej zmiany byli w pracy, idący na nocną zmianę mogli w tym czasie jeść śniadanie, natomiast ci po zmianie dziennej przygotowywać i jeść wieczorny obiad.

W sumie w domu tym mieszkało jedenaście dorosłych pracujących osób i czwórka dzieci.

Sam budynek był dwupiętrowym drewniakiem, należącym do stryja Lindy, i stał przy cienistej ulicy w Covington. Stryj z żoną i najstarszym, nieżonatym synem zajmowali parter. Na pierwszym piętrze mieszkali rodzice Lindy, Linda i jej dwaj bracia. Starszy był nadal kawalerem, a młodszy chodził do szkoły średniej. Górne piętro natomiast zajmowali cioteczny brat Lindy z żoną i dwójką dzieci, czteroletnim i jednorocznym, oraz rozwiedziona kuzynka z siedmioletnią córką. Było więc ciasno. Ale ponieważ wszyscy pracowali, a dwoje starszych dzieci chodziło do szkoły, właściwie nigdy nie było za ciasno. W tej chwili dzieci oczywiście nie chodziły do szkoły z powodu wakacji, ale na ogół całymi dniami bawiły się na powietrzu albo ganiały i do domu wracały

dopiero wieczorem. Najbardziej eksploatowanym pomieszczeniem była kuchnia, która służyła też poniekąd za salon. Sam salon stanowił sypialnię najstarszego nieżonatego kuzyna. Jadalnię zaś zmieniono w sypialnię stryjostwa.

W jakimś sensie był to dom z oddzielnymi mieszkaniami. Każde piętro należało do innej rodziny. Naturalnie z wyjątkiem kuchni, z której korzystali wszyscy.

Kiedy Strange spytał, czemu nie sprzedadzą albo nie wynajmą tego domu i nie przeprowadzą się do osobnych mieszkań, usłyszał, że oszczędzają. Na pytanie, na co, ojciec Lindy i stryj odpowiedzieli, że myślą o złożeniu do kupy oszczędności i nabyciu jakiejś dużej ładnej farmy w zachodnim Kentucky. Naciskani, nie umieli jednak powiedzieć nic konkretnego, ponieważ żadne z nich nie miało czasu, by tam pojechać i się rozejrzeć.

Byli zbyt zajęci robotą. Ojciec Lindy, spokojnie i wolno, jak to on, swoim teksaskim akcentem wyjaśnił grzecznie, że takiego ożywienia w gospodarce jeszcze nie widział, nawet w latach dwudziestych, a po przetrwaniu kryzysu szło nie o to, żeby wydawać pieniądze, tylko żeby pracować i je oszczędzać, a o resztę pomartwić się później, po wojnie.

Przysłuchujący się temu brat Lindy oznajmił, że jak skończy w przyszłym roku szkołę średnią, też pójdzie do pracy i dołoży się do wspólnej puli. Już teraz uczęszczał na wieczorowe kursy obsługi maszyn w fabryce części samolotowych.

Ojciec Lindy dodał, po swoim, wolno, że Strange też mógłby się do nich przyłączyć, jeżeli oboje z Lindą zrezygnowałiby z kupna restauracji. Strange, nie wiedząc, co na to odpowiedzieć, czuł się tak, jakby zdzielono go w kark i ogłuszono.

Oszczędności Lindy należały oczywiście do niej. Do niej i do niego. Niemal zaraz po tym, jak go zobaczyła

i zdawkowo pocałowała w policzek, odciągnęła go na bok i pokazała mu książeczkę bankową. Mieli w sumie nieco ponad sześć tysięcy dolarów. Książeczkę trzymała pod kluczem w swojej sypialni na pierwszym piętrze, obok pokoju braci. Wręczyła ją Strange'owi niczym jakieś wotum. Składane jako pokuta. Być może za to wszystko, co wycierpiał na Wahoo i w ciągu tak długiego przebywania za morzami, na Pacyfiku. Na sumę tę złożyły się oczywiście również odpisy z jego żołądka.

Kiedy Linda dowiedziała się, że przyjeżdża, kupiła do sypialni nowe perkalowe

zasłony oraz pokrowce na poduszki i zbyt wypchany fotel. Jak wzorowa żoneczka.

Na dworzec autobusowy wyjść nie mogła, bo pracowała na dzienną zmianę. Ta noc, kiedy poszli do łóżka z perkalową narzutą, zakończyła się całkowitym niepowodzeniem. W trakcie, żeby tak rzec, roznamiętniania się, Strange'owi opadł członek i już nie mógł stwardnieć.

Strange nie wiedział, co się stało. Próbował wy bąkać jakieś przeprosiny. Ale kiedy po krótkiej chwili nic z tego nie wyszło, Linda Sue poklepała go współczująco po plecach, obróciła się do niego tyłem i szybko zasnęła.

Rano musiała wstąpić, a przed wyjściem do pracy zrobić jeszcze zakupy dla całego domu.

Głęboko zmartwiony i poniżony Strange leżał obok niej i ze strachem zastanawiał się, co się z nim dzieje.

Marzył o tej chwili od tak dawna i tak wiele razy, iż wprost nie do wiary było to, co mu się przytrafiło.

Kiedy wspominał te wszystkie razy i te wszystkie miejsca – wąskie rowy, doły, w których krył się pod bombami, kuchenny namiot na skraju lasu za obozem – kiedy trzepał konia i marzył o tej chwili, wydawało mu się niemożliwe, żeby mógł nawalić.

Miał wiele usprawiedliwień. Co prawda, Linda w ogóle mu nie pomogła, ale przecież nigdy tego nie robiła. To on zawsze miał inicjatywę. Tak jak powinien.

Odkąd się pobrali, tylko raz czy dwa poprosiła, żeby się z nią pokochał. Nie należała do namiętnych.

Prawdą było też, że w sąsiednim pokoju za cienką ścianą spał jej młodszy brat. I że w sypialni po drugiej stronie korytarza spali jej rodzice. Ale przedtem zupełnie by mu to nie przeszkadzało. W trakcie tego wszystkiego zaszło coś, co sprawiło, że jego podniecenie opadło i stwierdził nagle, że mu się nie chce.

Czerwony z upokorzenia, zwinął się w pościeli.

Przypomniawszy sobie, jak podczas ostatniego biwaku na Guadalcanale stał na samym skraju dżungli, przez zasłonę liści patrząc na uśpione namioty w świetle księżyca, i z pulsującym kutasem w ręce wyobrażał sobie tę noc z rozpaloną, roznamiętnioną Lindą Sue, która leży i ściska go w długo powstrzymywanym pożądaniu drapiąc mu plecy, jęcząc i dysząc. Nigdy im się nic takiego nie zdarzyło, ale zawsze o czymś takim marzył.

Poczuł, że pod pościelą powraca mu erekcja. Z wysokości poduszki widział, jak pościel między jego nogami wolno podnosi się w górę.

Po jakimś czasie Strange odrzucił przykrycie, chwycił ręcznik, przemknął cicho korytarzem do łazienki, zamknął drzwi i spuścił się do umywalki, wyobrażając sobie, że jest tam, nocą, w fantastycznej dżungli. Po orgazmie, czując się dziwnie i nieswojo, dokładnie się obmył. Kiedy wszedł z powrotem do łóżka, stwierdził, że nienawidzi żony za jej coraz większą oziębłość. Nigdy nie zdołał jej rozbudzić. Był na nią wściekły. I musiał sobie raz po raz powtarzać, że to nie jej wina. Ale co się stało z nim w ciągu tych osiemnastu miesięcy spędzonych tam, poza domem?

Drugiej nocy powiodło mu się znacznie lepiej. Ale w końcu niemal cały następny dzień był zmuszony spędzić w Cincinnati na żłopaniu piwa. Nastroiło go to znacznie agresywniej i mniej ugodowo. A jeśli już mowa

o piwie, to przy tylu mężczyznach w domu było go tam zawsze mnóstwo. On również wypił sporo. A ponieważ Linda pracowała cały dzień, niewiele miał do roboty.

W Cincinnati żyło się bez opamiętania, wesoło i swobodnie, tak samo jak bez wątplenia w Luxorze. Wszędzie pchali się w oczy wojskowi z pieniędzmi, a mundur – każdy mundur – otwierał drzwi najlepszych hotelowych barów i najelegantszych lokali. Nie musiałeś być oficerem. Wszyscy cię kochali. A przynajmniej tak twierdzili, kiedy brali od ciebie pieniądze.

Tej nocy, kiedy poszli do łóżka, wiedział, że bardzo jedzie od niego piwem, ale nie dbał o to. A Linda Sue się nie skarżyła. Podпиты i w miarę agresywny pomyślał nagle, że żona jakoś dziwnie pachnie. Tak jakby miała na sobie zapach innego mężczyzny. Kiedy obwąchiwał jej piersi i skórę, oczywiście nic mu nie wyszło. A poza tym czuł się skrępowany. Niemniej w końcu odbyli stosunek. Później kilkakrotnie starał się ją namówić, żeby gdzieś wyszli wieczorem. Przynajmniej do kina. Ale ciągle była zbyt zmęczona, ciągle powtarzała, że musi wcześniej wstać i iść do pracy. Praca stała się widać jej obsesją.

Rozmawiali trochę o oszczędnościach. A raczej mówił o nich on. Linda zachowywała się biernie. Jakby nie pożądała już tak mocno restauracji. Kiedy zaproponował, tylko po to, żeby sprawdzić, jak zareaguje, że może powinni całe oszczędności dołączyć do wspólnej rodzinnej kasy i pojechać ze wszystkimi na farmę, uśmiechnęła się miło, trochę smutno i odparła, że jeżeli on tego chce, to ona się zgadza.

W końcu wyjechał cztery dni wcześniej. Nigdy nie powiedział im, ile właściwie ma urlopu, że dostał całe dwa tygodnie. Łatwo przyszło mu skłamać, że dostał urlop tylko dziesięciodniowy, ponieważ nie mógł już dłużej wytrzymać w domu, do którego bez przerwy ktoś

wchodził lub z niego wychodził, jego zapachów i nieustannego pichcenia posiłków.

Cztery pozostałe wolne dni spędził w śródmieściu Luxoru. W eleganckim hotelu Claridge na North Main Street, gdzie wynajął pokój, odkrył, że w jednym z numerów na drugim piętrze toczy się bez przerwy gra w pokera, i wygrał tam czterysta dolarów. Prawie całą wygraną przepuścił, pijąc i bawiąc się w barze w Claridge, oraz w drugim hotelu, Peabody, na Union Street.

Nie podrywał kobiet, chociaż nie było z tym żadnych trudności. Czuł bowiem, że jest to winien Lindzie.

Ostatniego dnia urlopu niemal w ostatniej chwili zameldował się w szpitalu, by dowiedzieć się, co podpułkownik Curran zamierza począć z jego dłonią. I czy majorowi Hoganowi udało się przygotować dla niego jakąś przykrą niespodziankę.

W ogóle nie miał wrażenia, że był w domu.

Rozdział dziesiąty Landers miał dwa tygodnie, żeby przywyknąć do dawania sobie rady bez swojego nowego kumpla Strange'a. W cywilu albo na uczelni mógłby zaszyć się w swoim pokoju, bijąc się z ponurymi myślami i marniejąc w samotności. W szpitalu nie było to możliwe.

Ale cały czas boleśnie tęsknił do wspólnych godzin spędzonych ze Strange'em w pociągu i do ich hałaśliwych podchmielonych rozmów.

Kiedy wreszcie spotkał go na korytarzu przed dużym ośrodkiem rekreacyjnym, Strange zachował się tak, jakby nic się nie stało, jakby nie łączyły ich żadne wyjątkowe więzi, a poza tym był czymś zaabsorbowany.

Landers bardzo często traktował swoje związki z innymi ludźmi znacznie poważniej niż oni.

W czasie nieobecności Strange'a zdjęto mu gips i założono nowy. Zbadał już i do pewnego stopnia poznał ów wielki labirynt, którym był szpital. Dostał pierwszą przepustkę do Luxoru i – w gipsie na nodze – przespał się z dziewczyną. A ponadto zakochał się, a przynajmniej zaczął się podkochiwać. Ta, w której się zadurzył, ciemnowłosa studentka ze świetnymi nogami, była ochotniczką Czerwonego Krzyża i w ośrodku rekreacyjnym wydawała gry. Okazało się, że zadurzył się w niej nie on jeden.

Po zdjęciu gipsu doznał wstrząsu. Los sprawił, że również Landers trafił do młodego podpułkownika Currana. Obejrząwszy zdjęcie rentgenowskie kostki, Curran, który chciał się jej przyjrzeć, polecił zdjąć z niej gips i nałożyć nowy. Landers pokuśtykał więc o kulach z pielęgniarem pod osłoniętymi przejściami do laboratorium ortopedycznego, wyposażonego w zbiór wielkich nożyc, grube zwoje gazy i wiadra gipsu. Dotąd nie oglądał swojej kostki, ponieważ pierwszy opatrunek założono mu na nią tuż po operacji, w chwili gdy jeszcze działało znieczulenie. Kiedy pielęgniarz dużymi nożycami przeciął na całej długości gips i elastyczną pończochę pod nim, a potem rozerwał go i zdarł, Landers uznał to, co zobaczył, za najokropniejszy widok w swoim życiu.

Już sam smród i wygląd nogi powalał. Ze sfioletowiałej stopy odchodziły płatki skóry. Skóra na łydce była pokryta strupami i łuszczyła się. Z golenia, gdzie zanikły mięśnie, luźno zwisała. Natomiast niemal na samym dole, tuż nad kościstą, przypominającą szpon stopą, pęczniała czerwona bania uszkodzonej kostki. Wstrząśnięty Landers zaniemówił. Oglądał swoją własną nogę.

Bez gipsu była taka bezbronna i słaba. Choćby nie wiem jak się starał, to nie był w stanie nią poruszyć. W żadną stronę. Czuł się zdruzgotany. Pielęgniarz na pewno widział już gorsze rzeczy. Tak jak i Curran, który zjawił się w kilka minut potem, gwizdząc pod nosem jakąś nierozpoznawalną melodię. Podniósł nogę Landersa (ten wziął głęboki oddech), zaczął nią poruszać na boki, postawił ją na podłodze i powiedział:

–No, świetnie ją panu zoperowano.

Jego humor zupełnie nie pasował do nastroju pacjenta.

–Jak się nazywał ten chirurg? – spytał Curran, a kiedy Landers wymienił nazwisko majora, który go operował, wzruszył ramionami i uśmiechnął się. – Kimkolwiek jest, ma cholernie sprawne ręce.

Kazał pielęgniarzowi opatrzyć nogę z powrotem i zrobić nowe zdjęcie rentgenowskie. Zapowiedział Landersowi, że tym razem dostanie laskę. Po to, żeby odstawił kule. A potem wyszedł.

Landers odczuł wielką ulgę, kiedy nowy gips pokrył jego wątłą, słabą kończynę. Noga nie tylko błagała o ten zabezpieczający kokon, ale w dodatku nie musiał dłużej na nią patrzeć. Na ten biedny, przeklęty, zdruzgotany członek. Pielęgniarz cały czas żuł gumę i przegryzał ją z trzaskiem tylnymi zębami. Mokry, stygnący gips nieprzyjemnie rozgrzał nogę. Pielęgniarz wyjaśnił, że z włożonych w gips szyn ortopedycznych będzie mógł skorzystać po upływie doby, kiedy gips stwardnieje na dobre. Tak więc musi zatrzymać kule na przynajmniej jeszcze jeden dzień.

Landers ucieszył się. Zmiana gipsu tak go rozstroiła, że kule wydały mu się starymi, wypróbowanymi przyjaciółkami. Był tak roztrzęsiony, że nie miał pewności, czy zdoła powrócić na oddział o własnych siłach. Pielęgniarz przewidział to. Oznajmił, że ranni często reagują tak na widok swoich kończyn. Zadzwoił już po innego pielęgniarza, który odprowadził Landersa na oddział. Po powrocie Landers przez jakiś czas leżał, aż wreszcie zmobilizował się, wstał i poszedł do oddziałowego, żeby spytać, czy nie może zatrzymać kul dłużej. Na wieść o tej prośbie Curran, który w jakiś czas potem wpadł na oddział, żeby obejrzeć innych pacjentów, przyjrzał się Landersowi zwięzonymi, zamyślonymi oczami i wyraził zgodę. Powiedział jednak, że tylko na trzy dni, bo potem Landers zacznie używać nogi. W ten sposób natychmiast zyskał sobie w nim przyjaciela. Jednakże następnego dnia przez oddział przeszedł major Hogan sprawdzając, co się zmieniło u chorych, a kiedy spojrzał na kartę choroby Landersa, polecił zabrać kule. Dopiero na jego zdecydowany protest, poparty przez pielęgniarza, major

zmięknął i opuścił oddział, wściekły na miękkie serce Currana.

Na pierwszą swoją całonocną przepustkę Landers poszedł więc o kulach. Także on zdobył pewność, że zyskał sobie wroga.

Przepustka wynikała samoczynnie z faktu, że zaliczył badania chirurgiczne. Podpisał ją Curran, a Hogan zatwierdził. Zdaniem Currana Landersowi pozostało w tej chwili jedynie czekać, aż noga się wygoi. A to oznaczało chodzenie przez miesiąc czy półtora w gipsie. Z wyjątkiem obowiązkowej obecności na porannym obchodzie o dziesiątej, nie musiał przebywać w szpitalu. A jeśli miał całonocną przepustkę, to nawet to nie było konieczne. Po zdjęciu gipsu czekała go fizykoterapia, która przywróci nodze normalny kształt. Tak więc miał przed sobą co najmniej trzy

miesiące, w czasie których pozostawało mu niewiele więcej jak się bawić. Curran uśmiechnął się.

–A w Luxorze można się zabić na sto dwa – powiedział.

Była to z pewnością prawda. A jednak Landers wahał się, czy iść na przepustkę. Przede wszystkim z uwagi na radosną dla niego, pełną nadziei prognozę Currana. Nawet w najgorszych chwilach, kiedy po raz pierwszy ujrzał swoją wątłą, rozbitą kończynę, cząstka głęboko skrytej świadomości podszeptowała mu chytrze:

"O Boże! Jeżeli to wygląda tak fatalnie, to już nie odeślą mnie do służby! Muszą mnie zwolnić". Przypomniawszy sobie rozmowę ze Strange'em i jego kuszącą myśl, że nie będzie już zdolny do służby w wojsku. Optymistyczna prognoza Currana przekreśliła jednak tę możliwość.

Tak więc w końcu z przepustką w kieszeni wyszedł przez wielkie drzwi na postój taksówek przed szpitalem i pojechał do miasta z mieszanymi uczuciami co do swojej przyszłości. Co do wszystkiego. Gotował się w nim jakiś dziki gniew i poniekąd nienawidził się za swoje rachuby.

W Luxorze znał ze słyszenia tylko dwa miejsca, do których mógł pojechać. W ciągu paru dni pełnej swobody w szpitalu spędził wystarczająco dużo czasu z kilkoma kolegami z dawnej kompanii, żeby się tego dowiedzieć.

Jednym był hotel Claridge na North Main Street, drugim hotel Peabody na Union Avenue.

Po niewielu dniach, spędzonych wśród starych znajomych na picu w barze kawy i koktajli mlecznych oraz na zbijaniu bąków w dużym ośrodku rekreacyjnym, odkrył, co właściwie różniło go tak bardzo od znajomych żołnierzy w chwili, gdy zobaczył ich tu po raz pierwszy. Byli tacy obcy, że ich nie rozpoznał.

Oni po prostu otrząsnęli się już z wojennego szoku.

Przebywali nadal w szpitalu, ale zostali ranni siedem albo osiem miesięcy temu na Guadalcanale. Nie oglądali na oczy Nowej Georgii. Tak więc w ciągu miesięcy spędzonych w kraju pozbyli się tego szczególnego odrętwienia duszy, które u wszystkich wywoływała wojna, a ciężkie rany wzmacniały sto- lub tysiąckrotnie, odzierając nowe przeżycia z niewinności. Lecz nie pozbyli się go jeszcze on, Strange i Prell. I właśnie dlatego Landers tamtych nie rozpoznał. Wyszli już z szoku i utracili niewinność. Wszystko się w nich wypaliło i pozostały tylko spopieliałe resztki, od których bił cierpki, gorzkokwaśny swąd spalonych węgli z paleniska, na podobieństwo tych, które jego ojciec nazywał "żużlem", a które jako chłopiec, co należało do jego obowiązków, wyjmował z pieca w czasie długich zim w Indianie, wynosił przed dom i wyrzucał do śmieci.

Dochodzenie do zdrowia po zranieniu wypaliło w nich wszelką dziewiczość doświadczenia, jaką było odniesienie rany.

Ci, którzy mieli zostać zwolnieni z wojska, zostali już zwolnieni i szczęściarze – albo nieszczęśnicy – już stąd wyjechali. Pozostali wracali do służby w piechocie lub

gdzieś indziej. Widać to było po ich twarzach. To właśnie oni wiedzieli, gdzie kupić najtańszą whisky.

Gdzie znaleźć najbardziej chętne i najlepsze dziewczęta, a przynajmniej niezbyt drogie. Nawet darmowe, jeśli miałeś szczęście. To oni uśmiechając się zgryźliwie, poradzili Landersowi, żeby odwiedził bary w hotelach Claridge albo Peabody... jeżeli ma pieniądze. Kto miał forszę, powinien iść właśnie tam.

Landers miał pieniądze. Wprawdzie nie pisał do swojej rodziny, ale przesłał do kraju na swoje konto bankowe sześćset dolarów, które zaoszczędził od początku służby.

Tamci naturalnie byli już splukani. Dawno temu odebrali zaległy żołd za osiem czy dziewięć miesięcy, wydali wszystko z kont i do dyspozycji pozostało im jedynie to, co dostawali co miesiąc (mniej niż na froncie).

Tak więc musieli się zadowolić tańszymi, mniej eleganckimi barami i lokalami. Ale jeżeli byłeś przy forsie, to jechałeś do Claridge'a albo Peabody'ego, twierdzili, uśmiechając się z ironią.

Landers miał wrażenie, że podobnie cierpko, zgryźliwie uśmiechają się wszyscy w tym mieście. Miał taki uśmiech taksówkarz, który zabrał go ze szpitala, czarny odźwierny w eleganckiej, choć wytartej liberii, który pomógł mu przejść o kulach przez obrotowe drzwi hotelu Peabody. Mieli go recepcjoniści, żołnierze i marynarze, pragnący wynająć pokoje. Miał go sprzedawca ze sklepiku z alkoholami w hallu hotelowym, gdy sprzedawał mu butelkę w papierowej brązowej torbie, której koniecznie wymagano w barze. Tylko tak mogłeś kupić alkohol. Mieli taki uśmiech dwaj barmani i wszyscy pijący przy stolikach. Miały go również kobiety, siedzące z własnymi torebkami papierowymi, same albo w towarzystwie mężczyzn. Landers przyjechał tam kwadrans po jedenastej rano, ale pora ta nikomu nie

przeszkadzała w picciu. Dziewięćdziesiąt procent pijących było w mundurach. Mundurach wszelkich typów, służb i stopni. Poderwanie dziewczyny zajęło Landersowi niewiele czasu.

Zwykle, nawet, już w szkole średniej, okazywał przesadną nieśmiałość wobec kobiet. Zawsze chciał je rznąć i bał się, że one o tym wiedzą. Tym razem jednak, w barze hotelu Peabody, po prostu podszedł do samotnej blondynki i spytał ją, czy się z nim napije. Zgodziła się.

Dopiero kiedy usiedli, a ona uśmiechnęła się do niego, przyszło mu na myśl, że jest to ta sama dziewczyna, która kręciła biodrami, kiedy ich konwój ciężarówek jechał z dworca do szpitala. Tak więc spytał ją:

–Czy to ty kilka dni temu, na tej ulicy, kręciłaś biodrami, kiedy przejeżdżał tędy ze stacji do szpitala konwój z rąbanką?

Coś mu mówiło, że ta dziewczyna zna wyrażenie "rąbanka".

–A jak dawno to było? – spytała z silnym południowym akcentem.

Landers musiał policzyć.

–Z dziesięć, jedenaście dni temu – odparł.

Wzruszyła ramionami i odstłoniła w uśmiechu takie same śnieżnobiałe zęby.

–Może to zrobiłam. Niewykluczone. Sama nie wiem. A bo co?

–Nic, nic – odparł Landers. – Jechałem nim.

Na imię miała Marta-Lee. Ale wolała, żeby nazywać ją Martą. Pracowała w dużej firmie ubezpieczeniowej na tejże ulicy jako analizatorka zasadności roszczeń. Nie była mężatką, przyjechała tutaj z Montgomery, uwielbiała Luxor i nie miała zamiaru wracać do domu.

Ponieważ był to dzień powszedni, Landers zastanawiał się, czy nie powinna być w tej chwili w pracy. Nie miał nic przeciwko postawieniu jej kielicha, ale gdyby musiała

wrócić do biura, to za nic nie chciał marnować na nią czasu. Nieco zdziwiony własną śmiałością, spytał ją o to. Odparła, że miała taki zamiar, ale że już się prawie rozmyśliła. Posłała mu szeroki biały uśmiech. Nagle spostrzegł, że ma nadzwyczaj zmysłowe i piękne usta.

Po chyba pięciu kieliszkach zaproponował jej pójście na obiad. Odparła, że w tej chwili nie chce jej się jeść.

Wówczas rzekł, że wprawdzie jeszcze nie interesował się wynajęciem pokoju, ale jeżeli ona tu poczeka, to pójdzie i spróbuje coś załatwić, no a potem, na górze, mogą pić dalej.

–Nie dostaniesz tu pokoju – powiedziała i znów się do niego uśmiechnęła.

–Jak to: nie dostanę?

–Bo wszystkie są zarezerwowane. Jak zawsze o jedenastej. A nawet o wpół do jedenastej. Jak myślisz, dlaczego ci wszyscy zmartwieni chłopcy stoją tam, w recepcji?

Landers popatrzył na nią.

–Bo szukają pokoju?

–I spotyka ich srogi zawód.

Wiedziony niezawodnym instynktem, zatuszował i ukrył rozczarowanie. Posłał jej w odpowiedzi cierpki i zgryźliwy, jak liczył, uśmiech, który malował się na wszystkich twarzach wokół.

–Nie masz jakiego mieszkania, do którego moglibyśmy pójść i się napić? – spytał.

–Takiego, do którego mogłabym kogoś przyprowadzić, nie – odparła Marta i znowu uśmiechnęła się śnieżnobiało. – Jesteś pierwszy raz w mieście na przepustce? Prawda?

–Pierwszy raz na jakiegokolwiek przepustce. Pierwszej od siedmiu miesięcy.

Położyła dłoń na jego dłoni i uśmiechnęła się.

–Zaczekaj minutę. To nie potrwa długo. Ale gdyby tak się stało, to zaczekaj. Słyszysz? – powiedziała.

–Dobrze.

Zajęło jej to więcej niż minutę. Zajęło jej to ponad dziesięć minut. Landers zdążył tymczasem wypić swoją whisky, nalać obojgu nową kolejkę, wychylić tę drugą i zastanowić się nad swoją nieoczekiwaną, całkiem nową finezją w podejściu do kobiet – wciąż nie pojmując, skąd się ona wzięła. A potem wróciła Marta i ze swoim śnieżnobiałym uśmiechem wręczyła mu pod stołem klucz z dużą skórzaną przywieszką. Landers schował go do kieszeni i chciał uregulować rachunek.

–Nie śpiesz się – powiedziała. – Nie ma pośpiechu.

Tamto nie ucieknie. Najpierw napijmy się tutaj. Czy już masz butelkę?

Landers pokręcił głową.

–Tylko tę – odparł i podniósł z podłogi stojącą przy nodze stolika butelkę bourbona w papierowej torbie.

–Kupiłeś ją w tym sklepie przy barze, u szczytu schodów prowadzących do recepcji?

Landers skinął głową.

–A możesz kupić jeszcze jedną? Albo dwie? Mogą się przydać.

Landers znów skinął głową.

–Kupię po drodze. Jak zdobyłaś ten klucz? – zainteresował się.

–Należy do kogoś. Do osoby, którą znam – wyjaśniła. – Nie martw się o to. Nic ci nie grozi. Nikogo tam nie będzie.

–To dobrze – uspokoił się Landers.

–Co sobie zrobiłeś w nogę, żołnierzu? – zagadnęła z uśmiechem. – Spadłeś z drabiny?

–Tak, oczywiście. Tak właśnie było – przytaknął i nagle przypomniał sobie ów dzień, kiedy dnem doliny niósł meldunek dla pułkownika. Zadarł wtedy głowę, żeby popatrzeć na nacierający po stoku pluton i zobaczył,

jak jakiś żołnierz skacze w dół zbocza, jak gdyby zeskakiwał z drabiny. W parę sekund później tam, skąd zeskoczył, rozerwał się japoński granat. Żołnierz podniósł się i mozolnie zaczął piąć się z powrotem ku szczytowi.

–Przez jakiś czas chyba nie będziesz mógł tańczyć, co? – spytała z uśmiechem Marta.

Landers pokręcił przecząco głową. Kiedy dopili whisky i kupili nowe butelki, zeszli po schodach do recepcji i skierowali się prosto do wind. Na górę wjechali windą pełną żołnierzy. Niektórzy, nawet ci z dziewczynami, rzucali Landersowi krzywe, zazdrosne spojrzenia.

–Cześć, Marta – odezwał się ktoś zza ich pleców.

–O, cześć – odparła z niezmiennym uśmiechem.

Duży, staroświecki, wysoki apartament znajdował się na szóstym piętrze. Okna były otwarte, w środku chłodno. Na wieszaku w łazience wisiały czyste białe ręczniki. W otwartej szafie cztery wyprasowane mundury oficerskie. Z dwoma paskami grubymi i jednym cienkim na rękawach. Landers nie miał pewności co do stopni w marynarce wojennej, ale sądził, że dwa grube paski przedzielone wąskim oznaczają komandora porucznika.

Nad kieszeniami widniały skrzydełka lotnicze. Landers nie skomentował tego, co zobaczył.

–Należą do mojego znajomego – wyjaśniła Marta.

–Wynajmuje ten pokój na okrągło. Kiedy przyjeżdża, cały czas trwają tu przyjęcia. Ale bywa niezbyt często.

Szkoli wojsko w bazie lotnictwa morskiego.

Po nalaniu whisky, której nie wypili do końca, Marta zapragnęła złożyć autograf na gipsie Landersa.

Nie było z tym trudności, ponieważ nogawkę spodni i tak miał rozprutą od dołu aż powyżej kolana, gdyż inaczej nie mógłby ich włożyć. Marta od nowa umalowała usta, przycisnęła je do gipsu, a potem złożyła pod ich odciskiem podpis "Marta-Lee Prentiss". Jej dłonie

wspięły się po jego bokach ku ramionom. Po kilku pocałunkach oboje trochę się zadyszeli. Stanowczo uparła się, że rozbierze się w łazience. Twierdziła, że nie ma nic bardziej nieprzyzwoitego od widoku kobiety, która zdejmuje z siebie ubranie i wszystko, co nosi.

Landers się z nią nie spierał. Wróciła do pokoju zawinięta w duży biały ręcznik. Po chwili jednak, przyjąwszy pozę modelki spuściła go na podłogę.

–Proszę! Czyż tak nie jest lepiej? – spytała, a potem podeszła do łóżka, odsunęła pościel i położyła się.

–Możesz mnie rznąć, jeśli chcesz, ale nie wolno ci się zlać – wyszeptała. – Jednak tak naprawdę to chcę ci possać. Jestem flecistką. Jestem świetną flecistką. Czy już jakaś strzelała ci minetę?

–Pewnie – odparł Landers. I jeśli nawet była to prawda, to mocno naciągana. Na studiach eksperymentował kilka razy z dziewczętami, równie niedoświadczonymi i skrępowanymi jak on sam.

Ponieważ z powodu gipsu miał kłopoty z rozebraniem się, Marta wstała z łóżka i pomogła mu. Pomogła mu też dokuśtykać na posłanie.

–Twoja biedna noga – powiedziała. – Dasz radę wejść na mnie? A może ja mam wejść na ciebie? – Po jakimś czasie oderwała od niego usta i szepnęła: – Postaraj się lepiej. Mów do mnie. Mów, że jestem flecistką.

Mów, że jestem świetną flecistką.

Kiedy wreszcie lędźwie wybuchły mu w orgazmie, a oczy zamglily się z rozkoszy, ona zdążyła przeżyć już orgazm cztery razy.

Za drugim razem wszedł w nią i jakiś czas ją dmuchał. Poinstruowała go wtedy, jak się robi minetę dziewczynie. Landers nie miał nic przeciwko temu. Była to cenna lekcja. Po drugim stosunku wrócili na pewien czas do picia. Pod wieczór kazali przynieść sobie na górę posiłek. Ale w przerwie, którą sobie zrobili, zjedli tylko

połowę. Landers nie wiedział, jak się sprawy mają z Martą, on jednakże nadrabiał wiele miesięcy spędzonych na bezrybiu. Jeszcze później, w nocy, kiedy właśnie zaczynał się wczesny letni brzask, przebudził się w ciemnościach i odkrył, że leżąca obok niego naga Marta płacze.

Kiedy otoczył ją ramieniem, położyła na nim twarz i dokładnie zmoczyła mu całą pachę łzami.

–Co ci jest? Co się stało? – spytał.

–Nic. To nic.

–Ale coś ci musi być.

–To nic. Ach... zginął mój narzeczony. W Afryce Północnej. Zestrzelili go. Służył w lotnictwie.

Landers poklepał Martę po nagich plecach.

–Przykro mi – powiedział.

–Ach, to nic. Ale mój ojciec też nie żyje.

–Poległ na wojnie? Także on? – spytał wstrząśnięty.

–Nie. Umarł kilka lat temu. Ale był taki kochany.

–Nie zwracaj na mnie uwagi. Proszę cię. Śpij.

W końcu zasnął, z twarzą Marty przyciśniętą do jego mokrej piersi. Kiedy się obudził, leżał w łóżku sam.

Dziewczyny nie było.

Rozejrzał się, szukając jakiejś kartki z wiadomością, ale nie znalazł. Klucz ze skórzaną przywieszką leżał na komodzie. Landers bynajmniej nie czuł się źle. Jak człowiek może czuć się źle, skoro trafiła mu się taka gratka? Czuł jednak, że znalazł się w ślepym zaułku i że jest samotny. Samotny do szpiku kości. Właściwie Marta tę samotność pogłębiła. W jakiś czas potem zamówił sobie wspaniałe śniadanie, złożone z sadzonych jajek, grzanek z masłem, kukurydzy z bekonem i mnóstwa kawy, usiadł w słońcu przy otwartym oknie i wszystko zjadł. Kelnerowi, który mu je przyniósł, skrupulatnie zapłacił gotówką.

Kiedy owinięty w pasie dużym ręcznikiem pił ostatnią

filiżankę kawy i palił papierosa, w drzwiach pokoju zazgrzytał klucz i do środka wszedł młody komandor podporucznik marynarki. Nie był ani trochę zaskoczony jego obecnością.

–O, cześć. Jak leci? – powiedział, zrzucił z siebie marynarkę khaki z epoletami i uśmiechnął się do Landersa. – Czy my się znamy? Chyba nie. Na pewno poznałeś Marty, co? No, to czuj się jak u siebie w domu.

Wpadłem tylko na chwilę. Wykąpać się.

Zdjął koszulę i spodnie i w majtkach wszedł do łazienki.

Jakiś wewnętrzny chłód kazał Landersowi pozostać przy oknie. Siedział tam, rozkoszował się drugim papierosem i przysłuchiwał wodzie płynącej z prysznicą. Kiedy przestała lecieć, w drzwiach łazienki pojawił się, energicznie wycierając ręcznikiem nagie ciało, komandor podporucznik.

Spojrzał na gips Landersa i spytał z uśmiechem:

–Skąd przybywasz? Z Południowego Pacyfiku?

Landers wstał wolno, korzystając z jednej nogi.

Druga spoczywała na szynie ortopedycznej.

–Tak – odparł. – Z Guadalcanalu i Nowej Georgii.

Czy to widać?

–Masz żółtawą cerę. Malaryczną. Sam byłem jakiś czas na Guadalcanale. – Komandor wrócił do łazienki, włożył majtki, wyszedł stamtąd i zaczął się ubierać. – No, to czuj się jak u siebie w domu. Muszę pędzić, ha? Kiedy wyjdiesz, to klucz zostaw u szefa bojów hotelowych, dobrze? Jeżeli podasz mu swoje nazwisko, to później, jeżeli będziesz chciał znowu skorzystać z klucza, on ci go wyda. To miejsce przypomina Dworzec Centralny w Nowym Jorku. Przy okazji, jak się nazywasz?

Landers powiedział mu.

–Aha... zapłaciłem kelnerowi gotówką za śniadanie.

Ale nie wiem, jak zapłacić za kolację – dodał.

–E, nie szkodzi. Nie zwracaj sobie tym głowy.

Z tego pokoju korzysta nas kilku. A Marty często przyprowadza tu swoich znajomych. Poniekąd ją zaadoptowaliśmy. Ma smutny życiorys. Niekiedy dobiera sobie nieodpowiednich partnerów. Ale w takim przypadku szybko się zmywają. Ty, jak widzę, do nich nie należysz. Każdy, kto funduje sobie wystawne śniadanie w słońcu przy otwartym oknie, na pewno jest jak należy.

–Komandor spojrzał na wiszącą porządnie na krześle koszulę Landersa, do której ten niedawno, dzień wcześniej, przyszył szewrony. – Tak więc zachodź tu, kiedy zechcesz, kapralu. I nie zapomnij zostawić swojego nazwiska szefowi bojów hotelowych. Bo wtedy wciągnie cię na listę. A gdybyś chciał wnieść swój wkład w postaci kilku flaszek, to zostaw je u niego. Nigdy nie zostawiamy gorzałki w pokoju. Bo kiedy zostawiamy, to zawsze wypijają. Niemal codziennie jest tutaj hulanka. Banda pijaczków. Ale babeczki palce lizać. – Komandor włożył na siebie marynarkę khaki z epoletami. Porządnie ją zapiął, wziął zieloną czapkę z daszkiem i skinął nią na pożegnanie Landersowi. – Do zobaczenia. Muszę lecieć, ha? Jeżeli zobaczysz Marty, to pozdrów ją ode mnie.

Aha. Nazywam się Mitchell. Jan Mitchell. Jan to skrót od Janus. Straszne imię. Jak garb.

Jeszcze raz skinął czapką i wyszedł.

Landers nalał sobie whisky z długiej, do połowy opróżnionej butelki bourbona, która stała na komodzie, i ze szklanką w ręku stanął przed lustrem. "Jak należy".

"Jak należy". Nie wiedział, czy uznać to za komplement.

Sądził, że tak. Postanowił, że zostawi butelkę dla następnego gościa w tym pokoju, kimkolwiek się okaże.

Tym razem spostrzegł, że mundury wiszące w szafie są różnych rozmiarów.

Była dziesiąta i przed wyruszeniem do szpitala miał jeszcze półtorej godziny do zabicia. Nie znał lepszego

miejsca niż ten pokój na przemyślenie sobie ostatniej nocy. Zamknął drzwi dodatkowo na łańcuch, wszedł do łazienki, wziął prysznic i ogolił się mokrą brzytwą komandora podporucznika, przekonany, że tamten nie miałby nic przeciwko temu. A potem wrócił do pokoju i nalał sobie jeszcze jednego bourbona z wodą.

Ale po pewnym czasie spędzonym w pojedynkę zaczął odczuwać przeraźliwą samotność. A wraz z nią przyszło poczucie winy i wściekły gniew. Sądził, że nie zasłużył sobie na to wszystko. Ale jednocześnie nie chciało mu się wracać do szpitala. Ubrał się, wyszedł z pokoju i zjechał napić się czegoś w barze. Przedtem jednak w sklepie hotelowym kupił trzy butelki bourbona i wraz z kluczem zostawił je u czarnego szefa bojów hotelowych w recepcji. Podał mu też swoje nazwisko.

Kiedy po zameldowaniu swojego powrotu z przepustki zjawił się w obowiązującym stroju, piżamie i szlafroku, w szpitalnym barze, okazało się, że kilku kolegów ze starej kompanii, a i pewna liczba innych, wie już o Marcie-Marty. Nie mógł ukryć zagipsowanej nogi z autografem, ponieważ nogawkę piżamy również miał rozprutą, a czerwien szminki rzucała się w oczy. To samo zrobiła z gipsem Corella, kiedy tu przyjechał.

–Wspaniale ciągnie druta. – Corello, makaroniarz z McMinnville, uśmiechnął się szeroko. – A chciała, żebyś wylizał jej cipkę?

Dwóch innych, którzy też ją znali, roześmiało się.

–Każdej dziwie, która by mnie poprosiła o coś takiego, złamałbym szczękę – warknął wysoki chłopak z Alabamy, Alvin Drake.

Landers popatrzył po ich twarzach i skłamał.

–Nie. Nie chciała. A dlaczego pytasz?

Corello zachnął się głośno, a potem zaśmiał.

–Prosi o to każdego. Albo prawie każdego. Ale nikt się nie przyznaje, że to robił. Ja na pewno nie.

–No, ale mnie o to nie prosiła – odparł Landers, wzbudzając powszechny śmiech.

–W takim razie jesteś wyjątkiem – rzekł z uśmiechem Corello. – Tak czy siak ona świetnie ciągnie druta.

Wiedzieli o niej wszystko. Prawdą było, że przyjechała z Montgomery. Ale nie było prawdą, że jej narzeczonego zestrzelono w Afryce. Marta nie miała narzeczonego. Żadnego i nigdy. Jeden żołnierz, nie z ich kompanii, pochodził z Montgomery i znał ją i jej rodzinę. A rodzina ta była z pewnością przykładna.

Marta nigdy nie szła do łóżka dwa razy z tym samym mężczyzną. I zawsze dobierała ich sobie starannie. Na przykład, w ogóle nie próbowała poderwać Drake'a.

–I nie radzę jej próbować – warknął Drake ze złym uśmiechem. – Nienawidzę takich pizd. Ona jest, kurwa mać, zboczona.

Kiedy Landers mógł wreszcie od nich uciec, zaszedł do dużego ośrodka rekreacyjnego i tam klapnął na zbyt wypchaną kanapę, żeby wszystko sobie przemyśleć.

Zauważył już, że po nocy spędzonej z Marty poczuł się jeszcze bardziej samotny: A dodatkowo sprawę pogorszyło to, co usłyszał od innych. Miał po uszy ich ordynarnego chamstwa.

Ośrodek rekreacyjny wybudowano jako salę do koszykówki i gimnastyki, a na jednym z jej końców była scena. Kiedy nie grano tutaj w kosza, demontowano ławki i ustawiano meble. Co wieczór na boisku rozstawiano składane krzeselka i wyświetlano filmy. Po jakimś czasie Landers wstał z kanapy i poszedł porozmawiać z ładną ochotniczką Czerwonego Krzyża, która siedziała w kantorku, zawiadując raketkami do ping-ponga i sprzętem sportowym. Może to właśnie wówczas zakochał się w niej – albo zaczął podkochiwać.

Nazywała się Carol Ann Firebaugh. Pochodziła z Luxoru i chodziła do Western Reserve w Cleveland,

gdzie studiowała aktorstwo. W lecie zgłosiła się ochotniczo do tak zwanych "szarytek" z Czerwonego Krzyża.

Jednym okiem, prawym, niekiedy nie wodziła całkiem prosto, co w parze z jej długimi, zgrabnymi nogami sprawiało, że była niezwykle atrakcyjna. Wpadła też w oko wielu innym pacjentom, ale lubiła Landersa, ponieważ trzy i pół roku studiował w Bloomington w Indianie.

Landers nawiązał z nią rozmowę, kiedy tylko wypuszczono go z oddziału. Od kilku dni zaś zaczął ją stale i uparcie nachodzić, aż wreszcie – tego samego dnia, kiedy spotkał Strange'a po jego powrocie z urlopu – zgodziła się umówić z nim poza szpitalem.

Kiedy Landers zobaczył Strange'a, siedł on właśnie odwiedzić Prella.

Rozdział jedenasty Przez pierwsze cztery dni po przyjeździe Prell głównie spał. Nie mógł zresztą robić wiele, leżąc na wznak, znowu zawieszony na wyciągu. Poza tym był kompletnie wyczerpany, fizycznie i duchowo. W malutkim lusterku do golenia widział, że jego kuczna, fioletowosina skóra pod oczami zapadła się jeszcze głębiej w oczodoły.

Niekiedy budził się i pił trochę wody albo zupy. Szpital Kilrainey był dobrze przygotowany na taką całodobową opiekę. Zresztą przy Prellu całą noc czuwał pielęgniarz, który troszczył się o jego potrzeby. A poza tym poprzedzała go, a przynajmniej przybyła wraz z nim fama, że prawdopodobnie dostanie Medal Honorowy, dlatego wszyscy na oddziale, w tym szef pielęgniarzy, okazywali mu specjalne zainteresowanie.

Niestety, nie miał już takiego szczęścia do lekarza.

Zamiast do bardzo lubianego Currana, trafił do drugiego chirurga, pułkownika Bakera. Wtedy właśnie zaczęły się jego problemy i kłopoty. Prawie natychmiast. Pojął to, jak tylko oprzytomniał i zaczął interesować się otoczeniem. Zewsząd dochodziły go szepty, których nie umiał bezpośrednio zlokalizować. W którą stronę obrócił głowę, szept milkł i odzywał się gdzieś indziej, za jego plecami.

Siwowłosy pułkownik Baker był wysokim, szczupłym mężczyzną o przenikliwym wzroku i pobrużdżonej, workowatej twarzy, świadczącej o porywczosci. Przed wojną zaliczano go do najlepszych chirurgów ortopedycznych w Ameryce. Wyglądał na takiego, u którego brak opanowania bierze się z braku czasu i który nie może przejmować się czyimiś życzeniami i uczuciami, kiedy musi połatać kości, złożyć je z powrotem i wyleczyć. Postępowanie takie było bliższe postawie majora Hogana i zakładało, iż należy poskładać żołnierzy do kupy i wyprawić ich tak czy inaczej w diabły – jeśli można, to z powrotem do służby, a jeśli nie, to zwolnić z wojska i odesłać do cywila. W każdym razie pozbyć się ich, opróżnić łóżka i zrobić miejsce dla rzeszy nowych pacjentów, którzy wraz z przystąpieniem Stanów Zjednoczonych do ofensywy zaczęły napływać po każdym nowym ataku. Najwyraźniej już podczas pierwszej konsultacji w sprawie Prella uznał, że nie pozostaje mu nic innego jak uciąć prawą nogę pacjenta, która się nie goi, a potem odesłać go stąd i zwolnić łóżko dla innego.

Do Prella doszło to podczas drugiej konsultacji, czyli dziewiątego dnia pobytu na oddziale, bo za pierwszym razem był zbyt odurzony lekami i tylko półprzytomny.

Zrozumiał też, co szeptano o nim na sali. Chociaż do pewnego stopnia już wcześniej podejrzewał co. Leżąc w łóżku, patrzył i słuchał, jak trzech lekarze, Baker, Curran i Hogan, w towarzystwie szefa pielęgniarki, oddziałowego internisty i sanitariusza wojskowego, dyskutują o jego nodze w taki sposób, jakby mieli do czynienia z jakimś abstrakcyjnym problemem w rozgrywce szachowej.

–Nie zgodzę się na to – oznajmił ze znużeniem, kiedy Baker przedstawił mu decyzję. Miał wrażenie, że powtarza to zdanie przez całe życie.

–I tak możemy to zrobić – odparł Baker. – Bez

twojej zgody. Jeżeli uznamy, że uratuje ci to życie albo że jest to w twoim najlepszym interesie.

–W takim razie podam armię do sądu – odparł słabym głosem Prell. – Podam do sądu rząd. Nie daruję im ani grosza. I podam do sądu także pana. Za nadużycie władzy.

–Koszarowy adwokat, ha?! – warknął Baker.

Prell skinął głową.

–Tak jest. Kiedy w grę wchodzi moja własna noga.

Zaczął słuchać ich dyskusji. Znał się na mechanice.

Ponieważ kość była rozszczepiona w połowie uda, oznaczało to odpiłowanie jej tuż przy biodrze, tak by kikut można było zaszyć zabezpieczającym ciało płatem skóry. Na myśl o tym po krzyżu chodziły mu ciarki.

–Wątpię, czy to zrozumiesz – rzekł Baker.

–Rozumiem – odparł Prell. – To moja noga!

–Rzecz w tym, że twoja prawa noga się nie goi – dorzucił natychmiast Baker. – Aż do tej pory nie ma infekcji, żadnej poważnej infekcji. Niemniej faszerujemy cię sulfamidami. Żeby jej uniknąć. Nie możesz jednak brać ich bez końca. Powoli coraz bardziej słabniesz.

Gdybyś złapał infekcję, to byś umarł. Rozumiesz, żołnierzu?

Hogan cały czas kiwał głową i wydawał aprobowane pomruki. Curran zaś stał zapatrzony w przestrzeń, nie reagując i milcząc. Szef pielęgniarzy, internista i sanitariusz natomiast jedynie patrzyli, a trzy pary ich oczu wsysały wszystko, co widziały, jak sześć końcówek odkurzacza.

Prell skinął głową.

–Rozumiem – rzekł. – Ale nadal odmawiam.

Lepiej umrzeć niż żyć bez nogi.

Oczy Bakera zwężyły się, unióśł brwi.

–Przecież już powiedziałem, że możemy to zrobić bez twojej zgody – powtórzył ostrym tonem. – Tyle

tylko, że sprawa trochę się przeciągnie. Będę musiał wysłać raport i otrzymać zgodę. – Przyjrzał się Prellowi.

–Czy zdajesz sobie sprawę, że absorbujesz uwagę, zabierasz czas i miejsce, które mogłyby uratować życie jakiemuś innemu żołnierzowi?

–Szczерze mówiąc, gównu mnie obchodzi życie innych żołnierzy, panie pułkowniku – odparł Prell, zastanawiając się, jak można zadać takie pytanie komuś, kto ma stracić nogę. Zauważył, że Curran, jak gdyby w proteście, drgnął, lekko przesuwając korpus.

Długoręki Baker plasnął dużymi dłońmi w kolana.

–No cóż, ja, jako lekarz, uważam, że będziemy zmuszeni amputować ci prawą nogę. – Wstał i spojrzał na swoich dwóch towarzyszy. – Chyba że moi dwaj koledzy są innego zdania.

Hogan, który też już wstał, energicznie pokręcił głową i się nachmurzył. Także Curran, który nadal siedział, ledwo dostrzegalnie pokręcił głową.

Przyglądając się trzem lekarzom, Prell czuł, jak mu bije serce, wolno i złowieszczo ciężko, co zarazem było podniecające i wieściło zgubę. Właśnie tak czuł się czasami przed atakiem. Przez krótką chwilę był bliski ustąpienia i wyrażenia zgody. Walczył z tym, walczył, aż wreszcie przestał, bo nie było z czym. Spojrzał więc na nich i nic nie powiedział, kiedy Curran również się podniósł i wszyscy wyszli z sali. Najgorsze było straszne uczucie, że znajduje się w ich rękach i że jest całkiem bezradny. Absolutnie nic więcej nie mógł zrobić. Chyba że zacząć krzyczeć. Spróbował wziąć się w garść. Ale nadal był tak wyczerpany podróżą i resztą, że po kilku minutach, chociaż serce wciąż mu waliło, przekręcił głowę w bok i ułożył się do snu.

Cholera, a może ci kurewscy lekarze mieli rację?

Jego ostatnią myślą przed zaśnięciem było, że musi skontaktować się z Johnnym Strangerem albo z innymi

żołnierzami z kompanii i powiedzieć im o tym. Być może – ale był to znak zapytania – mogli coś na to poradzić. A kiedy zapadał w sen, przypomniał sobie słowa Corella, że Strange nie wpadł go odwiedzić, bo wyjechał na urlop.

Przez następny tydzień nic się nie zmieniło. Pułkownik Baker, a częściej major Hogan, wpadali, oglądali jego kartę choroby, patrzyli groźnie i kręcili głową.

Prawa noga nie goiła się. Lewa też zdrowiała wolno.

Podczas jednej z wizyt Baker oznajmił mu, że przesłał już raport i zażądał zgody na amputację. Nie wyglądał na zbyt zmartwionego tym faktem. Prella korciło, żeby go opluć albo skłąć, ale nie miał na to dość odwagi, woli i energii.

Przez chwilę zastanawiał się, czy powiedzieć mu, że jeżeli straci nogę, to się zastrzeli i skończy z sobą. Ale wtedy w sprawę wdałby się psychiatra. I mogliby go umieścić na oddziale zamkniętym.

Po tygodniu tych udręk – dokładnie w dniu powrotu i odwiedzin Strange'a – złożył mu nieoczekiwaną wizytę sam komendant szpitala, pełny pułkownik, podczas gdy dwóch chirurgów było podpułkownikami.

Nikt na oddziale nie przypominał sobie wypadku, żeby komendant odwiedził kiedyś jakiegoś pacjenta.

Pułkownik Stevens, absolwent akademii w West Point, był siwowłosy, przystojny i spokojny. Prell od pierwszego wejrzenia poznał, że w przypadku tego człowieka żadne krzyki i groźby nic nie dadzą i że musi spróbować czegoś innego. Podobno Stevens znajdował się na liście awansów i miał zostać generałem brygady. Przesiedział przy łóżku Prella pół godziny, uprzejmie z nim rozmawiając. W sumie sens ich rozmowy sprowadzał się do tego, czy Prell trwa przy swej odmowie amputowania nogi. Prell potwierdził. Pułkownik Stevens odparł na to, że stwarza to poważne problemy i dla Prella, i dla

administracji szpitalnej. Bo przecież Prell się naraża.

Pułkownik Baker napisał w swoim raporcie, że amputacja nogi jest konieczna, aby uratować pacjentowi życie.

Pozostali lekarze podzielili jego opinię. Zmuszało to dyrekcję szpitala, czyli jego samego, Stevensa, do podjęcia trudnej decyzji. Prell powtórzył jednak, że nie chce żyć bez nóg, a nawet bez jednej nogi.

–Panie pułkowniku, przecież chcieli już to zrobić wcześniej – dodał. Dla wywarcia odpowiedniego wrażenia, jeśli uznał, że może mu to pomóc, nie wahał się wykorzystywać spojrzeń swoich udręczonych, zapadłych oczu. – Tam na froncie, chcieli mi uciąć obie! Ale przekonałem ich, żeby mi ich nie ucinali, tak więc jestem tu, a moje nogi ze mną. Na pewno się zagoją, panie pułkowniku.

–Nie wygląda mi na to – odparł Stevens.

–Potrzeba tylko trochę czasu, panie pułkowniku.

–Pułkownik Baker jest innego zdania – odrzekł Stevens, wciągnął do płuc powietrze i wypuścił je z westchnieniem. – Jesteście starym żołnierzem, zawodowcem, prawda?

–Tak jest, panie pułkowniku. Kiedy zaczynała się wojna, odsłużyłem właśnie trzeci termin – odparł Prell.

–A powiedzcie mi, jak byście ułożyli sobie życie? – spytał nieoczekiwanie Stevens. – To znaczy, gdybyście mieli wybór.

–Zostałbym w wojsku – powiedział bez wahania Prell. – Na trzydzieści lat.

–Zostalibyście w wojsku? – Stevens potarł swój ładny podbródek. – Zresztą teraz już nie na trzydzieści.

Na dwadzieścia.

–I tak zostałbym na trzydzieści – zapewnił Prell.

–Gdyby mi pozwolili.

–No cóż, nie macie na to wielkich szans. Nie w waszym stanie.

–Tak, panie pułkowniku. Chyba nie. Ale marzę o tym.

–Wiecie, w waszych aktach jest informacja, że wasz dowódca dywizji wystąpił z wnioskiem o odznaczenie was Medalem Honorowym. Wiadomo wam o tym?

–Słyszę o tym dopiero od pana, panie pułkowniku.

Wolałbym mieć nogę niż ten medal.

–Tak – powiedział Stevens i uśmiechnął się.

–Jaką decyzję pan podejmie w sprawie mojej nogi, panie pułkowniku? – spytał Prell, nie mogąc się powstrzymać. A kiedy to mówił, przyszło mu na myśl, że jeszcze tak niedawno, na statku, wiadomość o Medalu Honorowym przyjąłby z najwyższym przejęciem. Ale to minęło.

Stevens pokręcił głową i wstał.

–Sam nie wiem – odparł. – Sam nie wiem, co zrobię.

–Wydaje mi się – zaczął Prell – że pułkownik Curran, być może, nie jest aż tak bardzo przekonany o konieczności amputacji, jak pułkownik Baker.

Spojrzenie Stevensa zaostrzyło się, a potem w jego oczach pojawiła się niechęć.

–Nie. To niemożliwe – powiedział. – Pułkownik Curran nie zgłosił żadnej odmiennej opinii.

–Ale ja nie jestem jego pacjentem. Prawda? A poza tym czy pułkownik Baker nie jest przełożonym pułkownika Currana?

–To niczego nie zmienia – odparł Stevens. – Nie w tak ważnej sprawie.

–Może jednak trochę zmienia – powiedział Prell.

–W świetle tak zwanej etyki zawodowej.

–Nie, nie – zaprzeczył Stevens. – Nie, nie.

Odwrócił się, jakby miał zamiar odejść, ale zatrzymał się.

Prell czuł, że dobrze rozegrał tę rozmowę. Ale nie był

z tego powodu zbyt szczęśliwy. Nie wydawało mu się, żeby w zasadniczy sposób wpłynął na poglądy komendanta szpitala. Jak to nazywali prawnicy? Wzbudzeniem uzasadnionych wątpliwości? Ten skurwiel Baker nazwał go "koszarowym adwokatem". O wszystkim tym opowiedział Strange'owi, z przerwami na odpoczynek, kiedy się zmęczył.

Słuchając go, Strange strasznie się obwiniał. Oto gdy sam wałęsał się beczynn timer na urlopie, którego wcale nie potrzebował i starał się dojść do ładu z własną żoną i rodziną, choć właściwie przestał je znać i rozumieć, gdy przez cztery parszywe dni obijał się w śródmieściu Luxoru, rżnąc w pokera, przez cały ten czas był niezbędnym Prellowi, który leżał tu i próbował ocalić nogę przed tymi cholernymi cywilnymi doktorami. Wyjechał w chwili, kiedy ktoś raz naprawdę go potrzebował.

Przynajmniej ten pułkownik Stevens należał do swoich. Absolwent West Point, stary wojskowy. Ale w dzisiejszych czasach nawet na tym nie można już było polegać. Od kiedy to ukończenie akademii w West Point gwarantowało, że takiej osobie można ufać? Niektórym można było ufać, innym nie.

Strange wcale nie wykluczał, że lekarze mają rację.

Prell wyglądał okropnie. Oczy miał tak głęboko zapadnięte, a skórę na policzkach tak obciągniętą, że wyglądał jak kościotrup. Jak martwy. Ale te kutasy mogły mu przynajmniej pozwolić na godną śmierć, taką, jakiej pragnął.

Jednakże z drugiej strony, cóż mógł dla niego zrobić?

On, skromny plutonowy, prowadzący kompanijną kuchnię? Jacy pułkownicy by go wysłuchali? Powiedział to Prellowi.

–Pomyślałem, że może poszedłbyś do Currana i pogadał z nim – powiedział Prell. Jego obwiedzione fioletowymi podkowami oczy patrzyły niemal z rozpaczą.

–Curran nie był aż tak bardzo za tą amputacją jak pozostali.

–Pogadam z nim na pewno – przyrzekł zdesperowany Strange. – Ale sam wiesz, że nie będzie skłonny mnie wysłuchać.

–Może poszedłbyś do niego ze wszystkimi chłopakami – podsunął Prell. – Napisał petycję. I dał do podpisania wszystkim.

–Petycję? – odparł Strange. – W wojsku?

–No, czasy się zmieniają. A ci ludzie nie są wojskowymi. To cywile – nalegał Prell. – Może petycja zrobiłaby na nich wrażenie.

–Spróbuję – obiecał Prell. – Spróbuję. Ale posłuchaj – dodał po chwili. – Zaraz. Podsunąłeś mi pewien pomysł.

–Jaki?

–Wyślę do Currana Landersa, żeby z nim porozmawiał.

–Dlaczego Landersa?

–No, sam wiesz. Studiował i w ogóle. Wyraża się jak oni. Gdyby to on, a nie ja, z nimi porozmawiał, wypadłoby poważniej.

–To dobry pomysł – przyznał Prell, a źrenice jego zapadłych oczu rozszerzyły się na ten promyk nadziei.

–Wypróbuj go.

–Na pewno. Na pewno – odparł Strange.

Nie bawił się w żadne oficjalne pożegnania. Landersa znalazł w ośrodku rekreacyjnym, gdzie rozmawiał z ładną dziewczyną z rozbieżnym zezem, nerwową i chowającą się za ladą ze sprzętem sportowym niczym za obronnym murem. W zwykłych okolicznościach na taki widok by się roześmiał.

–Ale dlaczego ja? – spytał Landers, kiedy usiedli na jednej z kanap stojących na boisku do koszykówki.

–Wcale nie znam Currana lepiej od ciebie.

Landersowi trudno było się skupić. Przed chwilą Carol Firebaugh przyjęła wreszcie jego zaproszenie, chyba dwudzieste z kolei, żeby się z nim spotkać poza szpitalem. I wtedy nagle odkrył, że zamiast radości przepełnia go dawna rozpacz. Nie wiadomo dlaczego znów ujrzał przed oczami obraz, który utrwaliły jego źrenice tamtego dnia na krawędzi wzgórza, kiedy wraz z innymi żołnierzami siedział i wpatrywał się w czyste, białe smugi po łzach na ich zabrudzonych twarzach. Te dwie rzeczy były od siebie tak odległe, że nie miały ze sobą żadnego związku. Dorośli ludzie. Bez wyjątku.

Włącznie z nim. Jej zgoda na spotkanie była tak powściągliwa, że graniczyła z odmową. Tamten zaś obraz wciąż powracał, żeby go prześladować. Coś tamtego dnia się dla niego skończyło. Jak można to wytłumaczyć komuś, kto tam nie był? Jak mógł jej to powiedzieć? I właśnie dlatego znów ogarniał go ten wściekły gniew. Ślepy. Właśnie chciał się wycofać z zaprosin, kiedy pojawił się Strange.

–Wiesz, studiowałeś. I w ogóle – powiedział mu.

–Wyrażasz się jak oni.

–Myślałem, że się na mnie pogniewałeś – odparł Landers.

–Co? – Strange wpatrzył się w niego. Uwaga Landersa nie kojarzyła mu się z niczym. – Pogniewałem się na ciebie? Jak to, pogniewałem?

–No, ledwie raczyłeś powiedzieć cześć, kiedy wcześniej spotkaliśmy się na korytarzu. Po prostu zaraz odszedłeś. Jakbyś nie chciał mnie znać.

–A! – Strange poczuł się tak, jakby nieoczekiwanie natknął się w ciemności na mur. Oto otwierano przed nim całkiem nową perspektywę, zupełnie nowe pole, których nie miał ani czasu, ani ochoty badać. – Bo martwiłem się o Prella, rozumiesz? Zrobisz to? Pójdiesz do Currana?

–Jasne, że pójdę. Zrobię wszystko dla każdego chłopaka z kompanii. A zwłaszcza dla niego.

Do Landersa dotarły złe wieści o Prellu. Wszystkim powiedział o nim Corello. Landers omal nie wzruszył na to ramionami i doliczył to do kosztów walk, wojny w dżungli, ofiar Nowej Georgii. Noga. Do głowy mu nie przyszło, że coś można na to poradzić. W tej chwili jednak rozgorzał w nim nagle płomień żołnierskiej lojalności, przypalając mu gardło i serce. Zrobiłby dosłownie wszystko, co w jego mocy, dla

każdego z nich.

Oni zrozumieliby, gdyby opowiedział im o tych żołnierzach na szczycie wzgórza. Mogli się z tego śmiać.

W tej chwili. Ale by zrozumieli.

–Wątpię jednak, czy Curran wysłucha mnie chętniej niż ciebie – odparł. – Prawdopodobnie mniej chętnie.

–Ale czy spróbujesz? I powiedz mu też, że jeżeli chce, to my wszyscy ze starej kompanii jesteśmy gotowi sporządzić petycję i podpisać ją.

–Jasne, że spróbuję.

–Prell uważa, że Curran nie był aż tak bardzo za tą amputacją jak tamtych dwu.

–Pójdę zaraz. Chcesz, żebym poszedł w tej chwili?

–Dobrze. I powiedz mu o petycji.

Landers nie miał już kuli i korzystał z laski oraz szyny chirurgicznej. Ciągle jeszcze bał się chodzić i czuł się niepewnie. Dojście z ośrodka rekreacyjnego do sal operacyjnych zabrało mu sporo czasu. Wiele wysiłku kosztowało go bardzo ostrożne wchodzenie i schodzenie po różnych rampach przeznaczonych dla łóżek i wózków na kółkach. Kiedy wreszcie dotarł do malutkiego gabinetu Currana, kolana mu drżały. Na szczęście zastał go tam.

Curran pochylał właśnie głowę nad jakimiś papierami. Landers zatrzymał się, żeby odpocząć i opanować się. Koniecznie musiał zachować się grzecznie i taktownie. A nie miał ochoty ani na jedno, ani na drugie.

–Czy mógłbym z panem porozmawiać w cztery oczy, panie pułkowniku? – spytał. –
W sprawie prywatnej.

–Curran podniósł głowę i spojrzał zdezorientowany.

Skinął głową.

–Oczywiście. Pewnie. Proszę wejść.

–Nie chodzi o mnie – wyjaśnił Landers. – Chodzi o mojego kolegę. Nazywa się Prell.

–A co z nim?

–Jest nas tutaj siedmiu z naszej dawnej kompanii.

Chłopcy wyznaczyli mnie na swojego, nazwijmy to, rzecznika. Dowiedzieliśmy się,
że grozi mu amputacja prawej nogi.

Landers miał wrażenie, że Curran wpatrzył się w niego groźnie. Chociaż nie, nie
całkiem. Zastanawiał się przy tym inną częścią świadomości, skąd znalazł w sobie
tyle czelności, żeby się zdobyć na to, co robi. Jednakże odpowiedź nie była trudna.
Wystarczyło po prostu, że myślał o żołnierzach, z którymi siedział na tamtym
wzgórzu. Żaden z tych tutaj nie miał zielonego pojęcia, co to oznacza, i nie chciał nic
o tym wiedzieć. Podobnie jak my sami, pomyślał Landers.

–Jest to możliwe – odparł Curran. – Nawet bardzo możliwe.

–Prell to jeden z najlepszych żołnierzy, jakich miał nasz oddział. Chyba słyszał pan o
tym, że chociaż go raniono, uratował cały patrol. Został za to zgłoszony do medalu.
No, a my sądzimy, że utrata nogi go zabije.

Chłopcy chcieli, żebym spytał pana, czy nie mógłby pan jakoś uratować mu tej nogi.

Wydawało się, że oczy Currana powiększają się i cofają.

–A cóż, według was, ja mógłbym zrobić, na miły Bóg?!

–Coś, co dałoby mu szansę. Szansę walki o ocalenie nogi.

–Na przykład, co? A zresztą on nie jest moim pacjentem.

Curran spuścił wzrok na biurko i przesunął papiery.

–Prell powiedział, że pan nie był aż tak bardzo za tą amputacją jak tamci.

Curran w jednej chwili poderwał głowę.

–Tak powiedział?

Landers skinął głową.

–W każdym razie jednemu z nas. Nie mnie. Powiedział, że odniósł takie wrażenie.

–Ten żołnierz jest w bardzo złym stanie – rzekł Curran. – Jedna noga nie chce mu się goić. A z drugą też nie jest najlepiej. Coś jest nie tak z jego organizmem.

Z zachodzącymi w nim procesami. Coraz bardziej słabnie i słabnie i po prostu nie zdrowieje.

–A nie mógłby mu pan czegoś zaaplikować?

–Dajemy mu wszystko, co można. Sulfamidy.

Osocze. Glukozę. A poza tym zapomina pan, że on nie jest moim pacjentem.

–No, a gdyby odjąć mu jakiś lek? Jeśli rzeczywiście coś jest nie tak z procesami w jego ciele?

Curran wpatrzył się w niego zmrużonymi oczami.

Na chwilę spuścił wzrok na biurko.

–Widzę, że czegoś pan nie rozumie. To nie tak – powiedział. – Nie mogę się nie zgodzić z opinią pułkownika Bakera. Myślę, że ma rację. A ten żołnierz jest jego pacjentem.

Landers grzecznie skinął głową. Przyszło mu nagle do głowy, że Curran, być może, jednak odrobinę maskuje prawdę. I nie przyzna się, że nie był aż tak bardzo przekonany o konieczności amputacji, jak tamci dwaj, i że Prell miał co do tego rację. Niemniej nic nie powiedział.

–Możliwe, że pułkownik Baker nieco się z tym śpieszy – rzekł Curran. – Jest to jednak naprawdę bez znaczenia. Pułkownik Stevens nie pozwoli na amputację nogi bez zgody Prella. A Prell się na nią nie zgodzi.

Pułkownik Baker po prostu przygotowuje grunt. Zawczasu. Jeśli zaś chodzi o powstrzymanie go przed czymś, to na ogół robi on tylko to, co konieczne. Niech pan więc nie myśli, że część z nas, chirurgów, to potwory, które tylko czekają na okazję, żeby komuś odciąć nogę.

Landers znów grzecznie skinął głową. Ale gdzieś w piersi albo w głowie, tuż za oczami, czuł, że zachodzi w nim zmiana. Jakaś nieznaną osobowość przejmowała kontrolę nad jego mięśniami i głosem. Niemal tak jak owego dnia na statku, kiedy poczuł, że ogarnia go wściekły gniew na wszystko, na samo życie.

–Nikt tak nie myśli, panie pułkowniku. W każdym razie chłopcy kazali mi powiedzieć, że chętnie napiszemy i wręczymy panu podpisaną przez nas wszystkich petycję przeciwko tej amputacji – oznajmił odmienionym, szorstkim tonem. – Jeżeli pan zechce.

Głowa Currana ponownie podskoczyła w górę. Był zdumiony. Odpowiedział Landersowi tak samo, jak Strange Prellowi.

–Petycję? W wojsku? Czy wy, ludzie, oszaleliście? – spytał i dłuższą chwilę wpatrywał się w niego. – Bardzo go cenicie, co?

–Sądzę, że go wszyscy podziwiamy – odparł Landers w swoim nowym, szorstkim wcieleniu. Przejierając na wskroś czystą, sympatyczną twarz Currana, ujrzał nagle przed oczami grań swojego wzgórze i żołnierskie twarze z pionowymi, białymi smugami po płynących w dół łzach. – Ale nie w tym rzecz. Myślę, że pan nas nie rozumie. Bo my dbamy tylko o siebie nawzajem, a całą resztę mamy gdzieś. Chodzi nie o to, że tak

bardzo cenimy Prella, a raczej o to, że jesteśmy inwestorami. O to, że każdy z nas zainwestował mały kapitał w pozostałych. Kiedy tracimy jednego z nas, to tracimy też trochę naszego kapitału. Czyli więcej, niż każdy z nas z osobna miał do zainwestowania, rozumie pan?

–Nie pytaj, komu bije dzwon – zacytował Curran.

–John Donne, oczywiście. – Landers wyszczerzył się wilczo w uśmiechu. – Ale to są bzdury. A poza tym nie stosuje się do nas. To abstrakcja. Poezja. Dotyczy całej ludzkości. A my to nie cała ludzkość. My całą ludzkość mamy w dupie. W dupie też mamy prawdopodobnie siebie nawzajem. Rzecz jednak w tym, że jest to nasz cały kapitał. Tak więc bardzo chętnie sporządzimy petycję, podpiszemy ją i, pał sześć konsekwencje, wręczymy ją każdemu, kogo pan wskaże – rzekł na koniec. – Choćbyśmy mieli za to trafić do obozu karnego, i tak podpiszemy ją z radością. Jeśli tylko pomoże to uratować nogę Prella.

Curran zbladł. Podniósł się sztywno. Ale nie wyglądał na zagniewanego. Landers zastanawiał się, czy nie posunął się za daleko i czy nie zapomniał o takcie i grzeczności.

–A czy zdajecie sobie sprawę, że równie dobrze może go to zabić? – spytał Curran.
– Niewiele mu do tego brakuje. Chcecie, żeby umarł?

–Myślę, że wszyscy z nas by przyznali, że jeżeli ten biedak chce umrzeć w taki sposób, to trzeba mu na to pozwolić. Niech umrze tak, jak chce. Nie pozostaje mu oprócz tego prawie nic. A poza tym, przecież był już bliski śmierci. Tak jak my wszyscy.

–Niczego nie obiecuję – powiedział łagodnie Curran. – Ale zapewniam, że damy mu wszystkie możliwe szansę. Nikt tu nie pragnie pozbawić go nogi. Ale, być może, będziemy musieli to zrobić.

–Więc nie chce pan, żebyśmy napisali petycję?

–Chcecie, to ją napiszcie i złożcie podpisy. Jeśli poprawi to wam samopoczucie. Ale uważam, że w przypadku pułkownika Stevensa nic to nie da.

Na korytarzu Landers oparł się o ścianę, żeby zebrać myśli. Jego drugie wcielenie zniknęło. Przez jakiś czas w małym gabinecie Currana był czynnie inną osobą.

Coś takiego zdarzyło mu się pierwszy raz. Nie potrafił powiedzieć, czy to, co zrobił, pomogło, czy zaszkodziło.

A może nie odniosło najmniejszego skutku? Po jakimś czasie pokuśtykał z powrotem.

W ośrodku rekreacyjnym zrelacjonował wszystko Strange'owi, cytując mu odpowiedzi Currana. Pominął jedynie swoją metaforę o inwestorach, która wydała mu się niemądra i pretensjonalna, nie wspomniał też, że czuł się jak ktoś inny. On i Strange nie byli w stanie odgadnąć, czy ta wizyta w czymkolwiek pomogła.

–Może to mu da trochę do myślenia – powiedział skwaszony Strange.

Siedząca w kącie po drugiej stronie boiska do koszykówki Carol Firebaugh dała Landersowi znak, żeby podszedł, bo chce z nim porozmawiać. Landers popatrzył na nią ponuro, a potem wolno pokręcił odmownie głową i zwrócił się do Strange'a.

–Psiakrew, żałuję, że nie ma tutaj Wincha – dodał z żalem Strange. – Gdyby ten skurczybyk tu był...

–Myślałem, że Winch nienawidzi Prella – rzekł Landers.

–Owszem. To znaczy, nie lubi go – przyznał Strange. – Ale byłoby to nieważne.

Na jego prośbę Landers wyszedł z nim z ośrodka i poszli do baru, żeby zobaczyć się z innymi kolegami z kompanii. Strange postanowił, że mimo wszystko sporządzą petycję i podpiszą ją. Landers nie pożegnał się z Carol Firebaugh, nawet nie skinął jej ręką.

Kiedy poszli we dwóch do Prella, żeby zdać mu

relację z rozmowy z Curranem, wysłuchał ich w milczeniu do samego końca. Do niczego nie rozstrzygającej konkluzji. Wówczas zaś bez słowa przekręcił głowę w bok i spod zaciśniętych powiek wydostały się mu dwie łzy.

Po chwili postanowili wymknąć się.

–Przepraszam, chłopcy – zawołał za nimi ochryple Prell. – Nie jestem całkiem sobą. Ta sprawa zupełnie mnie wykończyła.

–Winch wiedziałby, co zrobić – powiedział cicho Strange, kiedy zamknął drzwi oddziału.

Rozdział dwunasty Winch jednak, o czym nie wiedzieli, słyszał już o Prellu. I to właśnie ze względu na niego przyśpieszył swój wyjazd ze szpitala Lettermana do Luxoru. Wyjeżdżał akurat w chwili, kiedy Strange zamykał duże wahadłowe drzwi ze sklejki na oddziale Prella, żałując, że nie ma tam jego szefa kompanii.

Winch nie miał pojęcia, co począć z Prelliem, ale jeżeli mógł jakoś pomóc, to pragnął tam być. Chociaż ten kutas na to nie zasługiwał.

O Prellu dowiedział się od starego D.T. Hoggenbecka. Kiedy wreszcie wypuszczono go z łóżka, i znalazł się na chodzie, wybrał się na kolację do starego D.T. i Lily. Lily, połowica Hoggenbecka, była kościstą, zachłanną herod-babą z końską szczęką. Zaproсили go do swojego dwupiętrowego murowanego domu w pobliżu Presidio.

Winch nie pił, pomyślał więc, że co mu szkodzi iść. W ogóle nie mógł pić. Był to jeden z najprzykrzejszych wieczorów w jego życiu. Nawet najgorsze wieczory na Guadalcanale nie były tak fatalne. D.T. i Lily gadali wyłącznie o swoich najnowszych nabytkach.

Oboje też nie wylewali za kołnierz. Winch nie przypominał sobie większej tortury i jeszcze nigdy nie

był bardziej wściekły niż na widok tych dwojga, osuszających przed kolacją baterię szklaneczek. Ale od D.T. dowiedział się o Prellu.

–Pamiętasz starego Jacka Alexandra? – spytał D.T. gdy spałaszowali trzy wielkie kotlety z polędwicy (dla Wincha przyrządzone bez soli). – Z Wahoo? Starego Aleksandra Wielkiego?

Winch pamiętał go. Kiedy odsługiwał swój pierwszy trzyletni kontrakt zawodowy, Alexander był wojskowym mistrzem Hawajów w wadze ciężkiej. Nazywano go "Aleksander Wielki" albo "Cesarz". Utrzymywał ten tytuł przez pięć lat.

–Więc dostałem od niego list – ciągnął D.T.

–W Luxorze, w szpitalu Kilrainey, pełni tę samą funkcję co ja tu. Pisze, że chcą uciąć nogę jednemu z twojej kompanii. Tylko że chłopak nie zgadza się na to i cały szpital ma z nim urwanie głowy.

–Prell?

–Tak się nazywa.

Winch wysłuchał z ust D.T. całej historii. To było podobne do Prella.

–Kto ma rację? – spytał, kiedy D.T. skończył.

–Trudno powiedzieć. Zdaje się, że ten chłopak jest naprawdę bardzo chory. Nikt z pozostałych lekarzy nie chce kwestionować opinii tej wielkiej cywilnej figury, pułkownika Bakera. – D.T. uśmiechnął się. – Nasz pułkownik Stevens ma kupę zmartwień. Zarządza tamtejszym szpitalem. Pamiętasz go?

Winch potrząsnął przecząco głową.

–Na pewno go pamiętasz. – D.T. rozprostował długie nogi i sięgnął po butelkę. – Był z tobą w Riley.

Dowodził kompanią. Cała odpowiedzialność za odmowę tego chłopaka spada na jego głowę. A on przy najbliższej promocji chce awansować na generała brygady. Pamiętasz go z pewnością.

Winch jeszcze raz pokręcił głową. Pułkownik Stevens nic go nie obchodził. Ale Bobby Prell przeciwnie.

–Przy okazji, D.T. – rzekł jak pokerzysta, który ukrywa, że ma kolor. – Miałem cię o to zapytać. Jak wyglądają moje szanse na wyjazd do Luxoru? Jeżeli mam się rozejrzeć za tą robotą w Drugiej Armii, to lepiej, żebym tam pojechał.

–A, oczywiście. Kiedy zechcesz. Jeśli tylko pozwolą ci jechać lekarze – odparł D.T. z taką miną, jakby wątpił, czy to prędko nastąpi. Przez jego czerstwą, mocno pomarszczoną twarz przemknęła niemal chłopięca troska. – Ale przecież ty musisz o siebie dbać. Twoje zdrowie pozostawia wiele do życzenia. Napędziłeś nam niezłego stracha.

Winch potrząsnął głową.

–Nic mi nie dolega. Dopóki nie piję.

–A, owszem. To na pewno trudne.

–Nie, bynajmniej.

–Mnie na pewno byłoby to nie w smak – odparł D.T. i sięgnął po butelkę.

Winch z kamienną twarzą patrzył, jak D.T. pije.

A potem patrzył, jak nalewa Lily, sobie, i piją oboje.

Wyszedł stamtąd najprędzej, jak mógł.

Następnego dnia zaczął urabiać lekarzy, którzy go leczyli. Prawdę mówiąc, był zadowolony, że znalazł sobie znowu jakiś cel w życiu. Gniewało go jednak, że tym celem okazał się Bobby Prell.

–Ma pan mnóstwo wpływowych znajomych – rzekł do niego z uśmiechem szef kardiologii, odkładając stetoskop. – W zwykłych okolicznościach kogoś w pańskim stanie zwolnilibyśmy z wojska.

–Nie mogą się obyć bez mojego doświadczenia – odparł Winch.

–Nie widzę przeciwwskazań do podróży – dodał lekarz. – O ile tylko będzie pan przez cały czas pamiętał,

co ma robić. Dieta. Unikanie wysiłku. Ale czemu tak spieszo panu wyjechać? Szpital szpitalowi podobny.

–Muszę się rozejrzeć za pracą, która podobno tam na mnie czeka.

–W takim razie nie zatrzymuję. Nie potrafiłbym określić, co doprowadziło pana do takiego stanu. Ale jesteśmy pewni, że ma to związek z alkoholem, który pan w siebie wlewał. Musi się pan pogodzić z myślą, że nie wypije już pan ani jednego kieliszka w życiu.

–Już się pogodziłem – odparł Winch.

Ale nie pogodził się. Na samą myśl o tym był bliski gryzienia ścian. Zdumiewające, że kiedy przestajesz pić, spostrzegasz, iż niemal wszystko w Ameryce łączy się jakoś z piciem. Każdy obiad. Każdy posiłek. Prawie każde towarzyskie spotkanie. Każde uganianie się za spódniczką. A wieczorem, kiedy wszyscy filozofują o życiu, wojnie i śmierci, albo kiedy w tańcu próbujesz się migdalić z dziewczyną, jeśli nie pijesz, to zachowujesz dystans wobec wszystkiego. I wszystko cię śmiertelnie nudzi.

Kiedy po tygodniowym leżeniu Wincha wypuszczono z łóżka, wybrał się na jeden wieczór do miasta, ale na trzeźwo było ono nie do zniesienia.

–Czy przekaże pan raport chorążemu Hoggenbeckowi? – spytał lekarza.

Wskutek ataku serca stracił też zupełnie popęd płciowy. Ale może był to efekt lekarstw.

–Jutro z samego rana – przyrzekł kardiolog.

–A czy mógłby pan to zrobić dzisiaj?

Lekarz skinął głową.

–Chyba tak, oczywiście.

Po dwóch godzinach spędzonych na mieście Winch powrócił do szpitala i już go więcej nie opuścił.

Ale poza tym nie było aż tak źle. Śmierć z powodu zastoinowej niewydolności serca była zapewne równie

dobra jak z każdej innej przyczyny. Winch nie miał pewności, czy chce umrzeć. Najwidoczniej nie chciał, bo czyż inaczej przestałby pić? Pociuszające było to, że wiedział o tym. Gdyby chciał umrzeć, wystarczyłoby, żeby zaczął pić od nowa.

Zapakowali go do łóżka na oddziale kardiochirurgicznym i zatrzymali tam. Zaaplikowali mu potężną dawkę leków moczopędnych i naparstnicy i dokładnie pilnowali objętości płynów wchłanianych i wydalanych.

Pełny wypoczynek w łóżku był ani chybi sam w sobie wspaniałym środkiem moczopędny. Po dwudziestu czterech godzinach zaczął wysikiwać z siebie trzy razy więcej, niż wypił. I już po pierwszej nocy był w stanie znów oddychać swobodnie. Przetrzymani go w łóżku pięć dni.

Nazywali to ostrym obrzękiem. Zatrzymywaniem płynów. Kiedy obrzęk docierał do płuc, przechodził w fazę zastoinowej niewydolności serca i człowiek zaczynał wykastywać spienioną wydzielinę. A kiedy już zajął płuca, zaczynały się one wypełniać wodą. Co jeszcze bardziej obciążało serce i powiększało obrzęk.

Błędne koło. Wreszcie powoli topieł się.

W którymś momencie podczas pierwszej nocy Winch o mało co nie zemdlął. Wszystko jakby się rozmyło i choć właściwie nie stracił świadomości, to jednak miał wrażenie, że nie jest dłużej w swoim ciele. Ogromne zmęczenie, wyczerpanie kaszlem i strasznie dolegliwe uczucie, że nie może nabrać do płuc dość powietrza, przestały mieć swoje źródło w nim samym. Właściwie nic go nie bolało. A wszystkie dolegliwości dokądś odeszły. Pragnął jedynie porządnie się wyspać i pozostać tam, gdzie ich nie ma. Lekarze i pielęgniarki tylko go irytowali. Przypomniał sobie, jak pomyślał, że umiera.

Od samego początku nie bał się ani przez chwilę. Od samego początku. A potem też nie. Właściwie wcale nie

było to przykre przeżycie. Przeciwnie, nawet przyjemne.

Nie mógł również powiedzieć, że znalazł się poza ciałem i że "widzi" się z zewnątrz. Innymi słowy, nie "widział" nic. A jednak nie mógł się pozbyć wrażenia, że jest kimś innym.

Później także się nie bał. Był to dobry sposób na zawinięcie się, na wybranie się na tamten świat. Do Buffalo. Przypomniawszy sobie w którejś chwili, że chciał im powiedzieć, jakie wybrał sobie epitafium. Brzmiało ono:

"Stój. Idź. Kondolencji pieniężnych nie trzeba". Wyryliby to dużymi literami w kamieniu i pominęli nazwisko.

Wcale by go nie było.

–Przez chwilę myślałem, że pan umrze – wyznał mu potem jeden z lekarzy.

Winch tylko się do niego uśmiechnął.

Ale w dniu, w którym zgłosił się w szpitalu do młodego internisty, jego serce z pewnością nie było powiększone aż tak bardzo, jak tamten myślał. Był do uratowania, jak ujął to któryś z lekarzy. Niemniej wyszedł z tego z osłabionym sercem. Kiedy po pięciu dniach postawili go na nogi, polecili mu dużo się ruszać.

Bardzo na to nalegali.

Postawili go na nogi, ale giczoły mu się trzęsły. Dla kogoś tak silnego jak on było to przykre. Czuł się za słaby, za wąty. Niemniej przyprawiona goryczą część jego świadomości doceniała, a nawet rozkoszowała się tym, co go spotkało.

W łóżku mógł ze zdumieniem obserwować, jak jego ciało traci tuszę. Najwyraźniej, tak przynajmniej mówiono, tłuszcz trzymał się w ciele dzięki płynom komórkowym. A kiedy człowiek wydalal z siebie wodę, to wydalal też tłuszcz. Przed dwoma laty zaczął mu rosnać brzuszek. Teraz zaś zniknął i jego brzuch znów stał się płaski. Pod policzkami pojawiły mu się nowe ładne zagłębienia. Stopy i kostki, dotąd zgrubiałe i spuchnięte,

niemał na jego oczach zmieniły wygląd i znowu zobaczył kości swoich nóg i rąk.

Dobrze, że chociaż pozwolili mu na wyjazd do Luxoru. Pod warunkiem, że będzie się stosował do zasad diety, nie nadweręzał organizmu i przestrzegał zakazu picia. Oraz palenia. Świetnie.

Nazajutrz poszedł do Hoggenbecka, żeby pchnął dalej jego papiery. Stary D.T. załatwił mu przelot do Luxoru samolotem wojskowym. Wyjeżdżał stąd z wielką chęcią. Bez względu na sprawę Prella.

Wojskowy samochód z bazy lotniczej w Luxorze podwiózł go pod wielkie frontowe drzwi szpitala. Nie było komitetów powitalnych ani grup pacjentów wypatrujących znajomych twarzy. Winch przyjechał sam.

Przez chwilę stał w letnim słońcu na wybetonowanym placu i spoglądał na wejście. Myślał o tym tępym, głupim zasrańcu Prellu. Po chwili podniósł brezentową lotniczą torbę, wspiął się z nią po sześciu niskich betonowych stopniach i wszedł przez duże drzwi.

Poznał to natychmiast po swoim szybszym oddechu i po biciu własnego serca. Nieodmiennie przeżywał wstrząs i był zaskoczony, że mu się coś takiego przytrafia.

W pewnym sensie sprawiało mu przyjemność. Przypominało nieco chodzenie z uzbrojoną bombą czasową w piersi. Taką, która może wybuchnąć w każdej chwili.

A przynajmniej uczynić ze wszystkiego: z życia, z każdego momentu, z każdego oddechu, ekscytujące wydarzenie. Było w tym coś z powrotu do toczącego się boju.

Kiedy dyżurny pielęgniarz w recepcji odczytał kartkę informacyjną na jego koszuli, spłoszył się i mocno go ochrzanił za noszenie torby. Winch tylko się do niego uśmiechnął.

–Ech, wy. Sami wariaci – dodał skwaszony pielęgniarz.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił Winch na swoim nowym

oddziale, było zatelefonowanie do byłego boksera, Jacka Alexandra, i umówienie się z nim. Alexander spodziewał się jego telefonu.

Ale zanim Winch się z nim spotkał, odwiedziła go delegacja w osobach Strange'a i Landersa, wysłana przez dziewięciu przebywających tu żołnierzy z jego dawnej kompanii.

W jakiś sposób przez nigdy nie próżnującą szpitalną pocztę pantoflową dotarła do nich wieść o jego przyjeździe. Strange dodał, że reszta czeka na spotkanie z nim w barze. Tak im kazał, nie chcąc przyprowadzać ich na oddział.

Kiedy ujrzeli Wincha, obaj stanęli jak wryci i wpatrzyli się w niego. Winch, który zdawał sobie sprawę, że wygląda nietęgo, postanowił uprzedzić ich pytania i spytał lodowatym tonem:

–No, i co się tak, do diabła gapicie?

–Stracił pan trochę na wadze – odparł Strange.

–I co z tego? Jestem na diecie.

–Aha – rzekł Strange. – No, to dobrze. A poza tym, – chorował pan?

–Trochę chorowałem. Ale już po wszystkim – odparł Winch. – A teraz powiedzcie mi, co właściwie dzieje się z tym zasranym Prellem.

Obaj natychmiast zaczęli mówić. Lecz po chwili Landers zamilkł i dalej mówił już tylko Strange. Winch jednakże powstrzymał go, unosząc rękę. Powiedział im, że zna tło sprawy. Ostatnio słyszał, że pułkownik Baker zażądał zgody na ucięcie Prellewi nogi. I że pułkownik Stevens na razie mu jej nie dał, pozostali lekarze zaś podzielają, jak się zdaje, opinię Bakera.

–To prawda – potwierdził Strange.

Dobrze było mieć znów przy sobie starego szefa kompanii, który o wszystkim decyduje. Strange nie chciał go w tym wyręczać.

–Chodzi jednak raczej o to, kto i jak mocno jest przekonany o konieczności amputacji. O podejście do sprawy. A na samym końcu o bezwzględną zgodę. Jest tu też drugi chirurg, nazywa się Curran. Prell wyczuwa, że on nie pali się tak bardzo do

natychmiastowego ucięcia nogi i jeszcze by z tym poczekał. Ale Baker stoi wyżej od niego w hierarchii. Jeżeli więc nawet Curran ma odmienne zdanie, to się z tym nie zdradza.

–W takim razie chyba nie możemy na niego za bardzo liczyć – zakonkludował Winch. – Pytanie podstawowe: Czy ci lekarze mają rację? Czy ma rację Baker?

–Kto to wie? Jak możemy to ocenić? Wiemy tylko, że Prell chce zachować nogę. Więc próbujemy mu pomóc. – Strange wzruszył ramionami, zadowolony, że pozbył się odpowiedzialności za podejmowanie decyzji.

–Landers rozmawiał z tym Curranem. Opowiedz o tym, Landers.

Landers zaczął powoli mówić o swojej rozmowie z Curranem i jej nierozstrzygniętym wyniku. Chciał przekazać Winchowi dokładnie jej treść. Odkrył przy tym, że nie darzy go już tak wielkim respektem. Nie potrafił powiedzieć, czy dlatego, że Winch jest taki osłabiony, czy dlatego, że on sam ostatnio mocno się rozwichrzył. Niemniej zawsze chciał być wobec niego maksymalnie szczery. W Winchu było coś, co domagało się takiej szczerości. To się nie zmieniło. Kiedy skończył, Winch wciąż wpatrywał się w niego przenikliwie.

–A ty sam co o tym myślisz? – spytał. – Jakie jest twoje zdanie?

–Skłaniam się do opinii, że rację ma pewnie Prell – odparł Landers. – Myślę, że gdyby Prell był pacjentem Currana, to ten prawdopodobnie zaczekałby z amputacją. Ale Prell nie jest jego pacjentem. I dlatego Curran nie będzie się wtrącał.

–Czyli sprawa wraca do pułkownika Stevensa.

–Właśnie – wtrącił Strange.

–A jaki wpływ macie na pułkownika Stevensa?

Winch łypnął okiem. – Jeżeli macie go w ogóle. – Żadnego.

Strange wzruszył ramionami, a potem z odrobinę zawstydzoną miną powiedział Winchowi o petycji. Ułożyli ją wspólnie i podpisali. Strange trzymał ją w szufladzie szafki przy łóżku, która była właściwie jedynym miejscem, gdzie pacjenci mogli przechowywać rzeczy osobiste.

–Petycję? W wojsku? – spytał Winch. – A czyj to był pomysł? – Obrócił się do Landersa. – Twój?

–Nie – odparł Landers. – To był chyba pomysł samego Prella. – Wskazał go głową. – Prell przekazał go Johnny'emu Strangerowi.

Winch po raz pierwszy słyszał, żeby jego były pisarz kompanijny użył przy nim przydomka Strange'a, wpatrzył się więc w młodego żołnierza, który trafił do wojska dopiero w czasie wojny. Hmm, wszyscy się zmieniali. I to szybko. Tego należało się spodziewać. Wraz ze zmianą sytuacji zmieniały się układy i orbity ciał, które ją tworzyły. Nie dotyczyło to jednego jedynego Prella.

–Powiniennem się był domyślić – rzekł cichym, surowym głosem. – Co za głupi, tępy skurwysyn.

Poszukiwacz chwały! Gdyby znalazł się jakiś sposób na spieprzenie dowolnej sprawy i zniszczenie przy okazji siebie, to ten poszukiwacz chwały by go znalazł! I daliby mu za to medal. A my nie wiemy nawet, czy ci lekarze mają rację, prawda?

–Nie, nie wiemy – przyznał Strange. – Ale jeżeli to go zabije, a chce zaryzykować, to uważam, że powinno mu się na to pozwolić.

–Czy ktoś wie, dlaczego ta noga się nie goi?

–Nie, nie wiedzą – odparł Strange. – Niech pan mi coś powie, szefie. Czy przyjechał pan tutaj wyłącznie ze względu na Prella?

Winch obrócił głowę, żeby spiorunować go wzrokiem.

–Czy ty masz dobrze pod czaszką? Myślisz, że przyjechałbym tu z własnej woli? Tak jak reszta was, kandydatów do trupiarni, jadę, gdzie mnie wysyłają.

No, a teraz wynoście się stąd i dajcie mi się ogarnąć.

Mam wizytę u lekarza.

–Myśli pan, że zdoła pan mu w jakiś sposób pomóc? – spytał Strange.

–Ja? Co ty mówisz? Znaczą tutaj tyle samo co ty.

To nie jest nasz stary pułk.

–Chcielibyśmy prosić, żeby zrobił pan wszystko, co w pana mocy – odezwał się nagle i głośno Landers.

Winch nie odpowiedział mu. Jedynie wpatrywał się w nich bez wyrazu. Po ich wyjściu wrócił do łóżka.

W chwilę potem zaczął wygładzać szlafrok.

Jack Alexander okazał się całkiem innym typem niż stary D.T. Hoggenbeck. Biuro miał wprawdzie równie okazałe i w równym stopniu dbał o* wy gody życiowe, ale na tym podobieństwa się kończyły. I Winch był tego świadom.

A ponadto nigdy nie służył z Alexandrem i nie znał go tak dobrze jak starego D.T. Kiedy Winch przyjechał do Wahoo jako skromny kapral, "Aleksander Wielki" – "Cesarz" – właśnie kończył tam panowanie i wracał w glorii, z tytułami, które zdobył jako pięściarz numer jeden na Hawajach. Już wtedy Alexander był w wojsku postacią legendarną.

A teraz był stary. I wyglądał staro. Prawdę mówiąc, najbardziej przypominał wielkiego, sędziwego, świetnie znającego wszelkie przynęty morskiego żółwia. Miał głowę łysą jak kolano, głęboko pobrużdżoną twarz, odrobinę rozplaszczony nos, wielką szczękę i pozbawione warg, cienkie jak ostrza brzytwy usta, bezbarwne jak brzegi lodowej kry. Jego przygasłe, bladoniebieskie oczy widziały niemal wszystko, co ma do zaoferowania świat,

i ani tego nie lubiły, ani nie nienawidziły. Był jak stary żółw, który przez dwa wieki pływał w oceanach swojej planety, unikając pułapek zastawianych na niego przez ludzi, na dowód czego nosił liczne blizny, aż wreszcie stał się tak wielki, że nic już nie było mu straszne.

A Alexander był naprawdę wielki. W dawnych czasach stosunkowo szczupły, ale zawsze potężnej postury, w tej chwili nosił wielki twardy bambuch, który sterczał przed nim na dwie stopy, a ciało miał tak nabite, że skóra na głowie i karku omal mu nie pękła. I nie był to tłuszcz.

Było to mięso. Jak i dlaczego zdecydował się dokończyć swoich dni w wojsku tu, w szpitalu Kilrainey w Luxorze, trudno było dociec.

Po swoich nowo zdobytych doświadczeniach Winch nie mógł się powstrzymać od przelotnych myśli, jakie też Alexander ma ciśnienie krwi.

Grubymi paluchami wydobył butelkę whisky, postawił ją na stole i wskazał ręką. Winch skinął głową i uśmiechnął się. Powiedział, że nie wolno mu pić, ale że powącha. Alexander nalał dwa kieliszki, usiadł i wskazał mu krzesło naprzeciwko siebie. Jak dotąd nie powiedział ani słowa.

Winch jedynie umoczył usta w whisky i zebrał myśli.

–Jak dotąd nie mogę się połapać albo też dowiedzieć, czy temu mojemu Prellowi powinni odjąć nogę, czy nie – powiedział.

Alexander skinął głową.

–Tak się składa, że się tu znalazłem, więc sam pan rozumie – dodał Winch.

Wielki Alexander ponownie skinął głową.

–Jeżeli powinna być amputowana, to trudno – ciągnął Winch. – Wolałbym naturalnie, żeby ją zachował.

Ale jemu wydaje się, że gdyby jeden z tych cholernych cywilnych lekarzy miał tu władzę, to poświęciłby mu więcej czasu.

–Curran – przemówił Alexander. Jego niski chropowaty głos dobywał się skądś z głębi wielkiego brzuszyska i przez pudło głosowe przepływał do ust pokrytych bliznami po ciosach, które otrzymał w ciągu wielu lat na ringu.

–Curran – potwierdził Winch.

–Sprawa ta zmartwiła pułkownika Stevensa – rzekł Alexander. – Przy okazji najbliższych awansów ubiega się o stopień generała brygady. Skandal by mu zaszkodził.

Głową skinął dla odmiany Winch.

–A nawet zwrócenie czyjejs uwagi na tę sprawę – dodał Alexander.

–Co to za człowiek ten Baker?

–Uparty. Zakochany w sobie. Dobry fachman – odparł Alexander.

–A Curran?

–Tak samo. Tylko młodszy.

–A więc nie ma wyboru. Co przeszkadza w odłożeniu operacji?

–Nic. Tyle tylko, że Prell może umrzeć.

–Czy inni tutaj nie umierają?

Wielkie ramiona Alexandra, siedzącego w drogim obrotowym fotelu, poruszyły się tak nieznacznie, że prawie niezauważalnie.

–Jasne.

–No więc? – spytał Winch, improwizując po każdej odpowiedzi rozmówcy.

–Tyle było gadania na jego temat. Tyle hałasu. On może mieć krewnych. – Alexander poprawił w fotelu swoje potężne cielsko. – Ja tylko przedstawiam rozumowanie Starego, pułkownika Stevensa.

Winch milczał, bo wpadła mu do głowy pewna myśl.

–Prawdę mówiąc – odezwał się wreszcie – to mam... – słowo "petycja" nie chciało mu przejść przez

usta, więc zamiast tego powiedział: – pewien dokument, podpisany przez wszystkich przebywających tu żołnierzy z jego kompanii, w którym proszą, żeby nie odcinać Prellowi nogi.

–Chciałbym dostać jego kopię – rzekł Alexander.

–Pokazałby go pan pułkownikowi Stevensowi?

–Nie, tego zrobić nie mogę.

–Dostarczę więc panu kopię.

–Podpisaną?

–Oczywiście, że podpisaną.

–Chciałbym ją mieć.

–Jest jeszcze jedna sprawa – powiedział Winch.

–Nasz dowódca dywizji przedstawił tego Prella do Medalu Honorowego Kongresu. Wie pan o tym? Powinno to być w jego aktach personalnych, prawda?

Alexander skinął ogromną głową.

–Jest – odparł. – Stary to czytał. Ciekawa sprawa.

Kiedy go tu przywieźli, dostałem w jego sprawie list.

Z Waszyngtonu. Chcieli wiedzieć, co z nim. Odpisałem, że nie najlepiej. Nie odpowiedzieli. Później napisałem jeszcze dwa listy w sprawie tego medalu. Mamy tu swoje listy odznaczeń. I co jakiś czas Stary kogoś dekoruje. Na wszystkie inne listy przyszły odpowiedzi. Ale nie w sprawie medalu dla Prella. Czym to panu pachnie?

–A skąd był ten list z zapytaniem o jego zdrowie? – spytał Winch, a mózg gorączkowo mu pracował.

–Z biura szefa administracji wojskowej.

–No, a skąd przychodzą odpowiedzi w sprawach odznaczeń?

–Z Wydziału Odznaczeń.

–A więc? – spytał Winch i sam sobie odpowiedział.

–A więc... wygląda na to, że nie potrzebują w tej chwili żadnego jednonogiego zdobywcy Medalu Honorowego.

A przynajmniej nie z Luxoru.

Alexander skinął wolno wielką głową.

–Tak też wydawało się i mnie – powiedział.

–Czy pułkownik Stevens nie chciałby mieć u siebie zdobywcy Medalu Honorowego?

– spytał Winch. – Dokonać jego dekoracji?

–Chciałby, ale nie martwego – odparł Alexander.

–Który nie ma krewnych.

–Ale pułk chciałby mieć taki medal – orzekł Winch.

–Nikt jednakże nie może się wypowiadać w imieniu pułku – odparł Alexander, a jego przypominające żółwią skorupę usta przeciął ponury uśmiech. – A poza tym myślę, że oni szukają w tej chwili żywych zdobywców Medali Honorowych, ze wszystkimi nogami i rękami.

–A mnie się wydaje, że on ma bardzo duże szansę przeżyć – rzekł Winch. – Powiedziałbym, że wyższe niż przeciętne. Ten Curran jednak o niczym tu nie decyduje.

–Stary nie może odebrać pacjenta Bakerowi i dać go Curranowi – wychrypiął Alexander. – W tej chwili ma mnóstwo pracy. Jest strasznie zajęty.

–I przez jakiś czas pozostanie zajęty – dopowiedział Winch.

–Chciałbym dostać to pismo – powiedział Alexander.

–Mogę je panu dostarczyć dziś po południu.

–Oczywiście nie pokażę go pułkownikowi Stevensowi. Bo za bardzo pachniałoby to petycją. Można sobie wyobrazić, jak by to na niego podziałało. Jak czerwona płachta na byka. Ale może usłyszeć o tych żołnierzach, co?

–Dostanie je pan dzisiaj – przyrzekł Winch.

–Będę bardzo zobowiązany – powiedział Alexander i wreszcie po raz pierwszy od początku rozmowy podniósł swój kieliszek bourbona. Zasalutował nim i wypił jednym haustem. Odstawił butelkę. – Naturalnie, nie wypowiadam się za pułkownika Stevensa, pan rozumie – dodał z wielką skromnością, wyzierającą z jego płaskich żółwich oczu.

–Naturalnie, że nie – rzekł Winch.

A kiedy znalazł się przy drzwiach i położył już rękę na nierdzewnej stalowej klamce, siedzący przy biurku Alexander chrząknął. Winch odwrócił się.

–Miło się z panem załatwia interesy, sierżancie – powiedział Alexander. – Stary D.T. Hoggenbeck nie mylił się co do pana.

–Z panem również miło załatwia się interesy, panie chorąży – odparł Winch.

–Może nie poprzestaniemy na tym – rzekł zza biurka Alexander, nawet nie wykrzywiwszy się w uśmiechu.

–Może – odparł Winch. – Niewykluczone.

Stary D.T. z pewnością powiedział mu na ten temat więcej.

–Znam wszystkich w Drugiej Armii – dodał Alexander.

Winch skinął głową. A więc D.T. na pewno powiedział o nim Alexandrowi. Zamknął za sobą drzwi.

Z otrzymaniem petycji nie miał najmniejszych kłopotów. Strange przyniósł mu ją natychmiast. Winch przeczytał ją po obiedzie, napisał od nowa mniej formalnym stylem i poszedł z nią do baru, gdzie po przywitaniu się z resztą żołnierzy z kompanii kazał im wszystkim ją podpisać. A potem usiadł i przez jakiś czas z nimi rozmawiał.

Kiedy ich opuścił, zaniósł pismo do biura Jacka Alexandra, oddał je, po czym dostał jeszcze jeden rytualny kieliszek bourbona, który posmakował, lecz którego nie wypił.

Następnie zaś wrócił na swój oddział i położył się na łóżku. Był zupełnie wyczerpany. Był wyczerpany do tego stopnia, że ledwo przebierał nogami. Był tak skonany, że nie zadał sobie trudu, aby wstać na wieczorny posiłek i przepadła mu kolacja.

Później, kiedy położył się do łóżka, nie mógł zasnąć.

Tak jak podczas wielu nocy od chwili, gdy wstał na nogi, nawiedziło go uczucie, że podobnie jak wtedy w szpitalu Lettermana, kiedy był bliski śmierci, ma swoje drugie wcielenie. Drugie ja, gdzieś na zewnątrz siebie. Gdzie ono mogło być? I czym było?

Nawet w czasie najdzikszych pijackich hulanek nie przeżył niczego podobnego.

Leżał, wsłuchując się w oddechy innych śpiących na sali (na oddziale kardiologicznym było oprócz niego tylko dwóch), i myślał o Prellu, o tym, że musi się z nim zobaczyć, musi go odwiedzić. A ponieważ czekało go to tak czy owak, równie dobrze mógł nie odkładać tych odwiedzin i zrobić to jutro.

Rozdział trzynasty Winch nie miał pojęcia, co powie Prellowi. Nie wiedział też zupełnie, czego się po nim spodziewać, gdy go zobaczy. Przed pójściem próbował zasięgnąć języka, nie tylko rozmawiając z Landerseem i Strange'em, ale również Corellem, Drake'em i innymi żołnierzami ze swojej kompanii. Strange i Landers właściwie nic mu nie pomogli.

Landers cały czas tylko kluczył i powtarzał, że Prell źle wygląda.

–Pewnie, że źle wygląda, ty durny pisarczyku. Żadna z ciebie pomoc – rozzłościł się Winch.

Aż wreszcie po wielu tyradach oraz paru poważnych, acz bezużytecznych analizach psychologicznych Landers podniósł szeroko rozwarte oczy i powiedział.

–On wygląda tak, jakby mu zabrakło paliwa.

–Co to znaczy?

–No, wie pan, zabrakło mu paliwa, pary. Ale czego pan, do diabła, szuka, szefie? – spytał Landers, którego zaczęło to wszystko gniewać. – Staram się, jak mogę, żeby powiedzieć panu jak najwięcej.

–Przecież ty podobno studiowałeś – zadrwił Winch.

–Nie umiesz wyrażać się jaśniej? Bo jeżeli nie, to daj sobie spokój i się zastrzel.

–Przecież staram się, do jasnej cholery!

Winch nie przypominał sobie wypadku, żeby Landers przy nim zaklął. Zwykle robił to z boku i za jego plecami, nie bezpośrednio, nigdy wprost, nigdy twarzą w twarz. Cóż, młode byczki dorastały w stadzie, a kiedy chciały wypróbować swoje rogi, rzucały się na byki duże.

–Co to znaczy, że brak mu paliwa, do diabła?! – huknął. – Brak odwagi? Brak woli?

–Nie – odparł Landers. – Nie, on ma odwagę.

I ma wolę. Nie uwierzyłby pan ile. Ja mówię o energii.

Jemu brakuje energii.

Winch zreflektował się. Ostatnio przekonał się na własnej skórze, co znaczy brak energii. Do tej pory nie" znał tego uczucia.

–No, to dlaczego od razu nie mówisz, o co chodzi, kurwa mać?!

–Można być odważnym jak nikt na świecie. I mieć ogromną wolę. Ale to nic nie pomoże, jeżeli człowiekowi zabraknie energii – odparł Landers.

Rozmowa ze Strange'em przebiegła spokojniej, ale też nic nie wniosła. Strange mówił o rozpacz.

–Przyglądałem mu się właśnie pod tym kątem, szefie – powiedział. – Od samego Efate. I na statku. Tę samą walkę toczył ile razy? Dwa? Ten jest trzeci. Cały czas obawiałem się, że go to dopadnie. Że wpadnie w rozpacz. Myślałem o tym od dawna. On kocha przewodzić, sam pan wie.

–Mnie to mówisz? – rzekł cicho Winch.

–A przynajmniej najlepiej dla niego, kiedy jest na czele, kiedy przewodzi.

–Więc uważasz, że jest... zrozpaczony, tak? – spytał Winch.

–No, to ciągnie się tak długo. W czasie rozmowy z Landersem Curran powiedział, że coś jest nie tak

z procesami w organizmie Prella. Cholera wie, co to takiego. Kto w ogóle się w tym wyzna? Nawet lekarze nie za wiele o tym wiedzą. Co sprawia, że organizm jednego człowieka działa raz tak, a raz siak? – Strange urwał i wzruszył ciężkimi ramionami. – Nie wiem – dodał. – Po prostu nie wiem.

Tyle się dowiedziałem, pomyślał Winch. Energia albo rozpacz. Albo obie naraz. Cóż to warte? Kto wie?

Kto wie cokolwiek? O czymkolwiek.

Zadbał nawet, o to, by złożyć Prellowi wizytę o właściwej porze. Od pielęgniarza z jego oddziału dowiedział się, że pacjenci są na ogół w najlepszej formie w połowie ranka, kiedy już się rozbudzą, przed południowym obiadem, którego strawienie zawsze zabiera czas i energię. Pod tym względem Prell reagował normalnie. Tak więc Winch odłożył wizytę u niego o jeden dzień, żeby zjawić się tam o odpowiedniej porze.

Nadal nie wiedział, jak z nim rozmawiać ani jak się wobec niego zachować. Cóż można powiedzieć komuś, za kim się nie przepada, a kto ma niebawem stracić nogę, i to powiedzieć w taki sposób, żeby odpędzić od niego rozpacz, a jednocześnie wlać w niego trochę energii. A zresztą, wszystko to było sakramencką grą. Życie! Ludzie grali w nie jak w piłkę nożną, w szachy lub w pokera, nawet dogorywając. W ostatniej chwili zdecydował się zabrać ze sobą, jako czynnik łagodzący, Strange'a.

Tak, Prell rzeczywiście wyglądał fatalnie. Nawet w znikomym stopniu nie przypominał tego Prella, którego Winch widział poprzednio na oddziale szpitala w Efate. Rozpostarty na łóżku, z nogami nadal w górze, jak rodząca baba, już przypominał trupa, z wyjątkiem oczu. Stopy miał fioletowe, a twarz bladą, wpadającą w fiolet, który pod jego zapadniętymi oczami był prawie czarny.

–Cześć, szefie – powiedział cichym, głuchym głosem z głębin swoich mar. – Przyszedł pan złożyć kondolencje?

–Cześć, Prell – odparł spokojnie Winch. Jego zmobilizowanie się na pokaz dało mu do myślenia.

–Jak się czujesz?

Wszystko było sakramencką grą. Wszystko! Brawura.

Dzielność. Strach. Duma, upokorzenie, godność, przyzwoitość, niegodziwość. Grą, ale na serio. W grze miała swój początek nawet panika, nim stawała się prawdziwa.

–Przyszedł pan tu nasycić wzrok, co? – spytał cicho Prell. – Przyszedł pan powiedzieć: "A nie mówiłem?" W głębi mózgu Wincha coś rozbłysło, zielono jak światło "Idź". Z tym że był to wybuch. Zielony wybuch, który pochłonął wszystko. Winch musiał improwizować, szukać repliki.

–Nadal oczekujesz współczucia, co? – spytał i usłyszał, jak za jego plecami Strange gwałtownie wciąga powietrze. – Ciągłe pragniesz powszechnego uznania.

Gdzieś w głębi czarnych jak węgiel, zapadniętych oczu Prella coś rozbłysło. Coś złego. Mordercza nienawiść.

–Taki już jestem – odparł cicho. – Bez przerwy pragnę uznania.

Winch długo się zastanawiał, czy powiedzieć mu o grze na zwłokę, jaką podjął z Alexandrem i pułkownikiem Stevensem. Nie wspomniał o niej nikomu, żadnemu z pozostałych żołnierzy swojej kompanii, nawet Strange'owi. Była zbyt subtelna. A żaden z nich nie potrafił utrzymać kurewskiego języka za zębami. Któryś mógł się wygadać. A gdyby wieść o tym obiegła szpital i dotarła do pułkownika Stevensa i Jacka Alexandra, to wszystko, co dobrego mogło z tego wyniknąć, wzięłoby w łeb. Stevens słynął z porywczosci, i właśnie dlatego tak usilnie starał się nad sobą panować. A poza tym

nadal nie było pewności, czy pułkownik Baker ma słuszność co do amputacji. Tak więc Winch nikomu o niczym nie powiedział.

Zastanawiał się jednakże, czy nie powiedzieć Prellowi.

Kiedy postanowił, że nic mu nie powie, bardzo szybko przekonał się, że zrobił słusznie. Prellowi nie było to potrzebne. Prell potrzebował wrogów. Wróg był mu niezbędny do walki. Prell był bowiem na tyle nieskomplikowany, że mógł walczyć tylko mając przed sobą wroga.

–Myśli pan, że dadzą mi blaszaną miskę i wojskowe ołówki, żebym je sprzedawał, kiedy stąd wyjdę? – spytał Prell z łóżka.

–Możesz liczyć na więcej – odparł Winch. – Dadzą ci rentę. I skórzaną nogę. Żebyś co sobota mógł odwiedzać wieczorami Amerykański Związek Kombatantów, pokazywać chłopakom kikut i nawijać, jak to walczyłeś na Południowym Pacyfiku. Ale nie wspominaj o swojej drużynie.

–Skurwysyn! – powiedział Prell. Nie zmienił tonu i nie podniósł głosu, ale zabrzmiał on dźwięczniej i urągliwiej. – Kiedy stąd wyjdę, to pana zabiję. Obiecuję.

Odnajdę pana, choćby to miało zająć mi resztę życia.

I rozwalę tę pańską sprzedajną dupę!

–Wątpię – odparł Winch. – Zanim dojdiesz do siebie na tyle, by coś zdziałać, ja najprawdopodobniej już dawno nie będę żył.

Przyszło mu do głowy, że w słowach tych jest zapewne więcej prawdy, niż sądzi, i uśmiechnął się.

Trudno, pomyślał. Będę jego wrogiem. Każdemu potrzebny jest wróg.

–Przynajmniej nie będziesz się pałętał, gdzie nie trzeba i pakował żołnierzy w śmiertelne pułapki – dodał.

Indiańskie oczy Prella rozbłyły z łóżka, ale nic nie odpowiedział.

–Chyba powinien pan już iść – wtrącił nerwowo oddziałowy. – Naprawdę.

–Dobrze. Nie przejmuj się, chłopcze. Walcz dalej – rzekł Winch i odwrócił się na pięcie.

Na korytarzu oparł się o ścianę. Był do cna wyczerpany, zupełnie szary, i żeby nabrać sił, musiał zaczerpnąć powietrza.

–Rany boskie, szefie – zaprotestował Strange.

–Musiał pan to robić?

–Zamknij się, matole – syknął Winch. – Odpierdol się ode mnie i daj mi spokój.

Mniej więcej po minucie wyprostował się i wrócił na swój oddział. Strange, który odszedł od niego tylko na dziesięć kroków, dogonił go.

W cztery albo pięć dni później u Prella jakimś cudem nastąpiła poprawa. Tyle właśnie zajęło dostrzeżenie jej pierwszych oznak, a kilka dni więcej upewnienie się, że nie są one chwilowe. Noga raptem zaczęła się goić, tak jakby poza złamaniem wszystko z nią było w porządku, a kość zrastać. Strange nie mógł w to uwierzyć. Po wizycie Wincha spodziewał się, że Prellowi bardzo się pogorszy. Tak czy owak, Prell zdrowiał i kryzys, którego pojawienia się wszyscy oczekiwali od tak dawna, minął.

Strange naturalnie nie widział w tym żadnej zasługi Wincha. Przeciwnie. Winchowi przecież puściły nerwy.

Co dowodziło, że bez względu na to, co mu dolega, jest z nim źle. Strange, który wraz z Landersem spędził przy łóżku Prella mnóstwo czasu, zauważył, iż ten ani razu nie napomknął o rozmowie z Winchem. Przyszło mu na myśl, że nie chciałby być w skórze Wincha, kiedy Prell wstanie i zacznie chodzić.

Sam Winch nie wiedział, co o tym myśleć. Nie mógł uwierzyć, że jego zachowanie wywarło taki skutek.

Zmiana zaszła za prędko, zbyt nagle, a zwrot był zbyt dramatyczny, żeby sobie przypisać jego przyczynę. Jeśli

nastąpiło to tak szybko, to z pewnością w chwili jego odwiedzin Prell zaczynał już zdrowieć. Wszystkie więc jego starania, tak przynajmniej sądził, poszły na marne.

Landers miał własną teorię. Wątpił, czy epizod z Winchem, który znał z opowieści Strange'a i przyrzekł zachować dla siebie, wpłynął na cokolwiek. W kilka dni później, po rozejściu się dobrych wieści o Prellu, w jednym z przejść z ceglanymi kolumnami natknął się na pułkownika Currana, a ten go zaczepił.

–Wie pan, chciałem o tym panu powiedzieć, ale nie było okazji – rzekł Curran z dziwnie wesołym uśmiechem, który Landersowi przestał się już podobać. – Czy pamięta pan, co mi pan powiedział podczas tamtej wizyty? Że jeżeli nie możemy mu dać czegoś więcej, to może byśmy mu coś zabrali?

–Nie. Nie pamiętam – odparł Landers.

–Ale pan tak powiedział. I to mi dało do myślenia. Pół nocy rozważałem jego przypadek. No i znalazłem coś, czego nikt nie zauważył. Wie pan, wy, wszyscy z Południowego Pacyfiku, w dalszym ciągu dostajecie atabrynę. Z powodu malarii. Macie ją brać przez cztery miesiące po powrocie. – Uśmiechnięty Curran pochylił się i lekko chwycił Landersa za rękaw szlafroka. – No więc, zauważyłem, że Prell dostaje atabrynę. To oczywiste. Jako że też wrócił z Południowego Pacyfiku. A zatem odstawiłem mu to lekarstwo. Z własnej inicjatywy. Nic nikomu nie mówiąc. No i zaczęło mu się poprawiać.

–Ale czy to możliwe? – spytał Landers. – To znaczy, z punktu widzenia medycyny.

–Nie – odparł Curran. – W żadnym razie, na pewno. – Nagle spowaźniał. – Ale zdarzają się różne dziwy. Z ludźmi nigdy nic nie wiadomo. Dziwne rzeczy mają na nich wpływ. To prawie metafizyka. W takim

przypadku z pogranicza, gdzie liczy się wszystko...

Możliwe, że atabryna wycieńczała go i dlatego przeszkadzała w wyzdrowieniu, a za Boga nikomu nie mógłbym tego przypuszczenia udowodnić.

–A więc niewykluczone, że to pan pośrednio wpłynął na poprawę jego zdrowia.

–Może, ale nie chcę, żeby mówił pan o tym komukolwiek. Nie wie o tym nawet pułkownik Baker.

O niczym mu nie powiedziałem. Niech więc pan zatrzyma to dla siebie, dobrze?

–Oczywiście – przyrzekł Landers. I dotrzymał słowa. Nie powiedział nawet Strange'owi. I oczywiście ani słowa Winchowi.

Później z własnej inicjatywy wdał się w dyskusję – "teoretyczną" dyskusję – na ten temat z pielęgniarem ze swojego oddziału. Pielęgniarz wyszukał wszystko na temat atabryny. Nic nie wskazywało na to, że atabryna ma jakieś własności spowalniające lub w ogóle wpływa na procesy zdrowienia. Ale wobec tego, po cóż ten zwariowany Curran opowiadałby mu taką historyjkę? Żeby przyłapać go na tym, że powtarza takie bajdy Winchowi?

Na Winchu nie zrobiłaby ona wrażenia. Prawdopodobnie w ogóle by jej nie słuchał. Po takim wydatku energii i myśli, które, począwszy od szpitala Lettermana, poświęcił Prellowi, był kompletnie wyczerpany. Sił wystarczało mu tylko, żeby zwlec się z łóżka na posiłki.

Opiekujący się nim kardiolodzy byli zdania, że są to skutki podróży z Kalifornii i poważnych starań, jakie podjął dla odzyskania zdrowia. Naturalnie nie mieli pojęcia o Prellu i oświadczyli Winchowi, że potrzebuje wypoczynku. Uwierzył im. Ponieważ środki moczopędne, które zażywał, nadal hamowały jego pociąg seksualny, nawet nie myślał o wyprawie do miasta. Już sama myśl o tym męczyła go. Jednak nie okazał się aż tak bardzo

zmęczony, żeby, w tydzień po tym, jak Prellowi zaczęło się poprawiać, nie pójść do biura chorążego Alexandra na jego osobiste wezwanie.

Kiedy tylko stało się pewne, że Prell zdrowieje, Jack Alexander wysłał oczywiście raport w jego sprawie do tego samego biura w Szefostwie Administracji Wojskowej w Waszyngtonie, z którego otrzymał wstępny list z pytaniami. Teraz pchnął po blacie biurka w stronę Wincha jakiś dokument. Było to pismo z Wydziału Odznaczeń. Prosilili o akta Prella. Chcieli znać wszystkie ważne fakty z przebiegu jego służby wojskowej oraz dane z jego akt osobowych, które pomogłyby w podjęciu decyzji o zgłoszeniu Prella i ewentualnym przyznaniu mu Medalu Honorowego Kongresu. Winch przeczytał pismo i zwrócił je, odsuwając po biurku.

–Wiem, że pan nie pije ani nie pali – wychrypiał przez swoją bokerską krtań Alexander – myślę jednak, że należałoby to jakoś uczcić. Może wybrałby się pan do miasta i sobie podupczył?

Winch w milczeniu pokręcił głową, miał ogromną ochotę ryknąć śmiechem.

Alexander powiedział, że trzeba jeszcze trochę poczekać na potwierdzenie, ale to już właściwie tylko formalność. Będzie to pierwsza dekoracja Medalem Honorowym Kongresu w tym szpitalu i dobra okazja do uroczystego wręczenia także innych odznaczeń. Pułkownik Stevens już przystąpił do sporządzania planów i listy. Zanosilo się na uroczystość, jakiej dotąd w szpitalu Kilrainey nie było.

–Pan też jest na tej liście – rzekł stary bokser.

Winchowi znów pozostało jedynie skinąć głową.

–To WS – wyjaśnił.

–Po wojnie Medal za Wybitną Służbę wcale nie zawadzi w pańskich aktach – dodał praktyczny Alexander.

Tak więc blisko miesiąc po tym, jak Prellowi zaczęło się polepszać, Winch wraz z większością pozostałych pacjentów stanął w paradnym szyku na wyasfaltowanym głównym dziedzińcu szpitala. Nie był to plac defiladowy i z pewnością nie takie miał przeznaczenie.

Był za mały i po wprowadzeniu nań wszystkich formacji zrobiło się tłoczno. Ściągnięto tam bowiem wszystkich mogących poruszać się o własnych siłach oraz

wielu z tych, którzy nie mogli. Z rozkazu pułkownika Stevensa stawił się też cały personel szpitala, z wyjątkiem pełniących dyżury. Pułkownik zadbał nawet o udekorowanie budynków sztandarami. Oprócz gazet wojskowych licznie reprezentowana była też prasa cywilna, i to nie tylko lokalna – przyjechali nawet reporterzy z Chicago i Kansas City.

Lista dekorowanych żołnierzy była długa. W samym środku na wózku siedział Prell, w szlafroku i z zagipsowanymi, sztywno wyciągniętymi nogami, które spoczywały na podpórkach. Naturalnie prawie wszyscy – z wyjątkiem Wincha – otrzymali Fioletowe Serca za odniesione rany. Było też kilka Brązowych Gwiazd, część z literą V za męstwo, inne bez, oraz jedna Srebrna.

Landers, ku swojemu zaskoczeniu, dostał Brązową Gwiazdę (bez V) za zaszczytną służbę. Winch zaś, jako jedyny, Medal za Wybitną Służbę. No a potem wmaszerował pułkownik Stevens, a po jego prawej stronie i dwa kroki za nim chorąży Alexander, który w idealnym tempie niósł przed sobą niewiarygodnie lekko swój ogromny brzuch oraz płaskie, niezwykle dużych rozmiarów pudło z odznaczeniami.

Kiedy Stevens zawiesił niebieską wstążkę z białymi gwiazdami na szyi Prella, w czarnych indiańskich oczach Bobby'ego zamigotały łzy. Ale wystarczył jeden rzut oka na stojącego obok Wincha, by powrócił do nich zły blask.

Winch stał na baczność wraz z innymi w za mocno przygrzewającym wrześnieym słońcu, nie bardzo wiedząc: śmiać się czy pluć, pragnąc obu rzeczy naraz, lecz nie robiąc nic.

Stojący na wprost niego za plecami Stevensa Alexander na ułamek sekundy opuścił powiekę na znak, że istnieje jeszcze zdrowy rozsądek.

Rozdział czternasty W tym czasie, kiedy Prell przeżywał swój kryzys, grupa przybyła wraz z nim ze szpitala Lettermana na dobre zadomowiła się w nowym miejscu, uczestnicząc w wydarzeniach i wtapiając się w szpitalną scenerię.

Stopniowo zaczęły znikać ich gipsowe opatrunki, a laski zastąpiły kule. Niektóre twarze gdzieś przepadały, a potem dowiadawali się, że tego czy tamtego zwolniono z wojska. Pacjenci z amputowanymi nogami, których zastali na wózkach inwalidzkich, a których twarze stały się już znajome, pojawili się teraz na korytarzach i chodnikach z ceglana kolumnadą, po męsku borykając się ze sztucznymi kończynami i laskami. Na ich widok Bobby'emu Prellowi robiło się niedobrze. Dla grupy, z którą przybył tu on, Landers i Strange, wyzdrowienie stało się już tylko kwestią czasu.

Ale po nich przyjeżdżały w dziesięcio-, czternastodniowych odstępach nowe transporty rannych. Pociągami ze wschodnich portów przywożono żołnierzy z frontów europejskich. Ci z Pacyfiku trafiali tu ze szpitala Lettermana bądź z Seattle. A jedni i drudzy po zadomowieniu się w Luxorze wymieniali spostrzeżenia na temat rannych, zabitych i konkretnych okaleczeń. Na przykład niemiecka osiemdziesiątka ósemka nie miała, jak na

razie, swojego odpowiednika w walkach w dżungli.

Rany wskutek poparzeń były znacznie częstsze w Europie, a to z racji większego wykorzystania czołgów.

Z kolei na Pacyfiku dziesiątkowały żołnierzy choroby, takie jak malaria zwykła i tropikalna, malaria połączona z krwimoczem i im podobne.

W czasie następnych tygodni po tym, jak Prellowi się poprawiło, Johnny Stranger wybrał się ponownie do Cincinnati, korzystając z nielegalnej czterodniowej przepustki, którą Winch załatwił mu u chorążego Alexandra.

Naturalnie każda przepustka powyżej trzech dni powinna być liczona jako urlop, ale

Winch i Alexander ominęli ten problem, wyposażając Strange'a w dwie przepustki, trzy- i jednodniową. Za drugim razem sytuacja w Cincinnati nie wydała mu się ani trochę lepsza i znośniejsza.

Linda Sue zachowała się jeszcze chłodniej i miała dla niego jeszcze mniej czasu niż poprzednio.

W tym samym okresie Marion Landers nie umówił się już więcej na randkę z Carol Firebaugh, w szpitalu zdjęto mu gips i pojechał na dziesięciodniowy urlop wypoczynkowy do domu w rodzinnym mieście Imperium w Indianie. Nastąpiło to wkrótce po wielkiej ceremonii wręczenia odznaczeń. Tak więc wraz z Fioletowym Sercem mógł zabrać ze sobą do pokazania Brązową Gwiazdę w ładnym etui z granatowej skóry i ze złotymi tłoczeniami. Jakieś nieomyślne, chytre wyczucie mówiło mu, że medale te rozwścieczą ojca. Wolałby jednak narazić się na okropności jeszcze jednej rany niż przypiąć którąkolwiek z baretek tu, w Luxorze.

Nikt ze szpitala w Luxorze nie nosił nigdy baretek odznaczeń i kampanii wojennych, w których uczestniczył. Żołnierzom piechoty w Kilrainey, jak jakiejś elitarnej klasie ludzi, wolno było nosić granatową i srebrną odznakę bojową ze srebrnym wieńcem. Tak więc Landers nosił ją. I tylko ją. Karą za złamanie tej żelaznej zasady,

zakazującej kombatantom z Kilrainey noszenia baretek, było natychmiastowe wystawienie się na powszechne pośmiewisko. Nikt chyba nie wiedział, skąd się owa zasada wzięła ani co ją zapoczątkowało, ale wszyscy się do niej stosowali. Wyglądało to tak, jakby przekazywana sobie pomiędzy rannymi w boju gorzka tajemnica pogardy i lekceważenia dla odznaczeń nagle rozkwitła i stała się absolutnym prawem. Ich postawa zdawała się mówić: nie potrzebujemy waszego protekcjonalnego poklepywania, my byliśmy tam, gdzie was nie było.

Randka Landersa z Carol Firebaugh zaczęła się nie najgorzej, ale zakończyła zupełną klapą. Chciał ją zabrać do Plantacji na szczycie hotelu Peabody, która była luksorską odpowiedniczką Najwyższej Marki. Bez względu na to, jak wyglądał ten lokal przed wojną, w tej chwili zbijał ciężką forszę i był wrzącym, wypełnionym mundurami kotłem i przybytkiem rozlicznych żołnierskich pokus. Panowało tam takie szaleńcze rozpasanie, jakby wszyscy znajdowali rozkosz w myśli, że za cztery miesiące być może już nie będą żyli. Landers był już raz w Plantacji z dwoma kolegami z kompanii, ale bez partnerek, dlatego chciał tam powrócić z dziewczyną.

Mgliście marzył, że będzie mógł z nią porozmawiać... o sobie, o tym, co mu się przydarzyło.

Tymczasem Carol Firebaugh, której nie spodobała się Plantacja, zaproponowała, żeby pójść na kolację do innej, znanej jej restauracji, Herbaciarni Pani Thompson.

Landers poczuł się dziwnie. Po raz pierwszy od półtora roku, jeśli nie liczyć trzydniowej przepustki z wojska do domu, znalazł się w prawdziwie domowym – nie wojskowym, nie wojennym – otoczeniu. Herbaciarnię Pani Thompson prowadziły trzy starsze białe panie z Południa, niewątpliwie wdowy, a pomagał im czarny dżentelmen, który obsługiwał gości i czuwał, jak się zdaje, nad całością. W tej eleganckiej, nie zatłoczonej,

mieszczkańskiej scenerii, przy dwu- lub czteroosobowych stoliczkach, nakrytych śnieżnobiałymi obrusami, siedziały białe pary i cicho rozmawiając, bez pośpiechu raczyły się wspaniałymi przysmakami południowej kuchni. Na każdym stoliku stała w brązowej torbie butelka whisky, ale stanowiła jedynie dodatek do jedzenia, a nie środek do jak najszybszego upicia się. Prawie nie było mundurów, a mężczyźni, którzy je nosili, sprawiali wrażenie, jakby czuli się u siebie w domu.

Landers nie był w takim lokalu, odkąd opuścił uniwersytet. Herbaciarnia Pani Thompson kojarzyła mu się z rodzinnym domem. Na przekór rozpacz, z jaką myślał o swojej rodzinie. Takie miejsce z pewnością nie nadawało się na miłosne podboje. A co więcej, nie nadawało się również do rozmowy z kimkolwiek o tym, co mu się przydarzyło tam, na skraju wzgórza na Nowej Georgii. Przeżycie to mógł ledwo ubrać w słowa nawet przed sobą samym w myślach. Jakżeby mógł je pogodzić z takim miejscem? Były to przecież dwa różne światy.

Nie dało się przybliżyć ich do siebie i połączyć dzielącą je przepaść iskrą zrozumienia. Całkiem nieoczekiwanie rozwścieczyło go to złudne bezpieczeństwo śnieżnobiałych obrusów i trzęsące się starsze panie podające dania, które same przygotowały z lubością dla potrafiących to docenić stołowników. Przebywając w takim miejscu, zdradzał Wincha, Strange'a, Prella i wszystkich innych.

Zamiast rozmawiać, nabrał wody w usta.

Wobec tego rozmawiali o niej. A raczej ona mówiła o sobie. O swoich ambicjach. O życiowych zawodach.

Chodziła do Western Reserve, gdzie studiowała aktorstwo i gdzie wracała w tym roku po zakończeniu semestru, żeby zaliczyć ostatni. Wojna zatrzymała ją w domu, bo akurat wyjechał jej brat. Nie była jednak pewna, czy odważy się usamodzielnąć i po studiach pojechać do Nowego Jorku, co należało zrobić. Miała kłopoty

z rodzicami. Pragnęli, żeby została w Luxorze i wyszła za mąż za jakiegoś inteligentnego młodego człowieka "z perspektywami". Młodego prawnika, ewentualnie młodego lekarza. Gdyby wybrała się do Nowego Jorku, zapewne wspomogliby ją finansowo, ale jak długo mogła walczyć z nowojorskimi układami? No i pewnie trzeba by było przespać się z całym tabunem tamtejszych producentów.

Landers, który prawie jej nie słuchał, kiwał głową i wiercił się. Carol Firebaugh miała rozkosznie miękkie, rozkosznie niesymetryczne, rozkosznie powabne usta, a kiedy wodziła po jego twarzy swoimi lekko zezującymi oczami, wciąż od nowa skupiając wzrok, wydawała się taka ponętna i taka bezbronna, że miał ochotę wziąć ją w ramiona i zerznąć, pieszcząc przy tym i szepcząc uspokajająco do ucha. Nic nie mógł na to poradzić.

Właśnie takie budziła w -nim uczucia. I jasne było, że w szpitalu uważano, że jest bardzo atrakcyjna. A jednak to, na czym jej zależało, to, kim była, i co lubiła, sprawiało, iż czuł z rosnącym niepokojem, że sprzeniewierza się swojemu byłemu oddziałowi i temu, co wraz z nim przeżył.

–Nie pojmuję, jak wy, mężczyźni, to znosicie – powiedziała w którejś chwili współczująco, mówiąc o szpitalu. – A przecież większość z was będzie musiała wrócić na wojnę.

–Znosimy to, bo nie mamy wyboru. Oto dlaczego – odparł Landers z gorzkim fatalizmem w głosie.

Był coraz bardziej przekonany o tym, że powinien być z nimi, z chłopakami, chlać na umór i rwać dziwki.

Po kolacji spacerowali jakiś czas po nie znanej mu dzielnicy Luxoru. Wojna tu nie dotarła. Za wielkimi starymi drzewami wzdłuż ulicy stały duże, wygodne stare domy. Należące nie do bogaczy, ale do ludzi zamożnych. Bardzo zamożnych. Kiedy wreszcie weszli

do domu rodziców Carol, wylądowali na kanapie w salonie. W prawdziwym salonie. Landers robił dokładnie to samo w czasie lat spędzonych na uczelni, w domach dziewcząt w Bloomington i tych w rodzinnym Imperium.

Carol umieściła w adapterze kilka płyt. Lubiła Raya Eberleya. Kiedy zdjęła rzadko noszone okulary i popłynęła melodia Na Berkeley Square zaśpiewał słowik, w jej

lekko zamglonych, odrobinę niezbornie patrzących oczach pojawiły się łzy. Oczy miała fiołkowe. A potem zaczęli się pieścić – właściwie nie pieścić, tylko całować – na kanapie.

–A co z twoimi rodzicami? – spytał. – Żartujesz? – odparła ze smutnym uśmiechem.

–Popili sobie i śpią. Nic ich nie obudzi.

Nie nastawiła już adaptera, kiedy skończyły się płyty i sam się wyłączył. Ale ilekroć Landers próbował jej włożyć rękę pod bluzkę i dotknąć piersi albo wsadzić ją pod spódnicę i pogłodzić udo w pończosze, odpychała go i odrzucała od siebie. Raz dwoma palcami zdołał dosięgnąć jej majtek i dotknąć miękkiego kłębuszka włosów łonowych. Ale nie więcej.

Po dwóch godzinach takich zabiegów, nabawiwszy się potężnej pulsującej erekcji członka napęczniałego aż do bólu, ze spodniami zmoczonymi w kroku płynną lubieżną śliskością, która z niego wypływała, wywikłał się z objęć Carol, wstał, odsapnął i spojrzał na zegarek.

Musiał wracać do szpitala. Carol również wstała, patrząc na niego pytająco swoimi lekko niezbornymi oczami.

Ale nie zaprotestowała. Wypuszczając go przez drzwi, cichym głosem powiedziała jedynie: "Nie jesteś zbyt natarczywy". Dopiero gdy zszedł z ganku, i znalazł się w połowie chodnika, dotarł do niego sens jej słów. Ale kiedy zrobił w tył zwrot i zastanawiał się, czy wrócić, na jego oczach światła w domu pogasły.

W drodze do szpitala narastał w nim gniew – rozpierała

go gwałtowna, nie ukierunkowana wściekłość, w którą ostatnio wpadał tak często. Była nie ukierunkowana, ponieważ nie miał przeciw komu jej obrócić. Wycelować jak karabin. I właśnie dlatego stawała się jeszcze gwałtowniejsza.

Przez kilka dni Landers unikał Carol, trzymając się z daleka od ośrodka rekreacyjnego, w którym pracowała.

Przychodziło mu to z trudem, gdyż właśnie tam działo się wszystko, co najważniejsze i tam było miejsce spotkań. Kiedy się zjawiał, natychmiast go przywołała i zażądała wyjaśnień, czemu się nie pokazywał. Myślała widać, że niedługo odbędą – a przynajmniej powinni odbyć – następną randkę. Ale Landers jej nie zaprosił. Kiedy na nią patrzył i wspominał spędzony z nią wieczór, kolację w Herbaciarni Pani Thompson i to bezpieczne, pretensjonalne wnętrze, wzbierała w nim wściekłość, chęć, żeby rozszarpać na strzępy tę bezpieczną, spokojną elegancję i pokazać tej dziewczynie, pokazać im wszystkim niewidoczną strukturę z krwi i uciętych kości, na której elegancja ta jest osadzona. Na kościach Prella.

Na krwi Corella.

W każdym razie nie miał w tej chwili ochoty na randkę ani z nią, ani z żadną inną. Mogła poczekać.

Wszystkie mogły poczekać. Tego ranka Curran zapowiedział mu, że jutro albo pojutrze zdejmą mu gips.

A co więcej, nie dostanie z powrotem kul. Będzie musiał dawać sobie radę bez gipsu i chodzić o lasce. Na samą myśl o tym Landers czuł nieopisany, nieodparty strach.

A co, jeżeli upadnie? A może by tak pozwolić Carol Firebaugh i jej trzem wdowom użalić się nad tym faktem? Zawsze mówiła "użalić się". Jeżeli ona i jej trzy wdowy chciały dla siebie czegoś z jego gorącego ciała, to mogły poczekać. Pomyślał, że spotka się z nią później... albo wcale.

Uroczysta dekoracja medalami odbyła się w tydzień

po zdjęciu mu z nogi gipsu. Mimo że zabiegi rehabilitacyjne na fizjoterapii skutkowały, to jednak Landers nie był pewien, czy zdoła sam dojść na plac i odebrać, jak przypuszczał, Fioletowe Serce. Ale zdołał, chociaż mocno sforsował nogę w drodze tam oraz stojąc tak długo na słońcu. Kiedy więc dodatkowo otrzymał Brązową Gwiazdę, oniemiał. Był przekonany, że na nią nie zasłużył. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Wielu zasługiwało na nią bardziej niż on.

W dwa dni potem Curran zaproponował mu dziesięciodniowy urlop, i pomimo że wypadł on za wcześnie dla jego chorej nogi, Landers zgodził się natychmiast, ponieważ nie mógł dłużej znieść myśli o miękkich łonowych włosach Carol Firebaugh.

Pojechał pociągiem. Wprawdzie było to gorsze rozwiązanie, bo do Imperium docierały tylko dwie małe linie lokalne i musiał się kilkakrotnie przesiadać, ale w autobusie byłby unieruchomiony przez wiele godzin, a to dla jego osłabionej nogi i sztywnej kostki oznaczało torturę.

Wybór pociągu okazał się jednak niewypałem. Tuż przed samym odjazdem w wagonie Landersa rozpoczęła się ostra popijawa, tak więc wystraszony i pełen obaw nie miał wielkiej swobody ruchów. Nie wykupił łóżka w wagonie sypialnym. Łóżka w pullmanach rezerwowano ze znacznym wyprzedzeniem, a zresztą nie chciał tracić pieniędzy na sleeping. Nie zainteresował się nawet, czy w tym składzie jest wagon restauracyjny, gdyż za bardzo obawiał się o nogę, by wędrować po rozkołysanych stalowych podłogach w harmonijkach łączących wagony. Jeśli jednak jego wagon z pijącymi z butelek żołnierzami stanowił normę, to w wagonie restauracyjnym z pewnością panowało piekło.

Tymczasem żołnierze rozwalali się na siedzeniach lub siedzieli w kucki na podłodze i w przejściach. Z rąk

do rąk wędrowały flaszki. Dwie grupy w dwóch końcach wagonu zaczęły śpiewać różne piosenki. Kilka kobiet zaczęło się śmiać nerwowo.

Wreszcie jakiś plutonowy z lotnictwa, jeden z tych, którzy darli się pośrodku wagonu, podszedł do Landersa i spytał go, czemu się z nimi nie bawi.

–Dlatego, że mam uszkodzoną nogę – odparł Landers, pokazując mu łaskę. – Ledwie się poruszam.

–E tam! – powiedział lotnik. – I tak wszystkich nas wywiozą. Za dwa miesiące żaden z nas nie będzie już żył, więc chodź.

–No, mnie właśnie przywieźli. I żyję. Więc się odwal – odparł Landers, w którym od nowa zawrzał wściekły gniew, sprawiedliwy, płomienny i zabójczy.

Lotnik łypnął okiem.

–Chcesz powiedzieć, koleżko, że już byłeś za morzem i cię ranili? Czy coś takiego?

–Tak. Właśnie. Ranili mnie.

–Hej, chłopaki! Jest tu jeden, który twierdzi, że był ranny! – zawołał plutonowy. – Skoro cię ranili, koleżko, to gdzie twoje Fioletowe Serce?

Landers starannie przesunął dłoń na lasce, tuż pod zagięciem, gotów dźgnąć nią lub uderzyć.

–W dupie. Chcesz tam zajrzeć? – spytał i spojrzał lotnikowi prosto w oczy.

Nie wiedział dobrze, co się z nim dzieje ani nie dbał o to. Był tym równie zaskoczony jak lotnik. Posłał mu uśmiech ludożercy, tak dziwny, choć o tym nie wiedział, jak uśmiech Wincha.

Plutonowemu rozszerzyły się oczy i zdawało się, że się spłaszcył.

–Nie. Nie chcę. Dziękuję – odparł, starając się przybrać urażoną i uprzejmą minę.

Landers przeciwnie.

–Posłuchaj – dodał rozeźlonym cichym, ale roze230 drganym głosem. – Wiesz, co to jest? – Wskazał na Bojową Odznakę Piechoty nad lewą kieszenią. – Wiesz, jak się ją zdobywa? Idź i zdobądź taką, a potem do mnie przyjdź, to sobie porozmawiamy. A na razie zamknij twarz i spierdalaj w podskokach, lotniczku.

Plutonowy odszedł ze zmartwiałą twarzą. Landers prawie go żałował. Jednak jakaś cząstka zdrowego rozsądku w jego duszy cieszyła się z tego. Był bliski płaczu. Jeszcze parę sekund, a zaszlochałby z gniewu.

A gdyby się rozplakał, to na pewno walnąłby tamtego ciężką szpitalną laską. Prosto w łeb.

Siedząca naprzeciwko niego zmęczona kobieta, skonana podróżą i chyba na pewno świeżo po ślubie, próbowała nawiązać z nim życzliwą rozmowę.

–Proszę posłuchać – rzekł Landers. – Niech pani się do mnie nie odzywa, zgoda?

Nie powiedziałem słowa do nikogo. Nie próbowałem z panią rozmawiać. Niech więc pani zostawi mnie w spokoju. Dobrze?

Po tym fakcie w wagonie przestano go zauważać, tak jakby był powietrzem. Raniło go to i gniewało. Palił papierosy i wyglądał przez okno. Kiedy nadeszła pora przesiadki, nie pozwolił nikomu sobie pomóc i upierał się, że wysiądzie sam. Na szczęście wiózł jedynie brezentową torbę naramienną z mundurem zapasowym. Później czekała go jeszcze jedna przesiadka.

W dwuwagonowym lokalnym pociągu, w przeciwieństwie do pośpiesznych z głównych linii, prawie nie było pasażerów. Landers siedział przy oknie i patrzył na przesuwaną za szybą płaski krajobraz. Był już blisko domu. Znał niemal każde drzewo. Wracał tą trasą ze szkoły.

Na małej, tkniętej zębem czasu, zielonej stacyjce tak jak zwykle nie witał go nikt. Od razu znalazł się w kłopotach. Na steranej, peronowej zielonej ławce siedziało dwóch starców, którzy żuli tytoń i popluwali

na żwir. W budynku przy telegrafii siedział kierownik ruchu, w czarnych zarębkach i zielonym daszku przeciwsłonecznym. Poza tym nie było żywej duszy.

Landers poczuł nagle niechęć do rozmowy z kimkolwiek i ochotę, żeby niepostrzeżenie wymknąć się stąd i ukradkiem dotrzeć do domu. Ale myśl o tym, że musiałby odbyć milowy spacer do centrum miasta, kuśtykając o lasce, zniechęciła go. Taki marsz był ponad jego siły.

Tak więc nie pozostało mu nic innego, jak wejść do budynku stacyjnego i poprosić kierownika ruchu o sprowadzenie taksówki. Ale zanim zdążył otworzyć drzwi, podszedł do niego z boku jeden ze starców.

–O, a czy ty nie jesteś Marion, chłopak Jeremy'ego Landersa? – spytał. – Witaj w domu, synu, witaj w domu.

Landers chciał mu powiedzieć, żeby poszedł do diabła, ale tylko podziękował i spuścił wzrok. Kierownik ruchu poczęstował go niemal tymi samymi słowami.

Chętnie sprowadził dla niego taksówkę (w Imperium były tylko dwie), ale nie potrafił się powstrzymać, żeby nie obwieścić taksówkarzowi, kogo będzie wiozł. Landers czuł się potwornie, stojąc i słuchając jego żarliwej relacji o powrocie bohatera.

A więc to mnie czeka, pomyślał. Wszyscy będą mnie traktować jak bohatera powracającego z wojny. I nagle stanęli mu jak żywi przed oczami spragnieni wody żołnierze z jego kompanii, ich zastraszone spojrzenia spod hełmów i brudne, zarośnięte twarze. Obraz ten przyćmił wszystko: stację, kierownika ruchu, taksówkę.

Landers pomyślał, że zanim dotrze do domu, o jego przyjeździe będzie wiedzieć całe miasto. I rzeczywiście.

Kiedy tam wszedł, matka już łkała do słuchawki. Ktoś do niej zadzwonił. Ojciec wrócił wcześniej z kancelarii adwokackiej. Do niego także zadzwoniono. Oboje żyli w niepokoju, ponieważ do nich nie pisał. Wiadomość o jego powrocie wydrukowano w miejscowej gazecie.

Na szczęście siostra wyjechała już na uczelnię. Wyjechała tydzień wcześniej, żeby, jak powiedziała matka, załatwić wszystko przed ostatnim rokiem studiów. Matka zamierzała jednak napisać do niej i nakłonić do powrotu.

Landers, który pomyślał o Carol Firebaugh i jej ostatnim roku studiów, prosił matkę, żeby nie robiła sobie kłopotu. Prawie natychmiast stał się z ojcem, bo odmówił założenia Brązowej Gwiazdy i Fioletowego Serca. Ojciec nie mógł tego zrozumieć. Raz, ale tylko raz, Landers próbował wyjaśnić mu, że to jest nieprzyzwoite i niemoralne, skoro pozostali nadal są na wojnie i giną, ale ojciec nie zgodził się z nim. Landers zapomniał, że przecież mógł zostawić medale w Luxorze, a przywiózł je rozmyślnie, chcąc dopieć ojcu, i po cichu pragnął, żeby ten spróbował go zrozumieć.

–W szpitalu żaden z nas ich nie nosi – oświadczył gniewnie. – Nosimy jedynie to.

Ojciec wlepił wzrok w Bojową Odznakę Piechoty i chciał wiedzieć, dlaczego jest ona aż tak ważna.

A potem tonem sądowego adwokata zaczął mu robić wymówki. Matka bezradnie załamywała ręce. Landers uciszył ojca władczym gestem, do czego tamten również nie był przyzwyczajony. Później jednak ojciec otworzył butelkę, żeby oblać powrót syna, i Landers zaczął pić.

Jeszcze później, wieczorem, stoczył z ojcem pierwszy bój, odmawiając pójścia na spotkanie do Związku Amerykańskich Kombatantów i podzielenia się swoimi doświadczeniami z uczestnikami pierwszej wojny. Ojciec nie chciał słyszeć o odmowie. Ale Landers sprzeciwił się kategorycznie. Już wówczas wlewał w siebie jeden kieliszek za drugim. Pił tyle, że ojciec zaczął sarkać.

Landers jednak nie przerwał picia ani nawet nie zwolnił tempa. Przeciwnie, pił coraz więcej.

Z piciem nie było kłopotów. Kiedy wyrwał się z dużego domu na Main Street i pokuśtykał dwie ulice

dalej do Klubu Wapiti, wszyscy obecni chcieli mu stawiać. Zaczął od przyjęcia połowy zaproszeń, wkrótce jednak nie odmawiał nikomu.

Chcieli mu stawiać wszyscy, których spotkał w mieście. Zaczynało się to już rano, zależnie od tego, o której wstał, w jednej z sal bilardowych albo w którymś z barów, ciągnęło przez popołudnie i wieczór, aż wreszcie późną nocą kuśtykał z Klubu Wapiti do domu albo przymawiał się o odwiezienie z Klubu Wiejskiego, potem zwał się na łóżko i spał do południa. Powoli, mgliście zaczynało do niego docierać, że z jakiegoś powodu wszyscy się go boją, zwykle jednak był na tyle pijany, by o tym nie pamiętać lub nie zwracać na to uwagi. Z rodziną widywał się rzadko. Siostra nie przyjechała do domu.

W trakcie jednego z pierwszych wieczorów poproszono go o wygłoszenie przemówienia w Klubie Wapiti.

Do miejscowego zwyczaju weszło stawianie w tamtejszym barze darmowej kolacji każdej grupie odjeżdżających rekrutów, więc sekretarzowi miejscowej Izby Handlu wpadł do głowy wyborny pomysł, żeby Landers coś im powiedział. To był oczywisty błąd, ale sekretarz, i jednocześnie reporter miejscowej gazety, słynął z gaf. Przysiadł się do Landersa, kiedy ten siedział na kanapce w klubowym barze, popijał w milczeniu i pilnował własnego nosa. Po chwili zastanowienia sekretarz wyraził nadzieję, że Landers na pewno z chęcią do nich przemówi.

Wyjaśnił, że miejscowy pastor pouczy poborowych o obowiązkach religijnych, dyrektor gimnazjum o obowiązkach wobec społeczeństwa, a trener drużyny futbolowej o obowiązkach patriotycznych. Pomyślał też sobie, że byłoby miło, gdyby Landers, który był na wojnie, opowiedział im o obowiązkach żołnierskich.

–Jasne, to świetny pomysł – odparł Landers.

Rekruci właśnie zaczęli się schodzić, więc przyjrzał

się im. Naliczył dwudziestu. Z niektórymi uczęszczał do szkoły. Z jednym wyjątkiem byli to biedni chłopcy, synowie farmerów i robotników fabrycznych, zbyt ubodzy, żeby chlubić się członkostwem klubu, którego wnętrza nie oglądali na oczy, chyba że należeli do reprezentacji futbolowej albo koszykarskiej, dlatego też byli oszołomieni jak trzeba otoczeniem. To również raziło społeczne sumienie Landersa. Skinął głową sekretarzowi.

Kiedy rekruci jedli pożegnalną kolację, on pił dalej i przygotowywał się do wygłoszenia mowy o żołnierskich obowiązkach.

Miał wystąpić po trenerze futbolowym. Zapowiadający go sekretarz, po wygłoszeniu peanów na jego cześć, wspomniał, że co prawda starszy kapral Landers nie nosi odznaczeń, ale zdobył Brązową Gwiazdę i Fioletowe Serce.

Gdy Landers wszedł na małe podium dla orkiestry, sprytnie pochwycił od razu mikrofon, tak żeby nie mogli go uciszyć, chociaż zamierzał mówić krótko. Zaczął od stwierdzenia, że z zainteresowaniem wysłuchał swoich przedmówców, ale że nie jest pewien, ile z wymienionych przez nich obowiązków odnosi się do żołnierzy na wojnie.

–Kiedy walczysz, niewiele myślisz o Bogu, o Rooseveltowskiej Poczwórnej Wolności czy miłości do kraju. – Uśmiechnął się do poborowych. – To prawda, wielu żołnierzy się modli. Ale myślenie o obowiązkach religijnych to całkiem inna sprawa. Jedno wam powiem, mylił się ten, kto powiedział, że w okopach nie ma ateistów. Żołnierz myśli przede wszystkim o tym, żeby dać stamtąd nogę i zabić tych drugich, no bo wtedy nie zabiją jego. – Siedzący poniżej sekretarz wyprostował się w fotelu i zamrugał oczami, które osłaniały okulary w grubych szklach. Landers uśmiechnął się również do niego. – Poproszono mnie, żebym powiedział wam

o obowiązkach żołnierskich – rzekł do mikrofonu, który niósł dźwięki znacznie głośniej i dalej, niż się tego spodziewał – więc myślę, iż śmiało mogę was zapewnić, że najważniejszym obowiązkiem żołnierza jest nie dać się zabić. – Poczul, jak się rozgrzewa. – Po pierwsze, z martwego żołnierza nie ma pożytku dla nikogo. A po drugie, ranny żołnierz odciąga od walki jeszcze dwóch czy trzech, którzy się nim opiekują. Tak więc teoretycznie lepiej jest poważnie ranić przeciwnika niż go zabić. Nie mogę szczerze przysiąc wam, że będziecie walczyli tam za wolność, Boga, czy swój kraj... tak jak utrzymywali tu wszyscy moi przedmówcy. W walce nie myśli się o niczym takim. Ale z pewnością mogę wam powiedzieć, że będziecie walczyli o swoje życie. Uważam, że dobrze jest to sobie zapamiętać. Uważam, że dobrze jest o to walczyć. I pamiętajcie: jeżeli będziecie mieli wybór, a możecie go nie mieć, to zawsze

starajcie się mocno ranić wroga, zamiast go zabijać. Powodzenia, chłopcy, niech Bóg ma was w opiece.

Wypuszczony przez niego mikrofon pochwycił sekretarz.

–A teraz, chłopcy, w barze czeka na was picie, więc skupcie się w gromadkę, zbierzcie się do kupy – powiedział prędko.

Czując miłe pieczenie wokół uszu, Landers zszedł z podestu, podszedł do swojej kanapki i usiadł tam ze szklaneczką. Niech teraz te sukinsyny poproszą mnie o jeszcze kilka mówek, pomyślał. Żaden z rekrutów nie podszedł, by mu podziękować. Nie miał im tego za złe i uśmiechał się do nich promiennie, nie robiąc żadnych wyjątków. Naturalnie już go więcej nie proszono o wygłaszanie mów. A kiedy o wszystkim usłyszał ojciec, stoczyli następny bój.

Landers nie był jedynym rannym kombatantem w rodzinnym mieście. Było ich kilku. Dwóch wróciło do

kraju z Afryki, gdzie służyli jako kierowcy ambulansów.

Inny, którego ojciec prowadził drogerię na placu, starszy kapral lotnictwa, został zestrzelony w bombowcu nad Włochami i zwolniony z wojska. Niemniej we wrześniu 1943 nie było ich aż tak wielu, więc każdy cieszył się sławą. Landersowi to się nie podobało. Męczyło go poczucie winy i wrażenie, że oszukuje, udając kogoś innego niż jest.

Z dziewczętami również mu się nie wiodło. Albo chodziły z chłopakami, którzy mogli wkrótce zostać powołani do wojska, albo czekały na tych, którzy odjechali, albo też za bardzo go się bały. Jedna z nich oznajmiła mu nerwowo, że nie jest tym samym Marionem Landerssem, który wyjechał stąd półtora roku temu.

Po przyjeździe do szpitala Landers otrzymał trzy listy – jeden od rodziców, drugi od siostry, a trzeci od starej znajomej, która napisała mu wtedy, że przeczytała o jego powrocie w gazecie, więc niech wie, że kiedy przyjedzie do domu, z chęcią się z nim zobaczy, bo wszyscy powracający żołnierze, tacy jak on, powinni być traktowani z podziwem i wyrozumiałością, dlatego jeżeli będzie mogła coś dla niego zrobić, to na pewno to zrobi. Tak więc piątego czy szóstego dnia po przyjeździe Landers zadzwonił do niej i zaprosił ją na rozgrywany wieczorem mecz koszykówki. Frances odparła, że pójdzie z przyjemnością.

Co prawda jeszcze nie zaczął się sezon koszykarski, ale w Imperium tak chętnie uprawiano koszykówkę, że ów wielki pokazowy mecz urządzano przed oficjalnymi rozgrywkami. Landers oczywiście nie był jeszcze wówczas świadom, iż Frances Mackey pisząc, że zrobi dla niego wszystko, potraktowała to jako towarzyski konwenans.

Na meczu zaskarbił sobie sympatię nie wstając, kiedy grano Gwiazdzisty Sztandar. Ale nikt mu nic nie powiedział. Niewstawanie na dźwięki narodowego

hymnu nabrało dużego znaczenia wśród żołnierzy ze szpitala, bo hymn grywano co wieczór tuż przed zamknięciem restauracji w Gwiazdzistym Dachy hotelu Peabody oraz w innych barach w Luxorze. Teoria głosiła, że jeżeli miałeś Fioletowe Serce, to nie powinieneś wstawać. A ponadto wszyscy w Imperium wiedzieli o jego niesprawnej nodze.

Po grze rozpadało się. Kiedy Landers i Frances wyszli z sali, podjechał do nich mały dodge i zahamował tak gwałtownie, aż się zakolysał. Siedziała w nim duża starsza kobieta, Marilyn Tothe, która pracowała jako urzędniczka w jednej z kancelarii adwokackich. Była znaną miejscową lesbijką, choć mówienie o tym wprost uchodziło za niegrzeczność. Ją również Landers znał od dziecka. Oznajmiła szorstko, że przyjechała ich zabrać.

Landers wpatrzył się w nią zdumiony. W ramionach była co najmniej tak szeroka jak on, ale znacznie od niego – przynajmniej w tej chwili – silniejsza. Mogła go pobić, gdyby chciała, i chyba wiedziała o tym. Frances Mackey potulnie usiadła na przednim siedzeniu. Landers został poproszony o zajęcie miejsca z tyłu.

–Gdzie mamy pana wysadzić? – spytała opryskliwie Marilyn.

Landers odparł, że chyba wystarczy, jeżeli podrzucą go do Klubu Wapiti. Kiedy samochód zatrzymał się tam, Frances odwróciła się, żeby pożegnać Landersa skinieniem dłoni, ale w tej samej chwili podskoczyła i obróciła się na siedzeniu w stronę przedniej szyby, bo dodge ruszył niemal w tym samym momencie, kiedy Landers dotknął chodnika. Stojąc w deszczu, patrzył za odjeżdżającymi, oszołomiony i ogołocony ze wszystkiego.

Być może właśnie dlatego zalał się tego wieczora bardziej niż zwykle. Jeżeli rzeczywiście był bardziej zalany niż zwykle. Pamiętał, że wyszedł z Wapiti, kiedy zamykano klub o trzeciej w nocy. Pamiętał, że po238 stanowią iść do centrum na rynek, żeby coś zjeść w restauracji otwartej całą noc. Pamiętał, jak przechodził przez pozbawiony drzew trawnik przed magistratem.

Pamiętał też, że podszedł do stojącego pośrodku tego trawnika na marmurowym cokole mosiężnego działą z czasów wojny secesyjnej, tak wstrząśnięty i zaskoczony, jakby nie miał zielonego pojęcia o tym, że ta armata tam jest. Pamiętał, jak objął ją ramieniem, potarł policzkiem mosiądz i uronił kilka pijackich łez – a może były to krople deszczu – nad tym starym wiarusem, któremu w nagrodę za wierną służbę kazano tu stać i pleśnieć na deszczu. Każdego roku w Dniu Poległych na trawnik przed ratuszem rzucano sztuczne maki, w trawę wbijano rzędy białych krzyży, a ktoś czytał Pola Flandrii. Co roku, kurwa mać! A kto napisze wiersz o nas? – zadał sobie

pytanie. – Jaki będzie jego tytuł? Kto go będzie czytał?

Zapamiętał jeszcze, że stał i poprzez siąpiący deszcz patrzył w otaczającej go wielkiej ciszy na światła restauracji po drugiej stronie placu, i nic więcej. Obudził się z potwornym kacem, a przez zakratowane okno świeciło mu w oczy oślepiające słońce. Znajdował się w celi miejskiego aresztu, której drzwi były otwarte.

Jego laska leżała przy nim na pryczy, wstał więc, wyszedł z celi i krzyknął:

–Hej, gdzie się podzieliście?

–Jestem tutaj, Marion – zawołał z pierwszej izby szef policji. – Nareszcie się obudziłeś? Wychodź.

Nielsen, szef policji, wielki Szwed, siedział przy biurku z mocno zakłopotaną miną.

–Co się stało, do diabła? – spytał Landers.

W izbie stało kilku miejscowych wałkoni i suszyło zęby.

–Znasz przecież starego Jeremy'ego – odparł szef, uśmiechając się z zażenowaniem. – Charlie Evans, który

pełnił służbę w nocy, odprowadził cię do domu, ale twój stary powiedział, żebyś się przespał w areszcie.

–A czy zrobiłem coś strasznego? – spytał Landers.

–Nie, nie. Wszedłeś do nocnej restauracji, zamówiłeś jajka na bekonie i straciłeś przytomność. Nie mogli się ciebie dobudzić, więc wezwali Gharliego Evansa. A kiedy i on nie mógł cię dobudzić, zawiózł cię do domu. Ale stary Jeremy kazał zawieźć cię do aresztu.

–Mój ojciec kazał to zrobić?

–W każdym razie dobrze się wyspałeś – powiedział szef i uśmiechnął się. – Wyglądasz nie najgorzej.

Landers obejrzał swoje ubranie.

–Uszłajalem się. Co ci jestem winien, Frank? – spytał.

–Nic. Nie płacisz ani grzywny, ani nic. – Nielsen zawahał się. – Zostawilibyśmy cię w domu, ale znasz starego Jeremy'ego. Nie wpuściłby cię. Nie weźmiesz mu tego za złe, co?

–Mojemu ojcu? – spytał Landers. i- Sprowadź mi taksówkę, dobrze, Frank?

–Dobrze znam Landersów – rzekł ze zmieszaną miną szef. – Taksówka czeka przed posterunkiem, Marion.

Landers uścisnął ręce wszystkim obecnym.

–Dziękuję za miłą gościnę – powiedział.

Kierowca taksówki uśmiechał się do wstecznego lusterka tak szeroko, iż jasne było, że zna całą historię.

Landers puścił do niego oko.

W domu wziął prysznic, ogolił się i przebrał w drugi mundur. A potem, pomimo błagań i jęków matki, która stała za nim i próbowała go powstrzymać, zadzwonił do kancelarii ojca.

–Posłuchaj, skurwysynu! – krzyknął do mikrofonu.

–Chcę tylko, żebyś wiedział... Nie odwieszaj słuchawki! – wrzasnął wściekle, trzasnął słuchawką o widełki

i odwrócił się do matki. – A więc dobrze, powiesz mu to ty. Niech zapomni, że miał kiedykolwiek syna.

Jeremy Landers nie ma już syna Mariona. Powiesz mu to. A ja zapomnę, że miałem ojca. Doszło do ciebie? Zrozumiałaś?

–Marion – zajęczała matka. – Marion. Proszę cię, Marion, proszę cię.

–Idź do diabła! – krzyknął Landers i chwycił brezentową torbę.

Na stacji musiał zaczekać półtorej godziny na następny pociąg. Siedział samotnie na zielonej peronowej ławce. Ledwie mógł się doczekać powrotu do Prella, Wincha, Strange'a i reszty. Był ciekaw, co z nogą Bobby'ego. Niedługo też musieli zająć się dłonią Strange'a.

Powrót pociągiem wcale nie wydał mu się aż tak bardzo uciążliwy. Może używanie nogi przez sześć dni pomogło jej. Był już w stanie pokonać nawet stalowe platformy między wagonami i pójść do wagonu restauracyjnego na kilka głębszych. Było tam naturalnie pełno pijanych żołnierzy. Usiadł z kieliszkiem na kanapie i przez chwilę myślał o swojej rodzinie, byłej rodzinie.

Ledwo mógł się doczekać powrotu do Luxoru.

Kiedy zameldował się na oddziale cztery dni przed terminem, dowiedział się, że po jego wyjeździe Mart Winch zaczęła codziennie wychodzić na randki z Carol Firebaugh.

KSIĘGA TRZECIA

MIASTO

Rozdział piętnasty Na oddziale szpitalnym trudno było z kimś się zaprzyjaźnić. Wraz ze zmianą stanu zdrowia, pacjentów przenoszono z jednego oddziału na inny. Trwało nieustanne tasowanie ludzi, które oddalało ich od siebie. Ci, którzy zaprzyjaźnili się z sąsiadami, któregoś dnia odkrywali, że ich nie ma, a ich miejsce zajęli nowsi, obcy.

Skutek był taki, że, jak zauważył Strange, ludzie odnawiali przyjaźnie z kolegami ze swoich oddziałów, jeżeli, na ich szczęście, tacy byli pod ręką. Jeżeli zaś ich nie było, to siedzieli w zadumie, zamknięci w sobie i ponurzy. I to w chwili, gdy powinni zacząć zapominać o starych związkach uczuciowych i budować nowe.

Strange obserwował początki romansu Wincha z Carol Firebaugh najpierw z rozbawieniem, potem z irytacją, a wreszcie ze zwykłą zazdrością.

Jego również, jak każdego, kto odwiedzał salę koszykówki w budynku rekreacyjnym, pociągała rozkoszna młodość i nieśmiały powab tej dziewczyny z Czerwonego Krzyża, która wydawała rakiety i piłeczki do ping-ponga i aż prosiła się, żeby ją pierdolić. Ale jako mężczyzna żonaty, który dopiero co wrócił do żony z za morza, wybił ją sobie z głowy. Niemniej i tak była ona,

jak wyraził się jakiś prostolinijny, ubrany w szlafrok wojak, "wybitnie po chuju".

W każdym jej ruchu było coś neodparcie kobiecego, a wstydliva samoświadomość własnej płci tylko podkreślała ową kobiecość w oczach tej masy mężczyzn. Jej odśrodkowo patrzące oko, które co drugi raz spoglądało w niewłaściwą stronę, jeszcze dodawało jej uroku.

Z jakiegoś dziwnego, zbzikowanego powodu.

Kiedy zainteresowała się Landersem, Strange, który ją obserwował, uznał to za normalne i przypisał temu, że oboje studiowali. Ale gdy pod nieobecność Landersa związała się z dwadzieścia lat od niej starszym Martem Winchem, było to dla niego nie do przyjęcia. Na ich widok, siedzących na oczach wszystkich w Plantacji na szczycie hotelu Peabody, poczuł nagłą zazdrość.

Gdyby wiedział, że Carol gustuje w starszych gościach, to chętnie zaproponowałby jej swoje towarzystwo. Tylko że tego nie wiedział. Mógł jednak przewidzieć, że ten stary wyjadacz Winch wślizgnie się do ula i zeżre cały miód.

Do tej pory Strange starannie unikał w Luxorze kobiet. Uważał, że jest to winien Lindzie. Ale nie było to wcale takie łatwe, jakby się wydawało. Znacznie trudniej było ich nie podrywać niż spotykać się z nimi, targać gdzieś i dymać. To miasto roiło się od nie związanych z nikim kobiet. Nitowniczek. Spawarek.

Operatorek tokarek. Najrozmaitszych robotnic pracujących przy taśmach montażowych. A wszystkie one aż piszczwały, żeby poderwać na noc albo upojny tydzień jakiegoś przejezdnego wojaka. A ponieważ pracowały na wszelkich możliwych zmianach w ciągu doby, to bez trudu mogły obrabiać jedną o ósmej rano, a drugą o ósmej wieczorem. Wiele z nich nie pracowało w ogóle, bo albo porzuciły pracę, albo wcale jej nie miały, i żyły wędrując z jednej zabawy na drugą, z jednego pokoju

hotelowego do drugiego. Ciężko było więc ich nie podrywać lub nie zostać przez nie poderwanym.

A jednak Strange oparł się pokusie. Po drugiej wizycie w domu – domu? – w Cincinnati pojechał tam jeszcze raz w chwili, kiedy Bobby Prell zaczął zdrowieć.

W sumie odwiedził rodzinę trzykrotnie. Przekonał się, że nie zaszły tam żadne istotne zmiany. Linda Sue pozostała chłodna i obojętna na jego łózkowe zaloty jak za pierwszym razem. Co prawda ani razu mu nie odmówiła, ale coraz trudniej przychodziło mu prosić ją o to z autentycznym pożądaniem. Łatwiej było po prostu odwrócić się na bok i zasnąć. Albo zejść na dół do kuchni, w której zawsze ktoś przebywał, i napić się znowu piwa.

Może w wieku dwudziestu ośmiu lat zaczęły w nim przygasać żądze. Tak jak kiedyś w jego rodzicach.

Wiedział tylko, że utrzymanie małżeństwa i marzenia o restauracji wymaga wierności. I to z obu stron, zarówno jego, jak jej.

Przeżył wstrząs, przekonawszy się, jak bardzo zazdrości Winchowi. Carol Firebaugh. Najwyraźniej sam strasznie pragnął ją zerznąć. A kiedy odkrył, że jej pożąda, zaczął też dostrzegać, że inne kobiety również rozpalają w nim żądze.

Jeżeli dotąd nic w tym kierunku nie robił, to przez wzgląd na uczucia do Lindy, restaurację oraz wspólne oszczędności. Wpływ na to miała też troska i niepewność, co ostatecznie będzie z jego dłonią. Kiedy wszyscy zajmowali się nogami Bobby'ego Prella, Strange cały czas czekał na decyzję podpułkownika Currana i na pierwszą operację. Ale codziennie na porannym obchodzie chirurg tylko oglądał rękę, lekko nią poruszał i pytał Strange'a, jak się czuje.

Strange starał się wypełniać jego polecenia i zmuszał się do używania dłoni, choć się przed tym wzbraniał, bo

go bolała. W końcu jednak zdecydował się powiedzieć Curranowi, że dłoń boli go trochę za mocno. Chirurg skinął głową, ściągnął usta jak do gwizdu i z poważną, zainteresowaną miną kazał mu, żeby przestał jej używać.

A potem, mniej więcej w tydzień po uroczystej dekoracji, podczas której Strange, stojąc obok Prella i Wincha, otrzymał całkiem niezасłużenie medal Fioletowego

Serca, Curran na rannym obchodzie zatrzymał się przy jego łóżku i nie spojrzawszy na dłoń, polecił mu przyjść o dwunastej do jego gabinetu sąsiadującego z trzema dużymi salami operacyjnymi.

Strange planował, że po porannym obchodzie spędzi ten dzień na mieście. Ale od takiego nakazu nie mógł się wykręcić.

Curran, który w wykrochmalonym kitlu i z wyszorowanymi dłońmi siedział przy biurku w swoim małym gabinecie, prezentował się jak zwykle nieskazitelnie. Ale twarz miał zmęczoną i bladą, a ze stojącego w kącie wojskowego kosza na brudną bieliznę wystawał chyba zakrwawiony chirurgiczny fartuch.

–Przepraszam za to – rzekł z promiennym uśmiechem Curran, prawie nie odsłaniając warg. – Mieli to zabrać. Ale oczywiście nie zabrali.

–Krew mi nie przeszkadza – odparł Strange.

–Widziałem jej wiele, panie doktorze.

–Tak myślę.

Curran potarł dobrze utrzymanymi, wymanikiurowanymi dłońmi twarz.

–Na pewno ma pan dziś bardzo napięty plan zajęć, co? – zagadnął Strange.

–Owszem – przyznał Curran. – Ale przejdźmy do pańskiej ręki.

–Tak, panie pułkowniku.

Strange w niedorzeczny sposób czuł się w obowiązku, żeby nie wytrącić go z równowagi. Nie chciał zrobić nic,

co mogłoby zniechęcić czy zmartwić chirurga. Wysłuchał więc do końca jego przemowy. Co jakiś czas dłonie Currana przesuwają bez celu papiery po biurku.

–Prawdopodobnie za długo zwlekałem z tą pańską ręką. Pańska dłoń przedstawia bardzo delikatny problem. Ale cóż zrobić – rzekł Curran podnosząc wzrok.

–Ostatnio mamy bardzo napięty plan operacji, a pańska dłoń wymaga ogromnie precyzyjnego zabiegu. Jest w niej mnóstwo więzadeł, których nie można drasnąć ani przeciąć. Tak czy owak, jutro jestem gotów dokonać pierwszej operacji.

Zagłębił się w obrotowym fotelu.

–Najpierw dobierzemy się do dłoni i wyjmemy odłamek. Zobaczą więc, jak to wygląda w środku. Tym razem prawdopodobnie nie zrobię nic z tą naroślą na kości. Chyba że okaże się łatwa do zoperowania. A tego nie mam żadnego powodu oczekiwać. Chcę zabrać się za pana wcześniej rano, kiedy jeszcze będę świeży.

Zaordynuję panu łagodną lewatywę i coś na uspokojenie.

Rano nie dostanie pan śniadania. Prawdopodobnie obudzą pana o szóstej. Dobrze?

–Tak, panie pułkowniku – odparł Strange i uśmiechnął się. Czuł, że koniecznie musi się szeroko uśmiechnąć. – Aha, panie pułkowniku... A czy wolno mi będzie odwiedzić dziś wieczorem moich kumpli? W barze?

Curran niespiesznie skinął głową.

–Wolno. Ale nie chcę, żeby pan pił kawę albo jadł – rzekł i znów zagłębił się w fotelu.
– Wy, żołnierze, zaskakujecie mnie. Naprawdę trzymacie się razem jak stado pcheł.

Złączył dłonie koniuszkami palców i wpatrzył się w Strange'a.

Strange, którego to nagle zirytowało, też wpatrzył się w niego. Curranowi było nic do tego, jak blisko trzymali się razem. Do czego pił? I z jakiego powodu?

Zanim wymyślił odpowiedź, przeciągnął językiem po zębach, jakby się głęboko zastanawiał.

–No cóż, chyba tak, panie pułkowniku – odparł powoli. – Wiele razem przeszliśmy. Ale, co pewnie ważniejsze, proszę pamiętać, że służyliśmy w tej samej kompanii regularnego wojska. I spędziliśmy ze sobą kilka ładnych lat. Przed wyruszeniem na wojnę. Znamy się więc nawzajem bardzo dobrze.

Urwał, zastanawiając się, czy powiedzieć chirurgowi więcej. Ale od razu coś go skłoniło, żeby już nic nie mówić Curranowi. Wybitny chirurg Curran, który prawdopodobnie miał go nazajutrz ciąć, nie zasługiwał na taką poufałość.

–A więc do zobaczenia jutro rano – powiedział Curran i wyprostował się w fotelu. – Chociaż pewnie pan tego nie zauważy, bo, żeby pana uspokoić, zrobią panu zastrzyk. Przed przywiezieniem pana tutaj.

Na korytarzu, wracając na oddział, Strange czuł się bardzo szczególnie. Jak wtedy, gdy boksował albo grał w futbol. Pomimo że pęcherz miał pusty, nagle zachciało mu się sikać. Szedł w szpitalnym przydziałowym szlafroku, żeby odszukać Wincha, Landersa i Prella i przekazać im wieści.

Naturalnie Winch tego wieczoru się nie pokazał.

Wyszedł ze swoją przyjaciółką. Najwyraźniej nie mógł się od niej oderwać, nie mógł się nią nacieszyć. Kiedy za kwadrans pierwsza Strange wpadł do niego, żeby mu o wszystkim powiedzieć, złapał go w ostatniej chwili, już w mundurze, kiedy wychodził na miasto. Zauważył, ale tego nie skomentował, że Winch wreszcie przyszył sobie zupełnie nowe paski sierżanta sztabowego. Oto do czego zdolna jest kobieta, pomyślał z przekąsem.

Landers i Prell zjawili się w barze. Landers przykuśtykał o lasce, a Prell przyjechał wózkiem. Na nogach miał nowy gips, a kolana już lekko zgięte.

–Najbardziej dają mi się we znaki te kolana – powiedział im. – Nie mogę nimi poruszyć. Są, psia mać, jak para zardzewiałych, starych, zakleszczonych, zamarzniętych zawiasów.

Prell oczywiście nie ruszał się ze szpitala, i nie stanowiło problemu namówić go na spotkanie w barze. Dla niego to było wydarzenie. Natomiast Landers, chcąc dotrzymać w wieczór przed operacją towarzystwa swojemu szefowi kuchni, musiał zrezygnować z randki na mieście. Strange, którego z Landersem nigdy nie łączyła bliższa przyjaźń, zapalał do niego jeszcze większą sympatią.

Prell, choć nie mógł opuścić szpitala, jednak nie marnował czasu. W czasie rozmowy okazało się, że też znalazł sobie dziewczynę. Na swoim oddziale.

–A co sobie myślicie – powiedział z szerokim uśmiechem. – To miła prowincjonalna dziewczyna z małego miasteczka pod Luxorem. Jej tato jest gdzieś za oceanem, a ona z matką codziennie przyjeżdża do miasta, żeby ochotniczo pracować tutaj. Jej matki jeszcze nie poznałem. Ale dziewczynę przydzielono na mój oddział, więc spędza przy mnie całe popołudnia i czyta mi. Teraz czyta mi Wyspę skarbów.

Prell śmiał się do nich, oczy mu błyszczały.

–Ma mnie za siódmy cud świata. Wspaniałego zdobywcę Medalu Honorowego. Na razie nie stać mnie na nic. Z tymi nogami nie mogę pierdolić. Ale dam każdemu dychę za piątkę, że nim minie miesiąc, zagra mi na flecie – dodał z uśmiechem. – A przynajmniej wytrzepie mi konia.

Kiedy jednak wspomnieli o Winchu, twarz Prella zeszywniała i zamarła. Nie chciał nawet wymieniać jego nazwiska, a co dopiero o nim mówić czy słuchać.

Kiedy Strange spytał Landersa o dziewczynę z Czerwonego Krzyża, ten najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu, że przejął ją Mart Winch.

–Daj mu Boże zdrowie – odparł. W tym mieście jest tyle kobiet, że nie sposób się od nich opędzić.

–Jeżeli Winch zdoła się do niej dostać, to mu pogratuluje. – Odwiedził ponownie swojego nowego znajomego, komandora podporucznika marynarki, Jana Mitchella, który wynajmował apartament w hotelu Peabody. Bez wątpienia codziennie odbywał się tam ubaw. – Ci lotnicy morscy i lądowi mają gdzieś, czy jesteś żołnierzem zawodowym. Nie dbają o stopnie i rangi. Bylebyś tylko nie psuł im zabawy.

Chciał zabrać tam ze sobą Strange'a i Prella, kiedy ten wreszcie będzie na chodzie.

Strange z wahaniem przystał na to, ale jego myśli w znacznym stopniu zaprzętała jutrzejsza operacja.

Siedział i rozmawiał z nimi aż do zamknięcia baru.

Przyrzekł Landersowi, że za tydzień wybierze się z nim do hotelu Peabody. Zanim się rozstali pod barem, w którym wygaszono światła, i poszli kiepsko oświetlonymi chodnikami na swoje oddziały, Strange serdecznie uściskał im dłonie. Tamci dwaj szli w jednym kierunku, Landers zawiesił laskę na wózku Prella i pokuśtykał, pchając go przed sobą. Strange patrzył za nimi, jak rozmywają się i nikną w mroku, żeby po chwili wyłonić się w blasku lamp.

Od tego patrzenia zdławiło go wzruszenie i mocno ścisnęło w gardle.

Kiedy ruszył w stronę swojego oddziału, znów przewrócił mu się żołądek i poczuł, że musi się odsikać.

Rano dali mu czas tylko na to. Nawet nie wypuścili go z łóżka, tylko podsunęli szklaną kaczkę. Potem pielęgniarz zrobił mu zastrzyk. W sali operacyjnej natychmiast zajął się nim anestezjolog. Curran, w gazowej masce na twarzy i w białym czepku, mrugnął do niego i wyjaśnił, że wprowadzają mu do żyły środek znieczulający, pentotal sodu. Odliczając od dziesięciu

w tył, przy sześciu Strange poczuł nagle na podniebieniu nagły olbrzymi wybuch dymu o okropnym smaku.

Próbował potrząsnąć głową, ale już ją stracił.

Powstało z tego moc hałasu i zapłonęły wielkie, obracające się światła, przypominające reflektory artylerii przeciwlotniczej. Iskrzyły się oślepiającą bielą, tak że oczy nie miały czasu przystosować się do ciemności. Ale jeśli był to nalot lotniczy, to czemu mrugały? Nie, to nie był nalot, ale wielki dworski dziedziniec, u którego końca na olbrzymim cokole z białego marmuru, na wielkim marmurowym białym tronie siedziała potężna postać w bieli. W rozbłyskach światła, postrzegając to wszystko pokawałkowane niczym odbicie w potrzaskanym lustrze, Strange stał i czekał pośród tłumu. Aż wreszcie postać w bieli, z zakrytą twarzą, powoli wyciągnęła wielką rękę i wskazała go palcem. Tłum wydał potężne westchnienie "Aaaaach!" i Strange domyślił się, że już po nim, ale nie wiedział dlaczego i co go czeka.

Potem zaś dotarło do niego, że ktoś, anestezjolog, mówi, krzyczy do niego dużymi literami:

NO PROSZĘ, PROSZĘ, NIC MU

NIE JEST. TO

JASNE. NIC MU NIE JEST. NIC

CI NIE JEST. JUŻ

PO WSZYSTKIM.

Anestezjolog uśmiechał się do niego.

Strange zdołał do niego mrugnąć, ale myśli nadal wypełniała mu postać w bieli, bardziej rzeczywista od rzeczywistości. Towarzyszyła mu w drodze na oddział, podczas jazdy korytarzami na operacyjnym wózku, oraz przez dwa kolejne dni, gdy trzymano go w częściowym odurzeniu. Przesłaniała mu sobą wszystko, na co patrzył.

Curran należał do lekarzy, którzy nie skąpili pacjentom narkotyków i środków przeciwbólowych. Kiedy następnego popołudnia odwiedził Strange'a, wyznał, że w przeciwieństwie do majora Hogana i pułkownika Bakera nie sądzi, żeby znoszenie bólu było kwintesencją

męskości. Strange tylko skinął głową i uśmiechnął się, mając przed oczami tę samą postać w bieli i wskazującą rękę. Curran w dalszym ciągu był mniej rzeczywisty od niej.

Sen? Wizja? Cokolwiek to było, wywarło na nim głębokie wrażenie. Było tak rzeczywiste, że bliskie objawienia. Ale co znaczyło? Strange doszedł do wniosku, że ktoś go poddaje próbie i że dużo mu brakuje. Nie wiedział, czemu ona służy. Miał wrażenie, że wizja nie daje mu na to odpowiedzi. Osądzono go w niej. Nie dopuszczono do obrony. Nieważne. Sąd był sprawiedliwy. W swoim śnie odczuwał wielką winę, a na koniec ulgę. Ulgę, że wreszcie ktoś o nim wie.

Miał niejasne wrażenie, w wizji było ono oczywiste, że odsyłają go tam, dokąd miał nadzieję odejść na dobre. Tam, gdzie niemo wskazywał palec: tam cię odsyłam i tam pozostaniesz. Ale Strange nie miał pojęcia dokąd.

Nawet kiedy stanął na nogi i przestano mu podawać środki antybólowe, potężna postać w bieli z wyciągniętą ręką nie opuszczała go i nie mógł się pozbyć myśli, że chce mu coś przekazać.

Z tego powodu, a także dlatego, że aplikowane mu środki antybólowe nie były zbyt silne, nie leżał zbyt długo. Na polecenie Currana jeszcze przed końcem pierwszego popołudnia pielęgniarze wyciągnęli go z łóżka i zrobili z nim spacer po oddziale.

Ponieważ Curran nie lubił gipsu, zrobił mu tylko gipsowy opatrunek i obandażował dłoń tak, że unieruchomione zostały w niej tylko stawy. Twierdził, że gipsowe odlewy okaleczyły więcej ludzi niż rany, do których wyleczenia ich użyto.

– Jesteśmy jeszcze tak daleko, tak bardzo daleko od tego, co można zdziałać w ortopedii i chirurgii – powiedział z łagodnym uśmiechem. – Bóg jeden wie, jak

długo to potrwa. I tylko On jeden wie, jaki postęp przyniesie ta piękna wojna.

Brwi nad jego bladymi oczami wygięły się w łuki.

A potem, siedząc na brzegu łóżka, obrócił się w stronę Strange'a i błyskając szerokim uśmiechem zaproponował mu, żeby czasem wyskoczył z nim i swoimi kolegami na parę kielichów do miasta. Strange obiecał, że to zrobi.

Nie bardzo wiedział, czemu Curran tak bardzo się nimi zainteresował. Być może z powodu ocalenia nóg Prella.

–Ten Winch, wasz szef kompanii, to na pewno byczy chłop – dodał Curran. – Podziwiam go za to, co zrobił dla Prella, i za sposób, w jaki załatwił ten medal.

Chciałbym go poznać.

Strange przyrzekł, że postara się to załatwić. Nie miał pojęcia, co tamten ma na myśli, mówiąc o sposobie, w jaki Winch "załatwił ten medal".

Ale właściwie nie było to ważne. I bez tego dobrze wiedział, co odpowie Winch. Że z miejsca odmówi.

Mieli jednakowe i jednoznaczne poglądy na temat oficerów. Oficerowie stanowili oddzielną kastę i powinni nią pozostać. On i Winch byli starymi podoficerami zawodowymi, a wojsko było teraz armią czasów wojny.

Pełną cywilów. Strange zdecydował, że nawet nie wspomni Winchowi o zaproszeniu Currana i że sam również z niego nie skorzysta. Lubił chirurga coraz bardziej i podziwiał go, ale nie miał najmniejszego zamiaru zostać jego kumplem.

Tak samo czuł się w obecności oficerów z hotelu Peabody, dokąd zabrał go Landers.

Dzięki pooperacyjnej opiece Currana mógł pojechać do miasta znacznie prędzej, niż się spodziewał, bo trzy dni po zabiegu, zamiast po tygodniu. Curran ostrzegł go tylko, żeby uważał na dłoń.

–Jeśli znajdzie się pan na jakiejś dziewczynie, to

niech pan wspiera się na gipsie. Na kostkach palców – rzekł z uśmiechem.

Strange tylko mruknął w odpowiedzi. Nie miał zamiaru nikogo podrywać. A jednak, kiedy znalazł się w mieście, wylądował w łóżku z kobietą szybciej, nim zdążył się porządnie napić. Od przedpołudnia do wieczora zaliczył cztery. Tak samo, oczywiście, Landers.

Ale po Landersie mógł się tego spodziewać. Jednakże nie po sobie.

Tak gruntownie i zasadniczo zmieniła go operacja.

Może ona sama, a może ta przeklęta wizja, sen, objawienie czy to coś, co wyzwoliło w nim znieczulenie podczas operacji.

Przywiązanie pasami, uśpienie, ubezwłasnowolnienie w chwili gdy ktoś rozcinał twoje ciało i usuwał jakąś jego część, chcąc je naprawić, mogły poważnie zaszkodzić poczuciu godności własnej człowieka.

A Strange nie potrafił się uwolnić od obrazu osądzającej go postaci, od jej wskazującej ręki. I nie mógł pozbyć się uczucia, jakie w nim budziła. Nie gniewał się na nią, nie był zawiedziony ani zły. Nie płakał w poczuciu niesprawiedliwości. Bo nie można było złościć się bardziej na ową postać niż na cały świat. Oboje istnieli i nic tego nie mogło zmienić. Trzeba było pogodzić się z tym. We śnie czuł litość. Litość do siebie i świata. Zawsze był litościwy. No, bo jakże inaczej zasłużyłby sobie w starej kompanii na przydomek "Matka Strange"? Ale ta nowa litość była inna, głębsza, i obejmowała wszystko, co Bóg stworzył we wszechświecie. A jednak pod nią tkwiła w nim głęboko nie przetrawiona rozpacz. Pod tą rozpaczą zaś, jeszcze głębiej, gorzał ognistoczerwony, skryty mały gniew. Na to, że musi być tak, jak jest. Ów tkwiący w nim malutki rozgrzany do białości rdzeń czynił zeń buntownika.

Ale bunt ten nie dotyczył Lindy. Jeżeli Lindzie nie

zależało już – a prawdopodobnie tak było – żeby się z nim pierdolić, to jej prawo. Ale nie brakowało takich, którym na tym zależało. I jeżeli niektóre z nich go podniecały, to nie widział powodu, żeby z tego nie skorzystać.

Przed operacją uważał inaczej. Ale skoro postać w bieli wydała na niego nieprzychylny wyrok i kazała. mu odejść, wrócić tam, gdzie wrócić musiał, no to co miał do stracenia?

Może to wydać się niemądre, ale traktował swój sen poważnie, jako coś, co nadal trwa. W dodatku jego erotyczne możliwości były dalekie od wyczerpania, jak sądził jeszcze dwa tygodnie wcześniej.

Nie miało to nic wspólnego z jego zobowiązaniami i wiernością wobec Lindy Sue, z jej szurniętą-rodziną z fabryki broni ani z marzeniem o restauracji. Gotów był wywiązać się ze wszystkich powinności.

Usiadł i przemyślał sobie wszystko z kieliszkiem w ręku w głośnym, zatłoczonym, zadymionym i cuchnącym alkoholem salonie apartamentu w hotelu Peabody, dokąd przyprowadził go Landers, który bardzo szybko pochwycił w objęcia i splótł się ze swoim pierwszym tego dnia kobiecym ciałem. Strange miał wątpliwości, czy to on je wybrał, czy też ono wybrało jego.

Apartament był tak przepelniony, że z konieczności przestrzegać musieli pewnej etykiety. Z salonem sąsiadowały sypialnie, do których drzwi zamykano. W salonie zaś stało łóżko dla dwóch osób. Tak więc, w razie potrzeby, wynajmowano je osobno. Łóżko owo było przystankiem służącym do pieszczot i obmacywanek dla tych, którzy czekali na wolną sypialnię, i zawsze leżały na nim rozciągnięte pary. Ten, kto na nim lądował, żeby zająć miejsce w kolejce, przekonywał się, ile par już tam czeka.

W obu sypialniach, oprócz dużych łóżek, stały pod ścianami kozetki, tak że podczas dużego przyjęcia, jak choćby dzisiaj, z każdej z nich mogły naraz korzystać dwie pary. Przyzwoitość wymagała, żeby nie przyglądały się sobie nawzajem, przychodząc, odchodząc i figlując.

Kiedy Strange wszedł tam pierwszy raz, nie mógł się powstrzymać, żeby nie stanąć i się nie gapić.

–Hej! Nie wolno ci patrzeć! – krzyknęła wesoło spawaczka, z którą przyszedł.

–Tak. Nie wolno – odezwał się z kozetki czyjś zduszony głos.

–Masz patrzeć tylko na mnie – dodała spawaczka.

Trzecia z czterech kobiet, które wziął do łóżka tego popołudnia i wieczora, chciała, żeby jej wylizał patelnię, tak by mogła spuścić się w trakcie tego. Była chętna, bardziej niż chętna, żeby obciągnąć mu fajfusa. Nazywała się Frances Highsmith. Obsługiwała tokarkę, bo po tym, jak jej brat zginął nad Anglią, postanowiła rzucić studia na uniwersytecie Waszyngtona w Saint Louis i pracować na rzecz wojny. Strange pomyślał przez chwilę o Carol Firebaugh. Być może właśnie dlatego wybrał Frances.

Jeszcze kilka lat temu dałby jej po twarzy i wyrzucił stąd. Teraz jednak tylko się uśmiechnął i grzecznie odmówił.

–O co chodzi? – spytała Frances. – Czyżbyś nigdy nie lizał cipy?

–Nie – odparł Strange. – Nie lizałem.

–Więc uważasz to za nieprzyzwoite? Plugawe?

Zboczone? Za coś takiego? – indagowała go zaczepnym tonem. – Za wynaturzenie?

Leżeli właśnie na wąskiej kozetce, bok przy boku, i Strange czuł, jak rozgrzany członek pulsuje mu w rytm serca na jej płaskim brzuchu.

–Chyba tak – odparł. – Za coś takiego.

–O rany. Wiele się musisz nauczyć – powiedziała

Frances. – Słyszałam o takich jak ty. Ale nie spodziewałam się, że poznam jakiegoś tutaj.

Strange zirytował się.

–No, ale to to samo co zboczenie. Nie? – spytał.

–Zboczenie? – odparła Frances. – Zboczenie?

–Przyjrzała się mu z uwagą. – Z ciebie jest prawdziwy wsiowy chłopak. Nigdy nie przyglądałeś się psom?

Byłabym zboczona, gdybym robiła to z dziewczyną.

Albo byłbyś zboczony ty, gdybyś obciążał chłopakowi.

Ale nie jest żadnym zboczeniem, kiedy robią to chłopcy z dziewczętami. Powiedz, nigdy o tym nie myślałeś? Nie fantazjowałeś na ten temat?

–Nie, nigdy.

–Ej, słuchaj no. Czy ty jesteś żonaty?

–Owszem – przyznał sztywno Strange.

–O rany, to strasznie współczuję twojej żonie.

Myślisz, że jak kobiety się spuszczaają?

–Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

–Kurczę! Nigdy się nad tym nie zastanawiałeś? No, to może lepiej ci to wyjaśnię. Wiesz, co to jest lechtaczka?

–Pewnie.

–Na pewno? To kobiecy członek. Kobiety spuszczaają się, kiedy się ją pobudza. Nie spuszczaają się od wsuwania im kutasów. – Frances urwała. – No, trochę kobiet może tak. Ale to duża rzadkość. Fizycznie prawie niemożliwe... Na pewno nie chcesz spróbować?

–Na pewno. Nie mam wątpliwości – odparł Strange.

–Wiesz, z tobą jest coś mocno nie tak.

–Ej, słuchajcie – rozległ się zduszony głos z drugiego łóżka. – Jeżeli chcecie się spierać, to filozofujcie sobie na zewnątrz.

–Zamknij się – odparowała Frances.

–Ale ty możesz to zrobić – powiedział Strange.

–Nie. O nie! – odparła. – Nie, mój panie! Popier259 dolmy się. Do minety znajdę sobie później innego.

Nie będę robiła minety facetowi, który nie chce zrobić jej mnie.

–No, to przyknij się wreszcie i zacznij się z nim grzmocić, koteczku – dobiegł z drugiego łóżka zduszony damski głos.

–Racja – odparła Frances. – Jeżeli w ogóle mamy coś zwojować, to bierzmy się do dzieła.

–Ja jestem gotów – powiedział Strange. – Na wszystko z wyjątkiem lizania.

Frances, leżąc już na wznak, rozstawiła nogi i z wprawą, nieznacznie poruszając ciałem na boki zaczęła wślizgiwać się pod niego niczym karta z talii. Karta kiepska, do wymiany, wsuwana pod spód.

Później, wieczorem, Strange zobaczył, jak Frances odchodzi z Landersem. Zastanawiał się, czy Marion wylize jej cipę tak, żeby się spuściła. Może jemu to nie przeszkadzało, był wykształcony, studiował. Cóż, każdy miał swoje gusta.

Podobnie jak wielu innych chłopaków, Strange z zapalem pożerał wzrokiem zdjęcia i rysunki rozwartych kobiecych pochw, dostępne, gdy był mały, prawie w całej Ameryce. Chodził też i oglądał erotyczne filmy dla mężczyzn, które w taki czy inny sposób zawsze docierały do kasyn podoficerskich w kraju. Ale wszystkie wizerunki szeroko rozchylonych cipek nie zdołały w jego duszy obedrzeć kobiet z ich podstawowej tajemnicy. Nic nie było w stanie odebrać im tajemniczości. Nawet jego własne małżeństwo. I może na tym polegał cały kłopot.

Strange czasem pragnął, żeby coś pozbawiło kobiety ich zagadkowości.

Ale przecież dorośli mężczyźni nie trzaskali minety i nie lizali pizd. Było to równie zboczone jak pedalstwo.

Nienormalne. Prawdę powiedziawszy, to nigdy nie widział szeroko rozwartej cipki Lindy Sue. Ani zamkniętej,

skoro już o tym mowa. Mój Boże, jakby zareagowała na to, gdyby ją poprosił, żeby mu ją pokazała szeroko rozwartą? Albo żeby pozwoliła mu ją wylizać? Nie wyobrażał sobie tego.

Z kobietami było tak, że jeżeli nawet je posiadałeś, to i tak nie były twoje. Posiadł dziś cztery kobiety, ale żadna nie należała do niego. Wrócił zatem wprost do punktu wyjścia, tylko że bardziej samotny niż przed przyjściem tutaj.

Kazał powtórzyć Landersowi, który zabawiał się właśnie z Frances Highsmith, że tu wróci, a potem zjechał do zamykanego o północy baru koktajlowego i usiadł samotnie w kącie z flaszką.

Tłoczyli się tu pijący wojskowi. I oczywiście kobiety.

Wiele kobiet. Jednak samotni i szukający partnerek żołnierze zawsze byli w przewadze. Do wyboru, do koloru – od łysych siwiejących starszych bosmanów w białych marynarskich mundurach z rękawami, na których paski oznaczające lata służby wspinały się aż do ramion, do chłopców z najświeższego poboru w nie dopasowanych, nie używanych mundurach. Strange czuł się pośród nich bardziej swojsko.

Znalazłszy się znowu na górze, leżąc na etapowym łóżku w salonie i czekając na swoją kolej z czwartą tego dnia znajomą, przyjrzał się obecnym, którzy stali, pili, pokrzykiwali i śpiewali. I wtedy nagle zobaczył, niczym zjawy przedzierające się przez bagnistą dżunglę na Nowej Georgii, żołnierzy ze swojej kompanii, z zapuchniętymi oczami, umęczonych, ubłoconych, przerażonych, a przez głowę przebiegła mu wariacka myśl, że chętnie znalazłby się z powrotem wśród nich.

Bo przecież tylko wariat chciałby powrócić w takie miejsce.

A kiedy siedział w barze na dole i wśród wrzawy pił coraz więcej, też właśnie tam chciał się znaleźć. Czując

jakąś straszliwą, niepokojącą tęsknotę, wyobraził sobie po kolei ich twarze, ostrzej, dokładniej i wyraźniej niż wszelkie inne twarze, które oglądał od tamtej pory.

A może i wcześniej.

Po zamknięciu baru o północy wziął butelkę i wrócił na górę po Landersa, żeby pojechać do szpitala.

Ale oczywiście nie zabrał go, bo Landers zaliczał coraz to nowe panie. Noc się wlokła, tłum topniał, aż wreszcie pozostało małe, ściśle grono najwytrwalszych pijanych śpiewaków, z którymi on i Landers wyrzyczeli po pijacku kilka piosenek, samych starych. Nikt w hotelu nie pamiętał, żeby ktoś kiedykolwiek skarżył się na hałasy. O wpół do szóstej, kiedy przez równiny na wschodzie kroczył świt, wyszli stamtąd, żeby wrócić do szpitala i przespać się na tyle, by wytrzeźwieć na poranny obchód. W taksówce Landers cały czas bełkotał o kobietach, które dzisiaj rznął.

W dwa dni potem Strange dowiedział się od Currana, jak wygląda jego sytuacja po operacji. Można było sprowadzić to do konkluzji, że Curran po prostu nie był pewien, co z nim począć. Gdyby Strange sam mógł wybierać wieści, prawdopodobnie te uznałby za najlepsze.

Curran zapalił mały ekranik i umieścił pod nim zdjęcie rentgenowskie, żeby Strange je obejrzał.

–Widzi pan węzły? Te wszystkie więzadła i ścięgna?

Bardzo delikatna sprawa. Doprawdy nie wiem, czy mi się powiedzie. Tak więc nie nakłaniam do operacji. Sam pan musi zdecydować, czy jej pan chce.

–A jeżeli się nie zdecyduję?

Curran wzruszył ramionami. Na jego twarzy pojawił się dziwny, spokojny uśmiech.

–Wtedy złożę wniosek o zwolnienie pana z wojska z powodu niezdolności do służby. Majorowi Hoganowi i pułkownikowi Bakerowi nie pójdzie to w smak. Nie mogą jednak uchylić mojej decyzji.

–A jeżeli zgodzę się na tę operację?

–To niczego nie gwarantuję. Jeżeli się uda, to będzie pan zdolny do służby z ograniczeniem, a może nawet w pełni. Jeżeli dopisze panu szczęście. Tak więc wszystko zależy od tego, czy chce pan zostać w wojsku.

Jest pan żołnierzem zawodowym, prawda? Jeżeli operacja się nie uda, to stan pańskiej dłoni nie będzie gorszy niż w tej chwili. Będzie pan mógł jej używać w mniej więcej takim samym ograniczonym stopniu, dwa środkowe stawy pozostaną częściowo sztywne, ale nieco inaczej niż w tej chwili. Decyzja należy do pana.

–Czy sugeruje mi pan jakieś wyjście, jeśli zechcę zrezygnować ze służby? – spytał Strange.

–Nie. Wcale nie. Przedstawiam jedynie uczciwe lekarskie rokowanie. Wiem, że wojsko pragnie zachować żołnierzy. Wszystkich, których można uratować, a zwłaszcza tych wyszkolonych. Pan zaś jest wyszkolony. Ale nie może to być ważniejsze od uczciwej lekarskiej diagnozy.

–Czy mogę dostać kilka dni na przemyślenie sobie tego wszystkiego?

–Oczywiście. Ile tylko pan zechce. To przecież pańska ręka, pańskie życie.

Wtem nieoczekiwanie Curran podniósł ręce, zatrzymał je pomiędzy swoją twarzą a twarzą Strange'a i wygiął.

–Dobrze znam się na rękach – powiedział.

–Był pan wobec mnie bardzo uczciwy, panie pułkowniku – rzekł Strange. – Chcę panu za to podziękować.

–Jestem lekarzem – odparł Curran. – Byłem lekarzem wcześniej, niż zostałem armijnym pułkownikiem.

–Czego nie da się powiedzieć o niektórych tutaj – mruknął Strange. – Niedługo do pana wrócę, panie

pułkowniku. – Próbował zaszalutować, ale z powodu gipsowego opatrunku na dłoni salut nie za bardzo się udał. A potem poszedł odszukać Wincha i zobaczyć, czy szef kompanii zdoła załatwić dla niego u swojego kumpla Jacka Alexandra jeszcze jedną

podwójną przepustkę, dwa razy po trzy kolejne dni, żeby mógł pojechać do Cincinnati i rozmówić się z Lindą.

Na widok Wincha pomyślał, że od dawna nie oglądał go w tak dobrej formie. Właściwie od bardzo dawna.

Od czasu wyjazdu z Wahoo na Guadalcanal. Nie był już taki spięty, skwaszony, zgryźliwy i zawzięty.

Ta mała najwyraźniej bardzo mu służyła.

Rozdział szesnasty Winch nie miał najmniejszego problemu z załatwieniem przepustki dla Strange'a. Jakiś czas temu Jack Alexander zaopatrzył go w gruby bloczek podpisanych przepustek, a jemu pozostawało już tylko wstawiać nazwiska i daty.

–To dla ciebie. I wszystkich twoich chłopaków, którzy twoim zdaniem na nie zasługują – wychrypiał Alexander przez swoje pokiereszowane gardło nazajutrz po dekoracji medalami. – Używaj ich, jak uznasz za stosowne.

Nad ładnym podpisem pułkownika Stevensa Winch nabazgrał Strange'owi dwie przepustki. Obaj wiedzieli, że nie można dojechać i wrócić z Cincinnati w trzy dni, na które opiewała zwykła przepustka. Strange opowiedział Winchowi o swojej operacji. Ale kiedy przysadzisty szef kuchni odchodził, coś w ułożeniu jego ramion zdradzało, że nie wszystko jest takie proste, jak mówił.

Winch nie zgadzał się z twierdzeniem Strange'a, że od wyjazdu ich dywizji z Oahu nigdy nie był tak szczęśliwy jak teraz. Czuł się wszakże lepiej niż wówczas, kiedy doktor Harris odsyłał go z Nowej Georgii.

Z pewnością zawdzięczał to pojawieniu się w jego życiu Carol. Wprost nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu. Że też wybrała takiego starego faceta jak on!

Zanim ją poderwał (albo ona jego, co do tego nie miał pewności), przeżywał jeden z najpodlejszych okresów w swoim życiu. Nawet najgorsze noce na linii frontu na Guadalcanale i Nowej Georgii nie były tak okropne, jak to pseudożycie w szpitalu Kilrainey.

A potem do Kilrainey przywieziono jeszcze jedną ofiarę wojny z jego starej kompanii, co go niemal wykończyło.

Wystarczał już sam personel lekarski. Po ataku serca pozostał mu, jak określili lekarze, blok odnogi pęczka przedsionkowo-komorowego. Mieli nadzieję, że zniknie w trakcie leczenia. Lecz coraz bardziej skłaniali się do poglądu, że jednak pozostanie, jako trwałe upośledzenie.

Słabość, krótki oddech, niezdolność do biegu i dźwigania ciężarów, wykonywanie wyłącznie lekkich ćwiczeń.

W ciągu miesiąca opuściło go początkowe kompletne osłabienie. Ale Winch zawsze był silny fizycznie i na tym opierał swój autorytet. Bez tego czuł się bezradny.

To samo dotyczyło konieczności brania środków moczopędnych. Osłabiony mięsień sercowy nie był w stanie pompować krwi z odpowiednią mocą. Przez co ciśnienie po jego drugiej stronie, pomiędzy sercem a nerkami, wzrastało. Wzrost ciśnienia wspomagał serce, ale upośledzał pracę nerek. I tak właśnie powstawał obrzęk, przywiązujący Wincha do szpitala mocno i solidnie niczym lina. Codziennie otrzymywał zastrzyk domięśniowy z rtęciowego środka moczopędnego. Ale nawet po zmniejszeniu w przyszłości dawki leku, przypadłości tej nie można było całkiem zlikwidować. Gdyby nie jego duże znajomości w wojsku, z pewnością by go zwolnili ze służby. A wtedy wylądowałby pośród żywych trupów w jakimś Szpitalu Weteranów, uwiązany do niego tak, jak w tej chwili do szpitala Kilrainey, przez codzienne zastrzyki. Miał przed sobą wspaniałą przyszłość, nie ma co.

I w tej sytuacji spadła mu na głowę kolejna ofiara wojny. Niczym ogromne żelazko na parę, które zleciało z nieba, przygważdżając go.

Trudno było oczekiwać, że nie pojawią się już nowi ranni z ich oddziału. Do kraju wciąż przyjeżdżały transporty żołnierzy, ranionych po jego wyjeździe, a przed zakończeniem kampanii na Nowej Georgii.

Pomimo że walki skończyły się tam przed miesiącem.

Plutonowy Billy Stonewall Dodson Spencer był jednak przypadkiem specjalnym. I to nie tylko z powodu swoich ciężkich obrażeń, ale także ze względu na to, co im opowiedział o kompanii.

Był ponadto przypadkiem specjalnym dlatego, że miał stopień plutonowego. Sam ten fakt ogromnie wiele mówił o stanie ich oddziału. Kiedy Winch opuszczał kompanię, Billy Spencer awansował akurat na kaprała.

Winch, który miał duży wpływ na jego promocję, przyrzekł sobie, że już wyżej Billy na pewno nie awansuje.

No i zjawiał się, nie tylko jako plutonowy, ale i były dowódca patroli. Przewodnikiem drugiego plutonu został mianowany na krótko przed zranieniem.

Jednakże to, co powiedział im o kompanii, przebiło zdumiewający fakt jego awansu. Po zakończeniu kampanii na Nowej Georgii zaczęło przychodzić coraz mniej listów, aż wreszcie się urwały. Od chwili przyjazdu Wincha Billy był pierwszym zwiastunem nie ocenzurowanych wieści. Chłonęli więc każde jego słowo. Winch również słuchał bardzo uważnie, chociaż ukrywał to przed innymi.

Sens opowieści Billy'ego był taki, że ich stara kompania przestała istnieć. Ze stu osiemdziesięciu żołnierzy na początku, teraz pozostało zaledwie około pięćdziesięciu, głównie starszych szeregowych i szeregowych, a ponadto kilku podoficerów zawodowych. Dawny sierżant u Wincha, Zwermann, nie został szefem kompanii, bo

przywieziono z zewnątrz całkiem nowego. W miejsce starych żołnierzy przyszli nowi. Armatnie mięso – nieopierzeni, nierozgarnięci poborowi. Bystrzejsi z nich dowodzili już drużynami. Zmienili się wszyscy oficerowie.

Stare wojsko, w chwilach gdy nie walczyło, cały czas chłało. Pominięty przy awansie Zwermann chciał zwrócić sierżanckie winkle, ale mu nie dali. Później próbował załatwić sobie wyjazd jako chory, i też mu odmówiono.

W ogóle wszędzie przykręcono śrubę. Obecnie człowiek mógł się wydostać stamtąd tylko wtedy, gdy go postrzelili. Albo zachorował tak ciężko, że był bliski śmierci.

A nawet jeżeli go postrzelili, to rana musiała być bardzo poważna. Lżejsze przestały się liczyć, odpadały. Wielu nowych dołączało do pijących. A pijący z braku prawdziwej gorzały kradli z magazynów żywnościowych – czasem korzystając z pistoletów maszynowych – dwudziestolitrowe puszki z brzoskwiniami i ananasami i na polanach pędzili z nich bimber i "dżunglówkę". Solidarność i duch bojowy kompanii przepadły bezpowrotnie.

Zwyczajnie zniknęły. Krążyły pogłoski, że jak tylko piechota morska zabezpieczy przyczółek, to kompania zostanie przerzucona na Bougainville. Być może, nawet razem z tymi z piechoty morskiej. W oddziale nie pozostał już prawie nikt z dawnych podoficerów, którzy trzymali ją w ryzach. Dlatego właśnie awansował Billy.

Najpierw zginął dowódca drużyny. Później przewodnik drugiego plutonu. Billy nie chciał przyjąć tych awansów, ale mu na to nie pozwolono.

Dawniej był typowym beztroskim chłopakiem ze średnio zamożnej rodziny w Alabamie. Kiedy się patrzyło na niego teraz, jak leży w szpitalnym łóżku i rozmawia, łatwo było dostrzec, że obowiązki związane z dowodzeniem ludźmi całkowicie zmieniły jego charakter.

Został ranny na patrolu. Idąc na szpicy, czego jako przewodnik plutonu robić nie musiał, wszedł na japońską

minę, która urwała mu jedną nogę w połowie goleni, drugą rozwalila i nafaszerowała mu ciało maleńkimi odłamkami. A poza tym jej wybuch całkowicie go oślepił.

–Czy to pan, szefie? – szepnął nieswoim, schrypłym głosem, wyciągając rękę. A kiedy na nią trafił, położył na niej drugą dłoń i przytrzymał. – Czy to naprawdę pan? Na Zachodnim Wybrzeżu słyszałem, że zapewne jest pan tu, w Luxorze. Ale nigdy nie myślałem, że się z panem zobaczę.

Niektórzy na widok ciężarówek przywożących rannych z pociągu z Zachodniego Wybrzeża nadal wylegali na szpitalny plac, i to jeden z nich, zobaczywszy na noszach Billy'ego, rozpuścił wici. Zgromadzili się przy jego łóżku, a Winch przyszedł ostatni.

Pozwolił Billy'emu trzymać się za rękę, aż do chwili, kiedy tamten sam zdecydował się ją puścić. Wycofał się wówczas za plecy zgromadzonych i przysłuchiwał się jego opowieści o kompanii. W końcu nadszedł pielęgniarz i wszystkich przepędził.

W duchu Winch potwornie kłął. Na wszystkich.

Głupie piździelce. Ten durny szczeniak nie powinien robić z niego ojca. Nie chciał ojcować żadnym zasranym, durnym szczeniakom.

W ciągu kilku następnych dni Billy kilka razy posyłał po Wincha, żeby przyszedł i przy nim posiedział. Winch ani razu nie odmówił, mimo że Billy chciał rozmawiać wyłącznie o starej kompanii, a on takich rozmów nie znosił. Przecież Billy sam im zakomunikował, że dawnej kompanii już nie ma. Może dlatego chciał rozmawiać o dawnych dobrych czasach na Guadalcanale, kiedy kompania istniała, a on przeżył je bez szwanku.

–To były wspaniałe chwile, tam, na froncie. Prawda, szefie? – pytał.

Nie wiadomo dlaczego wbił sobie do głowy, że w porównaniu z Nową Georgią Guadalcanal był jakąś

szczęśliwą sielanką. Prosił, żeby Winch przyrzekł mu, że spotka się z jego rodzicami, kiedy wreszcie będą mogli przyjechać do niego z Alabamy w odwiedziny. Winch za każdym razem obiecywał, że to zrobi.

Po sześciu wizytach u Billy'ego Winch, najwyraźniej pod wpływem chwili, wziął dwie czyste przepustki, resztę w zaklejonej kopercie zostawił pod kluczem u oddziałowego, i pojechał do Saint Louis. Mieszkała tam jego żona z dwójką dzieciaków.

Musiał dokądś uciec. A kiedy się nad tym zastanawiał, przyszło mu do głowy, czemu by nie do Saint Louis. Przecież wcale nie musiał ich tam odwiedzać.

Podróż ta była bardziej odbiciem nastroju niż przemyślanym zamiarem. Chodziło jedynie o to, żeby stąd wyjechać, dokądkolwiek. Być nieznanym. Poruszać się.

Obserwować. Nie mieć żadnych powinności i zobowiązań. Postanowił, że włoży koszulę bez sierżanckich pasków. Pojedzie anonimowo. Marzył, żeby być lekkim jak ptak. Bezcielesnym. Niezależnym od niczego i nikogo.

Beztroskim. Nie dbającym o nic. Ależ byłoby wspaniale.

W dwie godziny po tym, jak wpadło mu to do głowy, był już w drodze. Musiał załatwić sprawy ze swoim lekarzem, wziąć strzykawkę, zastrzyki, wysłuchać dziesięciominutowej instrukcji, jak należy wbijać igłę w rękę albo w pośladek, zapakować torbę z medykamentami i dodatkowy mundur. Sam pomysł zaczął go nurtować późnym popołudniem, a na dworcu autobusowym znalazł się o zmierzchu, kiedy autobusy wyruszały w nocne kursy.

Było jeszcze za jasno na zapalenie świateł, ale na tyle ciemno, żeby gorzej widzieć. Wszystko zamazywało się w jaśniejszym zmroku na zewnątrz i ciemniejszym w środku. Ludzie kręcili się niespokojnie i jedli kanapki, na które właściwie nie mieli ochoty, w zdenerwowaniu, jakie pojawia się wraz ze zmianą dziennego światła w nocne.

Wszystko to świetnie współgrało z jego nastrojem bezcielesnej wolności. Nie miał pojęcia, co zrobi w Saint Louis. I nie martwił się tym. Prawdę mówiąc, równie dobrze mógł pojechać do Chicago lub Detroit. Dokądkolwiek, gdzie go nie znano.

W zatłoczonym, wypełnionym oddechami śpiących autobusie on nie spał. Była pełnia, ale Winch nie patrzył na nocne krajobrazy. Tylko raz podczas trzystumilowej jazdy, w Cape Girardeau, poruszył się, żeby spojrzeć na wielką rzekę. W zupełności wystarczało mu być tam, siedzieć, czuć wibrowanie silnika i podskakiwanie opon pod udami.

Przez całą drogę nie miał żadnych pragnień.

Coś bardzo podobnego przeżył we Frisco, kiedy w najgorszej fazie zawału poczuł, że jego drugie wcielenie znalazło się poza nim, i zaczął się zastanawiać, jaki to ma sens. Co to było? Nie miał pojęcia. Czy to również był on, drugi on, który czekał, by połączyć się z tym pierwszym? Nie potrafił orzec. Czy rzeczywiście to odczuwał, czy też był to chorobliwy majak? Nie wiedział.

Na dobrą sprawę na żadne z tych pytań nie mógłby odpowiedzieć zadowolająco. Pozostała mu więc tylko natrętna pamięć o tym przeżyciu. Pod jego stopami i udami dudniły i waliły w nawierzchnię szosy wielkie opony.

Przyjazd Billy'ego Spencera z taką siłą przypomniał mu o losie brnących ociężale, zdyszanych, krztuszących się błotem plutonów, że zmusił do myślenia. Wiedział, że gdzieś nastąpił błąd, ponieważ powinien być w tej chwili nie tu, ale tam, z nimi. Był za mądry, żeby ludzić się, że mógłby odmienić ich los. Ale mógłby go złagodzić i tak ukształtować, żeby ocalić trochę ze starego ducha kompanii. Lecz zamiast tego był tutaj. A oni tam pogubili się. Winch czuł się zupełnie przegrany.

Opowieści Billy'ego w szokujący sposób przypominały

mu o gwałtownej brutalności i szaleńczym rozpasaniu wojny. Uświadomił sobie, jak bardzo zbladło to wszystko w jego pamięci. Nie wierzył, że tak brutalne obrazy kiedykolwiek spłowieją. Nigdy nie chciał ojcować szczeniakom takim jak Billy. Gdzie zatem kończyła się odpowiedzialność? Najwyraźniej nigdzie. I nigdy. Nie kończyła się nigdy.

Jak można było żyć z taką myślą?

Na siedzeniu obok niego spał jak małe dziecko młody żołnierz, tuląc do siebie butelkę whisky Seagrama.

W Saint Louis Winch wynajął pokój w hotelu w lichej dzielnicy nad rzeką. Nigdy nie służył w tutejszych koszarach Jeffersona, ale znał okolicę, ponieważ kiedyś zatrzymał się tu z okazji odwiedzin u kumpla. Po zatłoczonych ulicach kręcili się i przesiadywali w tanich barach alfonsi, prostytutki, złodzieje i oprychy. Tak jak zwykle. Oczywiście wszędzie było pełno żołnierzy.

Po załatwieniu formalności w recepcji poszedł prosto do łóżka i spał przez szesnaście godzin, aż do ósmej wieczorem następnego dnia. Po przebudzeniu ogolił się, przebrał, wyszedł, kupił butelkę wytrawnego kalifornijskiego wina i wrócił z nią do pokoju. Czując się jak mężczyzna na potajemnej schadzce, co w jakimś sensie odpowiadało prawdzie, nalał sobie pół szklanki, podniósł ją do lampy, a potem pociągnął szybki, mrowiący w język łyk. Nic się nie stało. Nie padł trupem. Usiadł więc na tanim biurku i trzymając nogi na łóżku, metodycznie wypił całą butelkę, sześć pikantnych w smaku, pobudzających wydzielanie śliny szklanek. Od długiego czasu nie pił i nie jadł niczego równie pikantnego, smakowitego i apetycznego.

Kiedy skończył, wyszedł coś zjeść. Tak długo nie miał w ustach alkoholu, że przez dziesięć czy piętnaście minut po wypiciu wina chodził na wpół pijany. Czuł się cudownie. I to do tego stopnia, że bez oporów poprosił

kelnerkę o jedzenie bez soli. Po posiłku wyszedł na ulicę i zrobił to, co i tak, jak wiedział, było od początku nieuniknione. Złapał taksówkę i podał szoferowi adres swojej żony w zachodniej dzielnicy miasta.

Nie widział nigdy tego domu ani tej ulicy. Żona przeniosła się do Saint Louis po jego odejście na wojnę, bo w tym mieście po przejściu na emeryturę zamieszkał przed śmiercią jej ojciec, starszy sierżant.

Oświadczyła, że ma tam krewnych. Dom stał w jednej z odległych, zbudowanych bez głowy dzielnic mieszkaniowych. Przy ulicach tworzących zabudowane kwartały rosły wysokie drzewa. Budynki zaś były wielkie, kanciaste i miały grube mury. Zdawało się, że milami ciągną się w rzędach, niczym setki starych, baryłkowatych starszych sierżantów na paradzie wojskowej.

Przy drzwiach umocowano w drewnie metalową tabliczkę z dzwonekami do czterech mieszkań. A więc duży stary dom podzielono na mieszkania. Mieszkanie żony było na piętrze z lewej strony. Stojąc w łagodnym wrześnieowym powietrzu po drugiej stronie ulicy, skryty w cieniu starego, rozłożystego klonu z wielkimi liśćmi, Winch zaczął czekać i czekać. W półtorej godziny później, kiedy zaczynał już myśleć, że żona jest w domu i śpi, podjechała taksówka i zobaczył, że wysiada z niej z jakimś wojskowym.

Po czapce poznał, że jest to oficer lotnictwa. Nad lewą kieszenią nosił skrzydełka i baretki. W świetle ulicznej lampy na jego ramionach zasrebrzyły się okrągłe oznaki podpułkownika. Oboje byli podpici. Chichocząc i śmiejąc się krótkim chodnikiem dotarli do schodków.

Tam, zanim wyjęła klucze i otworzyła drzwi, lotnik mocno ją pocałował. W dwie minuty później na piętrze z lewej zapaliły się światła i już nie zgasły. Taksówka odjechała.

Winch zaczekał pod klonem jeszcze pół godziny.

Światła paliły się dalej. Z domu nikt nie wyszedł.

Przypuszczał, że obaj chłopcy śpią w swoim pokoju.

Zawsze byli na miejscu. Cholera, mieli już jeden dziesięć, drugi jedenaście lat. Byli na tyle duzi, żeby zająć się sobą, kiedy mamusia wychodziła wieczorem z domu.

Ponieważ minęło pół godziny i nic się nie zmieniło, ruszył w kierunku, gdzie, jak sądził, znajdzie najbliższą arterię komunikacyjną.

Zajęło mu to trochę czasu. Szedł wolno, nie śpiesząc się i w ogóle się nie zadyszał. Wydawało mu się, że zapamiętał trasę, którą tu przyjechał, ale się mylił.

W końcu w ulicy na prawo zobaczył jaśniejsze światła, poszedł więc w ich stronę do ruchliwej alei i przywołał taksówkę.

Po powrocie do nadrzecznej dzielnicy obszedł okoliczne bary. Nie pił. Około czwartej rano wrócił wreszcie do hotelu i do łóżka.

Przez następne trzy dni Winch co wieczór odbywał swoją małą pielgrzymkę do żony w zachodniej dzielnicy mieszkaniowej. Był to jego stały punkt w rozkładzie dnia. Spał albo próżnował do późnego popołudnia lub wieczora, po czym szedł na duży pojedynczy posiłek i brał taksówkę. Codziennie też, zanim coś zjadł, wychodził po butelkę wina i wypijał ją przy biurku w tanim pokoju hotelowym. Każdej nocy podjeżdżał pod dom żony około wpół do pierwszej. Dwukrotnie wracała z tym samym podpułkownikiem lotnictwa, ale trzeciej nocy przyprowadziła do domu innego mężczyznę. Również oficera. Był niższy od tamtego, tęższy, kluchowaty, a na ramionach nosił złote dębowe liście majora. Podeszli do drzwi domu w taki sam sposób: chichocząc i śmiejąc się. Przy drzwiach dokładnie tak samo się pocałowali.

Znowu zapaliły się światła na górze. Znow nikt stamtąd nie wyszedł. Winch, jakby nagle ktoś uwolnił go od paktu z diabłem, obrócił się na pięcie, doszedł do

ruchliwej arterii, złapał taksówkę do hotelu, spakował się, zapłacił i wyszedł. A potem złapał jeszcze jedną taksówkę na dworzec autobusowy. Następny autobus na południe, który jechał do Luxoru, odchodził za godzinę. Winch spędził ją w pobliskim barze, święcąc ten dzień drugą butelką wina.

Tym razem większość drogi przespał. Tylko raz rozbudził się na krótko, żeby spojrzeć na mroczny nurt wielkiej ponurej rzeki, płynącej wzdłuż autostrady po jego lewej ręce. Patrząc myślał o swojej przechodzącej bolesne przeobrażenia kompanii, która zapomniała o nich. Zapomniała o nim. Wiedział, że nie może być inaczej. Pomyślał, że to dobrze, i znowu zasnął. Aż nagle coś go obudziło, jakiś sen, i miał ochotę wykrzyknąć rozkaz: "Zabierzcie ich stamtąd! Zabierzcie ich stamtąd!"

Prędko! Niech przesuną się w lewo! Nie widzicie, że wymacały ich mózdzierze?!" Mając w gardle już pierwsze wykrzyczane słowo, zdołał je zdusić, tak że na głos jedynie mruknął. Pokręcił głową. Sen wiązał się w jakiś sposób z atakiem na wzgórze 27 tamtego pamiętnego dnia na Guadalcanale.

Tylko że teren wyglądał inaczej niż tam i jakoś dziwnie.

Nowo. Winch jeszcze raz pokręcił głową. Ale potem już spał, aż obudziły go świt i wschodzące słońce. Tym razem na dobre rozbudzony, zapatrzył się na płaskie jak stół równiny stanu Arkansas. Nie czuł zadowolenia i nie czuł się wolny. Ale wiedział już z pewnością, że rozpad jego kompanii jest ostateczny i całkowity, że przepadła.

W górze ponad horyzontem zamajaczyło miasto, zawieszona na skarpie jak przecucie. Gdzieś tam znajdowała się cała jego przyszłość. Tak właśnie to wyglądało.

W szpitalu Kilrainey, którego nie znosił i który, w miarę jak taksówka zbliżała się do jego ceglanej bramy, coraz bardziej wydawał mu się więzieniem, Winch dowiedział się, że gdy bawił na swej czterodniowej

wycieczce, byli tu rodzice Billy'ego Spencera, ale już wyjechali. I dobrze się stało. Billy powiedział mu, że matka urządziła straszliwą scenę.

Tego samego dnia lekarze dokładnie przebadali Wincha i oznajmili, że nie widzieli go jeszcze w tak znakomitej formie. Nie potrafili tego wytłumaczyć, faktem było, że nigdy dotąd nie miał równie dobrych wyników EKG. I gdyby wszystko szło tak dalej, a jego zdrowie wciąż się poprawiało, to nie widzieli żadnych przeszkód, żeby już wkrótce powrócił do służby. Winch tylko uśmiechnął się gorzko i nie wspomniał im w ogóle o butelkach wina.

W dwa dni potem odbył swoje pierwsze poważne spotkanie z Carol Firebaugh w ośrodku rekreacyjnym.

Zaprosiła go na partię ping-ponga.

Widował już ją tam wcześniej i czasem pozdrowiał.

A zapoznał ich ze sobą Landers. Ale Winch spędzał niewiele czasu w ośrodku i nigdy nie nawiązał z nią rozmowy.

Tym razem zabłąkał się tam tuż po rozmowie z Billym, a nie chciał wracać na oddział kardiologiczny, siedzieć i rozmyślać. Jednakże ledwo obszedł salę, gotów był z niej wyjść.

Miejsce to stworzono i urządzono wyłącznie dla idiotów. Zaprojektował je i naszkicował jakiś łebski cwaniak, pewnie oficer wojsk inżynieryjnych, żeby służyło żołnierzom i podoficerom, których niechybnie uważał za debili.

Piętnastoletniemu gimnazjaliście ośrodek z pewnością wydałby się wspaniały. Przy ścianie bliżej drzwi stały dwa stoły pingpongowe, z których nikt nie korzystał.

Na bloczkach podciągnięto w górę i umocowano prostopadle do podłogi zaopatrzone w obręcze tablice do koszykówki. Opuszczono by je tylko wówczas, gdyby z okazji rozgrywek wzniesiono składane trybunki dla

widzów. Na przykład, z okazji meczu jednonogich z jednorękimi, pomyślał złośliwie Winch. Albo gdyby do szpitalnych kalek przyjechali na występ Harlem Globtrotters. Scena była ciemna, a czerwona pluszowa kurtyna szczelnie zasunięta. Odsunięto by ją, na boisku zaś ustawiono krzesła, gdyby do rannych żołnierzy przyjechał zaśpiewać Bing Crosby albo ktoś podobny. Żołnierze siedzieli więc na razie

niewygodnie na wygodnych kanapach i gapili się na wysokie osłonięte od środka dla ochrony przed uderzeniami piłek okna sali.

Pewnie rozmyślali o dupach. Kilku pacjentów w szlafrokach grało przy niskich stolikach w warcaby. Dwie pary intelektualistów pochłoniętych grą. W przeciwległym kącie kobieta w bezpłciowym, macierzyńskim szarym stroju ochotniczek Czerwonego Krzyża prowadziła apatycznie lekcję wyplatania koszyków. Winch miał właśnie wyjść, kiedy podeszła do niego z dwiema raketkami i piłeczką Carol Firebaugh.

–Nie zagrałby pan ze mną, sierżancie? – spytała.

Uśmiechała się. Już sam urok jej młodości znieważał jak policzek. A poza tym była piękna, ale nie tą pięknnością gwiazd filmowych. Czy w ogóle można być aż tak młodym? – zadawał sobie pytanie Winch. – Czy ja też byłem taki młody? W jej oczach i zachowaniu wyczuwało się pewną zalotność, bardzo typową dla Południa.

Winch musiał się mocno hamować, żeby nie odpowiedzieć jej z męską agresywnością i butą.

–Oczywiście – usłyszał własny głos. – Dobrze.

Czemu nie?

Winch był dobry w wielu dyscyplinach, o czym na swoje nieszczęście przekonał się Landers, kiedy w poczuciu niewczesnej intelektualnej wyższości wyzwiał Wincha na partię szachów. Oprócz gry w futbol, w szachy i warcaby, koszykówki, skoków z trampoliny oraz

biegów do dyscyplin tych zaliczał się również tenis stołowy. W Fort Bliss i Houston Winch pod koniec lat trzydziestych należał do najlepszych pingpongistów w armii.

Zdjął kasztanowy przydziałowy szlafrok, zsunął z nóg kapcie bez pięt i grał w szarej szpitalnej piżamie na bosaka. Zrezygnował dopiero po rozegraniu trzech setów. Co prawda serce waliło mu niesamowicie, ale poza tym ten niezwykle dla niego wysiłek poprawił mu samopoczucie. Wygrał z Carol 21:12, 21:17 i 21:18.

Grała dobrze i na pewno po cichu liczyła, że go pokona.

–Pan naprawdę świetnie gra – oznajmiła, śmiejąc się bez tchu. Jej blada cera irlandzkiej brunetki ożywiła się i zaróżowiła pod okalającymi czoło kruczoczarnymi włosami. – Nie zagrałby pan jeszcze kilku setów?

–Nie – odparł Winch. Próbował ukryć, że jemu również brakuje tchu. – Przed następnym spotkaniem ze mną radzę pani poćwiczyć z kimś równym pani klasą.

–Och! – westchnęła, ale roześmiała się.

Winch najbardziej pragnął w tej chwili usiąść gdzieś na kilka minut, ale nie pozwolił sobie na to. Włożył natomiast z powrotem szlafrok i kapcie. Towarzyszył jej, gdy poszła odłożyć rakiетки i piłeczkę.

Na jego propozycję, żeby wybrali się dziś wieczorem na kolację, zgodziła się, zanim skończył mówić.

Chciał się z nią spotkać w barze hotelu Claridge.

Uważał go za lepsze miejsce od baru w hotelu Peabody.

Ale ledwie tam weszła i usiadła, stało się oczywiste, że się jej tam nie spodobało.

–Nie byłam tu od maturalnej potańcówki – powiedziała nerwowo.

–Czyżby to było aż tak dawno temu?

–Trzy i pół roku – odparła i przez chwilę milczała.

–Właściwie, nie aż tyle. Byłam tu jeszcze potem. Ale nie od wybuchu wojny i najazdu na Luxor tej masy żołnierzy.

–Nie znam żadnego baru bez żołnierzy, do którego mógłbym panią zabrać – wyznał Winch.

–Jest kilka takich – odparła i rozejrzała się po sali.

–Ten uważa pani za zbyt lichy?

–Nie. Ale z drugiej strony Luxor też nie jest już taki jak kiedyś. – Zgarbiła ramiona i po chwili kokieteryjnie je wyprostowała. – Nie lubię tego, w jaki sposób na mnie patrzą, kiedy piją. Tam, w szpitalu, to co innego.

Kiedy popijając z osłoniętej torbą butelki Wincha zaczęli rozważać, dokąd iść na kolację, Carol zaproponowała znany jej lokal, w którym na pewno nie będzie żołnierzy, Herbaciarnię Pani Thompson. Winch nie wiedział, że tę samą restaurację zaproponowała Landersowi. Zresztą i tak natychmiast zaprotestował.

–Wyjaśnijmy to sobie od razu. Jeżeli chcę panią zabierać do lokali, to nie do takich, gdzie dobrze panią znają. Takich, w których pani bywa. Chcę panią zabierać tam, gdzie nie jest pani znana. Do tych, które ja sam wybiorę.

–Czy to rozkaz, panie sierżancie? – spytała z uśmiechem.

–Powiedzmy.

–Wstydzi się pan, że pana ze mną zobaczą? O to chodzi?

–Nie. Na pewno nie. Jestem cały przejęty i zachwycony – odparł Winch. – Nie chcę tylko, żeby pani znajomi z Luxoru pomyśleli, że podrywa pani gołowąsów.

Zaśmiała się.

–Tak – odparła. – Ale to pan podrywa młódki.

Winch uśmiechnął się.

–Mógłbym pokazać pani trochę miejsc w tym mieście, o których istnieniu nie ma pani pojęcia.

–Z pewnością – przyznała. – Ale nie wiem, czy chciałabym je poznać.

Na kolację zabrał ją do Plantacji w hotelu Peabody.

Tam również nie była od bardzo dawna. Po niedługim czasie chyba jednak spodobało jej się tam.

–Tętni tutaj życiem, nie ma co – powiedziała.

–Nie wiedziałam, że w Luxorze jest aż tylu żołnierzy.

Winch nagle uświadomił sobie, że Carol nie nosi okularów. Tęczówki miała ciemne, prawie czarne. Bez nich jej chwilami niesforne oko było lepiej widać.

Patrzyło na niego krótko, umykało zmieszane, podczas gdy to normalne uśmiechało się zalotnie. Nie wiadomo dlaczego, ale efekt był ogromnie podniecający.

–Dzięki gorzale – odparł ponuro Winch. – To ona ożywia idących na śmierć. Większość z nich wkrótce stąd wywozą. Na wschód albo na zachód.

–Nie mówmy o tym. Proszę.

Winch dowiedział się od Carol, że jej brat, młodszy brat, jest pilotem myśliwskim na Florydzie i że kończy tam szkolenie przed wyjazdem do Europy. Właśnie dlatego wróciła na ten rok z uczelni do domu.

Okazało się, że Carol dobrze tańczy, że jest lekka, gibka, łatwa do prowadzenia. Winch ostrożnie dawkował tempo, przepuszczając co drugi taniec, żeby się nie zadyszeć.

–Z jakiego powodu jest pan w szpitalu? – spytała, kiedy kilka tańców przesiedzieli przy stoliku. – Dlaczego odesłano pana do Stanów?

Spoglądając na niego swoim samowolnym okiem, wyciągnęła rękę i położyła ją na jego stwardniałej dłoni.

Winch spodziewał się tego pytania i rozważał, jaką dać odpowiedź. Nie mógł się zdobyć na to, żeby jej powiedzieć o swoich kłopotach z sercem.

–Z powodu dengi i malarii – odparł natychmiast lakonicznie.

–I to wystarczy do odesłania do kraju?

–Tak, jeżeli choroba jest ciężka.

–Ma już pan ją za sobą?

–Prawie.

–I to dlatego pan nie pije? – spytała. Ze stojącej na stole butelki wypła już dwie whisky. – Nie wiedziałam, że picie szkodzi przy malarii.

Winch wzruszył ramionami. Bardzo chciał zmienić temat.

–Zalecili mi nie pić – rzekł.

–Więc niedługo znów pan wyjedzie. Dokądś.

–Prawdopodobnie – skłamał. – Choć być może zostanę tu jakiś czas. W Drugiej Armii.

–To byłoby wspaniale – powiedziała z uśmiechem Carol.

–Zatańczmy – zaproponował.

Od bardzo dawna nie miał żadnych seksualnych pragnień. Od czasu Frisco. Powiedzieli mu, że to skutek działania naparstnicy i środków moczopędnych. Trzymanie jej w tańcu i przyciskanie do gorsu koszuli jej dużych piersi wcale go nie podniecało. Nie martwił się tym. W jej przypadku nie chodziło mu o te sprawy, tylko o tę jej niewiarygodną, niesłychaną młodość. Żądliła go ona jak rozsierzony owad.

Kiedy odwiózł Carol do rodzinnego domu w wielkiej alei wysadzonej wysokimi drzewami, nie próbował jej pocałować i po wyjściu z taksówki polecił szoferowi poczekać.

–Niech jedzie – powiedziała Carol. – Nie wpadnie pan do mnie na chwilę?

Winch potrząsnął przecząco głową.

–Jestem za stary na obłapianki z dziewczynami na kanapach w salonach ich mamus – odparł, kiedy szli chodnikiem w stronę domu.

–Och, może nie skończy się na tym – powiedziała i natychmiast się do niego uśmiechnęła.

–Na żadnej kanapie w salonie, ze śpiącymi mamą

i tatą nad głowami – odrzekł. – To nie dla mnie. Ale następnym razem mogę załatwić coś, dokąd moglibyśmy pójść. Jeżeli pani chce.

–Czy to groźba?

–Nie groźba. Obietnica.

Stali przy drzwiach domu i Carol, zamiast mu odpowiedzieć, odgięła głowę w tył, zamknęła oczy i podała mu usta do pocałunku. Zanim Winch pochylił się ku niej i przyłożył usta do jej warg, umyślnie odczekał, aż otworzy oczy i spojrzy na niego zaskoczona.

Natychmiast wepchnęła mu w nie język i mechanicznym ruchem mocno objechała nim ich wnętrze.

–Kiedy? – spytała, gdy się rozłączyli.

–Może jutro wieczorem – zaproponował, a gdy skinęła głową, dodał chłodno: – Przede wszystkim muszę cię nauczyć całowania.

Nim zdążyła mu odpowiedzieć, już był w drodze do taksówki.

W czasie powrotnej jazdy milczał. Po raz pierwszy od ataku serca w szpitalu Lettermana i tej – jak jej tam?

–Arlette poczuł seksualne ożywienie. Carol najwyraźniej wiedziała o seksie tylko to, co najbardziej oczywiste, i uczenie jej mogło być wielką frajdą. Czuł pod mundurem, pod którym nie nosił bielizny, mrowienie w członku i jego lekkie spęcznienie, jak na próbę. Zaczął oddychać głębiej. Siedział w milczeniu w taksówce i smakował te przeżycia przez całą drogę do szpitala, spoglądając przez okno na gęste, dobrze utrzymane trawniki, drzewa i aleje, a potem na uboższe widoki i tanie knajpy charakterystyczne dla południowych przedmieść Luxoru.

Z załatwieniem pokoju w Claridge'u nie miał specjalnego kłopotu. Jack Alexander wynajmował tam dwa pokoje dla graczy w pokera, by mieli gdzie odpoczywać, spać i pić, a ponadto apartament, w którym odbywały

się bardzo poważne gry o wysokie stawki dla krezusów, którzy odebrali miesięczny żołd. Alexander zadzwonił w jego sprawie do hotelu i upewnił się, czy pokój dla Wincha nie znajduje się przypadkiem na tym samym piętrze, gdzie rzną w pokera.

–Pan świetnie wie, jak ze mną postępować, prawda? – spytała z triumfalnym uśmiechem Carol, kiedy zawiózł ją tam po jeszcze jednej kolacji w Plantacji.

–Założę się, że robił pan to wiele razy z kobietami.

Winch wyczuł, że Carol chce, żeby się do niej uśmiechnął. Uśmiechnął się więc krótko.

–Jeżeli chce pani znać prawdę, to jestem za stary na beztroskie figle.

–Zaintrygował mnie pan. Powiedział pan, że nauczy mnie pan całować. Myślałam, że umiem to robić.

–Tak, ale pani nie umie – odparł z uśmiechem.

–Przede wszystkim należy pamiętać, żeby nie za mocno naciskać językiem. I nie robić tego mechanicznie. Nigdy nie powtarzać tego samego ruchu. Cała sztuka w jak najdelikatniejszym laskotaniu. W ten sposób nigdy nie ma się dość. Proszę podejść. Najpierw jednak zademonstruję pani, jak się rozbiera kobietę.

Zakryte części jej ciała były równie rozkoszne i niewiarygodnie młode jak te odsłonięte. Nie było na niej choćby grama tłuszczu. Miała czarne, bardzo czarne włosy i jasną, bardzo jasną cerę irlandzkiej brunetki, a poniżej jej bieluśkiego brzucha wyrastał bujny czarny gąszcz. Zwierzyła się, że dużo gra w golfa i tenisa. I że jej ojciec jest w Luxorze bardzo wziętym adwokatem.

–Powiedziałaś, że ile masz lat?

–Dwadzieścia dwa – odparła, lekko się zawahawszy, co ją zdradziło. – Będę miała. Już niedługo.

–Za ile?

–Za siedem miesięcy.

Zaczerwieniła się.

–Jestem w takim wieku, że mógłbym być twoim ojcem.

–Ale ja tak o tobie nie myślę. Przypominasz mi inteligentnego, silnego, mądrego, starego słonia, który od wieków wędruje po swoich dżunglach – szepnęła.

–Tak? – spytał Winch.

Zupełnie jej nie przeszkadzało, że członek podnosi mu się tak strasznie wolno.

–Nie wiem, co mnie w tobie tak pociąga – wyznała, przyciskając głowę do jego głowy. – Później muszę wrócić do domu – wysapała. – Nie mogę zostać na noc.

Tak jak podejrzewał, bardzo mało wiedziała o seksie.

Był na przykład pewien, że jeszcze nikt nie robił tego z nią po francusku. Postanowił jednakże zaczekać z tym do którejś z przyszłych schadzek.

–Czy jestem atrakcyjna? – spytała szeptem, kiedy rozłożyła na łóżku swoje smukłe ciało, z długimi nogami i długim torsem, a on wszedł na nią, by ją wziąć.

–Tak.

Winch nie widział potrzeby rozwijania tego tematu.

W każdym razie ku swojemu zaskoczeniu i niedowierzaniu po raz pierwszy w życiu przekonał się, czym jest znużenie miłosne. Odkrył to, kochając się z nią ostrożnie w hotelowym łóżku. Dotychczas zawsze był w tak dobrej formie, iż nie musiał się martwić, że się zmęczy.

Tym razem było inaczej.

–Och! Och! Nigdy jeszcze nie przeżyłam czegoś takiego – wyszeptała z zamkniętymi oczami.

Winch zastanawiał się, ilu kochanków od ilu kobiet słyszało takie słowa. Od każdej nowej? Jego członek nie wyróżniał się długością, ale na pewno był grubszy niż przeciętny.

Kiedy po wszystkim leżeli obok siebie – on przeżył orgazm, a ona, jak wiedział, nie – zapytała:

–Co zrobimy ze sobą? Co z nami będzie?

Winch uznał to pytanie za, łagodnie mówiąc, nieco przedwcześnie.

–Po pierwsze, przez jakiś czas możemy się świetnie bawić – odparł cicho.

Ale po dwóch tygodniach odkrył, że z bardzo dużą niechęcią zaczyna myśleć o czekających go niedługo przenosinach do Obozu O'Bruyerre'a i Drugiej Armii.

Wprawdzie było to tylko trzydzieści mil od Luxoru, ale te trzydzieści mil oznaczało, że nie będzie mu już tak łatwo spotykać się z nią co wieczór w mieście.

Johnny Stranger zdążył już powrócić z Cincinnati, i Winch rozpoznał, że jego dawnemu szefowi kuchni przydarzyło się coś paskudnego.

Rozdział siedemnasty Wyjeżdżając z Luxoru do Cincinnati z dwiema trzydniowymi przepustkami w kieszeni tak przywykł do podróży zatłoczonym autobusem i odbył ich tyle, że znając prawie na pamięć trasę, Strange rzadko wyglądał przez okno.

Miał nadzieję, że się zdrzemnie, ale w jadącym, pełnym oddychających ludzi pojeździe nie dało się usnąć. Powietrze lepiło się od wilgoci wydalanej przez ciała i słychać było nie milknący szmer rozmów. Wciśnięty w wąski fotel, Strange przypiął się do butelki whisky, którą zakupił na podróż, i oddał się rozmyśleniom nad historią i katastrofą, jaka dotknęła Billy'ego Spencera. Chciał to zrobić od dnia, kiedy Billy pojawił się w szpitalu. Wiedział, że w końcu będzie musiał zmierzyć się z tą sprawą.

Dla niego, podobnie jak dla Wincha, przyjazd Billy'ego do Kilrainey był torturą. Ale okrutniejszą, bo Winch, w przeciwieństwie do niego, najwyraźniej pogodził się z tym. Billy Spencer stał się pierwszą kompanijną ofiarą Losu. I nawet jeżeli teoretycznie wszyscy wiedzieli, że takie rzeczy się zdarzają, to nikt naprawdę nie wierzył, że coś takiego spotka właśnie jego.

Winch chyba się z tym jakoś uporał, ale Strange nie

potrafił. W porównaniu z Billym on sam wyszedł z wojny na dobrą sprawę cało; myśli o tym gnębiła go tak bardzo, że po plecach biegały mu ciarki i w poczuciu winy zaciskał pośladki.

Ilekcroć pomyślał o Spencerze, targająca nim dzika, bezrozumna nienawiść do cywilów, którzy tam nie byli i przez to nie przeszli. Miał wtedy nedorzeczną chęć walić w twarz każdego napotkanego cywila. Głupia reakcja i Strange wiedział o tym.

Ale jeszcze gorzej przyjął relację Billy'ego o rozpadzie kompanii. Strange nie żałował, że ją opuszcza, nie żałował, choć wiedział, że już do niej nie wróci i że jego przyjazd do Stanów oznacza przydział do innej jednostki.

Oczywiście nie chciał, żeby kompania się rozpadła, przestała istnieć. Pod dowództwem nowych oficerów i podoficerów przysyłanych z zewnątrz traciła swoją tożsamość i charakter. Przekształcała się w inny oddział, nie do rozpoznania. I to właśnie była katastrofa.

Gdzieś w głębi duszy Strange piastował myśl, że kiedyś, po skończonej wojnie, wszyscy żołnierze kompanii znowu się spotkają. Znowu staną się oddziałem, którym byli dawniej, ale mądrzejsi i bardziej doświadczeni dzięki wojnie.

Zdawał sobie sprawę, że taki pomysł to czcza mrzonka. Ale dopóki kompania była tam, zachowując pozory, iż jej pierwotny skład i struktura są nietknięte, czepiał się tej myśli, a przynajmniej mógł się nią bawić. Kiedy więc dowiedział się, że ich kompanii już nie ma, bo uzupełnili ją i zdobyli w niej przewagę obcy, poczuł się wykorzeniony i bezdomny. Nigdy dotąd nie czuł z taką siłą i tak dojmująco, że jest nagi, samotny i osierocony.

Nawet wówczas, gdy opuścił rodzinny dom, nawet po śmierci rodziców. To, że miał żonę i że jej rodzina przyjęła go jak swego, nie pomagało.

W zawilgoconym autobusie, niepocieszony, Strange opróżnił butelkę whisky. Pal sześć, od tego się nie ginęło. Służył w wojsku na tyle długo, by przywyknąć do zmiany jednostki. Doświadczył tego już kilka razy.

Ale ten oddział był wyjątkowy. Jasno pojął, że dokonała tego wojna. Śmierć... śmierć i okaleczenia zespoliły kompanię tak, jak nie zespoliłoby jej nic w czasach pokoju. Wspólne doświadczanie śmierci, ran i strachu sprawiły, że wszyscy w oddziale stali się sobie bliscy jak rodzina, bliskością, którą trudno by ponownie

osiągnąć.

Strange zaś nie wiedział, czy znajdzie w sobie odwagę, żeby ze swoją obecną wiedzą o wojnie zaczynać od początku i przechodzić przez to raz jeszcze.

Wreszcie wczesnym popołudniem dotarł do domu w Covington, niemal dokładnie o tej samej porze, co przy poprzednich wizytach. Stryj Lindy, jej niezdolny do służby wojskowej starszy brat i kuzyn ze strony matki nadal spali przed pójściem do pracy na nocną zmianę.

Tym razem, kiedy zaczęli się schodzić do kuchni, zastali w niej Strange'a pijącego piwo. Towarzyszył im, kiedy szykowali sobie posiłek, zjadł z nimi jajka na bekonie. Żaden z nich nie zainteresował się tym, że zoperowano mu dłoń i że teraz nosi na niej gipsowy opatrunek.

Wkrótce dowiedział się, że Linda Sue, która powinna pracować w dzień, a zatem niedługo wrócić do domu, została przeniesiona na drugą zmianę. Niedawno więc wyszła do pracy i kończyła ją o północy. Strange pozostał w domu do chwili, gdy z pracy i zakupów zaczęły wracać kobiety, co zmusiło go do wyjścia.

Tak wypełniły kuchnię plotkami i krzątaniną przy szykowaniu obiadu, że nie mógł tam wytrzymać. Jedyne dostępne miejsce w domu – perkalikowa sypialnia Lindy – było za małe, żeby po nim chodzić, za małe

na robienie czegokolwiek, z wyjątkiem spania i, być może, jebania.

Poszedł więc do kina. Na ekranie jakiś zielony marynarzyk, wysadzony na Baatanie, pozwalał odskakiwać łyżkom granatów ręcznych i liczył do trzech, nim je rzucił, zwykle w pień palmy kokosowej, zza którego strzelało do niego z najbliższej odległości kilku bardzo złych i szpetnych Japończyków. Film był tak skandaliczny, że Strange musiał wyjść w jego połowie. Idąc przejściem, przyjrzał się skąpanym w migotliwym świetle ekranu twarzom widzów, którzy zajadali garściami prażoną kukurydzą i pożerali wzrokiem film. W przypiływie nagłego szaleństwa poczuł żal, że nie ma przy sobie kilku granatów, żeby je rzucić między nich.

I popatrzeć, czy im się to spodoba.

Potem wędrował od baru do baru i pił. O wpół do pierwszej w nocy dotarł wreszcie, mocno wstawiony, do domu i poszedł spać do małej perkalowej sypialni.

W kuchni zastał dwóch innych członków rodziny, którzy wrócili właśnie z popołudniowej zmiany, i przez chwilę z nimi rozmawiał. Linda zjawiła się w domu dopiero po trzeciej.

Oczywiście nic nie wiedziała o jego przyjeździe. Po wejściu do małej sypialni strasznie przepraszała, że go obudziła. Też była na gazie. Wyjaśniła, że wypita trochę z dziewczynami. Kiedy chciał się z nią kochać, była wobec niego życzliwa, miła, chętna, ale trudno powiedzieć, że napalona. Kiedy ją pieprzył, głaskała go po głowie. Ale on wolałby, żeby była namiętna.

O niczym więcej nie było mowy. Jakżeby inaczej.

Kochali się tak samo jak zwykle. Tym razem może nawet z nieco większą przyjemnością. A kiedy już sobie ulżył i chciał z nią porozmawiać o tym, co powiedział Curran o kolejnej operacji i jak by to wpłynęło na

kwestię restauracji, wymówiła się od słuchania twierdząc, że jest śpiąca. A ponieważ on mimo to nie zamilkł, nie wytrzymała i rozplakała się.

–Ależ Lindo, kochanie, nie rozumiesz? – nie dał za wygraną. – Możesz mieć swoją restaurację. Wystarczy, że nie zgodzę się na drugą operację i zwolnię mnie z wojska.

–Nie chcę o tym teraz słuchać – odparła, płacząc.

–Jestem za bardzo pijana, zmęczona i senna. Nie możemy porozmawiać o tym jutro? Proszę cię.

–Oczywiście, oczywiście. Naturalnie. Nie płacz. Nie płacz, jak Boga Kocham – powiedział Strange i pogłaskał ją po ramieniu.

Kiedy zasnęła, długo leżał z rękami pod głową i rozmyślał. Na pewno nie takiej reakcji po niej oczekiwał.

Rano, gdy o jedenastej zeszła na dół, zaproponował jej, że zabierze ją gdzieś na miły, smaczny, elegancki obiad, bo uznał, że jest mizerna i wygląda na zmęczoną.

Kuchnia, do której ciągle ktoś wchodził i wychodził, szykował lub gotował takie czy inne posiłki, z pewnością nie nadawała się do rozmowy. Ale Linda zamiast się ucieszyć, posłała mu ostre spojrzenie, a po chwili oświadczyła, że nie może z nim zjeść obiadu. Nie wyjaśniła jednak dlaczego. Zażyczyła sobie natomiast, żeby spotkać się w barze blisko jej fabryki po pracy, o dwunastej. Dała mu adres. A potem, około drugiej, ubrała się i wyszła. Powiedziała, że na zakupy.

Tak więc Strange musiał sobie czymś wypełnić kolejny dzień. Przejadły mu się już filmy wojenne, ale tutaj widocznie nie grano innych. W całym Cincinnati po drugiej stronie rzeki wyświetlano tylko takie. Wreszcie znalazł kino, w którym szła powtórka Opowieści o Vernonie i Irenie Castle, więc wszedł obejrzeć. Pamiętał, że

kompania oglądała ten film na Guadalcanale i że się podobał. Ale teraz dobrobyt, przepych i wystawne życie, jakie wiedli Fred Astaire i Ginger Rogers, były tak obce wszystkiemu, co znał, i tak się rozmijały z jego dzisiejszym nastrojem, że wyszedł również i z tego filmu, nim ten dobiegł do połowy. Cholera, nawet kiedy byli biedni, żyli pełnią życia.

Starał się nie pić za dużo, bo chciał trzeźwo myśleć.

Ale trudno mu było nie pić. Bo pili chyba wszyscy, którzy nie pracowali. Ponieważ nie znał miasta na tyle dobrze, żeby zaufać autobusom, postanowił, że do baru przy fabryce pojedzie taksówką.

Już sobie zaplanował, gdzie zabierze ją na kolację.

W czasie spędzonym na picu w pojedynkę po drugiej stronie rzeki rozejrzał się i znalazł elegancki hotel, w którym był lokal podobny do Plantacji w hotelu Peabody i gdzie do późnej nocy serwowano dobre kolacje z befsztykami. Dumny z upodobania do wykwintnych rzeczy, jakie rozwinął w sobie podczas dwu miesięcy spędzonych w Luxorze, postanowił, że ją tam zabierze i zapozna z eleganckim światem. Dopiero po dotarciu na miejsce i opuszczeniu taksówki przyszło mu do głowy, że Linda może być skrępowana i czuć się nieswojo w takim pierwszorzędym lokalu. Nigdy nie chodziła z nim do eleganckich restauracji, nawet na Wahoo. Ale oczywiście pomyślał o tym za późno, bo znaleźli się już przy drzwiach.

Niepotrzebnie się martwił. Linda czuła się tam co najmniej równie swojsko jak on. Z aprobatą odnotowała, że dał w łapę trzydolarowy napiwek kierownikowi sali, żeby przydzielił im jakiś miły, cichy stolik. Przyjęła dużą kartę dań pełną francuskich słów, a kolację zamówiła tak spokojnie i płynnie, jakby nic innego nie robiła przez całe życie. Strange zamówił

napoje – na jej życzenie martini. A potem usiadł wygodnie i rozejrzał się, właściwie nie myśląc o tym, iż nie widział dotąd, żeby Linda Sue piła martini. Siedzieli w wielkiej, przepelnionej restauracji w otoczeniu żołnierzy i ich kobiet. Garstka cywilów tonęła w olbrzymim zielono-granatowym morzu.

Na estradzie szesnastoosobowa orkiestra zagrała Little Sir Echo i Racing with the Moon, a Strange w tym czasie popijał i próbował pozbierać myśli. Nigdy dobrze nie tańczył, więc nie przyszło mu do głowy poprosić Linde do tańca.

Ponieważ nie wspomniała o jego operacji i nie poruszyła tego tematu, był zmuszony zrobić to sam.

–No tak, od czego by tu zacząć – rzekł wreszcie.

Linda spojrzała na niego.

–A może tak najpierw byś ze mną zatańczył? – powiedziała.

Na dużym, ale zatłoczonym parkiecie, wytrącony z równowagi i niespokojny, zaczął z nią sunąć w takt melodii Chattanooga Choo-Choo, Dopiero pod sam koniec spostrzegł, że Linda Sue świetnie tańczy, zatrzymał się więc i odsunął ją od siebie, żeby przyjrzeć się, jak to robi.

–Nie zauważyłeś, że po twoim wyjeździe nauczyłam się tańczyć? – spytała.

–A, owszem. Tak – odparł. – Właśnie zauważyłem.

A jak się nauczyłaś?

Marynarz za jego plecami, ubrany nadal w letni biały mundur, wpadł na niego, więc ponownie ruszył do tańca.

–A, wiesz. Dużo nas, dziewczyn, chodzi razem na tańce – odrzekła Linda, wsparta na jego ramieniu.

–Tańczycie ze sobą? – spytał Strange.

Chattanooga Choo-Choo skończyła się i orkiestra,

nie czekając na brawa, zaczęła grać You'll Never Know, piosenkę, którą rozśpiewała Alice Faye. Strange słuchał jej przez radio zarówno na Guadalcanale, jak i Nowej Georgii. Puszczala ją Tokijska Róża*.

–Przeważnie – szepnęła mu do ucha Linda. – Czasem też proszą nas do tańca chłopcy.

Pomimo swojej niezgrabności i braku tanecznego talentu Strange odkrył, że dzięki jej nowo zdobytym umiejętnościom nigdy jeszcze nie tańczyło mu się z nią tak dobrze. Ale zamiast mu to poprawić humor, jeszcze bardziej go zaniepokoiło.

Po umilknięciu melodii zabrał Linde do stolika i znów zamówił trunki.

–A czy do sznycła możemy też napić się wina? – spytała.

–Wina? – zdziwił się Strange. – Wina? Jasne.

Jasne, czemu nie.

–Poproś kelnera o listę win – powiedziała i posłała mu dziwny uśmiech.

–Czy chcesz, żebym zaczekał z tą sprawą, aż skończymy jeść? – spytał, kiedy zamówił butelkę francuskiego wina, za dwanaście dolarów.

–Nie – odparła. – Sądzę, że nie.

–No, to sprawa wygląda tak – zaczął.

Ale kiedy wyłożył jej możliwości, jakie przedstawił mu Curran, a zrobił to z taką samą rozwagą i delikatnością, z której słynął w swojej kompanii, zaczął się coraz bardziej niepokoić i gryźć. Nie wiedział, jaka właściwie jest tego przyczyna. Ale Linda nie zachowywała się normalnie. Nie odezwała się ani słowem, dopóki nie oświadczył, że już skończył. * Pseudonim prezenterki dywersyjnego japońskiego radia, nadającego dla Amerykanów [przyp. tłum.]

–Jak więc widzisz – rzekł na koniec – mogę zostać zwolniony z wojska... – poruszył ramionami – prawie natychmiast. Możemy zająć się tą restauracją. Póki trwa wojenna koniunktura. Twoi rodzice pożyczyliby nam trochę pieniędzy, co?

–A co będzie z twoją biedną ręką? – zagadnęła Linda ze smutnym uśmiechem i

wyciągnąwszy rękę położyła ją na jego skrępowanej gipsowym opatrunkiem dłoni.

Strange wzruszył ramionami.

–Jej stan będzie mniej więcej taki jak w tej chwili.

Dwoma środkowymi palcami władam tylko częściowo.

Ale co tam, żyję z tym już blisko rok. Nie jest to wcale najgorsze. Prawdopodobnie przyznają mi jakąś rentę.

–A jeżeli odbędziesz operację?

Strange znowu wzruszył ramionami, niecierpliwie, poirytowany. Przecież wiedziała już o wszystkim.

–Nie gwarantuje mi, że ją naprawi. Jeżeli mu się uda, to będę musiał pozostać w wojsku. Do zakończenia wojny.

A jeżeli mu się nie uda, to z dłonią nic się nie zmieni.

–No cóż, to wspaniała propozycja – powiedziała smutno Linda.

–O rany, czy nie cieszy cię ta restauracja? – Strange nie mógł powstrzymać się od pytania.

–Tak, oczywiście, cieszy. Ale... – Linda urwała.

–Ale co?

W tym właśnie momencie, jakby umyślnie zaplanowanym przez złośliwy los, kelner przyniósł zamówione befsztyki. Za plecami Strange'a orkiestra grała w zawrotnym tempie rytmiczną piosenkę Elmer's Tune.

–Najpierw zjedzmy – zaproponowała Linda.

–A potem powiem ci, co się działo.

Jeżeli była wytrącona z równowagi, przygnębiona czy smutna, to z pewnością nie miało to wpływu na jej

apetyt. Zmiotła, z wyjątkiem cienkiego paseczka tłuszczu, cały wielki, gruby befsztyk, a do tego wszystkie frytki, zielony groszek i sałatkę. Wyjaśniła, że jest głodna, bo bardzo ciężko pracuje. Strange rzucił się na swój wielki befsztyk, jakby chciał się na nim zemścić za to, że zakłócił im w takiej chwili rozmowę. Po właniu w siebie trzech dużych kieliszków wina Linda Sue delikatnie odsunęła talerz z nożem i widelcem, położyła łokcie na stole i spojrzała na Strange'a szerokimi, jasnymi, nic nie ukrywającymi, smutnymi oczami.

–Tak – odezwał się Strange. – No więc?

–No więc – zaczęła i urwała. – Chodzi o to... To dlatego... No więc, mam... chłopaka.

–Kogo?! – spytał.

Pokraśniała na twarzy.

–No... kochanka. Mam kochanka.

–Masz kochanka – wyjąkał Strange.

Przypomniał sobie potem, że w tamtej chwili szesnastoosobowa orkiestra grała spopularyzowaną przez Verę Lynn balladę '/// Be Seeing You, prawdopodobnie najulubieńszą jak dotąd piosenkę tej przeklętej wojny.

–Tak – powiedziała Linda Sue głośniejszym głosem, niż grała orkiestra. – I nie zrezygnuję z niego.

No jasne! – krzychało Strange'owi w myślach. Tak wiele rzeczy dopasowało się wreszcie w jedną spójną całość, tworząc czytelny obraz, tylko że on przez cały czas nie potrafił go właściwie zinterpretować. Jej zmieszanie i brak entuzjazmu, gdy zadzwonił do niej z Frisco.

Oświadczenie, że z powodu pracy nie przyjedzie do Luxoru. Jej chłodne przyjęcie, rzekomo z powodu przepracowania, kiedy przyjechał do Cincinnati. Jej obojętność, gdy z sobą spali. I niedbanie o to, czy ją rżnie, czy nie, gdy jej nie rżnął. Powinieneś być się tego domyślić, głupi baranie, karcili go własne myśli.

–Masz kochanka – powtórzył. – I nie zamierzasz się z nim rozstać. Dobrze. Świetnie. No, a kto to jest?

Nie rozmawiaj z nią o tym! – ostrzegł się. – Jeżeli pozwolisz jej o tym mówić, to koniec.

–Jest podpułkownikiem lotnictwa – odparła natychmiast Linda, jakby zawczasu przygotowała sobie odpowiedzi. – I jest wspaniały. Skończył Princeton i pochodzi z Southampton na Long Island.

To by tłumaczyło jej nowo zdobytą ogładę...

–I, jak przypuszczam, chcesz go poślubić? – spytał Strange. Nagle poczuł się zmęczony i zapragnął, żeby orkiestra przestała grać tę przeklętą melodię. To kurewskie /'// Be Seeing You.

Nie odpowiedziała mu.

–Robi dużo projektów samolotowych – ciągnęła zamiast tego. – I dużo pracuje na lotnisku Petersona.

A swoje biuro ma tutaj. Poza tym lata tam i z powrotem, kiedy chce albo przyjdzie mu na to ochota. Na każde skinienie ma do dyspozycji samolot. Poznałam go w naszej fabryce, kiedy przyjechał w poszukiwaniu jakichś części, niezbędnych do jego projektu. No a teraz więcej czasu spędza tutaj niż tam... z mojego powodu.

A przynajmniej wieczory. Noce.

–Oczywiście. Wieczory. Noce – powtórzył Strange.

–Ale czy chcesz go poślubić?

–Ma metr osiemdziesiąt pięć wzrostu – mówiła Linda. – Szerokie ramiona, małą głowę, niebieskie oczy i długą szyję. Nie spotkałam dotąd takiego dżentelmena jak on. No i jest we mnie bez pamięci zakochany.

–Czy masz zamiar za niego wyjść, do jasnej cholery?! – warknął przyciszonym głosem. – Chcesz rozwodu?

O to chodzi?

Linda wstydliwie spuściła wzrok i znowu pokraśniała.

–On się ze mną nie ożeni – oświadczyła wprost.

–Bardzo by chciał, ale na Long Island ma żonę i czwórkę dzieci. I nie może ich zostawić.

–Ponieważ to rodzina ma pieniądze – rzekł zjadliwie Strange.

–Zapewne – odparła. – Być może. Ale ich nie zostawi. A mnie na tym nie zależy. Nie rozstanę się z nim.

–Ale dlaczego?

–Ponieważ dostarcza mi przeżyć. Dostarcza mi przeżyć, jakich dotąd nie znałam.

–Jakich przeżyć?

–Seksualnych.

Po raz trzeci zaczerwieniła się, oblewając szkarłatem.

–To znaczy? – Łóżkowych – wyjaśniła, nadal zaczerwieniona, nie patrząc na niego.

–Zamówię jeszcze coś do picia – powiedział ze znużeniem Strange.

–Tak. Zamów, proszę. Z chęcią się napiję – przystała skwapliwie. Mnie taka sytuacja nie odpowiada tak samo jak tobie.

–Tobie zapewne odpowiada bardziej, bo to nie ty tracisz wszystko – zauważył złośliwie Strange. – Mogłabyś mi zdradzić, co to za łóżkowe przeżycia?

Zaczekała, aż Strange przywoła kelnera i złoży zamówienie, nadal zapłoniona, nadal nieskłonna na niego patrzeć. Dopiero kiedy kelner odszedł i nie mógł jej słyszeć, zaczęła mówić.

–Całuje mnie, tam na dole – powiedziała czerwona jak burak. – Przeżywam rozkosz. Nauczył mnie, jak jej doznawać. Jak mieć orgazm. Czy zdajesz sobie sprawę, że zanim go poznałam, ani razu nie przeżyłam orgazmu?

–O mój Boże. Nigdy?

–Ani razu. A ty jesteś pierwszym mężczyzną, z którym... spałam.

–Ani razu? – zdumiał się Strange. – Zawsze myślałem... Chyba nigdy nie przyszło mi to na myśl.

–Nie winie cię za to, ale sam rozumiesz, dlaczego z nim nie zerwę. Zostanę z nim. Przynajmniej do końca wojny.

–Albo dopóki nie przeniosą go gdzie indziej.

–Tak. To tyle. A czy ty spotykałeś się z innymi kobietami? To znaczy, po naszym ślubie?

Strange podniósł głowę, żeby jej spojrzeć w oczy, ale nadal patrzyła w dół, w blat stołu.

–Nie – skłamał.

–W takim razie przepraszam – powiedziała Linda.

–Naprawdę bardzo mi ciebie żal... Tylko że to i tak niczego nie zmienia.

–Nie.

–Domyślam się, że nie chcesz być dłużej moim mężem. W tych warunkach...

–Nie. Myślę, że nie.

Strange mógłby uznać, że się zemścił, ale czy rzeczywiście? Przecież z Frances, tą dziewczyną z hotelu Peabody, poszedł do łóżka długo po tym, jak Linda związała się ze swym podpułkownikiem. Po jej wyjeździe z Wahoo wypuścił się oczywiście raz z chłopakami do burdelu. Poza tym po ślubie i sprowadzeniu Lindy do siebie wybrał się po pijaku z paczką kolegów na kurwy. A przez następne dwa miesiące zamartwiał się na śmierć, czy czegoś nie podłapał. Ale mimo to o zemście nie mogło być mowy. Wszystkiemu winna była wojna.

–A ty jego również całujesz tam na dole? – spytał.

–Tak. – Znów zaczerwieniła się jak burak. – Zwrócę ci wszystkie pieniądze z naszego konta – powiedziała.

–Są twoje. Uzbierało się tego trochę ponad siedem tysięcy.

–Nie chcę ich – odparł Strange.

–To bez znaczenia – oświadczyła. – Bo ja nie zatrzymam ich dla siebie. Jeżeli ty ich nie weźmiesz, to oddam je tacie. Więc lepiej je weź.

–Dobrze, wezmę je – zgodził się Strange.

Nagle znowu zdał sobie sprawę z obecności tej przeklętej orkiestry. Grała właśnie How High the Moon, jeszcze jedną piosenkę, której słuchał przez radio na tropikalnych wyspach Dalekiego Wschodu. Grała ją również Tokijska Róża.

–Sam rozumiesz, dlaczego nie mogę ich wziąć – dodała Linda.

Strange ledwie jej słuchał.

–No cóż, w każdym razie rozwiązałaś moje wątpliwości. Rozwiązałaś ten problem za mnie – rzekł podnosząc wzrok.

–Co zamierzasz zrobić?

–Och, pójdę na tę cholerną drugą operację. I tyle.

Linda nie odpowiedziała. Milczała.

–Zrobiło się późno – rzekł. – Myślę, że powinniśmy już iść.

–Nie zatańczysz ze mną? Jeszcze raz? Pokochałam taniec – odparła.

–Nie, nie chcę. Naprawdę.

Znowu sięgnęła ręką przez stół i położyła ją na jego osłoniętej gipsem dłoni. Wzburzony, wyrwał ją.

Ale nie pokłócili się. W domu w Covington, w małej sypialni Lindy o piątej nad ranem, kiedy już świtało, w miarę przyjacielsko omówili różne szczegóły do załatwienia -jak dwóch starych zaprzyjaźnionych wspólników, którzy z różnych powodów dzielą firmę. Wypisała mu czek gotówkowy, likwidujący ich wspólne konto.

Oświadczyła, że założy, sobie nowe. A potem przyszykowała się do snu. Natomiast

Strange ruszył do kuchni, żeby napić się piwa z jakimś domownikiem, który właśnie wstał albo wybierał się spać.

Kiedy znalazł się już przy schodach, Linda przywołała go.

–Mimo wszystko prześpię się z tobą – powiedziała.

–Jeśli chcesz.

–O Jezusie, nie – odparł, na co się rozplakała.

–O rany, nie płacz. Tylko nie płacz, na miłość boską.

Nie odezwała się.

–Odpowiesz mi na jedno pytanie? – spytał. – Czy naprawdę ci się to podoba? Kiedy całuje cię tam, na dole?

Spojrzała na niego przez łzy i natychmiast, nie do wiary, splonęła purpurowym rumieńcem.

–Kocham to. Ja... ja to uwielbiam. Czegóż podobnego nie przeżyłam w całym, życiu.

–No, ale nie płacz – rzucił szorstko i powoli przyciągnął do siebie drzwi. Lecz po chwili otworzył je pchnięciem. – Czy zdajesz sobie sprawę, że od momentu mojego powrotu, kiedy cały czas spałaś z nim, jednocześnie pieprzyłaś się ze mną?

–Bo jestem twoją żoną – odparła.

Na dole w kuchni jej starszy stryjeczny kuzyn, który właśnie wstał, żeby przygotować się do rannej zmiany, siedział z żoną kuzyna Lindy ze strony matki, która przed chwilą wróciła z drugiej zmiany. Ponieważ oboje pili piwo, Strange dosiadł się do nich. Nie wspominał o tym, że wyjeżdża. Prawdopodobnie nic by ich to nie obeszło. Przez chwilę zastanawiał się, dlaczego żona ciotecznego kuzyna wróciła do domu tak późno z popołudniowo-wieczornej zmiany.

Kiedy otwierano bank, Strange już tam był z czekiem Lindy. Otrzymał potwierdzony czek kasowy na sumę

7140 dolarów i schował go do portfela. W pobliżu dworca autobusowego kupił butelkę whisky na powrotną podróż, ale był pewien, że przy jego nastroju – gdzieś w okolicach Nashville będzie musiał kupić jeszcze jedną.

Wsiadając do dziennego autobusu linii Greyhound, pomyślał sobie, że jeśli chodzi o urlopy i przepustki, to z pewnością nie wykorzystał ich najlepiej.

Od potwierdzonego czeku jego portfel nie zrobił się ani trochę cięższy, a i jemu samemu też nie poprawił się humor.

Rozdział osiemnasty Strange, który szukał Prella na jego oddziale, znalazł go wreszcie na małej werandzie. Siedział na wózku i stawiał pasjansa. Zaledwie dwa dni temu zdjęto mu ostatni gips, tak więc nie miał głowy, żeby myśleć o kimkolwiek oprócz siebie. Ale kiedy zobaczył Strange'a, poznał, że coś się stało.

–Co z tobą? – spytał.

–Ze mną? Nic. A dlaczego pytasz?

Prell na tyle dobrze znał swojego kumpla, by wiedzieć, że coś jest z nim nie tak. Sądził, że po wspólnym pobycie w tylu szpitalach dobrze się rozumieją.

Niemniej po ostatecznym usunięciu gipsu na widok własnych biednych, okaleczonych nóg przeżył wielki wstrząs. Co prawda widział je już przedtem, po zdjęciu pierwszego gipsu, ale bardzo szybko pokryto je nowym, zabezpieczającym białym kokonem, mógł więc o nich zapomnieć i nie myśleć. Tym razem jednak został do tego zmuszony. I nie miał powodów, żeby skakać z radości.

Jego nogi można by określić jednym słowem: uschnięte. Od biodra w dół składały się z samej skóry i kości. Łuszcząca się skóra zwisała w wielkich fałdach z pozrastanych kości udowych i piszczeli. Pośrodku zaś sterczały

wielkie czerwone gałki zeszywniałych kolan. Oba uda, w miejscu gdzie przeszły półcalowe pociski, przecinały grube czerwone krawędzie bliznowatej tkanki. Myśl, że jeszcze kiedykolwiek będzie chodził, zakrawała na straszny, groteskowy żart.

A do tego zaraz po rozpoczęciu rehabilitacji powróciły bóle. Nie takie straszliwe jak w pociągu, ale towarzyszyły mu cały czas, nieprzerwanie.

–Jak się masz, stary? – spytał Strange.

Kiedy wkroczył na oszkloną werandę, uśmiechnął się nieprzyjemnie. Nie był to jego zwykły uśmiech. Prell pamiętał, że Johnny Stranger uśmiechał się tak, kiedy musiał wywalić za lenistwo i markieranctwo swojego starszego kucharza.

–Nie najgorzej – odparł zastanawiając się, czy Strange zauważy brak gipsu, a jeżeli tak, to jak prędko.

–Znów byłeś w Cincinnati?

–Tak. Byłem tam. I wpadło mi trochę pieniędzy.

Strange prędko wyciągnął z kieszeni szlafroka portfel i wydobył duży czek bankowy. Rozłożył go przed Prellem.

–Pieniądze? – zainteresował się Prell.

–Pieniądze. I świerzbi mnie, żeby zabrać się do ich wydawania.

Prell gwizdnął na widok sumy.

–Czy twoja pani o tym wie? – spytał i zmusił się do uśmiechu. Nie miał najmniejszego zamiaru podpowiadać Strange'owi, że już nie nosi gipsu.

–Moja pani zarabia krocie w tamtejszej fabryce broni. Nie potrzebuje tej forsy.

–To kupa pieniędzy – rzekł z przymusem Prell.

–A jak. I pomyślałem sobie, że najwyższy czas zacząć z nich korzystać. – Strange zamilkł i wyprężył pierś. – Słyszałeś o tym słynnym kilkupokojowym apartamencie, który znajomi Landersa z marynarki

wynajmują w Peabodym? Pomyślałem, że też wynajmę tam pokój. Na jakiś czas. Żeby służył nam wszystkim.

Prell z niedowierzaniem pokręcił głową. To z pewnością już nie ten sam Johnny Stranger, którego znał.

Strange był przecież największym kutwą w kompanii.

–Jak myślisz, za ile czasu będziesz mógł się wybrać na miasto? – spytał Strange. – Chcę, żebyś był na inauguracji. – W tym momencie spojrzał w dół i zauważył brak gipsu. Delikatnie dotknął dłonią jednej ze strasznych, strupowatych, obciążniętych skórą stóp.

–Zdjęli ci gips? Na dobre? I jak się czujesz?

–Okropnie – odparł Prell rzeczowym, obojętnym tonem. – Podobno na ortopedii stawiają siedem do jednego, że już nie będę chodził.

–Mylą się – zapewnił Strange. – Pójdę i zgarnę dla siebie trochę tej stawianej siedem do jednego forsy.

–Wiem, że się mylą – powiedział Prell stanowczo, jak przystało na Zachodniego Wirgińczyka. – Nie wiedzą, jaki jestem twardy. Ale mimo to radzę ci z tym poczekać dwa tygodnie i zobaczyć, Co wyniknie. A poza tym stawka podskoczy w górę. Do dziewięciu albo dziesięciu za dolara.

–Ej, posłuchaj. Może się uda na tym nieźle obłowić – zastanawiał się Strange.

–Na zakładaniu się?

–Jasne. Gdybyś się przyczał. Gdybyś się mocno przyłożył do tej terapii. Z niczym się nie zdradzał. Ukrył przed wszystkimi, jakie robisz postępy. Udał, że marnie z tobą. O rany! Zakłady mogłyby dojść do dwudziestu za jednego. Postawiłbym dużo forsy.

Prell przyglądał się mu z uwagą.

–Moglibyśmy powiedzieć o tym Landersowi – zaproponował i znów go uderzyło, jak bardzo zmienił się Strange. Taka intryga jak ta godna była Wincha.

–A co z resztą chłopaków z kompanii? – spytał Strange.

–Sraj na nich – odparł zdecydowanie Prell. – Coś ci powiem, Stranger. Ja się z nimi nie czuję aż tak blisko związany. Z tymi, którzy przyjechali tu przed nami.

Mam wrażenie, jakby nie należeli do naszej starej kompanii. A poza tym, im więcej ludzi będzie o tym wiedzieć, tym większe ryzyko, że się wygadają.

–To prawda – przyznał Strange. – Ja też nie czuję się już z nimi tak blisko związany. Ale co z Winchem?

Prell czuł, jak twarz mu sztywnieje i blednie. Jego indiańskie oczy zwęziły się. Na sam dźwięk nazwiska przed oczami stanął mu Winch, pochylający się nad jego łóżkiem tamtego dnia, z błyszczącymi oczami i złym uśmiechem. I oskarżający go, że dopuścił do ostrzelania swojej drużyny dlatego, że polował na medale.

–Temu skurwysynowi nie dałbym nic – warknął.

–Nawet kawałka podłogi w piekle.

–E, dajże spokój – powiedział Strange.

Prell obserwował go chłodno, jak wzrusza ramionami, i dodał:

–A zresztą nie wiem, czy twój plan by wypalił. – Wzmianka o włączeniu do sprawy Wincha diametralnie odmieniła jego nastrój. Stracił humor. Sposępniał. Przestało mu zależeć na tym pomyśle. – Posłuchaj. To długo potrwa. Ze trzy miesiące? Może ci, z którymi się założysz, opuszczą szpital. Jak odbierzesz pieniądze?

–Jakoś je zabezpieczymy. Na przykład zamkniemy w zalakowanych kopertach? Damy na przechowanie jakiemuś pielęgniarzowi albo lekarzowi?

–Ja w ogóle nie mam pieniędzy – rzekł Prell.

Zaciął się w sobie i wpadł w podły nastrój. Nic nie mógł na to poradzić. – Przyjechałem tutaj goły. A jeszcze nie dostałem zaległego żołdu.

–Pożyczę ci – zaproponował Strange. Machnął czekiem i po chwili schował go. – Mam pieniądze. Ile chcesz? Wyłożę za nas obu.

–Mogę zainwestować tysiąc – odparł Prell. – Bo co najmniej tyle wyniesie mój zaległy żołąd.

–Załatwione! Zaczynam stawiać.

–Lepiej zaczekaj dwa tygodnie – ostudził go Prell.

–Aż przekonamy się, co ze mną.

–Ja się o ciebie nie martwię – zapewnił Strange.

–Jak myślisz, ile czasu potrzebujesz na to, żeby móc wyjść na przepustkę do miasta?

–Nie chcę, żeby włączać do tego Wincha – zaznaczył Prell. Nieprzejednany w postanowieniu, urwał na chwilę, zbierając myśli. – Właściwie, to on może postawić odwrotnie. Założę się, że tak zrobi. A wówczas wyłożysz na niego z moich pieniędzy. Nieważne, ile to będzie. Jakoś je zdobędę.

–Za nic nie chciałbym robić tego Winchowi – rzekł Strange. – No, ale jeżeli sobie życzysz...

Prellowi wydało się, że spojrzenie Strange'a straciło głębię i stało się zamyślane. – Żadnych kręctw – ostrzegł surowo Prell. – Jeżeli mi to zrobisz, to zniszczę ci cały interes. Przysięgam!

–Nie, nie. Żadnych kręctw. No, a co z tą wyprawą do miasta? Kiedy będziesz mógł pojechać?

–Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Przypuszczam, że gdybyśmy zdobyli skądś składany wózek, to nawet teraz.

–Chcę, żebyś był na inauguracji – powtórzył Strange, wyprężył się i uśmiechnął szeroko. – Mówię ci, tutaj więcej jest wolnych dup, niż zdołałbyś wytrzepać z kapucyna.

–Chciałbym pojechać – zapewnił Prell. – Ale dupczyć nie dam rady. Z gipsem czy bez.

–Domyślam się – odparł Strange. – A jak ci idzie z tą twoją dziewczuszką? – Świetnie. Doskonale. Codziennie wytrzepuje mi kapucyna w chusteczkę. Tak się napaliła, że już go całuje, ale jeszcze nie udało mi się jej namówić, żeby wzięła w usta.

Prell usiadł i uśmiechnął się radośnie do kolegi.

Strange zachichotał.

–W takim razie nikomu nie dzieje się krzywda.

–Zrobił gest ręką. – Zorientuję się co do tych zakładów.

Załatwię ten pokój w hotelu i wpadnę cię odwiedzić.

Sprawdź, co da się zrobić z tym wypożyczeniem składanego fotela.

Prell przyglądał się odchodzącemu Strange'owi, tak kręcąc kółkami wózka, żeby nie tracić kolegi z oczu.

Posługiwał się tym cholerstwem z coraz większą wprawą.

Po pewnym czasie przestawało się je zauważać. Jakże miło było widzieć Strange'a. Tym razem jednak – gotów był iść o zakład – coś się z nim stało w Cincinnati.

No, ale jeśli Strange nie chciał o tym mówić, to nie musiał. Z nim samym również coś się stało. Zdjęcie gipsu z nóg także nie należało do powszednich przeżyć.

A poza tym znacznie bardziej przejmował się losem własnych nóg i swoim chodzeniem w obecności Strange'a niż przed jego przyjściem albo w tej chwili.

Rzeczywiście podsłuchał pewnego zgorzkniałego nieboraka, który stracił obie nogi podczas inwazji na Sycylię, jak stawał siedem do jednego, że on, Prell, do czasu jego wyjazdu z Kilrainey nie będzie chodził. Czyli za trzy miesiące, lekko licząc. Nikt jednak nie przyjął jego zakładu.

Także Prell po dwóch dniach terapii skłonny był w duchu przyznać mu rację, że nie zdoła tego zrobić w trzy miesiące. A przecież wisiała nad nim całkiem prawdopodobna groźba, że w ogóle mu się to nie uda.

I chociaż przedstawił Strange'owi wszystko w bardziej optymistycznych kolorach, właśnie dlatego kazał mu się wstrzymać z wykładaniem pieniędzy i zbadać sprawę.

Równie nieszczerzy był z nim, jeśli chodzi o dziewczynę. Właściwie go okłamał. Wprawdzie zdołał ją namówić, żeby pomogła mu się spuścić w chusteczkę.

Zdołał ją też namówić, żeby pocałowała go raz czy dwa w małego. Ale to jej się wcale nie podobało. I na pewno nie robiła tego, jak skłamał Strange'owi, codziennie.

Prawdą było, że nie za bardzo nalegał. Z obawy, że się pogniewa. Bał się, że ją do siebie zrazi, i że przestanie go odwiedzać.

Ale poza tym robiła prawie wszystko. Całymi dniami przytulała się do niego, całowała go i pieściła, aż rozgrzewał się jak mały wóz strażacki. Pozwalała mu obmacywać swoje cycuszki. A nawet cipkę, jeśli tylko odbywało się to przez majtki. Pozwalała mu się dotykać tam tak długo, aż majtki robiły się mokre. Ale, o ile się orientował, nie spuściła się ani razu. Parokrotnie, kiedy był jeszcze w gipsie, próbowali się pieprzyć, ona siadała na nim, ale tak go bolały nogi, że musieli rezygnować.

Delia Mae Kinkaid. Tak się nazywała, a miała siedemnaście lat. Jej tata służył w jednostce łączności gdzieś w Australii, a mama pracowała, żeby dorobić do tego, co im przysyłał. Poczciwa Delia Mae nie miała nic przeciwko pieprzeniu się. Bez bicia przyznawała, że nie jest dziewicą. Jediną przeszkodą było to, że Prell nie mógł jej pierdolić. A po zdjęciu gipsu, który chronił mu nogi, było z tym jeszcze trudniej.

Ale, z wyjątkiem pieprzenia się, wszystko inne było dla Delii Mae be. Albo straszne, albo niegodne, albo nieprzyzwoite, albo niehigieniczne. Na przykład nie pozwalała mu wsadzić ręki w dziurkę. Bo to niehigieniczne. Co prawda kilka razy namówił ją, żeby mu wytrzepała konia, lecz poza tym skłonna była trzymać rękę na jego nabrzmałym członku tylko wtedy, gdy kryła go szpitalna piżama. Z wyjątkiem tych kilku przypadków, swoje potrzeby musiał załatwiać własnoręcznie. Niestety, na tym przeklętym oddziale szpitalnym było bardzo trudno o zachowanie odrobiny intymności.

Kiedy próbował dotknąć kciukiem jej łechtaczki,

Delia Mae nie pozwalała na to. Określała to jako niegodne. Zwykle dopuszczała do tego wyłącznie wtedy, kiedy przebywali na werandzie, i mocno ją to podniecało.

Ale naturalnie zawsze im przeszkadzano. Przeklęty brak intymności.

Prell przekonał się, że zdobycie Medalu Honorowego ma swoje dobre strony. Ludzie świadczyli ci usługi.

Dyżurujący po południu pielęgniarz udostępniał mu na "lekturę" z Delią Mae jeden z dwu pokoików od frontu.

Nigdy ich o nic nie pytał. Delia Mae jednak i tam nie pozwalała Prellowi na dotykanie łechtaczki. Przez jakiś czas po jej wyjściu stamtąd siedział więc sam z rolką papieru toaletowego.

Nie kwapił się również do wyznania Strange'owi ani nikomu innemu, że w te dni, kiedy Delia Mae nie przychodziła na oddział, coraz bardziej za nią tęsknił.

I coraz zachłanniej oczekiwał na jej odwiedziny. Ostatnio zresztą zaczęła wspominać o ich ślubie.

Prell dobrze wiedział, że duży wpływ na to ma jego Medal Honorowy. Mała Delia Mae była nim urzeczona co najmniej tak, jak wszyscy. To właśnie jego Medal Honorowy sprawił, że ich znajomość zaszła tak daleko.

Prell zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę.

Ten Medal przez duże M, jak zaczął o nim myśleć, miał czarodziejski wpływ niemal na wszystkich. Zapewniał mu dodatkowe usługi ze strony pielęgniarzy. Specjalne posiłki ze stołówki, jeżeli ich zapragnął. Specjalne wewnątrzszpitalne przepustki od pielęgniarzy, jeśli o nie poprosił. Dzięki niemu mógł przechowywać u pielęgniarza na nocnym dyżurze butelkę z gorzałką. Medal nie robił wrażenia tylko na majorze Hogue. Z tego powodu Hogan nienawidził Prella jeszcze bardziej. Tak jakby zaliczenie Prella do specjalnej kategorii pacjentów, nie podlegających jego administracyjnej władzy, przez co nie mógł nim rządzić, mieszać szyków i odmawiać, rozjuszało go.

Ale na innych Medal działał. Działał nawet na popędliwego, cholerycznego starszego chirurga, pułkownika Bakera. Zdążył on już publicznie przyznać, że pomylił się co do nóg Prella. Jeden jedyny raz w swojej karierze – dodał niezwłocznie. Właśnie do niego zwrócił się Prell o składany wózek.

Wiedział, że są tu takie. Wiedział też, że nie ma po co iść z tą prośbą do Hogana. Na takim właśnie składanym wózku przewozili go na krótko przed zdjęciem ostatniego gipsu. Z kancelarii pułkownika Stevensa za pośrednictwem Hogana wystosowano do niego zaproszenie do wzięcia udziału i wygłoszenia małego przemówienia na połączonej ze sprzedażą obligacji wojennych imprezie zorganizowanej przez luxorską Izbę Handlową.

Nie był to rozkaz wprost. Nadano mu formę zaproszenia, ale nie pozostawiało ono wątpliwości, iż oczekuje się, że Prell je przyjmie. Prell przyjął je.

I przekonał się, że było to jedno z najłatwiejszych zadań w jego życiu. Było łatwe, ponieważ wszyscy go podziwiali. Przesłano po niego karetkę ze składanym wózkiem. Przemówienie napisał mu jakiś pisarz z otoczenia pułkownika Stevensa. Prell musiał jedynie się z nim zapoznać, a w odpowiednim momencie wjechać na scenę w wielkiej sali pełnej oficerów i oficjeli i odczytać je do mikrofonu. Potem na przyjęciu koktajlowym wszyscy popijali, a ludzie podchodzili i ściskali mu rękę.

Prell miał dziwne wrażenie, że są dwa Luxory, istniejące obok siebie, a może jeden na drugim. Pierwszy był Luxorem jego kolegów, pełnym dup, kutasów, gorzały i nieustających hulank, trwających nocie i dnie w miejscowych hotelach i barach. I był też drugi – Luxor biznesmenów i ich rodzin, ludzi chodzących do biur, wracających do żon i kupujących obligacje, którzy nie mieli pojęcia o Luxorze pierwszym, ten zaś również nie miał o nich pojęcia.

Prell znał pierwszy i drugi. Ponieważ ten drugi odwiedził na składanym wózku, żeby wygłosić przemówienie. To właśnie ta grupa obywateli zapłaciła za wózki inwalidzkie.

Stąd wiedział, że w szpitalu mają przynajmniej jeden taki. Zwrócił się więc z tym do pułkownika Bakera nazajutrz po porannym obchodzie.

Z początku cholerycznemu pułkownikowi oczy wyszły z głowy, a na jego chudej, pomarszczonej twarzy pojawił się gniewny grymas.

–Chcecie przepustkę? Wy chcecie przepustkę, wy?!

Dlatego że żołnierze z waszej dawnej kompanii wynajmują pokój w hotelu Peabody?!

–Tak jest, panie pułkowniku. Dla uczczenia pewnej okazji.

Stojący za plecami pułkownika Hogan zdenerwował się, spienił i spurpurowiał na twarzy.

–No, niech mnie diabli – warknął Baker. – I naturalnie, koniecznie musicie mieć ten składany wózek?!

To oczywiste. Czy tak?

–Tak jest, panie pułkowniku. Dali mi taki, kiedy zawieźli mnie do miasta na tamtą imprezę.

–No, a co zamierzacie zrobić, kiedy już wjedziecie windą do pokoju w hotelu Peabody? Pewnie się zalejecie, co?

Prell był na to przygotowany. Swój pomysł zasadzał na przypuszczeniu, że taki impetyk jak Baker jest, być może, wrażliwy na bezceremonialną prawdę. Mogło go to ująć, jak nic innego.

–Prawdę mówiąc, panie pułkowniku, liczę na to, że uda mi się pójść do łóżka z jakąś dziewczyną.

–Co takiego?!

Hogan był już czerwony z oburzenia jak burak. Ale na twarzy Bakera pojawił się wilczy uśmiech.

–Wiem, że ze mną jest jeszcze nie za bardzo na te

rzeczy. Za ledwie parę dni temu zdjęliście mi gips. Ale chciałbym spróbować. Leżę już tak strasznie długo, a nie miałem żadnej.

–Na popierdolenie sobie macie tyle szans, co na przeskoczenie dwóch metrów o tyczce – powiedział Baker.

–Na żadną nie muszę wskakiwać o tyczce. A poza tym na załatwienie tego są jeszcze inne sposoby – odparł Prell.

Jeżeli dotąd Baker uśmiechał się z pewnym ociąganiem, to w tej chwili miał na twarzy naprawdę szeroki uśmiech.

–Do diaska, zasługujecie, żeby dać wam szansę.

Szczerze, słowo daję. Majorze Hogan, proszę to załatwić – polecił krótko.

Kiedy po południu wpadł Strange, ciągnąc ze sobą Landersa, Prell wciąż jeszcze wieszował sobie sukcesu.

Strange, który już otworzył rachunek w banku, popisywał się książeczką czekową i grubym plikiem pieniędzy.

Nie zdołał jednak zdobyć pokoju w hotelu Peabody.

Mogli mu go wynająć dopiero za cztery dni. Do tego czasu wszystkie mieli zajęte. Z początku był niepokieszony. Tak strasznie pragnął zdobyć ten pokój. Natychmiast. Nie tylko dla Prella, także dla siebie. Powiedział, że to bardzo przygnębiające, kiedy czegoś tak mocno pragniesz, a nie dostajesz. Potem jednak doszedł do wniosku, że Prellowi, zanim spróbuje tych rzeczy, bardzo dobrze zrobią te cztery dodatkowe dni fizjoterapii.

Zapewnił, że on i Landers pomogą mu przy składanym wózku i podróży taksówką.

–I jeszcze jedno – dorzucił Strange. – Musimy zaprosić Wincha.

–Tak – dodał Landers. – Musimy. Przychodzą wszyscy z naszej kompanii. Po prostu nie możemy go nie zaprosić.

Dla Prella było oczywiste, że Strange zwerbował Landersa, żeby go poparł w kwestii Wincha. Wiedział, że zbladł na twarzy, bo puls w uszach mu przyśpieszył.

Bardzo cenił i szanował zdanie Landersa, z czego Strange zdawał sobie sprawę.

–Ale trzymajcie go ode mnie z daleka – rzekł tylko. – Trzymajcie go w drugim końcu pokoju, bo inaczej rozwalę mu łeb nogą od krzesła.

Strange'owi ulżyło.

–Na pewno ci nie dokuczy – powiedział. – Nikt nie wierzy w to, co on mówi.

–To nie jego zasługa – odparł Prell. Był zawiedzony. Chwycił nagle za pokryte gumą rączki przy wielkich kołach wózka i zaczął wściekle jeździć to stopę w przód, to w tył. W przód i w tył, w przód i w tył.

Wsiąść do taksówki było znacznie trudniej niż do karetki. Karetka miała duże tylne drzwi, po których można go było wepchnąć do środka, i leżankę, na której mógł się położyć. Prell przekonał się o tym zaraz przy głównym wejściu do szpitala, nadal siedząc na składanym wózku, który z taką niechęcią i jawnie okazywaną antypatią dostarczył mu major Hogan.

Ze zdjęciem go z wózka Landersowi i Strange'owi poszło nieźle, ale potem jeden z nich musiał złożyć wózek i zostawić Prella. Kiedy zobaczył to taksówkarz, wyskoczył z wozu, żeby pomóc, i obiegł go, pędząc za swoim bandziochem jak parowóz zaopatrzone w spychak bydła z torów.

We trójkę ulokowali go na przednim siedzeniu przy taksometrze, a złożony wózek z tyłu obok siebie. Kiedy zdyszany i spocony szofer znalazł się znowu za kółkiem, pokręcił z niedowierzaniem głową.

Siedzący przy nim Prell też się pocił. Ale nie tyle z wysiłku, co z bólu. Zgadzał się z taksówkarzem całkowicie. Baker miał rację, tyle tu miał do szukania co

w konkursie skoku o tyczce. Cztery dodatkowe dni fizjoterapii pomogły mu, zwłaszcza w rozruszaniu stawów kolanowych, ale nie był jeszcze przygotowany do takich wyczynów. Gdyby świadkami jego słabości nie byli Strange i Landers, z miejsca by zrezygnował i kazał odwieźć się z powrotem.

Mógł tylko zaciskać zęby i sznurować kryjące to wargi. Cierpiał głównie z powodu kolan, zgiętych i ściśniętych na małej przestrzeni pomiędzy przednim siedzeniem a licznikiem, ale uda również go bolały. Tak jak po godzinie spędzonej z fizjoterapeutą. Gdy taksówka toczyła się ulicami, które oglądał po raz pierwszy, spostrzegł, że kierowca chwilami zerka na niego z niepokojem. W czasie jedyne go wyjazdu ze szpitala karetką Prell leżał płasko na noszach.

W Luxorze nastąpiła już jesień i wielkie klony zaczęły właśnie żółknąć. W wielkim parku miejskim, na polach golfowych wędrowali spokojnie, machając swoimi kijami, golfiści, a pod osłoną wielkich drzew spacerowali młodzi. W dzielnicach murzyńskich i biedniejszych dzielnicach białych na wałących się gankach i trawiastych podwórkach siedzieli milczący ludzie. Przy wszystkich domach, nawet najędzniejszych, rosły drzewa.

Minęli okolone drzewami boisko futbolowe przy jakiejś szkole. Chłopcy w sportowych kostiumach kotłowali się, wrzeszczeli na siebie, podawali piłkę w przód albo ją kopali.

Prell, nie rozwierając zębów, próbował uśmiechnąć się do kierowcy.

–Boli, co? – spytał taksjarsz, sięgnął pod siedzenie i wyciągnął butelkę whisky. – Proszę.

Prell zaryzykował i rozwarł jedną z pięści, którymi się podpierał, wciskając je w siedzenie tuż przy pośladkach, a potem łyknął czystej whisky. Co prawda zapiekła go w nosie i w gardle, a oczy zaczęły mu łzawić, ale

smakowała wspaniale. Zaczynał się już obawiać, że ta eskapada stanie się dla niego koszmarem.

Złe chwile przeżył jeszcze przy wysiadaniu z taksówki i wsiadaniu do windy, a najgorsze w windzie. Była mała, jechała wolno, a żeby zamknąć jej drzwiczki, musieli odkręcić podpórki z przodu wózka. Mieścił się w niej tylko on i czarny windziarz. Po wjechaniu na siódme piętro miał wrażenie, że jego zgięte kolana tkwią w tej pozycji

od stu lat.

Ale bolesne przypadki nie skończyły się z chwilą opuszczenia windy. Zaczekał na korytarzu w wózku z zamontowanymi na powrót podpórkami pod nogi, aż tamci wjadą na górę. Ból powoli zmniejszał się. Dwaj przechodzący korytarzem żołnierze z dziewczynami pozdrowili go i zaproponowali łyka. A potem dwaj jego koledzy wysiedli z windy i razem weszli do pokoju.

Trwała tam już zabawa na cztery fajerki, chociaż było dopiero wpół do trzeciej po południu. Strange bowiem dał klucz Corellowi, żeby mógł tu przyjść wcześniej z innymi chłopakami z kompanii.

Wincha nie było. Prell od razu rozejrzał się, szukając go wzrokiem. Szef kompanii przyszedł później, ale Prell tego nie widział. Winch usiadł w kącie, o dziwo, ze szklanką wody w ręku. Ale zabawił niedługo i Prell nie zauważył nawet, kiedy wyszedł.

Landers zaprosił swoich lotników z marynarki wraz z całą paczką z piętra niżej, tak że Prell znalazł się w jednej chwili w pokoju z komandorem podporucznikiem, który zaczął ryczeć refren piosenki For Hę's a Jolly GoodFellow, co podchwycili inni lotnicy, a wreszcie, z nieco większym zażenowaniem, żołnierze ze starej kompanii. Kiedy skończyli śpiewać, Mitchell podniósł ręce, prosząc o ciszę, wyciągnął szklaneczkę w stronę Prella i powiedział:

–Za zdrowie jedyne go zdobywcy Medalu Honorowego, z jakim miałem zaszczyt się spić]

–Brawo, brawo! – zawołało kilku lotników.

Prell uprzejmie uściskał ręce wszystkim i przyjął pierwszą podaną mu szklankę, czego jeszcze przed miesiącem zapewne by nie zrobił.

Od Landersa dowiedział się, że komandor Mitchell zdobył na Guadalcanale Krzyż Marynarski.

Był już pod bardzo dobrą datą, kiedy Mitchell przeprowadził wśród obecnych dziewcząt licytację o niego. Gdyby nie wiedział o jego Krzyżu Marynarskim albo był trzeźwy, to pewnie by się sprzeciwił. Zaakceptował już jednak Mitchella i przyzwolił na to. Ktoś, kto zdobył na Guadalcanale takie odznaczenie, na pewno był w porządku.

Dzięki temu, że się nie odezwał, wylądował w sypialni z najładniejszą dziewczyną i zrobiono mu najrozkosznieszą minetę od czasu tej z River Street w Honolulu, a może nawet najrozkosznieszą w życiu.

Właściwie to nie była licytacja. Od dziewcząt nie żądano zapłaty. Mitchell zaapelował do ich patriotyzmu z tak wyreżyserowanym, ujmującym wdziękiem i z tak starannie odmierzoną dawką szczerości, że nawet najbardziej nieczuła prostytutka z chęcią za darmo poszłaby z Prelem do łóżka. A te dziewczęta nie były przecież prostytutkami.

–On zdobył Medal Honorowy Kongresu, dziewczyny! – zawołał komandor podporucznik z blatu koktajlowego stolika po tym, kiedy gromko poprosił o ciszę. – Wiecie, co to znaczy? Drugiego takiego już, być może, nigdy nie spotkacie. Medal Honorowy jest najwyższym odznaczeniem, jakim kochane Stany Zjednoczone mogą obdarować swojego syna. Czyż możecie odmówić?

Było to pytanie retoryczne. Rozgrzany przemową Mitchell klasnął w dłonie.

–Jest wszakże pewien szkopuł: kiedy nasz nowy

znajomy wykonywał do końca zadanie, do którego specjalnie go wybrano, parszywi Japończycy tak mocno poharatali mu nogi, że – przynajmniej chwilowo – nie jest zdolny do pewnych delikatnych, acz istotnych, fizjologicznych czynności, wymagających sprawności mięśni. Ale to, czego sam w tej chwili zrobić nie może, można przecież zrobić jemu. Na wiele subtelnych a niezwykle chwalebnych sposobów. Na dodatek zaś jest to jego pierwsza przepustka od siedmiu czy ośmiu

miesiący!

Tak więc strasznie długo nie oglądał żadnej dziewczyny z bliska. Czy muszę dodawać coś więcej, moje panie...?

Pamiętajcie! To prawdopodobnie wasza jedyna okazja w życiu, żeby zrobić to ze zdobywcą Medalu Honorowego!... No więc?! Ile za niego dostanę? Kto go bierze?

Która pierwsza, ta lepsza. Tak jak każe nasz amerykański zwyczaj!

Mitchell zręcznie obrócił całą rzecz w żart, choć wcale nie żartował. Zgłosiło się pięć dziewcząt. Spośród tuzina.

Najpierw jedna, potem druga, a po minięciu pierwszego zażenowania jeszcze trzy. Przepchnęły się i wypadły na środek pokoju, śmiejąc się i przybierając pozy. Do zabawy próbowały dołączyć jeszcze dwie, ośmielone przez tamte pięć, ale Mitchell im na to nie pozwolił. Postanowił, że pierwsza piątka pociągnie słomki. Zaczęto więc wspólnie, długo i chaotycznie, szukać słomianej szczotki. Aż wreszcie ktoś ją znalazł, przyniósł i wręczył Mitchellowi.

Ciągnięcie wygrała Ann Waterfield, pracująca w śródmieściu, wysoka, ostrzyżona na pazia blondynka, świetnie zbudowana i nadzwyczaj piękna. Przyszła tu z jednym z lotników, lecz nie była jego dziewczyną. Prell podejrzewał, że Mitchell dopuścił się przez wzgląd na niego szachrajstwa, był jednak na tyle mądry, żeby milczeć.

Pijany, zaczerwieniony, skrępowany siedział z nieruchomą twarzą aż do chwili, kiedy Annie wwiozła go do sypialni.

Miał wrażenie, że będzie jej dłużnikiem do końca życia.

Kiedy wreszcie po długim czasie spędzonym w sypialni, w której pod najsurowszym zakazem nikt nie mógł, gdy tam byli, korzystać z drugiego łóżka, a Annie okazała się taka oddana, czuła i miła, powrócili do towarzystwa, Annie Waterfield zaczęła się śmiać.

–Mówiliście, że ten młodzian nie był na przepustce siedem czy osiem miesięcy? – powiedziała. – A zachowuje się tak, jakby nie był na niej od półtora roku!

Dacie wiarę, że zrobił to trzy razy?!

Rzeczywiście zrobił to trzykrotnie. Za drugim razem Annie Waterfield dokonała tego, czego nie udało się osiągnąć Delii Mae Kinkaid. Przekręciła Prella na bok, po podłożeniu dwóch poduszek obróciła go na wznak i stanęła nad nim w rozkroku w taki sposób, żeby wolno kucając, przy wsuwaniu się na członek nie dotykać pokiereszowanych ud. Delia Mae Kinkaid nigdy tego nie zrobiła. Co prawda w tej pozycji bolały go nogi, ale warto było.

Annie nie opuściła go już w tłoczonym, rozkrzyczanym salonie i przez resztę wieczoru trzymała się blisko niego, wciąż dotykając go rękami. Strasznie go to podniecało.

Za nic nie chciał, żeby odeszła. Do kogoś innego.

Delia Mae Kinkaid. Prell myślał o niej kilka razy, gdy przebywał w sypialni z bardzo doświadczoną w tych sprawach Annie Waterfield. Pragnął, żeby to nie ona, a Delia Mae robiła z nim te wszystkie cuda.

Niemniej wniosek, jaki stąd wynikał, był jasny i brzmiał: do diabła z Delią Mae, niech każdy dba o siebie. Cała ta jej gadanina o małżeństwie. Same głupoty. Nie miał wyjścia, musiał ich słuchać.

Jeśli Delia Mae chciała wyjść za mąż, to musiała znaleźć sobie innego zdobywcę Medalu Honorowego.

Ale mimo to byłoby wspaniale, gdyby w miarę szybko zdołał ją wyuczyć tej niemal gimnastycznej sztuczki, której za drugim razem użyła wobec niego Annie Waterfield.

Właśnie gdy siedział z trzymającą go za rękę Annie, nadszedł skądś Johnny Stranger i stanąwszy za jego plecami zdrową ręką dotknął jego ramienia. Prell odwrócił głowę, żeby na niego spojrzeć, i uśmiechnął się.

Pijany, czerwony na twarzy Strange odpowiedział mu uśmiechem. A potem wybałuszając po pijacku oko, mrugnął nim, zamykając powiekę z niemal słyszalnym brzęknięciem.

–Wszystko w porządku?

–Wspaniale.

–To dobrze.

Leciutko rozchwiany, pochylił się wolno i zniżył usta do ucha Prella.

–Przepuścimy wszystko co do centa – powiedział.

–Do ostatniego miedziaka, kurwa mać! Jak długo pozostanie mi choć jeden zasrany miedziak, nikomu, kurwa, niczego nie zabraknie!

Prell poczuł, że Strange mocniej naciska jego ramię, odpycha się i prostuje. A kiedy ucisk zniknął, wyczuł, bo nie sięgał wzrokiem za siebie tak daleko, że przyjaciel cofnął się dwa kroki.

Kiedy przesunął wózek i spojrzął ukradkiem, Strange, ze splecionymi rękami, opierał się jednym ramieniem o ścianę.

W tej samej pozie oglądał go już tak wiele razy – opartego o ścianę kuchni na Wahoo, o słup w namiocie kuchennym na Guadalcanale, o pień palmy kokosowej na Nowej Georgii – że obraz ten przywołał nie jedno wspomnienie, ale cały ich ciąg.

Na zaczerwienionej, przepitej twarzy Strange'a poniżej i powyżej jego wybałuszonych oczu malowała się dziwna mina. Na pozór było to oblicze człowieka szczęśliwego, ale pod tą niewinną powierzchownością, kryło się coś tak twardego, gorzkiego i skamieniałego, że nie rozłupałby tego nawet bagnet.

Prell nie wiedział, co to takiego. I niezbyt się tym przejmował. Miał jednak wrażenie, że choć dotąd sobie tego nie uświadamiał, to przez całe popołudnie i wieczór kątem oka dostrzegał Strange'a, stojącego w tej samej pozie w różnych miejscach pokoju. Z

jego obserwacji wynikało, że Strange nie zabrał na stronę żadnej dziewczyny.

Kiedy o tym rozmyślał, znów poczuł na ramieniu ciężką dłoń i usta Strange'a zniżające się do jego ucha.

–Lizaleś kiedyś cipkę? – usłyszał.

–No, ja... – zaczął i urwał, bo zdał sobie sprawę, że wykręca się od odpowiedzi. Nie miał pojęcia, o co chodzi, lecz poznał, że pytania nie zadano żartem.

Nacisk, z jakim zadał je Strange, to wykluczał. – O rany, tak – dodał i spojrzał z uśmiechem w czerwoną twarz przyjaciela. – O rany, tak – powtórzył śmiało. – To coś wspaniałego. Rozkosz.

Nie kłamał. I to zarówno w przypadku Annie Waterfield, jak i sporej liczby innych dziewcząt. A jednak jeszcze do niedawna w ogóle by się do tego nie przyznał.

Nacisk na jego ramię znów wzrósł, bo Strange odepchnął się i wyprostował. Kiedy Prell uznał, że może zaryzykować zerknięcie, ujrzał, że szef kuchni stoi oparty, jak poprzednio, o ścianę. Chyba patrzył, co się dzieje na środku pokoju.

Prell również tam spojrzał. Figlarz z lotnictwa morskiego, Mitchell, robił właśnie następny sztubacki, zwariowany kawał. I wtedy nagle, bez żadnej zapowiedzi, przed oczami Prella zaczęły się przesuwac, jak na starej taśmie filmowej, nazwiska utylanych w błocie żołnierzy z jego drużyny, żywych i zabitych. Nie zdarzyło mu się to od tak dawna, że przeżył wstrząs. Każda twarz z zapadłymi oczami obracała się wolno z tęsknym, smutnym uśmiechem i powoli nikała. Odpływała w Bóg jeden wie jak straszny mrok. Mój Boże, pomyślał Prell, czegoż by oni wszyscy nie dali za to, żeby być tutaj.

To prawdopodobnie Strange ożywił tę wizję, przywołując wspomnienia z przeszłości. Jediną rozsądną reakcją na to było z całą mocą, jak najdobitniej, podkreślić fakt, że on, Prell tutaj jest, a ich nie ma.

Jego spoczywająca na poręczy wózka prawa ręka, w której trzymał whisky, rozdygotała się tak, że lód w szklance cichutko się rozdzwonił. Przestał dzwonić, kiedy Annie Waterfield położyła dłoń na ręce Prella i szybko zrobiła ustami ruch przypominający pocałunek.

Prell mrugnął do niej.

W taksówce, wracającej o drugiej w nocy do szpitala, najpierw wciśnięty przez Strange'a i Landersa na przednie siedzenie, a potem wyciągnięty z niej i ponownie wciśnięty w wózek, pijany, wcale nie cierpiał. Kierowca drugiej taksówki nie okazał się ani trochę tak miły i uczynny jak tamten pierwszy. Ale to się nie liczyło.

–To jeden z najmiłszych wieczorów w moim życiu – powtórzył Prell kolegom i taksówkarzowi chyba po raz dwudziesty. – Chciałbym, żeby trwał bez końca.

Kiedy Landers, również pijany, zawiesiwszy swoją laskę z tyłu wózka, pchał Prella z powrotem na ortopedię, oznajmił mu nowinę, że za dwa dni Winch wraca do pełnienia ograniczonej służby. Że jedzie do Dowództwa Drugiej Armii i jako szef kancelarii ewidencyjnej prawdopodobnie awansuje na chorążego.

Dla nadal mocno pijanego Prella te nowe wieści o Winchu zabrzmiały jak złowrogi żałobny dzwon, obwieszczający początek końca. Na oddziale z pomocą pielęgniarka przystąpił do zdejmowania munduru. Kiedy wreszcie znalazł się w łóżku, przez jakiś czas leżał rozbudzony i rozmyślał.

Co się z nim stanie, kiedy wszyscy stąd wyjadą? Najpierw odjedzie Winch. Potem Landers. Potem Strange. Aż wreszcie zostanie sam... Żeby kontynuować bolesną fizjoterapię po to tylko, by się przekonać, czy

w końcu będzie chodzić. Cały czas codziennie ćwicząc.

Cały czas starając się nauczyć chodzenia, psiakrew!

Co go czekało? Jego jedynym marzeniem była służba w wojsku. Jakże mógł zostać w wojsku, nie mogąc chodzić?

Nazajutrz, jakby w odpowiedzi na te pytania, otrzymał wypisane na maszynie zaproszenie, tym razem od pułkownika Stevensa, do wygłoszenia w mieście kolejnej prelekcji. Chodziło o połączone Kluby Pań z Luxoru.

Za pierwszym razem odniósł wielki sukces i Kluby Pań prosiły właśnie o niego. Impreza była po południu.

Pomimo straszliwego kaca oczywiście przyjął zaproszenie. Zresztą nie miał wyboru. Przyszło mu na myśl, że to właśnie będzie robił w życiu, że jeżeli myśli o pozostaniu w wojsku, właśnie na tym będzie polegać jego służba. Na razie nikt mu tego nie powiedział, ale Prell czuł, że ów moment się zbliża, tak jak zwierzę wyczuwa nadciągający śnieg czy burzę.

Rozdział dziewiętnasty Landers obudził się z o wiele mniejszym kacem niż Prell. Zdążył się już przyzwyczać do nadużywania trunków, a jego organizm lepiej je przyswajał.

Ale kiedy z podciągniętym pod szyję kocem i prześcieradłem słuchał, jak idący przez oddział pielęgniarski budzi pacjentów, paraliżowało go coś daleko gorszego niż kac. Nie był to jednak duży dzwon, który krótko, mocno i przerażająco walił u wejścia na oddział. Do jego bicia był przyzwyczajony. Przepelniał go za to przeraźliwy, gwałtowny, szczery popłoch.

Landers znał jego przyczynę. Nie potrzebował odtwarzać w pamięci wczorajszego ubawu, żeby przypomnieć sobie, co zrobił źle, bo widział to jasno. Pamiętał, jak w drodze powrotnej na oddział pchał przed sobą Prella i po pijanemu wyjawiał mu, że Winch wraca do służby. A proszono go przecież o zachowanie tajemnicy.

Podminowany zarówno z powodu kaca, jak i głębokiego, straszego poczucia winy, nerwowymi ruchami naciągnął spodnie i kapcie, żeby zdążyć przed innymi do łazienki i się ogolić.

O rychłym powrocie Wincha do służby dowiedział się od Strange'a. Siedzieli wtedy beczynnie na dworze w jesiennym słońcu i czekali, aż Prell dostanie swój

składany wózek. Winch poinformował Strange'a, że wyjedzie przed upływem tygodnia. A kiedy Strange powtórzył to Landersowi, wyraźnie poprosił go, żeby nie mówił o tym nikomu. A już zwłaszcza Prellowi.

Landers spytał go dlaczego. Strange wzruszył ramionami, pokręcił głową i, jak to on, niekonkretnie, co dotyczyło wszelkich bardziej skomplikowanych, głębszych myśli, odparł, że jego zdaniem Prell jeszcze do tego nie dojrzał. Był nadal za bardzo spięty, zbyt niepewny losu swoich nóg. Mógł nie pogodzić się z myślą, że Winch w końcu opuści ich, opuści kompanię, odejdzie.

Landers tylko skinął wówczas głową. Nie był pewien, czy też dojrzał do tego. Na samą myśl, że może zabraknąć Wincha i nie będzie komu służyć w potrzebie pomocą i radą, czuł ogromną pustkę. W żadnym razie nie wierzył jednak, że Prell podziela te jego uczucia.

Dziwne, ale Strange jakby czytał w jego myślach, bo znowu bez słowa pokręcił głową i wzruszył ramionami.

Wyjaśnił prędko, iż nienawiść do Wincha wcale nie oznacza, że Prell uważa go za nieudolnego. Przeciwnie.

Prell nie znenawidziłby osoby, której fachowość doceniał. Nie, bez względu na nienawiść, było pewne, że Prellowi będzie brakowało Wincha. I to bardzo.

Dodał, że powinni dać Prellowi tydzień albo dwa, zanim mu o tym powiedzą. Potrzebuje bowiem czasu, żeby fizjoterapia zaczęła skutkować. A poza tym, co też się liczy, dowiadując się o wyjeździe Wincha po fakcie, łatwiej przyjmie to jako zrzęczenie losu.

Landers znowu kiwnął głową i przyrzekł, że dochowa tajemnicy. Przyszło mu na myśl, że nie po raz pierwszy spostrzega, jak – na pozór bardzo proste – stosunki pomiędzy podoficerami zawodowymi są w istocie ogromnie zawile i skomplikowane. Jeszcze raz ogarnęło go zdumienie, jak dogłębnie rozumie je Strange.

Ludzie z wyższym wykształceniem, skłonni uważać, że są bardziej wrażliwi i mający takich ludzi jak Johnny za nieuków, prostaków i prymitywnych uczuciowo, nie mieliby pojęcia, czego dotyczyła ta rozmowa. I prawdopodobnie nie mieli szans poznać kogoś takiego, jak on. Landers również nie znał nikogo takiego aż do czasu tej kurewskiej wojny. Ale wolał być taki jak ci z wojska niż znani mu ludzie wykształceni. Minionej nocy, po ubawie, pijany i szczęśliwy, położył się spać, myśląc o tym ponownie.

A obudził się z tą najbardziej przykrą z myśli.

Miał wrażenie, że jego pamięć nie utrwaliła wszystkich szczegółów wczorajszej wielkiej, hałaśliwej pohulanki. Wielu dłuższych jej fragmentów w ogóle nie pamiętał. Jego mózg nie wymazał jednak najstraszniejszego, najbardziej nieodpowiedzialnego wyskoku. Przechował bowiem ów postępek, by, jak na zawołanie, dławił Landersa, dopiekał, męczył, dręczył i przepelniał go tego ranka strasznym poczuciem winy.

Jakże mógł popełnić taką gafę? Jak mógł zlekceważyć przyrzeczenie i zapomnieć o obietnicy?

Po ogoleniu się połknął śniadanie tak nerwowo i prędko, że rozboleł go brzuch. Usiadł więc, masując obolały żołądek, i, stukając stopami w kapciach w wypastowaną podłogę, czekał na poranny obchód. Wkrótce potem, wolny, przeszedł pół mili przez teren szpitala do oddziału Strange'a tak prędko, jak pozwalała mu na to kontuzjowana noga, by zobaczyć się z nim i wyznać, co zrobił. Może Strange mógł to jakoś naprawić.

Miał szczęście, że się pośpieszył. Strange bowiem był już w mundurze i wybierał się właśnie do swojego apartamentu w hotelu. Już wcześniej dał klucz jednemu z członków kompanii, który miał ranną przepustkę, i pojechał pierwszy, żeby skrzyknąć jakieś damskie towarzystwo.

–Jedź ze mną – powiedział do Landersa. – Im więcej nas, tym weselej. Zaczekam, aż się przebierzesz.

Landers powstrzymał go, podnosząc rękę.

–Muszę ci wyznać, co zrobiłem – odparł i płaczącym tonem wyrzucił z siebie wszystko jednym tchem.

–To straszne. Straszne. Byłem pijany. Ale to żadne usprawiedliwienie. Wracaliśmy na oddział...

Strange przyjął wiadomość lepiej, niż Landers się spodziewał. Uśmiechnął się ze smutkiem kątem ust i po swojemu wzruszył ramionami. Było to gorsze od wyrzutu. Landers wolałby, żeby Strange sklął go na czym świat stoi.

–No to będzie musiał się z tym pogodzić – odparł Strange. – Tylko trochę prędeej. Myślę, że wszyscy musimy się pogodzić z różnymi sprawami szybciej, niż byśmy chcieli.

–Pewnie. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi przykro – dodał cicho Landers. Ale słowa wcale nie zmniejszyły jego poczucia winy.

–Mam nadzieję, że to przeżyje – rzekł ze smutkiem Strange i lekko klepnął Landersa zdrową dłonią w ramię.

–Po pijanemu ludzie robią najrozmaitsze rzeczy, których nie zrobiliby na trzeźwo. To nie do uniknięcia. Nic się nie stało.

Zgiął palce niesprawnej dłoni, na której wciąż nosił gips.

–A teraz idź i włóż mundur. Zaczekam na ciebie na słońcu przy postoju taksówek. Niedługo już będziemy się tak bawić. Nawet tutaj, na starym, dobrym Południu.

W taksówce powiedział Landersowi, że otworzył rachunek czekowy i że ma siedem tysięcy dolarów w gotówce. Oświadczył, że zamierza przepuścić je co do centa w czasie, dopóki jeszcze są tu wszyscy razem, on i reszta chłopaków z ich kompanii.

Wprawdzie Landers nie przetrwał do końca poprzedniej sprawy, ale Strange chyba już zapomniał o Prellu.

–To kupa forsy do wydania i przepuszczenia – rzekł ostrożnie. – Z siedmioma tysiącami dolarów można wiele zdziałać.

–Na przykład?

–Czy ja wiem? Nie wiem, czego chcesz. Mógłbyś zacząć od kupienia restauracji. Jesteś przecież kucharzem i restauratorem, prawda?

–Wcale tego nie chcę – odparł Strange. – A zresztą taka suma tutaj na długo nie wystarczy. Przy stu dolarach dziennie? Za ten apartament? To daje raptem siedemdziesiąt dni.

–A pytałeś, ile kosztuje jego wynajęcie na miesiąc?

–Nie, nie pytałem.

–Wiesz co? Posłuchaj – rzekł Landers. – Mam w domu około dwóch tysięcy. A gdybym tak dorzucił je do twoich? – Nagle ogarnęła go radość i podniecenie.

–Gdybyśmy potrzebowali tego apartamentu, to moglibyśmy go mieć dwadzieścia dni dłużej.

–Dobrze – zgodził się Strange, lecz po chwili podniósł ostrzegawczo zrogowaciały palec zdrowej dłoni.

–Ale zastanów się, żebyś później nie żałował.

–Coś ty – odparł Landers.

–Wiesz, coś ci powiem! – oznajmił podekscytowany Strange. Wyglądał przez okno na miejski park Overton, który taksówki mijały jadąc z i do szpitala. – A może tak byśmy urządzili sobie piknik?

Landers zdumiał się. Strange naprawdę już całkiem zapomniał o Prellu!

–Dobrze, czemu nie? – odparł.

–Zabierzemy gorzałę, sprowadzimy kobiety i wszystkich, których zastaniemy, nakupimy żarcia, wynajmiemy taksówkę i na cały dzień przyjedziemy do tego zasranego

parku. Co ty na to? – Strange także nagle poweselał.

–Urządzimy sobie wspaniałą całodzienny piknik, jak Boga Kocham!

Dopiero po wypiciu trzech szklaneczek nielegalnego alkoholu, kupionego od taksjarza, Strange poruszył drugą sprawę, która najwyraźniej cały czas go nurtowała.

Kiedy jechali ulicami śródmieścia, spojrział nerwowo na tył głowy szofera, a potem pochylił się konspiracyjnie do Landersa.

–Czy lizaleś kiedyś dziewczynie cipkę? – spytał szeptem.

Z początku Landers sądził, że Johnny ma w głowie jakiś mocno przesadzony, ryzykowny żart, dlatego zaczął się zastanawiać nad jakąś dowcipną ripostą. Ale wówczas spostrzegł, czy też wyczuł, że Strange wcale nie żartuje. Że pyta ze śmiertelną powagą.

–A czemu cię to interesuje? – spytał go normalnym tonem, chcąc zyskać na czasie.

Gwałtownym gestem otwartej zdrowej dłoni Strange nakazał mu ściszyć głos.

–Nie wstydź się, jak Boga Kocham – wyszeptał.

–Pytam poważnie.

–No, jeżeli tak stawiasz sprawę, to owszem. Tak – odparł szeptem Landers.

–I podobało ci się?

–No, tak. Podobało. Właściwie, to bardzo.

Strange pokiwał głową. Coś sobie rozważał.

–A czy dobrze to robisz?

Nadal rozmawiali szeptem, bo to narzucał Strange.

–No cóż... Nie wiem, czy trzeba wiele, żeby być w tym dobrym – odparł Landers. – Jest taka jedna dziewczyna, Marta Prentiss, która bywa w hotelu Peabody. Uwielbia grać na flecie.

–Pokazali mi ją, ale nie miałem z nią styczności.

Nie znam jej.

–Wziąłem ją kiedyś sobie. Udzieliła mi kilku wskazówek. Ale co tam. Grunt to wiele delikatności i bardzo wilgotny język.

Strange skinął głową, ale nie odpowiedział.

–Na pewno wiesz, co to łechtaczka, prawda? – szepnął Landers.

–Jasne, cholera, że wiem – odszepnął Strange.

–No tak – rzekł szeptem Landers i lekko wzruszył ramionami.

–Czy pachnie?

–Jasne. Pachnie. Pachnie miło.

–A nie rybą?

–Pachnie rybą. Ale nie zupełnie rybą. Pachnie...

Znasz słowo "żyzny"?

Strange potrząsnął głową.

–"Żyzny" znaczy bogaty. Tak jak bogata jest ziemia. Żyzna dla tego, co rośnie. Bogata dla tych wszystkich bogactw, które wyrastają latem. Pachnie dojrzałe.

Obawiając się, że zaczyna mówić zbyt górnolotnie, Landers zamilkł.

–Dojrzałe – rzekł skwaszony Strange. – Pewnie, że dojrzałe.

Ich twarze dzieliło najwyżej ćwierć metra. Strange wpatrzył się chciwie w oczy Landersa.

–A czy nie pachnie siuškami?

–No, owszem. Troszeczkę. Ale to nie przeszkadza.

Przynajmniej mnie. Zresztą tylko na początku. Ale po chwili wcale nie pachnie siuškami.

–Nie ma smaku?

–Nie. Żadnego. Nie ma najmniejszego smaku.

Smakuje tym, co miałeś przedtem w ustach. Papierosem.

Whisky. Befszykiem.

Strange skinął głową w milczeniu, nie odrywając baczego spojrzenia od Landersa.

329

–A o co ci właściwie chodzi? – spytał szeptem Landers.

–Ach, o jedną dziewczynę – odparł szeptem Strange z wystudiowaną obojętnością.

– Chce, żebym jej zrobił minetę. Wciąż powtarza, że mi się to spodoba. Mówi, że wszyscy to robią.

–Pokaż mi faceta, który nie liże cipy, a pokażę ci męża, któremu wyjmę żonę – rzekł z uśmiechem Landers, cytując szeptem dowcip z długą brodą.

Strange nie roześmiał się. Tylko patrzył.

–Jedno ci powiem – szepnął Landers. – O wiele za dużo ich smakuje mydłem.

–Smakuje czym?

–Mydłem. Tak wiele dziewczyn się ich wstydzi i tak boi się, że cuchną, że bez przerwy pucują je jak wszyscy diabli. No i smakują mydłem.

–Cholera – szepnął Strange – z ciebie jest prawdziwy fachowiec.

–Nie, nie. Nauczyłem się tego wszystkiego tutaj.

Prawie wszystkiego.

Znawali się tak blisko siebie, a Strange wpatrywał się tak bacznie, że jego oczy przypominały dwa jasnoniebieskie reflektory oświetlające twarz Landersa. W ich świetle nie dało się ukryć prawie niczego. Głowa kierowcy, który siedział z przodu, nie była odchylona, co wskazywało, że jest skupiony na jeździe i zupełnie nie interesuje się ich rozmową. Po dłuższej chwili Strange usiadł wygodnie na tylnym siedzeniu i skierował wzrok przed siebie.

–Wszędzie zachodzą zmiany – powiedział nie wiadomo do kogo, co prawda normalnie i głośno, ale zduszonym głosem.

Taksówka jechała już prosto w górę Union Street, w kierunku Main Street i niewidocznej stąd rzeki. Kiedy szofer, zataczając szeroki hak, podjeżdżał pod hotel

Peabody, Strange uśmiechnął się i zwyczajnym, neutralnym tonem powiedział jedno słowo: "Dziękuję".

Nie zapomniał o pikniku. A przebiegł on niemal dokładnie tak, jak go sobie wyobrażał. Tylko że jeszcze przyjemniej, jeszcze lepiej się bawili. W apartamencie czekali na nich czterej koledzy z kompanii, którzy poderwali już kilka dziewcząt w barach hoteli Peabody i Claridge na Main Street. Uwagi Landersa nie uszedł fakt, że cała czwórka przebywa w Kilrainey dłużej od nich i że skończyły się im pieniądze. Strange najwyraźniej obdarzył swoją hojnością wszystkich, którzy się splukali.

Landers nie miał nic przeciwko temu. Gotów był zrobić to samo ze swoją mniejszą sumą, kiedy tylko ją dostanie. Przyszło mu na myśl, że do tego czasu stan zdrowia Prella ulegnie poprawie dzięki fizjoterapii.

Bardzo chciał coś dla niego zrobić. Próbował więc zrobić to samo co Strange, który tak łatwo przeszedł do porządku nad jego gafą, to znaczy nie myśleć o sprawie.

Ale nie wyszło mu to za dobrze, bo wciąż wracał myślami do Prella. I za każdym razem dręczyło go to samo co rano straszne uczucie, które nawet jemu wydawało się ogromnie przesadzone.

A kiedy podpity zasnął, po oświetlonej słońcem stronie wielkiego drzewa w jednej z licznych alejek parku, nieoczekiwanie nawiedził go nieznośny sen czy też wizja cierpiących, złaknionych żołnierzy i jego, z pełną manierką wody na wyschniętym wzgórzu na Nowej Georgii. Znowu błagali go o wodę, a on nie dał im ani kropli. Obudził się raptownie, tłumiąc okrzyk. Siedząca obok brunetka, której w ogóle sobie nie przypominał i nie wiedział, kim jest, chwyciła go za bicepsy, uśmiechnęła się do niego, mrugnęła i mruknęła coś uspokajająco.

Z pewnością robiła to już wiele razy i wiedziała, jak ma się zachować.

Landers usiadł i sięgnął po alkohol. Po raz pierwszy od długiego czasu znów dopadł go ów sen i zmusił, by postawił sobie pytanie: Dlaczego właśnie teraz?

Na szczęście zostało jeszcze mnóstwo trunków. Piknik udał się wspaniale – było ciepło i słonecznie, ale też ostro pito. Strange przywiózł z sobą wszystkie możliwe alkohole, jakie mu przyszły na myśl albo wpadły w ręce.

Za namową Landersa kupił też dwie butelki francuskiego wina, ale bardzo słabego. Nawet Landers go nie pił. Tak jak wszyscy wolał whisky popijaną piwem. Kiedy zrobiło się chłodniej i przenieśli się do hotelu, całe towarzystwo, włącznie z dziewczynami, było urżnięte.

Po Strange'u nie było tego widać aż tak bardzo, jak po reszcie, chociaż Landers wiedział, że tamten wypił tyle samo. Zaintrygowany ich rozmową w taksówce, obserwował ukradkiem, jak Strange odnosi się do kobiet.

Ale trudno było go rozgryźć. Dzielił czas pomiędzy partnerkę Prella z poprzedniego wieczoru, Annie Waterfield, i Frances Highsmith. Frances często przebywała w ich towarzystwie i Landers robił to z nią kilka razy, a poza tym był pewien, że Strange też co najmniej raz poszedł z nią do łóżka. Właśnie jej się trzymał, kiedy kupowali jedzenie i alkohol, i to z nią jechał do parku jedną z trzech wynajętych taksówek. Aha! – pomyślał wtedy Landers. – To ta! Ale w połowie pikniku Strange zainteresował się Annie i odeszli usiąść po drugiej stronie polanki, naprzeciwko miejsca, gdzie wszyscy rozłożyli koce. Jednak nie! – pomyślał Landers. – A więc chodzi o Annie! Ale zanim wynieśli się z parku, Strange powrócił do Frances, i do hotelu pojechał razem z nią. Kiedy jednak rozsiedli się w apartamencie, znowu ją zostawił i przysiadł się do Annie i stojącej obok niej flaszki bourbona. Frances zaczęło to irytować. Ale nie Annie Waterfield. W tym momencie Landers odszedł, żeby się

położyć i przespać, nie wiedząc, na którą z nich postawić i czy w ogóle powinien to robić. Mało o to dbał.

Wprawdzie bał się ponownie zasnąć z powodu tamtego snu, ale ostre picie przez cały dzień i gorące słońce tak go wykończyły, że nie mógł wytrzymać. Od snu nie mogła go odwieść nawet myśl, że zmora znów mu się przyśni. A poza tym dziewczyna z parku – okazało się, że nazywa się Mary Lou Salgraves – pozostała z nim, poszła z nim do łóżka i nie miała nic przeciwko temu, żeby spał z głową na jej nagich piersiach. Landers natychmiast zasnął, nie próbując jej rznąć, nawet mu nie stanął. Jej zaś podobało się to tak samo jak rżnięcie, a może nawet bardziej.

Po trzech godzinach obudziła go ta sama wizja.

Otrząsając się ze snu, wolno, w pijackim otępieniu, nawet zamroczony, starał się zdusić w zarodku nieopatrny dźwięk czy krzyk.

Po przebudzeniu odkrył, że Mary Lou trzyma dłoń na jego ustach, a drugą dłonią gładzi go po głowie.

Kiedy jego umysł zaczął rejestrować sygnały z zewnątrz, zdał sobie sprawę, że to właśnie ona go zbudziła.

–Przepraszam – powiedziała, zdejmując dłoń z jego ust – ale zacząłeś wydawać różne dźwięki i wołać przez sen. Pomyślałam, że chciałbyś się obudzić.

Miał dziwne wrażenie, że robiła to już wiele razy, że dokładnie wiedziała, jak postąpić, nie zadając żadnych pytań. Byli w dużej sypialni sami, pusta była także leżanka stojąca nogami do drzwi.

–Tak. Tak, oczywiście. Dziękuję – odrzekł zaspanym głosem. – Dziękuję.

–Cały czas mówiłeś coś o wodzie – dodała Mary Lou. – Woda, woda. Chce ci się pić?

–Nie – odparł Landers, ale poprawił się po chwili:

–Tak. Tak, napiłbym się whisky z wodą.

–Już idę – powiedziała z uśmiechem Mary Lou.

Wstała wolno i nie dbając o bieliznę, włożyła tylko sukienkę.

Przyglądając się jej, Landers poczuł ruch i pęcznienie w kroczu.

–Fajna z ciebie dziewczyna, wiesz o tym, Mary Lou? – spytał.

–Och, bardzo dziękuję, szanowny panie.

Uśmiechnęła się znowu i w jej brodzie zrobił się dołeczek.

W salonie Strange dalej siedział i rozmyślał z Annie Waterfield. Głos mu trochę schrypl, ale spojrzenie zachował bystre. Poziom whisky w butelce bourbona znacznie się obniżył.

–No i jak, odpocząłeś trochę? – spytał ze swojego fotela Strange.

Landers, który właśnie się przeciągał, skinął głową.

Mary Lou podała mu szklankę.

W salonie pozostali już tylko Strange i Annie.

Czterech żołnierzy ze starej kompanii wraz z partnerkami zniknęło. Zniknęła też Frances Highsmith.

Druga sypialnia, do której drzwi stały otworem, ziała pustką. Było wpół do dziewiątej, dziwnie cicho i spokojnie.

Strange uśmiechnął się szczerze do Landersa z drugiego końca salonu.

–Inni wyszli, żeby zjeść coś z rożna na Poplar.

Zrobili się trochę nerwowi. Wsunąłem Corellowi trochę gotówki. Wybierają się do kina. Strange sprawiał wrażenie zakłopotanego. Frances też nas opuściła.

Prawdę mówiąc, to właśnie. o niej ci przedtem mówiłem.

–Moim zdaniem, Frances trochę zadziera nosa – wtrąciła Annie z kobiecą złośliwością. – Zachowywała się tak, jakby przywłaszczyła sobie plutonowego Strange'a.

–Nic jej nie będzie – rzekł z uśmiechem Strange.

–Tutaj wszędzie jest mnóstwo wojaków i mnóstwo pokoi hotelowych.

A więc Annie zwyciężyła, pomyślał Landers. Albo raczej Frances Highsmith przegrała. Tak czy owak wiedział już przynajmniej, która z nich poprosiła Strange^, żeby ją wylizał.

Zresztą cały czas przypuszczał, że chodzi o Frances.

Ale mimo to chciało mu się śmiać. Jeżeli Strange sądził, że Annie jest inna, to nie miał pojęcia, w co wdepnął.

Landers wpatrzył się w nią, nagle czując pustkę w głowie. Raptem dotarło do niego z całą ostrością, że te dziewczyny zaciekle rywalizują o pierwszeństwo i walczą ze sobą zażarcie – jak to młode kobiety – z tą różnicą, że czas tej walki skróciła wojna, a duma ze zdobyczy trwa zaledwie pięć, trzy dni a nawet tylko jedną noc. Co wieczór więc staczały boje o mężczyzn.

A potem zaczynały je od nowa, jak rozwódki.

Landers zastanawiał się, która z nich przelicytowała Mary Lou, żeby go zdobyć. Albo którego przelicytował on, żeby zdobyć ją. Bez wątpienia znacznie mu dzisiaj wszystko ułatwiła.

Ze szklanicą w ręku zagłębił się w zbyt mocno wypchanym fotelu i przywołał gestem Mary Lou, żeby usiadła przy nim na poręczu. Nowa porcja alkoholu, dodana do tych, które już wypił, bardzo szybko uderzyła mu do głowy. Siedział, oplatając ręką biodra Mary Lou i rozkoszując się dziwną ciszą w pokoju.

W gorączkowej pogoni za dupami, gorzałą i korzystaniem z życia był to absolutnie cudowny moment ukojenia. Landers puścił oko do Strange'a.

Johnny Stranger, mocno podpity, znacznie bardziej niż on sam, odpowiedział mu mrugnięciem, zamykając i bardzo wolno otwierając jedno oko. Najwyraźniej on również rozkoszował się spokojem.

W dwie godziny potem we dwójkę stoczyli swoją pierwszą bitkę w Luxorze z jakimiś marynarzami. Dokładnie z siedmioma. Na szczęście, nie wszyscy przeciwnicy do niej przystąpili.

Całą awanturę z łatwością można było zwalić na karb wypitego alkoholu. Dla Landersa jednak bitka ta była czymś więcej.

We czwórkę zeszli na cichą, spokojną kolację do restauracji na parterze. Ten staroświecki lokal tuż obok hallu z boazerią na ścianach i milczącą czarną obsługą, który uchował się jakoś przed nawałą zionących wodą ognistą, dziko patrzących żołnierzy, był odpowiednim miejscem na taki posiłek. Stare luxorskie rodziny tradycyjnie przychodziły tutaj na obiady. Dla podtrzymania nastroju, jaki zapanował na górze, Landers i Strange zapragnęli również zjeść tutaj spokojną kolację.

Później, kiedy szli przez hall do baru, żeby się napić, Strange kupił w hotelowym sklepiku z alkoholami butelkę. Właściwie mogli wrócić na górę. Żaden z nich nie miał pojęcia, dlaczego weszli jednak do baru. Prawdę mówiąc, czuli do siebie sympatię, i jeśli nawet nie darzyli się miłością, to byli sobie życzliwi i bliscy. Jak kochankowie, którzy dla kontrastu potrzebują niekiedy otoczenia innych ludzi.

Publiczności, jak pomyślał potem z przekąsem Landers.

W barze kłębił się tłum i panował ogłuszający hałas.

Mieli dużo szczęścia, bo kiedy weszli, właśnie zwolnił się czteroosobowy stolik. Tuż za nim, wciśnięty pod ścianę, stał długi stół, który z trzech wolnych stron obsiedli marynarze różnych szarż, w tym dwaj bosmani. Jeden z nich, stary przyk, nosił biały mundur.

Kiedy już zajęli miejsca i nalali sobie do kieliszków, Strange wstał, żeby pójść do toalety. Jednocześnie do

długiego stołu za jego plecami podszedł jakiś marynarz, a w chwilę potem przyk w białym mundurze chwycił wielką ręką opuszczone przez Strange'a krzesło i zabrał je. Na lewej piersi, nad kieszenią, nosił sporo baretek z pierwszej wojny światowej, a dosłownie przez całą długość rękawa – od mankietu do emblematów jednostki – biegły złote paski oznaczające lata służby.

W mózgu Landersa natychmiast zapłonęła ognista kula. Dziewczyny zaś nawet nie

zauważyły kradzieży.

Landers, starannie maskując gniew, przystąpił do długiego stołu.

–To krzesło jest zajęte – oświadczył spokojnie.

–Nikt na nim nie siedział – odparł starszy bosman.

–Siedział. Mój kolega, który przed chwilą wyszedł do kibla.

Landers nadal zachowywał się grzecznie, ale czerwona ognista kula już w nim eksplodowała.

–Nie słyszałeś, co powiedział pan bosman? – spytał pogardliwie drugi, młodszy bosman w granatowym mundurze. – To krzesło było puste, a więc wolne.

–Tak jest. Chcesz je mieć, to je weź – dodał starszy bosman i uśmiechnął się do swojej paczki.

–Dobra. Wezmę – rzekł spokojnie Landers, ale wrzący w nim gniew groził wybuchem.

Powstrzymał go jednak. Czekał. Czekał całą minutę lub półtorej, dopóki nie zobaczył w drzwiach wejściowych Strange'a. Strange oczywiście zauważył ich natychmiast. Landers dał mu sygnał brwiami. Tymczasem marynarze, nie zmieniając dotychczasowych póz, patrzyli na niego i również czekali. Czekali, co zrobi.

–No i co? – spytał z lekceważeniem młodszy bosman. – Masz zamiar je wziąć?

Nie zdają sobie sprawy, z kim mają do czynienia, pomyślał Landers, przyglądając się przeciwnikom,

podczas gdy Strange szedł w ich stronę. Starszy bosman po lewej ręce Landersa wciąż siedział, młodszy po prawej stał. Znajdował się pomiędzy nimi. Za młodszym bosmanem stał z ręką na zabranym krześle ten, który podszedł przed chwilą. Reszta towarzystwa siedziała.

–No już. Walnij go – usłyszał Landers za swoimi plecami cichą zachętę Strange'a.

Najpierw prawą ręką trzasnął z zamachu starszego bosmana. Trafił go przy samym nosie, tuż pod okiem, i rozciął mu skórę. Nie dbając o sprawdzenie skutków uderzenia, całym ciałem zamachnął się na tego w granatowym mundurze i niczym z bicia strzelił ciosem, wyprowadzając ni to sierp, ni to hak. Trafił tamtego kilka centymetrów od czubka podbródka i usłyszał trzask zwieranych zębów. Bosman upadł.

Landers obrócił się, chcąc się zająć marynarzem, który natarł na niego, ale wyręczył go Strange. Zamachnąwszy się zdrową, lewą ręką walnął matrosa w brzuch, aż ten się na niego zatoczył, a wówczas poprawił mu gipsem na odlew w okolice szczęki.

Tymczasem powalony przez Landersa bosman odważnie, ale wolno, podniósł się i zaatakował. Landers zaczął go bić z obu rąk hakami i krótkimi prawymi w brzuch i twarz. Raz, dwa, raz, dwa. Raz, dwa, trzy, cztery – szybciej, niż mogło pochwycić oko. A po każdym celnym ciosie darł się jak wariat.

–A masz! – ryczał. – A masz! A masz, cholero!

A masz, a masz, a masz!!!

Bosman w granatowym mundurze osunął się na podłogę.

Za plecami Landersa Strange chwycił za ucho dzbanek z wodą, gotów rozwalić go na pół o kant stołu i posłużyć się nim. Prawą dłoń znów miał przygotowaną do uderzenia na odlew.

–No, chodźcie – syknął obłąkańczo. – Tylko chodźcie.

Na twarzach czterech siedzących marynarzy, obserwujących dwójkę szaleńców, pojawiło się zdumienie. Żaden nie zdradzał ochoty, żeby wstać, przezornie nie ruszali się z miejsca. Wszystko odbyło się z zabójczą szybkością i ślełą furją.

Jakiś wysoki, sympatycznie wyglądający żołnierz podniósł się niezgrabnie i z tyłu

powstrzymał ręką Landersa. Landers obrócił się ku niemu, gotów znów uderzyć.

–Nie, nie. Nie bij. Nie bij – powiedział sympatyczny żołnierz z zatroskaną miną. – Nie bij.

Radzę wam się stąd wynieść, chłopcy. I to już. W ciągu sekund zjawi się tu żandarmeria. Widziałem ich w hotelu.

Landers obrócił się z powrotem w stronę stołu marynarzy. Z satysfakcją przyjrzał się starszemu bosmanowi rozciągniętemu pod ścianą, przewróconemu krzesłu i jaskrawoczerwonej krwi, która spływała tamtemu spod oka na biały mundur.

–Macie za swoje! – wrzasnął do marynarzy. – Macie za swoje, kutafony! Macie za swoje, kurwa mać!

Strange, który również usłyszał przestrogę sympatycznego żołnierza, odstawił na stolik nie uszkodzony dzbanek z wodą. Ruszył do drzwi, zdrową ręką ciągnąc za sobą Landersa.

–Chodźcie, dziewczyny, wychodzimy – zawołał do stolika. – Spotkamy się na górze.

Landers podążał za nim.

–Nie zapomnijcie zabrać mojej laski, nie zapomnijcie o mojej lasce! – krzyknął.

Ale w drzwiach stanął im na drodze wojskowy żandarm, który, trzymając dłoń na czarnej kaburze, zatarasował im wyjście. Zajrzał do uciszonego w tej

chwili baru, ocenił wzrokiem rzeź i przeniósł oczy na nich dwóch.

–A niech was cholera – powiedział ze znużeniem.

–No dobra, gubcie się. W porządku. Tamtędy. – Pokazał im korytarz wychodzący z hotelowego hallu.

–Prowadzi na ulicę. Ruszajcie się, jasny gwint!

–Mamy w tym hotelu pokój – rzekł zasapany Strange. – Apartament.

–No to przejdźcie dookoła i wróćcie drugim wejściem – odparł żandarm. – Mój partner będzie tu lada chwila, jasny gwint! I ma mniej zrozumienia ode mnie.

Strange już ruszył, zdrową ręką ciągnąc za sobą Landersa, który bez laski utykał. Strange zaczął się śmiać, łapiąc z trudem powietrze.

–Serdeczne dzięki! – zawołał do żandarma.

–Wsadź je sobie w dupę! – odkrzyknął tamten i wszedł do baru.

–Co za skurwiele! Co za skurwiele! – mruczał Landers.

–Chodź – ponaglił go ze śmiechem Strange. – Pośpieszmy się.

–To ich czegoś nauczy. To ich czegoś nauczy!

Obejście całego kwartału domów nie było łatwe dla mocno utykającego Landersa. Bolała go kostka, bo coś sobie naciągnął albo coś mu w niej przeszkoczyło. Strange poprowadził go zaułkiem na tyłach hotelu i znowu wyszli na Union Street.

Kiedy wśliznęli się przez obrotowe drzwi do hotelu i szli przez hall, zobaczyli, jak żandarmi i kilku sanitariuszy wyprowadzają z baru grupę pobitych. Starszy bosman w zakrwawionym mundurze leżał nieprzytomny na noszach.

–Chyba nie zrobiłem mu krzywdy, jak myślisz? – szepnął z troską Landers w zatłoczonej windzie.

–Nie – odparł Strange. – Tylko go znokautowałeś.

–Wciąż jeszcze się śmiał i wciąż bez tchu. W jego oczach nagle zamigotała złość. –
A jeśli nawet zrobiłeś mu krzywdę, to co?

–To właśnie on zabrał krzesło – szepnął Landers.

–Jakby nigdy nic. Tylko dlatego, żeś ty wyszedł. Ale nie chciałbym zrobić mu krzywdy.

Na szczęście Strange dał wcześniej klucze Annie, tak więc dziewczyny czekały na nich w pokoju. I natychmiast wszyscy, śmiejąc się do rozpuku, zaczęli wspominać bójkę. Każdy widział ją inaczej i miał inną wersję do opowiedzenia.

Występujący we wszystkich opowieściach w roli niekwestionowanego bohatera Landers nic nie mówił.

Spokojnie siedział z boku i masował kostkę, doglądany przez Mary Lou, która dostarczała mu trunki. Co jakiś czas mruczał nie wiadomo do kogo: "To ich czegoś nauczy, to ich czegoś nauczy!" Prawą dłoń miał mocno otartą, ale nikomu nie pozwolił jej opatrzeć.

–Na pewno zawadziłeś nią o zęby – powiedział uszczęśliwiony Strange.

Wkrótce potem zjawilo się czterech innych żołnierzy z ich kompanii wraz z dziewczynami i znów popłynęły opowieści.

–Mówię wam, w życiu nie widziałam czegoś takiego.

To się stało tak prędko. A wiecie, co zrobił ten wysoki żołnierz, kiedy wyszliście? Ten, który ostrzegł was przed żandarmami? Podszedł do nich, kiedy podnosili tego biedaka w granatowym mundurze i próbowali ocucić tego starszego klepaniem po twarzy, i powiedział im, kim jesteście.

–Jak to, powiedział im, kim jesteśmy? – spytał Strange. – Przecież nas nie znał.

–Domyślił się tego po lasce Mariona i gipsie na twojej ręce. Powiedział tym marynarzom: "Radzę nie

włazić im w drogę. To są żołnierze ze szpitala, którzy wrócili tu ranni z oceanu. Nie prowokujcie ich. To wariaci". Powiedział im tak słowo w słowo. Kiedy któryś spytał go, skąd o tym wie, uśmiechnął się okropnie i odparł: "Bo sam do nich

należę". A potem podciągnął nogawkę i pokazał im protezę.

–To było straszne. Potworne.

–Może widział nas w szpitalu – rzekł Strange.

–Ale ja go tam nie widziałem. A ty? – spytał Landersa.

Landers potrząsnął przecząco głową.

–Nie – odparł.

–Co miałeś na myśli, kiedy krzyczałeś: "A masz!"?

–Ja krzychałem "A masz!"? – zdziwił się Landers.

"A masz?!" – Tak. Przy każdym ciosie krzyczałeś "A masz!" Za każdym razem "A masz!" "Macie za swoje, skurwysyny!

Macie, macie, macie!" – Nie wiem – odparł głucho Landers. – Nie pamiętam, żebym to mówił. Nie wiem, co sobie myślałem.

Przyjął kolejną szklanekę od Mary Lou.

Był jednak pewien, że wie, co myślał. Najprościej byłoby zwalić winę za to, co się stało, na alkohol, który wyłopali, na to, że byli pijani. Ale on miał świadomość, że to coś więcej. Coś w nim samym. Coś, co pragnie uzewnętrznienia. Coś próbowało się z niego wydostać, ale mogło to zrobić tylko po ciężkiej walce albo całej serii takich walk. Cierpienie? Miłość? Nienawiść? Drobnokrochoty szczęścia? A szczęście musiało krótko trwać, skoro miał opuścić ten kurewski szpital i powrócić na tę kurewską wojnę. To wszystko w nim wzbierało.

Ale nie dało się wyjaśnić tego nikomu tak, żeby to nie zabrzmiało opacznie. Nie było jak tego wyrazić.

Kumulowało się to w nim od owego starcia z plutonowym lotnictwem, kiedy jechał pociągiem na urlop do

domu. Tkwiło podczas kłótni z ojcem o medale i wtedy, gdy próbował porozmawiać na ten temat z Carol Firebaugh i tak srodze zawiódł. A od straszliwej gafy, popełnionej wobec Prella, przyrastało i gromadziło się w jego duszy jeszcze szybciej.

Prawdopodobnie proces ten miał swój początek nawet wcześniej. I wciąż narastał. Od chwili, gdy na tym przeklętym, diabelskim wzgórzu na Nowej Georgii on, Landers, siedział wśród płaczących żołnierzy z białymi smugami na brudnych twarzach, patrzących na walczących w dolinie, którzy z takim srogim, niszczącym, zawziętym zapalem wymierzali ciosy, bili się, strzelali do siebie i zabijali nawzajem.

Cierpienie. Miłość. Nienawiść. I szczęście. Cierpienie było przeznaczone dla niego samego. Dla każdego takiego patałacha jak on, który wiedział, co to strach, przerażenie i rany zadane przez innych ludzi. Miłość? Nie miał pojęcia, dla kogo była przeznaczona. Pewnie dla wszystkich. Dla wszystkich żalosnych przedstawicieli tej zepsutej, pokracznej rasy, cennych istot, którzy zrywami podejmują próby wydobycia się z błota i innych paskudztw, ale nie udaje im się ani to, ani osuszanie swojego ułomnego, utyłanego dziedzictwa. Nienawiść zaś, nieprzejednana i nieustępliwa, przeznaczona była i dla niego, i dla wszystkich, którzy w imię jakichkolwiek racji okaleczali, ranili lub zabijali swoich bliźnich. Szczęście?

Szczęście było najniepozorniejsze, najlepsze i najważniejsze ze wszystkiego, bo zawierało najwięcej ironii.

Jego źródło stanowiły te nieliczne chwile w trakcie walki, gdy znikaly wszelkie hamulce, znikalo brzemię odpowiedzialności, a on i każdy inny żołnierz mógł bez obawy o konsekwencje i nie bacząc na zobowiązania zabijać... lub samemu zostać zabitym. Krótko mówiąc, robić to, czego nie powinien robić ani nawet

pragnąć, tak jak nie powinien pragnąć, by robili to inni, odpowiedzialni ludzie.

Ale groch z kapustą. Wszystko wrzucone do jednego garnka i mieszane tak długo, że składniki są już nie do odróżnienia, a para z gotującej się potrawy kłębi się i wrze, aż wreszcie jej napór zmusza ludzi – także tych najbardziej opanowanych – do jej upuszczenia.

Landers podejrzewał, że nawet Strange'a popycha taka siła, a wnioskował to na podstawie owego szczególnego, nabrzmiałego agresją śmieszku, który usłyszał za plecami, gdy wtedy w barze Strange ponaglił go cichym, ale dźwięcznym głosem: "No już.

Walnij go!" Powoli dojrzewało w nim przekonanie, że skoro tylu żołnierzy doświadczyło tak wiele złego, to ktoś musiał za to zapłacić, zapłacić, zapłacić, również on sam i oni...

A w jaki sposób mogli za to zapłacić lepiej, jeśli nie w walce, w której nabawiali się guzów i urazów, rozbijając przy okazji wszystko dookoła.

Nie miało to żadnego sensu. Najmniejszego. Dlatego nie mógł o tym powiedzieć nikomu. Nie mógł się zwierzyć nawet Strange'owi. Był bardzo bliski pogodzenia się z tym, że nigdy nikomu nic nie powie.

Czy znaczyło to, że ich dwóch czekały dalsze podobne incydenty? W głębi duszy, Landers wiedział, że to jeszcze nie koniec, że jeszcze nie ma dość. Wątpił również, czy ma tego dość Johnny Stranger. Źle to im wróżyło na przyszłość.

Bardzo długo czekał, aż w apartamencie zrobi się cicho, a wówczas wziął Mary Lou, pokuśtykał z nią do łóżka, zamknął drzwi na klucz i rznął ją do chwili, kiedy wywiesiła język i też miała dość. Był święcie przekonany, że Johnny Stranger robi to samo po drugiej stronie apartamentu, za drugimi, zamkniętymi na klucz drzwiami.

Wielki mędrzec, który tak dowcipnie powiedział, że po walce mężczyźnie miłość nie w głowie, nie miał zielonego pojęcia, co mówi.

Kiedy wracali o piątej rano taksówką, pijany jak pozostali czterej koledzy z jego kompanii, Landers poczuł, że Strange opiera się na jego ramieniu i przykładła mu usta do ucha.

–Ona też tego chciała – powiedział i zadławił się pijacką czkawką. – Ale ja tego nie zrobiłem – dodał szeptem, tak że inni pijani tego nie słyszeli. – Nie zrobiłem tego. Byłem bliski. Ale jakoś nie mogłem się na to zdobyć.

Rozdział dwudziesty Johnny Stranger postanowił, że następnego dnia znów pojedzie do miasta. Zdecydował o tym przed opuszczeniem hotelu.

Musiał załatwić tę sprawę z Frances Highsmith.

Kiedy w taksówce zwierzył się pijackim szeptem ze swojego kłopotu Landersowi, krzykliwie obwieścił też swój zamiar kolegom z kompanii.

–Zapraszam wszystkich. Mile widziany będzie każdy, kto znajdzie wolny czas i chęć. Dowolnego dnia.

Jeżeli zdarzy się, że mnie tam nie będzie, to któryś z was dostanie klucz do pokoju. Jest wynajęty na dwa tygodnie, więc trzeba z niego korzystać. A potem zobaczymy. Nie widzę jednak powodu, by nie wynająć go na dłużej. Do czasu, aż odejdzie stąd ostatni z nas.

Trynor ma przepustkę od rana. Pojedzie więc pierwszy i otworzy.

Pochodzący ze Springfield w stanie Illinois, niski, kłocowaty, muskularny starszy szeregowy z ich starej kompanii, Trynor, jechał z przodu.

Oświadczenie Strange'a było za długie, by mógł je wygłosić jednym ciągiem, robił to więc po trochu, łapiąc dech i mówiąc dalej, ilekroć dobiegające z różnych stron taksówki gwizdy, pohukiwania i okrzyki przerywały mu

przemowę. Kiedy skończył, jadący podnieśli straszny rwetes.

Wracali jedną taksówką w szóstkę. Czterech siedziało z tyłu, a dwóch z przodu przy kierowcy. Ponieważ nie miał "małpek", kupili od niego na lewo trzy duże flaszki i zaczęli raczyć się gorzałą. Przez otwarte okna samochodu wymachiwali zakazanymi butelkami, pozostawiając za sobą ulotne jak pamięć gwizdy i krzyki. Krzykami pragnęli obudzić śpiących obywateli, za których spokój i spoczynek tak zacięcie walczyli i za których przelali tyle krwi.

Wciśnięty w tylne siedzenie obok Landersa Strange patrząc na nich poczuł dławienie w gardle, więc powoli przełknął ślinę.

Powinna to zobaczyć Frances Highsmith. Zobaczyć i zrozumieć.

Nie wykluczał, że jego chirurg, pułkownik Curran, nie pozwoli mu jutro pojechać do miasta. Nie szukał z nim kontaktu od powrotu z Cincinnati, a Curran nie uczestniczył ostatnio w porannych obchodach. Tak więc Strange się z nim nie widział. Gdyby jednak Curran osobiście i stanowczo zakazał mu opuszczania szpitala, Strange nie pojechałby do miasta, żeby wytropić, znaleźć, spotkać się i załatwić wreszcie tę cholerną sprawę z tą cholerną Frances Highsmith.

Apartament w hotelu zdobył dwa dni temu. Wcześniej czekał cztery dni, aż się zwolni. Jeden dzień stracił na założenie rachunku w banku, zorganizowanie wszystkiego, rozpoczęcie trwonienia pieniędzy i wypisywanie czeków – w sumie od jego spotkania i rozmowy z Lindą w Cincinnati upłynął tydzień. Powinien więc już otrząsnąć się trochę z szoku, jaki tam przeżył. Niestety, jakoś tego u siebie nie dostrzegał. Najlepiej czuł się w otoczeniu mnóstwa ludzi, i to zwłaszcza wtedy, gdy ci ludzie pili i bawili się na hucznym, mocno zakrapianym przyjęciu,

a on sam, co już stało się regułą, był też pijany i miał przy sobie kobietę, albo nawet kilka do wyboru, i mógł z nią zalewać robaka.

Ale i tak musiał załatwić do końca tamtą sprawę, tę z Frances Highsmith.

Dopiero kiedy pozostawał sam i trzeźwiały, nachodziły go ponure myśli. Wtedy... Wtedy zaczynało się dla niego piekło na ziemi! Rozmyślenia o Lindzie Sue. I o jej podpułkowniku lotnictwa, który robił jej minetę i te rzeczy, a do tego pochodził z Southampton czy czegoś tam, psiakrew, na Long Island, w stanie Nowy Jork.

Ponieważ wszystko to spotkało Strange'a, kiedy przebywał tutaj, zniechęcił się do luksusowego szpitala.

Na oddział dotarł przed szóstą rano. W zaciemnionej sali słychać było ciche oddechy głęboko uspiętych ludzi.

Zaspany pielęgniarz z nocnej zmiany pochylił się nad książką przepustek w świetle osłoniętej lampy i pokręcił głową.

–Chryste Panie, nie pojmuję, jak wy to wytrzymujecie.

Strange mógł wprawdzie zaspokoić jego ciekawość, ale tego nie zrobił. Na porannym obchodzie był trochę wstawiony i czuł, że ma opuchniętą twarz. Ledwie jednak zobaczył, że nie ma Currana, a tylko major Hogan, gotów był wskoczyć w czysty mundur, wziąć całodzienną przepustkę i wynieść się stąd czym prędzej.

–Po ostatniej waszej bytności w Cincinnati wracacie z przepustek coraz później i później, Strange – rzekł zirytowany Hogan.

Obaj dobrze wiedzieli, że Hogan nic mu nie może zrobić. A zresztą Strange miał na głowie sprawę z Frances Highsmith, która dręczyła go i prześladowała.

Taksówką do miasta pojechał sam. Nie był z tego zadowolony, ale na postoju taksówek nie zastał nikogo.

Nie zamierzał jednak czekać na zjawienie się jakiegoś znajomka.

Rozsiadł się na siedzeniu i próbował cieszyć się rozkoszną październikową pogodą, ale nie był w stanie.

Wszystko kąpało się w przyjemnym gorącym słońcu: parkowe zagajniki, trawniki, drzewa. Drzewa tonęły w ostatnich odcieniach brązu, żółci i czerwieni. Trawa na parkowych zieleńcach i prywatnych gazonach zachowała soczystą zieleń. Jak długo jeszcze mogła pozostać taka zielona? Na wielkiej połaci rozświetlonego nieba nad Missisipi nie było jednej chmurki.

Wszystko to nie zdało się na nic. Mogło cieszyć myśli, lecz nie ducha. Od kierowcy Strange kupił nielegalnie ćwiartkę i zaczął dudlić czystą whisky, pijąc ją to małutkimi, to wielkimi, gorącymi, rozgrzewającymi trzewia łykami. Wraz z falami alkoholowych oparów uchodzących nozdrzami przyszła myśl, że spodobała mu się wczorajsza bójka. I że dzisiaj chętnie stoczyłby następną.

Nie powinien był chwytać za ten dzbanek z wodą.

I w ogóle nie powinien już więcej robić takich rzeczy.

Cieszył się, że marynarze nie zmusili go do użycia dzbanka. Nie chciał przypadkiem zabić kogoś czy okaleczyć. Chciał jedynie stoczyć zwykłą, porządną bójkę.

Bardzo głęboko przemyślał sobie sprawę z Frances Highsmith i to, dlaczego właśnie jej pierwszej musi zrobić minetę. Ale nawet po bardzo pobieżnym przeanalizowaniu faktów, wszystko wskazywało na Frances.

Nie licząc Lindy Sue to ją pierwszą przerznął po powrocie do Stanów. Ona pierwsza też zaproponowała mu, żeby ją wylizał. Jednak najważniejsza dla niego była jej przestroga, że jeżeli lepiej nie dogodzi żonie, to ją straci. Właśnie dlatego Frances zasłużyła ze wszech miar na pierwszeństwo. Uświadomił to sobie wczoraj wieczorem, kiedy także Annie Waterfield poprosiła go o to samo.

A właściwie nie poprosiła. Po prostu była przekonana,

że on to zrobi. Gdy leżał rozciągnięty na łóżku, a ona zaczęła się szykować do gryzienia fistaszka i wyprostowała nad nim swoją długą, bardzo długą, piękną nogę, a kolano i długie, szczupłe, piękne udo ułożyła na łóżku przy jego drugim boku.

Strange leżał i patrzył w górę, mając tuż nad swoją twarzą jej całkiem nagie przyrodzenie. W tej pozycji była zupełnie obnażona. Po wewnętrznej stronie obu ud, tam gdzie stykały się one z tułowiem, widział rozkoszne, śliczne zagłębienia, które tonęły w gęstym, mrocznym cieniu jej włosów łonowych. Przez środek tych zarośli biegła różowa szpara. Dwie wewnętrzne, wiszące i rozwarte wargi łączyły się ze sobą, tworząc skręcony, różowy język lechtaczki. Po chwili Strange sięgnął do niej i zaczął nią poruszać.

Annie zwolniła tempo ssania i cofnąwszy nieco usta, ale nie odrywając ich od członka, nieznacznie odwróciła głowę.

–Nie ssiesz cipki? – spytała. – Nie szkodzi. W takim razie rób, co robisz. Aahhh! Tak jest. Ale włóż mi tam dwa palce.

Powróciła do ssania.

Nie ma co, kusiło go. Łagodnie mówiąc. Dlaczego nagle tak gwałtownie go to wzięło? Może ze względu na jej rozkoszne obnażenie w tej pozycji.

Lecz wówczas, jak gdyby jakiś mechanizm blokujący nagle uwolnił żelazną kurtynę, Strange zrozumiał, że to Frances zasłużyła sobie u niego na pierwszeństwo. Że jest jej to winien. Gotów był powiedzieć to przy wszystkich. W jego postawie było coś ze sztubackiego, chłopięcego pojmowania moralności. Zobowiązania liczyły się przede wszystkim, dlatego nie mógł zrobić tego z Annie.

Manipulował więc dalej ręką, robiąc to, o co prosiła.

Spuściła się, wyrzucając przy tym z siebie potok niezrozumiałych słów i reagując tak żywiłowo, że go to/

niemal zaszokowało i przytłoczyło. Po raz pierwszy w życiu miał pewność, że doprowadził kobietę do orgazmu. Nie były to żadne "ochy" i "achy" jak wtedy, gdy kobiety udawały. Uświadomił sobie, że doprowadzenie kobiety do orgazmu należy do najprzyjemniejszych doznań w życiu.

Nie zmieniło to ani trochę jego stosunku do Frances.

Ani jego uczuć do Lindy Sue.

Strange zastanawiał się też bardzo głęboko nad swoją żoną. Znacznie głębiej i dłużej niż nad Frances, i przeważnie bardzo z tego powodu cierpiał. Najgłębiej przemyślał sobie kwestię zazdrości. Był bardzo zazdrosny. Ale tylko o Linde Sue.

Jeśli chodzi o luksusowe dziewczyny, szybko odkrył, że bez względu na to, ile razy różną jakąś albo jak bardzo mu się podobała, nie obchodziło go ani trochę, z kim się ona poza tym pieprzy albo może pieprzyć, gdy z nią nie jest.

W przypadku Lindy było inaczej.

Tak. W przypadku Lindy jego wyobraźnia pracowała nadliczbowe i w dwójnasób. Zawsze zajęta, oczywiście, swoim podpułkownikiem lotnictwa. "Geniuszem aeronautyki", jak go nieraz nazywała Linda. Musiała usłyszeć ten epitet z jego ust. Albo może z ust któregoś z jego kumpli. Jeśli naturalnie dopuścił, żeby ich poznała.

Wyobraźnia podsuwała świadomości Strange'a, kiedy najmniej się tego spodziewał, malutkie wizerunki roznamiętnionej Lindy. Lindy odrzucającej głowę w ekstazie. Lindy przeżywającej orgazm. Lindy wygiętej w łuk i bawiącej się własnymi sutkami. Lindy oczekującej na to z rozłożonymi nogami i otrzymującej, czego pragnie, a czego oczywiście, z nim nie robiła, choć zawsze o tym marzył. Nawet w tej chwili.

Ale ona robiła to ze swoim "aeronautycznym geniuszem". W wizjach Strange'a podpułkownik nigdy nie

miał twarzy. Był za to wielki. Z szerokimi barami. Nie owłosiony (Strange był owłosiony). Tors miał długi.

Tyłek wąski. Innymi słowy – był piękny. A poza tym miał wielką fujarę. O wiele grubszą i dłuższą niż fujara Strange'a. I do tego długi, ruchliwy, delikatny i głęboko wnikający język, którego używał wyśmienicie i z wybornym skutkiem – dla Lindy. Namiętność uwalniała ją z odosobnienia, w którym tkwiła, wyzwalała z zamknięcia się

w sobie i doprowadzała do utraty zmysłów.

Doprowadzając do utraty zmysłów również jego, Strange'a, kiedy o tym myślał.

Gdy był pijany i przebywał z kobietą na jednym z wielkich przyjęć, w otoczeniu kupy śmiejących się ludzi, dało się jeszcze wytrzymać. Najgorzej było, gdy zostawał sam albo siedział w szpitalu.

W związku z Lindą Sue przemyślał też głęboko jeszcze jedną kwestię – swojej samotności. Nigdy przedtem nie zastanawiał się nad tym, bo też nigdy nie czuł się samotny. To znaczy, aż do tej pory.

Nie był samotny nawet przed ślubem z Lindą, kiedy mieszkała jeszcze w domu w Teksasie i widywali się może raz na rok. Nie był też samotny, kiedy po ich ślubie wybuchła wojna, Linde wywieziono, a on pozostał na Wahoo. Właściwie nie był samotny również na Guadalcanale i Nowej Georgii. W drodze powrotnej do Stanów, kiedy na tapecie stanął problem restauracji i jego zwolnienia z wojska, częstokroć żałował, że w ogóle jest żonaty. Z pewnością nie tęsknił do niej.

W tej chwili jednak samotność bardzo mu dokuczała i nieznośnie dawała się we znaki. Najbardziej był samotny na przyjęciach, gdy pijany przebywał z kobietami. Lecz cierpiał mniej niż wówczas, gdy nie było przy nim nikogo lub siedział w szpitalu.

Z początku źródła swojej zazdrości i samotności upatrywał w miłości. Utraconej miłości. I we własnym

zakochaniu. Ale po głębszym namyśle doszedł do wniosku, że bez Lindy nie czuł się samotny, dopóki wiedział, że ona jest tam, że na niego czeka. Aż do chwili gdy odkrył, że ją stracił, był o nią zazdrosny nie bardziej niż o te dziewczyny z Luxoru.

Owe mroczne przebłyski prawdy uświadomiły mu, że powodem jego zazdrości i samotności jest nie tyle utracona miłość, co naruszenie prawa własności.

Strange był jednak na tyle mądry, by wiedzieć, że nikt nie może rościć sobie prawa własności do nikogo. Że to jest złe i całkiem niemoralne. Że to niewolnictwo.

Zastanawiał się z kolei, co stąd dla niego wynika. i doszedł do wniosku, że o wiele korzystniej dla niego jest myśleć o Frances Highsmith i o tym, co jest jej dłużny. Wynikało stąd właśnie to. Wysiadł i zapłacił za nieznośną jazdę taksówką. W zachodzącym słońcu ruszył do drzwi hotelu Peabody. Uprzejmy stary odźwierny, Murzyn w hotelowej liberii, który wyglądał tak, jakby od tysiąca lat ćwiczył cierpliwość, pchnięciem otworzył przed nim skrzydło drzwi. Strange rozejrzał się po rojnym, zatłoczonym mundurami hallu. Tylko gdzie, u licha, była Frances? I gdzie w Luxorze można ją było teraz znaleźć?

Okazało się, że wcale nie trzeba było jej szukać.

Czekała w apartamencie, kiedy tam wszedł. Pijana i wściekła.

–Co znaczą te numery, cholerny świat?! – zaczęła.

–Kręcisz ze mną, a potem zostawiasz mnie dla Annie Waterfield. Kręcisz ze mną, a kiedy jest już za późno, żebym poderwała sobie jakiegoś odpowiedniego gościa, ty mnie odstawiasz! Jak nie przymierzając krzesło!

Myślisz, że pójdę podrywać na ulicę? Albo do baru na dole? Masz mnie za kurwę?!

Strange, który ledwie zdążył zamknąć drzwi, wpatrzył się w jej ściągniętą, małą, rozwścieczoną twarz.

Apartament lotników piętro niżej był z pewnością zeszłej nocy zamknięty. Frances spędziła więc całą noc na ponurych rozmyśleniach, opróżniając większość wypitej w trzech piątych flaszki bourbona. W pokoju Strange zastał oprócz niej Landersa i Trynora. Trynora, zupełnie bezradnego, dopadła Frances, gdy był sam, i zaczęła wygłaszać tyradę. Na jego szczęście wkrótce potem zjawił się Landers.

–No to wiedz, że nie jestem kurwą, kurwa mać! – ciągnęła Frances. – Jestem porządną dziewczyną, kurwa mać! Zarabiam na życie i za siebie płacę, kurwa mać!

Strange nagle uświadomił sobie, że jeszcze jednym znakiem nowych czasów i wojny jest przyswojenie sobie i używanie przez dziewczyny koszarowego języka.

–Myślisz, że w co my tu, kurwa mać, gramy?! – spytała. – Uważasz nas za zwykłe łatwe dupy?! Takie, które skrzykuje się na imprezę, a kiedy "mięknie pała, żegnaj, mała"?! Przez ciebie najadłam się wstydu. Przy wszystkich pokazałeś, że wolisz ode mnie Annie Waterfield. Annie Waterfield, która myśli, że z niej taka świetna dupa i że jest najlepsza, bo jest taka kurewsko piękna z tymi cyckami i długą blond fryzurą na pazia.

Ale z ciebie głupi skurwysyn, Strange!

–Próbowałem ją uspokoić – szepnął Landers.

Zupełnie zagubiony Trynor tylko siedział, strzelał stawami palców i coraz wyżej unosił brwi.

–Zabierz jej tę gorzałę – powiedział Strange do Landersa.

Głos Frances podskoczył jeszcze o pięć decybeli.

–Będę robiła tutaj to, co mi się podoba! – krzyknęła. – I żaden z was, pierdolonych kutasów, mi w tym nie przeszkodzi. Dajcie się napić.

W końcu udało się im wprowadzić ją do sypialni, gdzie usiadła na poduszkach w wezglowiu łóżka i skrzy354 zowała ładne nogi tak, jakby zamierzała bronić się do końca.

Strange i Landers usiedli przy niej z obu stron łóżka.

Trynora przysiadł w nogach, wciąż strzelając palcami i marszcząc przypominające tarę czoło.

Wszyscy trzej myśleli o tym samym, a mianowicie, że jeżeli te wrzaski potrwają

dłużej i jeszcze się wzmogą, to prawdopodobnie zjawi się tu hotelowy detektyw z dwoma żandarmami.

–To początek hysterii – szepnął Landers.

–Histerii?! Ja nie histeryzuję! Po prostu znam swoje prawa! – darła się Frances.

Na próżno Strange i Landers rzucili się ku niej z rękami, chcąc ją uciszyć, bo to jej nie powstrzymało.

–O żeż ty! Ty sukinsynu! – krzyknęła do Strange'a.

–Wiem, co chciałbyś zrobić! Tak? Chciałbyś mnie uderzyć! Tak? No to uderz. Czemu nie uderzysz? Uderz!

–Na miłość boską, Frances, zamknij się – powiedział Strange.

–Zrób to, proszę cię – szepnął Landers.

Ale Frances najwyraźniej ich nie słyszała. Strange wpatrzył się w nią. No i masz, po raz pierwszy w życiu gotów był zrobić kobiecie minetę, był zdecydowany, był przyszykowany, a ta urządziła idiotyczną scenę. Zdał sobie sprawę, że nic z tego nie wyjdzie.

–Wiem, że chciałbyś mnie uderzyć. Znam takich jak ty. No więc, uderz mnie! Co cię powstrzymuje?

Dłużej tego nie wytrzymam! – wykrzyknęła Frances. – Śmiało! Chcesz mnie walnąć w nos? Złam mi go.

Proszę bardzo! Dlaczego mi go nie złamiesz? – Nabrała powietrza. – Powiem ci dlaczego. Bo brak ci odwagi.

Dlatego! Bo jesteś tchórzem! Śmierdzącym tchórzem!

Taak!!!

Zamknęła oczy, wykrzywiła się, a potem znenacka wysunęła głowę w przód i wywaliła na całą długość język.

–Taaak! Taaak! Uderz mnie! No już. Proszę bardzo.

Bardzo proszę! Taaak!

A właściwie dlaczego nie? Pytanie to pojawiło się samorzutnie w mózgu Strange'a. Zanim mógł je przemyśleć, jego lewa, zdrowa ręka wystrzeliła samowolnie i zadała krótki, prosty, podobny do ruchu młotka cios.

Ponieważ siedział na łóżku wykręcony bokiem, nie włożył w niego siły. Ale i tak rozległ się głośny trzask, a Frances wydała z siebie ostry skrzek, po czym trzymając się za twarz, zwała się na łóżko.

Strange przeraził się. Uderzył kobietę! Zareagował tak gwałtownie, jak wczoraj wieczorem, kiedy chwycił dzbanek z wodą. Co się z nim działo?

Ale pod tą raptowną reakcją i konsternacją z jej powodu pulsowało małe gorące źródło uciechy.

Przeklęte baby! Żadna nigdy nie postępowała rozumnie.

Wyrównał z nimi rachunki! Niemniej było mu przykro.

–Chryste Panie – szepnął Landers.

Wsunął dłoń pod czoło Frances i spróbował unieść jej głowę. Strange chwycił ją za rękę i odciągnął je w dół.

Z nosa dziewczyny po jej rękach, a w tej chwili już po brodzie płynął strumyk jaskrawoczerwonej krwi i skapywał jej na kolana.

–To ją przynajmniej uciszyło – rzekł nie wiadomo do kogo Strange, uśmiechając się głupio.

Trynor wyszedł z łazienki z ręcznikami.

–Nie powinieneś był tego robić – powiedział łagodnym, ale zszokowanym głosem.

–Ty zakuty łbie, jolopie, cymbale – odezwała Frances stłumionym, lecz czułym tonem. – Co za kretyn!

–Odchyl głowę – rzekł Landers. – Mocno do tyłu.

Przynieś trochę lodu z kubelka – polecił Trynor owi.

–Proszę bardzo, donieś na mnie – powiedział z uśmiechem Strange. – Wystarczy, że zejdziesz na dół.

Znajdziesz tam gdzieś żandarma. Ja tu poczekam.

–Och, zamknij się, ośle! – odparła Frances Highsmith.

–Mamy wezwać lekarza? – spytał Landers.

–Nie chcę nic – odparła. – Powstrzymajcie tylko ten krwotok i zabierzcie mnie stąd. Mam swojego lekarza.

Znacznie bardziej chyba martwiła ją zakrwawiona spódnica niż własny nos. Wyglądała w niej tak, jakby właśnie zaczęła miesiączkować. Zdjęła ją, a Landers wypłukał spódnicę w zimnej wodzie i powiesił, żeby wyschła. Tymczasem krew przestała już lecieć, za to nos Frances coraz mocniej puchł.

–Zabierzcie mnie stąd – powtórzyła.

Dali jej do zakrycia nosa hotelową serwetkę, a potem Landers zwiózł ją windą na dół i na ulicy wsadził do taksówki. zaproponował, że ją odwiezie, ale nie chciała.

Kiedy wrócił na górę, padł na głęboki fotel z okrzykiem "UffiT!" Dla niego i dla Strange'a był to początek końca dzisiejszej imprezy. Trynor pozostał z kluczem w apartamencie na wypadek, gdyby zjawili się inni z ich kompanii. Ale Strange i Landers mieli dosyć balowania i obaj zamierzali wrócić już do szpitala.

Zanim jednak odjechali, pozostali tam na tyle długo, żeby poprawić sobie humor i się zalać. W taksówce również pili. Na głównym szpitalnym deptaku rozstali się i poszli na swoje oddziały, żeby spać całą noc. Była właśnie pora kolacji.

–Co cię napadło? – spytał Strange'a w taksówce Landers. – Mogłeś nam wszystkim narobić dużych nieprzyjemności.

–Wiem – odparł Strange. – Ale nie wiem... Nie wiem, co mi się stało.

Na oddziale przespał niespokojnie całą noc, ale nie dręczyły go złe sny. Rano, mimo że pułkownik Curran

nie zjawił się na obchód, Strange poszedł do jego gabinetu i zgłosił mu, że jest gotów na drugą operację.

Obliczał, że w ciągu jakichś czterech dni wydał ze swoich siedmiu tysięcy dolarów ponad dwa.

Jeśli, oczywiście, wliczyło się w to owe tysiąc czterysta za wynajęcie na dwa tygodnie hotelowego apartamentu.

Rozdział dwudziesty pierwszy Curran nie tracił czasu. Kiedy Strange oznajmił mu swoją decyzję, chirurg uśmiechnął się nieznacznie, jak to on, i odparł, że przyjmie go jutro.

Oświadczył, że miał zamiar się nim zająć. Wcale nie czekał na decyzję Strange'a. Po prostu był bardzo zajęty. Z tego samego powodu nie uczestniczył w porannych obchodach. W październiku Niemcy powstrzymali pod Volturno Piątą Armię. Miała ona tam, jak to ujął, sporo roboty, a począwszy od pierwszego listopada, stojąc niedaleko stamtąd, też nie próżnowała.

W tej chwili napływali stamtąd pacjenci z ciężkimi ranami do operowania. Curran nie miał więc czasu dla Strange'a.

Strange bardzo się przejął wzmianką o Piątej Armii we Włoszech. Na jego oddział przywieziono stamtąd dwóch żołnierzy z ranami przedramienia i ręki. Ponurych, skwaszonych, milczących, którzy nie znali nikogo ani siebie nawzajem. Strange wiedział oczywiście o inwazji na Salerno, ale, co dziwne, niewiele go to obeszło.

Podobnie jak nie zadał sobie trudu, żeby przeczytać o zdobyciu Neapolu, choć o tym słyszał. Raptem zdał sobie sprawę, że od tygodni nie zagląda do gazet.

Czy tak właśnie sprawy wyglądały? Z żołnierzami ze

starej kompanii na Guadalcanale? Z tymi, których zastali tu po przyjeździe on, Winch, Landers i Prell?

Wyszędłszy z gabinetu Currana, od razu wpadł w znajomy szpitalny kierat. Nie dostał południowej przepustki. Wieczorem, czekała go specjalna lekkostrawna kolacja, a po capstrzyku, o dziewiątej, zażycie słabych środków nasennych. Rano zaś pobudka o szóstej, kaczka i zastrzyk uspokajający, a potem odwiezienie na blok operacyjny.

Mam w dupie Piątą Armię! – myślał. Czy tak samo myśleli inni?

Kiedy na chirurgii przygotowywali go, jeszcze bez masek na twarzach, do operacji ręki, z głupkowatym uśmiechem spytał w oszołomieniu Currana, czy mogliby mu dać, jeśli łaska, jakiś inny środek znieczulający.

Curran pokręcił głową. Nie mieli nic lepszego od pentotalu.

–Dlaczego inny? – spytał.

–Bo po tym mam złe sny – odparł półprzytomnie Strange.

Curran uśmiechnął się szeroko.

–Trochę złych snów nikomu nie zaszkodzi – powiedział.

Odszedł po maskę, a kiedy zawiązał ją na głowie, od razu stał się dla Strange'a kimś obcym. Obrócił się w stronę asystenta po sterylne gumowe rękawice i błyskawicznie wsunął je na dłonie.

Strange dobrze znał sen – widzenie? halucynację? – który go nawiedził. Miał wrażenie, że zaczął się dokładnie tam, gdzie poprzedni skończył. Pomiędzy jednym a drugim upłynął tylko jakiś czas. Ale on wiedział o wszystkim, co zaszło we śnie, gdy go nie śnił.

Rozbłyskiwały światła i z daleka dochodziły te same okrzyki. Okrzyki tłumu. Wszystko zaś rozegrało się dokładnie w tej samej kolejności co za pierwszym razem.

Najpierw anestezjolog zaczął przemawiać do niego cicho, łagodnie i zachęcająco, niczym trener do boksera przed wyjściem na ring. Potem wolno wprowadził mu do żyły środek usypiający i Strange począł odliczać od dziesięciu w dół, aż na

podniebieniu eksplodowały mu wstrętne opary i natychmiast znalazł się w wielkiej sali. Wiedział, że się budzi. Bardzo chciał się obudzić. Ale przed opuszczeniem otchłani i powrotem do własnej skóry był wydany na pastwę swej wizji, jej od początku do końca samoistnemu tokowi.

Była to inna sala niż poprzednio. Przypominała prywatną komnatę do przyjęć, gdzie postronni nie mieli wstępu. Ale z zewnątrz dobiegały ich krzyki.

Strange'owi wszystko to bardzo przypominało Rzym.

Szaty, kolumny, okienne otwory bez okien, draperie, posągi. Rzym lub Grecję.

Sędzia nie zasiadał jednak tak jak tam na wielkim cokole. Siedział pod ścianą na długim podium przy długim drewnianym stole, na którym spoczywało wiele urzędowo wyglądających przedmiotów i dokumentów.

Był znów spowity w białą szatę, która osłaniała mu głowę i skrywała twarz, tak że widać było jedynie jego wielkie, silne, białe ręce.

Ale Strange wiedział, że nie jest to ten sam sędzia co poprzednio. Wiedział, że złożono apelację. I że sędzia ten, siedzący w ustronnej sali urzędu, dysponuje o wiele większą władzą od tamtego.

Przyglądał się jego spowitej szatą ręce i dużej wzniesionej białej dłoni, wskazującej w tym samym kierunku.

A wówczas wspaniałym potężnym głosem, niskim basem, miło i łagodnie stonowanym, żeby nie przebić bębenków w uszach słuchaczy i nie porwać na strzępy ciężkich draperii, nie mająca oblicza postać powiedziała:

–Nie, mój synu. Nie możesz zostać.

Strapiony Strange odwrócił się, żeby wyjść z wielkiej

komnaty. Na wieść o werdykcie okrzyki czekającego na zewnątrz tłumu przybrały na sile.

A potem znowu znalazł się w rękach anestezjologa i jego asystenta, a kiedy otworzył oczy, ich okrzyki ścichły.

Curran ściągał właśnie maskę i rękawice. Przez gazę prześwitywał jego uśmiech. W sali operacyjnej panowała wielka radość. Uśmiechał się anestezjolog. Uśmiechali się wszyscy asystenci.

Curran wpadł w wylewny nastrój i nie krył się z tym.

–Uważam, że spisaliśmy się doskonale – rzekł, pochylając się nad Strange'em.

–Pewnie, że tak – dodał uśmiechnięty anestezjolog.

Patrzącemu na Currana Strange'owi udało się wolno mrugnąć okiem. Zamknął oczy. Tak jak poprzednio, był tak zanurzony w swoim śnie, że prawdziwi ludzie nie wydawali mu się rzeczywisci. Co właściwie, do diabła, ów sen znaczył? Gdzie nie wolno mu było zostać?

Dokąd miał powrócić? Nie do wiary, że ta wizja znalazła swój dalszy ciąg, niczym film. Skąd się to wszystko brało? Czyżby czekało na niego za każdym razem, ilekroć dostawał pentotal? A gdyby nie poddał się drugiej operacji? Czy wizja już by tam pozostała?

Wówczas, ma się rozumieć, nie poznałby końca tej historii. Co by się z nią stało? Przypomniał sobie- twarze ludzi, których zobaczył w drugiej sali, a których widział też w pierwszej. Były takie realne. Realniejsze nawet od samej operacji.

Czuł, że przenoszą go na wózek. Jego dłoń przypominała duży pakunek zawinięty w bandaż. Leżał spokojnie, nie otwierając oczu i dał się wieść. Kiedy przełożono go wreszcie z wózka na jego łóżko w oddziałowej separacie, był gotów mocno zasnąć. Obudził się tylko na chwilę.

Operacja udała się chyba nad podziw. A przynajmniej

tak sądził zespół operujących. On jednak wolał zaczekać i zobaczyć. Wstrzymać się z oceną. Właściwie nigdy nie było nic wiadomo, aż dopiero po fakcie. Z tą ostatnią myślą zasnął.

Pierwszy raz obudził się wieczorem, w porze kolacji.

Zaczął go naprawdę boleć. Dostał środek uśmierzający ból i nic nie jedząc, znowu zasnął. Drugi raz obudził się w środku nocy, około trzeciej. Chciało mu się jeść.

Zgłodniał. Pomimo bólu. Dyżurujący pielęgniarz był na to przygotowany. Nakarmił go i dał środek przeciwbólowy. Jednakże już w połowie następnego ranka chcieli wyciągnąć go z łóżka i zmusić do wstania.

W rezultacie przeleżał w szpitalu tydzień, nie dostając przepustek. Po czterech dniach silny ból minął. Ale już drugiego dopuszczono do Strange'a gości.

Pierwszym z nich był Landers. Strange najpierw spytał o Frances, a następnie o Wincha. W dalszym ciągu naszpikowany środkami i kołowaty, zastanawiał się mętnie, czy spytanie o Wincha po pytaniu o Frances oznacza, że przestają go interesować znajomi z dawnej kompanii, podobnie jak w przypadku bitew i wojny.

Gdyby tak się sprawy miały, byłoby to straszne.

Landers przyniósł nowe wieści o Winchu. Rankiem, w dniu operacji Strange'a, Winch otrzymał rozkaz wyjazdu do Obozu O'Bruyerre'a. Dziwnym, osobliwym zbiegiem okoliczności, jak to ujął Landers. Wyjechał tego samego dnia po południu, więc nie mógł pożegnać się ze Strange'em, który był nadal nieprzytomny i spał.

Do tej kwestii nie miał zastrzeżeń. Było to nie do uniknięcia. Uważał jednak, że Winch zachowuje się dziwnie. Starszy sierżant sztabowy, obecnie już chorąży, spakował swoje skromne manatki, po czym zjawił się, żeby, jak oczekiwali, pożegnać się z nimi. Zamiast jednak powiedzieć do widzenia każdemu z osobna, kazał Landersowi i Corellowi zebrać wszystkich, a potem

spotkał się z nimi w jakimś sensie służbowo w barze.

A ponieważ Corello słynął z tego, że w ogóle nie można na nim polegać, na Landersa spadł obowiązek zawiadomienia wszystkich osobiście.

–Wydał mi się taki obcy. Jakby wszystko miał gdzieś – zwierzył się Strange'owi Landers.

–Ty go nie rozumiesz – odparł skołowany Strange, który leżał podparty poduszkami w małej separatce.

–Pożegnanie było dla niego zbyt bolesne, więc wykręcił się sianem.

–Możliwe – rzekł Landers, najwyraźniej mając inne zdanie.

–On najlepiej sprawdza się wtedy, kiedy go ktoś potrzebuje – ciągnął z uporem Strange. – Ja go znam.

Wówczas jest wspaniały. Ale w tej chwili nikomu nie jest potrzebny i nie ma się czym wykazać.

–Nie przekazał żadnych pożegnań Prellowi.

–To zrozumiałe – rzekł z uśmiechem Strange.

Landers był najwyraźniej innego zdania, ale dał temu spokój i zajął się Frances.

W swojej skołatanej głowie Strange odnotował, że przyjaciel przekazał mu najpierw wieści o Winchu, choć przecież najpierw spytał o Frances. Nawet jeśli ja nie wiem, co jest ważne, to on tak,"pomyślał.

Wieści o Frances, jakie miał do przekazania Landers, były takie, że o Frances nie ma żadnych wieści. Zniknęła zarówno z jego apartamentu, jak i z apartamentu lotników morskich. Przez dwa dni nie dała znaku życia.

Nie było jej w barze na dole ani nie pojawiła się w Claridge'u. A przynajmniej nie widział jej nikt ze znajomych. Z drugiej strony nie było też żadnych wizyt policji ani żandarmerii wojskowej. Nic więcej Landers o niej nie wiedział.

Strange czuł, jak zamiera mu serce, ale nie zdradził się z tym przed nim.

–No cóż, może po prostu odpoczywa – pocieszył się. – Czeka, aż zejdzie opuchlizna. W końcu jest weekend. Ma czas do poniedziałku, kiedy będzie musiała iść do pracy. A do tego czasu spuchnięcie prawie zniknie, no nie?

Landers podniósł ironicznie brew i nic nie powiedział.

–No nie? – powtórzył Strange.

Landers nie odpowiedział i tym razem. Nikomu nie wspomniał o nosie Frances i przestrzegł przed mówieniem o tym Trynora. W dwa dni po przymusowej absencji Strange'a za cichą zgodą pozostałych stał się dysponentem apartamentu 704 w hotelu Peabody, albo apartamentu Strange'a, jak zaczęli go powszechnie nazywać. Na szczęście nadeszły jego własne pieniądze, mógł więc pokryć wszelkie niezbędne wydatki.

–Nie, nie, nie, nie – rzekł mocno wyprowadzony z równowagi Strange, podnosząc się na łóżku i opadając na nie, kiedy zaboląła go prawa ręka. – Nie możesz tego robić. To moja sprawa.

–Mam to w dupie – odparł z uśmiechem Landers.

–Pierdolę to – dodał, posyłając mu ironiczne, harde, nieprzeniknione spojrzenie. – Jeżeli mam ochotę pozbyć się swoich pieniędzy, to mi wolno.

Doszło do tego, że był zmuszony zabronić innym członkom starej kompanii zapraszania do apartamentu Strange'a jakichkolwiek żołnierzy. Tamci zupełnie nie znali się na ludziach, a chcieli się popisywać. Po ostatnim wieczorze wymógł na nich, żeby każdego, kogo chcą zaprosić na zabawę w apartamencie, najpierw przedstawiali mu do oceny.

–Zeszłego wieczoru przyszło do nas dwóch skurwieli, pijanych skurwieli – wyjaśnił.

Był zmuszony dać im w mordę i wyrzucić siłą.

Strange spojrział na niego, znużony, z pościeli.

–A więc zostałeś wodzem – powiedział.

Landers rzucił mu gorzkie spojrzenie.

–Owszem – odparł bez uśmiechu. – Dziwne, nie?

I to zaraz po tym, jak położyłem lachę na wojsku. Teraz wojsko nie będzie już miało ze mnie żadnego pożytku.

–Może będzie miało – rzekł Strange.

–Nie. Wojsko nie chce takich dowódców jak ja.

Wojsku nie potrzeba wyobraźni. Nawet wyobraźni ograniczonej.

–Nie bądź tego taki pewien.

–Jestem pewien – odparł ze spokojem Landers.

Dla Strange'a, mimo mętlika w głowie, stało się oczywiste, że Landers o czymś zdecydował, że zmienił poglądy.

–Jak to, położyłeś lachę? – spytał.

–Położyłem lachę. Zrezygnowałem – wyjaśnił Landers. – Od tej chwili będę robił tylko to, co każą. Ani mniej, ani więcej. I tylko tyle, żeby przeżyć.

–No, to jesteś świetnym materiałem na oficera – stwierdził z uśmiechem Strange. – Powinieneś zgłosić się na trzymiesięczny przyspieszony kurs oficerski.

–Nie ja – odparł prędko Landers. – Ani mi się śni rozkazywać jakimś biednym frajerom, żeby szli do ataku i dali się zabić.

Strange tylko się zaśmiał. Dało mu to jednak do myślenia i przejął się Landersem, jak również zmianą, która w nim zaszła. Landers nie zdradził mu jej przyczyny, ale zmienił się zdecydowanie. Zyskał dużo więcej władzy, a jednocześnie miał znacznie mniej zobowiązań i długów wdzięczności. Pomimo protestów Strange'a dalej płacił swoimi pieniędzmi i zarządzał jego apartamentem. W czasie tygodnia, który Strange przeleżał w łóżku, stał się też jego uszami i oczami w Luxorze.

Landers relacjonował mu, co zdarzyło się w apartamencie, w hotelu i na mieście. Robił to tak szczegółowo, że Strange wiedział o wszystkim dokładnie, jakby

sam przy tym był. Niekiedy miał wrażenie, że wie nawet lepiej. Nieuczestniczenie w wydarzeniach miało sporo plusów. Landers składał mu te relacje zwykle przed wyruszeniem do miasta, tuż po lunchu.

Nazywali teraz południowy posiłek lunchem, ponieważ Landers tak często wychodził na przepustki do miasta, że na powrót przestał nazywać go po wojskowemu obiadem. Strange prawie nieświadomie poszedł za jego przykładem.

Niekiedy jednak zastanawiał się, jak Linda Sue określa teraz posiłek w środku dnia. Czy zachowała dawne, prowincjonalne, domowe nazwy posiłków? Czy też chodzi już na lunch, jak z pewnością mówi jej "geniusz aeronautyki" z Long Island.

Nie zadzwoniła do niego, odkąd wyjechał z pieniędzmi z Cincinnati. On też nie zadzwonił. Czasem zadawał sobie pytanie, czy jest możliwe, że Linda czeka, aż on odezwie się pierwszy. Bo jeżeli czekała, to jej strata. Aż tak bardzo nie był nią zainteresowany. Bardziej zainteresowany był Frances Highsmith.

Landers jednak dzień po dniu przynosił mu o niej te same wieści, że zniknęła. Nie widziano jej w żadnym z miejsc, odwiedzanych przez znajomych z obu apartamentów. Tak w spelunkach, jak i lokalach z klasą. Nie pokazała się na żadnym ubawie u lotników morskich.

Dyskutowali we dwóch, co począć z tym fantem, ale nie potrafili znaleźć odpowiedzi.

Dyskutowali też długo nad tym, dlaczego Landers tak często wdaje się w bójkę.

Od złamania nosa Frances przez Strange'a Landers bił się z kimś przeciętnie raz na dzień. Strange zwierzył się mu, iż podejrzewa, że ich pierwsza potyczka stoczona w barze hotelowym z dwoma bosmanami jest zwiastunem okresu bójek. Dla Landersa zaś cios zadany przez Strange'a Frances i złamanie jej nosa

był symptomem tej samej przypadłości. Czuł ją w sobie, jak przyznał, choć nie reagował na nią aż do chwili, kiedy jadąc na urlop do domu pociągami wściekł się na plutonowego lotnictwa.

Strange skłonny był się z nim zgodzić, choć przyczyna owego stanu była mu równie nieznana. Wskazał jednak na ich lepszy stan fizyczny, na to, że są niemal wyleczeni, a więc i bardziej skorzy do bitki. Przynajmniej – aż do czasu nowej operacji – on sam.

Landers tylko skinął głową, przystając na to wyjaśnienie, ale dodał, że dla obu znacznie przybliżył się czas powrotu do służby i walki, prawdopodobnie w Europie, a przecież dobrze wiedzieli, czym to pachnie. Może właśnie ten fakt miał na nich wpływ. Wyznał, że nie lubi i nie chce się bić, ale bez przerwy wpada w gniew. Nigdy nie był zabijaką ani awanturnikiem i nie pragnął nim być, chociaż liznął trochę boksu. Ale gdy dawniej starał się za wszelką cenę uniknąć burd i omijał je z daleka, to w tej chwili natychmiast był gotów bić się pod bile pretekstem. Wystarczyło, żeby ktoś okazał choćby najmniejszy brak szacunku któremuś z jego kolegów, kompanii, a nawet piechocie, i bójka była murowana.

A przecież nie zależało mu aż tak bardzo na wojsku.

W każdym razie z jakiegoś niewiadomego zakamarka jego duszy wytryskiwał nagle, barwiąc wszystko na czerwono, straszny, zapamiętały gniew i domagał się zemsty. Landers nie znał jego źródła i przyczyny.

Któregoś dnia zaszedł na przykład do małej taniej restauracji naprzeciwko hotelu Peabody. W apartamencie nie było akurat nikogo, a on chciał coś zjeść w otoczeniu ludzi i nie fatygować tej cholernej obsługi hotelowej.

W spokoju coś przekąsić. Za jego plecami w kolejce przy kontuarze stanęło trzech żołnierzy.

Ich niski, muskularny przywódca wyglądał na zarozumialca i okrutnika. Landersowi z miejsca się nie

spodobał, więc odwrócił od niego wzrok. Ale niski żołnierz podszedł wprost do niego i dwa razy protekcjonalnie klepnął go w ramię.

–To chyba żołnierska garkuchnia, no nie, koleś? – spytał zaczepnym tonem.

–Zabierz ze mnie tę rękę, koleś! – odparł ostro Landers, czując głęboko w ciele coraz szybsze pulsowanie krwi, i zrobił półobrót. Jeszcze nie wziął talerza.

–Tylko nie "koleś" – warknął niski, wysunął głowę do przodu i uśmiechnął się wyzywająco. – Do mnie nikt nie będzie mówił "koleś".

Landers nie odpowiedział. Nie było żadnego sensu.

Kończąc obrót ciała, prawą ręką strzelił z dołu hakiem i trafił tamtego dokładnie w wysuniętą szczękę. Żołnierz zwałił się na ziemię. Landers dopadł go w jednej chwili, czując w uszach dziwną, huczącą jak morski bałwan rozbijający się o brzeg, zalewającą go czerwoność, która zabarwiła na czerwono wszystko dookoła. Walnął leżącego ze sześć czy osiem razy w twarz i głowę, zanim koledzy tamtego z pomocą jeszcze jakiegoś żołnierza odciągnęli go. Konus ledwo wiedział, co się z nim dzieje. Twarz mu krwawiła, nos miał złamany, trzy zęby wybite, a jedno ucho naderwane tam, gdzie zawadził je cios.

Cywilni klienci, przerażeni umykali z drogi, wymieniając uwagi o żołnierzach. Landers wsunął w spodnie tył koszuli i wydał policzki. Ale wściekły gniew mu nie minął. Domagał się więcej.

–Wy też chcecie spróbować? – spytał dwóch pozostałych żołnierzy.

Na szczęście nie byli tak wojowniczy jak ich przywódca. Wycofali się, podtrzymując kompana, jeden z nich starannie zebrał z podłogi jego trzy zęby, i wyszli.

Landers nie miał pojęcia, czemu to zrobił. Wyznał Strange'owi, że głupio postąpił pierwszy zadając cios.

Ale po głębszym zastanowieniu dodał, że tamten facet był z pewnością podły, zły i okrutny. Przyzwyczajony do pomiatania ludźmi. Żałował jednak, że wybił mu trzy zęby.

Innym razem, w restauracji na szczycie hotelu, sam jeden pobił trzech chorążych, pilotów z Dowództwa Lotnictwa Rozprawdzającego. Historia była równie głupia jak poprzednie.

Landers wybrał się do tego hotelu sam głównie dlatego, żeby uciec od tłoku i hałasu w apartamencie.

Poszedł tam nie z dziewczyną, lecz z butelką schowaną w zwyczajnej brązowej torbie. Wielki lokal był wprawdzie zatłoczony, ale ponieważ Landers znał szefa kelnerów, ten zaś wiedział, że może liczyć na dobry napiwek, więc dał mu pusty stolik dla czworga osób z karteczką "zarezerwowany". Wkrótce potem Landers zauważył, że przyglądają się mu siedzący przy sąsiednim stoliku trzej chorążowie lotnictwa. Może dlatego, że miał stolik do własnej dyspozycji.

Stolik był dobry, w pobliżu parkietu. Landers siedział przy nim sam jeden, przyglądał się tańczącym i, coraz bardziej wstawiony, czuł się zagubiony, samotny i smutny. Strange'owi powiedział później, że był też rozdrażniony i pełen żalu nad sobą. W górze obracała się wielka kula z małych lusterek, które błyskały wszystkimi kolorami tęczy.

Nie była to dobra pora na towarzystwo kobiet, dlatego Landers był zadowolony, że nie wziął ze sobą żadnej. Jednakże z przyjemnością patrzył na tańczące pary, które sunęły pośród kolorowych świateł obryzgujących parkiet. Zbliżała się godzina zamknięcia lokalu, więc orkiestra jak zwykle grała wiązanek sentymentalnych melodii. Piosenki takie jak As Time Goes By, Red Sails in the Sunset, Harbor Lights i We'll Meet Again. Świetnie, niewiarygodnie wręcz pasowały do jego

nastroju. W tamtej chwili Landers nie czuł w sobie nienawiści i nikomu niczego nie miał za złe. Wszyscy cierpieli. To jedno było pewne. Przez głowę przemykały mu zabłąkane strzępy myśli, ale zbyt szybko, by mógł je pochwycić. Myśli o honorze, o śmierci, o tragedii, o miłości. Honorze fałszywym, śmierci poszukiwanej, tragedii pożądanej, miłości na szczęście utraconej. Wszyscy umierają, niektórzy młodziej, podszeptowała mu, jak się zwierzył później Strange'owi, część jego świadomości.

Ale kiedyś wszyscy wspomnimy te piękne, miłe, kochane czasy i przypomnimy

sobie te wszystkie melodie. Tak, tak, mówiła mu inna część umysłu, ci z nas, którzy przeżyją. W tamtej chwili jednak nie był wściekły na nikogo.

Na zakończenie, czyli o pierwszej po północy, orkiestra zagrała Gwiaździsty Sztandar. Landers nie wstał.

Tak jak u wielu rannych ze szpitala, rozwinęła się już u niego siła przyzwyczajenia, by nie wstawać. W szpitalu, jeśli nawet bez szacunku, to jednak powszechnie żartowano, że ranni nie muszą wstawać na dźwięki hymnu państwowego. Krążyły opowieści o bitkach z tego powodu, ale Landers nie oglądał żadnej. Zresztą zawsze przebywał w grupie.

Tuż przed zamknięciem muzyki, kiedy lokal zaczął się opróżniać, do stolika Landersa podszedł jeden z trójki lotników – najwyższy i najstarszy stopniem.

–Radzę ci, żebyś nauczył się wstawać, kiedy grają hymn państwowy, żołnierzu – powiedział.

Landers podniósł wzrok i po chwili go opuścił.

Poczuł w sobie pulsowanie gniewu.

–Odpierdol się, przyjacielu – odparł.

–A więc dobrze. W takim razie podasz mi swoje nazwisko, stopień i jednostkę – oświadczył chorąży.

–To rozkaz, żołnierzu.

Wyjął ołówek i notes.

W duchu Landers zaczął chichotać. Gdzieś głęboko w nim zaczął rosnać i huczeć mu w uszach morski bałwan wściekłości. Tym razem podniósł wzrok i już go nie spuścił.

–A może zamiast tego wolałbyś dostać w mordę? – spytał.

Młody pilot bez słowa schował notatnik, okręcił się na pięcie, wrócił do swojego stolika i usiadł. Wdał się w dyskusję z kolegami. Jeden był po jego stronie, drugi wyraźnie przeciwko. Landers przyglądał się im z uśmiechem.

Już tylko ich dwa stoliki pozostały zajęte. Dwie windy przy wejściu szybko wysysały z sali tłum. Za plecami Landersa krążył niespokojnie szef kelnerów.

–Co to za pacany? – spytał go nowojorskim akcentem.

–Nietutejsi, są przelotem – wyjaśnił Landers. – Studenci z Lotnictwa Rozprowadzającego. Niech się pan nie martwi.

Zapłacił rachunek, zostawił duży napiwek kelnerowi i puścił do niego oko. Był już niemal przy windach, gdy dogonił go okrzyk chorążego.

–Hej, żołnierzu! Chcę wiedzieć, z jakiej jesteś jednostki. I jak się nazywasz.

Szli wszyscy trzej w jego stronę, zdecydowanie i w szeregu. Najwyraźniej najwyższy wziął górę w dyskusji.

Landers nacisnął guzik windy i znieruchomiał, obserwując ich bez słowa. Nie myślał o niczym, w głowie miał zupełną pustkę. Ale kiedy znaleźli się prawie w zasięgu ciosu, spadł na nich jak grom. Jakiś spóźniony instynkt kazał mu najpierw zaatakować lotnika, który miał odmienne zdanie.

Od tej chwili wypadki potoczyły się piorunem, choć wydawało się, że rozwijają się w zwolnionym tempie.

Tamci nie spodziewając się napaści rozpierzchli się na boki, odskakując od zaatakowanego. Popelnili błąd. Po uderzeniu lotnika, który upadł i już się nie podniósł, Landers obrócił się w stronę atakującego go najwyższego chorążego. Zrobił krok w jego stronę i z całej siły rąbnął lewym, który odrzucił lotnika na drzwi windy.

Ale kiedy tamten wpadł na nie rozkładając ręce, żeby czegoś się przytrzymać, właśnie nadjechała ściągnięta przez Landersa kabina, a kiedy otworzyły się drzwi, chorąży wleciał do niej tyłem, z trzaskiem zderzył się z jej tylną ścianą i zaczął się po niej osuwać.

Landers, zaskoczony prawie tak mocno jak tamten, wpadł za nim do windy, podniósł za koszulę, trzasnął go w szczękę i ujrzał, jak oczy lotnika stają się szkliste.

Odwrócił się od niego, wcisnął guzik parteru i wyszedł z kabiny, zanim zamknęły się drzwi.

Trzeci chorąży zaatakował go, ale bez przekonania, bo pozostał sam. Landers uderzył go raz, drugi, trzeci, czwarty, zmuszając do cofania się i podążając za nim przez wejście do restauracji, aż wreszcie tamten upadł na jakąś staromodną kozetkę.

Landers był tak rozgorączkowany, że zapędził się dalej niż przeciwnik. W uszach huczało mu wściekle, a w środku kotłowały się rozszalałe morskie bałwany.

Słyszał, jak wykrzykuje coś na cały głos.

I wówczas spostrzegł, że strzałka windy znów celuje w górę, wyminął więc trzeciego powalonego lotnika, po drodze wymierzając mu kopniaka w głowę, i znalazł się przy windzie w chwili, gdy otwierały się drzwi. Uderzył wychodzącego z niej chorążego, wszedł za nim do kabiny, zadał mu jeszcze dwa ciosy, wcisnął guzik na parter i wysiadł.

Panowała cisza. Jedna winda zjeżdżała w dół. Landers nacisnął guzik drugiej, a kiedy przyjechała, wszedł do niej, wysiadł na siódmym piętrze i wrócił do

apartamentu. Utykał, bo znowu nadwyrężył sobie chorą kostkę, bolała go z jednej strony szczęka, a skórę na obu dłoniach miał obtartą. Ale żandarmi nie zdołali go odnaleźć. Powiedział Strange'owi, że nikomu w apartamencie nie pisnął słowem o tym, co się wydarzyło. I że żałował, że bójka się skończyła.

Strange'a zdążyli już przenieść z separatki na otwarty oddział, tak że Landers opowiedział mu o tym wszystkim w piątym dniu po operacji. Strange, usadowiony na łóżku, poruszając osłabionymi, spowitymi nowym gipsowym opatrunkiem palcami, przyglądał się spokojnej, beznamiętnej minie kolegi i zastanawiał się, co dzieje się w jego głowie, gdy tak rzeczowo opowiada mu o bójkach.

Sam miał kłopoty ze zorientowaniem się, co się dzieje w jego własnej głowie. Na pewno strasznie pragnął znaleźć się tam, w hotelu, i uczestniczyć we wszystkim.

Ale z drugiej strony był rad, że to go ominęło.

Sam też nie wiedział, co się z nim dzieje. W każdym razie nie więcej ponad to, co wiedział o Landersie. Jasne było jedynie, że nie umie nad sobą panować tak jak dawniej. Trochę się tego bał. Nie potrafił ocenić ani siebie, ani Landersa. I to go martwiło.

Słyszał, choć Landers o tym nie wiedział, inną wersję bójki z trzema lotnikami. Dwóch żołnierzy z ich dawnej kompanii wyslizgnęło się z apartamentu i wjechało na górę, żeby odszukać Landersa i sprawdzić, czy nic mu się nie stało. Ponieważ wszyscy niepokoili się o niego, ustalili, że Corello i Trynor pojedą za nim. Kiedy zaczęła się bójka, stali przy tylnej ścianie restauracji w towarzystwie szefa kelnerów. Landers ich nie widział.

Stranger dowiedział się o tym od Trynora, bo Corello nigdy z własnej woli o niczym nie mówił.

–W życiu nie oglądałem czegoś takiego – powiedział z mimowolnym rozdrażnieniem Trynor. – Wątpię, czy ktoś mógłby go powstrzymać. Nie dałoby mu rady

ani pięciu, ani siedmiu chłopca. Jego siła była przytłaczająca, nie do odparcia. Kiedy zaatakował, zupełnie się pogubili* Wyglądało to tak, jakby chwycili tygrysa za ogon.
– Trynor odchrząknął. – A może dostaje bzika, szefie?

Strange nie odpowiedział. Nie ufał sobie. Rozpierała go bowiem ta sama siła.

Trynor uniósł rękę w obronnym geście.

–Ja nie mówię, że nie miał racji – zastrzegł się.

–Miał. Ale chodzi o to, jak to zrobić. Wiem, że w każdym z nas tkwią podobne uczucia – dorzucił, jak to on, niezręcznie. – Ale nie aż takie. – Niespodziewanie roześmiał się nieśmiało. – Mój Boże, tamci rozpierzchli się jak stado wróbli.

–Nie wiem, czy dostaje bzika – odparł Strange.

–W każdym razie, dopóki ma rację – zakończył, nie rozstrzygając niczego.

W towarzystwie Landersa też nie był w stanie rozstrzygnąć niczego. Nie wiedział, czy czuje się na siłach, by poruszyć ten temat i zastanowić się nad nim głębiej. Landers był mądry. Strange wiedział o tym, nie miał jednak pojęcia, czy potrafi wszystko analizować tak dobrze jak on.

–W każdym razie, Marion, przyjadę tam już za dwa dni – powiedział mu. – Pojedziemy razem. Doskonale się wszystkim zajął.

Po raz pierwszy zwrócił się do Landersa po imieniu.

Landers uśmiechnął się do niego.

–Musimy znaleźć naszą Frances Highsmith – rzekł i wzruszył ramionami. – Nie mam pojęcia, gdzie się podziwia. Ale przez te dwa dni będę jej szukał.

–Tak – powiedział Strange. – No, ale to chyba nie jest takie ważne. O ile tylko nic jej się nie stało.

Oczywiście kłamał. To było ważne. Nie wiedział jednak, czy Landers się orientuje, że on kłamał, wołał,

żeby o tym nie wiedział. Nie chciał też przyznać się, że Frances i pokochanie się z nią po francusku stały się jego wynaturzoną obsesją.

W końcu sam ją znalazł. Landers bowiem nie trafił na jej ślad. W dniu, kiedy Strange powrócił do miasta, obaj polowali na nią, ale bez powodzenia.

Jeśli chodzi o hotele Peabody i Claridge, to Frances Highsmith przepadła jak kamień w wodę. Przez cztery kolejne dni Strange sam ją tropił. Przeważnie wieczorami. Zakładał, że Frances w ciągu dnia pracuje.

Gdzieś tam przecież pracowała. Znalazł ją piątego dnia, piątego dnia wieczorem.

Opuścił apartament i trwającą tam nieprzerwanie zabawę, zajrzał na chwilę do baru, wyszedł z hotelu i minawszy dwie przecznice na Union dotarł do Main Street. Wypatrywał jej, choć był bliski zrezygnowania z poszukiwań. Przestał już liczyć na to, że ją znajdzie.

Ale w hotelu nudził się. Kiedy wychodził, Landers puścił do niego oko.

Na rogu Main skręcił bez określonego celu w wielką Walgreen Street, żeby przejść się spacerkiem do odległego o pięć ulic hotelu Claridge. Oczywiście nie z powodu Frances. Miał silną potrzebę melancholii, która pasowała do nastroju tego wieczoru. W jego melancholii nie było nic z miłości. Nic z miłości do utraconej Lindy Sue ani miłości do zapodziejanej gdzieś Frances Highsmith. Była to taka ogólna potrzeba – bardzo niekonkretna i pełna umiłowania wszystkich żeńskich istot, wszystkich kobiet – w istocie bezprzedmiotowa. Potrzeba przeżycia nieznannej, zakazanej, erotycznej przygody.

Na wystawach sklepowych po drugiej stronie ulicy, gdzie był hotel, prezentowano rzeczy dla kobiet. Rzeczy warte setki, tysiące, dziesiątki tysięcy dolarów. Dla pięknych kobiet, pięknych dziewcząt.

Kto, u diabła, mógł sobie pozwolić na ich kupowa³⁷⁶ nie? Biznesmeni. Tylko biznesmeni, którzy pozostali w kraju i zbijali fortuny na tej dobrej, kochanej wojnie.

Strange szedł ulicą i patrzył na wystawy z damską konfekcją. Cztery zeszłe noce spędził w towarzystwie kobiet. Co wieczór brał sobie przynajmniej jedną spośród ich stada w hotelu Peabody. Ale nic to nie pomagało.

Sprawiał się nieźle, choć nie czuł podniecenia. W tej chwili zaś, jak na ironię, był podniecony, lecz nie miał dziewczyny.

Przekonał się, że nie wszystkie są tak wyzwolone jak Frances i jej koleżanka Annie Waterfield. Nie robiły minety i nie chciały, żeby robić ją im. Strange wziąłby sobie tym razem Annie, ale Annie zaczęła chodzić z jakimś nowym oficerem z apartamentu lotników morskich. Na nieokreślony czas – w tym tygodniu – stała się dziewczyną innego.

Strange szedł więc spokojnym krokiem przed siebie.

Pozostał sam, bez Frances i bez Annie. Właśnie skończył myśleć o tej drugiej, kiedy wychwyił wzrokiem postać.

Odeszła od grupy innych postaci stojących na chodniku po drugiej stronie ulicy i wkroczyła na jezdnię, żeby przeciąć ją na ukos, oddalając się od niego.

Oko Strange'a prędzej rozpoznało Frances niż on sam. Odruchowo nabrał powietrza do płuc i krzyknął:

–Hej! Frances!

Poczuł rosnące podniecenie. Nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu. Miał wrażenie, że w brzuchu nagle pojawiło mu się coś śliskiego i jak naoliwione zaczęło jeździć po jego wnętrznościach. Gardło, w którym urosła mu gęła, odetkało się dopiero wówczas, kiedy zmienił ton głosu.

Postać zatrzymała się, patrząc na niego. To była Frances. Nie miał jednak pojęcia, jak ją zdołał rozpoznać.

Była ubrana niczego sobie, w cieką sukienkę i lekki

jesienny płaszcz. Ale w jej ruchach odkrył coś ukradkowego i pośpiesznego*, jak u kraba. Nie poruszała się już swobodnym, rozkołysanym krokiem i z wypiętymi piersiami. Teraz garbiła się w swoim płaszczu, jakby pragnęła się ukryć.

Strange'owi gwałtownie i boleśnie skurczyło się serce.

Miał nadzieję, że z jej twarzą jest wszystko w porządku i że nie to wpłynęło na zmianę w jej zachowaniu.

Zaczerpnął powietrza. Chryste Panie, to byłoby straszne.

Spojrzał w bok, żeby przyjrzeć się fasadzie marnej restauracji, z której najpewniej wyszła. Nie zadali sobie nawet trudu, żeby szukać Frances w takich lokalach jak ten.

–Ach, to ty – powiedziała cicho, kiedy do niej podszedł.

Miał wrażenie, że trochę się wyprostowała.

–Jak się masz?

Przekonał się, że jej twarz zachowała dawne proporcje. Odetchnął z ulgą. Złamany nos wygoił się idealnie, nie był przekrzywiony, spłaszczony ani garbaty.

Jedynie na samym dnie jej źrenic mógł z bliska dopatrzeć się, że zaszła w niej jakaś zmiana. Tam, w głębi jej oczu, zdawało się poruszać i zmieniać kształty coś nieuchwytnego, coś, co nie dopuszczało go za blisko i nie pozwalało się dokładnie obejrzeć.

–Ważne, jak ty się masz – odparł z wymuszonym uśmiechem.

–Dobrze – powiedziała, ale nieustępliwym, niepokornym tonem.

–Strasznie się o ciebie martwiłem – rzekł Strange zdławionym głosem.

–Martwiłeś się? – Nagle twarz Frances przeciął szeroki od ucha do ucha dziwny, domyślny, pożądliwy uśmiech. – A ja czuję się dobrze. Mam się doskonale.

Tak że trudno lepiej.

–Szukałem cię – wyznał i na myśl, dlaczego, jeszcze mocniej ścisnęło go w gardle. Odbiło się to w jego głosie.

Uśmiech na twarzy Frances stał się jeszcze szerszy i jeszcze bardziej pożądliwy. Spojrzała mu prosto w twarz i to coś nieuchwytnego w jej źrenicach znów się poruszyło. Milczała.

–Dlaczego nie wróciłaś do hotelu? Do naszego apartamentu? – spytał.

Nadal miała na twarzy uśmiech, lecz jej słowa były twarde i zimne jak stal.

–Nigdy więcej tam nie wrócę – odparła.

–Coś ty, dajże spokój. Dlaczego nie? – spytał Strange.

Odwróciła najpierw wzrok, potem głowę. Już przestała się uśmiechać.

–Wszyscy wiedzą o tym, co się stało.

–Nie, nie wiedzą. Ja i Landers nie powiedzieliśmy o tym nikomu. A Trynor przysiągł nam, że dochowa tajemnicy. Nie pisnął słowa. Nikt z nas nic nie powiedział.

–Tak, ale wiedzą, że wolałeś ode mnie Annie.

Na wpół odwrócona, znowu była gotowa skulić się i przybrać pozę kraba. Zemknąć boczkiem.

–Och, dajże spokój – rzekł stropiony Strange.

–Wy, dziewczęta, wobec nikogo tak się nie zachowywałyście. Wcale nie dbałyście o to, kto co pierwszy robi z kim.

–Nigdy więcej tam nie wrócę – odparła mimo to Frances.

–Dobrze. Nie wracaj – zgodził się, ale zbyt gniewnym tonem. Miał wrażenie, że sam wszystko rozwala w puch. Nic nie wychodziło jak trzeba, a on nie miał pojęcia, jakich słów użyć, by wywarły pożądany efekt.

Spróbował jeszcze raz. – Mnie też już się tam przestało podobać. Dlatego jestem tutaj. Dlatego stamtąd wyszedłem.

Nic na to nie powiedziała.

–Chodź ze mną do Claridge'a. Napijemy się i pogadamy – zaproponował.

Nie odpowiedziała ani tak, ani nie.

A pochlebstwo, psiakrew?! Nigdy nie zapominaj o pochlebstwie! – skarcił się Strange. Pochlebstwo zawsze działa na kobiety. Zawsze. Tam gdzie wszystko inne zawodzi. Zwykle pochlebstwo. Nawet, jeżeli rozpoznane.

–Jesteś ładnie ubrana – powiedział. – Posłuchaj.

Wariowałem, kiedy cię szukałem. Szukałem cię cały tydzień. Chodź. Napijesz się?

Nie odpowiedziała na to pytanie.

–A co robiłeś przez drugi tydzień? – zapytała.

Strange'a nagle zamurowało, w głowie poczuł zupełną pustkę.

–Jaki drugi tydzień? – spytał.

–Ten pierwszy.

Ulżyło mu. Pokazał jej gips.

–Miałem operację dłoni. W dzień po... W dzień po naszym ostatnim widzeniu się zatrzymali mnie w szpitalu i zoperowali mi drugi raz rękę. Byłem w szpitalu.

Leżałem w łóżku przez tydzień. Nie wypuszczali mnie.

Ale Landers poszukiwał cię w moim imieniu.

–I nie znalazł.

Niepostrzeżenie, nie odpowiedziawszy ani tak, ani nie na jego propozycję napicia się, Frances wsunęła mu rękę pod ramię i ruszyli w stronę Claridge'a. Był to właściwy kierunek.

–Jesteś najatrakcyjniejszą dziewczyną, jaką znam – rzekł Strange schrypłym szeptem. – Jesteś najatrakcyjniejszą dziewczyną, jaką tu poznałem.

–Chcesz się ze mną pokochać po francusku? – spytała.

-Tak – odszepnął zduszonym głosem po wyraźnej

pauzie. Czuł się tak, jakby tę odpowiedź wyrwano mu z gardła.

–To dobrze – odparła skwapliwie Frances.

Nagle zdecydowanie przyśpieszyła kroku. Na jej twarz powrócił dziwny, domyślny, pożądlivy uśmiech.

Wszystko przed oczami Strange'a przesłaniała nierealna różowa mgiełka, tak jakby zniecka niepokojąco podskoczyło mu ciśnienie, jego ruchy nabrały powolnej płynności, a świat wydawał się nierzeczywisty, jak ze snu. Podążali wolno w stronę Claridge'a.

–Wiedziałam, że to zrobisz – powiedziała Frances z pożądlivym uśmiechem, mocno ściskając mu rękę.

–Wiedziałam, że się w końcu zdecydujesz.

Poczucie nierzeczywistości towarzyszyło Strange'owi cały czas w trakcie przygotowań. Na szczęście w Claridge'u były wolne pokoje. Nie musiał wjeżdżać na górę do Jacka Alexandra, gdzie grano w pokera. Sklep z alkoholami też nie był jeszcze zamknięty i udało mu się kupić butelkę. W pokoju Frances nie czekała nawet, żeby wlać alkohol do żołądka, tylko od razu zaczęła się rozbierać.

Miała niezgorszą figurę. Kiedy Strange szykował whisky z wodą i lodem, spostrzegł, że Frances nie nosi biustonosza ani majtek. No cóż, biustonosz nie był jej potrzebny. Może nie potrzebowała również majtek?

Przez głowę przepływały mu jak we śnie niejasne myśli o podejrzanym barze, z którego na pewno wyszła, i pytania, czy z kimś już tego wieczoru była. Przez chwilę myślał o tryprze i syfie. Ale nie było to istotne.

Nic się nie liczyło. Nie dbał o nic. W uszach czuł, jak serce bije mu coraz wolniej, wolniej, wolniej.

Kiedy wręczył nagiej Frances whisky, wypła ją jednym długim haustem, odstawiła pustą szklankę i usiadła w fotelu. Podciągnęła i rozchyliła nogi, po czym na próbę podłożyła stopy pod pośladki, a po chwili spuściła nogi na podłogę i skrzyżowała je.

Strange niemal gorączkowo ściągnął z siebie mundur.

Krawat, koszulę, podkoszulek, buty, spodnie, kalesony, skarpetki. Miał wrażenie, że trwa to wieczność.

W trakcie rozbierania przyszło mu do głowy, że fotografie i malunki przedstawiające nagie kobiety właściwie kobiet nie obnażają i że one w głębi ducha o tym wiedzą. Kobieta nie była obnażona aż do chwili, kiedy sama rozchyliła nogi, tak jak Annie... i jak przed chwilą Frances. Ale mężczyźni nie wiedzieli tego o kobietach, a kobiety nie myślały zdradzić im tej tajemnicy.

Na swoim fotelu Frances wyciągnęła w stronę Strange'a ostrzegawczo palec.

–Zanim zaczniemy, jedno chcę wyjaśnić – powiedziała władczo, jak szef kompanii. – Czy robiłeś minetę Annie?

–Nie – odparł Strange. – Nie robiłem.

–Naprawdę nie robiłeś? Słowo harcerza? – spytała i znacząco skinęła głową. – Ponieważ tylko ona oprócz mnie to robi, tylko ona to lubi.

–Nie – powtórzył Strange. – Ale skąd wiesz, że ona...

–Od mężczyzn, oczywiście. Ty tępaku – odparła szyderczo.

–Czy rozmawiacie ze sobą o...

–Nie. Ze sobą rozmawiamy tylko o mężczyznach.

Ale każda wie o każdej wszystko.

Podciągnęła nogi, podłożyła stopy pod pośladki i usiadła w pozycji, którą już wypróbowała.

–A teraz posłuchaj. Możesz mi zrobić minetę. Ale ja ci jej nie zrobię. I nie pozwolę, żebyś mnie potem rznął. Po tym jak się spuszcze. – Urwała, żeby mu się przyjrzeć i opuściła ostrzegawczo wzniesiony palec.

–Może pozwolę ci zbić konia. A może wcale nie dam ci się spuścić. Jeszcze nie wiem.

–Dobrze – zgodził się Strange.

Mierzyła go badawczym spojrzeniem.

–Być może każę ci spać całą noc tu, przy sobie, i nie pozwolę ci się spuścić – ciągnęła, nadal przyglądając się mu z uwagą.

Strange nie odpowiedział.

–Albo może pozwolę ci wytrześć kapucyna, gdy nos będziesz trzymał we mnie. Chciałabym, żebyś wiedział o tym zawczasu, zanim zaczniemy – dodała. – Nie jestem taka duża i silna jak ty. Ale jeżeli mnie uderzysz albo zaczniesz mnie bić, to tak głośno będę wzywała gliny, że usłyszą mnie w Saint Louis.

–Dobrze – powtórzył Strange.

Wpatrywała się w niego dalej, ale takim wzrokiem, jakby była zadowolona z tego, że Strange traktuje rzecz poważnie. Jej twarz przeciął na dwoje, niczym brzytwa, dziwny uśmiech, a na dnie jej źrenic znów poruszyło się coś nieuchwytnego i małego jak robaczek.

–Zasłużyłeś sobie na to. Jesteś mi to winien – powiedziała.

Strange przyznał jej w duchu rację. W każdym razie nigdy dotąd nie był aż tak bardzo napalony. Zgodziłby się w tej chwili na wszystko. Nie pamiętał, żeby kiedyś członek tak mu napęczniał, stwardniał i pulsował.

Frances opuściła rękę, dotknęła sromu i rozciągnęła go.

–No dobrze. Podejdź tu. Chodź. Tak, chodź. O tak.

Tak. Właśnie, tak. Tak. Tak – mówiła, wplatając mu palce we włosy. – Ach, ty mała świnko. Ach, ty prosiaczku. Ach ty łasy, zgłodniały, chrumkający świntuszk.

Strange czuł, jak Frances bierze długi, głęboki oddech.

–Właśnie tak. O tak, właśnie tak. Och, on za tym przepada. Och, on za tym naprawdę przepada. Chce tego. Chce tego. Wszyscy tego chcą.

Mówiła dalej różne rzeczy do niego lub do siebie.

Ale Strange jej nie słuchał.

Nie było prawdą, że cipa nie miała smaku. Smakowała odrobinę moczem, co wcale nie było niemiłe, i wydzielala lekki odór, ale zniknął on prawie natychmiast, zapewne dlatego, że sam go zlizal i połknął, a potem straciła wszelki smak. Słaby zapach moczu łączył się z jeszcze słabszą od niego wonią perfum i, być może, potu, mieszając się z zapachem, który Strange z braku lepszego określenia mógł nazwać tylko "wonią kobiety", coraz silniejszym i silniejszym.

Ale najrozkoszniejsze ze wszystkiego były wrażenia dotykowe. Mieściły w sobie wszelkie przyjemności mocnego długiego pocałunku, lecz były stokroć bardziej delikatne. Strange jeszcze nigdy nie dotykał ustami czegoś tak rozkosznego. Czuł, że mniejsze, delikatnie zbudowane wewnętrzne wargi przywarły mu do twarzy.

Przykrywający ten mały organ waleczek przypominał w dotyku wargę po wewnętrznej stronie, był wszakże od niej czulszy i przemieszczał się pod jego językiem na boki. W nos łaskotały go z obu stron włosy obrastające większe wargi zewnętrzne.

– Bardziej w górę – powiedziała Frances, omdlewającym głosem. – Bardziej w górę. Bardziej w grrrrraaaahrrrrhhhhh!

Mówiła dalej nie powiązаныmi sylabami, które przez dłuższy czas nie znaczyły zupełnie nic.

Strange nie miał pojęcia, o czym ona mówi, i nie dbał o to. Kiedy przestała dygotać na całym ciele, odwrócił się od niej i usiadł na podłodze, dysząc tak chrapliwie jak ona. Własny członek wydał mu się potworną maczugą. Był tak napęczniały od krwi, iż obawiał się, że mu wybuchnie jak granat i rozprysnie się, ochlapując jego, ją i ściany na czerwono. Pragnął, żeby go coś otoczyło – ręka, usta, gumowa rękawica, cipa. Wszystko jedno co. A jednak Strange był w pełni gotowy, psychicznie w pełni nastawiony na spełnienie

wszystkich warunków Frances, nawet jeśli oznaczałoby to położenie się obok niej na łóżku z nietkniętym, nabrzmiałym, czerwonym, postawionym na sztorc kutasem.

Odkrył, że jest zboczony, taka była prawda. Inaczej nie można było na to patrzeć.

Tymczasem Frances, która zdążyła już opuścić nogi i skrzyżować je, otulając, rzecz można, siebie, otulając swoją cipę, otworzyła oczy i patrzyła gdzieś przed siebie.

–Tyle jest rzeczy, które możemy zrobić – powiedziała rozmarzona do sufitu. – Setki.

Nagle obróciła wzrok na Strange'a, patrząc tak jakby widziała go po raz pierwszy.

–Och! – zawołała. – Och, ty! Nie dbam o nic, co powiedziałam. Pragnę ciebie. Chcę, żebyś mi wsadził.

Prędko wstała z fotela i przeszła przez pokój do łóżka.

Strange prawie ją przygwoździł do posłania, chociaż czuł się odrobinę zawiedziony.

–O Boże, jeszcze nigdy nikt mi tak nie wygodził.

Mężczyźni przeważnie, sam wiesz, tego nie lubią. Chcą tego, ale zarazem tego nienawidzą. Są prymitywni, nieokrzescani i brutalni... gdy to robią. Ach, tyle możemy zrobić razem. – Westchnęła. – Strange. Johnny. Johnny Stranger.

Kiedy się spuścił, a Frances wkrótce potem uspokoiła się i mocno zasnęła, położył się na wznak i spróbował wszystko sobie przemyśleć.

Po pierwsze, ogromnie pochlebiało i bardzo podnosiło na duchu to, że ktoś tak miłośnie wypowiada twoje imię. Dodawało wiary w siebie. Należało się więc z tym liczyć.

Po drugie, nie był zakochany. Nie był zakochany w żaden ze znanych mu sposobów. Był również pewien, że Frances Highsmith także nie jest zakochana.

Z drugiej strony, świetnie im było ze sobą w łóżku, co też było nie do pogardzenia. Zresztą i tak ich związek nie mógł trwać zbyt długo, jeśli oparte na medycznej wiedzy rokowania co do wyników drugiej operacji jego dłoni były słuszne. Bo wówczas czekał go powrót do służby.

Po trzecie jednak, do tych dwóch dochodziła jego nowo zdobyta, jeszcze nie przetrawiona samowiedza.

Był zboczony. Zboczony seksualnie. Z jakiejś głębokiej studni w nim samym, do której dotąd nie zaglądał, zboczenie to wydoszło się na górę i go dopadło.

W jednej zgubnej chwili stał się nałogowym lizaczem cipy. Tak jakby zażył jakiś cholerny narkotyk lub coś podobnego. Chryste Panie, niemal wszędzie było to niezgodne z prawem. Zdecydowanie niezgodne z prawem. Tak jak kopulowanie ze zwierzętami. Albo homoseksualizm. A on gwizdał na to. Żadne prawa nie mogły go przed tym powstrzymać. Choćby nawet był to nałóg sprzeczny z prawem, i tak nie zamierzał z niego rezygnować. Właśnie to czyniło go prawdziwym zboczeńcem.

Chyba po raz pierwszy od bardzo długiego czasu, leżąc w chłodnym łóżku, w czystej gładkiej pościeli, mając pod ręką wzgórek, który był pupą Frances Highsmith, Strange pomyślał o wygłodniałych, ubłoconych żołnierzach ze starej kompanii, którzy nadal byli tam, mokrzy, spoceni, zabijani.

Nikt, kto tam nie był, nie potrafił docenić pościeli.

I przezroczystej, czystej wody płynącej z kranu na każde życzenie. Albo zapachu śpiącej obok kobiety, która tak naprawdę nie była twoja.

Strange zastanawiał się, co oni by powiedzieli, gdyby odkryli, że ich stary szef kuchni, Matka Strange, to zboczeniec, który liże cipy.

Czuł się podle. Doskwierało mu straszne poczucie winy. Ale dotyczyło ono nie seksu, tylko wojska. Albo jednego i drugiego. Nie potrafił tego określić.

Wreszcie, nie przesądziwszy o niczym, obrócił się na bok i zaspokojony ułożył się do snu. Zaspokojony i syty wrażeń tak bardzo, jak jeszcze nigdy.

I pomyśleć, że przez te wszystkie lata miał...

Nazajutrz o świcie (w portierni na dole zamówił budzenie) Strange dźwignął się z łóżka, potrząsnął Frances, rozbudzając ją jednak tylko na tyle, by powiedzieć jej do widzenia, i odjechał do szpitala, żeby zdążyć na pobudkę. Tej zasady w dalszym ciągu przestrzegał przede wszystkim.

Na porannym obchodzie, kiedy Curran obwieścił, że za parę dni zdejmie mu gips i sprawdzi, jak się im powiodło, Strange zadał sobie pytanie, czy przyglądając się mu chirurg rozpoznaje w nim zbrojeńca.

KSIĘGA CZWARTA

OBÓZ

Rozdział dwudziesty drugi Po trzech tygodniach spędzonych w Obozie O'Bruyerre'a do Marta Wincha doszły pierwsze wieści, że Marion Landers wszczyna bójki i że ma z tego powodu kłopoty. Był pierwszy tydzień grudnia, wreszcie na dobre przyszła zima, a w Luxorze chwycił pierwszy mróz i spadł pierwszy niewielki śnieg.

Wiadomość o Landersie przekazał Winchowi telefonicznie ze szpitala Jack Alexander. Landers wdał się w bójkę na pięści z rannym porucznikiem, pobił go w sali rekreacyjnej, po czym starł się gwałtownie z majorem Hoganem, szefem szpitalnej administracji, grożąc mu i słownie znieważając, a na koniec samowolnie urwał się ze szpitala bez przepustki na pięć dni.

A w tej chwili siedział w areszcie oddziałowym. Major Hogan, dodał Alexander, wniósł przeciwko niemu oskarżenie, przedstawiając mu cztery zarzuty. Pobity porucznik odmówił złożenia skargi. Ale zarzuty Hogana wystarczały, żeby postawić Landersa przed specjalnym sądem wojskowym i skazać go na trzy do sześciu miesięcy odsiadki.

Gdyby Landers nie wrócił do szpitala dobrowolnie, a zamiast tego został schwytany i doprowadzony przez żandarmerię wojskową, to z łatwością trafiłby pod sąd wojenny.

–I co ja mam zrobić z tym fantem, do kurwy nędzy! – wybuchnął rozdrażniony Winch.

Na sekundę zerknął w okna swojego biura, za którymi tyle działo się w tej chwili.

–Nie wiem – odparł Jack Alexander. – Nic.

Zupełnie nic.

Jego suchy, twardy, stłumiony głos docierał przez słuchawkę w taki sam sposób, w jaki jego niebieskie oczy świdrowały człowieka.

Winch wyobraził go sobie nagle, jak wąskimi, twardymi, żółwimi ustami, wolno przeżuwając każdy kęs, po trochu zjada słuchawkę.

–To jeden z twoich chłopaków ze starej paczki, zgadza się? Pomyślałem więc, że może cię to zainteresuje.

–Chwileczkę – powiedział Winch. – Nie odkładaj słuchawki. Co ja mogę w tej sprawie zrobić? Co na to twój pułkownik Stevens?

–Pułkownik Stevens – zaczął bardzo wolno Jack Alexander, starannie cedząc słowa – nie powiedział na ten temat nic.

Winch zauważył, że tym razem nie użył zwrotu "mój pułkownik Stevens".

–Nie wiem nawet, czy on wie o sprawie.

–Wie z pewnością – odparł Winch. – Skoro Hogan wniósł oskarżenie.

–Przypuszczam, że tak. Na pewno – przyznał Jack Alexander. – Ale nic mi o tym nie mówił.

–Jak myślisz, warto z nim porozmawiać?

–Nie mam pojęcia.

–A czy zaszkodziłoby, gdybym z nim pogadał?

–Wprawdzie nie widzę, w jaki sposób mogłoby to zaszkodzić Landersowi, ale doprawdy nie wiem.

–I jak ja mam to rozumieć, kurwa mać?! – wykrzyknął nieco już zniecierpliwiony

Winch.

Alexander był ponoć jednym z najważniejszych ludzi

w amerykańskiej armii w środkowej części Stanów.

Człowiekiem, o którym mówiono, że może załatwić niemal wszystko, co zechce. Że podobno robi interesy i pieniądze na prawo, lewo, w tę i z powrotem. On zaś, Winch, zabiegał o jego łaski. Błagał go, prosił, żeby nie odkładał słuchawki. No a kiedy już Alexander zadzwonił, to certował się i migał.

–Twoim zdaniem, mogę mu w czymś pomóc czy nie?

–Nie wiem, czy mu pomożesz w czymkolwiek, czy wcale – zabrzmiał w odpowiedzi twardy głos z pokieraszowanego gardła starego morskiego żółwia. – Ja tylko do ciebie zadzwoniłem. Wiesz równie dobrze jak ja, że ostatnio bardzo przykręcają śrubę we wszystkich służbach. Na okrągło urwanie głowy. I wiesz dobrze dlaczego, prawda? – padło zadane ostrym głosem pytanie.

Winch poczuł na plecach dreszczyk. Nie chciał jednak w tej chwili o tym myśleć. Zerknął jeszcze raz w okna.

–Tak – powiedział. – Tak, Jack. Wiem dlaczego.

Czy to może mieć wpływ na sprawę Landersa? Mógłbym cię odwiedzić?

–Ja się do tego nie mieszam – odezwał się natychmiast głos w słuchawce. – Do tego nie.

–W porządku. W takim razie najlepiej zrobię, jeżeli spotkam się z nim tutaj, w kasynie. Jeśli zdecyduję się zaangażować w tę sprawę. Stevens wpada tam prawie co wieczór, w porze koktajlowej.

–Dobrze. Jeśli zdecydujesz się w to zaangażować.

Spotkamy się w mieście u Claridge'a. Będę tam przez kilka następnych wieczorów.

–Nie jestem pewien, czy chcę się w to mieszać – wyznał Winch.

Zanim odwiesił słuchawkę, podziękował Alexandrowi za telefon. Przez chwilę wpatrywał się w czarny aparat, a potem podszedł do dużych okien, żeby przez nie

wyrzeć. Były jedynymi oknami na drugim piętrze jedynego dwupiętrowego budynku w jednostce.

Widok w dole zapierał poniekąd dech. Pośród mgieł rozświeconego zimowego ranka biegły we wszystkie strony szeregi parterowych i jednopiętrowych koszarowych baraków, otaczających błotniste place ćwiczeń i place defiladowe. Przedzielały je boczne żwirowe drogi i ulice, w których dziury i zagłębienia nieciły w zimowym słońcu wodniste błyski. Między nimi wiły się wyasfaltowane główne arterie, poznaczone smugami od kół ubłoconych pojazdów, splątanymi z przypominającymi ślimaczy śluz śladami maszerujących żołnierskich kolumn. Nad tym wszystkim wisiał, mieszając się z mgłą, całun węglowego dymu. Daleko za ogromną, sfalowaną równiną, która, jak się zdawało, zaczynała, się u stóp tego budynku, lecz w rzeczywistości poza zasięgiem wzroku, dwie mile dalej, na widnokręgu widać było leśną wstęgę, którą tworzyły kępy wyższych drzew.

Kiedyś wyglądała tak cała ta kraina, zanim jakiś bystry obywatel skontaktował się ze swoim kongresmanem i sprzedał te nieużytki rządowi pod budowę obozu.

Pomiędzy odległymi drzewami a nim, daleko za skupiskiem właśnie budowanych, krytych papą baraków, wznosiły się bezgłośnie gejzery ciemnych chmur, powstających z odłamków drzew i ziemi, które wzbijały w powietrze jednostki ciężkiej artylerii ćwiczące strzelanie. Bliżej plutony, kompanie, a czasem i całe bataliony w jasnobrunatnych drelichach, hełmach, z bronią na ramieniu, maszerowały żwirowymi ulicami pełnymi mokrych dziur, wydychając obłoki pary wielkością dorównujące parze wydzielanej przez sznury pojazdów.

A on, Winch, przynajmniej w teorii, był szefem ich wszystkich. W każdym razie do chwili opuszczenia przez nich koszar Drugiej Armii.

Wszystko odbyło się zgodnie z przewidywaniami

starego D.T. Hoggenbecka. Tak jak się tego spodziewał i jak to załatwił. Idealna synekura. Wystarczyło jedynie wystrzegać się kłopotów.

Winch o niczym lepszym nie marzył w swoich młodych zmarnowanych latach, gdy ciężko pracował na to, by dołożyć pierwszy "biegun" plutonowego do trzech kaprałskich winkli. A teraz osiągnął cel.

Umieszczony pod niskim parapetem grzejnik wysyłał w górę ku jego dłoniom strumień gorącego powietrza, które łączyło się z powietrzem z innych grzejników, by w jego biurze było ciepło i nie doskwierało mu zimno, tak jak tym żołnierzom w dole. Ciepło na tyle, by ogrzało jego schludną zimową bluzę mundurową, wiszącą porządnie na oparciu krzesła i migoczącą kolorowo dwoma rzędami baretek.

Zadumany Winch pozostał przy oknach.

Skoro dochrapał się tego stanowiska, w dodatku tak łatwo, to dlaczego się nie cieszył?

W tej chwili szkolono tutaj dwie pełne dywizje, które przygotowywano do walk w północnej Europie, a nie we Włoszech.

Dwie pełne dywizje. Osiemnaście tysięcy żołnierzy.

A do tego Bóg wie ile innych samodzielnych oddziałów kwatermistrzowskich, zaopatrzeniowych i łączności.

Miał czas zastanowić się nad aluzją, którą zrobił przez telefon Alexander. Ponieważ właśnie na "nią" patrzył. Małomówny i rozważny Jack Alexander, były bokser, napomknął o przykręcaniu śruby i mobilizacji w całej armii.

Winchowi znów przebiegł po plecach dreszczyk.

Stany Zjednoczone nareszcie wkraczały do Europy.

Z pomocą Wielkiej Brytanii planowały dokonać inwazji we Francji. Wiedziało o tym kilka tysięcy ludzi z dowództwa. Lada dzień zamierzano ogłosić to publicznie i rozdysponować przydziały. Takim jak on i Alexander nigdy

o tych sprawach nie mówiono i nie wtajemniczano w plany. Ale i tak wiedzieli. Wiedzieli o tym prawie wszyscy.

Publicznego ogłoszenia planów spodziewano się najprędzej w okolicach świąt. Ale już wcześniej wcieleni do wojska, ćwiczący w zimowym bloku koszar O'Bruyerre'a cywile nie mieli wątpliwości, dokąd jadać i czego mogą się spodziewać.

Inwazja w Europie. Pogłoski o niej krążyły już od września, jeszcze przed lądowaniem w Salerno. Drobne plotki i duże dyskusje na ten temat wędrowały korytarzami szpitala Kilrainey tam i z powrotem. Na tę inwazję zdązał każdy powracający do służby.

Obecnie stało się już niemal pewne, że lądowanie w Europie nastąpi na wiosnę albo w lecie. Za mniej więcej pół roku. A w miarę zbliżania się terminu, wszędzie w wojsku przykręcano śrubę, gdy chodziło o niesubordynację i samowolne oddalenia.

I to właśnie taki okres wybrał sobie Landers na wpakowanie się w kłopoty. Patrząc w zadumie przez okna na parujących piechurów, Winch widział zimowy deszcz, który zaczął na nich padać, bo słońce skryły chmury.

Tylko tego im brakowało. Ale najgorsze było dopiero przed nimi. Zastanawiał się, ilu z nich zginie podczas tej nowej wielkiej batalii. Ilu przypadnie, odejdzie na zawsze.

Wielu. Właściwie nie dbał o to. Był ich zwierzchnikiem tylko w teorii, na papierze. W dodatku jedynie chwilowo.

Niech giną, pomyślał. Ktoś musi.

Bardziej obchodziło go to, że Marion Landers wpakował się w kłopoty. Tak samo bardziej od nich obchodził go ten przeklęty Bobby Prell. I jego kucharz kompanijny, Johnny Stranger.

Wobec innych członków kompanii nie żywił aż tak mocnych uczuć. Może dlatego, że znaleźli się w kraju

wcześniej i zmienili się, zanim do Stanów przyплыnęli on, Strange, i dwóch pozostałych. A może dlatego, że w czasie długiego rejsu powrotnego jego życie tak silnie splotło się z życiem tych trzech.

Tych trzech znaczyło dla niego w tej chwili więcej niż tamci wszyscy za oknami,

którzy pocili się i buchali parą na zimowym chłodzie jak zajeżdżone, wyczerpane konie.

Na pewno mieli swoje zmartwienia. I zniszczono im prywatne życie. Ich żony, dzieci i zapewne rodzice leżeli nocami nie mogąc spać i martwiąc się o nich. Ale jego nie obchodzili nic a nic.

Z prawdziwego życia pozostali mu tylko Prell, Landers i Strange.

Gdzieś w najgłębszych zakamarkach świadomości, w miejscu, którego nigdy nie pragnął zbadać, lecz wiedział, że ono istnieje, kryło się mocne przekonanie, przesąd, że jeżeli uda mu się sprawić, aby Landers, Strange i Prell to przeżyli, nie zginęli i nie zwariowali, to wyjdą z tej wojny nietknięci. A być może także i on. Ostatnio coraz bardziej dawały mu się we znaki nocne zmory.

Był rozdrażniony, prawie wściekły na myśl, że Landers narozrabiał właśnie teraz. Nie potrafił się zdecydować, czy powinien zaangażować się w jego sprawę.

Nawet Jack Alexander nie chciał się do tego mieszać.

Akurat teraz.

Każdy głupek to wiedział. W takich czasach liczyła się rzetelność. Taki podły, złamany chuj jak Hogan nadymał się, niczym balon i ruszał na poszukiwanie ofiary tylko po to, żeby się zasłużyć. Nie mogli się tego, psia mać, ustrzec nawet najbardziej prawi ludzie.

A może Landersowi wyszłoby to na dobre? Gdyby odsiedział te trzy czy sześć miesięcy i dostał nauczkę?

A jednak po pracy i kolacji wieczorem w kasynie oficerskim jednostki Winch dopadł pułkownika Stevensa i zatrzymał go przy barze.

Stevens naturalnie wiedział o Landersie i sędzie specjalnym. Ani o jednym, ani o drugim nie miał dobrego zdania. Wyszło to na jaw natychmiast, kiedy Winch wspomniał o sprawie. Ale zrobił to dopiero po postawieniu staremu pułkownikowi co najmniej trzech kolejek.

Dawno temu nauczył się, jak postępować z oficerami na ich własnym gruncie. Stopień chorążego oraz przywileje, jakie zapewniało mu członkostwo klubu i prawo do przebywania na równych prawach w tym otoczeniu, posuwało tę zasadę o krok dalej.

Tajemnicą powodzenia był szacunek. Bez względu na to, co sobie myślałeś. Wszyscy starzy absolwenci akademii West Point wymagali od ciebie tylko prawa do traktowania cię po ojcowsku. A nasilało się to wraz ze stopniem. Pozostawało ci jedynie tytułować ich z całym szacunkiem i nie zadzierać nosa tylko dlatego, że wszedł między oficerzy. Na butę byli bardzo wyczuleni.

Liczył się szacunek. Ale nie służalczy, tylko okazywany z wdziękiem. Na szczęście, kiedy Pan Bóg rozdzielał wdzięk, Winch nie był od macochy. Wobec Stevensa wykorzystał go w pełni. Podobnie jak robił to wobec wszystkich, odkąd awansował i wkroczył w te elitarne progi.

–Jak się domyślam, służył w pana dawnej kompanii, czy tak? Na Guadalcanale? – spytał bez przekonania pułkownik Stevens.

Opierał się o kontuar baru w swobodnej pozie bywalca. Lubił przyjeżdżać tutaj z miasta ze względu na swoich starych kolegów z West Point, których miał w Dowództwie Drugiej Armii.

Winch nie cofał się przed kłamstwem, jeśli było absolutnie niezbędne. W pewnym sensie na kłamstwach było zbudowane jego życie.

–Tak, panie pułkowniku. Na Guadalcanale – skłamał. – Ale oberwał na Nowej Georgii.

Stevens skinął głową. Było to ważne.

–Mnóstwo żołnierzy oberwało na jakiejś wyspie albo kontynencie – odparł mimo to neutralnym tonem.

–To prawda, panie pułkowniku. I przeważnie na pewien czas trochę głupieli.

–Ale nie do tego stopnia. Do czego pan zmierza, Mart? – Stevens uniósł szklaneczkę i uśmiechnął się do niej. – Mogę panu mówić po imieniu? Bardzo dużo o panu słyszałem, z różnych źródeł.

–Bardzo mi miło, panie pułkowniku – odparł bezzwłocznie Winch i uśmiechnął się najbardziej czarująco, jak umiał. Aż go zabolaly szczęki. – Ja też o panu bardzo wiele słyszałem, panie pułkowniku, bo w przeciwnym razie bym do pana nie podszedł. Chodzi o to, że za nic nie chciałbym dopuścić do zmarnowania talentów i inteligencji tego żołnierza. Mówiąc w wielkim skrócie.

–Tak, oczywiście, otóż to – mruknął Stevens.

–Bardzo liczę się z pańską opinią. A poza tym nie chciałbym wpakować żadnego dobrego żołnierza do paki. – Potrząsnął głową. – Postanowiłem jednak... nie mieszać się do tej sprawy. Wątpię, czy byłoby to na miejscu.

–Nikt też tego od pana nie wymaga, panie pułkowniku. A już najmniej ja – odparł Winch. – Ale my, starzy zawodowi żołnierze, dobrze wiemy, że ten dobry lekarz w cywilu, major Hogan, jest, nazwijmy to, nieco nadgorliwy.

Dziwne, że człowiek mógł się tak zmobilizować, iż zaczynał mówić jak oficerowie, posługiwać się ich językiem. Po prostu inaczej się wyrażał. Mniej bezpośrednio.

Należało jednak zachować ostrożność, żeby nie przesadzić i nie dać się na tym przyłapać.

Stevens uśmiechnął się, mimowolnie zaśmiał i, zakłopotany, lekko się zaczerwienił. Odchrząknął.

–Nie jest to żołnierz zawodowy – ciągnął Winch.

–I nie wie, jak postępować z żołnierzami zawodowymi.

–Pański Landers też chyba nie jest żołnierzem zawodowym, prawda? – spytał Stevens i znowu się uśmiechnął.

–Tak, panie pułkowniku. Nie jest zawodowcem. I, prawdę mówiąc, zaliczył trzy i pół roku studiów. To jeszcze jeden powód, że za nic nie chciałbym, żebyśmy go stracili. Zresztą zachowuje się bardziej jak żołnierz zawodowy niż poborowy.

–Nie wiem, co z takim można zrobić. – Pułkownik zmarszczył brwi. – Powinien był uważać. Zwłaszcza teraz.

Przyjrzał się z uwagą Winchowi.

–Prawdopodobnie nie wiedział, że dzieje się coś niezwykłego, panie pułkowniku – rzekł Winch.

–Przecież wszyscy o tym wiedzą – odparł Stevens.

–Nawet moja żona. – Przygryzł wargę i po chwili wybuchnął, ale grzecznie. Jego szare oczy, tej samej barwy co jego włosy, płonęły. – Odkąd kieruję szpitalem, miałem do czynienia tylko z dwoma procesami przed sądem wojskowym. W obu przypadkach w trybie przyśpieszonym.

–No, ale można to załatwić inaczej. Można zdegradować go do szeregowca, panie pułkowniku.

Winch dał znak barmanowi, żeby nalał jeszcze jedną szklaneczkę, bo szklaneczka Stevensa stała na barze pusta. Stevens wzbraniając się podniósł rękę i potrząsnął głową. Ale Winch mimo to dał znak barmanowi, żeby przyniósł whisky.

–Jeżeli pan nie wypije, to zrobi to ktoś inny, panie pułkowniku – powiedział.

–A co z panem, nie pije pan?

–Nie, panie pułkowniku – odparł wesoło Winch.

–Nie mogę. Nie pozwalają mi na to lekarze. Ale niech

pan nikomu nie da sobie wmówić, że za tym nie tęskni.

Ja tęsknię jak wszyscy diabli.

Stary pułkownik parsknął cichym śmiechem.

Kiedy barman podał szklaneczkę, Winch nagle odwrócił się od baru i wskazał ręką salę. Przybyło w niej ludzi i dymu.

–Chyba pana nie zatrzymuję, panie pułkowniku?

Nie miałem takiego zamiaru – skłamał.

–Ach nie, ach nie – odparł Stevens. – Proszę mówić. Chcę poznać pańskie zdanie.

–To nic ważnego, panie pułkowniku. Przyszło mi tylko na myśl, że mógłby pan go zdegradować do stopnia szeregowca. Jest tylko starszym kapralem, rozumie pan. Sam go awansowałem. Przez jakiś czas był u mnie pisarzem kompanijnym. Zanim dowódca batalionu ukraść mi go i zrobił podoficerem łącznikowym.

–Znów się uśmiechnął i wprawdzie nie mrugnął okiem, ale zrobił coś bardzo zbliżonego. Dla przypieczerowania sprawy zaś dodał: – A w kilka dni potem został ranny.

Dowódca batalionu nie zdążył go już awansować.

–Obawiam się, że jego degradacja przekracza moje kompetencje – odparł bez przekonania Stevens. – Jak pan wie, ci wszyscy niesprawni żołnierze są tu tylko czasowo. Nie mam nad nimi władzy dowódcy oddziału.

Musiałbym się z tym zwrócić do Waszyngtonu.

–To i tak byłoby lepsze od sądu wojennego, panie pułkowniku – rzekł Winch.

Stevens uśmiechnął się.

–Tak przypuszczam – powiedział. – O co jednak panu konkretnie chodzi? Nie przedstawił mi pan żadnych konkretów, panie Winch.

–Bo nie mam żadnych konkretów, panie pułkowniku. A przynajmniej innych poza tym, który wymieniłem: że chcę uratować tego żołnierza – odparł Winch, wpatrując się w szklankę nie dopitego soku grejp401 owocowego z lodem. – W każdym razie trochę mnie zdziwiło, że ten porucznik zamieszany w burdę, ten drugi, który się bił,

uznał sam, że nie warto wnosić skargi.

Stevens nie odrywał od niego wzroku.

–To prawda. Ma pan rację. Nie wniósł skargi – przyznał po chwili.

–Czy pan w ogóle z nim rozmawiał, panie pułkowniku?

–Nie, nie. Nie rozmawiałem. A może powinienem.

Patrząc prosto przed siebie, Winch podniósł szklaneczkę z niesmacznym sokiem grejfrutowym i wypił go aż do lodu na dnie.

–Nie zawadziłoby spróbować, panie pułkowniku – powiedział odstawiając szklankę.
– W tych okolicznościach...

Na tym stanęło. Winch zawsze wiedział, kiedy należy zamknąć temat. Stevens z własnej inicjatywy obiecał, że jutro porozmawia z poszkodowanym porucznikiem.

Zanim znowu przemówił, uśmiechnął się trochę szelmowsko.

–Wie pan, Mart? Rad byłbym mieć u siebie takiego dowódcę jak pan. Kiedyś takiego miałem, jakiś czas.

–Och, dziękuję, panie pułkowniku – odrzekł Winch, wyduszając z siebie jak najwięcej pokory, której oczekiwano od podoficerów, i przybrał najmilszy i najbardziej pełen szacunku uśmiech. Ale myślał wyłącznie o tym, jak najszybciej wynieść się stąd w diabły.

–Nie myślał pan kiedyś o zostaniu oficerem? – spytał Stevens.

–Nie, panie pułkowniku. Nie jestem pewien, czy pozwoliłoby mi na to zdrowie – odparł z wesołym uśmiechem Winch. – A zresztą, czemu miałbym przyjmować rozkazy od wszystkich, od poruczników poczynając, skoro jako chorąży mogę je wydawać?

Stevens uśmiechnął się.

–W tym przypadku chyba ma pan rację – rzekł.

–Też tak myślę, panie pułkowniku – powiedział Winch z tym samym wesołym uśmiechem.

Na dworze w chłodnym zimowym deszczu podszedł do swojego dodge'a. Padało bez przerwy. Samochód stał na dużym wyasfaltowanym parkingu należącym do kasyna. Winch, któremu trzęsły się kolana, czuł się tak zmęczony, jakby przez pełną godzinę grał w piłkę nożną.

W samochodzie włączył wycieraczki i przez dłuższą chwilę tylko siedział, zadowolony, że nie musi rozciągać twarzy w wesołym uśmiechu. Światła kasyna, w którym nie mógł wytrzymać, błyszczały na mokrym asfalcie i rozszczępiały się na kolory po przejściu przez pokrytą kroplami deszczu przednią szybę dodge'a, drwiąco obiecując pociechę, której, jak wiedział, nie znajdzie. Nigdy jeszcze nie czuł się taki samotny. Oddałby w tej chwili wszystko za kieliszek.

Gdy na zewnątrz czuł na twarzy deszcz, było mu przyjemnie, ale w samochodzie marzył. Miał na sobie nowy, dobrze skrojony, szyty na miarę płaszcz za sto pięćdziesiąt dolarów i regulaminową furażerkę zagranicznego kroju (zwaną przez żołnierzy piździarką, ponieważ tak właśnie kojarzyła się im szpara na jej szczycie). Winch z żalem przypomniał sobie dawne wojskowe czapki sprzed wojny i pomyślał, że przydałaby mu się taka na dzisiejszy deszcz. Płaszcz miał poły większe od normalnych i "modny" zielony kolor.

Dodge pochodził z transakcji załatwionej przez Jacka Alexandra. Alexander znał w Luxorze pewne przytulne mieszkanko, gdzie już wkrótce na Wincha miała czekać Carol Firebaugh. Alexander radził mu, żeby oszczędzał, zamiast tracić wszystko na kosztowne bzdury, no bo jak inaczej zainwestuje w cokolwiek? Zawrze jakąkolwiek transakcję?

Po jakimś czasie Winch włączył silnik i grzejnik

i pojechał na kwaterę. W malutkim pokoju wypił dwie szklaneczki białego wina, które pozostało w butelce, a potem, zdjawszy z siebie tylko mundurową bluzę, zwałił się na łóżko i mocno zasnął.

Obudził go dzwonek telefonu. Ocknął się zdezorientowany, bo wydało mu się, że to dzwoni głośny polowy telefon z dowództwa batalionu, że chce z nim rozmawiać pułkownik Becker. Winch znów znalazł się na wielkim otwartym polu walki. Do diabła z Beckerem! W niczym nie mógł pomóc. Ze swojego stanowiska nie mógł ich nawet widzieć. Z przodu i z tyłu na żołnierzy znów spadały pociski moździerzowe. Winch widział to z miejsca, gdzie stał. Krzyczał, machał w ich kierunku jak szalony i wrzeszczał: "Zabierzcie ich stamtąd! Zabierzcie ich stamtąd! Nie widzicie, co się dzieje?! Otoczyli ich ogniem z moździerzy! Zabierzcie ich stamtąd!" Siadając zacisnął zęby i zdusił okrzyk, a potem spojrzał na zwykły, pospolity telefon przy łóżku jak na jakiś obcy przedmiot. Nawet z takiej odległości widział wielkie białe oczy swoich żołnierzy, oślepiająco białe w ubłoconych twarzach. Oglądali się na niego. Szukali pomocy.

Kiedy wziął z widełek czarną słuchawkę i odchrząknawszy, żeby pozbyć się chryпки, ostrożnie spytał, kto mówi, okazało się, że to Jack Alexander.

Nie krzyknął. Na pewno nie. Dopóki nie wykrzyknął na głos ostatecznego wyroku, dopóki nikomu nic nie mówił ani nie musiał mówić i dopóki nikt o tym nie wiedział, nic mu nie groziło i był pewien, że nic mu nie zagrazi.

–No więc, o co chodzi? – spytał tonem ostrzejszym, niż zamierzał.

–Nie naskakuj na mnie – odparł gruby głos.

–Dzwonię, żeby ci pogratulować. Nie wiem, co powiedziałaś Staremu, ale on to kupił.

–Obiecał mi, że porozmawia z tym porucznikiem – powiedział Winch.

–Owszem. Ale ja nie mówię o Landersie. Ja mówię o tobie. Nie wiem, co mu powiedziałeś, ale odjechał stamtąd przeświadczony, że jesteś najwspanialszym chłopem pod słońcem – dodał kostycznie głos w słuchawce.

–O sobie nie wspomniałem mu nic.

–Ja naturalnie nie powiedziałem mu o tobie całej prawdy – dodał skromnie gruby głos, siląc się na żart.

Winch postarał się zebrać myśli.

–Aha. No to cieszę się, żeś mnie nie wsypał.

Alexander nie zadał sobie trudu, żeby się zaśmiać.

–Jutro mam złapać tego porucznika. Stary posunął się do tego, że zadzwonił do mnie do domu. Zresztą i tak jestem na jego zawołanie. Tak więc jutro porozmawiamy z tym porucznikiem. Dla tego twojego Landersa sprawy mają się już znacznie lepiej.

–Trzeba jednak skłonić Hogana, żeby wycofał zarzuty. To rzecz zasadnicza.

–To dureń – odparł Alexander. – Tak się stara nie podpaść Stevensowi, że podwija pod siebie ogon i truchleje, kiedy Stary zaklnie "cholera". O niego się nie martw.

–W takim razie wygląda to całkiem dobrze.

–Owszem, owszem, wygląda. Aha, przyjeżdżasz dzisiaj do miasta? Dlatego że...

–Nie miałem tego w planach – rzekł ostrożnie Winch.

–Bo będzie tutaj dwóch gości stąd – powiedział Alexander. – Ważnych gości. Byłoby dobrze, gdybyś ich poznał.

–Nie wiem, czy się wyrobię – odparł Winch. – Ale postaram się wpaść.

–Postaraj się. Będziemy grali w Claridge'u. W pewnych sferach oni dużo znaczą. Znają senatorów i różnych takich. – Ton głosu wskazywał, że Alexander nie wierzy w przyjazd Wincha, ale przekazanie mu tych informacji uważa za swój obowiązek. – Dobra, jeżeli nie przyjedziesz, to pogadam z tobą jutro.

Głos w słuchawce zamilkł.

Winch odłożył słuchawkę i usiadł, wpatrując się w aparat. Senna zmora, którą znał w najdrobniejszych szczegółach, tkwiła mu w głowie równie mocno jak ta rozmowa na jawie. Nie chciał spędzić dzisiejszego wieczoru z Alexandrem i nie miał zamiaru jechać do Claridge'a. Nurtowała go samotność, smakująca jak nadgryziony miedziak. W takim nastroju pragnął być wyłącznie z Carol.

W czasie snu pogniótł sobie mundur. Ale nie przebrał się, włożył tylko inną, zimową bluzę. Na dworze wciąż padało.

Do Luxoru było trzydzieści pięć mil. Czekало go pięćdziesiąt pięć minut jazdy w deszczu i obserwowanie starej, betonowej szosy w wachlarzu na przedniej szybie, przetartym przez wycieraczki. Równoległe do betonowej drogi biegła druga, dwupasmowa asfaltowa, którą budowano na zlecenie rządu. W sumie miała to być czteropasmowa autostrada dla wojskowych transportów jadących z Obozu O'Bruyerre'a na stację w mieście.

Winch skupił się na jeździe, żeby nie myśleć. Nie myśleć ani o Carol, ani o Alexandrze.

Rada, której udzielił mu Jack, zasługiwała na uwagę.

W gruncie rzeczy nie było nic niewłaściwego ani tym bardziej nieuczciwego w zarabianiu pieniędzy w taki sposób. Wojskowi robili jedynie to, co zrobiłby każdy przeciętny biznesmen, gdyby dostał kontrakt rządowy. Przede wszystkim liczyły się znajomości.

Znajomości oraz zbieranie i przekazywanie odpowiednich informacji w odpowiedniej chwili. Czasem, ale bardzo rzadko, w grę wchodziło też wsunięcie komuś do ręki drobnej sumy.

W codziennej praktyce jednak wystarczyło wiedzieć, co należy kupić. Ale żeby kupić coś we właściwym czasie, trzeba było dysponować pieniędzmi, gotówką.

Ktoś musiał być właścicielem firm rozwożących coca-colę i budweisera do wszystkich kantyn i sklepów wojskowych w rejonie. Ktoś musiał być właścicielem przedsiębiorstw transportowych zaopatrujących je w piwo i napoje.

D.T. Hoggenbeck naświetlił całą sprawę bardzo jasno. Kupujesz bar, powiedział.

Ludzie zawsze będą pić. Żeby się waliło i paliło, zarówno w kryzysie jak przy cudzie gospodarczym, ludzie będą pili. Ale zanim będzie cię stać na bar, musisz zgromadzić fundusze. A Jack Alexander zna sposoby, jak je zdobyć. Dlatego właśnie D.T. posłał go do Jacka. Jack miał kontakty, znał właściwych ludzi. A poza tym rada, jakiej mu udzielił, była całkowicie słuszna.

A sprowadzała się ona głównie do tego, żeby odkładać każdy grosz, który wpadnie ci w ręce. Bo kiedy nadarzy się okazja, będziesz miał do zainwestowania gotówkę. Kilka takich udziałów w różnych przedsięwzięciach zapewni ci tyle pieniędzy, że będziesz mógł nabyć bar, dwa bary, albo trzy, dać w łapę politykom za uzyskanie pozwolenia na sprzedaż alkoholu i grubą forszę za samo pozwolenie. Nic więcej nie potrzeba. To bardzo łatwe. Ale właśnie tego wszystkiego Winch wcale nie robił.

Alexander oczywiście domyślał się, że w grę wchodzi kobieta. Ale nie wiedział o Carol. I nie był tym zainteresowany. Nawet o to Wincha nie pytał. Nie miał jednak wątpliwości, że chodzi o kobietę. Cóż innego skłaniało Wincha do przepuszczania całej forsy niczym pijany marynarz? Nieważne, kim była ona.

–Kiedyś tego pożałujesz – mówił ze spokojem przez swoje pokieraszowane gardło. – Inwestować należy teraz. Niedługo interesy się urwą.

Winch nieodmiennie wzruszał tylko ramionami i obiecywał, że następnym razem będzie miał pieniądze. A Alexander lojalnie zawiadamiał go o nowych przedsięwzięciach.

Na co Winch równie lojalnie odpowiadał mu, że znów nie ma gotówki. – Żadna dupa nie jest tego warta – flegmatycznie zauważył kiedyś Alexander.

Winch milcząco przyznał mu rację. Kobieta nie była tego warta. Żadna.

–Gdyby nie wzgląd na starego D.T., to bym cię spisał na straty – wyznał ponuro Alexander. – I posłał cię w diabły.

W tym również Winch musiał przyznać mu rację.

Gdyby nie zobowiązania wobec D.T., Alexander prawdopodobnie by to zrobił. Ale to właśnie D.T. pomógł mu rozkręcić interesy.

Winch nie kupował Carol ani futer, ani biżuterii. Aż tak bardzo mu na niej nie zależało i nie był w niej zakochany na zabój. Zdawał też sobie sprawę, czym to wszystko się skończy.

Nie miał pojęcia, na co rozeszły się pieniądze.

Wiedział tylko, że je wydał. Głównie na podtrzymywanie określonego stylu życia. Stylu, który ułatwiał i uprzyjemniał im obojgu romans. Stylu, który chronił ich romans, żeby użyć słów obcych Winchowi, gdyż ich nie używał, od skalania, zbrukania.

A pod tą prawdą kryła się jeszcze jedna, którą wcale się nie przejmował. W głębi duszy był zadowolony, ilekroć mógł zgodnie z prawdą oznajmić Alexandrowi, że nie ma pieniędzy na jakąś transakcję. Poniekąd cieszył się, że ich nie ma. Dlaczego więc nie miałyby wydać ich wszystkich na Carol? Czy to coś zmieniało?

Nic w zamian nie oczekiwał.

Carol. Bardzo interesująca dziewczyna. Sama w sobie. Siedział za kierownicą – wycieraczki na przedniej szybie zamiatały deszcz – i myślał. Czyli robił akurat to, czego chciał uniknąć.

Czyż istniała kobieta, która nie trzymałaby na pasku

mężczyzny, z którym się związała? Żadna. A w każdym razie bardzo niewiele kobiet. Pod tym względem przypominały mężczyzn. Myśl o samotności, prawdziwej samotności, przerażała je. Więc trzymały się mężczyzny, którego akurat miały, chyba

że trafił się lepszy.

Tak więc było do wyboru: albo odbić kobietę innemu mężczyźnie (który mógł mieć jej dość, tak jak ona jego, dopóki nie odkrył, że mu ją zabrano), albo znaleźć kobietę "bez przydziału". Ale takie należały do rzadkości. Kobietę, która z kimś zerwała i była naprawdę wolna. Na krótko. Zwykle jej osamotnienie trwało nie dłużej niż trzy miesiące. Do tego czasu znajdowała sobie kogoś nowego. Zdobywanie takiej kobiety zależało od trafienia na nią we właściwym momencie i od szybkiej orientacji, czy można zwlekać, czy też nie. Kiedyś, gdy kobiety faktycznie dużo dla niego znaczyły, Winch był bardzo dobry w zdobywaniu takich "bez przydziału".

Zaraz po pierwszej minucie, którą zrobił Carol, wspomniała mu o swoim chłopaku.

Leżeli nadzy w hotelowym pokoju u Claridge'a. Nie wynajął jeszcze wówczas małego mieszkanca. Carol, rozciągnięta na wznak, z rozłożonymi rękami i nogami, wpatrywała się w sufit.

–Mężczyźni na ogół nie lubią tego robić – powiedziała cicho, zmuszając się do uśmiechu.

–Mówisz o Amerykanach – odezwał się. – Też tak myślę. Ale nie ja. Ja to lubię. Lubię to robić i sprawiać kobietom przyjemność.

Miała takie wspaniałe młode ciało. Młode piersi, płaskie biodra, wydatny wznórek łonowy. Była taka nie tknięta przez życie.

–Jak myślisz, dlaczego tego nie lubią?

–Och – odparł leniwie. – Winna temu jest chyba nasza amerykańska religijna edukacja. Amerykańskie chrześcijaństwo. Nasza wiara i seks nie mogą obyć się

bez siebie. Seks jest zły, brudny, nieczysty. Obciążony poczuciem winy. A nie powinien. To ogromnie prymitywny punkt widzenia. Średniowieczny. Ale ściśle związany z naszym purytanizmem.

–Nigdy o tym nie myślałam w taki sposób – powiedziała Carol.

Winch usłyszał, że znacząco zawiesza głos. Oczy wciąż miała utkwione w suficie. Tym razem jednak nieruchomo.

–Mój chłopak... ze szkoły... też tego nie lubi i tego nie robi – odezwała się.

Winch wyczuł, że Carol czeka na jego reakcję.

Wsparty na łokciu, przyglądał się jej i zobaczył, że zwraca oczy w jego stronę, a potem szybko znów przenosi wzrok na sufit. Jej zezujące oko zdawało się chwiać na wszystkie strony, jakby chciało się na czymś zatrzymać.

Winch uśmiechnął się.

–Nie robi tego? I nie zrobi? – spytał swobodnie, umyślnie przeciągając milczenie. – No cóż, jest jeszcze bardzo młody.

–Tak, tak, właśnie! – zawołała skwapliwie, cały czas skupiając wzrok na suficie. – Czy byłeś kiedyś w burdelu?

Rozśmieszyła go.

–Ja? Tak, oczywiście. Wiele razy.

–Bo on bardzo często chodzi do burdelu.

Winch rozważał to przez chwilę. Z nie znanego sobie powodu świetnie się bawił. Żadnej zazdrości, żadnych udręk. Żadnego cierpienia.

–Pewnie mówi ci, że chodzi tam znacznie częściej, niż to robi w rzeczywistości – rzekł.

–Dlaczego? – Żeby się popisywać.

–Tylko to doprowadza mnie do orgazmu. To, co

robisz mi ty – wyznała. – Chyba że zabawiam się sama z sobą.

–Z własnego doświadczenia, z własnego ogromnego doświadczenia wiem – powiedział z uśmiechem Winch – że bardzo mało kobiet przeżywa orgazm w trakcie zwykłego pierdolenia.

–Naprawdę?

–Tak.

–A więc nie myślisz, że ze mną jest coś nie tak?

Winch pokręcił głową. Orgazm! Na pewno było to słowo, którego używa się na studiach. Spostrzegł, że Carol w ogóle nie mówi o "spuszczaniu się". Nagle przyszło mu do głowy, "że być może skłamała mu o tych wizytach swojego chłopaka w burdelu. A może chłopak był także jej wymysłem?

Nie kłamała.

–Ja też lubię to robić – wyznała. – Lubię to.

Podoba mi się. Ale z nim nigdy bym się nie ośmieliła.

Nigdy nie śmiałam mu tego zaproponować.

–To da się łatwo naprawić – rzekł Winch i uśmiechnął się.

–Czy nie masz nic przeciwko temu, żebym porozmawiała z tobą o nim? Żebym ci o nim opowiedziała?

–Nie – odparł. – Wcale.

Dowiedział się o nim bardzo wiele. Wtedy i potem.

Był z przerwami jej chłopakiem od czasów szkoły średniej. Drugim, z którym się przespała. Pierwszego otaczała tajemnica. Utrzymywana do tej pory. Przed swoim chłopcem udawała, że jest dziewicą. Była przekonana, że jej uwierzył. W gimnazjum rzuciła go na jakiś czas. Dla starszego chłopaka, studenta. Ale potem do niego wróciła. Za namową owego studenta wybrała się na studia do Western Reserve. Wprawdzie on się tam nie uczył, ale studiował aktorstwo. Jej chłopak pojechał za nią. Wybierał się na studia do Oxfordu, ale odkrył,

że w Reserve może studiować zarządzanie. A poza tym nie mógł znieść rozstania z nią. Tak powiedział. W Reserve dwa razy od niego odchodziła po burzliwych kłótniach, ale wracała.

Jej chłopakowi z pewnością było trudno. Mężczyźni w jego rodzinie zawsze szli na studia do Oxfordu. Kiedy jednak postanowił pojechać za nią, miał bardzo ciężką przeprawę ze swoją rodziną. Tylko że był taki ograniczony. Nieustępliwy. Uparty. Akurat taki, jak to wszystko w Luxorze, od czego pragnęła uciec.

W obu przypadkach, gdy go opuszczała, nawiązywała romanse. Raz, na drugim roku, ze starszym od siebie chłopcem. Drugi raz, na trzecim roku, z żonatym lektorem angielskiego. W obu przypadkach sytuacja była beznadziejna. Nie do utrzymania. Za każdym razem jej chłopak przyjmował ją z powrotem, o nic nie pytając.

Był stuprocentowym dżentelmenem, choć ona wolałaby może, żeby tylko w połowie.

Chciał niezmiennie, żeby zaraz po studiach, kiedy wróci do domu i zacznie pracować, wzięli ślub.

Nie zgodziła się na to i nie chciała ogłosić oficjalnych zaręczyn.

Był taki ograniczony. Kiedy się upił, robił się niemożliwie prostacki. Właśnie wtedy zaczynał mówić o burdelach.

Tamtej pierwszej nocy, leżąc na łóżku i opowiadając Winchowi o swoim chłopaku, Carol nagle zaczerwieniła się od czoła w dół aż do piersi.

Na jednym z przyjęć, kiedy się spił i stał się w ordynarny sposób zazdrosny, a wreszcie stracił przytomność, w porywie gniewu wyszła stamtąd z jakimś wolnym facetem i zrobiła to z nim na tylnym siedzeniu samochodu. Jej chłopak nic nie podejrzewał.

–Nie mówiłam o tym nikomu – wyznała.

–Twoja tajemnica jest u mnie bezpieczna – odparł z uśmiechem Winch.

–Wcale nie chcę być "pięknością z Południa" – oznajmiła i na chwilę się zamyśliła. – Ale obawiam się, że i tak nią jestem.

–Jesteś śliczną pięknnością z Południa – rzekł, kładąc nacisk na przymiotnik.

Uniosła głowę i znów się zaczerwieniła, z uznaniem przesuając wzrokiem po swoim nagim ciele.

–Nie przypominam żadnej z tych litografii z wojny secesyjnej – powiedziała.

Było to w połowie listopada. Wkrótce potem okazało się, że chłopak Carol przyjeżdża do domu na Święto Dziękczynienia. Nie mogła więc spotykać się z Winchem przez kilka dni. Może nawet przez tydzień. Miała jednak nadzieję, że on nie weźmie jej tego za złe. Liczyła, że nie będzie zazdrosny. I że to... niczego nie zmieni.

Winch uśmiechnął się.

–Nie. Nie zmieni – uspokoił ją. – Mam mnóstwo zajęć.

–Nie będziesz się czuł samotny?

–Nie, nie będę się czuł samotny.

Raptem roześmiała się.

–A niech cię diabli!

–No, może trochę – rzekł z uśmiechem.

–A to co innego – powiedziała. – Widzisz – dodała – nic na to nie poradzę, że jestem pięknnością z Południa.

Kiedy wróciła po Święcie Dziękczynienia, natychmiast powtórzyła, co powiedział jej chłopak: "Wiem, że masz kochanka".

Winch zaśmiał się.

–A skąd o tym wiedział, jak myślisz? – spytał.

–Powiedział, że poznaje to po moim zachowaniu. Że jestem za bardzo szczęśliwa. Naturalnie zaprzeczyłam.

Sytuacja ta powtórzyła się znów przed Bożym

Narodzeniem. Jej chłopak przyjeżdżał do domu na ferie świąteczne. Nie mogła spotykać się z Winchem przez jakiś czas. Może przez trzy tygodnie. Oczywiście Winch wynajął już mieszkanie.

–Spróbuję przynajmniej raz wymknąć się i nawiać – obiecała.

–Nie martw się.

Winch uśmiechnął się do niej. Powrócił już do służby i w Obozie O'Bruyerre'a miał naprawdę dużo zajęć.

Na dobrą sprawę nie wiedział, co sądzić o jej chłopaku. Z pewnością był to po prostu poczciwy, sympatyczny, zasługujący na zaufanie niedorajda z zamożnej rodziny z Południa. Winch ani trochę nie zazdrościł mu małżeństwa z Carol – gdyby kiedyś do niego doszło. Nie miał jednak żadnej wątpliwości, że dojdzie. Jeśli żywił jakieś uczucie wobec tego chłopca, to do pewnego stopnia sympatię.

–On chce, żebym była jak jego matka – powiedziała kiedyś Carol. – A jednocześnie pragnie, żebym traktowała go jak prostytutka.

–Skoro jednak jesteś jego kurwą, to nie możesz być dla niego jak matka – rzekł uśmiechając się Winch.

–Właśnie!

Dziwne, ale Winch nie był o nią zazdrosny. Po prostu nie był. Nie zaprzętał sobie głowy tym, że spędziła ze swoim chłopakiem Święto Dziękczynienia.

Nie dręczyły go obrazy siebie i jej w łóżku i nie myślał o tym. Przeciwnie, uważał, że ma wielkie szczęście. Nade wszystko czuł się jak szczęśliwy weekendowicz.

Może to sprawa wieku. I fizycznego stanu, w jakim się znajdował. Ale co tam, przecież pała stawała mu przy Carol lepiej niż przy tych wszystkich babach, z którymi spał w ciągu dłuższego czasu. Dmuchała się z nim, że ha, a on ją uczył i też ją dmuchał jak się patrzy.

Nie ma co. Pierdolili się z sobą wybornie.

Czyż mężczyzna w jego wieku mógł sobie wyobrazić lepszy układ?

Nagle w głowie rozkwitł mu obraz białookich żołnierzy. A wraz z nim jak wrzask pojawiło się pojedyncze, nieme zdanie z jego sennego koszmaru: "Zabierzcie ich stamtąd! Psiakrew! Zabierzcie ich stamtąd!" Winch zatrzymał je w gardle. Ale dłonie na kierownicy miał śliskie.

Mieszkanie, które znalazł mu Alexander, było jego największym wydatkiem. Żeby je zdobyć, musiał dać w łapę dużą sumę – gotówką. Miesięczny czynsz był wysoki. Kolejny duży wydatek stanowił samochód, który też naraił mu Jack. No i czarnorynkowa benzyna, do której również załatwił mu dojskie.

Później, kiedy Carol obwieściła mu o spodziewanej wizycie swojego chłopaka na Boże Narodzenie, zaczęła się go radzić w różnych sprawach, przez co poczuł przyływ nienaturalnych ojcowskich uczuć. Chodziło o stosunek jej chłopca do wojska. Aż do ukończenia studiów na wiosnę miał odroczenie. Ale ojciec załatwił mu na miejscu pod zmyślonym pretekstem dalsze odroczenie służby. Chłopak chciał się jednak zaciągnąć od razu. Rzucić studia i wstąpić do wojska na ochotnika. Na święta zapowiadała się więc kłótnia rodzinna.

Winch kazał Carol powiedzieć chłopakowi, żeby trzymał się od wojska z daleka. Żeby bez względu na wszystko trzymał się od wojska jak najdalej. Gdyby jednak się tam zgłosił, to powinien się zwrócić do swojego ojca, żeby załatwił mu patent oficerski, najlepiej z przydziałem do Waszyngtonu.

Nagle pomiędzy wycieraczkami zadeszczonej przedniej szyby wyłonił się biały obraz, jak akwaforta Steubena albo dzieło któregoś ze znanych witraży stów.

Ten obraz przesłonił Winchowi widok na oświetloną

reflektorami drogę. Chłonąc wzrokiem wciąż powiększającą się wizję, Winch rozpoznał tę postać. To był Jacklin. Starszy szeregowy Freddie Jacklin? Żołnierz któregoś z tamtych plutonów, jeden z zabitych. Należący do plutonów już na zawsze obłączonych w jego wyobraźni. Szklany wizerunek Freddiego był wierną repliką wspomnienia, jakie zachował w swojej pamięci, kiedy widział go po raz ostatni. Winch schodził wtedy po łagodnie opadającym stoku, skąpo porośniętym trawą. Przed wejściem w dżunglę porastającą dolne partie wzgórza, obejrzał się za siebie, patrząc uważnie.

Jacklin leżał.

Spoczywał na plecach, z głową odrzuconą do tyłu, z jedną ręką przygniecioną, drugą wyciągniętą w bok, z twarzą do ziemi, wykrzywioną w grymasie ogromnego wysiłku, z otwartymi oczami, a jego klatka piersiowa była tak rozdęta, jakby na próżno starał się nabrać do niej powietrza. Winch nie miał pojęcia, w co Jacklin został trafiony. Nie wiedział nawet, czy rzeczywiście go trafili.

W tej chwili zaś miał go przed sobą, wytrawionego na szkle w postaci skośnych nacięć, linii i rowków, i zasłaniał mu widok. Ilekroć poruszył głowę lub oczami, postać przesuwała się wraz z nimi. Przeklęty zawalidroga!

Kątem oka Winch zobaczył, że samochód zjeżdża z drogi. Próbował wyprostować kierownicę, ale nie zdołał zrobić tego w miarę szybko. Prawe przednie koło, a zaraz po nim lewe ugrzęzło w miękkim, rozmokłym poboczu.

Zapiszczały opony i zazgrzytał metal, a potem samochód wylądował w przydrożnym rowie maską w dół, ale obrócony o sto osiemdziesiąt stopni. W ciszy słychać było tylko pracę silnika i tykanie.

Winch odruchowo zgasił go. Przez chwilę siedział w ciszy. Po raz pierwszy zdarzyło mu się, że jego senne

zmory wdarły się do otaczającego go świata i wywarły na niego wpływ. Wymagało to przemyślenia.

Kiedy siedział, powoli dotarło do niego, że dookoła nie ma żywej duszy.

Na szczęście udało mu się wyjechać z rowu. Uszkodzenia metalowych części były niewielkie i ograniczały się do stłuczonego reflektora, pogiętego błotnika i zderzaka. Mógł jechać dalej. Do Luxoru pozostało pięć mil.

Aż do końca jazdy nic już się nie zdarzyło. Postać Jacklina, jakby zadowolona ze swoich dokonań, więcej nie powróciła.

Zatrzymał uszkodzony samochód niedaleko hotelu Peabody przed domem w śródmieściu, w którym wynajmował na piętrze mieszkanie, i pośpiesznie wbiegł po mokrych schodach.

Carol odłożyła czytaną książkę i wstała. Wszystkie światła były zapalone, tak jak lubił. Nienawidziła rozbierać się sama albo leżeć na wpół naga, więc zawsze czekała na niego w ubraniu, aż przyjdzie i ją sam rozbierze. Wyglądała tak młodo, tak niewiarygodnie młodo. Wyciągnęła ku niemu ręce, pragnąc, żeby do niej podszedł i zaczął ją rozbierać. Winch zrobił to.

–Co się stało? O co chodzi? – spytała, widząc jego minę.

Winch nie odpowiedział i schował twarz w jej rozpostartym, młodym, zachłannym ramieniu.

–Ach, co z nami będzie? – spytała swoim dziecięcym pełnym uczucia głosem.

–Nic – odparł Winch. – Nic nie mów, na miłość boską. Po prostu nie odzywaj się.

Rozdział dwudziesty trzeci Po przeszło tygodniowej odsiadce w areszcie szpitalnym Landers został wezwany przed oblicze pułkownika Stevensa do raportu.

Nie miał pojęcia, że Winch interweniował w jego sprawie. A gdyby nawet wiedział, to też nie byłby zachwycony. Ostatnio doszedł do wniosku, że już go tak bardzo nie lubi. Nie chciał, żeby Winch mu pomagał.

Nie miał również pojęcia, że Strange, po telefonie Wincha tego ranka na szpitalny oddział, miał go zawiadomić, jak się sprawy mają. Tak więc poszedł do jaskini lwa z bojowym nastawieniem kogoś, kto nie ma nic do stracenia, co zupełnie nie pasowało do rozwoju sytuacji.

Strange zaś -jeszcze tego samego dnia, nieco później – z chęcią skopałby się po tyłku za to, że nie przekazał Landersowi wiadomości, zanim ten wyszedł. Lecz jeszcze później zaczął rozważać, czy to by coś pomogło.

Sam Landers musiał przyznać, że pobyt w areszcie szpitalnym nie jest aż taki zły. Nie było tam żadnych łańcuchów i kajdanek, a drzwi nie zamykano na klucz, dzięki czemu areszt przypominał raczej szkolną "kozę".

Ale jeśli aresztant przekroczył jego próg albo gdzieś sobie poszedł, z miejsca stawał się uciekinierem. W praktyce wyglądało to inaczej i Landers często wychodził

z aresztu, rozmawiając z tym i owym, a kiedy wysłano go na wizytę do lekarza, poszedł sam bez dozoru. Nikt go nie sprawdzał, kiedy po drodze wpadał tu i tam na kilkuminutowe pogawędki. Musiał jedynie posiłki jeść na oddziale, zabroniono mu bowiem chodzić do stołówki, gdzie stało się w długiej kolejce. Dla niego był to jednak czysty zysk, wielkie dobrodziejstwo. Na oddziale miał pełną swobodę i pozwalano mu przyjmować gości.

Wprawdzie nie wolno mu było dzwonić ani przyjmować telefonów, ale przecież on i tak do nikogo nie dzwonił ani nikt do niego. Zakaz ten mu nie przeszkadzał, chociaż irytował ze względu na swoją nieuzasadnioną, wojskową bezsensowność.

Gniewało go również, że mundury zamknięto mu w magazynku wraz z mundurami podlegających podobnym rygorom pacjentów. No bo dokąd miałby pójść, samowolnie opuściwszy oddział? W szlafroku, piżamie i kapciach?

Jednak prawdziwym dopustem okazał się brak dziennych i nocnych przepustek. Przyzwyczyił się już do tego, że codziennie co najmniej raz sobie dymał, dlatego bardzo cierpiał z braku kobiet. Tak przywykł do szpitalnych, specjalnych przepustek dla rannych pacjentów, jakby miał do nich naturalne prawo. Tym bardziej mocno uderzyła go więc myśl, że kiedy powróci do powszedniej, zwykłej służby, nawet tej z ograniczeniem, to przestanie je dostawać.

Nie spodobało mu się również, w jaki sposób inni potraktowali jego uwięzienie. Zamiast dostrzec w tym ograniczeniu swobody prawdziwą tragedię, uznali to za powód do żartów.

–Hej, Landers – zagadywał któryś. – Będę o tobie myślał dziś wieczorem, gdy będę rznął jakąś wielką, soczystą, mokrą, śliską cipę.

Albo:

–Hej, Landers. Specjalnie dla ciebie wsadzę palce w cipę. A kiedy wrócę, to dam ci powąchać. Za dolara od każdego niucha.

A potem kończyli przebierać się w mundury i w południe wychodzili, on zaś pozostawał na prawie opustoszałym oddziale z obłożnie chorymi, przykutymi do łóżka. Z każdym nowym transportem z takiego czy innego frontu przybywało rannych w dolne partie nóg, lecz na pewno nie były to swoje chłopaki i Landers nie wdawał się z nimi w rozmowy.

W swoim zamknięciu bardzo odczuł nadejście zimy.

Zmiana pogody mocno go ugodziła. Ze szpitalnymi przepustkami w kieszeni, wolny, albo w miarę wolny, jechał zwykle na cały dzień do miasta i wędrując po nim, z melancholią stosowną do opadających liści patrzył, jak przedłużająca się jesień Południa zmienia się w zimową pluchę i prywatnie szepcze mu do ucha, że jest to ostatnia jesień w jego życiu. Było oczywiste, że powróci do służby. Było oczywiste, że powrócić zdąży do niej na czas, żeby go zabito – zamordowano – podczas wielkiego natarcia w Europie, które z pewnością nadchodziło. Z przykrością pogodził się już z tym. Ale apartament Strange'a u Peabody'ego ze zmieniającymi się jak w kalejdoskopie kobietami był wspaniałym, jeśli nawet tylko tymczasowym, lekarstwem na owo zło.

A teraz i tego zabrakło. Coraz dłużej i dłużej palono światło, a po południu włączano je coraz wcześniej.

Landers przesiadywał na małej oszklonej werandzie, gdzie stawiał pasjansę lub próbował czytać, i patrzył, jak po kolei zaczynają świecić się wszystkie okna.

W połowie ranka na obchód przychodził jego główny wróg, major Hogan, wraz z innymi lekarzami. Landers siadał na swoim krześle wyprężony na baczność jak karny żołnierz, ale z cichą niechęcią, nienawistnie wpat420 rywał się w majora, który również mierzył go wzrokiem pełnym wrogości. Nigdy nie zamienili słowa.

Kiedy Landers – w mundurze i pod strażą – szedł do gabinetu pułkownika Stevensa, był naładowany złością, skory do grubiaństwa i pyskowania.

Chcieli użyć go do pokazówki. Cóż miał do stracenia?

Co za różnica, czy zastrzelą cię jako złego wilka, czy jako marnego psa pasterskiego?

Taka postawa zaskoczyła pułkownika Stevensa. Od tego młodego żołnierza były zarozumiałość i buta.

Stevens sądził, że o wszystko to zadbał zawczasu Winch.

Chłopak przypiął zdobyte odznaczenia: Fioletowe Serce i Brązową Gwiazdę. Ale i bez takiego przypominania Stevens czuł się wystarczająco winny z powodu swojego wieku i funkcji, którą pełnił w wojsku. Wszystko to razem było nadzwyczaj irytujące.

Zamierzał powiedzieć Landersowi o okolicznościach łagodzących w jego sprawie i o pochlebnej opinii, jaką mu wystawiono. Z uwagi na Wincha miał aż do tej chwili zamiar nie karać tego żołnierza, a nawet nie łamać go. Teraz jednakże przemówił krótko i tonem znacznie ostrzejszym, niż zamierzał.

–No więc, co macie na swoje usprawiedliwienie? – spytał.

Nie wiedział, że dopiero co buta Landersa bardzo mocno ucierpiała, kiedy po otwarciu drzwi do kancelarii komendanta szpitala ujrzał tam posągową, olbrzymią postać starszego chorążego Alexandra.

Alexander był olbrzymi nawet siedząc przy biurku.

Ale gdy wstał, Landers pomyślał, że nie widział dotąd nikogo tak wielkiego. Lodowate jasnoniebieskie oczy wwiercały się w jego duszę. Twarde niczym z kości krawędzie ust byłego boksera sprawiały wrażenie, jakby gotowe były zjeść go po kawałku. Miał kwadratową łysą

głowę, a jego wielka twarz, podobnie jak oczy i usta, była tak pozbawiona wyrazu, że już bardziej nie można, nie zdradzała żadnych uczuć: ani lekceważenia, ani wzgardy, ani sympatii. Służba w jednostkach bojowych nic dla niego nie znaczyła., bo przecież całe jego życie było jednym długim bojem. Czymś naturalnym.

Jeśli Landers dobrze odczytał jego radę, to brzmiała ona z grubsza tak: "Cokolwiek robisz, do kurwy nędzy, ty głupi smarku, staraj się robić to jak żołnierz!" W sumie Alexander nie powiedział mu nawet dziesięciu słów. Co prawda Landers widywał go z daleka na terenie szpitala, widział go też na uroczystej dekoracji medalami, ale nie przypuszczał, że jest taki imponujący i wielki.

W krótkim czasie pomiędzy zetknięciem się z nim a wejściem do gabinetu Stevensa dobył wszystkich sił, by odzyskać choć trochę ze swej początkowej buty.

Z pewnością wpłynęło to na jego pierwszą odpowiedź, a prawdopodobnie też na wszystkie pozostałe.

–Nic, panie pułkowniku – odparł zdecydowanie.

–Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

Cały czas stał na baczność, ponieważ Stevens nie wydał mu komendy "Spocznij!" – Spocznij – powiedział Stevens. – Chyba wiecie – dodał cicho, znacznie łagodniejszym tonem – że major Hogan wniósł przeciwko wam oskarżenie, zawierające cztery zarzuty.

–Tak, panie pułkowniku.

–Z tego, co wnoszę na podstawie śledztwa, ma do tego prawo. Aż nadto.

–Tak, panie pułkowniku – odparł nieustępliwie Landers, ciesząc się wszakże, że nie ma tutaj Jacka Alexandra, bo w jego obecności byłoby mu trudniej.

–Napadliście i uderzyliście oficera, a potem w obecności dwudziestu świadków wdaliście się z nim w ośrodku rekreacyjnym w bójkę. Kiedy zaś major Hogan upomniał was za to publicznie, obrzuciliście go przekleństwami, znieważyliście i zagroziliście użyciem siły.

No a później zniknęliście ze szpitala bez przepustki na pięć dni.

–Tak jest, panie pułkowniku.

–I nie macie nic do powiedzenia na żaden z tych zarzutów?

–Nie, panie pułkowniku.

–Nie macie zupełnie nic na swoją obronę?

–Nie, panie pułkowniku – odparł nieugięcie Landers.

Nadeszła chwila na wyrażenie pokornej skruchy, zaczekał więc, aż minie. Nie miał ochoty przeproszać.

W środku aż kipiał z powodu dziejącej się niesprawiedliwości. Przestał się już przejmować tym, że w kancelarii obok siedzi Alexander.

–Jeżeli nie zrobię nic i pozwolę, by ta sprawa poszła dalej swoim trybem, to staniecie przed specjalnym sądem wojskowym – rzekł Stevens. – I na pewno dostaniecie wyrok od trzech do sześciu miesięcy, a ponadto zostaniecie zdegradowani, straciecie żołd i dodatki.

–Tak jest, panie pułkowniku – odparł niezachwianie Landers, nie spodziewał się jednak, że kara będzie aż tak dotkliwa.

–Major Hogan powiedział mi, że, być może, byłby skłonny wycofać oskarżenie – dodał Stevens i zaczął.

Landers milczał.

–Chyba mógłbym go do tego przekonać – dorzucił Stevens i znowu zaczął.

–Czy mogę mówić szczerze, panie pułkowniku? – spytał Landers. – Właściwie to jest mi całkiem obojętne, co się stanie.

A więc wyrzucił to z siebie. Zastanawiał się, czy Alexander pochwaliby go za to. I czy pochwaliby go za to Winch. Pewnie nie.

Stevens siadł w fotelu i przełożył jakieś dokumenty, z roztargnieniem spostrzegając, że drżą mu ręce. Z gniewu. A przecież tak bardzo starał się być sprawiedliwy wobec tego głupiego szczeniaka.

–Czy siedzieliście już kiedyś w więzieniu wojskowym, Landers? – spytał.

–Nie, panie pułkowniku.

–Jest tam ciężko – rzekł łagodniejszym tonem Stevens, bo już ochłonął. – Niełatwo.

–Czy mogę mówić szczerze, panie pułkowniku?

–Proszę.

–Porucznik zamieszany w sprawę zelżył mój oddział. Nie miał do tego prawa. Powiedział, że jeżeli chcemy zobaczyć, jak wygląda prawdziwa walka, to powinniśmy pojechać do Europy. A poza tym nie miał prawa przebywać w sali rekreacyjnej. To sala dla żołnierzy. Przyszedł tam pograć w ping-ponga... Major Hogan zatrzymał mnie i oskarżył o symulancję. Powiedział, że jeżeli mogę tak grać w ping-ponga i tak się bić, to powinienem powrócić do służby, bo jestem symulantem, który dekuje się w szpitalu. Właśnie dlatego skląłem go i znieważylem. A co do gróźb, to powiedziałem, że z chęcią bym mu wlał. Ale go nie pobiłem.

–Dlaczego oddaliliście się ze szpitala bez przepustki? – spytał Stevens.

–Bo miałem po uszy tej sprawy. Miałem po uszy tego szpitala, ludzi, którzy w nim są, tej wojny i wszystkiego. Major Hogan nie zasługuje na to, żeby być oficerem. Nigdy nikogo nie potraktował tutaj sprawiedliwie i wszyscy o tym wiedzą. Na marginesie, jako lekarz też pewnie jest do bani. Nigdy do niego nie strzelano, nigdy mu nic nie groziło i nie widział, jak tuż obok giną

ludzie. Prawdopodobnie zabiją mnie na tej wojnie.

Jestem tego pewien. Ale nie jego i nie pana, i nie większości ludzi w tym szpitalu. On nie zasługuje, żeby sprawować taką funkcję, i nie powinno go tu być. Nie powinien jej zajmować. A gdyby w naszym wojsku w ogóle istniała jakakolwiek sprawiedliwość, toby go stąd wyrzucono.

Landers zamilkł.

–Czy to wszystko, co macie do powiedzenia? – spytał Stevens.

–Tak, panie pułkowniku.

–No dobrze, Landers. Możecie odejść.

–Tak jest, panie pułkowniku. Chcę tylko poinformować pana, że nie oczekuję sprawiedliwego traktowania. I nie będzie go na moim procesie. Właśnie dlatego jest mi wszystko jedno. Ta cała sprawa to jeden wielki żart. Moim kosztem.

Landers stanął na baczność, zasalutował i zrobił w tył zwrot.

Nie miał pojęcia, że gdy wychodził, w gabinecie za jego plecami Stevens miał chęć zerwać się na nogi i wrzasnąć z wściekłości, ale zamiast tego uparcie przyglądał się swoim bladym paznokciom. Landers nie miał o tym pojęcia, ponieważ robił właśnie wszystko, żeby nie stracić ducha i sprostać olbrzymiemu, tchnącemu dezaprobatą Jackowi Alexandrowi, który swoją obecnością wypełniał cały sąsiedni pokój.

Na oddziale czekał na Landersa Strange, który na prośbę Wincha chciał mu przekazać wiadomość, żeby "wszedł do gry". Kiedy Landers szczegółowo – zdanie po zdaniu, wet po wecie – zrelacjonował mu swoją rozmowę z pułkownikiem, Strange zaczął na niego kłać.

Ale na przekór temu Landers odczuwał wzrastające uniesienie, którego nie czuł opuszczając gabinet komendanta. Ze Stevenssem i Alexandrem rozstał się bardzo

przygnębiony. Tyle nasłuchiwał się od różnych osób o więzieniach wojskowych, że łatwo mógł sobie wyobrazić, co z nim będzie, gdy tam trafi. Sam do tego doprowadził. Jednakże kiedy w towarzystwie uzbrojonego strażnika za plecami wracał na oddział, z wolna nawiedziło go to dziwne uniesienie, które rosło i rosło.

Gdy dotarł do drzwi oddziału swojej niewoli, całkowicie już wyparło ono nastrój przygnębienia. W trakcie głośnych wyrzekań Strange'a, tylko siedział i błogo się uśmiechał.

–Z czego ty się śmiejesz, kurwa mać?! – spytał Strange i dokończył bez przekonania: – Poczekamy i zobaczymy. Przekonamy się, co zrobi.

Przyszło im czekać dwa dni. Wówczas zaś z kancelarii szpitala nadeszły rozkazy – kopie dla Landersa i do wywieszenia na tablicy oddziału – obwieszczenia, że nie będzie specjalnego sądu wojskowego oraz że do Waszyngtonu wysłano wniosek o zdegradowanie przebywającego czasowo w szpitalu starszego kaprała Mariona J. Landersa do stopnia szeregowca, a ponadto wstrzymanie mu wypłat żołdu i dodatków.

–Moim zdaniem, masz cholerne szczęście... zważywszy okoliczności – orzekł Strange. – Naprawdę nie masz na co narzekać.

A potem zrelacjonował nieświadomemu niczego Landersowi trwające dwa dni telefoniczne i bezpośrednie rozmowy, których celem / było zapobieżenie sądowi wojskowemu. Główną ich sprężyną był Winch. Alexander był wprowadzany za sąd wojenny, ale mu na tym nie zależało.

–Gdyby mu na tym zależało, to wiedz, że stanąłbyś przed sądem – zapewnił Strange.

Po ochłonięciu z gniewu pułkownik Stevens opowiedział się przeciwko sądowi wojskowemu. Nie uważał wybryków Landersa za aż tak straszne, wszystko więc

zależało od jego sumienia. I to właśnie na nie postawił Winch. Co prawda pułkownik nie czuł sympatii do Landersa, który właściwie go mierzył, uważał jednak, że nie zasłużył na specjalny sąd, o jaki zabiegał Hogan.

–Podziękuj swojemu szczęściu, że ten stary ma sumienie – dodał z naciskiem Strange. – Cholera, gdybyś zachował się inaczej, to nawet nie zostałbyś zdegradowany.

Landers odczuwał dziwny niedosyt. Ale nie powiedział tego Strange'owi. Nastawił się już duchowo na proces, na to, że orzekną jego winę, co uznał za przesądzone, a także na trzy- lub sześciomiesięczną odsiadkę, do której zdążył się już, jak sądził, wewnątrznie przygotować. Tak więc, wobec takich perspektyw, zdegradowanie do stopnia szeregowca wydało mu się nieoczekiwanym, okrutnym żartem. Ku osobistej satysfakcji rozstrzygnął ważną etyczną kwestię, moralny problem dotyczący całej armii amerykańskiej, a przekłete, harcerskie sumienie tego starego wojskowego całkiem to przekreśliło.

W dodatku opuściły go senne zmyry. Prześladowający go wciąż sen o żołnierzach i manierce wody zniknął w nocy po rozmowie ze Stevenssem. Już to samo było błogosławieństwem. Ale sen powrócił w kilka dni później, po nadejściu rozkazu z kancelarii szpitala.

–To, że mnie nie lubi, mogę zrozumieć – powiedział do Strange'a, gdy dyskutowali. – Ale czy naprawdę uważasz, że go mierzę?! Tego słowa użyłeś. Od kogo je usłyszałeś?

–Od Wincha – odparł Strange. – On go użył.

–W jego minie pojawiła się osobliwa natarczywość.

–Sam z siebie tak by nie powiedział. Myślę więc, że usłyszał to słowo z ust starego.

–Ale żeby aż "mierzę"? – rzekł Landers. – To bardzo mocne określenie. – Zajrzał Strange'owi w oczy,

nie pojmując nadal ich natarczywego wyrazu. – Jeżeli go mierzę, to dlatego, że wykazałem mu, jakim hipokrytą jest on sam i jak hipokrytyczne jest całe wojsko, skoro nie wywalają Hogana – oznajmił, przekonany o swojej słuszności. – Nigdy nie strzelano ani do Hogana, ani do niego – zakonkludował. – Do żadnego z nich. I nigdy nikt nie strzeli.

–Owszem – przyznał Strange. – Też myślę, że nikt nigdy do nich nie strzeli.

Z jego miny nie zniknęło nieme naleganie.

–A co z tym wszystkim wspólnego ma Winch? – spytał Landers. – O nic go nie prosiłem. Nie chcę, żeby mi pomagał.

–Bardzo ci radzę/, ciesz się, że ci pomógł – odparł Strange. – Bez niego siedziałbyś w pierdłu.

–Mam go w dupie. W ogóle nas nie odwiedza. Nie widzujemy go. Nie daje znaku życia. Nie przychodzi do hotelu.

–Jest zajęty w O'Bruyerre. Wrócił do służby i zajmuje się czymś całkiem nowym – wyjaśnił Strange. – Ale ma na nas oko. A poza tym ma jakąś panienkę, z którą sobie fika.

–Jaką? Czy nie tę, z którą próbowałem kręcić?

–Szczерze mówiąc, nie wiem. I nic mnie to nie obchodzi. A bo co? Złości cię to?

–Mnie? Żartujesz?

–No to co cię gryzie?

–Nic – warknął Landers. – Ale mam w dupie Wincha.

W związku z wysłaniem wniosku o degradację Landers został zwolniony z aresztu oddziałowego, mógł więc wrócić do apartamentu w hotelu Peabody. Do czasu zatwierdzenia przez Waszyngton jego degradacji, nie musiał zdejmować dystynkcji starszego kaprała, więc ich nie zdjął. Zaskoczyło go jedynie to, że nie ma ochoty się z nimi rozstawać. Zwłaszcza w Peabodym.

Ale powrót do hotelu nie był tak wielkim przeżyciem, jak to sobie w podnieceniu

wyobrażał, gdy nie wolno mu było tam chodzić. Został na ogół znajome dziewczyny, a te kilka nowych nie robiło wielkiej różnicy. Nie zmienili się też bywalcy. Strange, który wyraźniej związał się na stałe z Frances Highsmith, nie odwiedzał już tak często apartamentu, chociaż pamiętał, podobnie jak on, o regulowaniu wszystkich rachunków. Po jego odejściu Landers został przywódcą. Również on związał się na stałe z dziewczyną, z Mary Lou Salgraves, lecz z niczego nie czerpał już podniety.

Tylko jeden raz skłamał pułkownikowi Stevensowi, kiedy ten podczas lekarskiej wizyty spytał go o kostkę, bo miał informacje, że podczas bójki z porucznikiem w ośrodku rekreacyjnym Landers znowu nadwerężył sobie nogę. Wywnioskował to z wypowiedzi doktora Currana, który po bójce zbadał kostkę Landersa. Właściwie Landers uszkodził ją sobie podczas pierwszej bójki z podoficerami marynarki w barze hotelowym, a ponownie, kiedy kopnął w głowę pilota z eskadry lotnictwa rozprawiającego, ale ponieważ Curran o tym nie wiedział i nie badał kostki po tamtych pierwszych burdach, orzekł, że stało się to w trakcie bójki w szpitalu.

Landers zaś nie chciał mówić całej prawdy ani jemu, ani Stevensowi.

Dopiero potem, po zakończeniu całej sprawy, kiedy odwołano sąd wojskowy, Curran wygadał się przed nim, że cały czas wiedział o jego kostce. Siedzieli właśnie w jego gabinecie, tuż po jej najświeższych oględzinach.

–Tak – rzekł chirurg, uśmiechając się szeroko – po napuchnięciu albo jego braku łatwo rozpoznać, czy jakiś mięsień albo staw ostatnio ucierpiał. Trudniej orzec, jak dawno to się stało albo ile razy, jeśli kontuzja wydarzyła

się przed jakimś czasem. Po prostu wiedziałem, byłem pewien, że nie stało się to podczas tej bójki.

–Dlaczego nie powiedział pan o tym pułkownikowi Stevensowi? – spytał Landers.

Curran cały czas miał na twarzy swój dziwny, charakterystyczny uśmiezek.

–Pan, jak widać, też mu o tym nie powiedział.

Z sobie wiadomego powodu – odparł. – Po prostu chciałem pana wesprzeć i zostawić pewną swobodę manewru, jeśli tego pan chciał lub czuł taką potrzebę.

–Zależało mi jedynie na tym, żeby nie wiedzieli o tamtych bójkach, tych na początku – wyjaśnił Landers.

–Domyślałem się czegoś takiego – rzekł Curran i wzruszył ramionami. – Niech pan siądzie, Marion.

–Wskazał krzesło po drugiej stronie biurka. – Znamy się już całkiem długo. Na tyle długo, żeby się nawzajem nieźle poznać.

Landers bardzo ostrożnie zajął miejsce i usiadł na krześle trochę usztywniony. Po chwili jednak postanowił, że opíše Curranowi szczegółowo tamte dwie bójki.

Kiedy kończył, obaj się śmiali. Idąc za ciosem opowiedział również o innych bójkach, jakie stoczył w ciągu zeszłych miesięcy, tych, w których niczego sobie nie uszkodził, jeśli nie liczyć otartych pięści i opuchniętych kostek palców.

Curran bardzo znacząco wzruszył ramionami, a potem uniósł w górę swoje dłonie chirurga. Zamachał w powietrzu wszystkimi dziesięcioma palcami.

–Ja czegoś takiego nie mogę zrobić – powiedział.

–Bo straciłbym zajęcie.

–A ja wcale nie uważam tych bójek za takie wspaniałe – rzekł bez przekonania Landers.

–Chciałem z panem porozmawiać, Marion. – Dla większej poufałości Curran przysunął się ze swoim fotelem obrotowym bliżej biurka. – Zazwyczaj rozmawiam z pacjentami tylko na tematy chirurgiczne, ale pan jest bardzo bliski napytania sobie prawdziwej biedy.

Landers spojrział na niego uważnie.

–To znaczy, pójdzie do więzienia wojskowego? – spytał.

Curran skinął głową.

–Ja już jestem w prawdziwej biedzie – odparł Landers z uśmiechem. – Zginę na tej wojnie. Przede mną nie ma przyszłości.

–Niech pan sięgnie myślą dalej. Niech pan pomyśli o czasach po wojnie.

–Nie potrafię.

–Przecież nie chce pan sobie narobić tyłów w wojsku, zostać wyrzucony z niego w hańbie, co będzie się wlokło za panem do końca życia.

–Nie potrafię myśleć o tym, co będzie później – odparł Landers. – Dla mnie nie ma żadnego potem.

Nie ma nic. Ściana. Zasłona z mgły, przez którą nic nie widać.

Curran obserwował go przenikliwie.

–Naprawdę? – spytał.

–Oczywiście. Po wojnie nie ma dla mnie żadnych czasów. Panu łatwo, bo pan będzie żył. Zajmie się pan chirurgią, zrobi wielką karierę, zdobędzie pan sławę, pomoże ludzkości i zarobi mnóstwo pieniędzy. Przy okazji. Nie sprawi to panu żadnych trudności.

Wpatrujący się w niego cały czas uważnie Curran zacisnął usta.

–Tak. Pewnie tak. Tak chyba będzie. I bez pańskich przypomnień czuję się z tego powodu wystarczająco winny. – Znowu wbił wzrok w Landersa. – Rzeczywiście tak pan to czuje? Jak pan to ujął? Że wszystko przesłania panu zasłona z mgły?

–Oczywiście – potwierdził Landers. – Bo tak to właśnie wygląda. Nie ma tam nic. Zupełnie.

Po chwili Curran odepchnął się z fotelem, ale tylko kawałeczek, od biurka. Długo to nie trwało, pomyślał Landers, uśmiechając się w duchu.

–Już niedługo powróci pan do służby – rzekł zmienionym głosem Curran. – Wkrótce odeślę pana na reabilitkę.

Do ośrodka rehabilitacyjnego, przełożył to sobie na normalny język stary wojak Landers. W jego oddziale nie znano takich określeń. Ośrodek stanowiły baraki w przeciwnym kącie brukowanego głównego szpitalnego placu. Przed powrotem do służby trafiali tam na ćwiczenia wszyscy pacjenci z zanikami mięśni.

–Pańska kostka jest w porządku. W niezłym stanie – ciągnął Curran nieswoim głosem. – Ma pan szczęście, że jej pan sobie bardziej nie uszkodził. Ale przez jakiś czas nie może pan z niej korzystać w bójkach.

W ping-ponga proszę bardzo, w ping-ponga może pan grać do woli. Ale forsowne, gwałtowne użycie jej w walce może ją znów uszkodzić, i to znacznie gorzej.

Niech pan o tym pamięta – dodał ostrym tonem.

–Jeżeli jeszcze raz zjawi się pan z kontuzjowaną kostką, nie będzie to dobrze wyglądało w oczach Stevensa.

–Drażnią mnie niesprawiedliwość i zniewagi – rzekł Landers.

Curran puścił to mimo uszu.

–Zostanie pan skierowany do służby w ograniczonym zakresie. Niech pan mi nie dziękuje. Dla pana jest to odpowiednia kategoria. Z tą kostką na pewno nie nadaje się pan do piechoty. Zresztą służba w ograniczonym zakresie wcale tak bardzo nie różni się od normalnej. Służbę taką odbywa dwóch z każdego pięciu, którzy tu trafiają. W kwatermistrzowskich kompaniach zaopatrzenia paliwowego podczas bitew pancernych i im podobnych. Ta liczba też zresztą nie jest prawdziwa,

dlatego że większości poległych z kompanii zaopatrzenia paliwowego w ogóle nie udaje się znaleźć -jeśli czołgowy pocisk trafi w cysternę pompującą paliwo.

–Nie muszę służyć w takiej kompanii.

–Owszem. – Curran wstał. – Jestem Irlandczykiem. Człowiekiem przesądnym.

Wierzę nawet w koboldy. Jeżeli mówi mi pan, że widzi przed sobą zasłonę z mgły... – Wzruszył ramionami. – Cóż mogę na to powiedzieć? Nic.

Landers uśmiechnął się.

–Powiem panu więcej. Ja straciłem wiarę w ludzkość. I przestałem przejmować się ludźmi. Uważam, że nasza rasa jest skazana na zagładę. Jak dinozaury.

Tylko że o tym nie wie. Tak jak nie wiedziały o tym, kiedy żarły, brontozaury i tyranozaury. My także staliśmy się zbyt jednostronni. Tak jak one.

–Kiedy pan doszedł do takich wniosków?

–Nie wiem. W jakiś czas po tym, jak oberwałem.

Siedziałem na wzgórzu i przyglądałem się z daleka walczącym w dole, w dolinie.

–To bardzo ponure wnioski. Mam nadzieję, że pan się myli – rzekł Curran.

–Owszem. Ale ja się nie mylę. – Landers uśmiechnął się. – Tak, to bardzo ponure wnioski. Zwłaszcza kiedy człowiek odkryje, że gwizdże na wszystko. Za bardzo wyspecjalizowaliśmy się w wojnach. Wojna nas zgubi.

–Sądzi pan, że ta? – przerwał mu Curran.

–Nie. Prawdopodobnie nie ta. Ale to nieważne.

Jakaś późniejsza tego dokona. Ludzkie racje straciły znaczenie.

–Tak pan sądzi? – spytał Curran.

–Tak. I nie odzyskają znaczenia dopóty, dopóki w ich imię będziemy się nawzajem zabijali.

Curran skinął głową. Stojąc nadal za biurkiem, poruszył nogami i niezdarnie przeniósł ciężar ciała

z jednej nogi na drugą. Niezdecydowanie uniósł prawą dłoń.

–Do Nowego Roku powinien pan stąd wyjść – powiedział. – Prawdopodobnie będziemy mieli jeszcze okazję porozmawiać, ale na wypadek gdybyśmy się nie spotkali...

Chirurg nieśmiało wyciągnął rękę.

Landers wziął ją i uścisnął. Była ciepła, spokojna, sucha. Ale w końcu jego dłoń również.

Po zamknięciu oszklonych drzwi odwrócił jeszcze głowę i znowu uśmiechnął się w duchu widząc, jak Curran siedzący przy biurku pisze coś gorączkowo w papierach wyjętych z jego akt szpitalnych.

A niech go szlag, pomyślał ogromnie rozbawiony.

Niech zapisze to wszystko dla tych drani.

Z grubsza tak samo, jak do niego, odnosił się do wszystkiego i wszystkich. Z wyjątkiem Strange'a i czasem Bobby'ego Prella. Winch na pewno nie obchodził go nic a nic. Ani ci z apartamentu w hotelu Peabody. Każdy z nich dbał właściwie jedynie o siebie.

A teraz, na dobrą sprawę, również Strange go porzucił, tak jak pozostałych, dla tej kobiety, dla Frances Highsmith, z którą chodził. Także Bobby Prell zerwał ze wszystkimi. Nawet z nim i ze Strange'em. Poruszał się już trochę o własnych siłach, ale nigdy nie wybrał się z nimi do miasta i nie odwiedził hotelu Peabody. Któregoś dnia, kiedy Landers i Strange jechali taksówką do miasta, Johnny oznajmił, że Bobby Prell zwierzył mu się, że chce się ożenić.

–Ożenić? – spytał Landers i po chwili uśmiechnął się. – Ożenić? A z kimże to, na miły Bóg?

–Z tą małą ze swojego oddziału, z którą robił te rzeczy. Z tą, z którą się zadawał.

–Kiedy?

–Nie wiem – odparł Strange, zapatrzony w padający spokojnie zimowy deszcz. – Nie powiedział kiedy.

–Zwariował – orzekł Landers.

–Prawdopodobnie – przyznał cicho Strange.

Landers widywał się ostatnio ze Strange'em – a przynajmniej na to wyglądało – wyłącznie w taksówkach.

Nie przeszkadzało mu to. Miał wrażenie, że w ten sposób żegna się z nimi wszystkimi – ostatecznie. Ich wspólnie przeżyte chwile dobiegały końca, a ich wspólne dotychczas zainteresowania zmieniły się. Wiedział, że gdy wróci na front, będzie sam. Tak jak każdy z nich.

Jeżeli w ogóle tam trafią.

Lecz przynajmniej był świadom, ile zostało mu czasu.

Curran powiedział mu, że do Nowego Roku. Mniej niż miesiąc. Nie za wiele. Wiedział jednak, co chce lub co może zrobić w ciągu tego miesiąca.

Dziwne, ale wszystkich odciągały do kolegów kobiety. Samice. Cipy. Dupy. Odciągały od wspólnych męskich spraw. Picze. Niszczyły odśrodkową siłę tajemnej potęgi, która utrzymywała ich w tych, poniekąd kazirodczych, związkach. Moc wspólnej walki. Pizda przeciwko walce. Po pijanemu Landers orzekł, że oto przez zupełny przypadek odkrył podstawowe powszechne równanie wszechświata.

Jeżeli wszechświat jest tarczą kompasu, a kutas strzałką odchylającą się magnetycznie, to zawsze wskaże on na północ, wprost na pizdę. Zawsze. Niezależnie od wszystkiego.

I to właśnie правило na swoje nieszczęście pogwałcił współczesny człowiek, stwarzając i wprowadzając zmechanizowaną, grupową walkę za taką czy inną zasraną i przeklętą sprawę.

Ale na trzeźwo myśl ta nie wydała się Landersowi aż taka trafna.

Trochę wytrzeźwiawszy, nagle przypomniał sobie, że

kiedy był chłopcem, ojciec nucił mu po pijanemu pikantną piosenkę: "Te weselne dzwony rozbijają naszą starą paczkę". Pamiętał tylko tę jedną linijkę, ale za to całą melodię. Dzień czy dwa chodził gwizdząc ją pod nosem, póki go nie znużyła.

Nie widział powodu, czemu sam nie miałby pójść w ślady wszystkich innych, nawet jeśli miał na to tylko miesiąc. Jednakże jego świeża niechęć i nieufność do ludzi obejmowała również kobiety. Nie chodziło wcale o brak okazji. Którejś nocy w Peabodym, spędzająca z nim w łóżku przydziałowe dwie godziny Mary Lou po dziarskim stosunku, jaki odbyli, przytulona do niego piersiami i łonem, powiedziała:

–Wiesz, chyba mogłabym się w tobie poważnie zakochać.

Bardzo mu to pochlebiło. Było zbyt dużym pochlebstwem, żeby mógł potraktować ją obcesowo.

–Nie rób tego – odparł gwałtownie, ale zaraz dodał łagodniej: – A przynajmniej nie zakochuj się we mnie za mocno. Tylko trochę.

–Dlaczego nie?

–Bo nie wiem, dokąd pojedę ani co będę robił.

Przecież nie chcesz być zakochana w żołnierzu piechoty bojowej, co?

–Może chcę.

–Nie wyszłabyś za mnie, prawda?

–Może wyszłabym. Mogłabym za ciebie wyjść.

Jakie macie dodatki?

–Bardzo niskie. A poza tym nie zapominaj, że już nie jestem, starszym kapralem i znowu biorę najniższy żołd.

Zaśmiał się.

–Rzeczywiście. To bardzo ważne – powiedziała matowym głosem. – Ach, chyba jestem w tobie zakochana, Marion.

–To dobrze – odparł. – I stańmy na tym. – Delikatnie położył rękę na głowie Mary Lou. – Wkrótce wyjadę i możesz się zakochać w innym.

W trakcie miesiąca, który mu pozostał, ten nowy u niego cynizm wobec kobiet służył mu jako hamulec.

Nie zakochał się. Trudno było wszakże powiedzieć, czy inne, odmienne doświadczenia z kobietami były skutkiem owego cynizmu i działały na jego zgubę, czy też widział nowe przeżycia tam, gdzie dawniej, chroniony przez niewinność, ich nie dostrzegał.

Niektóre, te spoza hotelu Peabody, były bardzo dziwaczne. W żadnym z nich nie uczestniczyła biedna Mary Lou. Landers nie miał jednak czasu o nich myśleć.

Dni mijały z nieubłaganą prędkością, stanowiącą tragiczne jądro każdego dramatu, jak w sztuce Szekspira lub kretańskim filmie wojennym. Na przemyślenie własnych doświadczeń z kobietami miał mnóstwo czasu potem, kiedy grzązał w głębokim błocie Obozu O'Bruyerre'a.

Mnóstwo czasu, a przepustki jedynie w weekendy. Gdy przyszły święta, od dawna już ćwiczył w ośrodku rehabilitacyjnym gimnastykę zdrowotną i poranne biegi.

Kostka miała się bardzo dobrze. Znacznie lepiej, niż oceniał Curran. Świąteczny obiad zjadł w baraku centrum rehabilitacji sam, czerpiąc z tego jakąś masochistyczną, bolesną przyjemność. Nikt nikogo tutaj nie znał ani nie starał się poznać. Wszyscy mieli przydział tymczasowy przed rozjechaniem się po kraju. Poza tym reszta była mu dobrze znana. Indyk, żurawiny, przyprawy i tłuczone ziemniaki ciężące w żołądku niczym kamień.

Landers, już w stopniu szeregowca, z tradycyjnymi ciemnymi znakami na rękawach, mógł pojechać na trzy dni do domu, ale nie chciał. Nie chciał też stracić ani jednej nocy w hotelu Peabody czy wieczoru spędzonego

samotnie w Luxorze. W hotelu miał zamiar zjeść jeszcze jeden, prawdziwy świąteczny obiad, lecz nie zdołał, bo nie strawił poprzedniego.

W pierwszy dzień świąt gazety wymieniły nazwiska dowódców amerykańskich oddziałów w Europie i ich zadania. **IKE POPROWADZI INWAZJĘ ALIANTÓW WE FRANCJI.** Eisenhower, Omar Bradley i Patton przebywali w Anglii. Prezydent Roosevelt, niekwestionowany bohater całej Ameryki, mądrze wybrał na ogłoszenie tych wieści dzień dwudziesty czwarty grudnia, tak żeby korespondenci mieli czas przetelegrafować je do gazet, które ukażą się w pierwszy dzień świąt.

Dziesiątego stycznia Landers zameldował się po nowy przydział u szefa ewidencji w Dowództwie Drugiej Armii.

Szefem tym okazał się chorąży Mart Winch, jego były szef kompanii.

Rozdział dwudziesty czwarty Myślę, że jeżeli dotąd nie zwariował, to jest na najlepszej drodze – powiedział Strange przez telefon Winchowi, ale ponieważ nie potrafił wyjaśnić, co chciał przez to powiedzieć, zagmatwał sprawę mówiąc, że nie miał na myśli wariactwa w zwykłym, powszechnie przyjętym sensie. – Nie wycina papierowych lalek ani nic – dodał, ale nie rozwinął tego zdania. Jego myśli nie miały logicznego porządku. – Trudno to wytłumaczyć, a nawet trudno dojrzeć – rzekł nieprzekonywająco.

–Chyba że ktoś spędza z nim tyle czasu co ja.

–No cóż, wobec tego muszę się temu przyjrzeć.

Będę na niego uważał – bąknął Winch, zastanawiając się, czy Landersa też nękają senne koszmary, podobne do jego zmór. Strange, naturalnie, nie mógł o tym wiedzieć, a on sam nie mógł pytać o to Landersa.

–Nie spędzam z nim tyle czasu, ile powinienem – dorzucił w poczuciu winy Strange.

–Chuj z nim – odparł Winch. – Każdy musi dbać trochę o siebie.

Nie zmienił zdania w tej sprawie. I myślał nadal to samo, kiedy jeden z dwudziestu trzech kancelistów wprowadził Landersa do jego biura mieszczącego się w dwupiętrowym budynku dowództwa.

Landers najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że potraktowano go wyjątkowo. Zwykle żołnierze przybywający tu ze szpitala po nowy przydział trafiali do któregoś z owych dwudziestu trzech kancelistów i nie dalej. Winch nigdy ich nie przyjmował. Ale nie zamierzał mówić tego Landersowi.

Zresztą odniósł wrażenie, że gdyby nawet Landers o tym wiedział, to niezbyt by go to zainteresowało, nie zrobiłoby to na nim wrażenia, nie poruszyłoby go ani w żaden sposób na niego nie wpłynęło.

Wydał jasne polecenia, że chce go zobaczyć, kiedy zgłosi się do służby. A Landers najwyraźniej miał to wszystko gdzieś. Literalnie. A kiedy Winch zajrzał do jego dokumentów, okazało się, że Landers spóźnił się trzy dni, trzy dni bez usprawiedliwienia. Winch nie zdawał sobie sprawy z jego zaskoczenia. Wprawdzie Landers słyszał od Strange'a o awansie ich szefa kompanii na chorążego i o tym, że objął bardzo ważne stanowisko, ale nie przypuszczał, że aż tak ważne.

Winch urządził się w biurze godnym co najmniej pułkownika.

–Spóźniłeś się trochę, jak widzę – powiedział Winch.

–Tak – przyznał Landers. – Wziąłem sobie trzydniową przepustkę. Żeby się pożegnać z dziewczyną.

Sami by mi nie dali.

–Pożegnać się? – spytał Winch. – Przecież ona mieszka zaledwie trzydzieści pięć mil stąd.

–Tak – odparł Landers i zamilkł.

Winch skierował na niego badawcze spojrzenie.

Landers uśmiechnął się. Jeżeli Winch nie mógł się tego domyślić, czort z nim.

–Rozumiem – rzekł Winch. – Nie masz samochodu, a przepustki będziesz dostawał co najwyżej w weekendy.

–Tak. A w dodatku jest to jedna z dziewcząt, które przychodzą do naszego apartamentu w Peabodym.

Winch, nie spuszczać wzroku z Landersa, skinął głową.

–Jest we mnie zakochana – wyjaśnił Landers.

–Ale nie mogłem jej prosić, żeby była mi wierna. Nie tam. Nie w tym towarzystwie.

–I nie mogłeś jej poprosić, żeby przeprowadziła się tutaj, do wioski – dopowiedział Winch.

–Prosiłem ją o to, ale nie chciała. Nie mam o to do niej pretensji – odparł z wielkim spokojem Landers.

–Tak więc wziąłeś sobie trzy dni wolnego, żeby się z nią pożegnać. Taka miłosa sielanka.

–Tak – odparł Landers, jeżąc się.

–Pięknie. Świetnie. Wyśmienicie.

–Dla mnie jest to jeszcze jeden nagły wypadek w tej wojnie.

–Nagły wypadek? – spytał Winch. – Tak, możemy jakoś załatwić twoje samowolne oddalenie się – powiedział. – Tutaj, w mojej kancelarii. W tej kancelarii możemy załatwić bardzo wiele.

–Tak?

Na więcej sobie Landers nie pozwolił. Nie oczekiwał, nie chciał i nie potrzebował żadnej pomocy od zasranej kancelarii Wincha. Winch jednakże najwyraźniej tego nie rozumiał, bo mówił dalej.

–Ta kancelaria może wiele załatwić dla niektórych ludzi. Jeżeli znasz mnie, to jesteś też znajomym Jacka Alexandra. A jeżeli znasz Jacka Alexandra...

Winch zawiesił głos i uśmiechnął się znacząco.

–A poza tym ona nie wie, gdzie będę ani co się ze mną stanie, kiedy stąd wyjadę – odezwał się Landers.

–Może wcale stąd nie wyjedziesz – powiedział Winch.

–Można tylko przewidywać, że będzie źle – ciągnął

Landers. – Ale tak nie wolno zostawiać dziewczyny.

A już zwłaszcza dziewczyny z Peabody'ego.

–Tak. Już mówiłem, że wcale nie musisz stąd wyjechać – rzekł znacznie głośniej Winch. – Możesz nawet mieć własny samochód. I przepustek, ile dusza zapagnie.

–Naprawdę? – spytał Landers. – A to w jaki sposób?

–Bardzo prosty. Wystarczy, że zgłosisz się do mnie.

Jesteś aż nadto dobrze wyszkolony. Migiem odzyskasz swoje trzy paski, a może nawet zdobędziesz dwa bieguny.

Do diabła, planowałem to od samego początku. Kiedy po raz pierwszy poszedłem w twojej sprawie do pułkownika Stevensa.

–Dla mnie to jest nieprzyzwoite i niemoralne – odparł Landers.

–Czy Strange ci o niczym nie powiedział?

–Nie. A gdyby nawet powiedział, to moja odpowiedź byłaby taka sama. Kiedy myślę o tych wszystkich biednych zasrańcach, którzy jadą za ocean i obrywają, to nie chcę mieć z tym nic wspólnego ani z niczym takim.

Landers czuł w sobie chłodne, błyszczące, twarde jak diament ostrze determinacji. Winch nie miał na to wpływu.

–Tak, przyznaję, że to może być nieprzyzwoite i niemoralne – rzekł Winch. – Ale sam się przekonasz, że tak się tutaj załatwia sprawy. I tak się je załatwia na całym świecie. Przekonasz się kiedyś również o tym.

–Być może – odparł Landers, uśmiechając się.

–Ale i tak nie chcę mieć z tym nic wspólnego. A poza tym nie chcę mieć nic wspólnego z panem – dodał niespodziewanie ostrym tonem. – Panie Winch. – Nagle stanął wobec zagrożenia, że wyrzuci z siebie wszystko, więc musiał się ugryźć w język. Musiał zachować spokój.

–Nie jest mi pan potrzebny, nie chcę mieć z panem do czynienia, nie chcę i nie potrzebuję pańskiej pomocy.

Wykonam, co do mnie należy. To właśnie zamierzam zrobić. Wszędzie, dokąd mnie poślą.

–No cóż – rzekł Winch. – Dobrze.

Landers spostrzegł jednak, że przestał się uśmiechać.

Usiadł przy biurku i zaczął przeglądać dokumenty, które mu przywiózł.

–Napij się, chłopcze? – spytał Winch.

–Oczywiście.

Winch postawił na blacie butelkę whisky Seagrama, którą wyjął z szuflady biurka.

–Przepraszam za brak lodu. Ale mam wodę – powiedział, wskazując szklany dzbanek.

–Może być bez lodu.

–Tam są papierowe kubki. – Winch pokazał je.

–Nalej sobie. Ja nie piję.

Kiedy Landers nalewał sobie do kubka, Winch przekartkował i przejrzał jego dokumenty.

–W tych papierach załatwiają cię na cacy, chłopcze – rzekł po chwili i upuścił papiery na biurko. – Gdybym chciał, to na ich podstawie mógłbym cię posłać do piechoty.

Landers obrócił się gwałtownie w jego stronę.

–O czym pan mówi? – spytał jeszcze gwałtowniej, niż się obrócił. – Gdzie to napisano?

Pochylił się nad dokumentami. Nigdy nie ufał Winchowi. Nikt mu nie ufał.

–Tu – powiedział Winch i podał mu dokumenty, sześć kartek, które Landers przywiózł w dużej kopercie wraz z dokumentacją przebiegu służby i aktami

personalnymi.

–Spójrz na stronę drugą. Masz kategorię "zdolny do służby wojskowej w ograniczonym zakresie". A teraz spójrz na stronę czwartą. Jest tam mowa o "służbie w piechocie". Widzisz? To oczywista, jawna sprzeczność.

Dokumenty podpisał pułkownik przewodniczący komisji lekarskiej, przed którą Landers stawał wcześniej. Oficera tego widział tylko raz w życiu. Landers wściekł się.

–Jak to możliwe? Jak mogli to zrobić?

–Nie mogli – odparł Winch. – Tak jak powiedziałem, jest to sprzeczność. Jakiś urzędnik albo dwóch, którzy to napisali, pomylili się przy sporządzaniu dokumentów. Ale tutaj nie ma to znaczenia. Gdyby któryś z moich kancelistów podszedł do tych dokumentów formalistycznie, to posłałby cię do piechoty. – Odebrał dokumenty od Landersa i rzucił je znów na biurko.

–Nie miałem z tym nic wspólnego, chłopcze.

–A to świnię! – rzekł drżącym głosem Landers.

–Co za skurwysyny!

–Chcesz iść do piechoty, chłopcze?

–Nie. Nie chcę iść do piechoty.

–Dobrze. No to gdzie chcesz iść, skoro nie masz chęci zostać tutaj? – Winch rozłożył ręce. – Wybieraj.

–Nie chcę wybierać – odparł Landers, starając się opanować nerwy i głos. – Chcę iść tam, dokąd skierowano by mnie normalnie. Chcę postępować przyzwoicie i uczciwie... Czy pan to rozumie? Że inaczej nie mógłbym ze sobą wytrzymać?!

Landers próbował zniżyć głos do normalnego tonu, ale końcówka zdania wzniosła się tak wysoko, że omal mu się wymknęła.

–To bardzo szlachetne intencje. Bardzo szlachetne, bez wątpienia. Ale nie pošemy cię do piechoty. Chociaż gdybym chciał, to mógłbym to zrobić, pamiętaj.

–Nie są sprawiedliwi – rzekł z wściekłością Landers.

–To niesprawiedliwe.

–Sprawiedliwe, niesprawiedliwe. A tu są formularze.

Formularze sporządzone w trzech egzemplarzach. Twoje, chce traf, ktoś źle wypełnił. Pomylił się... Ale nie pošemy

cię do piechoty. Zostawimy to losowi szczęścia. Trafisz do mojego kancelisty. Nie wiem, nie mam pojęcia, do czego tam w tej chwili przydzielają. On pewnie też nie wie, dopóki nie sprawdzi. Nie daję ci konkretnego przydziału. Co ty na to?

–Dobrze. To mi odpowiada – chłodno zgodził się Landers.

–Na wojnie w żaden sposób nie można pozostać przyzwoitym, moralnym i uczciwym, chłopcze – powiedział cicho Winch.

Landers nie uznał za stosowne podtrzymywać rozmowy.

Kancelista, do którego skierował go Winch, był na pewno bezstronny. Ze stosu leżących na biurku przydziałów wziął pierwszy z góry i zrobił sobie przerwę na dwa niespieszne, leniwe sztachy papierosem. Był to przydział do kompanii zaopatrzenia paliwowego nr 3516, całkiem nowego, dopiero co utworzonego oddziału przeznaczonego wyłącznie dla żołnierzy z ograniczonym zakresem służby.

Po otrzymaniu wypełnionego przydziału Landers, nie wstępując do Wincha, żeby mu podziękować za zatuszowanie trzydniowej nieusprawiedliwionej nieobecności w jednostce, odszedł zameldować się w nowej kompanii. Winch patrzył za nim, jak odchodzi.

Po drodze Landers przypomniał sobie ostatnią rozmowę z Curranem na temat służby z ograniczeniem, a zwłaszcza w kwatermistrzowskich jednostkach zaopatrzenia paliwowego. I o dużym odsetku nieznanymi ofiar.

Baraki przeznaczone dla kompanii 3516 wyglądały jak po kataklizmie. Wybudowane najdalej dziewięć miesięcy temu, już rozłaziły się w szwach i groziły zawaleniem. Stała w nich, oglądając je z niedowierzaniem, dzisiejsza partia przybyszów z ekwipunkiem, świeżo wyrwanych ze szpitalnych pieleszy.

W parterowym, zimnym pomieszczeniu ludzie grzali się przy pękających piecykach węglowych, lecz szparami w ścianach, mimo że zabili je papą zdesperowani poprzedni mieszkańcy szarego baraku, nadal uchodziło ciepło. Piętrowe drewniane prycze groziły rozpadnięciem, gdyby ktoś spróbował skorzystać z górnego pośłania.

Latryny wyglądały jeszcze gorzej. Wybudowano je z dala od baraków na betonowych płytach ułożonych na lodowatej ziemi. Połowa kurków nie działała, a co trzecia toaleta nie była sprawna. I wszędzie pełno było zaschniętego błota,

naniesionego przez ludzi żyjących razem w zamknięciu. Błota i brudu, który, na dobrą sprawę, nie dawał się usunąć.

Kiedy nowi obejrzeliby sobie to domostwo, wywołano ich na dwór, żeby wysłuchali przemowy dowódcy kompanii. On również nie wyglądał na uszczęśliwionego.

Mówił o czystości, a mówił w taki sposób, jakby robił to nie pierwszy raz. Ale najbardziej dawał im się we znaki przejmujący, wilgotny chłód, który przenikał wszystko na wskroś. Od ciągłego zeszkrobывania wżartego, zaskorupiałego brudu, którego i tak właściwie nie ubywało, ściany, podłogi i sufity wyziębially się jeszcze bardziej.

Landers nie przestawał się złościć z powodu szpitalnych dokumentów kierujących go z powrotem do służby.

To było takie typowe dla wojska. Kto je w ogóle czytał, do kurwy nędzy?! Nikt. Curran? Stevens? Ten, który je podpisał? Pułkownik przewodniczący komisji lekarskiej?

Landers nie wiedział nawet, czy papiery te wejdą do jego akt. A gdyby tak na ich podstawie przeniesiono go nagle do piechoty? Gdzie wówczas by się zwrócił o potwierdzenie, jak się sprawy naprawdę mają? Zapomniał spytać Wincha o taką możliwość. Czy rzeczywiście istniała?

Powinien poprosić byłego szefa kompanii o skorygowanie pomyłki. Ale powrócić tam i prosić go o to byłoby

straszne i równie nieprzyzwoite, jak nieprzyzwoity był uśmiech Wincha. Tak więc żył cały czas niczym w piekle, wściekły z powodu niepewności.

Nowy oddział był beznadziejny, tak zły jak kwatery. Świeżo powołana kadra, złożona z pięciu podoficerów i trzech oficerów, dostawała na ogół partiami od dziesięciu do trzydziestu żołnierzy, najczęściej jednak wcale.

Landers przyjechał w dniu, gdy przybyło ich dwudziestu pięciu, a kadra nie miała pojęcia, jak ich należy przyjąć, bo nie znała się na rzeczy. Oficerowie nie wiedzieli, w jaki sposób pomóc podoficerom. Tymczasem nowi żołnierze dalej czyścili kwatery, aż wreszcie przybyło ich tylu, że uzupełnili stan liczebny kompanii i rozpoczęło się szkolenie.

Nieco więcej niż połowa z nich wywodziła się z jednej z dwóch dywizji szkolonych w obozie, które tuż przed przewiezieniem do Anglii przeszły tutaj ostateczne badania lekarskie. Wcale nie kryli zadowolenia z faktu, że, na szczęście, ich odrzucono i o włos uniknęli wyjazdu.

A przynajmniej było tak do chwili, gdy się zorientowali, w jak potworne gówno wdepnęli, trafiając do tej kompanii. Spory procent stanowili świeżo awansowani podoficerowie, których oficerowie bardzo szybko wyrwali ze zwykłych szeregów i obsadzili nimi podoficerskie wakaty funkcyjne.

Pozostałych żołnierzy, podobnie jak Landersa, wypisano ze szpitala. Głównie z Kilrainey. Landers rozpoznał kilka twarzy, które widywał na szpitalnych korytarzach, ale wielu przybyło z innych szpitali, mieszczących się na rozległym terenie zawiadywanym przez – jeszcze jeden nowy termin – "dział surowców wtórnych" Drugiej Armii. Niektórzy byli mocniej poszkodowani od niego.

Stanowili "wyskrobki z dna beczki", jak to zwięźle, z nieprzyzwoitym uśmiechem ujął pewien wieśniak żujący tytoń. Landers nie mógł wyrzucić z myśli obrazu jednego

żołnierza, który podczas walk we Włoszech stracił kawał lewej łydki. Jego noga wyglądała w tej chwili tak, jakby wygryzło mu ją jakieś duże zwierzę.

Z wyjątkiem nielicznych, tacy właśnie żołnierze wracali teraz do służby. Nic im nie odpowiadało. Ani nowy oddział, ani cokolwiek.

W tej sytuacji Landers, jako szeregowiec, nie rzucał się w oczy i czuł ulgę, że nikt go nie zauważa. Chciał mieć czas na myślenie. Postanowił, że już nigdy nie będzie zabiegał o awans. Że jako szeregowiec ograniczy się jedynie do wykonywania rozkazów, i na tym koniec.

Był wściekły i oburzony na sposób traktowania żołnierzy zwolnionych ze szpitali. Nie przejmował się specjalnie losem piechociarzy z miejscowej dywizji, ale nawet ich nie powinno się kwaterować w koszarach takich jak te.

Wyłożył to wszystko Strange'owi w hotelu Peabody na swojej pierwszej przepustce.

– Nikogo nic nie obchodzi – rzekł, starając się przedstawić sprawę tak prosto i nieskomplikowanie, żeby Strange zrozumiał. – Oprócz tych prostodusznych.

A ich się wykorzystuje. Spójrz tylko na komisję lekarską.

Pięciu starszych facetów, samych poczciwych cywilów, wcale nie jakichś zasranych absolwentów West Point.

Siedzą sobie przy stole i częstują cię gadką jak nakręceni.

O tym, jaki jesteś potrzebny. Chcą koniecznie skorzystać z twojego doświadczenia. Więc się zgadzasz. Z jakiego doświadczenia? Popatrz tylko, jak je wykorzystują.

Mówią ci, że chcą, abyś uczył żołnierzy, jak walczy piechota. A ty przecież nie wiesz, jak ona walczy. Na co więc się zgadzasz? Zwariowałeś? I widzisz, gdzie wylądowałem? Bo żaden z nich nie raczył nawet przeczytać moich dokumentów. Nie przeczytał ich nikt z tej komisji.

Bo przecież znaleźliby ten błąd. Nie... nie widzę dla siebie żadnego wyjścia. Z wyjątkiem ucieczki. A uciec nie ma dokąd.

–Świetnie, doskonale – powiedział Strange z charakterystycznym pośpiechem w głosie. – Ale nadal czegoś nie rozumiem. Przecież wystarczy, żebyś poszedł do Wincha, a dostaniesz dobrą biurową robotę i przesiedzisz w niej do końca wojny. Masz przecież odpowiednie doświadczenie.

Byłbyś dobry. Nie rozumiem cię, słowo daję.

–Ale wtedy nie różniłbym się od pozostałych – zaprotestował Landers i potrząsnął głową. – Nie zrobię tego.

Mary Lou znalazła już sobie nowego żołnierza. Po wyjściu Strange'a, który wyniósł się najszybciej jak mógł z Frances Highsmith, Landers mógł zostać w hotelu i wziąć sobie którąś z dziewcząt, ale wolał wyjść na miasto i samotnie powłóczyć się po barach.

Była to jedyna przepustka, na jaką mógł liczyć przez dłuższy czas. Kiedy po powrocie z niej zameldował się w obozie, dowiedział się, że kompania 3516 otrzymała rozkaz odbycia regulaminowego sześciotygodniowego szkolenia podstawowego.

Szkolenie podstawowe w przypadku tych żołnierzy było pomysłem niedorzecznym. Nawet ich nowy dowódca poczuł się tym faktem zażenowany i rozkaz o szkoleniu odczytał niemal przepaszającym tonem. Co z kolei skwitowano chórem narzeką. Cały incydent można by uznać za zabawny, gdyby nie to, że przyniósł poważne skutki. W pierwszym tygodniu po ogłoszeniu rozkazu zdezerterowało dwunastu żołnierzy, a w ciągu pierwszych tygodni szkolenia zwiali następni.

Landers nie uciekł, ale rozważał taką możliwość.

W dodatku do ucieczki nakłaniali go dwaj szpitalni inwalidzi, którzy uznali, że dłużej tego nie zdzierżą.

Niestety, tamci nie mieli pojęcia, dokąd iść i do kogo, nie wiedzieli też, jak długo będą musieli się ukrywać.

Poza tym Landers za nimi nie przepadał. To wszystko przeważało, że z nimi nie poszedł.

W rezultacie postanowił, że sam, w pojedynkę, również nie ucieknie. No bo dokąd? Przecież nie do domu – tam szukaliby go najpierw. Nie chciał wracać do Peabody'ego, jak na swojej pierwszej "lewiźnie", i całymi dniami zbijać baki. Gdyby tym razem zdecydował się uciec, to na dobre. Zdezercerować. Żadnych drobnych samowolnych oddaleń się. Orzekł jednak, że na razie sprawy nie wyglądają aż tak czarno, by usprawiedliwiały ucieczkę. Były jeszcze inne powody, dla których pozostał w obozie: po pierwsze dlatego, że zaczął w nim kiełkować skrycie wąły afekt do tego otępiełego, gównianego oddziału, a po drugie, zdążył już polubić swojego dowódcę.

Dowódcą nowej kompanii był porucznik Harry L. Prevor, Żyd z Indiany, z wystającymi kośćmi policzkowymi i mongolskimi oczami, którego wedle opinii kompanijnej kadry przysłano na owo zadupie tylko po to, żeby przejął i zorganizował od podstaw ten zasrany oddział. Jeżeli rzeczywiście tak było, to spisywał się doskonale. Powiedział, że Prevor to nazwisko francuskie, zapewne zniekształcone "prevoir", co znaczyło "wiedzieć naprzód", "przewidywać przyszłość". Mówił to z taką ironią, że budził śmiech. Dawał sobie radę z nową kompanią. Wprawdzie trzymał się w cieniu, a jego wygląd nie budził posłuchu u podwładnych, ale miał poczucie humoru i był bardzo przyzwoitym człowiekiem.

Według podoficerów pozostali oficerowie, chociaż goje, katastrofalnie zawalili przedtem jakieś sprawy.

Landers nie wyrobił sobie o nich zdania, niemniej coraz bardziej lubił Prevora.

Sytuacja podoficerów była zupełnie niezła, ponieważ nie trafili tu za karę. Dla nich ten przydział to pewny awans. Ogromnie cieszyli się ze swoich funkcji i starali się je zachować. Niestety, nie nadawali się do niczego, a ich awansów jeszcze nie zatwierdzono i po dwóch

miesiącach pozostawali nadal "p.o. sierżanta sztabowego" i "p.o. szefa kancelarii", przez co stali się nerwowi i niespokojni.

Landers przekonał się, jak bardzo są do niczego, kiedy po trzecim tygodniu forsownego i uciążliwego szkolenia zaczął zabiegać o funkcję młodszego pisarza.

Wysiłek fizyczny, jakiego wymagały rygory szkolenia podstawowego, dał mu się we znaki. Żołnierze wokół padali jak muchy, zgłaszali się do lekarza, bez powodzenia próbowali się dostać do obozowego szpitala, naprawdę nie wytrzymywali najprzeróżniejszych ćwiczeń i opadali z sił. Któregoś ranka żołnierzowi z wyszarpaną łydką dopiero po czwartym zwaleniu się na ziemię pozwolono odejść na bok, gdzie usiadł w ponurym milczeniu.

Landers był przekonany, że żołnierz "z Włoch" nie udaje. Jego własna kostka zbyt boleśnie reagowała na fizyczny trud: puchła, odmawiała posłuszeństwa, sztywniała. (Curran miał z pewnością rację, kiedy mówił, że Landers nie nadaje się już do piechoty.) Czym jednak była kontuzjowana kostka w porównaniu z okaleczoną łydką? A przecież żołnierza "z Włoch" nie przeniesiono gdzie indziej.

Do zadań kompanii 3516 w trakcie walki należał załadunek i wyładunek dwuipółtonowych amerykańskich ciężarówek wojskowych, którymi przewożono dwudziestolitrowe kanistry z benzyną. Skrzynie samochodów znajdowały się na wysokości ramion przeciętnego mężczyzny, a każda mieściła 125 kanistrów "zalewu".

Najważniejsza była szybkość załadunku i rozładunku.

W przypadku pustych kanistrów nie był to wielki wysiłek dla dwóch żołnierzy, ale kiedy 125 kanistrów napełniono benzyną (albo wodą, jak podczas pierwszych szkoleń), to samo zadanie dla czterech żołnierzy stawało się wyczynem nie lada. A robić to przez cały dzień – sześć,

osiem, dziesięć, dwanaście razy – było ponad wytrzymałość większości zdrowych mężczyzn. Założenie, że zdołają temu podołać szpitalni inwalidzi, których wessała ta kompania, zakrawało po prostu na ponury żart. Ci, którzy trafili tu po badaniach lekarskich z miejscowej dywizji piechoty, na ogół odkrywali, że przekracza to ich możliwości. Skazywanie zaś tych żołnierzy na powtórne szkolenie podstawowe było podwójnie niedorzeczne. Nikt nie wiedział, kto wydał taki absurdalny rozkaz.

Narzekanie na szkolenie podstawowe osiągnęło apogeum pod koniec trzeciego tygodnia. Odbywały się właśnie ćwiczenia nocne. I oczywiście padało. Co prawda nie lało, ale mżył uporczywy, nieprzyjemny, zimny kapuśniaczek. Landers wyobrażał sobie pułkownika odpowiedzialnego za plany szkolenia, jak z dużą szklanką whisky z wodą sodową w ręku siedzi przy biurku w ciepłym gabinecie i głębokim, męskim, surowym głosem poucza o korzyściach wynikających z tego deszczu: żołnierze będą lepiej wiedzieli, co ich czeka we Francji.

Było to tradycyjne ćwiczenie w warunkach ostrzału ostrą amunicją, mające zademonstrować żółtodziobom, co to znaczy dostać się pod prawdziwy ogień. W tym celu na małej skarpie ustawiono siedem czy osiem karabinów maszynowych, z lufami zaklinowanymi między palikami a krzyżakami o wymiarach dwie stopy na cztery, tak że nie można było unosić, obniżać ani przesuwać ich na boki. Obsługa kaemów strzelała na leżąco pociskami smugowymi nad terenem w dole, a szkoleni żołnierze (czyli Landers i kompania) czołgali się w dolinie ku skarpie, pociski zaś rozrywały się ponad metr nad ich głowami w proporcji jeden na pięć.

Landers nie wiedział, kto pierwszy zaprotestował.

Ale dziesięć kroków od podnóża skarpy, gdzie mieli się

zatrzymać, żołnierz po jego prawej ręce nachylił się ku niemu i przekrzykując wściekłą strzelaninę huczącą nad ich głowami, wrzasnął: "Popatrz!" W prawej dłoni trzymał kamień wielkości i wagi ręcznego granatu.

Niemal w zupełnych ciemnościach, rozświetlanych sporadycznie niesamowitymi rozbłyskami pocisków smugowych, Landers rozpoznał w nim po chwili żołnierza z okaleczoną łydką. Twarz i mundur tamtego były ubłocone, a oczyszczenie karabinu, który tulił w objęciach, zajęłoby parę godzin. Żołnierz z Włoch uśmiechnął się i zrobił taki ruch, jakby rzucał granatem w stronę karabinów maszynowych.

Na linię graniczną dotarli jedni z pierwszych i w oczekiwaniu na pozostałych nie mieli co robić. Landers rozejrzał się i zobaczył, że ziemię dokoła zaścielają kamienie wielkości granatów. Pod dostatkiem dla wszystkich. Nie wiedział, czy na pomysł z kamieniami wpadł ktoś z prawej strony tyraliery, czy wymyślił to żołnierz z Włoch. Ścisnął w dłoni kamień, krzyknął do żołnierza po lewej ręce i zrobił ruch przypominający rzut granatem.

Uradowany sąsiad skinął głową i podał pomysł dalej.

W dwie minuty potem już wszyscy na linii granicznej obrzucali kamieniami strzelające ze skarpy karabiny maszynowe. Doczołgujących się przez błoto w dolince następnych żołnierzy zachęcano, żeby przyłączyli się do rzucania.

Z początku na linii kaemów nie było żadnej reakcji, ale ci w dole zaczęli ponawiać rzuty, skupiając się na gniazdach karabinów maszynowych. Nie trudno było je dostrzec w ciemnościach, gdyż wylatywały z nich smugacze. Z niskiej skarpy dobiegło trochę zaniepokojonych okrzyków i wiązanki przekleństw, ale niezrozumiałych z powodu hałaśliwej kanonady. W przerwach pomiędzy strzałami kilka razy brzęknęło tak, jakby kamień uderzył w metal – w komorę zamkową albo w hełm. A potem

ktoś wrzasnął z przerażenia i po upływie jeszcze pół minuty ze stanowiska oficera wyposażonego w radiostację za plecami czołgających się dobiegły trzy głośne sygnały gwizdkiem. Ćwiczenie zakończyło się, odwołane, nim połowa żołnierzy przebyła cały dystans. Po wejściu na skarpę przekonali się, że kamień trafił jednego ze strzelających w twarz i złamał mu szczękę. Ci na małym wzniesieniu mocno narzekali, skarżyli się i przeklinali.

Dla Landersa była to fantastyczna, dziwna i niesamowita scena: okaleczeni, ubłoceni weterani walk z Lae, Guadalcanalu i Nowej Georgii na Pacyfiku, weterani z Europy, ci, co przeżyli walki o Sycylię, Salerno, Neapol obrzucali kamieniami wielkości granatów linię unieruchomionych karabinów maszynowych, z których strzelali ich rodacy. Landersowi przez myśl nie przeszło, że ktoś ze strzelających może zostać poważnie ranny, chociaż, jeśli chodzi o pozostałych, nie miał już takiej pewności. Kiedy trzęsąc się z zimna wspiał się na skarpę w chłodnej mżawce i patrzył, jak sanitariusze z latarkami odprowadzają rannego żołnierza, jakby to był kontuzjowany gracz futbolowy, dojrzał do decyzji, żeby zgłosić się do kompanijnej kancelarii i poprosić o funkcję młodszego pisarza lub jakąkolwiek.

Przeprowadzono szczątkowe śledztwo w sprawie incydentu na ćwiczeniach, które nie wykazało niczego. Żołnierze wymieniali spojrzenia, patrząc na siebie szeroko rozwartymi, niewinnymi oczami. Nikt nie widział, żeby rzucano jakimiś kamieniami. Nikogo nie oskarżono. Śledztwo zmarło więc z niedożywienia. A szkolenie podstawowe trwało. Następne ćwiczenie "pod obstrzałem" urządzono w terenie, gdzie na ziemi nie było żadnych kamieni, żwiru ani gruzu, tylko błoto i trawa.

Tymczasem Landers zgłosił się do kompanijnej kancelarii i poprosił, żeby go tam zatrudniono.

–O mój Boże! – westchnął Prevor, który usłyszał

jego słowa, stając w progu swojego pokoju. – A czy znasz się cokolwiek na pracy w kancelarii?

Landers skinął głową. Odparł, że na Nowej Georgii prowadził kancelarię kompanii piechoty.

–Akta kompanijne? Poranne raporty? Książkę chorych? – spytał Prevor.

Landers skinął głową.

–Wejdz do mnie – rzekł Prevor i zamknął drzwi, za którymi pozostali, siedzący ze spuszczoneymi głowami, szef kompanii i jej pisarz.

Z dowództwa odesłano mu właśnie plik raportów dziennych, które uznano za nie do przyjęcia. Sporządzono je niewłaściwie i wymagały przerobienia. Prevor skrzywił się.

–Mój cholerny szef kompanii nie wie, co w nich jest nie tak – powiedział.

Raporty obejmowały dwa pierwsze tygodnie istnienia oddziału, a to oznaczało, że w ślad za nimi nadejdą do poprawki następne ich partie. To samo było z książką chorych, a być może gorzej. Co prawda lekarze zajmowali się żołnierzami, którzy się do nich zgłaszali, ale książkę odsyłano niemal codziennie.

–Tak czy siak są do tego zmuszeni. Na liście chorych mamy więcej żołnierzy niż na służbie – wyjaśnił Prevor.

Całkiem oddzielnym zagadnieniem były akta osobowe żołnierzy. Prevor przeszedł do nich. We wszystkich brakowało adnotacji o przeniesieniach. Szef kompanii i pisarz bali się ich dotknąć. Jeden błędny wpis do akt mógł pociągnąć za sobą tydzień pracy na poprawienie omyłki.

–A przecież zbliża się wypłata żołdu – dodał Prevor. – Bez prawidłowo uzupełnionych akt osobowych żołd nie zostanie wypłacony.

Landers skinął głową i po chwili postanowił, że

zatrze energicznie dłonie, jak człowiek gotowy do pracy.

Panowało tu przyjemne ciepło, a na elektrycznej maszynie w kącie grzał się dzbanek z kawą. To było o niebo lepsze od szkolenia podstawowego w zimnie i

deszczu.

–Czy starczy ci doświadczenia, żeby uporządkować ten bałagan? – spytał Prevor.

Landers skinął głową.

–Tak jest, panie poruczniku – odparł i ujrzał przed oczami długą, wąską, oprawioną w skórę książkę raportów Wincha na Nowej Georgii. Winch zawsze nosił ją w torbie na linii frontu, dlatego jej skórzana, brązowa oprawa, podobnie jak niektóre strony, była powalana błotem, ale w środku zawsze była prawidłowo wypełniona, a przy jej prowadzeniu Winch dał mu dobrą szkołę po to, żeby sam nie musiał jej wypełniać po powrocie na biwak. Książka chorych należała do najprostszych druków i tylko kretyń mógł coś w niej popieprzyć. Natomiast wpisów do żołnierskich akt nauczył się zarówno u Wincha, jak i szefa kancelarii pułkowej. – Tak jest. Potrafię uporządkować wszystko.

Ale jeszcze nigdy nie sporządzałem listy żołdu na podstawie akt osobowych.

–Nieważne – stwierdził krótko Prevor. – Jeżeli potrafisz uporządkować tamte, to zrobię cię szefem kancelarii.

Landersowi zajęło to tydzień. Poprosił o nową książkę raportów dziennych i nową książkę chorych.

Wstawał w lodowatych ciemnościach z innymi żołnierzami, ale kiedy tamci skarżyli się i wdziewali zimne mundury polowe, on wkładał garnizonowy mundur wyjściowy. Jadł też z nimi śniadanie w lodowato zimnej jadalni przy kuchni, ale kiedy oni szli ćwiczyć na zimnie w wojskowym szyku, on meldował się w ciepłej kancelarii, gdzie na gorącej maszynie zawsze grzał się dzbanek kawy. To był prawdziwy luksus.

Kiedy przerabiał stare raporty dzienne, z dowództwa nadeszły do poprawek następne. W czasie wolnym od ich sporządzania wypełniał rubryki zakwestionowanej książki chorych, uaktualniając ją i jednocześnie dokonując codziennie prawidłowych wpisów do nowej książki chorych na użytek kompanijnego pisarza. W wolnych chwilach albo wieczorami, gdy mógł zostać sam, wypełniał akta osobowe, które wymagały wielkiej dokładności.

Po kolacji pracował samotnie w oświetlonej kancelarii, jedynym zresztą ciepłym pomieszczeniu w kompanii.

Nie miał nic przeciwko temu. Często wpadał do niego Prevor, żeby go pochwalić i sprawdzić, jak mu idzie.

Po dziesięciu dniach prowadził mu już wszystkie sprawy kompanii, tak jak to robił w dawnym pododdziale. (Szczęść im Boże, niech im Bóg pomaga, gdziekolwiek są, dopowiedział prędko w bolesnym poczuciu winy.) Tym razem jednak załatwiał również robotę szefa kompanii, sporządzając grafiki służb i szkoleń oraz układając plany ćwiczeń dla różnych drużyn.

–Czy z żołdem też dałbyś sobie radę? – zagadnął go któregoś wieczoru Prevor. – Jeżeli za trzy dni nie dostarczymy listy, to przekreślą nas na czerwono i nikt go nie dostanie.

"Przekreślą na czerwono." Przekreślenie nazwiska żołnierza czerwonym atramentem na liście żołdu wskutek błędu w wypełnieniu rubryki albo w adnotacjach na temat służby w jego aktach osobowych należało w wojsku niemal do grzechów głównych. Oznaczało bowiem, że żołnierz nie dostanie w danym miesiącu żołdu.

–Postaram się to zrobić – odparł Landers. – Ale, jak już mówiłem, nigdy nie sporządzałem listy żołdu na podstawie akt osobowych.

–Jeżeli tego dokonasz, to, jak Boga kocham, przed upływem miesiąca zostaniesz starszym kapralem. A jak tylko wciągnę cię na listę funkcyjnych, to załatwię ci

jeszcze "biegun" i awans na plutonowego. Nawet gdybym, psiakrew, musiał wpisać cię jako dowódcę drużyny.

–Prawdę mówiąc w ogóle nie zależy mi na stopniach wojskowych, panie poruczniku – rzekł Landers, wpatrując się w niego. – Naprawdę, postanowiłem, że nie chcę mieć żadnych stopni w tej zasranej, diabła wartej armii.

Prevor przez chwilę przyglądał mu się z uwagą.

–No cóż, ale ja tego chcę – powiedział. – I dam ci stopień. Więc musisz go przyjąć.

Landers opuścił wzrok na akta, nad którymi pracował.

–Lepiej będzie, jeżeli zrozumie pan, że ja przestałem już wierzyć w wojsko, przestałem wierzyć w ten kraj i w tę rasę, której członkami się urodziłem. Nie wierzę dłużej w tę kurewską rasę ludzką. Nie lubię jej i mam ją gdzieś.

Prevor zamyślił się.

–Nieważne – odparł wreszcie. – Jeżeli zrobisz dla mnie tę listę żołdu, to zostaniesz plutonowym. Nie chcę konfliktować podoficerów. Nie mogę im tego zrobić. Im bardzo zależy na kompanii, a taka rzecz by ich załamała.

Zresztą kiedy się wciągną, to się poprawią.

–Szanuję pańskie stanowisko – odparł Landers i dla podkreślenia tych słów skinął głową. – Ale oni się nie poprawią. Chyba że ich nauczę. Jeśli pan chce, to mogę ich nauczyć. Znam się nieźle na zaopatrzeniu, sprawach kwatermistrzowskich i żywieniowych. Gdyby pan chciał, to mógłbym z nimi wszystkimi pracować.

Mongolskie oczy Prevora rozszerzyły się.

–Naprawdę byś to zrobił? – spytał.

Landers skinął głową.

–Oczywiście. I na pewno nie nastaję na ich zasrane fuchy. Po prostu nie chcę chodzić na szkolenie podstawowe i marznąć.

–Przyrzekam ci jedno i drugie – rzekł z uśmiechem Prevor. – Ale i tak dostaniesz ten stopień, Landers.

Nawet gdyby jeden z moich plutonów musiał się obyć bez dowódcy.

Landers uśmiechnął się.

–A poza tym, gdyby wywalił pan swoich funkcyjnych, nie najlepiej by to przyjęto w dowództwie Drugiej Armii.

Prevor posłał mu dziwne spojrzenie.

–Tak, owszem – odparł tylko i odwrócił się od Landersa, lecz po chwili namysłu znów zwrócił się w jego stronę. – Prawdę mówiąc, ja nie mogę ich wywalić. Przyszli tu z dowództwa Drugiej Armii. Gdybym ich wywalił, zostałbym bez kompanii. W jednej chwili.

–Musi mi pan przydzielić pokój, gdzie będę mógł pracować na okrągło i nikt mi nie będzie przeszkadzał.

Nie zdołam sporządzać dziennych raportów i prowadzić na bieżąco książki chorych.

–Załatwimy to. Możesz zająć mój pokój – powiedział Prevor i po krótkim wahaniu wyciągnął rękę.

Landers uścisnął ją bez specjalnego entuzjazmu.

–Zdaje mi się, że Druga Armia bardzo się stara utrudnić panu życie. Czy dlatego, że jest pan Żydem? – spytał.

Prevor milczał dłuższą chwilę i wydawało się, że nie zamierza odpowiedzieć. A potem wzruszył typowo po żydowsku ramionami i uśmiechnął się smutnie.

–Tak to właśnie wygląda – rzekł wreszcie,

–Dobrze, zobaczymy – powiedział Landers. – Ale nie daję gwarancji, czy kilku żołnierzy nie dostanie czerwonej krechy.

Zajął mu to pełne trzy dni. Żeby tego dokonać, nie spał trzy dni i dwie noce, a większość trzeciej, nie licząc krótkich drzemek, spędził na sczytywaniu wszystkiego

i robieniu korekty. Następnego ranka oddał listę żołdu, zaopatrzoną przepisowo w podpis i parafowaną przez Prevora. W dwa dni potem lista wróciła w pełni zaakceptowana i kompania otrzymała żołd. Nikogo nie skreślono.

Landers mógł wyjść na jakąkolwiek ulicę w koszarach, na której ćwiczono marsze, zatrzymać jakiegokolwiek żołnierza i oznajmić mu, że właśnie ukończył sporządzenie czterdziestostronicowej listy żołdu, pierwszej, którą opracowano wyłącznie na podstawie akt osobowych, i że nie skreślono z niej nikogo, na co ów żołnierz, nic nie rozumiejąc, skinąłby głową i odpowiedział nerwowym, zakłopotanym uśmiechem. Właściwie dotarłyby do niego jedynie słowa "bez czerwonych krech". Bardzo niewielu zdawało sobie sprawę z ogromu pracy, jakiej wymagało sporządzenie choćby zwyczajnej listy żołdu. Rachuba nie przepuszczała najmniejszych niedokładności. Żadnych przekreśleń, żadnych ścierań gumką, nawet zamazana litera lub cyfra w numerze identyfikacyjnym mogła sprawić, że nieszczęśnik, na którego to trafiło, dostawał czerwoną krechę. A przecież Landers przy każdym nazwisku wypisywał od sześciu do ośmiu linii adnotacji, wziętych wprost z akt osobowych żołnierza.

Prevor jednak dobrze o tym wiedział i zadbał, żeby dowiedziała się też o tym cała kompania 3516. Kupił szampana i w obecności pozostałych oficerów i personelu kancelaryjnego otworzył go, a potem wypili całą butelkę, fetując Landersa. Kiedy Landers w padającej mżawce poszedł na kompanię, odkrył, że stał się jej nowym bohaterem. W jadalni powitały go wiwaty. Każdy, kto schował do portfela żołd, chciał mu uścisnąć rękę i poklepać po ramieniu, a kiedy pod koniec następnego miesiąca Landers awansował na kaprała, nikt nie miał mu tego za złe.

460

Jedynie on sam się z tego nie cieszył. Gdyby zwierzył się ze swoich uczuć Winchowi, ten parsknąłby z pogardą i zaklął. Gdyby podzielił się nimi ze Strange'em, ten odparłby, że Landers do reszty zwariował.

Tak więc tylko sam jeden znał prawdę. Instynktownie czuł, że to długo nie potrwa. Przynajmniej dla niego.

Tak samo jak był przeświadczony, że Żyd Prevor nie utrzyma się tu, że odejdzie. A po jego odejściu, tylko jeden Bóg wiedział, co czekało kompanię 3516.

Landers zastanawiał się, czy Winch w dowództwie Drugiej Armii, skąd wracały wszystkie dzienne raporty, śledzi jego postępy.

Rozdział dwudziesty piąty Winch śledził jego losy. Tak jak śledził losy wszystkich swoich żołnierzy. W kancelarii nie miał znowu aż tak wielu zajęć, by nie starczało mu czasu na sprawy pozasłużbowe.

A poza tym w czasie pobytu w O'Bruyerre rozszerzył swoje znajomości. Z wydatną pomocą Jacka Alexandra rozszerzył je do tego stopnia, że w tej chwili dysponował siecią informatorów rozciągającą się na całą Drugą Armię tutaj, w obozie, jej dowództwo w Luxorze, szpital Alexandra, a także na najrozmaitsze pola i dziedziny życia w samym O'Bruyerre.

Winch nienawidził używać słowa "informatorzy".

Ale to ich dobrze określało. Lepszym słowem byłoby pewnie słowo "koledzy" albo "kumple", ale do nich się ono nie stosowało, bo byli informatorami. Przez wzgląd na ich próżność i dumę wszystko było zorganizowane tak, aby stworzyć pozory, że się z nim kolegują. Nikt przecież nie chciał być donosicielem. Starsi podoficerowie z tutejszego Kwatermistrzostwa, starsi podoficerowie z wojsk łączności, każdy zjawiał się od czasu do czasu w pojedynkę z donosami, ale tak, żeby wyglądało na to, że wpadł się przywitać i napić piwa.

Winch zasiadał przy dużym stole w kącie dużej

piwiarni w kantine, w części zajmowanej przez starszych podoficerów, którą od reszty wielkiej sali oddzielała barierka z aluminiowych słupków.

Codziennie wczesnym wieczorem, zaraz po pracy (w porze zwanej w kasynie oficerskim koktajlową), ów stół zarezerwowany był dla Wincha, który właśnie tam, w kącie, przyjmował gości.

Tematem rozmów były zawsze plotki. Właśnie tak jego informatorzy przekazywali mu wieści. Młodszy podoficerowie schodzili do jego stolika na piwo niemal ze wszystkich zakątków wielkiej jednostki. Nie wiem, czy ktoś da mi wiarę, ale słyszałem... Taki a taki być może nie ma pojęcia, o czym mówi, ale wygadał się... Ten a ten powiedział to... A inny ten a ten słyszał tamto...

Winch wiódł rej, był swobodny, śmiał się i stawiał piwo, ale w mrocznych rejestrach mózgu gromadził wszystko, co mogło się przydać tu czy tam. Na początku trzymał przed sobą pół kufła piwa, lecz go nie pił.

Później zaczął obywać się bez piwa, którego nie kosztował. Czasem wypijał jeden albo kilka kieliszków białego wina z butelki, którą przynosił z baru.

Nienawidził aluminiowej przegrody. Tak jak nie znosił dwóch wielkich chromowanych szaf grających Wurlitzera z kolorowymi światełkami. Stały one w wielkiej sali i cały czas pochłaniały fortuny w pięcioi dwudziestopięciocentówkach w zamian za granie na cały regulator wszystkich popularnych piosenek. Skoro chcieli postawić jakąś przegrodę, to czemu nie z drewna, jak się godzi w piwiarniach? A poza tym miał serdecznie dość słuchania I'll Never Smile Again Jo Stafforda, Sentimental Journey Diny Shore, I'll Be Seeing You Very Lynn, I'll Get By Dicka Haymesa, You 'U Never Know Alice Faye, All or Nothing at All Franka Sinatry, I've Heard That Song Before Helen Forrest. Sentymentalnych bzdur! A także Avalonu, Elmer's Tune, Ciribiribin,

Chattanooga Choo-Choo, The Jersey Bounce, I've Got a Gal in Kalamazoo. Dudniły, tętniły i zawodziły bez ustanku w całym lokalu, unosząc się wysoko w wielkiej sali niczym druga chmura papierosowego dymu. Niemniej stanowiły doskonały parawan dla informacji, które przekazywano mu w postaci niefrasobliwych ploteczek.

Tak więc Winch wiedział wszystko o Harrym L.

Prevorze i kompanii 3516 znacznie wcześniej, nim objawił się tam Landers i podjął się zadania. Natychmiast też doszło do niego, w jaki sposób jego były pisarz dwa albo trzy razy, jeśli wliczyć wypłatę żołdu, uratował Prevora dzięki świetnej znajomości prowadzenia ksiąg, którą wyssał z piersi jego, Matki Wincha. Zaraz też dowiedział się o ponownym awansie Landersa na starszego kaprała, a w miesiąc potem o jego awansie na plutonowego.

Pomimo tych awansów Winch słusznie podejrzewał, że Landersowi jest bardzo daleko do przewyciężenia psychicznych problemów. Domyślał się, że Landers zajął się porucznikiem Prevorem dlatego, bo zachowanie dla niego dowództwa kompanii uznał za swój moralny obowiązek. A jeżeli tak się sprawy miały, to bardzo źle trafił. Winch przyglądał się karierze porucznika Prevora, odkąd ten zjawił się w Drugiej Armii, tydzień po nim samym. Antyżydowskie dyskryminacyjne praktyki stosowane wobec niego i dwóch innych Żydów, którzy przybyli tu z tą samą grupą młodych oficerów, trwały niestrudzenie.

Nie dotyczyło to w żaden sposób ani Wincha, ani jego władzy. Ale obserwowanie wszystkiego było dla niego interesujące. W Drugiej Armii służyli też inni Żydzi, i to. niemało, a niektórzy z nich zajmowali wysokie stanowiska. Ale nie byli tu ani nowi, ani obcy i pozbawieni przyjaciół. Jednak żaden z tych ustawionych w wojsku Żydów nie zaofiarował się – otwarcie ani zakulisowo – że pomoże Prevorowi i dwóm pozostałym.

Przekazana Winchowi przez różnych sierżantów plotka głosiła, że ustawieni, zaakceptowani żydowscy oficerowie z większą niechęcią traktują tych trzech niż stuprocentowi Anglosasi. Zdaniem sierżantów usiłowali w ten sposób zapracować sobie na miano "swoich".

Dla Wincha miało to sens. Już dawno poniechał moralnego oceniania Żydów i całej reszty. Wątpił jednak, czy zrobił to Landers. A jeśli Landers postanowił wesprzeć swoim moralnym oburzeniem porucznika Prevora, to od razu ustawił się na przegranej pozycji.

Prevor był stracony od samego początku, a od chwili, gdy objął dowództwo kompanii 3516, jego odwołanie z tej funkcji było przesądzone.

Druga Armia dopuszczała jedynie dwa rozwiązania.

Pierwsze: gdyby porucznik się sprawdził i doprowadził kompanię do dobrego stanu, Druga Armia wyznaczyłaby na jej dowódcę jakiegoś reprezentacyjnego kapitana bez przydziału, żeby zebrał cały plon pracy, przy której Prevor wypruwał sobie żyły. Drugie (bardziej prawdopodobne): gdyby szkolony przez niego pododdział okazał się do niczego, niezdolny do działania, to Druga Armia pozbyłaby się Prevora i, obciążonego kilkoma grubymi minusami, przydzieliła do zajęć z nową kadrą podoficerów. Jego kompanię zaś jakiś młody, nie lubiany przez żołnierzy oficer wywiózłby za morze.

Jedynym dodatkowym możliwym rozwiązaniem, najgorszym ze wszystkich, byłoby, gdyby Prevor nie wykrzesał niczego z tej zgorzkniałej żołnierskiej zbieraniny i skończył z niezdyscyplinowaną, pozbawioną wszelkiego bojowego ducha bandą kalekich ciurów. A wtedy wpadłby w pułapkę, którą sam zмайstrował: Druga Armia bowiem chcąc się go pozbyć, wysłałaby go wraz z nimi za morze. W każdym przypadku wychodziło na to, że Prevor musi przegrać.

Jeżeli Landers angażował się w taką sprawę i wspierał ją swoimi umiejętnościami, to i jego czekała porażka.

Winch musiał zadać sobie pytanie, jak się zachowa Landers, kiedy stanie oko w oko z jednym z owych rozwiązań.

Winch miał poza tym własne życie. Wypełniała je przeważnie Carol. Carol i jego senne zmory. A zmory te zdobywały coraz większy teren kosztem dziewczyny i wszystkiego innego.

Przez pewien czas, zaraz po przyjeździe zza oceanu, odczuwał bardzo silną potrzebę, żeby spać z bagnetem albo dużym pistoletem pod poduszką. Nie było w tym sensu, lecz dodawało ducha, pokrzepiając tak jak bezpieczny koc pokrzepia dziecko. Winch zachował sobie ten pistolet ze starej kompanii, spisując go z ewidencji jako zagubiony czy skradziony, natomiast ze zdobyciem bagnetu nie miał najmniejszych trudności. W szpitalu w San Francisco korzystał z zakłopotaniem na przemian to z jednego, to z drugiego, ale później tego zaniechał.

Niemniej zatrzymał oba, a teraz tamta potrzeba powróciła do niego z taką siłą, że tylko obecność Carol w mieszkaniu i w łóżku powstrzymywała go przed zrobieniem tego. Przez kilka nocy, spędzonych bez niej w koszarach na kwaterze, spał bądź z bagnetem, bądź z pistoletem. W ciepłym dotyku metalu spoczywającego w dłoni wsuniętej pod poduszkę było coś ogromnie pokrzepiającego.

Senne zmory nie miały nic wspólnego z pragnieniem bliskiego obcowania z bronią, a przynajmniej Winch nie dostrzegał w tym żadnego związku. Ostatnio wszakże jego zmory zaczęły brać górę. Były już trzy. Trzy oddzielne, różne koszmary senne. Nie przespał ani jednej nocy, ani nawet półgodzinnej drzemki, żeby nie dręczył go choć jeden z nich. Ostatnio jego pierwotny koszmar przeniknął do świata zewnętrznego, dotarł do świadomości innych ludzi. A właśnie temu Winch najbardziej pragnął zapobiec.

Którejś nocy, gdy głęboko spał, Carol obudziła go i powiedziała, że krzyczał przez sen. Coś, co brzmiało jak: "Zabierzcie ich stamtąd! Zabierzcie ich stamtąd!" To samo zdanie raz po raz. Doszła do wniosku, że łączy się ono w jakiś sposób z wojną. Ale wszystko to było takie niejasne. O co właściwie chodziło? Czy rzeczywiście miało związek z wojną?

–To nic takiego – odparł. – Nie, to nie ma związku z wojną.

Ale bijąca z jej twarzy uciecha była tak oczywista, iż żałował, że nie może powiedzieć jej prawdy. Pozostałyby jej z tej wojny romantyczne wspomnienia, kiedy

będzie starsza. Gdy stanie się kobietą.

–To nic takiego – powtórzył. – Tylko zły sen.

Był jednak wstrząśnięty tym, że krzyczał na głos.

Instynktownie, albo prawie instynktownie (w jej przypadku zawsze trudno było to ocenić), leżąc przy nim, podsunęła mu jedną ze swoich rozkosznych piersi pod twarz w taki sposób, jakby chciała go pocieszyć.

Winch zaczął ją głaskać, całować, lizać, wreszcie ssać, drażniąc sutek. Nienawidził siebie za to, ale jej sutek był taki miękki, taki delikatny. Carol zaczęła mocno sapać.

W końcu zaczął ją grzmocić. W gruncie rzeczy było to najlepsze, co mógł zrobić. Ale grzmocił ją tak, jak wolał on, a nie ona. Lubiła, gdy robił to niczym tłok, mocno i energicznie, waląc pomiędzy jej rozstawione nogi i włosy łonowe. On też to lubił, ale jeszcze bardziej lubił raz po raz wsuwać i wysuwać wolno, długimi sztychami, swój napęczniały wał i czuć jego najłżejsze drżenie. Przy spuszczeniu się mógł go już tylko wyciągnąć. Musiał, pamiętając, że Carol nie nosi krążka domacicznego. A potem leżał, pocierając wiotczającym członkiem o poduszkę jej wilgotnych włosów łonowych, Carol zaś przytulała się do niego.

Zasnął, lecz obudził go nowy, jakiś czas temu jeszcze

nie znany, zły sen, leżał więc i patrzył na śpiącą kochankę. Przeczynał, że Carol wróci do kwestii jego koszmarów, i nie pomylił się. Następnym razem znowu go zagadnęła i od tej pory stale go o to wypytywała.

A kiedy już raz zły sen się pojawił, wdzierając się do jego świadomości jak przez szeroko otwartą bramę, to zaczął go śnić coraz częściej. Niebawem Carol już co noc budziła go z jakiegoś złego snu. Doszło do tego, że bał się zasypiać. Nie zdarzyło mu się to nawet na Guadalcanale i na Nowej Georgii, ale po raz pierwszy w życiu zaczął cierpieć na bezsenność.

Dwa nowe sny różniły się bardzo i w treści, i w formie. Nie były podobne do siebie i do pierwszego, znanego mu dobrze koszmaru. W jednym atakował go Japończyk, oficer z mieczem albo zły, doświadczony, zawzięty sierżant z nambu, co prawda nie nabitym, ale za to wyposażonym w bagnet. Japończyk nadbiegał, żeby go zamordować. Winch miał przy sobie swój wielki rewolwer dużego kalibru i mógł zabić przeciwnika, ale w tym momencie najważniejsze było co innego: otóż obaj znajdowali się pod ostrzałem moździerzy, na co Japończyk nie zwracał uwagi. Po spadnięciu kolejnego pocisku, czyli co dwie sekundy, Winch wzdrygał się, w przeciwieństwie do tamtego. Kilka razy do niego wystrzelił, ale zawsze chybiał, nie mogąc opanować drgnienia, kiedy akurat spadały pociski. O trafieniu Japończyka nawet nie marzył, ostatnią kulę zostawił więc dla siebie na wypadek, gdyby wróg znalazł się blisko. Ale nie miało to znaczenia, bo Japończyk dopiął swego dlatego, że był gotów zginąć, a on nie. Tak więc Winch stał, czekał i wzdrygał się, sparaliżowany bezgranicznym strachem, świadom własnej nieudolności, niepanowania nad sytuacją.

Drugi sen był o rannym żołnierzu. Winch nie wiedział, kim jest ten chłopak, i nie potrafił go rozpoznać.

Nie był to Jacklin (bo Jacklina zabitego Winch widział i dla porównania przywoływał we śnie jego postać), leżał jednak w tej samej pozycji co tamten. Rozciągnięty jak długi, z rozpostartymi rękami, z głową odrzuconą do tyłu, z tą różnicą, że nie patrzył w ziemię, tylko w niebo.

A poza tym nie był martwy. Bynajmniej. Ale ogień wroga nie pozwalał im do niego dotrzeć. Ilekroć strzelanina przycichała, do Wincha docierało jego żałosne, płaczące nawoływanie, lecz chociaż dowodził kompanią, bo jej dowódca (ale tylko we śnie, a nie w rzeczywistości) poległ, to jednak nic nie mógł zrobić. Żadnego ze swych stu sześćdziesięciu ludzi nie potrafiłby wysłać pod ten ogień, a sam również, dowodząc kompanią, nie mógł pójść. W dole ranny wołał żałościwie o pomoc. Ostrzelany przez

wroga, znów oberwał. A potem jeszcze raz i jeszcze raz. Jednakże żadna z jego ran nie była śmiertelna – ten żołnierz nie miał szans zginąć.

Winch nigdy nie mówił Carol o swoich sennych zmorach, nie chciał jej powiedzieć. W dalszym ciągu wierzył, nawet jeśli mimowolnie zdradzał się z nimi podczas snu, że jeżeli zatai ich istnienie przed wszystkimi, to w końcu jakoś się z nimi upora, i nad nimi zapanuje.

Carol zaś zbyt rozkoszowała się myślą o ich poznaniu, za bardzo, żeby jej te sny opowiedzieć.

Okropne, przerażające historie wojenne nie wiadomo dlaczego sprawiały jej niemal erotyczną przyjemność.

Była jak dziecko, które jednocześnie uwielbia i nie znosi filmów o Draculi. Ale to dlatego, że sama nic takiego nie przeżyła. Kiedy były to twoje przeżycia, traciły na okropności i stawały się po prostu żalosne. Winch nie spodziewał się, że Carol to zrozumie. Przekonał się już, że cywilów takich jak ona jest wielu.

Poza tym dziewczyna miała własne kłopoty, które zaczęły się od świątecznych ferii jej chłopaka. Nadal bardzo chciał zaciągnąć się do wojska i kiedy przyjechał

na święta, tylko to miał w -głowie. Zdecydował, że porzuci studia, czemu sprzeciwiała się jego rodzina, szczególnie matka. Również rodzice Carol mieli mu to za złe, i zamierzali nie dopuścić do małżeństwa córki z żołnierzem wyjeżdżającym do Europy – bez względu na to, jak dobrze był wychowany i ustosunkowany. Dla niego wszakże liczyło się tylko zdanie Carol, która ponownie przyszła z tym problemem do Wincha.

Tak jak zapowiedziała, przez całe ferie widziała się z nim tylko raz, dlatego tę historię usłyszał dopiero w styczniu.

–Taak – rzekł, jakby wydawał rozkaz. – Chcesz, żeby wyjechał, czy chcesz, żeby został?

Carol przybrała udręczoną minkę, a po chwili żalowaną.

–No, nie chcę, żeby jechał. Ale nie jestem pewna, czy chcę za niego wyjść. Nie kocham go. Kocham ciebie.

–Ja się tu nie liczę. Mnie nie bierz pod uwagę – odparł Winch.

–Jakże mogę to zrobić?! – zawołała. – Ale nie chcę, żeby jechał. To znaczy, nie chce tego jego rodzina.

Jego biedna matka, Jego tato. Zrobili wszystko, żeby załatwić mu odroczenie służby wojskowej. Muszę szanować ich pragnienia. Tylko że nie jestem pewna, czy chcę za niego wyjść. Bo jeżeli zostanie, to na pewno będę musiała go poślubić. Prawda?

Nietrudno było powiedzieć, na jaką odpowiedź Carol liczy. Jakiej się wręcz domaga.

–Niekoniecznie – powiedział Winch.

Carol zwróciła się w jego stronę i przez dłuższą chwilę patrzyła na niego dużymi, ciemnymi oczami.

Zezujące uciekło odrobinę w bok, ale zaraz powróciło na miejsce.

–Zresztą nie zostanie tylko dlatego, że ja go o to poproszę. Aż tak dużego wpływu na niego nie mam.

–To bardzo łatwe – rzekł natychmiast Winch.

–Nic prostszego. Wystarczy, jeśli powiesz mu, że masz kochanka.

Dzięki ciemnemu, zezującemu oku była bardzo seksowna.

–Och! I myślisz, że wtedy by został? Skutek mógłby być odwrotny. Taki, że uciekłyby i zaciągnął się. Z głębokiej rozpacz.

Winch znów pomyślał, że na rozmaite sprawy w swoim życiu ma coraz mniej czasu. Czy tak wyglądała prawda? Czy Carol mówiła serio? Najwidoczniej.

Czy zachowywali się serio ci, którzy gromadzili tę masę materiałów wybuchowych i zabijali każdego obcego? Najwidoczniej. Lecz czy wszyscy ci żołnierze ginęli?

Naprawdę umierali? A może była to tylko jedna wielka dziecinna zabawa?

Czy jeżeli budowałeś dom, to był on naprawdę domem? Czy może tylko stertą drewna zestawionego w określony sposób i zbitego gwoździami do kupy?

Ta przerażająca myśl nappełniła go uczuciem tak otchłannym, że Winch kompletnie się pogubił.

Carol jeszcze raz musiała powstrzymać swojego chłopaka.

–Za nic nie chciałabym tego robić, nie będąc absolutnie pewna wyniku – dodała, śmiało podniosła na niego oczy, jednym zezując, i oznajmiła: – Zrobię to.

–Być może się mylę – rzekł bez przekonania Winch – ale mnie coś takiego na pewno skłoniłoby do pozostania.

–Zrobię to – powtórzyła Carol z większym przekonaniem.

W końcu jednak się rozmyśliła. Na kolejnej randce wyznała Winchowi, że za bardzo się bała. Zamiast tego obiecała chłopakowi, że jeżeli powróci na uczelnię, to ona przyjedzie do niego na tydzień. Zgodził się. Przyrzekła, że odwiedzi go w Cleveland pod koniec stycznia.

Przez parę następnych tygodni spędzała z Winchem po cztery, pięć nocy w tygodniu, aż do swego wyjazdu do Cleveland. Nadal stanowczo zrywała się o czwartej nad ranem, starannie się ubierała i malowała od nowa jak na wieczór, żeby zdążyć na wpół do piątej do domu.

Nikt tam na nią nigdy nie czekał. Nie zdarzyło się też ani razu, by ktoś wstał tak wcześnie, żeby sprawdzić, czy wróciła. Ale Carol nie chciała ryzykować. Tak więc o wpół do dziewiątej, gdy musiała wstać, matka zawsze zastawała ją w łóżku.

Winch, który wstawał o siódmej, miał jeszcze trzy godziny, leżał więc i przyglądał się, jak Carol odprawia swój drobiazgowy obrzęd. Wiele razy miał ogromną ochotę kochać się z nią rano. Była taka śliczna. Taka urocza w trakcie owego monotonnego rytuału. Niestety, nie pozwalała mu zakłócić ani nawet opóźnić codziennego obrzędu.

Po powrocie z Cleveland oznajmiła Winchowi, że znalazła sobie nowego chłopaka. Wyjechała na tydzień, a nie było jej trzy – właśnie z powodu tego nowego kochasia. Pochodził z małego miasta w Ohio i był rówieśnikiem poprzedniego chłopca.

–Uwielbia, kiedy mu obciążam – oświadczyła bez najmniejszej żenady. – A on uwielbia wylizywać mnie.

Nazywa to "gamahouche". To stare wiktoriańskie słowo.

Lubi wszystko, co wiąże się z seksem.

Byli właśnie w wynajętym mieszkaniu, a na dworze panował ziąb. Carol zdjęła płaszcz.

–Może wyjdę za niego, zamiast za tamtego – powiedziała.

Był bogatszy od swego poprzednika i cieszył się większym prestiżem, a jego rodzice prezentowali się wprost wspaniale – bardzo dystyngowani. Dotyczyło to w szczególności matki.

–Ach, tyle mnie nauczyłeś, Mart! – wykrzyknęła,

zamaszyście rzuciła płaszcz na kanapę i wirując przebyła pokój.

Winch miał wrażenie, że usłyszał najwyższą pochwałę.

Carol zatrzymała się.

–Ale ja go nie Kocham! – zawołała i już innym, łamiącym się głosem dodała: – Kocham ciebie.

Przeszła przez pokój, otoczyła Wincha ramionami i otarła się piersiami o jego pierś. W butach na wysokich obcasach prawie dorównywała mu wzrostem.

–O-ho-ho. Ja nie startuję w tej konkurencji. Nie pamiętasz? Powiedziałem ci to na samym początku.

Położył dłonie na krągłościach jej pleców poniżej pach, a potem zsunął je do płaskich dziewczęcych bioder, przebierając opuszkami palców po jej zaokrąglonych pośladkach. Gromadził doznania zmysłowe, żeby było co wspominać później.

–Co się z nami stanie? – spytała, ocierając się skronią o jego ucho. – Co poczniemy?

–Spróbujemy pójść do łóżka. Co ty na to?

Dawniej po stosunku z Carol nękały go duszności, brakowało mu tchu, na co wpływ miał stan jego serca.

Potem jednak na dość długo nastąpiła poprawa, a duszności niemal ustąpiły. Ostatnio wszakże powróciły, prawie tak silne jak na początku. Winch nie rozumiał dlaczego. Dziś natomiast objawiły się z niespotykaną siłą, tak że musiał wstać i przejść się po pokoju, żeby ukryć zadyszkę.

Właśnie podczas trzytygodniowej nieobecności Carol, Boby Prell się ożenił.

Winch wiedział o zbliżającym się ślubie, ale nie spodziewał się zaproszenia. Kontaktował się przez telefon ze Strange'em, a raz, w okresie szkolnych ferii świątecznych, spędził wieczór w jego apartamencie hotelowym, miał więc o Prellu najświeższe informacje.

Niemniej zaproszenie na ślub zaskoczyło go. Było

ozdobne, drukowane i wypełnione nie kulfoniastym pismem Prella, tylko równym, odchylonym w lewo, szkolnym pismem, które mogło należeć do tej małej Delii Mae. Delii Mae... Kinkaid? Nie miała przecież powodu wysłać mu zaproszenia. Winch natychmiast domyślił się w tym ręki Strange'a, więc do niego zadzwonił.

Nie, Strange nie kazał jej zaprosić Wincha. Nie namówił też do tego Prella. Raz jednak, kiedy Strange go odwiedził, Delia Mae odprowadziła go na bok i spytała, kogo powinna zaprosić. Strange wymienił Wincha, ale wspomniał, że Prellowi może się nie spodobać ten pomysł.

–Niech pan zostawi to mnie – odparła na to.

Zaprosili na ślub także Landersa, Corella, Trynora i pozostałych członków kompanii, których zresztą zostało tu już niewiele.

–A więc nie zdołał temu zapobiec – rzekł Winch.

Strange potwierdził, że na to wygląda.

–W takim razie chyba przyjdę. No, bo czemu nie, kurwa mać. – Winch odchrząknął. Nagle wezbrało w nim dziwne, potężne uczucie, które przybłąkało się skądś nieoczekiwanie i potrząsnęło nim tak mocno, jak wielki pies potrząsa schwytanym szczurem. – A zresztą po jakiego grzyba Prell się żeni?! Taki kaleka jak on? Z czego utrzyma żonę po wyjściu z wojska?

To niepoważne.

W odpowiedzi usłyszał w słuchawce cichy, niemal mefistofelesowski chichot.

–Nie wiesz dlaczego? Nie mówiłem ci? Zrobił jej brzuch. / Winch wydał zdziwiony okrzyk.

–Tak. Wielki jak balon – potwierdził Strange.

–Nie miał wyboru.

Do jego głosu wkradła się chyłkiem jeszcze jedna

mefistofelesowska nuta. Na ślubie miało być sporo ludzi.

Znajomych Prella. Zanosiło się na nieliczne przyjęcie.

A poza tym Winch niepotrzebnie się martwił, jak Prell da radę utrzymać małą Delię Mae po wyjściu z wojska, bo, być może, w nim zostanie. Chodziły nawet słuchy, że mogą go zrobić porucznikiem. Pełnym porucznikiem.

Winch prychnął sarkastycznie, pożegnał się, odłożył słuchawkę i zapomniał o całej sprawie. Przyszło mu na myśl, że gdyby był dawnym sobą, to natychmiast zadzwoniłby do Jacka Alexandra. Ale nie zadzwonił.

Tak więc, kiedy przyjechał na ślub, znów czekała go niespodzianka. Bardzo szybko zorientował się, że urządzone w przyszpitalnej kaplicy ślub zorganizowało i sfinansowało wojsko i że drużbą jest pułkownik Stevens.

Gdyby częściej, tak jak powinien, odwiedzał kasyno oficerskie w O'Bruyerre, dawno by o tym wiedział.

Innymi gośćmi, o których wspomniał Strange, byli sami cywile. W sali ośrodka rekreacyjnego, którą zajęto na przyjęcie weselne, kłębiło się od trzymających w rękach szklanki z napojami i kieliszki z szampanem przedstawiciele Izby Handlowej, członków klubów:

Lwów, Rotariańskiego, Kiwanis, Wapiti, a także ich małżonek i delegatek Połączonych Klubów Pań z Luxoru. Wszyscy należeli do rozmaitych organizacji, na zebraniach których Prell wygłaszał przemówienia, zachęcające do kupowania obligacji wojennych.

Goście bawili się doskonale, lubili i podziwiali Prella i byli zadowoleni, że znaleźli się wśród tylu fotoreporterów i sprawozdawców prasowych. A kiedy Prell pospołu z Delią Mae kroił czarnym, żołnierskim bagnetem ogromny tort weselny, rozbłysły flesze i zagrzmiały rzęsiste, serdeczne oklaski cywilnych gości. Zrobiono wówczas wiele zdjęć.

Na poczesnym miejscu wystawiono Medal Honorowy wraz ze wstęgą. Poproszono Prella, by pozował w nim

do oficjalnego zdjęcia i następnych – kiedy z Delią kroili tort, a potem kiedy fotografowano oboje z pułkownikiem Stevensem. Za każdym razem Prell starannie zwijał wstęgę i odkładał medal do etui.

–I co pan na to, Mart? – zagadnął pułkownik Stevens stając przy Winchu.

–Dobrze zorganizowane, panie pułkowniku – odparł z uśmiechem Winch. – Często urzędzacie sprzedaż obligacji wojennych?

Stevens odpowiedział mu swoim nieskorym, zażenowanym śmieszkiem.

–Nie. W każdym razie nie dziś. Ale urządzimy – rzekł.

Winch był rad, że włożył dziś swój szyty na miarę mundur i baretki. Zamienił parę zdań z kilkoma cywilami. Wszyscy bardzo podziwiali Prella, a na wieść, kim jest Winch, zadawali mu to samo pytanie: czy, jako szef kompanii, jest z niego dumny. Odpowiadał im, że tak.

Wreszcie precisnął się do niego Johnny Strange i we dwóch stanęli w bezpiecznym kącie sali przy końcu baru.

–Nie przyprowadziłeś swojej dziewczyny? – spytał Winch.

–Nie. Ona nie przepada za takimi imprezami – odparł Strange. – A pan nie przyszedł ze swoją?

–Wyjechała. Ale wątpię, czy dobrze bym zrobił, gdybym przyprowadził ją tutaj. Tu, gdzie pracuję.

Strange powiedział mu o ogromnym sukcesie Prella przy sprzedaży obligacji. Ludzie kochali go za prostotę, i należało to wykorzystać. Pułkownik Stevens napisał nawet do Waszyngtonu, że powinni zabrać go z Kilrainey i Luxoru i posłać w objazd. Tyle, że za jakiś czas, jak wydobrzeją mu trochę nogi i się wzmocni. Ale – jak głosiła inna plotka – miano go stąd wywieźć do Hollywood. Do wytwórni... Właśnie dlatego wojsko chciało zatrzymać Prella. Przynajmniej do zakończenia wojny.

–W takim razie na pewno dobrze się poczuł – skomentował z wielką ulgą Winch. Nie móc pić na takich imprezach było męką. Pochylił się do barmana, żeby spytać go o białe wino.

–Nie jestem tego taki pewien – rzekł Strange i pokręcił głową, bo Prell rzeczywiście nie był uszczęśliwiony takim obrotem sprawy. Chciał pozostać w wojsku, ale myślał tylko o powrocie do regularnej służby.

–Wszyscy tego chcemy – odparł z ironią Winch.

Strange skinął głową. Wiedział jednak, że w przypadku Prella sprawy mają się inaczej, bo Bobby naprawdę pragnął powrócić do służby i wierzył, że mu się to uda.

Każdego dnia w sali terapeutycznej, podczas masażu wodnego i ćwiczeń, zmuszał swoje nogi do najwyższego wysiłku. Właśnie dlatego tak niewiarygodnie szybko zdrowiał.

–Przecież jego nogi już nigdy nie będą w pełni sprawne, zdatne do służby w piechocie. Prell jest kaleką.

Zwariował.

–Wiem – rzekł Strange.

Winch spojrzał w kierunku Prella i jego małej Delii Mae. Bobby znów siedział na wózku. W czasie ślubu, zdjęć i krojenia tortu stał, a nawet zrobił kilka kroków. Jednak i ten kawałeczek przekraczał wytrzymałość jego nóg.

Kiedy zjawił się w sali, Winch od razu do niego podszedł, uścisnął mu dłoń, pogratulował i pocałował w policzek małą Delię Mae, która nie zmieniła ani trochę niewinnej minki. Prell zachował się grzecznie, uścisnął mu rękę i podziękował, ale nie uśmiechnął się.

Później jeszcze dwukrotnie Winch pochwycił jego spojrzenie, kiedy Prell bez wyrazu i bez uśmiechu patrzył na niego z przeciwnego końca sali. Za drugim razem Winch mrugnął do niego. Prell zachował to swoje nieprzeniknione spojrzenie, a potem skierował wzrok

gdzie indziej. Winch nie był pewien, czy tamten dostrzegł jego mrugnięcie.

–Kiedy widziałem go ostatnio i byliśmy sami – odezwał się Strange, podążając oczami za spojrzeniem Wincha – to mi się zwierzył, że dzieciaka zrobił jej za pierwszym razem, gdy tylko był w stanie jej wsadzić.

Tyle że potem nie mógł wyciągnąć małego.

Winch parsknął.

–Aha – powiedział i zwrócił oczy w inną stronę.

Nagle uświadomił sobie, że nie ma Landersa. Nigdzie go nie widział. Rozglądając się wokół, spostrzegł przystojną ochotniczkę z Czerwonego Krzyża, która przez cały tydzień właśnie na tej sali uczyła kalekich żołnierzy wyplatania koszy. Dziś nie miała na sobie szarego szpitalnego stroju i z pewnością należała do delegacji Klubów Pań. Była na pewno majątną osobą, nosiła bardzo drogą suknię, a na krótkich blond włosach, ufryzowanych w sposób typowy dla kobiet w średnim wieku, nie nosiła przydziałowego czepka. Co prawda była odrobinę za pulchna, ale tyłek miała całkiem niezły, a poza tym bardzo ładne piersi. Nagle Winch poczuł niepohamowaną potrzebę, żeby do niej podejść, delikatnie chwycić ją za cycek i wylać pełny, drugi dziś kieliszek białego wina na tę jej trwałą prosto od fryzjera.

Impuls był tak silny, że Winch poczuł napięcie w obutych stopach, gotowych do ruszenia w tamtą stronę. Wziął się jednak w ryzy i zmienił kierunek rozpoczętego już marszu, a potem wypił wino i odstawił kieliszek.

–Muszę wyjść – mruknął do Strange'a. – Nie znoszę takich imprez.

–Ja również – przyznał Strange. – Pójdę z panem.

Na zewnątrz, w dobrze znanym sobie korytarzu, który przemierzał tyle razy, Winch poczuł, że na czoło występują mu krople potu. Sięgnął do kieszeni po

chusteczkę, żeby je zetrzeć. Ręka drżała mu ledwo dostrzegalnie. Był zaskoczony własną reakcją, a przecież o mały włos zrobiłby to tej kobiecie.

–A co twoja żona na to, że trwonisz forszę w Peabodym? – zapytał znieńacka Strange'a.

–Nic. To nie są jej pieniądze, tylko moje.

–Aha – mruknął Winch.

–Zarabia kupę forsy w Cincinnati, w fabryce broni.

–Aha. A co mówi na twoją nową dziewczynę? Na tę Frances? A może i o niej nic nie wie?

–Wątpię, czy o niej wie – odparł wolno i dobitnie Strange. – Myślę jednak, że to podejrzewa. – Zamilkł na dłuższą chwilę. – A zresztą rozstaliśmy się – zakończył.

–Tak? Rozstaliście się?

–Ma jakiegoś pułkownika, jakiegoś podpułkownika, z którym chadza już od dłuższego czasu.

–Rozumiem, jeszcze jedna ofiara wojny – rzekł Winch i nagle przypomniał sobie o Landersie.

–A owszem, owszem – przyznał Strange. – Można tak powiedzieć. To dobre określenie. – Urwał. – I sięga znacznie dawniejszych czasów. Przedwojennych.

–No pewnie – rzekł Winch. – Tak jak wszystko.

–No, a co z pańską żoną?

–Och, żyje. Gdzieś tam.

–Tak? A gdzie?

–Gdzieś. Nie w Luxorze – odparł Winch i nagle przestał się uśmiechać. Dawno wyszli już z budynku na chodnik i w tej chwili zbliżali się do głównego wejścia do szpitala, przy którym stały taksówki. – Zabrałeś się wreszcie do tego lizania cipy, o które tak rozpytywałeś się jakiś czas temu?

Strange przybrał minę kłamiącego w żywe oczy i odchrząknął.

-No, nie. Miałem zamiar, lecz nie wyszło. Ale zrobię to, na pewno.

Winch przywołał taksówkę.

–Pamiętaj jedno – powiedział wsiadając do niej i uśmiechając się – nic tak nie koi złamanego serca jak mineta.

–Z ust mi pan to wyjął – wtrącił taksówkarz.

–Do zobaczenia wkrótce, Johnny Stranger – rzekł Winch, zamykając okno przed mżawką.

–Do zobaczenia! – zawołał Strange i przywołał drugą taksówkę.

Winch nie obejrzał się. Podał taksówkarzowi adres wynajmowanego mieszkania. Strange miał się dobrze, o niego nie trzeba było się martwić. Był twardy, kurwa mać, jak skała. Ale Strange martwił się o Prella.

Zmęczony Winch nie potrafił rozstrzygnąć, czy Prellowi dobrze to wróży.

Tok myśli doprowadził go do Landersa i powodu jego nieobecności na ślubie Prella. Uznał, że to nie wróży nic dobrego. W taksówce jadącej do miasta zasnął, ale obudził go sen o japońskim sierżancie.

–Ej – zagadnął taksówkarza. – Czy przed chwilą coś mówiłem? Przez sen?

–Nie. Chyba nie – odparł szofer.

Uspokojony, Winch zagłębił się w siedzeniu. Do mieszkania było już niedaleko. Miał wrażenie, że mózg wypełnia mu podeschnięte błoto.

Nie wiedział, czy zdoła sobie poradzić z Landerssem.

Niestety, zaledwie w tydzień po ślubie Prella z kompanii zaopatrzenia paliwowego 3516 odwołano Harry'ego L. Prevora, a na jej dowódcę przysłano kapitana Mayhewa.

Rozdział dwudziesty szósty

Landers nie mógł pozostać obojętny.

Co prawda nie byli zaskoczeni przyjściem Mayhewa, o którym docierały do nich różne plotki, a zeszłego wieczora Prevor przeprowadził ze swoimi podoficerami rozmowę na ten temat, ale kiedy po południu w kompanii pojawił się nowy dowódca, by przejąć komendę, Landers poczuł złość i urazę do Prevora za jego zrezygnowany, smutny uśmiech.

Na ślub Prella nie poszedł, bo był zajęty. Jako plutonowy i szef kancelarii musiał się zajmować również podwładnymi. Całymi popołudniami, a właśnie o tej porze odbył się ślub Prella, Landers zajmował się szkoleniem personelu kancelarii, a ponadto sprawdzaniem lub załatwianiem codziennej papierkowej roboty, żeby zachować kompanię dla Prevora i ustrzec ją przed Mayhewami. Zresztą nie był już emocjonalnie związany z Prelem, tylko ze swoim obecnym dowódcą i nową kompanią, mimo że często przychodziło mu na myśl, iż Prevor głupio zrobił, awansując go na plutonowego i powierzając prowadzenie kancelarii.

Niemniej gdy zjawił się Mayhew, Landers w jednej chwili przelał na Prevora całą swoją sympatię.

Jednocześnie czuł lekki dreszcz podniecenia na myśl,

że wie, czym tu pachnie. Robiono coś naprawdę brzydkiego, lecz komu innemu. I nie były to wcale wymysły psychoneurotyka. Ten przypadek godny hitlerowskich Niemiec i Japończyków czuł się świetnie, jak pączek w maśle, w starych, pocziwych Stanach. A więc było z czym walczyć! Myśl ta działała na Landersa silniej niż smutek z powodu Prevora.

Następnego dnia, gdy po pobudce kompania wysypała się z baraku w mroczny chłód, na mongolskiej twarzy Prevora, zmuszonego stać pięć kroków za plecami nowego, przyjmującego raporty dowódcy, gościł wciąż ten sam zrezygnowany, smutny uśmiech. Landersa ogarnął słuszny gniew.

W wieczór poprzedzający przekazanie kompanii Prevora zwołał do kancelarii jej mały personel, szefa kuchni i kwatermistrza, czyli kompanijną kadre, i wygłosił krótkie przemówienie wraz z pouczeniami. Potem zaś wezwał kompanijnych podoficerów i przedstawił im drugą, nieco rozwodnioną wersję swojego przesłania.

W sumie sprowadzało się ono do tego, iż nie chce, aby sprawiali kłopoty.

–Nie wiem, jak bardzo jesteście wobec mnie lojalni.

Nigdy was o to nie pytałem. Ale nie chcę, żeby wasza lojalność wobec mnie wchodziła w konflikt z waszą lojalnością wobec kompanii. To jest ważne. Dostała nam się gromada żołnierzy nie zaangażowanych w żadną sprawę, pozbawionych oddziałów... przeważnie niezbyt zadowolonych ze swojego losu – Prevora uśmiechnął się ironicznie – i stworzyliśmy z nich godny zaufania, dumny z siebie pododdział, w którym żołnierze mogą na sobie nawzajem polegać. Nic lepszego nie można było zrobić, a my tego dokonaliśmy. Nie chciałbym oglądać, jak nasza kompania traci te zdobycze. Zmienia się jej dowództwo, a zmiana dowództwa oznacza zmianę stylu.

To oczywiste. Zmiana stylu dotyczy jednak praktyki, ale

nie wpływa na pryncypia, a te mamy wpojone. Nie stracimy ich.

Landers uznał tę przemowę za bliską ideału. Prevor mógł użyć kilku górnolotnych, intelektualnych słów, jak "pryncypia", nie znanych podoficerom i żołnierzom, ale jego mowa znamionowała klasę, a jej sedno było prawdziwe. Landers nie mógł jej nic zarzucić, choć sam Prevor na pewno nie byłby aż tak wspaniałomyślny w ocenie.

W przemowie do podoficerów Prevor nie dobierał już słów tak starannie.

–Wiem, że gdybyście chcieli, moglibyście przysporzyć mu wielu kłopotów. Proszę więc was, żebyście wyświadczili mi uprzejmość i tego nie robili. Wiem o nim tyle samo co wy. Ale na pewno nie różni się tak bardzo od innych oficerów i nie będzie aż taki zły.

Landers bardzo prędko przekonał się, że to nieprawda, Mayhew bowiem okazał się oficerem najgorszym z możliwych.

Należał do gatunku wymagających twardzieli, co to nie wydadzą żołnierzom żadnego rozkazu, którego sami nie byliby gotowi wykonać. Niestety, Mayhew gotów był wykonać każdy rozkaz, tymczasem dostał kompanię składającą się z ludzi, których stać było na bardzo niewiele, a chciało im się robić jeszcze mniej. Lecz do niego najwyraźniej nic nie docierało. Jego buta była nieznośna.

Także on wygłosił krótką mowę, którą momentalnie zraził kompanię do siebie. Jej naczelne hasło brzmiało:

"Dość już zbijania bąków, zabieramy się ostro do roboty". Po pierwsze, wcale nie zbijali bąków, a po drugie wiedzieli, że cała robota została już zrobiona. Nie przemawiał przecież do gromady rekrutów. Mówił do żołnierzy ciężko doświadczonych na wojnie, i to niejednym razem. Niemniej Mayhew perorował przez jakiś czas przed

frontem kompanii stojącej na baczność w zimnie na placu apelowym. Sam natomiast chodził, kilka razy nawet zabijając ramionami dla ochrony przed chłodem. To, że chwilę stał na baczność, wszyscy mieli gdzieś.

Oświadczył, że sam był kiedyś szeregowcem, i wie, co myślą zwykli żołnierze. Niech więc żaden nie liczy na to, że mu się cokolwiek upiecze. Słuchając tego, wyprężony na baczność, Landers żywo wyobraził sobie stos głów, po których Mayhew wspina

się w drodze do kariery, miażdżąc niektóre z nich butami.

Ktoś, kto tak jak on przyszedł do nowej kompanii i przejmował ją od w miarę lubianego poprzedniego dowódcy, musiał zająć postawę obronną. Ale nie było to ważne, a już na pewno nie dla Landersa, dla pozostałych zresztą też nie za bardzo. Dało to efekt taki, że przy Mayhewie Prevor, za którym aż tak znowu nie przepadano, wydawał się prawie święty.

Ale najbardziej raziło wszystkich to, że Prevora zostawiono w kompanii jako zastępcę Mayhewa. Przecież nie było takiej potrzeby. W tej sytuacji były dowódca nie mógł uniknąć utraty twarzy. Kompanii nie obchodziło, że Mayhew jest kapitanem i formalnie ma prawo rozkazywać Prevorowi. Nie obchodziło jej, jakie ma to znaczenie dla Drugiej Armii. Ale kompania musiała patrzeć Prevorowi w twarz i to ją gniewało. Sprawa ta urągała bowiem ich wyobrażeniom o czystej grze. Nawet Druga Armia powinna mieć dość rozumu, żeby to pojąć. Nikt nie zasługiwał na taką zapłatę.

I kompania natychmiast zaczęła schodzić na psy.

Poziom sprawności w wykonywaniu ćwiczeń obniżył się.

Formacje zaczęły się lenić. Pojawiły się utarczki i niesubordynacja wobec podoficerów, którzy na to nie reagowali. Istniało mnóstwo sposobów na wsadzenie

kija w wojskową machinę tak, żeby nikt nie mógł się przyczepić, w tej chwili zaś i żołnierze, i podoficerowie zyskali wspólnego wroga. Kiedy głupie rozkazy, jak w przypadku szkolenia podstawowego, kazał im wykonywać Prevor, to nienawidzili za to Drugiej Armii, teraz jednak za wszystko winili Mayhewa, bez względu na to, czy rzeczywiście zawinił, i byli na najlepszej drodze, żeby w szybkim tempie stać się na powrót zdeorganizowaną bandą malkontentów.

Landers obserwował to wszystko z założonymi rękami i się nie odzywał. Wciąż miał na uwadze milczącą obietnicę, jaką dał Prevorowi, że nie będzie rozrabiał.

Niemniej dojrzał do takiej decyzji.

W kilka dni po przejściu kompanii Mayhew wezwał go do siebie na rozmowę. Zaczął ją od zdania:

–Parę rzeczy musimy sobie wyjaśnić.

W kancelarii dowódcy zaszły zmiany. Za rządów Prevora było to miejsce, gdzie podoficerowie mogli wpaść na gorącą kawę i rozmowę. Obecnie nie byli tam mile widziani, a kawę częstowano tylko oficerów. Niestety, w kancelarii znajdował się jedyny telefon w baraku, tak więc Landers i szef kompanii musieli wchodzić tam, by z niego korzystać. Kawy jednak nie było nawet dla kompanijnych kancelistów.

–Wiem, plutonowy, że pełnicie tu kluczową rolę – ciągnął Mayhew, siedząc przy biurku. – Nie przeoczyła was nawet Druga Armia – dodał i uśmiechnął się. – Ale nie podoba mi się wasza szarża. Tabela Organizacyjna przewiduje dla młodszego pisarza stopień kaprała, a wy figurujecie na niej jako plutonowy, szef pododdziału. A przecież nie dowodzicie plutonem, do którego was przydzielono. Czas spędzacie przeważnie tutaj, przy kancelaryjnej robocie. Musimy coś z tym zrobić. Porucznik Prevor miał skłonność do chybionych nominacji.

Mayhew znowu się uśmiechnął.

Landers nie ufał sobie na tyle, żeby odpowiedzieć od razu. Zawładnął nim gniew.

–Tak jest, panie kapitanie – odparł spokojnym tonem po kilku sekundach. – Proponuję więc, żeby pan mnie natychmiast zdegradował. Nie prosiłem się o stopień, który noszę. Prawdę mówiąc, nie chciałem go.

Niech więc pan zdegradowuje mnie do stopnia kaprała i będę służył jako młodszy

pisarz. Albo niech mnie pan zdegraduje do szeregowca i powróć do normalnej służby. W pańskiej kompanii z chęcią będę zwykłym szeregowcem, panie kapitanie.

Mayhew nie potrafił ukryć zaskoczenia. A potem nagle się najeżył.

–Nie. Tego nie chcę. Będziecie robić dalej to co teraz. Innymi sprawami zajmiemy się później. Czy waszym zdaniem szef kompanii i pisarz dają już sobie radę z obowiązkami?

–Nie, panie kapitanie – odparł Landers. – Na pewno nie. A szef kuchni i kwatermistrz dają sobie radę jedynie z moją pomocą.

–W takim razie chcę, żebyście zajmowali się tym co dotychczas. Zapomnijcie o drużynie i skupcie się na szkoleniu kadry. To wszystko, plutonowy. Możecie odmaszerować.

–Tak jest, panie kapitanie – odparł Landers i zdecydował się na sarkazm. – Bardzo dziękuję, panie kapitanie.

Ale Mayhew najwyraźniej go nie dostrzegł.

Landers musiał gdzieś pójść i usiąść, żeby to przemyśleć i trochę ochłonać. Czy ten człowiek był durniem? A może siostrzeńcem jakiegoś ważniaka?

Nie ulegało wątpliwości, że wie – z dowództwa Drugiej Armii bądź skądś indziej – jak wiele on, Landers, działał i zrobił, by kompania 3516 funkcjonowała. Po co więc zrażał sobie kogoś, kto był mu niezbędny?

Od tamtej pory zapanowała pomiędzy nimi swoista nienawiść – utajona i skrywana przez Landersa, ale jawna i otwarcie demonstrowana przez Mayhewa. Landers zaczął mniej intensywnie pracować wieczorami i mniej pilnie szkolić kolegów podoficerów. Mayhew ani nikt inny nie mógł go za nic w świecie zmusić do pracy po kolacji, jeśli nie chciał się narazić na śledztwo. Zresztą szefowi kompanii i pisarzowi nie uśmiechało się pracować wieczorem, chyba że ich do tego nakłonił. A poza tym Mayhew zamykał swój pokój na klucz, a właśnie tam znajdowało się najwięcej dokumentów do opracowania. Landers zaczął chodzić wieczorami na filmy, upijał się piwem w małej żołnierskiej kantynie albo po prostu leniuchował i myślał o kobietach. Po tylu tygodniach w O'Bruyerre nareszcie zaczął odczuwać ich brak.

W któryś lodowaty zimny wieczór, tuż po zmierzchu na placu przed kompanią trafiła mu się okazja porozmawiania z porucznikiem Prevorem. Pragnął uwolnić się od swojej nie wypowiedzianej obietnicy, że nie będzie sprawiał kłopotów nowemu dowódcy. Prevor z początku odmówił, ale wreszcie z wahaniem przystał na to.

–Co to znaczy, szkodzić? – spytał. – Czy mógłbyś mu zaszkodzić jeszcze bardziej,

niż gdybyś zaniechał szkolenia kadry? Wszystko inne byłoby otwartym sabotowaniem pracy kancelarii. Nie możesz tego zrobić.

–Mogę z niej zrezygnować. Wrócić do zwykłej służby jako szeregowiec – odparł Landers. – Mayhew miałby przez to ogromne kłopoty.

–Tylko że w ten sposób zrobiłbyś na złość samemu sobie.

–Nie.

–Przecież nie chcesz wrócić do zwykłej służby.

–Nie miałbym nic przeciwko temu. Przerzucanie kanistrów z benzyną na ciężarówkach to raj w porównaniu z pracą dla tego skurwysyna.

–Inaczej byś mówił, gdybyś przerzucał kanistry, nawet przez krótki czas.

Landers mógł zrobić coś więcej, ale instynktownie powstrzymał się przed wygadaniem się z tym Prevorowi.

Mógł dać stąd nogę, zdezerterować. To przysporzyłoby Mayhewowi największych kłopotów. Miał ochotę roześmiać się, ale nie chciał zdradzać tego pomysłu Prevorowi. Zresztą po rozmowie z nim wcale nie czuł się aż tak źle. Mimo zwolnienia z obietnicy postanowił, że na razie jeszcze nic nie robi.

Ostatnią kroplą przepełniającą czarę tak, że wreszcie wyszedł z siebie, był ten kurewski telefon u Mayhewa. Od samego początku stał w pokoju dowódcy kompanii. Za czasów Prevora nie było z tym problemu. Kiedy dzwonił, odbierał go ten, kto był akurat najbliżej aparatu. Mayhew zaś od pierwszego dnia po przyjeździe do kompanii wprowadził zwyczaj, że nie podnosił słuchawki osobiście. Nawet kiedy siedział sam w swoim pokoju przy biurku i nic nie robił, wołał: "Telefon!" – i ktokolwiek przebywał akurat w kancelarii, czyli zazwyczaj Landers albo pisarz, musiał porzucić to, co robił, wejść do pokoju dowódcy i odebrać telefon. Prawie zawsze dzwoniło do Mayhewa.

Któregoś dnia, w tydzień po rozmowie z Prevorem, Mayhew powtórzył swoje: "Plutonowy Landers, telefon!" – i Landers nie wytrzymał. Wybuchnął jedynie w duchu, lecz nie złagodziło to siły eksplozji, być może nawet ją wzmocniło. Wylegujący się w obrotowym fotelu Mayhew trzymał nogi na biurku i palił cygaro. Landers miał wrażenie, że tamten patrzy na niego z nienawiścią i pogardliwym rozbawieniem.

Kiedy odebrał telefon (dzwoniono do Mayhewa) i przekazał słuchawkę, wrócił do swojego biurka w kancelarii i przez długą chwilę patrzył na swoje drżące ręce.

–Co z tobą? – spytał nerwowym szeptem pisarz, który obserwował go ostatnio z coraz większym niepokojem. – Dobrze się czujesz?

–Ja? – spytał Landers. – Ja? Dobrze. Całkiem dobrze. Nic mi nie jest. Zupełnie. A dlaczego pytasz?

Zbliżało się wpół do szóstej, koniec urzędowania, a kiedy Mayhew zamknął na klucz

swój pokój i wyszedł, a kancelarię opuścili szef kompanii i reszta, Landers nie wrócił do baraku, – tylko poszedł wprost do małej kantyny. Tam z kodowanej budki telefonicznej, jednej ze stojących przed rzęsiście oświetlonym wejściem, zadzwonił do apartamentu Strange'a w hotelu Peabody w Luxorze.

–Przyjeżdżam – powiedział do słuchawki, która dygotała mu przy uchu, bo tak było zimno. – Przygotuj tam wszystko na mój przyjazd. – Że co? – spytał Strange. – A masz przepustkę?

Landers odwrócił się nagle w budce. W ogóle nie myślał o Strange'u. Gdyby Strange dowiedział się o jego zamiarze ucieczki, to na pewno starałby się go od niej odwieść.

–Oczywiście – odparł lekceważącym tonem. – Myślisz, że przyjechałbym do Luxoru bez przepustki? Czy jest tam Mary Lou?

Dobiegły go odgłosy krzątania.

–Zwiewam – oznajmił cierpko, kiedy usłyszał jej głos w słuchawce. – Daję dyla. Chcesz uciec ze mną?

Masz jakieś miejsce? – Że co robisz? Co robisz?!

–Ciszej! – warknął. – Nie chcę, żeby dowiedział się o tym Strange. Czy stamtąd, gdzie stoisz, może cię usłyszeć?

–Nie. Jestem w sypialni.

–No to słuchaj. Urywam się. Pyskam. Chcesz wyjechać ze mną?

Przecież na pewno знаła jakieś miejsce, gdzie było bezpiecznie, jakiś dom, miejscowość.

–Ależ Marion, nie mogę tego zrobić – odparła żałośnie Mary Lou. – Mam chłopaka. Jestem zakochana. Właśnie jedzie tutaj. Chyba się pobierzemy. Jesteśmy... Kochamy się.

–Ach, tak, no cóż...

Zamilkł zakłopotany. Nie przyszło mu na myśl, że Mary Lou nie pojedzie, a nie miał innych możliwości.

Powinien był się domyślić, jak to z nią jest. Ale przecież na świecie musiał istnieć ktoś, kto mu pomoże. Kto go zechce ukryć. Zimno w budce tak mu się dało we znaki, że zaczął dzwonić zębami. Nie potrafił jednakże przypomnieć sobie żadnej osoby, która byłaby skłonna mu pomóc.

–Może mogłabym ci załatwić Annie Waterfield – zaproponowała Mary Lou. – Wróciła.

–A jest tam?

–Nie, ale ma się zjawić. Spróbuję ją dla ciebie zatrzymać.

–Masz do niej telefon?

–Numer jej domowego telefonu w Luxorze.

–Dobrze, załatw mi ją. To znaczy, zadzwoń do niej. Tylko z tym nie zwlekaj. I nie mów, że pyskam z wojska. Sam chcę jej to powiedzieć. Ale złap ją dla mnie, słyszysz? Bo jak nie, to... A teraz daj mi Strange'a.

I buźka na kłódkę. Ani mru-mru Strange'owi ani nikomu.

Ziębnięty, nie mogąc opanować dygotu na całym ciele, przez kilka minut rozmawiał ze Strange'em, żeby uspić jego podejrzenia, jeżeli tamten je miał. Okazało się, że Strange rzeczywiście żywi pewne podejrzenia.

Odwieszając słuchawkę, Landers nie wiedział, czy je choć częściowo rozwiął.

Zbyt przemarzył, żeby stanąć na postoju i poczekać na taksówkę. Wszedł do małej kantyny i przy barze wypił trzy kufle zimnego piwa. Ogrzały go i trochę podniosły na duchu. Żałował, że nie zabrał ze sobą whisky, której pół butelki miał w kompanijnym baraku, ale nie chciał po nią wracać. Na szczęście miał na sobie nie połowę kurtkę, tylko wyjściowy mundur i płaszcz.

Mała kantyna, jedna z pięciu w wielkiej jednostce, nawet w części nie dorównywała rozmiarami wielkiej głównej piwiarni, ale i tak było tu przestronnie mimo wielu pijących. Ciepło, smrodliwie od papierosowego dymu, wilgotnych wełnianych żołnierskich mundurów i zwietrzałego piwa, i ta ludzka ciżba dawały wspaniałe poczucie bezpieczeństwa. Co prawda złudne, ale przynajmniej ludzie ci – przygnębieni i smutni, szczęśliwi i rozdokazywani – byli po właściwej stronie. Mogli ginąć na pęczki i gromadnie, ale na pewno nie w samotności. Kiedy Landers zapinał żołnierski płaszcz i stawiał wysoki kołnierz, strasznie nie chciało mu się opuszczać ciepłego pomieszczenia. Wyszedł na dwór.

Jazda w przenikliwym zimnie taksówką trwała długo.

Z przedostaniem się przez główną, strzeżoną bramę jednostki nie było kłopotu. Kiedy Landers dotarł do hotelu Peabody, okazało się, że nikt tam przed nikim nie trzyma buzi na kłódkę.

Nie wdając się w kłótnie ze Strange'em, Landers najpierw zaanektował Annie Waterfield, która – uprzedzona wcześniej przez Mary Lou – czekała już na niego.

Kiedy zamknęli się w sypialni, postanowił, że najlepiej zrobi, jeśli powie jej o wszystkim. Przedtem jednak, zanim weszli do środka i zamknęli drzwi na klucz, uciekł się do kłamstwa, że bierze sobie tylko mały lewy urlop

na parę dni, może tydzień, i że go kryją w kompanii.

Lecz w sypialni powiedział jej prawdę.

Zrobił to jednak po stosunku, bo przecież Annie miała swoje prawa.

– Jesteś w znacznie lepszej formie niż przed wyjazdem do O'Bruyerre – powiedziała, gładząc dłońmi jego nagie ramię.

Landers musiał przyznać, że mimo strapień i rozterek, nie potrzebuje specjalnych podniet. Kiedy zrobili sobie nawzajem minetę i spuścili się, zabrał się do lizania Annie, która kilka razy, co najmniej dwa czy trzy, przeżyła orgazm, potem wydmuchał ją, sam się zlał, a kiedy zlegli przesyleni sobą, zaczął pieścić jedną z jej wspaniałych piersi.

– Masz jakieś pieniądze? – spytała.

– Trochę ponad osiemset dolarów. W banku.

– To powinno starczyć na tydzień do dziesięciu dni.

Jedźmy więc do Saint Louis.

– Od Strange'a mógłbym prawdopodobnie wziąć jeszcze parę setek.

– A więc, powiedzmy, na dwa tygodnie. – Annie usiadła, a gdy wsparła się na łokciu, jej młoda ciężka pierś spoczęła na dłoni Landersa. – Ale uważam, że nie jest to aż taki dobry pomysł – powiedziała, przyglądając się mu. – Uważam, że nie powinieneś tego robić, Marion. A poza tym...

– Poza czym? – spytał Landers.

– Poza tym, że gdybym nie pojechała z tobą, to mogłabym pojechać do Nowego Orleanu. W tym cała rzecz. Jest taki pilot morski, którego poznałam tutaj, ale przenieśli go do Nowego Orleanu. Zaproponował, żebym pojechała do niego i została na trzy tygodnie albo miesiąc. Nie chciałabym z tego rezygnować i jechać z tobą, praktycznie bez pieniędzy i z wiszącą nam nad głową groźbą, że cię zwiną. Nie ukrywam.

–Czy znasz jakieś miejsce, dokąd moglibyśmy pojechać i być bezpieczni? Jakies bezpieczne schronienie albo miejsce znane tylko tobie? Myślę o czymś poważniejszym.

–Nie odpowiedziała. W dalszym ciągu podparła się na łokciu.

–Przestań. Próbuję myśleć.

–Chwyła go za przegub i zdjęła jego dłoń ze swojej piersi.

–Wiesz, to niesamowite, ale rzeczywiście znam takie miejsce. Nie jeżdżę tam często.

–Gdzie to jest?

–To dom mojego ojca.

–To na nic – rzekł Landers. – Gdyby ktoś stąd wygadał się, że byłeś ze mną, to najpierw poszukaliby mnie właśnie tam.

–Annie zaniósła się dzwicznym dziewczęcym śmiechem.

–I gównem by im to dało. Mój tata jest szeryfem.

–Miejscowość znajdowała się niemal w samym środku zachodniego Tennessee, na zachód od Nashville. W pobliżu nie było żadnych miast. Czy Landers miał zielone pojęcie, jak wygląda prowincja w zachodnim Tennessee?

–Mógł tam spokojnie pojechać i pozostać tak długo, jak mu się spodoba. Wystarczyło, żeby Annie zadzwoniła do taty i dała Landersowi list do niego. Tata był tam szeryfem dłużej, niż sięgała pamięć. Właściwie – ponieważ prawo w ich powiecie stanowiło, że szeryf nie może sprawować dwóch kadencji z rzędu – tato i jego pierwszy zastępca co cztery lata wymieniali się rolami, a zastępca miał być szeryfem w następnej kadencji.

–Ale nikt nie ma najmniejszych wątpliwości, kto naprawdę jest tam szeryfem. Mój tata – oświadczyła ze śmiechem Annie.

–Barleyville było stolicą powiatu, jej rodzinnym miastem.

–Wspaniała nazwa na stolicę tak suchego powiatu.

– Zaśmiała się. – Powiadają, że w Barleyville mieszkają dwa rodzaje ludzi – baptyści i pijacy.* Było tam również dużo nawiedzonych członków sekt.

– Nie wygląda mi to na najweselsze miejsce pod słońcem – rzekł Landers.

– Zdziwiłbyś się. Gorzala i spelunki mogą sobie być nielegalne, ale tam jest ich bez liku. – Annie znów się zaśmiała. – A mój tata zna je wszystkie, co do jednej.

I należy do niego połowa z nich.

– A czy w okolicy są jakieś koszary wojskowe?

Były. W Forcie Dulane. Z piętnaście czy dwadzieścia mil od Barleyville. To jednak nie miało znaczenia, ponieważ jej tata znał wszystkich tamtejszych dowódców żandarmerii wojskowej i wszystkich żandarmów.

– Jeżeli będziesz chciał – dodała Annie, śmiejąc się – to załatwi ci pełną kieszeń przepustek.

– Ale ty byś się tam ze mną nie wybrała? – zapytał Landers.

– Nie, wątpię.

Tak naprawdę Annie chciała pojechać do Nowego Orleanu. Nie ciągnęło jej już tak bardzo do Barleyville.

Dwa razy zabrała tam ze sobą na tydzień chłopaka, ale zrezygnowała z tych wizyt, bo ogromnie rozstrajały i smuciły tatę.

– No, a gdybym pojechała sama, to jest tam kilku * W "suchym powiecie" trudno nie tylko o zwykłą wodę niezbędną w większych ilościach przy chrzcie baptystów, ale także – a raczej przede wszystkim – o "wodę ognistą", gdyż "suchy" ("dry") znaczy też po angielsku "objęty prohibicją". Jak na ironię, każdemu, kogo "suszy", nazwa miejscowa Barleyville nieodparcie przywodzi na myśl trunek pędzony z jęczmienia (barley – jęczmień). W dodatku drugie znaczenie "baptize" – "chrzcić" – jest takie samo jak po polsku. Tak więc zdanie, że w miasteczku są "sami baptyści i pijacy" oznacza również, że zamieszkują je tylko tacy, którzy chrzczą alkohol i którzy go piją [przyp. tłum.]

moich kochasiów ze szkoły średniej, którzy natychmiast zlecają się do mnie jak pszczoły do kostki cukru. – Od śmiechu Annie zakolysały się delikatnie jej nagie piersi.

–Oczywiście wszyscy oni są żonaci, ale pożenili się dlatego, by wymigać się od poboru. Kiedy tam jestem, sięję spustoszenie.

Landers przyjrzał się jej uważnie.

–Pieprzysz się z nimi? – spytał.

Annie znowu się zaśmiała.

–Czy pieprzyłabym się z nimi, czy nie, to doprawdy bez znaczenia. Wierz mi.

–Pewnie.

–Pieprzę się – przyznała. – Pieprzyłam się z nimi wszystkimi. Przy takiej czy innej okazji. Kiedyś. I to również trochę wkurza tatę.

Wstała z łóżka, podeszła do wysokiego hotelowego biureczka i wyjęła z szuflady hotelową papeterię. Starannie oddarła nagłówek z godłem hotelu, wykorzystując duży bibularz jako liniał. Potem oddarła też dół strony z nazwą hotelu, adresem i numerem telefonu. Robiąc to, szczebiotała wesoło o swojej rodzinie. – Żaden mężczyzna nie rozumie kobiet tak dobrze jak tato. Ale to chyba oczywiste, skoro ma aż cztery córki.

Annie skończyła dziewiętnaście lat, a następna z kolei siostra szesnaście. Dwie najmłodsze miały lat dziesięć i siedem.

–Kocha dzieci. – Annie zaśmiała się. – Rozumiesz.

Kiedy ludzie prawie zrywają ze sobą, po czym znów się schodzą, wtedy bardzo często przybywa jedno albo dwoje dzieci.

Właśnie to przytrafiło się jej rodzicom. Tata miał kochankę, a przynajmniej tak głosiła miejscowa plotka.

W tej chwili rodzice żyli wprawdzie w separacji, ale nadal byli małżeństwem, a matka z dwiema młodszymi siostrami mieszkała na drugim końcu miasta w pięknym

starym domu z cegły i była kochanką miejscowego polityka, ważnej figury w stanowym senacie w Nashville.

Jego żona, dziewczyna z Barleyville, przebywała z dziećmi w Nashville. Szesnastoletnia siostra Annie, mieszkała natomiast z ojcem w dużym rodzinnym domu po drugiej stronie miasta, który Charlie Waterfield zakupił po urodzeniu się Loucine. W tej chwili Loucine była mniej więcej w ósmym miesiącu ciąży i jeszcze nie miała męża.

–To Barleyville wygląda na bardzo rozwiątlą, występłą miejscowość. Zważywszy, że to prowincjonalna miejscina – powiedział Landers z łóżka.

Naga Annie przerwała pisanie listu do ojca i spojrzała na niego z roześmianą twarzą. – Żartujesz, prowincjonalna miejscina? Tylko prowincjusze wiedzą, co to życie. Właśnie dlatego wszyscy są baptyстами.

–Albo pijakami – dorzucił Landers.

–Albo pijakami. – Annie skończyła list, podpisała go i złożyła. – Nie chcę go wkładać do hotelowej koperty – powiedziała. – Zasmuciłoby to tatę. Weźmiesz zwykłą białą kopertę i włożysz go do niej?

Landers starannie odłożył list na bok. Kiedy znów spojrzał na nagą, siedzącą na biurku Annie, ta zaczęła się śmiać jak szalona.

–A o co chodzi teraz? – spytał.

–O nic. O nic. Po prostu śmieję się. Przyszło mi na myśl, że jak tam trafisz, to prawdopodobnie już po trzech dniach zaczniesz pieprzyć moją ciężarną szesnastoletnią siostrzyczkę. Kochaną Loucine.

Annie znowu zaniósła się śmiechem.

–O, nie – zaprotestował, zgorszony taką myślą.

–Nie, nie. Czegóż takiego bym nie zrobił.

–Nie wiem, jak się od tego wykręcisz. – Annie patrzyła na niego, uśmiechnięta jeszcze szerzej. – Zgorszyłeś się – powiedziała.

Landers wpadł w złość.

–Nie, wcale nie. Wcale się nie zgorszyłem. – Zmusił się do uśmiechu. – Ale nie chcę, żeby twój tata szeryf wygarnął do mnie z flinty.

–Już prędzej tata wygarnąłby ci, co o tobie myśli, gdybyś tego nie zrobił. – Annie zachichotała. – Przecież już ci mówiłam, że rozumie kobiety, no nie? A one, tak czy inaczej, zawsze znajdą sposób, by się kochać z mężczyzną. I nieważne, jak to nazywają, czy też nie nazywają tego nijak. Albo nie mówią o tym wcale. No, a tata już urodził się z tą wiedzą, wiedział to od małego. Chyba właśnie dlatego tak bardzo podobał się kobietom.

Landers odkrył, że nie wie, co jej odpowiedzieć.

–Chodź, może byśmy się już ubrali – powiedziała Annie. – Mogę od razu zadzwonić w twojej sprawie do taty.

–Posłuchaj, nie stąd. Nie chcę, żeby Strange i reszta...

–Nie martw się. Wiem, co planujesz. Nie chcesz, żeby Johnny Strange wiedział, gdzie jesteś, ani żeby powiedział o tym waszemu szefowi kompanii, Winchowi.

–Annie uśmiechnęła się. – Prawdę mówiąc, miałam zamiar pojechać z tobą do siebie. Zadzwonić stamtąd do taty, a ty byś posłuchał. Ale później pomyślałam sobie, że cię odprowadzę na dworzec autobusowy.

–No dobrze – rzekł zakłopotany Landers. – Ale dlaczego jesteś dla mnie taka miła?

Był zmieszany. W apartamencie wypił już tyle whisky, że nabrał znacznie więcej odwagi. Niepokoiło go jednak, że Annie tak się zaangażowała w jego sprawę. Nagle zapragnął jakoś wykręcić się od jej pomocy.

–Dlaczego? – powtórzył, zmuszając się do uśmiechu. – Powiedz mi dlaczego.

Annie zaśmiała się.

–Po części chyba dlatego, że nie jadę z tobą do Barleyville i czuję się odrobinę winna – urwała. – A poza

tym już dwa razy w życiu byłam zmuszona uciekać, więc wiem, jak to jest – dodała poważniejszym tonem.

–Zwłaszcza kiedy nie ma dokąd uciec.

–Coś sobie wyjaśnijmy – powiedział sztywno Landers. – Ja nigdzie nie uciekam. Po prostu wycofuję się z pozycji nie do utrzymania.

–To właśnie miałam na myśli – odparła z uśmiechem Annie. – Jesteś miłym chłopcem, Marion. – Głęboko zaczerpnęła powietrza i westchnęła. – Zanim jednak to zrobisz, chciałabym, żebyś się nad tym dwa razy zastanowił.

–Zastanowiłem się dwa razy, a nawet więcej – przerwał jej Landers.

Kiedy się ubierali, Annie wciąż paplała o swojej siostrze Loucine. Landers pragnął, żeby zamilkła, ale wyglądało na to, że kiedy zacznie mówić o swojej rodzinie, to nie może przestać. Dowiedział się więc, że Loucine przyjechała do Annie w odwiedziny, kiedy już stało się widoczne, że jest w ciąży. Ale miasto jej się nie spodobało i po dwóch miesiącach wróciła do domu, żeby zmierzyć się z losem. Woląca to niż pozostanie w Luxorze.

–Nikt jej nic nie mówił? – spytał Landers, sznurując buty.

Annie zaśmiała się.

–A co jej mieli mówić? Przecież panny w ciąży to nic nowego. Jest ich prawie tak dużo jak ciężarnych mężatek – odparła Annie, szminkując usta. – Wiesz, czasy się zmieniły, odkąd wyjechaliście za ocean. Ta wojenka wszystko bardzo odmieniła.

Landers w duchu przyznał jej rację, a ponieważ nic go to nie obchodziło, więc tego nie skomentował.

–A teraz pozwól, że załatwię wszystko ze Strange'em – powiedział.

Ale załatwienie sprawy ze Strange'em wcale nie

poszło mu gładko. Landers oświadczył mu, że wyjeżdża gdzieś na kilka dni z Annie i że jest kryty w swojej kompanii w O'Bruyerre, Strange jednak w to nie uwierzył.

–Posłuchaj, ty kurewski wariacie. Dobrze wiem, co kombinujesz. Ale to ci się za

chuja nie uda. Wytropią cię i złapią. Capną i zapuszkują. Dlatego, jeśli będę musiał, to pójdę za tobą. – Strange chwycił płaszcz.

–Ty głupi sukinkocie, pojedę za tobą i będę warował pod twoimi drzwiami, dopóki nie wrócisz.

Wszyscy obecni w apartamencie potraktowali ich rozmowę jako jeden wielki żart, tylko nie oni dwaj.

–Nie wolno ci tego zrobić. Nie masz żadnych szans – oznajmił podniesionym głosem Strange. – Niszczysz sobie życie. Nie pozwolę ci na to!

Kilka osób spróbowało go przekrzyczeć. W końcu Landers, chcąc wyjść przez drzwi, musiał wyrwać się Strange'owi. Tylko dzięki interwencji Annie i małej pomocy ze strony Frances Highsmith Strange za nim nie pobeiegł.

–Ja tylko zabieram go do siebie, Johnny. Przrzekam, że zadzwonię do ciebie stamtąd. Przysięgam.

–A gdzie ty jesteś u siebie?! – wykrzyknął Strange.

–Nikt, psiakrew, nie wie, gdzie mieszkasz. Za Boga go nie znajdę.

–Rzeczywiście nikt nie wie, gdzie mieszkam. I nikt się nie dowie. Za nic – odparła Annie. – Dziewczynie należy się w życiu trochę prywatności po tym całym, śmierdzącym burdelu.

Wyszli wreszcie stamtąd tylko dzięki jej usilnym zapewnieniom, że zadzwoni.

I rzeczywiście zadzwonili do Strange'a zaraz po telefonicznej rozmowie Annie z Charliem Waterfieldem w Barleyville. Strange domagał się rozmowy z Landersem. Mówili ze sobą przez pięć minut, ale Landers

w żaden sposób nie potrafił przekonać przyjaciela, że robi sobie tylko mały lewy urlop. Mógł odłożyć słuchawkę dopiero po solennym przyrzeczeniu, że zadzwoni nazajutrz.

–Nienawidzę go okłamywać – powiedział przygnębiony.

–Chodź – ponagliła go Annie. – Jeżeli się nie pośpieszysz, to nie zdążymy na twój autobus.

Na dworcu autobusowym machał do Annie, stojącej w tłumie, a kiedy autobus odjechał ze stanowiska i Landers stracił ją z oczu, wtedy poczuł się tak, jakby ona w ogóle nie istniała. Zatem ruszył w pojedynkę na swoją samodzielną eskapadę. Wprawdzie trochę ścisnęło go w gardle, ale w głębi duszy czuł, że postępuje właściwie i po chrześcijańsku.

Chcąc nie chcąc, zastanawiał się, jak wygląda Charlie Waterfield.

Rozdział dwudziesty siódmy Z autobusu na przystanku w Barleyville Landers wysiadł o trzeciej rano. Nie miał zielonego pojęcia, co go czeka, i nie bardzo o to dbał. Wietrzny plac w małym miasteczku był pusty, wszystko pozamykane. Przy zamkniętym sklepie kierowca zostawił kilka paczek z gazetami, a potem wielkie drzwi autobusu zawarły się, a pneumatyczne hamulce cicho zasyczały i umilkły, kiedy wóz przetoczył się przez plac.

Niemal w tej samej chwili spod podcieni sklepu wyłoniła się bez pośpiechu, kryjąca się tam przed zimnym wiatrem, wysoka postać w kożusku i kowbojskim kapeluszu.

–Marion Landers?

Landers potwierdził.

–Charlie Waterfield, ojciec Annie – przedstawił się chudy mężczyzna, ale nawet gruby kożuszek nie mógł ukryć brzuszka, świadczącego, że jego właściciel nie wylewa za kołnierz. – Może pojedziemy tam, gdzie jest światło i ludzie – zaproponował.

Po drugiej stronie ulicy przed magistratem stał samochód szeryfa. Magistrat – budynek z czerwonej cegły – oszalowany był białymi deskami. Na widok napisu "Biuro szeryfa" Landers zdał sobie sprawę, że

Waterfield mógł czekać na jego autobus tam, w środku, w cieple, zamiast tkwić na zimnie i wietrze przed zamkniętym sklepem.

Poprzez gąszcz nagich gałęzi wielkich drzew stojący przy drzwiczkach samochodu Waterfield spojrział na magistrat.

–Przeklęte szpaki – powiedział. – Nocują pod okapami. Każdej zimy., Wsiadł do wozu, zatrzasnął drzwiczki i nim do środka wgramolił się Landers, zdążył wyjąć butelkę whisky.

–Golniesz sobie? – spytał.

Landers chętnie skorzystał z propozycji. Waterfield również sobie łyknął i wsunął butelkę pod siedzenie. Ale nie zapalił silnika, a tylko siedział z gołymi dłońmi na kierownicy i patrzył na drugą stronę placu. Landers pomyślał, że ten człowiek to niezwykle mruk, któremu język paraliżuje nie tyle wrodzona milkliwość, co straszliwe komplikacje, jakie wiążą się z samym mówieniem.

Po upływie minuty Waterfield bez słowa przekręcił kluczyk w stacyjce i szarpnął dźwignię biegów.

Na krańcach miasta podjechał do ciemnego budynku, który na północy nazwano by zajazdem. Wyglądał na opuszczony i zamknięty, ale Waterfield zastukał do drzwi. Otworzyli je mężczyzna w rozpiętej koszuli i kobieta w długiej sukni. Para ta wprowadziła ich do ciepłego pomieszczenia z muzyką, przyćmionymi światłami, długim barem przy ścianie na lewo i parkietem do tańca. Vera Lynn śpiewała właśnie The Umbrella Mań.

Na parkingu przed zajazdem stało około tuzina samochodów, których pasażerowie byli w budynku.

Wchodzącego Waterfielda przywitał chór czułych pozdrowień.

–A kim jest twój znajomy, Charlie? – spytał ktoś.

–To przyjaciel Annie. Przyjechał w odwiedziny z Luxoru.

Waterfield powiedział to bez nacisku, ale jasno dał do zrozumienia, że lepiej, aby jego przyjaciele byli też przyjaciółmi Landersa. W tym oświetleniu, mocno uwydatniającym jego podkrążone oczy, przypominał czujnego, mądrego, bardzo

cierpliwego psa myśliwskiego, który czeka.

Stół przygotowano dla niego niewątpliwie w zgodzie z uświęconym zwyczajem, bo postawiono na nim tylko whisky, szklanki, lód i karafkę z wodą. Waterfield i Landers zasiedli przy nim we dwójkę po czym zaczęli pić i rozmawiać, głównie na temat Annie. Jeden pytał, a drugi odpowiadał.

Jak jej się wiedzie, tam, w Luxorze? Czy dobrze się ma, jest zdrowa? Dobrze się bawi, jest szczęśliwa? Jak jej się powodzi w pracy? Dobrze wygląda? Ma porządnych znajomych?

Przy słowie "porządnych" Waterfield zawahał się przez moment, po czym zmienił je na "miłych". Spytał więc w końcu: "Czy ma miłych znajomych?" Landers niewiele wiedział o Annie, ale odpowiadał najlepiej, jak potrafił. Nie wiedział na przykład, czy Annie gdzieś pracuje, ale nie wyobrażał sobie, by mogła pracować, skoro bez przerwy wyjeżdżała z różnymi żołnierzami na tydzień albo na miesiąc. Tego jednak Charliemu nie powiedział.

–Nie potrzebuje pracować – rzekł z uśmiechem Charlie, cały czas obserwując Landersa czujnymi psimi oczami. – Posyłam jej tyle, ile zechce. Ale wydaje mi się, że ona lubi pracować.

Landers uznał, że lepiej tego nie komentować.

Było jasne, że Charlie jest co najmniej współwłaścicielem tego lokalu. Do ich stolika podeszła kierowniczka zajazdu, żeby się poradzić w jakiejś kwestii dotyczącej baru.

–Nie chcę o tym rozmawiać w tej chwili – odparł

tylko Charlie, podnosząc na nią cierpliwe psie oczy, a po jej odejściu powrócił do pytań o Annie.

Do domu dotarli o wpół do siódmej, kiedy na wschodzie świtało. Landers był pijany i wyczerpany, po Charliem natomiast nie było nic znac. Zaprowadził Landersa do sypialni, ale sam nie położył się do łóżka, tylko przebrał w dzienny mundur i wyruszył na poranny objazd, który odbywał zwykle o tej porze.

Przebranie się oznaczało zdjęcie granatowych spodni, białej koszuli z pagonami i czarnego krawata i włożenie spodni, koszuli z pagonami i krawata w kolorze khaki.

Kożuszką i kowbojskiego kapelusza nie zmienił. Wychodząc powiedział Landersowi, że po obudzeniu się zastanie w domu Loucine, która zrobi mu śniadanie.

Takim trybem toczyło się życie w wielkim, zaniedbanym domu na Main Street. To był tryb życia Charliego.

Landers wkrótce się do niego przystosował. Wstawał w południe, jadł śniadanie, a potem w mrocznym salonie, z którego nikt nie korzystał, czytał gazety. Następnie szedł na spacer do dzielnicy handlowej i w jednej z sal bilardowych, które po kolei odwiedzał, znajdował zwykle Charliego. W którejs z nich jadł lunch złożony z kanapki i coca-coli zakropionej nielegalną whisky. Zdumiewające, jak wiele alkoholu płynęło w stolicy bezalkoholowego powiatu. Potem zaś wracał do wysokiego, wąskiego domu i przez parę godzin czytał albo spał. Prawie zawsze chodził z Loucine na kolację, a potem, kiedy ona szła do domu spać, we dwóch z Charliem ruszali na wieczorny objazd, który trwał aż do świtu.

Nie był to wcale zły układ. Landersowi nic tu przynajmniej nie groziło. Za cały komentarz na temat dezercji posłużył Charliemu bloczek czystych przepustek, które wręczył swojemu gościowi.

– Tam, skąd pochodzą, jest ich znacznie więcej – rzekł. – A tu możesz siedzieć, jak długo ci się spodoba.

To naturalnie niczego nie rozwiązywało. Problem tkwił gdzie indziej. Ilekroć Landers myślał o kapitanie Mayhewie, o jego kurewskim telefonie i o tym, co zrobił z kompanią 3516, wpadał w morderczy gniew, z którym starannie się krył, i przysięgał sobie, że za nic nie wróci do jednostki.

Ale po takiej przysiędze zawsze ogarniała go potwornie głęboka, czarna depresja, która wyganiała go z domu tam, gdzie była whisky. Przed upływem tygodnia zorientował się więc, że nie zdoła tu wytrzymać.

Kiedy pierwszego dnia po przyjeździe obudził się w południe, poczuł zapach smażonego bekonu, ubrał się więc i zszedł na dół, gdzie zastał Loucine, która w zimowej koszuli nocnej i niezbyt powabnym szlafroku robiła sobie śniadanie. Nie zdziwiła się jego widokiem. Była drobna i szczupła, ale miała ogromny brzuch i po kuchni dreptała dosłownie jak kaczka. W pogodne dni duża i wygodna kuchnia była rozświetlona w tym końcu, gdzie stał stół. Talerz z żółtą jajecznicą, przetykaną czerwionobrazowymi wstążkami bekonu i rumianymi kwadratami grzanek, który Loucine postawiła przed Landerssem, wyglądał i smakował wybornie w zimowym słońcu. Dziewczyna wyszła się ubrać.

W dwa dni potem Landers musiał uśmiechnąć się cierpko, kiedy na dzień przed terminem sprawdziły się przewidywania Annie, co do czasu, który zajmie mu wylądowanie w łóżku jej siostry.

Stało się to nagle. Drugiego dnia do śniadania zamiast flanelowej koszuli i nietwarzowego szlafroka Loucine włożyła cienką krótką koszulkę i – również cienki – szlafroczek do kolan. Kiedy po posiłku Landers przeszedł do salonu i usiadł z gazetami, przysiadła na ławeczce w wykuszowym oknie, blisko niego, i w milczeniu patrzyła na miasto przysypane cienką warstwą śniegu, drobnutkiemu i sypkiemu jak mąka. Następnego

popołudnia nieoczekiwanie znalazła się, choć Landers nie mógł pojąć, jak to się stało, na jego kolanach, wciśnięta pomiędzy niego a gazety, gniotąc louisvillski "Courier-Journal". Charlie najwidoczniej unikał pojawiania się w domu o tej porze dnia.

Tak więc do rozkładu zajęć Landersa w Barleyville doszła Loucine. Jej pora wypadała wczesnym popołudniem albo, zależnie od okoliczności, wczesnym i późnym popołudniem. Dmuchała się z nim codziennie tyle razy, ile był w stanie wytrzymać. Rekordem było dziesięć stosunków w ciągu czterech godzin. Chciał

sprawdzić, jak daleko posunie się Loucine i jakie są jej możliwości, a ponadto, czy skłoni ją do powiedzenia czegoś więcej niż "cześć" i "do widzenia". Zresztą nie miał nic innego do roboty. Nigdy jednak się nie dowiedział. Po wszystkim przyrządziła mu wielką porcję roztrzepańca z jaj i mleka, żeby ulżyć jego rozdygotanym nogom, zanim wyjdzie na codzienny spacer po lokalach i salach bilardowych.

Podczas nocnych jazd Charlie zapoznał go z mnóstwem chętnych, wolnych kobiet. Wszystkie były mężatkami, a przynajmniej miały narzeczonych, którzy przebywali gdzieś za morzem albo służyli w wojsku. Wszystkie były samotne i tęskniły do zaganiacza.

W skrytości ducha Landers podejrzewał, że Charlie zaliczył te kobiety przed nim, choć pary z ust nie puścił na ten temat. One zresztą też. Tak jakby sądziły, że to, o czym się nie mówi, po prostu nie istnieje, i że wszystkie mogą dalej folgować sobie do woli.

Kobiet było więc w bród, ale Landersowi zaczęła nudzić się rola przyjezdnego ogiera, którą odgrywał wobec bywalczyń knajp. A poza tym już go to zmęczyło.

Służenie za koguta kobiecie w ciąży wcale nie było łatwe. Po dwóch razach odpadł walor nowości, zwłaszcza że Loucine w ogóle się nie odzywała. Wymagało to zresztą od niego ogromnego wysiłku fizycznego, bo

musiał uważać na jej brzuch. W sumie sprowadzało się do wielu seryjnych sztychów, po których albo człowiek się spuszczał, albo nie wytrzymały mu ręce. Landers uważał jednak, że jest to winien Loucine. Był im przecież coś winien za to, że przygarnęli go pod swój dach. Po popołudniach spędzonych z Loucine, z innymi kobietami już mu nie wychodziło, dlatego coraz częściej trawił noce na rozmowach i piciu z Charliem Waterfieldem.

Rozmawiali o wszystkim, ale nigdy o kobietach.

Było coś w charakterze Charliego, co kazało mu widzieć we wszystkich kobietach damy. Chętnie usprawiedliwiłby każdą. Landers odkrył, że większość jego kolegów z Południa, a w istocie większość Amerykanów, dzieli kobiety na dwie kategorie – damy i dziwki – i nie zna żadnych pośrednich. Ale nie Charlie, bo on znał tylko jedną.

Dwa razy podczas jazd z Landersem odwiedził późnym popołudniem żonę mieszkającą na drugim krańcu miasta. Okazało się, że codziennie przywozi jej wiktuały, których potrzebowała na wieczór i następny ranek.

Ponieważ Landers słyszał o niej w Luxorze od Annie, chciał ją poznać. Była przystojna jak na swoje czterdzieści pięć lat, i jeszcze nie straciła tego, co nazywają świeżością.

Zachowała świetną figurę, ale niektóre szczegóły jej okrągłej twarzy zdradzały dziwną, nieuchwytną drapieżność łasicy. Miała delikatny, miły, zachwycający uśmiech kobiety z Południa, który opromieniał całą twarz i tkwił głęboko w jej spojrzeniu, wilgotnym i powabnie niewinnym, także wówczas, gdy się przestawała uśmiechać.

Kilka razy Landers złapał ją jednak na tym, że ów uśmiech gasł w jej oczach i zdawało mu się, że gdzieś w głębi kryje się wzrok inteligentnej, bezlitosnej pokerzystki. Takiej, z którą nie chciałby się zmierzyć w żadnej poważnej grze.

Jeden rzut oka na niego wystarczył jej do wyciągnięcia wniosku, że Landers śpi z jej drugą starszą córką.

Oboje wiedzieli, na czym opiera się ów wniosek, tak jak wiedzieli, że nie poruszą tego tematu. Kiedy Charlie wyjmował z samochodu wiktuały, Landers siedział z jego żoną w saloniku i prowadził uprzejmą rozmowę.

Na imię miała Blanche. Szybko wyszło na jaw, że jest podporą miejscowych baptystów, i zagadnęła go nawet, czy nie przyszedłby na któreś z ich spotkań.

Kiedy odparł, że z wielką przyjemnością, podziękowała mu uśmiechem, ale nie nastawała na żaden konkretny termin.

Landersowi przyszło na myśl, że o tym, iż Blanche jest kochanką miejscowego polityka z Nashville, wie jedynie Annie. Wkrótce jednak skorygował sąd. Wiedział o tym również Charlie. Potem zaś zrewidował swój sąd jeszcze raz – wiedzieli o tym wszyscy.

Dwie małe dziewczynki były okropne. Kompletnie rozpuszczone, a co gorsze, choć miały zaledwie osiem i dziewięć lat, wiedziały już, że są kobietami i że w parze z tym idą pewne przywileje, co wykorzystywały bezwstydnie, mimo że brakowało im jeszcze subtelności, by to ukryć. Flirtowały bezczelnie niczym dorosłe kobiety i wyprężyły paczuszki piersi tak, jakby miały już rozmiary, które osiągną dopiero w przyszłości.

Zaniósłszy wszystkie zakupy, Charlie siedział w samochodzie przez chwilę i patrzył w przednią szybę w taki sposób, jakby miał zamiar coś powiedzieć. Rozmyślił się jednak i raptownie uruchomił wóz. Przed zwolnieniem sprzęgła wziął głęboki oddech i głośno westchnął.

Landers obserwował go w milczeniu. Jako bezstronny świadek odniósł wrażenie, że choć jego towarzysz zdołał uporać się z wieloma trudnymi i zagmatwanymi życiowymi problemami, to jednak napotkał mnóstwo innych niejasnych spraw, z którymi nie dał sobie rady.

Landers nie miał pojęcia, kiedy Charlie śpi. Nie robił tego rano. I na pewno nie po południu, bo nigdy nie było go w domu. Wynikał stąd wniosek, że na pewno ucina sobie drzemki jak walczący żołnierz – śpi po pół godziny w wielkim obrotowym fotelu przy biurku, w pokoju od podwórza, na swoim posterunku w magistracie.

Po kolacji z Loucine i odwiezieniu jej do domu Charlie poweselał i wyruszył z Landersem na wieczorny objazd. Tej nocy poszedł gdzieś z jedną z samotnych knajpianych dam i zostawił go samego na godzinę czy dwie. Landers niemal słyszał jego westchnienia. O święta naiwności.

Pod koniec trzeciego tygodnia pobytu w Barleyville Landers oznajmił mu, że nie może tu zostać. Trudno powiedzieć, by przesądziły o tym dwie wizyty u Blanche i dziewczynek, ale ich poznanie przyśpieszyło jego decyzję.

Próbował wyjaśnić Charliemu, że za dużo się dzieje i że musi skończyć różne sprawy, których dotychczas nie załatwił. Charlie najwyraźniej nie był zaskoczony. Ze smutnym, zgnębionym uśmiechem odparł, że to przewidywał, ale że, jego zdaniem, Landers popełnia błąd.

–Wiedz, że ta wojna nie będzie trwała wiecznie.

Może ci się tak wydawać w tej chwili, ale to nieprawda.

Już ją wygraliśmy.

–Zanim Niemcy i Japończycy to uznają, zginie wielu porządnych ludzi.

–Wiem, to smutne, ale i tak mam rację. Już wkrótce, na wiosnę, ruszy ta inwazja na Francję, tak więc wojna w Europie nie potrwa długo. A te przekłete Japonce już dostały w dupę. Trzeba tylko jeszcze trochę wysiłku.

Landers pomyślał, że to bardzo obszerna wypowiedź i nie do przełknięcia bez popicia, zwłaszcza w przypadku prowincjonalnego szeryfa z Tennessee. Myśli te na pewno odbiły się na jego twarzy, bo Charlie dodał:

–Uwierz mi. Uwierz. Rok w Europie. Jeszcze pół roku na Japończyków. Mam znajomych w Waszyngtonie. Oni wiedzą. Już to planują. A zresztą uważam, że byłoby bardzo głupio, gdybyś teraz zginął na wojnie. Ty już swoje zrobiłeś. Przemyśl więc to sobie przez dwa dni.

A na razie pozwól, że ci coś zaproponuję.

–Co?

–Zostań z nami. Zapomnij o powrocie do wojska.

Oto moja propozycja.

Landers patrzył na niego w milczeniu.

–Przemyśl to sobie – powtórzył z naciskiem Charlie.

–Nie proszę cię o nic więcej. Za miesiąc możesz zacząć chodzić po cywilnemu. Jeśli chcesz, to mogę ci nawet załatwić pracę. Ale nie musisz pracować... Nikt cię tutaj nie zaczepi. Nikt cię tu nie złapie. Nie w moim powiecie.

Landers był trochę oszołomiony faktem, że tak całkowicie i bezczelnie można omijać prawo.

–Przemyśl to sobie – powtórzył jeszcze raz Charlie.

–A co z moim obywatelstwem? – spytał Landers.

–W końcu czeka mnie hańbiące zwolnienie-z wojska.

Z piętnem dezertera. Stracę prawa obywatelskie. Prawo do głosowania. – Zmarszczył twarz. – A zresztą mam gdzie głosowanie.

–Posłuchaj, wszystko da się załatwić. Może nie zaraz. Ale po wojnie na pewno – przekonywał Charlie.

–Kto wie, czy nie od razu. Mówiłem ci już, że mam znajomych w Waszyngtonie.

–Tak – odparł Landers. – To poważna propozycja.

Ale czym sobie na nią zasłużyłem?

Charlie oszczędnie, jakby z bólem, wzruszył ramionami.

–No, bo lubimy cię. Ja na pewno. I Loucine bardzo cię polubiła. Podejrzewam nawet, że się w tobie zakochała.

–Zakochała się we mnie?!

Charlie podniósł wielką dłoń.

–Młode kobiety w jej wieku zakochują się, Marion.

Jeżeli przypadkiem znajdziesz się blisko nich i we właściwym momencie zwrócisz na siebie ich uwagę, to się w tobie zakochują. Odsuwasz się kawałeczek, a zakochują się w kimś innym, który stoi bliżej. Tak to jest.

Landers nie odpowiadał, w obawie, żeby czegoś nie palnąć. Nie padła najmniejsza wzmianka, że spał z Loucine.

–Mógłbyś trafić znacznie gorzej – ciągnął Charlie.

–Oczywiście nie musiałbyś się z nią żenić... chyba że naprawdę byś tego chciał. A ten dzieciak należy do mnie. Ten, którego ona nosi. Zajmę się nim, wychowam go. Nie musiałbyś brać na siebie tej odpowiedzialności, chyba że naprawdę byś chciał... Czy myślałeś kiedyś o tym, żeby zostać zastępcą szeryfa? Uważam, że byłbyś bardzo dobry. Masz w sobie wrodzoną władczość i właściwą postawę. – Nagle uśmiechnął się szelmowsko.

–Zresztą wystarczy tylko przechadzać się i udawać ważniaka, tak jakbyś się znał na wszystkim. No i mieć mały plik odpowiednich akcji.

Landers nadal milczał.

–Mógłbyś wyrosnąć na dobrego szeryfa, w ciągu niewielu lat. A Loucine będzie świetną żoną.

–Charlie, od mojego przyjazdu Loucine zamieniła ze mną może z dziesięć słów – odparł Landers.

–Właśnie dlatego będzie świetną żoną – zapewnił uroczyście Charlie.

Landersowi przemknęło przez myśl, że widać w tym niewyraźnie, niczym przezroczyłą zjawę, delikatną i leciutką rękę Blanche. Po chwili jednak uznał, że się myli.

–Mój Boże, Charlie, nie wiem, co powiedzieć – wykrztusił wreszcie.

–Przemyśl to sobie. – Charlie uśmiechnął się. – Coś ci powiem. Wiem, że przyjaźnisz się z Annie. Ale to

nieważne. Annie to wagabunda. Zawsze taka była.

Będzie wciąż wędrowała. Ale nie Loucine. Loucine to domatorka. Dasz jej dom, to się z niego nie ruszy.

Pozwól, że powiem ci jeszcze coś. O ojcostwie. Ociec to w rodzinie wiadro na śmieci. Wszystko, co się trochę zestarzeje albo zacznie odrobinę "cuchnąć" uszkodzi się lub zepsuje, jest wrzucane do niego jak do wiadra na odpadki. Od tego on jest.

–Nie wiem, czy jestem gotów do ojcostwa.

–No cóż, nikt nie jest gotów – odparł Charlie.

W pewnym sensie była to bardzo wspaniałomyślna propozycja. Prawie niewiarygodna. Charlie nie prosił go nawet, żeby poślubił Loucine i dał jej dziecku swoje nazwisko. Zapewne przypuszczał, że jeżeli tylko Landers pobędzie tutaj odpowiednio długo, zrobi to. Landers przyrzekł, że przemyśli to sobie w ciągu dwóch najbliższych dni, ale od samego początku dobrze wiedział, że nie przyjmie jego propozycji. Rzeczywiście zastanawiał się nad nią przez dwa dni, ale nic to nie zmieniło.

–Charlie, ja po prostu nie mogę tego zrobić – oznajmił po upływie wyznaczonego czasu. – Jest wiele spraw do załatwienia. Musiałem wyrwać się z tego kieratu, rozumiesz?

–Wracasz?

Siedzieli w jednym z lokali, z którymi zapoznał go Charlie. Było późno w nocy. Zespół Texa Beneke śpiewał Chattanooga Choo-Choo.

–Muszę, Charlie – odparł Landers.

–Cóż, ja nie cofam swojej propozycji. Nie wiem, jak długo będzie aktualna. Tak jak powiedziałem, wystarczy odsunąć się kawalek, a skupiają uwagę na kim innym.

–Oczywiście. Wiem o tym. Gdyby to wszystko wydarzyło się dopiero za miesiąc, to może... rzekł Landers, właściwie w to nie wierząc. – Jutro wyjeżdżam.

Kiedy żegnał się z Loucine, zarzuciła mu ręce na szyję i rozplakała się.

–Ach, tak bardzo będę za tobą tęskniła, Marion – powiedziała.

Landers zdumiał się.

Charlie podwiózł go do autobusu, który odjeżdżał o pierwszej. A kiedy zamknęły się drzwi i syknęło powietrze, zawołał na koniec do Landersa:

–Pamiętaj!

Rozdział dwudziesty ósmy Kiedy taksówka wwiozła go na powrót do koszar w O'Bruyerre, Landers wpadł w straszną, przerażająco głęboką depresję. Nie uporządkowane, brudne, usmolone węglowymi dymami błotniste połączenie wielkiego obozu wojskowego ciągnęły się milami. Z bardzo daleka widać było całun węglowego dymu, który wisiał nad obozem jak płaski, szary parasol. W czasie kilkutygodniowej nieobecności Landersa obóz rozrósł się chyba jeszcze bardziej.

Wracać tu w roli anonimowej jednostki pomiędzy dziesiątki tysięcy innych anonimowych jednostek było nie do zniesienia.

A jednak tę szarą materię depresji przetykała pomarańczowa nić podniecenia, bo zapamiętałe produkujące adrenalinę gruczoły ładowały w niego energię przed zbliżającą się walką. Uczucia tego nie oddałby za nic.

Nienawidził się za to, że wraca, kiedy nie musiał, ale trzymać się z dala od wojska nie potrafił, tak jak nie potrafił zostać prawdziwym dezenterem.

Z przedostaniem się do obozu przez główną bramę nie było kłopotu. Podczas jazdy z miasta na wypadek rewizji wyrzucił cenny bloczek czystych przepustek i zatrzymał jedynie aktualną, wystawioną na zeszłe trzy

dni. Ale nawet ona okazała się zbędna, bo żandarm przy bramie nie zwrócił na niego uwagi.

Wróciwszy tu z własnej woli, przestał być dezenterem.

Stał się już tylko żołnierzem, który samowolnie wziął sobie lewy urlop.

Polecił taksówkarzowi zawieźć się prosto do kompanii 3516. Niewielki wydatek w

porównaniu z kosztami jazdy z Luxoru. W mieście nie wpadł nawet do hotelu Peabody, żeby zobaczyć się ze Strange'em, po trosze dlatego, że było mu wstyd, a po trosze dlatego, że nie chciał, aby Strange zadzwonił do Wincha i wplątał go w jego powrót. Ale z chwilą gdy zjawił się dobrowolnie w koszarach, instynkt samozachowawczy zmusił go do zmiany zdania na temat Wincha.

Landers kazał więc taksówkarzowi zawieźć się do dowództwa Drugiej Armii. Liczba żołnierzy, pojazdów i ilość przewożonych materiałów wojskowych w obozie przytłaczały. Minęli część koszar, którą przed wyjazdem do Anglii zajmowała jego dawna dywizja, i spostrzegł, że kwateruje tam obecnie całkiem nowa jednostka, z innymi insygniami.

Na drugim piętrze budynku dowództwa wyszedł do niego Winch. Poprowadził go przez półtora akra powierzchni zajmowanej przez jego kancelistów, a po zamknięciu drzwi do gabinetu przyjrzał mu się z ponurym uśmiechem.

–A więc wróciłeś – rzekł dziwnie cichym głosem.

–Wróciłem – odparł Landers. – Tak. Wróciłem.

–Przynajmniej dobrowolnie. To się przyda. – Winch wyciągnął z szuflady butelkę seagrama. – Napij się.

Landers chciał odmówić, ale mając przed sobą flaszkę z whisky przyjął zaproszenie.

–Dziękuję – powiedział sztywno. Nigdy nie było wiadomo, co naprawdę myśli Winch. Nigdy. – Co pan wie o tej eskapadzie?

Winch znowu przyglądał mu się przez chwilę. Landers miał wrażenie, że z irytacją i niedowierzaniem.

Odpowiedział jednakże:

–Wiem tylko tyle, co przekazał mi przez telefon Johnny Stranger. I to, co mi powiedział Mayhew.

–Mayhew! To pan zna Mayhewa?

–Po telefonie Strange'a poszedłem z nim porozmawiać.

–Bydlę – warknął Landers. – Skończone bydlę.

–Posłuchaj, obudź się – rzekł Winch. – Wiem o tobie wszystko, odkąd trafiłeś do tego oddziału. Jak myślisz, dokąd przychodziły te spaprane raporty dzienne, które sporządzali tamci chłopcy? Jak myślisz, kto je odsyłał z powrotem? Gdzie, jak myślisz, trafiła ta lista żołdu przed jej przesłaniem do Rachuby?

–Nie mam pojęcia – odparł zuchowato Landers.

–Czy ty w ogóle masz jakieś pojęcie o tym, co cię czeka? – spytał Winch.

Pierwszy raz od wejścia do gabinetu Wincha Landers spojrział na szefa kompanii tak poważnie, jak powinien był od samego początku. Winch był jakiś blady. Stracił dawną nadmierną chudość i ostrość rysów. Twarz miał pełniejszą i znowu zaczął dostawać brzuszka. Biurowe życie mu służyło... a może przeciwnie?

–Nie, nie wiem – odparł z uśmiechem Landers.

–Mayhew chce się tobą posłużyć dla przykładu.

Ma zamiar posłać cię do pierdła i natychmiast przenieść za ocean z wojskami posiłkowymi, które po cichu nazywają posiłkami z niesfornych. – Świetnie, to nawet lepiej, niż liczyłem.

–A czy masz jakiegokolwiek pojęcie, co oznacza takie przeniesienie? Nie muszę ci tego szerzej objaśniać, prawda? Nowy oddział. W którym nie znasz nikogo.

Najgorsze prace. Najniebezpieczniejsze zadania. Będzie wisiał nad tobą wyrok. Żadnych nagród ani podziękowań. Żadnych zasranych Medalii Honorowych. Będziesz napiętnowany.

Landers zmusił się do uśmiechu.

–Sam pan to wymyślił?

–Robiłem wszystko, co się dało, żeby go od tego odwieść. Bezskutecznie. Walnąłeś go w najczulsze miejsce. Kompania mu się rozpadła.

–No cóż, to zawsze coś – rzekł Landers. – Druga Armia będzie...

–Druga Armia nic nie zrobi. Mayhew to pieszczoł jakiejś kliki w dowództwie Drugiej Armii w Luxorze.

Jego nic nie ruszy.

–A co z Prevorem?

–Z Prevorem? Jeżeli będzie miał szczęście, to wyjedzie za ocean jako porucznik w kompanii Mayhewa. A jeżeli nie, to przeniosą go do innego pododdziału. Jeśli zaś będzie miał dużo szczęścia, to wytrzyma za oceanem na tyle długo, żeby ten kretyn Mayhew dał się zabić, i przejmie po nim kompanię, a jeżeli ta do tego czasu całkiem się nie rozsypie, to może jeszcze coś z niej wykrzesze. Ale ty tego nie zobaczysz, bo cię tam nie będzie.

–Nie zależy mi na tym – odparł Landers z uśmiechem. – A tego idiotę Mayhewa zmusi to przynajmniej choć trochę do myślenia.

–Nie. Tacy jak Mayhew wiele nie myślą. Kierują się raczej czystym instynktem, jak psy. Niestety, w tej chwili cały jego instynkt skoncentrował się na nienawiści, której bezpośrednim celem jesteś ty.

Winch raptem odwrócił się plecami do Landersa i usiadł przy biurku. Zdaje się, że ciężko dyszał. Ze złości, pomyślał Landers. Ale po chwili Winch rozsiadł się wygodnie w obrotowym, kosztownym fotelu i chyba się uspokoił. Landers miał ochotę kopnąć go w jaja.

–Możesz się z tego wykaraskać tylko w jeden sposób – powiedział Winch.

–Tak? – spytał cicho z ironią Landers. – W jaki?

–Musimy zdobyć jego zgodę, żeby najpierw pozwolił ci pójść do szpitala, na kilka dni.

–Do szpitala? Po co?

–Na obserwację – odparł chłodno Winch. – Zanim pośle cię do mamra.

–O, nie – powiedział Landers. – O, nie. – Myślał, że siedzi, a stał, kiedy więc sięgnął rękami za siebie, żeby się odepchnąć i zerwać na nogi, to tylko podskoczył w górę i opadł na pięty. Wyglądało to co najmniej dziwnie. – Nie, panie chorąży. Nie ja. Nie wrobi mnie pan w takie numery.

–Jak chcesz, ale pozostaje ci tylko albo to, albo natychmiastowe uwięzienie – rzekł Winch.

–Nie ja – powtórzył Landers. – Nie, panie podchorąży. Nie będę udawał wariata. Ani dla pana, ani dla nikogo.

–No, nie wymaga to wielkiego wysiłku.

–Nie wiedziałbym nawet, co robić.

–Po prostu musisz zachowywać się jak wariat – odparł Winch, przyglądając się Landersowi łagodnym wzrokiem. Minę miał bardzo szczerą i przyjazną.

–To Mayhew jest wariatem, a nie ja! – wściekł się Landers. – Wystarczy spojrzeć, w jaki sposób wpakował się do oddziału i kompletnie go rozpieprzył. Zraził do siebie wszystkich.

–Owszem, ale, niestety, nie możemy go w żaden sposób załatwić – odparł Winch, a jego twarz straciła łagodny wyraz i ściągnęła się. – Nie po to wam, gówniarze, matkowałem i niańczyłem was aż do tej pory, żebyście mi teraz wyjeżdżali na pewną śmierć. Do tego za nic nie dopuszczę, kurwa mać! Rozumiesz!?

–Naprawdę mógłbym to zrobić? – spytał Landers, któremu, pomimo demonstrowanej awantury, nie uśmiechała się wywózka do Europy na takich warunkach.

Wiedział równie dobrze jak Winch, co to oznacza.

Chciał paść komuś w ramiona i się przytulić. – Naprawdę tak pan uważa?

–Opowiedz mi o swoich sennych zmorach – rzekł Winch, znowu ze spokojną miną.

Landers zastanawiał się mgliście, skąd tamten o nich wie.

–A teraz słuchaj – dodał prędko Winch. – Pojedziesz do swojej kompanii. Weź jedną z obozowych taksówek, które stoją na dole. Po co iść na piechotę, żeby cię zobaczyli z daleka. Pójdiesz prosto do swojego baraku, do swojego łóżka. Na następną zbiórkę wyjdiesz tak, jakbyś w ogóle nie opuszczał kompanii. – Winch zerknął na zegarek. – Następną zbiórka będzie przy kolacji. Jeżeli po ciebie nie przyjdą, to pójdziesz do stołówki. Dobra?

Zanim Landers zdążył odpowiedzieć, a nawet pojąć, co się dzieje, Winch chwycił go za rękę i zaczął wypychać z gabinetu.

–Zadzwońię do Mayhewa i poproszę go o spotkanie. Pogadam z nim najlepiej, jak umiem. Myślę, że się zgodzi. Dobrze? A teraz pędź.

–Ja tego nie potrafię – odparł zrozpaczony Landers, stojąc przy drzwiach. – Nie wiem, jak grać wariata.

Jeszcze raz przemknęło mu przez myśl, że nigdy nie wiadomo, co naprawdę myśli Winch.

–W każdym razie spróbuj – powiedział Winch, nie spuszczając z niego wzroku.

Stanąwszy w progu patrzył, jak Landers brnie przez morze kancelaryjnych biur. A potem cofnął się do gabinetu i zadzwonił do Strange'a w hotelu Peabody.

Nie był pewien, czy go tam zastanie, po chwili jednak Strange podszedł do telefonu.

–Zmusiłem, go, żeby poszedł – oznajmił rozradowany. – Zgodził się pójść do szpitala. A teraz czeka

mnie rozmowa z tym skurwysynem Mayhewem, żeby go tam posłał. – Słuchał, jak Strange miele jęzorem.

–Wolnego, wolnego.

Strange zadał mu natarczywe pytanie.

–Nie, na pewno uznają go za wariata. Bo to jest wariat – odparł Winch i nagle chwyciła go ochota do śmiechu. Raptem poczuł chęć, żeby obniżyć głos i zacząć pleść do Strange'a przez telefon wieszczym tonem.

–Posłuchaj, w tej chwili nie mogę z tobą rozmawiać, bo muszę skontaktować się z Mayhewem. Zadzwoń do ciebie później. Będziesz tam?

Odłożył słuchawkę i poprosił telefonistę, żeby połączył go z Mayhewem z kompanii 3516.

Na swój sposób Winch przygotowywał Mayhewa na tę chwilę. W trakcie ich pierwszego spotkania Mayhew był bardzo wojowniczy i dyszał agresją. Winch tłumił w sobie naturalny gniew aż do chwili, dopóki nie rozpoznał sytuacji. Odkrył, że Mayhewa mocno zaskoczyło, iż Landers śmiał uciec z jego kompanii, ale znacznie bardziej przejmował się tym, co pomyślał sobie o nim w dowództwie armii. Wizyta słynnego chorążego Wincha też zrobiła na nim niemałe wrażenie. Winch pozwolił mu się wygadać i pogardłować, a potem zaatakował go opowieścią o Landersie, o nim samym i telefonie. Znał ją z relacji Strange'a. Mayhew zareagował niezwykle – kark mu zgrubiał i znów się cały najeżył. Nie należał do osób dobrze przyjmujących krytykę. A przynajmniej krytykę ze strony kogoś, kto nie jest jego bezpośrednim przełożonym.

Telefonując do niego tym razem, Winch dobrze o tym pamiętał. Powiedział tylko, że ma wieści o jego niesfornym uciekinierze, i zaproponował spotkanie w barze kasyna oficerskiego. Mayhew odparł, że spotka się z nim bezzwłocznie.

Winch-załatwił z barmanem, żeby posadził ich przy

stoliku dla dwóch osób, aby mogli porozmawiać, ale takim na widoku. Kończyły się właśnie godziny urzędowania, co też było Winchowi na rękę. Nie bawił się w żadne uprzejmości.

–Sprowadziłem z powrotem pańskiego chłopaka – oznajmił.

–Owszem, wiem. Widziałem, jak wchodzi na kompanię, kiedy szedłem na spotkanie z panem.

A więc odpadł element zaskoczenia, na który Winch liczył.

–Czy wypuści go pan do szpitala na obserwację? – spytał.

Mayhew potrząsnął przecząco okrągłą głową.

–To się kwalifikuje do więzienia. Już podjąłem decyzję. On zrobił to specjalnie, żeby mi zaszkodzić.

–Moim zdaniem, mądrzej byłoby wysłać go do szpitala.

Mayhew pokręcił głową.

–Według mnie, należy rozstrzygnąć, czy on jest dezercerem. Nie było go trzy tygodnie.

–Nie jest dezercerem ten, kto wraca dobrowolnie i sam się zgłasza.

–Nie ma takiego przepisu.

–Wydaje mi się – oświadczył słynny Mart Winch – że najbardziej przejmują się pan tym, co myśli o panu dowództwo Drugiej Armii.

Mayhew wysunął szczękę i najeżył się.

–Proszę się nie gniewać, ale mam wrażenie, że bardziej zaszkodziłoby pańskiej opinii zamknięcie żołnierza w więzieniu niż posiadanie w oddziale autentycznego wariata.

–To mnie nie obchodzi. On zrobił to umyślnie, żeby mi zaszkodzić. Chcę, żeby dostał to, na co sobie zasłużył.

–Cała sprawa ma wyraźnie osobisty podtekst – rzekł surowo Winch. – To osobista zemsta.

Mayhew potrząsnął głową.

–W świetle prawa mam rację – odparł.

Ale wcale nie czuł się tak swobodnie, jak udawał.

Bez przerwy rozglądał się po barze. Winch wiedział, że Mayhew nie jest bywalcem głównego kasyna. Do baru ściągało właśnie wielu pułkowników i podpułkowników, którzy na ogół pozdrawiali Wincha. Niemal wszyscy go znali, ponieważ w pracy mieli styczność z kancelarią ewidencyjną. Winch skinął ręką dwóm pułkownikom z Drugiej Armii i zaprosił ich gestem do stolika. Wstał, żeby przedstawić im Mayhewa, który momentalnie poderwał się z fotela.

A potem w drzwiach pojawił się ten, na którego Winch czekał: pułkownik Stevens ze szpitala wojskowego, szczupły, siwowłosy, dystyngowany absolwent akademii West Point. Było w nim coś takiego, że wszędzie rzucał się w oczy, a w tej chwili nosił już pojedynczą gwiazdę generała brygady. Jego awans zatwierdzono przed miesiącem. Od razu, bez zaproszenia, podszedł do stolika Wincha.

–Witam, Mart – powiedział z ciepłym uśmiechem.

–Jak się pan ma? Dawno pana nie widziałem. – Nie było najmniejszej wątpliwości, że bardzo lubi Wincha, a kiedy ten przedstawił mu Mayhewa, uprzejmie skinął kapitanowi głową. – A co słyhać z tym pańskim młodym protegowanym, Mart? Jak jego nazwisko?... Landers?

–Wszystko w porządku, panie generale. – Winch uśmiechnął się szeroko. – Wszystko w porządku.

Kiedy Stevens odszedł, a oni dwaj usiedli, Mayhew trwał dalej w uporze.

–W takim razie powiem panu, co zrobię – rzekł Winch. – Pójdę z tą sprawą wyżej, panie kapitanie.

Jeżeli wsadzi go pan do więzienia tylko po to, żeby trafił na front w Europie, to wstawię się za nim i załatwię mu przeniesienie do siebie.

Był to wielki pokerowy blef, bo Winch sam nie wierzył, że gdziekolwiek ma aż tak duże wpływy.

Mayhew patrzył na niego z niedowierzaniem.

–Czy to możliwe...? – spytał i utknął na tym, że nie wie, jak ma się zwrócić do Wincha, a po chwili wybrał formę grzecznościową. – Zrobiłby to pan, panie Winch?

–Oczywiście. Przecież ja go wyszkoliłem. Służył u mnie, w moim dawnym oddziale.

Szyja Mayhewa poczerwieniała bardziej niż wówczas, gdy był rozzłoszczony.

–W porządku – mruknął, jak gdyby do siebie.

–Dobrze. – Dopił ze szklaneczki. – Dobrze, w porządku, panie Winch. Pójdę do swojej kancelarii i każę im zabrać go do szpitala. – Wyglądało na to, że Mayhew strasznie chce tu zostać i wypić jeszcze parę głębszych.

No i spotkać jeszcze jednego generała. Ale mimo to wstał. – Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy, panie Winch.

–Spotkamy się – zapewnił Winch.

Niedoczekanie, pomyślał, patrząc, jak Mayhew odchodzi do swojej kancelarii. Powinien wyjść i z automatu w hallu kasyna zadzwonić od razu do Strange'a z dobrymi wiadomościami, ale czuł się niezmiernie wyczerpany i strudzony.

Po powrocie do kompanii Mayhew zastał już Landersa pod strażą. Po chwili zwolnił wartownika.

Landers dokładnie wypełnił wszystkie zalecenia swojego byłego szefa, ale kiedy szedł przez zamrożone błoto do baraków, z kancelarii wypadł akurat śpieszący na spotkanie z Winchem Mayhew i go zobaczył.

Landers poszedł dalej, lecz kiedy dotarł do baraku, swoje łóżko znalazł ogołoczone. Koce i pościel zniknęły, a materac leżał zwinięty na sprężynach. Na ten widok poczuł się bezdomny jak nigdy dotąd. Żołnierze mający koce i łóżka patrzyli na niego z rezerwą. Właśnie tam,

przy łóżku, zastało go dwóch strażników, których wysłał po niego Mayhew.

Po powrocie ze spotkania z Winchem Mayhew stał się znowu w pełni sobą – surowym, zimnym, rzeczowym służbistą.

–Zgodziłem się na wysłanie was do szpitala na obserwację – oznajmił. – Niektórzy widać uważają, że to konieczne.

Dał jasno do zrozumienia, że ma odmienne zdanie.

A wszystko to powiedział w obecności innych oficerów kompanii, którzy po zakończonej służbie grzali się przy piecyku. Landersowi wydawało się, że pochwycił błysk sympatii w mongolskich oczach porucznika Prevora, a jego były zastępca, porucznik Burns, obdarzył go bardzo przelotnym, ale szczerym uśmiechem. Landers zastanawiał się, czy na wzmiankę o szpitalu wyczuwa u nich falę ulgi, czy też czuje ją jedynie w sobie.

Zadanie przewiezienia Landersa pod strażą dwóch żołnierzy na oddział więzienny szpitala otrzymał młody porucznik Mathieson.

Landersowi jazda przypominała serię upokarzających rozbłysków, podobnych do przezroczy migających na ekranie.

Ktoś, kto był i znał choć jeden szpital, tym samym był i znał wszystkie pozostałe. Landers orzekł, że szpitale niewiele się od siebie różnią. A potem zamknęły się za nim ze szczękiem wielkie stalowe drzwi oddziału więziennego na końcu głównego korytarza.

W pewnej chwili, kiedy przed szpitalem wysiadali z jeepa, Mathieson znalazł okazję, żeby odezwać się do niego bez świadków, a zrobił to prędko, rozglądając się dookoła, czy nikt na nich nie patrzy i nie podsłuchuje.

–Upoważniono mnie, żebym ci przekazał, że wszyscy jesteśmy po twojej stronie. Kazali mi powiedzieć, że

wszyscy wiemy, dlaczego to zrobiłeś. I że jako oficerowie zrobimy co w naszej mocy, żeby cię z tego wyciągnąć.

Landers spojrzał uważnie na niego. Jeżeli wiedzieli, dlaczego to zrobił, to wiedzieli znacznie więcej niż on sam. A potem poczuł raptowny przyływ wzruszenia, które

prawie wycisnęło mu z oczu łzy. Zdołał się uśmiechnąć i tylko skinął głową.

Trochę później, kiedy Mathieson rejestrował go na oddziale, do Landersa odezwał się jeden ze strażników. Żołnierze mogli zrobić w jego sprawie bardzo niewiele albo zgoła nic, ale chcieli, żeby wiedział, co myślą.

–Wszystkie chłopaki są za tobą – zapewnił. – Temu chujowi powinno się nakopać w jaja ile wlezie.

Landers uśmiechnął się do niego i poprosił, by wszystkim podziękował.

W takiej sytuacji nie powinien aż tak martwić się odsiadką. Szedł siedzieć, mając po swojej stronie znacznie więcej sympatyków, niż mają na ogół idący do więzienia.

Ale kiedy trafił na dobre na oddział więzienny i zamknęły się za nim wszystkie drzwi, przestało mu być do śmiechu.

Bardzo się starał niczego po sobie nie okazać.

Najgorsze było odcięcie od lokalnych wieści o wojnie, wydarzeniach w obozie i w pododdziałach. Co prawda, na oddziale były gazety, a głośniki nad drzwiami nadawały ogólne wiadomości z frontów, ale wielkie żelazne drzwi odcinały Landersa od wszelkich prywatnych wieści tak dokładnie, jak od złudzeń o wolności po ich drugiej stronie. Wolność? Zdjął go gorzki śmiech. Stąd istotnie wyglądało to na wolność.

Kolejną niedogodnością, z którą musiał ciągle walczyć, żeby nie pogrążyć się w rozpacz, było poczucie całkowitego opuszczenia, które odczuwa człowiek zamknięty w więzieniu. Oddziały żyły dalej, dalej toczyła się wojna. Koledzy z twojej kompanii mogli o ciebie dbać – wczoraj. Jednakże to pamiętane przez ciebie tak

żywo wczoraj – dla nich nikt nie żył w przeszłości. Nawet gdyby chcieli, nie mogli się tobą zajmować.

Pomimo tego, co poufnie powiedział mu przy jeepie Mathieson, od oficerów z kompanii 3516 nie było żadnych wieści. Nie było też wiadomości od Wincha ani Strange'a. Podobnie jak od Mayhewa i szefa aresztu.

Prawie nikt go nie odwiedzał. Raz zjawili się paru dobrodusznym podoficerów, przysyłanych z pewnością pro forma, którzy usiedli i jakiś czas rozmawiali z nim zakłopotani. Żaden nie wiedział, co słytać w jego sprawie. Landersowi ogromnie ulżyło, kiedy sobie poszli.

Więcej się nie pokazali.

Czas i dni mknęły jak błyskawice, tak że trudno byłoby je odnotować w kalendarzu, a przerywały je niemal codzienne wizyty psychiatrów, którzy wypytywali Landersa, czy kiedykolwiek ciągnął druta, czy kiedykolwiek miał na to chęć i czy nienawidzi ojca. Na szczęście w soboty i niedziele nie było wizyt, bo wszyscy lekarze jechali do miasta.

Samo życie tutaj niewiele różniło się od życia na zwykłym oddziale szpitalnym. Ten był jednym z czterech zamkniętych oddziałów szpitala, a wszystkie mieściły się na końcu korytarzy w tym skrzydle budynku, dwa na górze i dwa na dole. Trzy pozostałe – przeznaczone dla wariatów i psychopatów – nazywano w skrócie NP od "neuropsychiatrii", a ponieważ trzymano w nich obłąkanych, ich pacjenci nie byli w świetle prawa więźniami.

Nocami z któregoś z oddziałów piętro niżej dochodziły niekiedy Landersa stłumione krzyki i wołania, które brzmiały jak "Zabierzcie ich stamtąd, psiakrew, zabierzcie ich stamtąd!" Bardzo pasowały do tego miejsca.

Którejś nocy jednak umilkły, a oddział obiegła pogłoska, że starego zawodowego sierżanta, który krzyczał, zwolniono z wojska i przeniesiono do szpitala weteranów.

Plotka głosiła, że służył w dawnej dywizji Landersa podczas walk na Guadalcanale.

Takie wydarzenia odrobinę urozmaicały szpitalne życie.

Oddział miał własnych chorych psychicznie, do których należał Landers, ale też i zwykłych pacjentów, którzy – przynajmniej oficjalnie – nie byli obłąkani, a trafili tu z powodu różnych chorób i poważnych obrażeń. To również stanowiło małą atrakcję. Przysyłano tutaj zranionych w bójkach na noże, czy poturbowanych w walkach na pięści, pałki i kamienie. Zwykle przebywali na oddziale do chwili, kiedy wydobrzeliby na tyle, by móc stanąć przed sądem. Czasem trudno było zorientować się, czy ci ludzie są poza tym nerwowo chorzy. Pewnego dnia przywieziono dwóch ciężko rannych więźniów, z adnotacjami, że wypadli z transportujących ich ciężarówek. Kiedy jednak stan obu poprawił się na tyle, że mogli mówić, oświadczyli, że znaleźli się tu w wyniku pobicia, ale jakoś nikt nie dał im wiary. Patrząc na ich przebiegłe twarze, Landers musiał przyznać, że równie dobrze mogli kłamać. Innym ciekawym przypadkiem był hitlerowiec, który prowadził strajk głodowy i wypijał jedynie litr mleka dziennie.

Landers obłądnie, gwałtownie i morderczo zniechęcił Szwaba. Niemiec pracował w jednym z pobliskich gospodarstw rolnych dla jeńców wojennych, ale w tej chwili odmawiał pracy, żądając odesłania go do kraju, by mógł znowu walczyć za Fuhrera i Fatterland. Ciężko stąpający, gruboskórny, bezkrytycznie pewny siebie najbardziej przypominał Landersowi Mayhewa. Reprezentował sobą to wszystko, co tak mierziło Landersa w rasie ludzkiej od owego dnia na wzgórzu na Nowej Georgii. Jego nienawiść doszła do takiego punktu, że gdyby miał okazję, to zabiłby Szwaba.

Po wypiciu swojej butelki mleka, niemiec miał zwyczaj maszerować tam i z powrotem po oddziale. W wyobraźni Landers rzucał się na niego, rozbijał butelkę na jego niemieckim łbie i ostrą krawędzią szyjki podrzynał

mu jego szwabskie gardło. Wyobrażał to sobie, siedząc na brzegu łóżka, kiedy tamten przemierzał oddział ze swoją butelką mleka. W nocy Niemca trzymano w osobnej celi, która pełniła też rolę izolatki obitej materacami, tak więc nikt z Amerykanów nie mógł go dopaść.

Do nagłej pasji doprowadzały Landersa również religijne kazania puszczone przez głośniki. W każdy niedzielny poranek kazania huczały na całym oddziale, docierały wszędzie i nie było przed nimi schronienia.

Zmuszony do słuchania tych przesłodzonych bzdur i jawnych kłamstw o miłowaniu bliźniego, Landers wpadał w taką furję, że nie mógł usiedzieć w miejscu ani spokojnie stać. Za pierwszym razem poskarżył się oddziałowemu. Był ateistą i gwałcono jego prawa. Niedzielny strażnik skwapliwie przyznał mu rację, lecz oznajmił, że nie ma wpływu na natężenie głosu w głośnikach ani na dobór programów radiowych, bo są nadawane z komendy szpitala. Mógł jedynie wystosować do nich pismo, wątpił jednak, czy to coś pomoże. Landers spostrzegł, że w trakcie rozmowy oddziałowy sporządza szczegółowe notatki i dołącza je do coraz grubszych akt.

–Po co to robisz? – spytał go.

Oddziałowy wzruszył ramionami.

–Zarządzenie. Samego głównego psychiatry.

Kazań nie wyłączono. Ale po trzech tygodniach gwałtownych skarg Landersa pozwolono mu w niedzielne ranki zamykać się w miękkiej celi, tej samej, w której niemiecki jeniec nocował dla własnego bezpieczeństwa.

Szwabowi kazania nie przeszkadzały. Okazało się, że jest gorliwym katolikiem, a zresztą nie znał angielskiego.

W celi Landers w dalszym ciągu słyszał kazania, ale już nie tak wyraźnie. Ten maleńki triumf nieco osłodził mu pobyt tutaj.

Był również problem, gdzie się masturbować, jeśli człowieka przypiliło. Żadne drzwi nie zamykały się na

klucz. Nawet od kabiny w toalecie. Pozostawało więc robić to w łóżku nocą i starać się, żeby nie skrzypiało, a potem leżeć nieruchomo z chłodną wilgocią schnącego nasienia na brzuchu, żeby nie pozostawić wymownych plam na pościeli. Bić konia w podobnych warunkach mógł jedynie desperat. I tak oto, powoli, zatriumfowała wielkość chrześcijańskich zasad.

A potem ni z tego, ni z owego odwiedził Landersa Strange i wszystko szybko zaczęło się wyjaśniać. Strange przyniósł wieści od Wincha.

Powiedział, że ich szef nie przyszedł osobiście, bo uważał, że mogłoby to zaszkodzić sprawie. Ale było już pewne, że nie zastosują żadnych środków karnych.

Innymi słowy, Landers nie stanie przed sądem wojskowym, nie wsadzą go do więzienia i nie wyślą za ocean z posiłkowym transportem armatniego mięsa. Musi jednak poważnie się zastanowić. Musi poważnie się zastanowić nad tym, czy chce być zwolniony z wojska.

Strange dodał, że o zwolnienie z wojska byłoby najłatwiej. Gdyby jednak Landers chciał pozostać w armii, to Winch na siedemdziesiąt, siedemdziesiąt pięć procent gwarantuje mu, że zostanie przeniesiony do niego. Nie ma jednak stuprocentowej gwarancji, bo po drodze wiele jeszcze może się wydarzyć.

Oczywiście Landers ma czas, żeby to dokładnie przemyśleć, rzekł na odchodnym Strange i uśmiechnął się.

Uspokoił też przyjaciela, że nie zwolnią go z wojska w niesławie. Żadnych żółtych papierów, żadnej kategorii ósmej, a nawet papierów niebieskich, tylko czyściutkie, nieskalane, białe. Kategoria druga z powodów zdrowotnych, kazał mu przekazać Winch. Kategoria druga dotyczyła przyczyn neuropsychiatrycznych związanych ze służbą wojskową. Jej posiadacz nie tracił praw obywatelskich, praw wyborczych, słowem, pozostawał bez skazy.

Landers zdawał sobie sprawę, że takie zwolnienie rzeczywiście warte jest poważnego zastanowienia.

Na poważne zastanawianie się wybrał okno za swoim łóżkiem. Na szczęście miał je tuż obok – okno wypadło co cztery łóżka. Właśnie przy nim Landers rozważał ważne problemy, zwykle w nocy, po zgaszeniu świateł.

Sadowił się w wezglowiu na poduszce i z rękami na parapecie patrzył przez gęstą kratę na światła, dumając.

A rozmyślał nad wszystkim.

Nie mógł jednak znaleźć zadowalających rozwiązań.

Niezadowalających również.

Ale pozwolono mu to robić dopiero po pewnym czasie. W pierwszym tygodniu zaś nocny oddziałowy pilnował Landersa, by leżał w łóżku, ponadto zmuszał go do zażycia proszka. W końcu jednak tego zaniechał i stał się życzliwszy. Niewykluczone, że na polecenie któregoś z tych podstępnych psychiatrów.

Widok tysięcy obozowych świateł za oknem napępiał Landersa miłą melancholią, ale też spokojem i obiektywizmem wobec świata, których brakowało mu za dnia, gdy bez przerwy przypominano mu o szaleństwie wszystkich i wszystkiego, to zaś doprowadzało go do furii. Tam, na zewnątrz, żołnierzom wiodło się równie źle, jak kiedyś jemu.

Aż do odwiedzin Strange'a Landers nie ufał Winchowi. Przez cały czas, gdy tu siedział, Winch (jak i oficerowie z kompanii 3516) nie dał znaku życia. Ze swojego okna Landers widział róg wysokiego dwupiętrowego budynku dowództwa. W narożnym gabinecie na drugim piętrze świeciło się do późna i lubił wyobrażać sobie, że spogląda na kancelarię swojego byłego szefa.

Szkoda, że w oknach wisiały żaluzje, ale i tak, gdyby miał strzelbę, posłałby kulę tam, gdzie mógł stać fotel.

A stał tam na pewno.

Nie czuł do Wincha nienawiści.

Nienawidził wojny i ludzi, zwłaszcza takich jak Mayhew i ten szwabski jeniec. Myślał wiele o Mayhewie i Niemcu, i o tym, dlaczego oni są tacy, jacy są.

Przypuszczał, że nigdy nie pozna przyczyny. Na świecie było znacznie więcej im podobnych niż ludzi takich jak na przykład Strange i Prevor. Mayhew i Niemiec to przedstawiciele ludzkiej rasy, którą się brzydził, która przepelniała go rozpaczą i przez którą stał się tym, kim był – przeraźliwie samotną istotą, outsiderem.

Jedni pożąдали władzy. Tylko to ich obchodziło i nie było ważne, w jaki sposób ją zdobyli lub jak z niej korzystali. To ludzie tacy jak Mayhew. Inni pragnęli umrzeć za jakąś sprawę. Jak ten Szwab.

A Winch? Winch się nie liczył. Był anomalią.

Teraz Landers miał do przemyślenia jeszcze jeden problem: zwolnienie. Prawdziwe zwolnienie – nieskazitelne, czyste, białe. Tylko nie wiedział, czy go chce.

Kiedy przywodził na pamięć Mayhewa i Niemca, wtedy pragnął odejść z wojska. Żeby nie mieć nic wspólnego z ludzkością i z jej wojną.

Jednakże patrząc na światła za oknem i myśląc o Winchu, Strange'u i Prevorze, o dwóch życzliwych podoficerach, którzy go odwiedzili, czuł, że odejść nie może, że chce być z nimi.

Po prostu nie potrafił sobie odpowiedzieć, czy pragnie, żeby Winch załatwił mu zwolnienie.

Ale na rozmyślanie o tym nie poświęcał całego czasu. W dwa dni po wizycie Strange'a odwiedził go jeden z oficerów z kompanii 3516.

Rozmawiali siedząc na łóżku. Oficerem tym był porucznik Drere, szczupły, drobny blondyn po trzydziestce. Podobnie jak Mathieson należał do oficerów, którzy przyszedli później do kompanii, uzupełniając jej skład. Drere nie nadawał się do żadnych fizycznych i manualnych zadań, za to bardzo sprawnie posługiwał

się głową. Trudno o mniej odpowiednie dla niego miejsce niż kompania 3516. Właśnie do niego, jako kompanijnego intelektualisty, pozostali oficerowie przychodzili z papierkowymi kłopotami. A poza tym był serdeczny, szczery i szlachetny.

–Przepraszam, że nie odwiedziliśmy cię wcześniej – rzekł. – Ale doszliśmy do wniosku, że najlepiej zaczekać, aż będziemy mogli zrobić dla ciebie coś konkretnego.

Landers skinął głową.

–Tak, dobrze. A co tam u was słyhać? – spytał.

–Uchodzimy z życiem. – Drere uśmiechnął się.

–Twoją sprawę skierowano do komisji lekarskiej, która wyda opinię i podejmie ostateczną decyzję. Wszystkich nas, oficerów, poproszono o wystawienie ci pisemnej opinii. Do przedstawienia owej komisji.

–Aha, to wspaniale. Już ja znam te kurewskie komisje – skomentował cierpko Landers.

–Nie, nie. Nie zniechęcaj się. Przy okazji, jak się czujesz? – spytał życzliwym tonem Drere.

Landers wzruszył ramionami.

–Nie najgorzej. Ale to nie jest wymarzone miejsce na wakacje.

Drere z ciekawością rozejrzał się po sali i energicznie skinął głową.

–Oczywiście, dobrze wiemy, jaki raport wysmaruje kapitan Mayhew. Wiemy też, co napisze porucznik Prevor, a będą to pochwały. We własnym oficerskim gronie postanowiliśmy, że wystawimy ci jak najlepsze opinie, żeby ci pomóc. Pomóc zależnie od tego, co masz zamiar zrobić. Musimy jednak wiedzieć, jak to naświetlić.

–To znaczy?

–No, na przykład, gdybyś chciał pozostać w wojsku.

Albo gdybyś chciał się zwolnić. Możemy napisać im tak

albo tak i odpowiednio ukierunkować opinie. Musisz nam jednak powiedzieć, czego sobie życzysz.

–Czy to pański pomysł?

–Mój – potwierdził. – Z grubsza biorąc. Ale jego autorami są inni oficerowie. Ja tylko nadałem mu kształt.

Landers patrzył przez okno. Patrzył przez nie pod innym kątem, dlatego widział tylko część budynku dowództwa. Miał za to widok na tysiąc baraków.

–Sam nie wiem – odparł niepoczyszony. – Szczerze mówię, po prostu nie wiem. Tak czy tak. Nie wiem, czy chcę odejść z wojska, czy zostać.

–No cóż, musimy to wiedzieć, jeśli mamy napisać te opinie – rzekł Drere.

–A czy mogę powiedzieć wam później?

–Nie widzę sposobu. Musimy to wiedzieć dzisiaj.

Po to właśnie przyszedłem. Musimy te opinie napisać dziś wieczorem. Jutro pójdą do komisji.

Landers mimo to milczał dłuższą chwilę.

–Dobrze – odezwał się, podnosząc wzrok. – Niech pan im powie, żeby napisali te opinie pod kątem mojego zwolnienia z wojska. Wolę wyjść z tego szamba niż w nim siedzieć. – Westchnął. – A przynajmniej dopóki siedzą w nim tacy jak Mayhew.

–Mam obawy, że nigdy nie uwolnimy się od takich jak on – powiedział z uśmiechem Drere. – Taka już jest ludzka rasa. Łagodnie mówiąc, niedoskonała.

–Nigdy? – spytał Landers i zaniósł się śmiechem.

Drere przyglądał mu się z zaciekawieniem.

–Już zdecydowałeś? – spytał. – Jesteś pewien, że tego chcesz?

–Nie, nie jestem pewien – odparł Landers z rosnącą irytacją. Wzruszył ramionami i zdławił gniew. – Myślę, panie poruczniku, że jeśli przyjdzie mi ochota zmienić decyzję przed komisją lekarską, to łatwiej będzie ją zmienić na pozostanie w wojsku niż odwrotnie, prawda?

–Tak. Na pewno – przyznał Drere. – Tak więc chcesz, żeby nasze opinie były napisane zdecydowanie pod kątem zwolnienia z wojska? To mam im powiedzieć?

–Tak.

Drere zanotował to sobie skrupulatnie na kartce, a pozostałe, czyste kartki schował do teczki. Jego pedanteria zirytowała Landersa, więc wstał.

Drere wstał również i wyciągnął rękę.

–No, to lecę – powiedział z dziwną u niego, bo zakłopotaną miną. – Wiedz, Marion, że w naszej kompanii jesteś prawdziwym bohaterem.

–Też mi bohater – odparł z ironią Landers.

–Przyjemnie jest to wiedzieć – rzekł Drere. – Pragnę, żebyś wiedział, że bardzo miło było mi ciebie poznać.

Patrząc na duże drzwi, które zamknęły się za porucznikiem, Landers żałował poniewczasie, że nie znalazł dla niego innych, miłszych słów, lecz Drere'owi i tak nie zrobiłoby to różnicy.

Zadziwiająca była zmiana, która prawie natychmiast zaszła na oddziale. Wprawdzie nikt nie wiedział, w jaki sposób rozchodzą się tutaj wieści, ale rozchodziły się niezmiennie. Ktoś dostawał cynk, dzielił się tym z drugim, a ten przekazywał wiadomość następnemu. Taki tam-tam istniał w każdej jednostce wojskowej. Landers nie powiedział nic nikomu, ale do wieczora wszyscy już wiedzieli, że wychodzi stąd z czystym, białym zwolnieniem z wojska. Honorowym!

Landers natomiast był rozgoryczony i wściekły, zwłaszcza że sam dobrze nie wiedział, czy rzeczywiście chce wyjść z wojska. Nawet najzłośliwsze, kopnięte w mózg fioły z wojskowego więzienia zaczęły go traktować inaczej, z większym respektem. Dla innych chorych umysłowo stanowił budujący przykład – był wcieleniem prawdziwego amerykańskiego sukcesu, godnym szacunku wzorem do naśladowania.

Również oddziałowi stali się uprzejmiejsi dla Landersa. Nocny dyżurny zaproponował mu, żeby usiadł z nim i przejrzał swoją kartę choroby, bo może jest w niej coś, co da się wykorzystać przed komisją. Landers stanowczo odmówił, gdyż w głębi duszy podejrzewał, że być może jest to fortel podstępnych psychiatrów, chcących go wypróbować.

Cała sprawa trwała krócej, niż to oceniał Drere.

Ponad tydzień, ale nie dziesięć dni, jak zakładał.

W poniedziałek przyszedł do Landersa szeroko uśmiechnięty pielęgniarz. Jutro Landers miał stanąć przed komisją lekarską, zbierającą się na stałe wtorkowe konsylium, rano zaś miały czekać na niego nowa szpitalna piżama, czysty brązowy szlafrok i czyste pantofle.

Wszystko odbywało się jak poprzednim razem, w czasie jego pobytu w szpitalu Kilrainey. Landers miał dziwne, niesamowite uczucie, że już raz to przeżył.

Znalazł się w identycznym, ciemnym, surowo umeblowanym pokoju, w którym przy identycznym długim stole siedziało pięciu takich samych, wyglądających na cywilów mężczyzn z mnóstwem metalu na kołnierzach. Pachniało tu ponuro sądem kryminalnym. I nagle Landers pojął, że rozpaczliwie pragnie wydostać się z wojska.

Miał nieodparte wrażenie, że powtarza występ. Tylko że tym razem stawał przed tym uprzejmym, mieszczańskim wrogiem, mając w małym palcu pesymizm i doświadczenie, którego nie posiadał za pierwszym razem.

Teraz wiedział już, że wszystkie piękne obietnice z ich strony będą się miały nijak do tego, co zastanie, wróciwszy na wojnę, będą się miały nijak do rzeczywistości.

Tamci mogli jeszcze o tym nie wiedzieć, ale on tak. Był w każdej chwili gotów im oznajmić, że chce pozostać w wojsku.

Ale chwila taka nie nadeszła. Niewątpliwie właśnie takie oświadczenie próbowali z niego wyciągnąć. Nie535 mniej wszystko, co do niego mówili, wszystkie ich pytania, zniechęcały go coraz bardziej do podobnej deklaracji.

A ich wypytywanie o jego zdolności i zamierzenia przypominało jota w jota pytania zadawane mu przez piątkę lekarzy w Kilrainey. Takie same jak tam były ich zapewnienia, że chcą wykorzystać jego talenty, jego doświadczenie.

Wreszcie pucołowaty mężczyzna z wiszącym podbródkiem i w okularach,

najwyraźniej szef komisji, choć siedział pomiędzy trzema innymi pułkownikami, spytał zakłopotanym, lekko rozbawionym głosem:

–No więc, plutonowy, czym chcielibyście się zajmować w wojsku?

Wyprężony na baczność Landers głosem, w którym pobrzmiwała tłumiona furia, dał im jedyną odpowiedź, jaką uznał za właściwą.

–Nie widzę dla siebie w wojsku żadnego zajęcia, panie pułkowniku – odparł z udawaną obojętnością.

–Dobrze, to wszystko. Możecie odejść – powiedział pułkownik w okularach.

Więści o zwolnieniu obiegły oddział, zanim Landers zdążył tam powrócić. Wychodził z wojska. Komisja jednogłośnie uchwaliła jego zwolnienie. Dla innych uwięzionych było to wielkie zwycięstwo, pośpieszyli więc do Landersa z gratulacjami i zaczęli go klepać po plecach, tak że w końcu, przygnębiony, obsobaczył ich i odpędził przekleństwami.

Po tym incydencie stał się dla nich jeszcze bardziej podejrzany. Mało, że stąd wychodził, a oni nie, to jeszcze odrzucił ich, złożone w najlepszej wierze, gratulacje. Przyjęli to źle i odsunęli się od niego.

Ale Landers się tym nie przejął. Trybom wojskowej maszyny jego zwolnienie zajęło tylko pięć dni. W pięć dni po komisji znalazł się na ulicy jako wolny człowiek.

Rozruch kół następował co prawda wolno, ale kiedy już

raz ruszyły, toczyły się bardzo szybko. A ostatnie trzy dni z tych pięciu spędził przeważnie poza oddziałem, podpisując dokumenty zwalniające go z wojska to w jednej kancelarii, to w drugiej. Nie przebywał na oddziale dość długo, żeby odczuć bojkot. A zresztą i tak nie dbał o to, co o nim myślą. Różnił się od nich.

W Rachubie pokwitował ostatni żołd. W Kwatermistrzostwie zdał resztę swojego ekwipunku. Odwiedził Ubezpieczenia, żeby zdecydować, czy rezygnuje z ubezpieczenia wojskowego. Postanowił, że rezygnuje. Skoro wychodził z wojska, to chciał mieć z nim do czynienia tylko tyle, ile musiał. Resztę formalności załatwił w kancelariach oddziału szpitalnego.

Dokądkolwiek szedł, wszędzie zgodnie z regulaminem towarzyszył mu uzbrojony strażnik. Landers był przecież nadal aresztantem. Ale o jego sytuacji świadczyło to, że uzbrojony w pistolet żandarm żartował z nim i właściwie go nie pilnował. No bo kto wychodzący za dwa dni z wojska uciekałby strażnikowi?

Z perspektywy czasu owe pięć ostatnich dni w wojsku wydawało się niesamowitą, gorączkową gonitwą. Szóstego dnia rano Landers podpisał ostatni dokument, czyli pokwitowanie swojego wykaligrafowanego, białego, nieskalanego honorowego zwolnienia. Odkąd się to w kancelarii szpitala.

A potem, zupełnie na to nie przygotowany, nagle znalazł się na ulicy przed szpitalem, w mundurze, z wypełnionym do połowy osobistymi rzeczami żołnierskim workiem, jako wolny człowiek, który może iść, dokąd tylko chce.

Przeszedł trzy przecznice dalej do przystanku autobusowego i zaczekał. Po chwili postawił worek na zamrożonej ziemi. Autobus do Luxoru powinien niedługo przyjechać. Nie padało, ale było zimno, a na ziemi leżało trochę śniegu.

Landers skulił się w żołnierskim płaszczu. Przed nim na asfalcie głównej ulicy maszerowała kolumna żołnierzy w drelichach i połowych kurtkach z naszywkami nowej dywizji piechoty na rękawach. Twarze mieli wychudzone, wycieńczone, a spojrzenia puste. Maszerowali długo, a on im się przyglądał.

W wyobraźni zobaczył naraz te wszystkie miejsca, które mógł teraz swobodnie odwiedzić, a do których ci chłopcy nie mogli pójść. Pomyślał, że prawdopodobnie skończy się na tym, że wróci do domu, do Indiany. Do swojej parszywej rodzinki. Już sama myśl o tym sprawiła mu wielką przykrość. Ale nie musiał przecież jechać od razu.

W zwykłej sytuacji najpierw udałby się do hotelu Peabody, zobaczyć się z Johnnym Strangerem, ale Strange w czasie odwiedzin u niego powiedział, że za parę dni wraca do służby. Gdzieś w O'Bruyerre. Dla Landersa oznaczało to konieczność wizyty u Wincha i pożegnania się z nim, a wszystko po to, by dowiedzieć się, gdzie jest Strange, na taką zaś wizytę nie miał akurat chęci. Oczywiście, zawsze mógł pojechać do hotelu sam, mimo że Strange zrezygnował z apartamentu, bo, jak stwierdził, splukał się z pieniędzy.

Ostatni oddział żołnierzy skręcił z głównej drogi w prawo i odmaszerował jedną z bocznych, pełnych dziur, żwirowych ulic. Główną drogą za nim nadjeżdżał prędko cywilny samochód, ale z wojskową rejestracją. Za kierownicą siedziała kobieta. Kobiety były takie ważne w życiu.

Landers przyglądał się ostatnim oddziałom maszerującym w oddali, coraz mniejszym i mniejszym, nad którymi tak jak przedtem wzbijały się obłoki pary, lecz wydawały się w tej chwili większe, niż były w rzeczywistości. Landers szczerze cieszył się, że nie jest jednym z tych żołnierzy, ale z drugiej strony nie bardzo miał ochotę jechać do hotelu sam, nawet gdyby udało mu się zdobyć pokój o tak późnej porze.

Przyglądał się nadjeżdżającej kobiecie. Nawet z pewnej odległości widział, że jest bardzo ładna. Prawdopodobnie była żoną oficera, ale jechała stanowczo za szybko. Landers pochylił się nad żołnierskim workiem, starannie ściągnął sznurek, zawiązał go, a potem wyprostował się, huśtając się na obcasach i przyglądając się jadącej.

Kiedy się do niego zbliżyła i za chwilę miała go minąć, zeskoczył z krawężnika i stanął jej na drodze.

Uświadomił sobie po fakcie, że pewnie by tego nie zrobił, gdyby była mężczyzną prowadzącym jeepa albo wojskową ciężarówkę. Ale kobieta była taka piękna.

Z powodu gorąca w samochodzie rozpięła płaszcz, a jej nabrzmiałe piersi pod swetrem zachwycająco wypychały swoim ciężarem klapy. Była taka urocza, a włosy spadały jej na kołnierz płaszcza z równie zachwycającym kobiecym wdziękiem.

Zobaczył, a może tylko tak mu się wydało, na jej twarzy za przednią szybą przestraszonych. Ponieważ myślała, że robi coś złego, Landers miał ochotę się roześmiać. Jej usta przypominały gwałtownie powiększone "O" ze szminki. Łuki brwi podskoczyły w górę. Wytrzeszczyła oczy. Robił jej to z wielką przykrością. Ale, mój Boże, przynajmniej wiedziała, że w coś uderzyła. No a potem helikopter odfrunął ze statku.

Na jego białym boku były nadal widoczne duże czerwone krzyże. Morze nadal cofało się na linii jego zanurzenia. I nadal wszystko spowijała cisza.

Gdzieś daleko był wielki niebieszcący się kontynent.

Nie zamieszkały. Zielony od cichych, bezludnych borów i miękkich traw. Przybrzeżne fale rozbijały się na białych, bezludnych piaskach ojczyzny. Cichej i milczącej.

KSIĘGA PIĄTA

KONIEC

Rozdział dwudziesty dziewiąty Bobby Prell dowiedział się o tym w hotelu Muehlebach w Kansas od Strange'a, który zadzwonił przez międzymiastową.

Prell odbywał właśnie swoją pierwszą objazdową turę sprzedaży obligacji wojennych, a ponieważ nie siedział w hotelu i był w ciągłym ruchu, Strange'owi skontaktowanie się z nim zajęło kilka godzin. Ekipa przebywała w Kansas City dopiero pierwszy dzień, a pierwszy dzień w każdym mieście zawsze upływał na

bieganie i na organizowaniu wszystkiego. Ludzie z ekipy nazywali to "robotą", chociaż Prell z trudem mógł uznać swoje zajęcie za pracę. Ponadto dużo poruszał się na własną rękę, uganiając się w towarzystwie tego czy tamtego za kobietami. Chłopcy z ekipy robili to w każdym odwiedzanym mieście. Kiedy po całym dniu, po ośmiogodzinnej nieobecności, Prell powrócił do hotelu, zastał sześć małych białych karteluszków z informacjami o telefonach od kogoś z Obozu O'Bruyerre'a. Dzwonił jakiś plutonowy Strange.

Takie to było odległe, że Prell miał trudności ze skojarzeniem sobie, kto do niego dzwonił. Gdyby informacja wymieniała szpital Kilrainey i Delię Mae albo Luxor, dokąd w zeszłym miesiącu przeprowadziła się

jego teściowa, to ów telefon mógł oznaczać, że są jakieś komplikacje z ciążą Delii. Ale w przypadku Strange'a z O'Bruyerre było inaczej, bo Johnny przebywał tam zaledwie od miesiąca. Prell nie miał zielonego pojęcia, dlaczego tamten do niego dzwoni.

Dziś wieczorem miał w planach pójście z dwoma członkami "zespołu" i "producentem" tej "imprezy" Jerrym Kurntzem na parę kielichów i kolację. Umówili się z kilkoma kobietami, czyli "dupami", które przyczepiły się do nich dzisiaj niczym ogon do komety.

W ekipie byli sami hollywoodzcy "goście" i to od nich Prell uczył się "szołbiznesowego" słownictwa.

Teraz, stojąc w starym hallu hotelowym z sześcioma kartkami otrzymanymi w recepcji, Prell wymówił się od pójścia z nowymi znajomymi. Powiedział, że odpocznie w swoim pokoju, coś zje, dowie się, w jakiej sprawie dzwoniło, a później być może się z nimi spotka. Nie miał pojęcia, jaka to ważna sprawa skłoniła Strange'a, żeby do niego telefonował ani jak prędko Johnny odezwie się jeszcze raz.

–Dobra, ale posłuchaj, chłopcze – rzekł Jerry Kurntz. – Przepuszczasz świetną okazję. Jeszcze nigdy nie widziałem aż tak chętnych dup, a przecież to ty jesteś gwiazdą naszej imprezy. Bez ciebie żaden z nas nie ma do nich startu.

Kurntz, absolwent wyższej uczelni, nie tylko nie wstydził się używania wyrażen w rodzaju "nie mieć startu", ale wręcz był dumny, że używa różnych niegramatyczności. To również było dla Prella zupełną nowością.

–Mam bardzo zmęczone nogi – odparł i spojrzał na nich zimno.

Dobrze wiedzieli, jak bardzo nie lubi wspominać o swoich nogach.

–No dobrze, dobrze – odparł prędko Kurntz.

–W takim razie odpocznij sobie. Nogi są ważniejsze.

Wszyscy rozeszli się do swoich pokoi.

Prell odkrył, że tamci boją się go i to z dwu powodów.

Po pierwsze dlatego, że zabijał ludzi i sam omal nie zginął, co czyniło go innym niż oni, a po drugie, bo pochodził z węglowego zagłębia w Zachodniej Wirginii i umiał patrzeć zimnym wzrokiem.

Po zamówieniu do pokoju bourbona, Prell z przyjemnością usiadł w wózku czekającym na niego w recepcji, a hotelowy boy zawiózł go do windy. Na górę wjechał sam.

We wszystkich hotelach i miastach jego składany wózek był zawsze pod ręką w portierni. Taką strategię ku swemu zadowoleniu ustalił z Kurntzem na samym początku objazdu. Wyruszając rano do miasta i na spotkania nigdy nie zabierali do samochodu wózka, chyba że wieczorem, przed powrotem do hotelu, Prell wygłaszał przemówienie. Brali natomiast dla niego małe kule, z których w razie potrzeby korzystał w ciągu dnia.

Straszliwie nienawidził swojego wózka. Nie pozwalał, by w dzień zabierano go do samochodu, i wzbraniał się nim jeździć. Zdarzało mu się jednak, jak właśnie dziś, że nogi po prostu odmawiały mu posłuszeństwa i musiał z niego skorzystać.

W pokoju, dużym i wygodnym, zdobył się na jeszcze jeden wysiłek i wstał z wózka, żeby nalać sobie z butelki stojącej na małym stoliku barowym. Kiedy boy przyniósł mu nową flaszkę whisky, Prell zamknął drzwi na dwa spusty i założył łańcuch. Minę miał zawsze tak spokojną, iż nikt nie zdawał sobie sprawy, ile kosztuje go każdorazowe wstanie. Po zabezpieczeniu drzwi zdjął spodnie, rozciągnął się na łóżku, żeby ulżyć nogom, i zaczął czekać na telefon.

Powiedzieć, że miał zmęczone nogi, to mało. Pomagało tylko używanie ich, ale i tak potem zawsze bolały.

Podobne było to do bólu zęba, z którym nauczyłeś się

żyć i do którego przywykłeś, tak że kiedy wreszcie po wizycie u dentysty ból się kończył, miałeś wrażenie, że czegoś ci brakuje.

Przekręcanie się na bok, za każdym razem, kiedy sięgał po szklankę, okazało się tak niewygodne, że po paru próbach przeniósł się z powrotem na swój przeklęty wózek i siedział w nim, dopóki nie wypił whisky. Potem znów się położył.

Zdażył zasnąć, kiedy głośno zadzwonił telefon. Prell przekręcił się konwulsyjnie na brzuch, czym wywołał potężny skurcz w udach, i schował głowę w ręce myśląc "Moździerze!" Rozsądek podpowiedział mu, że to głupie.

Ile minęło miesięcy? Osiem? Dziewięć? Wstanie z łóżka zabrało mu trochę czasu i nim podniósł słuchawkę, telefon zadzwonił cztery czy pięć razy.

–Słucham – powiedział ostrożnie. – Słucham.

To znowu był Strange. Nie owijając w bawełnę, od razu przeszedł do rzeczy. Spytał, czy Prell wie, że Landers zginął.

–Co? Zginął? Zginął? W jaki sposób?

Strange mówił dalej. Zabiła go kobieta. W cywilnym samochodzie, ale z wojskową rejestracją. Żona jakiegoś oficera. Wpadła na niego. Zginął na miejscu. Zaledwie godzinę wcześniej zwolniono go z wojska. Właśnie wyjeżdżał z koszar. Kobieta była załamana wypadkiem.

–Ale głupia śmierć – powiedział Prell, zastanawiając się, jaki sens dzwonić z tak daleka, żeby mu o tym powiedzieć. W pierwszej chwili pomyślał, że pewnie stało się to w trakcie jakiejś bójki po pijanemu, w sali bilardowej albo w barze. – Strasznie głupia – powtórzył.

–Tak – usłyszał w słuchawce głos Strange'a. – Ale nie wszystko wydaje się takie oczywiste. Ta kobieta twierdzi, że Landers wszedł jej pod samochód. Nie mogła go ominąć. I że patrzył jej prosto w oczy.

Strange zamilkł.

–I co z tego wynika? – spytał Prell, zastanawiając się jeszcze raz, po co tamten dzwoni, ale ponieważ już trochę się rozbudził, zauważył w głosie Strange'a osobliwe naleganie.

–No bo wiesz, ona nie ma powodu zmyślać. Nikt jej o nic nie obwinia. Już stwierdzili, że to był wypadek, bez jej winy. Po co by coś takiego zmyślała?

–Zaraz, zaraz, masz na myśli samobójstwo? – spytał Prell, nagle w pełni rozbudzony, ale jednocześnie zadał sobie pytanie: "I co z tego?" Jeśli Landers chciał ze sobą skończyć, to miał do tego takie samo prawo jak wszyscy.

–Samobójstwo, Johnny?

–No, nikt tego nie mówi. Oficjalnie na pewno będą to uważali za wypadek. Może ta kobieta po prostu czuje się winna, nawet jeśli nie odpowiada za jego śmierć.

Wszystkim nam to się zdarza.. No bo czemu miałyby zmyślać coś takiego?

Do Prella zaczęło docierać, że Strange nie dzwoni, żeby przekazać mu wieści, ale ze względu na siebie. Prell nigdy nie kolegował się z Landersem, który nie był nawet zawodowym żołnierzem, i właściwie mało się znali. Strange natomiast był kumplem tamtego, jeśli więc znajdował się w potrzebie, to Prell musiał go wysłuchać.

–Prawda? – usłyszał w słuchawce natarczywy głos Strange'a.

–Nie wiem – odparł. – Może. Ale i tak nie rozwiążesz już tej tajemnicy, Johnny. Może nigdy, psiakrew, nie poznamy prawdy. A co na to Winch? – spytał ostrożnie. – Jak to przyjął?

–Kto to wie. Za nim nie trafisz – odparł Strange.

–Pewnie jest bardzo rozstrojony. Bo ja, cholera, jestem.

Ale z kolei nie chciałbym zdenerwować ciebie...

–Prawdę mówiąc, nie znałem go za dobrze – odparł chłodno Prell.

–Wiem, ale nasza czwórka płynęła tym samym statkiem.

–Tak. Pamiętam, że kilka razy odwiedził mnie w głównej kabinie.

Prell gorączkowo szukał w myślach słów, jakimi mógłby pocieszyć Strange'a.

–Tak. Wiesz...

Prell usłyszał, jak Strange przelyka ślinę.

–Wiesz, wszyscy się staraliśmy, żeby zwolniono go z wojska. A przynajmniej starał się o to Winch. Miał wrażenie, że Landers tego chce. Landers powiedział tak jednemu porucznikowi ze swojej kompanii.

Głos Strange'a nabrał wysokich tonów i groził załamaniem się.

–Owszem, wspominałeś mi o tym – rzekł Prell.

–Myślałem, że wszystko jest załatwione.

–No, a jak czułbyś się ty? Gdybyś nagle wyszedł ze szpitala ze zwolnieniem z wojska?

–Okropnie – przyznał Prell. – Ale ja to nie on. On nie był gościem... materiałem na wojskowego – poprawił się. – W przeciwieństwie do mnie. No i chciał wyjść z wojska, tak czy nie?

–Tak. To prawda – odparł bez przekonania Strange.

–Nie był zawodowym żołnierzem.

–Posłuchaj, Johnny. Za dwa tygodnie wracam do Kilrainey. Zaczekaj z tym do tego czasu. Pogadaj z Winchem.

–Winch nie będzie rozmawiał na ten temat.

Pewnie, że nie. Chuj złamany! – pomyślał z wściekłością Prell.

–Zastanowimy się nad tym, kiedy wrócę. Wszystko dokładnie przedyskutujemy.

–Oczywiście – odparł Strange. – Oczywiście. Nie pali się. Po prostu pomyślałem, że zechcesz o tym wiedzieć.

–Naturalnie. Cieszę się, że zadzwoniłeś – skłamał Prell. – Jeżeli będziesz miał ochotę, to zadzwoń tu do mnie jutro. Pojutrze będziemy już w Lincoln, w Nebrasce.

–Jasne. Nie martw się. To znaczy, o mnie. Nic mi nie jest. Odwiedzę cię, jak tylko wrócisz.

–A jak tam twoja nowa jednostka? – spytał Prell.

–W porządku. Nic nadzwyczajnego. Oddziały łączności, można wytrzymać. Staram się, żeby żołnierze jedli dla odmiany porządne gorące posiłki.

–Założę się, że bardzo im smakują – powiedział Prell i złapał się na tym, że zapamiętał uśmiecha się do słuchawki. Co za idiotyzm! Tak jakby Strange mógł go widzieć.

–Smakują. Smakują. No dobra, to na razie – rzekł Strange i chwilę podumawszy spytał: – A tobie jak tam leci?

–Doskonale. Chyba jestem urodzonym mówcą – odparł Prell – To dobrze.

W słuchawce trzasnęło i zaległa cisza. Prell zdał sobie sprawę, że rozmawiając przez telefon, cały czas stał i że znów zaczynają go boleć nogi. Wrócił do łóżka.

Ale kiedy się na nim położył, dopadły go wyrzuty sumienia.

Wyrzucał sobie, że nie pomógł Strange'owi tak, jakby należało. Wyrzucał sobie, że za mało przejął się losem Landersa. Wyrzucał też sobie, że nie zaprzyjaźnił się z nim bliżej. Czemu tego nie zrobił?

Wreszcie dopadł go wyrzut sumienia największy ze wszystkich: Co ktoś taki jak on robił tutaj? Przemówieniami zarabiał na życie. Stał się estradowcem. Wraz ze swoim Medalem Honorowym należał do trupy estradowej. Z tą myślą musiał walczyć codziennie i wciąż ją przewycięzać, ale z każdym dniem wracała do niego

coraz silniejsza i potężniejsza, zmuszając go od nowa do zmagania się z nią.

Zwykle wyrzut ów dopadał go o tej samej porze każdego popołudnia, po dniu spędzonym na zbijaniu bąków. Wracał wtedy do jakiegoś hotelu, mając przed sobą taką czy inną wspaniałą perspektywę w rodzaju wieczornego przemówienia albo jeszcze jednej hulanki w towarzystwie wesołych, przebranych w wojskowe mundury figlarzy z Hollywood. Kładł się na łóżku, dając nogom dwie godziny wytchnienia i walcząc z poczuciem winy.

Estradowiec, zachęcający ludzi, żeby kupowali obligacje wojenne. Grający na ich uczuciach. "Wykonawca" wśród "speców od oświetlenia", "speców od dźwięku",

"scenarzyistów", "reżysera" i "producenta". Wszyscy oni instruowali go, co ma mówić, jak ma mówić i jak to "zagrać". Co on, u licha, tu robił?!

Prell nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Dobrze znana, najprostsza odpowiedź brzmiała, że jest tutaj, ponieważ chce pozostać w wojsku. Gdyby nie znalazł się tutaj, już byłby zwykłym szarym cywilem.

Prell wszystko to sobie przemyślał dawno temu.

Zrobił to jeszcze raz po zapadnięciu ostatecznej decyzji w jego sprawie na początku grudnia, kiedy to generał Stevens, podówczas jeszcze pułkownik, wezwał go do siebie i przedstawił mu do wyboru dwie możliwości: zwolnienie z wojska albo sprzedaż obligacji wojennych.

Stevens był na tyle uprzejmy, że wyraził gotowość porozmawiania z nim o tym. Decyzję podjęli wspólnie.

–Wiem, jak bardzo nie podoba ci się ten pomysł – rzekł pułkownik. – Ale jeżeli pragniesz zostać w wojsku, to nie widzę innego wyjścia. Zważywszy twój stan zdrowia, nie ma innego sposobu na zatrzymanie cię w wojsku.

Szczupły, siwowłosy absolwent akademii w West

Point uśmiechnął się i odepchnąwszy się od biurka wraz z fotelem, przyglądał się siedzącemu na wózku Prellowi.

–Muszę przyznać, że poniekąd jestem zaangażowany w tę sprawę osobiście, Bobby – ciągnął. – Od chwili gdy cię tu przywieźli i groziła ci utrata nogi. Omawialiśmy wówczas, jeżeli pamiętasz, różne możliwości.

–Tak, panie pułkowniku, pamiętam – odparł sucho Prell.

–Nie miałeś jeszcze Medalu Honorowego i nie byliśmy pewni, czy zachowasz nogę. – Stevens uśmiechnął się znowu. – Nawet wtedy powtarzałeś cały czas, że chcesz być tylko żołnierzem zawodowym.

Prell skinął głową, nie mając jednak ochoty odwzajemnić uśmiechu.

–Zbadałem twój przypadek jak najstaranniej. Ja i szef Alexander. Mogę ci więc powiedzieć, co cię czeka, choć nie jestem pewien, czy ci się to spodoba.

Stevens oznajmił, że Prell nie należy w tej chwili do żadnej jednostki i znajduje się w szpitalnej ewidencji rannych. Po otrzymaniu przydziału do Szefostwa Administracji Wojskowej w Waszyngtonie, będzie czasowo podlegał dowództwu Drugiej Armii w Luxorze, a na początku jego bezpośrednim zwierzchnikiem będzie on sam, Stevens. Jeśli dwa pierwsze objazdy zakończą się spodziewanym sukcesem i Prell podola im fizycznie, to prawdopodobnie zostanie przeniesiony na Zachodnie Wybrzeże do Los Angeles. A potem może nawet do Waszyngtonu. Zajmą się nim zawodowcy z teatru, których zatrudnia wojsko. Stanie się członkiem zespołu podróżującego po całym kraju i sprzedającego obligacje wojenne.

–Dzięki temu powinieneś utrzymać się w wojsku co najmniej do czasów powojennych – zapewnił Stevens.

–A jak skończy się wojna? – spytał Prell.

Stevens podniósł rękę.

–A jak skończy się wojna – rzekł i chrząknął – to już całkiem inna sprawa.

Zanosilo się na to, że po wojnie wielu żołnierzy będzie szukało pracy w wojsku. I że nie dla wszystkich jej starczy. Ale nie zabraknie dochodowych zajęć dla potrafiących je zdobyć ludzi z odpowiednimi kwalifikacjami.

Będą mogli na przykład przyjąć zlecenia z Oddziałów Szkolenia Oficerów Rezerwy na wykłady we wszystkich uczelniach i uniwersytetach kraju. Zwykle powierza się te zadania zasłużonym zawodowym starszym sierżantom, lecz niekiedy także podoficerom niższych stopni.

–Nie widzę powodu, żebyś się na jakieś nie załapał – rzekł z uśmiechem Stevens.

Słuchający go Prell nagle poczuł, że zbiera mu się na płacz. Ogarnęła go niepowstrzymana, niewyraźna miłość do tego eleganckiego starego żołnierza, miłość przewyższająca wszelkie znane mu dotychczas uczucia.

Stevens był doskonałym przykładem staroświeckiego, tradycyjnego wojskowego z dawnej dobrej, dżentelmeńskiej szkoły. Właśnie takich dżentelmenów Prell chciał mieć za dowódców, zaciągając się do wojska, ale nie napotkał ich zbyt wielu. W tamtej chwili spełniłby niemal każdą prośbę starego pułkownika.

–Nie twierdzą, że ci się to spodoba. Ale nic lepszego nie można dla ciebie zrobić – ciągnął Stevens.

–Ja i szef Alexander wywiedzieliśmy się i rozpytaliśmy o wszystkie możliwości umieszczenia cię w którejś z tych placówek. Stąd też sądzę, że jest to możliwe po wojnie. – Pułkownik uśmiechnął się. – Zwłaszcza z twoim Medalem Honorowym.

–Mam tylko jedną wątpliwość, panie pułkowniku – rzekł ochryple Prell. – Nie wiem, czy nie pomniejsza to wartości tego medalu.

Stevens wpatrzył się w niego przenikliwie.

–Nic nie jest w stanie pomniejszyć wartości Medalu Honorowego. Ani tego, co zrobiłeś, żeby sobie na niego zasłużyć. Pamiętaj o tym.

–Tak jest, panie pułkowniku – odparł Prell i postanowił posunąć się krok dalej. – Ale zawsze wydawało mi się, że ja nie zasługuję na ten medal.

–Gdybyś na niego nie zasłużył, to byś go nie dostał. System wniosków w sprawie odznaczeń jest dlatego taki a nie inny, żeby o zdobycie medali było trudno. A ponieważ ty zdobyłeś Medal, więc zasługujesz ze strony wojska na wszelką pomoc.

Stevens uśmiechnął się powoli, nie przestając obserwować Prella.

I na tym – wówczas, w grudniu – stanęło. Stevens nadmienił, że aby załatwić Prellowi jedno z bardzo lukratywnych zleceń z OSzOR-u, trzeba wpieryw spełnić kilka warunków. Pierwszym z nich był problem stopnia.

Gdyby Prell chciał skończyć tę wojnę w stopniu starszego sierżanta, tak żeby mógł kwalifikować się naprawdę do zatrudnienia przez OSzOR, musiałby awansować przed jej zakończeniem co najmniej do stopnia porucznika, ponieważ wszyscy żołnierze awansowani w trakcie wojny byli degradowani po jej zakończeniu o dwa stopnie.

Stevens już zaczął robić w tej sprawie, co się dało.

–W tej chwili jesteś plutonowym – rzekł.

Po pierwszym udanym objeździe Prell miał szansę awansować na sierżanta, a potem na starszego sierżanta, a po trafieniu do Szefostwa Administracji Wojskowej w Waszyngtonie i na Zachodnie Wybrzeże dostałby stopień podporucznika i wreszcie awans na porucznika.

–W kwestii stopni wojskowych kryje się mały haczyk – dodał z uśmiechem pułkownik. – Tak jest.

–Skinął głową. – Jeśli chcę przejść na emeryturę w stopniu pułkownika, to w czasie wojny powinienem awansować na generała dywizji. – Przynął się z fotelem

do biurka. – Sam rozumiesz, że nie mogę ci dać pełnych gwarancji. Na to jest o wiele za wcześnie. I składanie ci jakichś obietnic byłoby z mojej strony nieuczciwe. Ale na pewno warto się starać i uważam, że powinieneś o to zabiegać.

Prell tylko skinął głową, zbyt oszołomiony, żeby odpowiedzieć. Oszalałymi go nie tylko szczerłość i poczucie honoru starego dżentelmena, ale i perspektywa tak szybkiego awansu.

I to właśnie te dwie cechy charakteru Stevensa skierowały Prella do tego starego wojskowego po radę, kiedy w mniej więcej miesiąc później pojawił się problem z Delią Mae.

Właściwie nie miał do kogo innego pójść z tą sprawą, a nie chciał z nią iść do Strange'a. A zresztą cóż mógłby mu poradzić Johnny Strange? W ciągu miesiąca od pierwszej rozmowy z pułkownikiem Prell kilkakrotnie odwiedzał Stevensa, który powtarzał, że jego drzwi zawsze stoją otworem przed zdobywcą Medalu Honorowego. Prell zaczął go traktować niemal jak ojca, w każdym razie ten sierota z Zachodniej Wirginii do nikogo nie żywił uczuć tak bliskich synowskim jak do niego.

Nie darzył nimi ani Wincha, ani Strange'a.

I jeśli nawet sprawa z Delią Mae wyglądała nie zupełnie tak, jak zrelacjonował to Strange'owi podczas wesela, to niewiele minął się z prawdą. Być może nie zrobił jej dziecka za pierwszym razem, kiedy stan nóg pozwolił mu wleźć na przyszłą żonę i porządnie ją wydymać, ale bardzo niewiele wówczas do tego brakowało. Stało się to jednak na pewno podczas tamtych pięciu dni. Nogi miał jeszcze zbyt słabe i za bardzo go bolały, żeby sam mógł wsadzić i wyciągnąć knota.

Robili to więc z Delią Mae jak para norek. A po kilku tygodniach przyszła do niego zmartwiona i z przestraciem na twarzy oznajmiła, że nie ma okresu, ale

i tak pod tą miną widać było, że promienieje z powodu triumfu, zwycięstwa, sukcesu. Owa promiennność wyzierała bez najmniejszej żenady i wstydu spod innych jej min, zaświadczając, iż Delia Mae dobrze wie, że schwytała go w pułapkę.

–Naturalnie, że musisz ją poślubić! – zawołał Stevens bez żadnych wstępów i zastrzeżeń, gdy o tym usłyszał. – Tylko to nakazuje ci honor.

Prell gotów był przyjąć jego werdykt, ale potrzebował trochę czasu, żeby go

przetrawić.

–Są jednak jeszcze inne rozwiązania, panie pułkowniku – powiedział. – To znaczy, jeśli potraktujemy to jako zagadnienie. Jako matematyczne zadanie. Jest kilka innych rozwiązań.

–Jakich?

–No, mógłbym się z nią nie ożenić. Takich wypadków zdarzyło się tutaj znacznie więcej, niż można się spodziewać, panie pułkowniku. Mogłaby pojechać do domu i urodzić dziecko. Opiekowałaby się nim, a jej matka by pracowała. Albo pracowałaby ona, a matka opiekowała się dzieckiem. Zdarza się to często.

Zwłaszcza w takich przypadkach jak mój, kiedy mam niedługo stąd wyjechać.

–Wielki Boże, synu! I ty to proponujesz? A co z jej ojcem? Co on na to? Gdzież on jest?

–Za oceanem, panie pułkowniku, w wojsku. O ile mi wiadomo, to chyba na Nowej Gwinei.

–McArthur – mruknął do siebie Stevens.

–W jakiejś jednostce łączności – dodał Prell.

–No cóż, przynajmniej nie w piechocie. A jakie to jeszcze wspaniałe pomysły masz w zanadrzu?

–Mógłbym z nią pójść do takiego od skrobanek.

Na South Main jest jeden konował, który je robi. Za Beale Street, blisko murzyńskiej dzielnicy. Mnóstwo moich znajomych zna jego adres. Delia Mae też go ma.

–Nie, nie! Boże święty, chłopcze! – Stary absolwent akademii wojskowej był święcie oburzony. – Zabijasz ludzką istotę!

–To jeszcze nie jest istota ludzka. Minęło dopiero półtora miesiąca – odparł Prell.

–Ludzkie życie jest bezcenne – oświadczył stary żołnierz. – Hmm, a jak ona zdobyła ten adres?

–Dostała go podobno od znajomej. Na wypadek, że kiedyś może jej się przydać.

–Rozumiem. No tak, a czy masz pewność, że to ty jesteś ojcem?

–Najłatwiej byłoby odpowiedzieć, że nie ma pewności. Ale między nami mówiąc, panie pułkowniku, jestem tego pewien.

–W takim razie musisz zachować się wobec niej jak należy – oświadczył kategorycznie Stevens. – Jesteśmy mężczyznomi. My, mężczyźni, lubimy się zabawić, ale nie lubimy za to płacić. Naszym obowiązkiem jest opiekować się kobietami i dbać o nie. Ochroniać je.

Tego od nas potrzebują. Na tym opiera się nasza cywilizacja... A co z jej matką? Wie o tym?

–Tak, wie. – odparł Prell. – Delia powiedziała o tym matce wcześniej niż mnie.

Stevens przypatrywał się mu.

–Powiedziała? No tak. No tak, i co na to matka?

–Och, bardzo pochwała to małżeństwo. Myśli, że zostanę gwiazdą filmową czy kimś takim.

–Co takiego?! – spytał Stevens.

Prell wzruszył lekko ramionami.

–Powiedziała, że podczas tej objazdowej sprzedaży obligacji wojennych powinienem nawiązać wszelkie możliwe kontakty z tymi ludźmi z Hollywood, bo mogą mi załatwić dobry start. Wyobraża sobie serię filmów, gdzie ja, w wózku inwalidzkim, jestem właścicielem rancza gdzieś na Zachodzie. Zdaje się, że widzi we mnie

przyszłego drugiego Hopelong Cassidy'ego albo Johna Wayne'a.

–Niech mnie diabli! – wykrzyknął Stevens.

–No cóż, jest lekko sfiksowana, panie pułkowniku.

A prawda wygląda tak, że ma tu, w Luxorze, przyjaciela, starszego jegomościa, który służy w Drugiej Armii, i chce z nim zamieszkać w mieście. Kombinuje, że jeżeli wyda za mnie Delię Mae, to będzie mogła to zrobić.

–Czy jej mąż na Nowej Gwinei wie o tym?

–Wątpię, panie pułkowniku.

–Czy córka mu o tym nie napisała?

–Nie, panie pułkowniku. Wątpię.

Stevens patrzył na niego z pewnym niedowierzaniem.

–Ona się do nich nie wtrąca.

–Aha – powiedział Stevens. – A często widzisz tę, hmm, matkę?

–Tylko kiedy muszę.

Stevens przyglądał się Prellowi długą chwilę i wreszcie westchnął.

–Fatalnie wdepnąłeś, co, synu? – spytał.

–Niestety, panie pułkowniku.

Stevens przeniósł spojrzenie na biurko, marszcząc wściekle brwi, tak jakby to ono było wszystkiemu winne.

–No cóż – rzekł podnosząc wzrok – jeżeli pytasz mnie o radę, to uważam, że powinieneś poślubić tę dziewczynę. Mimo wszystko. Uważam, że jesteś to jej winien. A poza tym, przecież nigdy nie wiadomo, może ona kocha cię z całego serca.

–Kocha to, że zdobyłem Medal Honorowy – odparł Prell.

–Uważam, że musisz ją poślubić. Przecież chcesz dać swojemu dziecku nazwisko.

Stevens zaczął gryzmolić w bloku leżącym na biurku.

Właśnie coś takiego Prell spodziewał się usłyszeć. Tak jakby słowa te dźwięczały w powietrzu, zanim tu jeszcze

wszedł. Być może nawet idąc tutaj liczył na to, że je usłyszy.

–Jestem gotów to zrobić, panie pułkowniku – powiedział. – Jeżeli uważa pan, że powinienem.

Stevens trzykrotnie obwiódł swoje bazgroły kółkiem i wypuścił ołówek.

–Tak uważam. A ty podsunąłeś mi wspaniałą myśl. Myślę, że na samym rozgłosie wokół tej sprawy możemy przynajmniej zbić dla ciebie pokazny kapitał – rzekł i przedstawił mu pomysły dotyczące ślubu w szpitalu.

Nawet teraz, w Kansas City, Prell w dalszym ciągu nie bardzo wiedział, jak dalece pomysł ze ślubem wpłynął na jego decyzję o ożenku z Delią Mae. Z pewnością jakiś wpływ miał. Chociaż, jak wyraził się Stevens:

"Jeżeli to nie wypali, zawsze możesz się z nią rozejść, ale przynajmniej dasz nazwisko swojemu synowi". Powiedział "synowi", chociaż na jakiej podstawie sądził, że to będzie syn, Prell nie miał pojęcia. Delia Mae była w tej chwili w siódmym miesiącu ciąży i nikt, również jej ginekolog, nie wiedział, czy urodzi chłopca czy dziewczynkę.

W dużym pokoju hotelowym Prell znów mozolnie wstał i kuśtykając doszedł do stolika, żeby nalać sobie kolejną szklankę bourbona.

Zerknąwszy na zegarek, który wskazywał wpół do jedenastej, zdał sobie sprawę, że obsługa hotelowa niedługo przestanie dostarczać kolacje do pokoi i że jeżeli szybko nie złoży zamówienia, to do jedzenia nie pozostanie nic oprócz kanapek z tym cholernym białym indyjskim mięsem.

Nie był jednak głodny. Nalał sobie czystego bourbona i usiadł na skraju łóżka, wysączając szklaneczkę.

Później wyciągnął się na posłaniu i próbował znów zapaść w sen, z którego wyrwał go telefon od Strange'a.

Odstawienie od łoża zaczęło się prawie zaraz po weselu. Delia Mae była albo zbyt zmęczona, albo bolały ją plecy, albo miała mdłości. Jego argumenty, że jest zaledwie dwa dni dłużej w ciąży niż przed ślubem, nie skutkowały. Stevens załatwił im czterodniowy darmowy pobyt u Claridge'a, jako swoisty miesiąc miodowy, za który zapłacono z funduszy hotelowych na reklamę.

W ciągu tych czterech dni Prell był niedopieczony seksualnie jak jeszcze nigdy od czasu poznania Delii Mae na oddziale, gdzie czuł się przecież sto razy gorzej.

Wyglądało to tak, jakby wszystkie gorące seksualne żądze, których Delia Mae w duchu nienawidziła, choć nigdy się do tego nie przyznała, wyciekły z niej nagle niczym rtęć z rozbitego termometru, a jako upiorne wspomnienie, że były nim kiedyś mierzone, pozostały jedynie szklana obudowa i podziałka.

Zdawało się, że po zabezpieczeniu nowo zdobytych terenów i granic i zagwarantowaniu ich sobie aktem ślubu, Delia Mae zdecydowała postawić się mu i walczyć o swoje zasady, jakkolwiek, kurwa mać, one brzmiały.

Jedna z nich była oczywista: prawdziwe damy z lepszych sfer nie powinny przejawiać zamiłowań seksualnych.

Prell głębiej wcisnął głowę w poduszkę.

Sen przyszedł wolno, małymi skokami. Nadciągnął jak niewielkie śnieżyce, omiatające ziemię swoją ciszą, przygnane lekkimi wiatrami coraz mocniejszej i gęstszej zamieci. A kiedy Prell zasnął na dobre, natychmiast pojawiły się jego zmy. A przynajmniej tak mu się zdawało. Miał wrażenie, że naprawdę śpi jedynie jego połowa, ponieważ druga, rozbudzona, oglądała koszmary.

Cała drużyna znowu była na patrolu. Wszystko przeżywali od nowa i jeszcze raz. Prella dosyć poruszył ich widok, ponieważ dzięki rozbudzonej połowie świadomości zdawał sobie sprawę, że od długiego czasu nie

miał z nimi styczności. Wśród jego żołnierzy pojawił się tym razem Landers.

Prell nie do końca go rozpoznawał. Landers był jednocześnie i wśród rannych, i wśród martwych. Oglądając się za siebie z prowizorycznych noszy, Bobby widział zabitych Croziera i Simsa, tylko że jednym z nich, a przynajmniej pośród nich, był Landers. Ilekroć Prell patrzył na swoich rannych żołnierzy i liczył ich dla sprawdzenia, nie brakowało żadnego i ich liczba dokładnie się zgadzała, ale jedna z udręczonych twarzy należała do Landersa. Kiedy przyglądał się każdej z osobna, wszystkie miały właścicieli, ale wiedział, że gdzieś w pobliżu jest jeszcze jedna.

Obudził się zlany zimnym potem. Takich snów nie miał już od dawna, a poza tym nigdy nie śnił mu się Landers.

Zegarek wskazywał, że jest po północy. Prell wiedział, że już nie zaśnie. Nie chciał zasnąć. Ociężałe podźwignął się na nogi, chwiejnie podszedł do telefonu i kierując się mającym mocne podstawy domysłem, zadzwonił do apartamentu Jerry'ego Kurntza. Oczywiście wszyscy tam byli.

–Kurczę blade, chłopcze! – zawołał przez telefon Jerry Kurntz. – A nie mówiłem, jakie to chętne towarzystwo? Wystarczy podać je gorzałą i rozluźnić opory. Przyszły napalone na ciebie. Jedna sądziła nawet, że się z nią umówiłeś, więc kiedy się nie pokazałeś, tak się wściekła, że straciła humor. Ale już zaczyna się rozluźniać.

–No a co z innymi chłopakami? – spytał Prell.

–Wystarcza dla wszystkich?

–O rany, dzieciaku, kogo to obchodzi! – ryknął Kurntz do słuchawki. – Wpadnij i wybierz sobie jakąś.

Prell wybrał tę, która straciła humor dlatego, że nie przyszedł. Ta przystojna blondynka, kiedy się tam zjawiał,

miała już bardzo mocno w czubie, lecz mimo to pozostała damą. Żadna z obecnych pań nie była głupią lalą, jakie spotykało się w okolicach Czwartej Ulicy w Luxorze, a ponadto niemal wszystkie były mężatkami.

–Przy mężu i w potrzebie – zwykł określać je ze śmiechem Kurntz.

Lubił podkreślać, że członkowie ekipy swoje powodzenie zawdzięczają wyłącznie

temu, iż są zamiejscowi i wpadają wszędzie na dzień lub dwa. Nie byli krępujący i nie groziło z ich strony, że skomplikują tym paniom życie ponownym pojawieniem się nie w porę.

W apartamencie Kurntza obowiązywały mniej więcej te same zasady co w apartamencie Strange'a w Peabodym, z tą różnicą, że była tu tylko jedna sypialnia i brakowało "przygotowawczego" łóżka w salonie.

Tutejsze panie nigdy by na coś takiego nie poszły i na pewno oburzyłyby je podobny bezwstyd. Ale ponieważ członkowie ekipy dysponowali własnymi pokojami, do których mogli zabrać "swoje wybranki", jak nazywał je Kurntz, nie było z tym problemu.

Prell wjechał do apartamentu na wózku, pchanym umyślnie przez hotelowego boya. Odkrył, że wózek ów ma cudowną właściwość sprawiania, iż panie miękną ze współczucia, przekonując się, że on, Prell, nie jest paraplegikiem sparaliżowanym od pasa w dół.

Dama z Kansas miała na imię Joyce.

Kiedy już porozmawiali trochę w głośnym, zatłoczonym salonie Kurntza, Prell spytał:

–Joyce, czy zgodziłaby się pani odwiedzić mnie do pokoju?

Uwielbiały go wozic. Uwielbiały też rozmawiać z nim o Medalu Honorowym i słuchać, jak go zdobył. Prell nie miał nic przeciwko temu. W ten sposób ukrywał przed nimi własną bezradność. A one przecież nie tego u niego szukały. Czasem, kiedy opowiadał im tę historię, miał

wrażenie, że wszystko naprawdę tak się odbyło, że zdarzyło się rzeczywiście.

Przeważnie lubiły go również rozbierać, on zaś zawsze im na to pozwalał. Nie wstydził się swoich szram, więc jeśli chciały je zobaczyć i o nie wypytać, to proszę bardzo, blizny bowiem znajdowały się bardzo blisko miejsca, gdzie chciał, żeby znalazły się ich twarze. To również na nie działało, jeśli nawet kończyło się tylko namiętnymi pocałunkami.

–W jakiej jednostce służy twój mąż? Gdzie teraz jest? – spytał Joyce.

–W Anglii – odparła podpitym głosem. – Służy w lotnictwie. Jest mechanikiem naziemnym. Nie lata.

Ale pisze mi – koniuszkami palców Joyce przeciągnęła po szramach na udzie Prella – o chłopcach, którzy straszliwie poharatani powracają do bazy. W jego eskadrze przyznano dwa Medale Honorowe.

Ułożyli się do snu przytuleni. Joyce przywarła piersiami do torsu Prella, lecz dolne partie ciała odsunęła od niego tak, by nie urazić go w nogi, co było wyczynem godnym niemal kobiety-gumy. Tej nocy Prell nie miał złych snów.

Obudziła się około piątej, trzeźwa jak ryba. W oczach miała popłoch. Do tego Prell również przywykł.

–Mój Boże, co ja tu robię? – spytała i podciągnęła kołdrę na piersi.

Wygłaszane rano zdania były prawie zawsze takie same.

Podobnie jak podciąganie kołdry.

–Co ty sobie o mnie pomyślisz?

To pytanie też znał już na pamięć. Prell nauczył się obchodzenia z tymi kobietami, rozmawiając z nimi łagodnie, czule i rozsądnie. Nie był pewien, czy słyszą, co do nich mówi, i być może docierał do nich tylko ton.

Nie był nawet pewien, czy go widzą.

Następnie odgrywały scenę wyskakiwania całkiem nago z łóżka i zmuszały, żeby na nie patrzył, co robił z nieodmienną przyjemnością i żalem. A potem mknęły do

łazienki, zwykle z ubraniem w rękę, lub przynajmniej z majtkami i biustonoszem, żeby się umyć, ubrać i umalować.

Prell miał idealny pretekst, żeby nie wstawać z łóżka.

Kalecy nie musieli się ubierać i odwozić "wybranek" do domu. Zawsze jednak proponował, że zadzwoni do nocnego portiera, by ten sprowadził taksówkę, panie zaś zawsze się na to godziły.

Potem pozostawało mu już tylko przekręcić się na drugi bok i spać do dziewiątej, kiedy dzwonił Jerry Kurntz z pytaniem, jak mu poszło, na co nieodmiennie odpowiadał, że nie poszło wcale, Kurntz zaś zawsze tę odpowiedź kwitował śmiechem.

Tym razem jednak, kiedy Joyce posłała mu od drzwi czuły pocałunek (kobiety po ubraniu się i umalowaniu zawsze lepiej panowały nad sytuacją), nie miał ochoty zasnąć z powodu złych snów. Wstał i w szlafroku z butelką bourbona w rękę usiadł na wózku, wdychając delikatną, erotyczną woń, którą cały pachniał. Pilnował się, żeby nie pić za dużo, a tylko dla odprężenia, i być jutro zdolnym do występu. Z pewnością zdrzemnął się w wózku z zablokowanymi kołami, ale nie na tyle długo, by senne koszmary powróciły.

Dziś wieczorem miał wygłosić swoje główne przemówienie w wielkiej sali widowiskowej w śródmieściu.

Wśród zgromadzonego tam tłumu spostrzegł Joyce, która wraz z innymi paniami pomagała sprawdzać listy zaproszonych. Kiedy na chwilę zostali we dwoje, chciała wiedzieć, czy zobaczą się dziś powtórnie. Prell grzecznie się wymówił i powiedział, że nie. Seks i kobiety najmniej były mu w tej chwili w głowie. Przez cały dzień myślał

o Strange'u. O nim i o Landersie. Ale Strange więcej nie zadzwonił choć Prell na to liczył.

Po południu wygłosił jeszcze jedno, krótsze przemówienie, ale wieczorem w wielkiej sali przygotowana wcześniej mowa wyleciała mu z głowy i nagle spostrzegł, że opowiada im o Landersie. W trakcie opowieści całkowicie zmienił jej treść, dostosowując ją do okoliczności, do słuchających, tak że w tej wersji rana Landersa okazała się znacznie poważniejsza niż w rzeczywistości, a skończyło się to amputacją nogi, w trakcie zaś ponownej operacji Landers zmarł. Prell oznajmił publiczności, że puenta tej historii jest dwojaka. Po pierwsze, za swoje poświęcenie Landers nie dostał żadnych odznaczeń, ale też żadnych nie pragnął ani nie oczekiwał. i po drugie, jego czyn nie przyniósł mu sławy, a przecież podobnych mu żołnierzy będzie wielu i jeżeli przeżyją tę wojnę, to tutaj, w kraju, czeka na nich mnóstwo pracy.

Prell, który nie miał zielonego pojęcia, dlaczego wygłosił taką właśnie mowę, pomyślał, że być może traci rozum. Uznał jednak, że złożył osobisty hołd Landersowi i że to po prostu samo z niego wyskoczyło.

Kurntz gratulował mu potem sukcesu, zapewniając, że na widowni nie było suchego oka. Deklaracje i składki, które przyjmowała w foyer Joyce i inne panie, jeszcze nigdy nie były tak okazałe.

–O rany, chłopie, dałeś niezwykle wzruszający występ – stwierdził z powagą producent. – Nawet mnie wycisnąłeś z oczu łzy. Ale musisz uprzedzać nas o swoich nowych pomysłach. Musimy je zapisać i się do nich przygotować.

–Och, wpadło mi to do głowy, kiedy byłem już na estradzie – odparł Prell. – Nie miałem pojęcia, że to powiem.

Kurntz życzliwie pokiwał głową.

–Na szczęście oświetleniowiec z tyłu sceny słuchał

cię i nadażał za twoim nastrojem. – Kurntz zakaszłał.

–Posłuchaj. Czy... hmm... czy miał z tym związek ten wczorajszy telefon? Czy to on cię tak na jakiś czas rozstroił?

–W jakimś stopniu, owszem, tak – odparł Prell.

Kurntz poklepał go po plecach, jak to się czyni na pogrzebie.

–Tego się domyślałem – rzekł. – Dobra, musimy to włączyć. Jako jeden z wariantów przemówienia. Frank jutro się tym zajmie.

Prell nie był pewien, czy chce, żeby "kawalek" o Landersie wszedł do któregośkolwiek z jego przemówień, ale w tej chwili nie miał ochoty o tym dyskutować.

Najzacieklejszą walkę podczas objazdu stoczył z Kurntzem o to, czy powinni go wwozić na estrady w wielkich salach widowiskowych. Jerry chciał wykorzystać wózek, z którego Prell miał wstać o własnych siłach i zrobić kilka niepewnych kroków do pulpitu. Prell zażarcie się przed tym wzbraniał.

Kurntz jednakże wytoczył mocne argumenty.

–Posłuchaj, chłopcze – powiedział. – Wiem, co myślisz o wózku. Wiem również, że niekorzystanie z niego to, twoim zdaniem, fałszerstwo. Ale skąd ci ludzie mają wiedzieć, że ty musisz korzystać z wózka? Ja to wiem, ale nie oni. Nie zapominaj, że naszym zadaniem jest ich wzruszyć, dostarczyć rozrywki. A także pouczyć.

Kiedy wstajesz z tego wózka i mężnie docierasz do pulpitu, to wśród tłumu na sali nie ma nikogo, kto by cię nie kochał. Właśnie po to tu jesteśmy. Jeśli sprawimy, żeby cię kochali, to kupią więcej obligacji. Po to tu jesteśmy, to nasze zadanie.

Logika jego wyводу była niezaprzeczalna. Nietrudno zrozumieć, dlaczego Kurntz miał stopień majora. Tak więc Prell w końcu się zgodził. A kiedy zaczął realizować scenariusz, przekonał się, że chwyt działa.

Teraz zaś to samo czekało jego opowieść o Landersie – powtarzanie jej wciąż od nowa. Wiedział, że im częściej będzie ją powtarzał, tym mniej będzie ona jego własnością i mniej będzie dla niego znaczyła.

Mimo to nie miał ochoty teraz spierać się o to.

Pragnął jedynie powrócić do hotelu i dowiedzieć się, czy dzwonił Strange.

Ale nikt do niego nie telefonował. Strange nie zadzwonił ani kiedy byli na występie, ani kiedy wrócili.

Tak więc zamiast spędzić z Joyce jeszcze jedną czułą noc i bez złych snów, Landers spędził ją z nimi.

Uaktywnione od nowa koszmary budziły go tej nocy, spoconego i wystraszonego, trzykrotnie. Rano cała trupa objazdowa poleciała dużym samolotem wojskowym do Lincoln, a w dwa dni później do Denver, który był już ostatnim etapem podróży w tamtą stronę.

W Lincoln, bardzo małym mieście, nie było żadnych dużych skoków w bok. Ale Jeny Kurntz zapewnił, że w Denver poswawolą sobie że ha.

"Gdy tam dojechali, Prella zaczęły już opuszczać złe sny.

Rozdział trzydziesty Strange nie zadzwonił ponownie do Prella, ponieważ uznał, że nie warto.

A poza tym jego nowy oddział wychodził w pole na dziesięciodniowe ćwiczenia, w związku z czym miał potwornie dużo zajęć i na następny dzień musiał przygotować kuchnię polowe.

Oburzyła go obojętność Prella w trakcie ich rozmowy przez telefon. Do głowy mu nie przyszło, że ktoś, zwłaszcza ktoś ze swoich, nie przejmie się losem Landersa. Mógł się tego spodziewać po niektórych członkach ich dawnej kompanii, ale nie po człowieku stanowiącym jej rdzeń. Oznaczało to bowiem, że ów rdzeń się rozpada, a jego części rozchodzą się w różnych kierunkach, napędzane nowymi zainteresowaniami i więziami.

Najgorsze ze wszystkiego było to, że w tym świetle własne przywiązanie Strange'a do kolegów wyglądało podejrzanie. Zapewne wcale nim nie było. Było natomiast towarem do sprzedania, do przehandlowania, wymiany, zależnie od kaprysu armii toczącej wojnę, armii za wielkiej, by przejmować się czymś przywiązaniem, chyba że

chodziło o przywiązanie w bardzo dużych pęczkach, jak to kiedyś nazwał Winch.

Jak się wtedy wyraził? I gdzie? Na szpitalnym statku.

Owego cudownego dnia, kiedy dotarli do kraju. Wpływali wtedy do portu w San Diego.

Co takiego powiedział? Johnny Stranger, koniec z tymi bzdurami o starej kompanii. Radzę ci w to uwierzyć. Lepiej zakarbuć to sobie w tym zakutym teksaskim łbie. Coś podobnego.

Winch, jak zawsze, miał rację. Po prostu wyprzedzał czas, wyprzedzał wszystkich, i tyle. Tak jak zwykle.

Jeśli wiedziało się różne rzeczy wcześniej, tak jak Winch, trudno było zachować psychiczne zdrowie. On mógł przewidywać, wiedząc o różnych sprawach i informując o nich ludzi, którzy i tak nigdy nie słuchali. To strasznie obciążało umysł. Strange cieszył się, że nie ma takiego daru.

Ale dlatego właśnie odczuł tak silnie zachowanie Bobby'ego – jak policzek w twarz, podczas gdy Winch był już na to przygotowany.

Strange'a nie łączyły żadne więzi z nową kompanią, którą tworzyła ludzka zbieranina, poskładana z fragmentów innych całości. Z oficerów ambitnych i bez ambicji oraz żołnierzy, ambitnych i pozostałych, odbębniających służbę z nadzieją, że przeżyją. Ambitni oficerowie i żołnierze rozwijali się, mieli jakieś cele, ale nie w ramach kompanii.

Kompania stanowiła pododdział wojsk łączności, wyposażony w drewniane centralki telefoniczne (obiecano, że w Anglii dostaną metalowe). Ustawione gdzieś w lesie, miały posłużyć jako ogniwo łączące jedną dywizję z dywizjami siostrzanymi lub z korpusem pancernym.

Nikt jeszcze nie wiedział tego dokładnie. Takimi właśnie ćwiczeniami mieli się zajmować podczas manewrów.

Strange był znowu kompanijnym szefem kuchni.

Czy można czuć więź z takim oddziałem? Co najwyżej przywiązanie do swojej pracy. Kto wie, może w Europie,

zahartowani w ogniu walk, żołnierze ci stworzyliby jeden wielki organizm spojony jedną silną więzią. Ale jeszcze nie w tej chwili. Strange'a nic nie łączyło z żadnym z nich.

Natomiast w dalszym ciągu czuł się trochę związany ze szpitalem. Z pułkownikiem Curranem i z żołnierzami z dawnej kompanii, którzy spotykali się w jego hotelowym apartamencie. I chociaż przywiązanie to zmniejszyło się i słabło, w miarę jak chłopcy wracali do służby i rozpraszali się po kraju albo coraz mocniej angażowali się w związki z kobietami, tak jak on w związek z Frances, to jednak naprawdę istniało.

Wprawdzie Frances nie należała do wojska, ale ją też zaliczał do swoich. Najsilniej był jednak związany z nimi trzema, z którymi tu powrócił i z którymi tworzył jądro kompanii. Strange nigdy nie wierzył w jego rozpad.

Ale szpital okazał się, jak widać, punktem przełomowym dla słabnących żołnierskich więzi. Symptodem tego zjawiska była ostatnia wizyta Strange'a u Currana.

Podczas któregoś z porannych obchodów Curran poprosił go do siebie na ich, jak to żartobliwie nazwał, być może ostatnią naradę. Strange poczuł, jak serce wali mu w uszach. Ostatnio często myślał o tym, że w szpitalu pozostali już tylko on i Prell. Najpierw odszedł Winch, który miał kłopoty z sercem czy czymś tam, potem Landers z mocno uszkodzoną kostką. Nawet Prell ze swoimi straszliwie okaleczonymi nogami był, poczynając od objazdowej sprzedaży obligacji wojennych, przeznaczony do zwolnienia ze szpitala. Wszyscy oni znajdowali się w gorszym stanie od niego samego, lekko rannego w dłoń. A jednak to właśnie on marniał na oddziale nie wiedząc, co z nim będzie. Dlaczego?

Curran nie tracił czasu, żeby odebrać mu złudzenia.

–Pańska dłoń nie goiła się zgodnie z przewidywaniami. Właśnie dlatego przetrzymałem pana tak długo.

–Jak to, nie goiła się? Nie boli mnie, nie ma zakażenia. Sądziłem, że jest już zdrowa.

Strange wyciągnął dłoń i pokręcił nią, zaciskając i rozwierając palce.

–Ja nie mówię o zewnętrznym zagojeniu się. Z tym jest dobrze. Mówię o zagojeniu wewnętrznym, o mechanice dłoni, o tym, co mieliśmy w niej naprawić. Operacja udała się nadspodziewanie dobrze i mieliśmy wszelkie prawo przypuszczać, że wszystko zrośnie się idealnie.

Stało się inaczej.

Curran wziął Strange'a za przegub.

–Proszę bardzo – powiedział. – Niech pan ją zaciśnie. A teraz rozewrze. Czuje pan pewną trudność, mały opór?

Strange był zmuszony skinąć głową.

–Tak.

–O tym właśnie mówię. Może to być... – Curran przyglądał się mu chwilę, jakby szykował się do wyliczenia różnych możliwości, i wzruszył ramionami – może to oznaczać wiele rzeczy. Być może coś, co samo przejdzie. Ale ja podejrzewam, że jednak nie. Przypuszczam, że stan pańskiej dłoni się pogorszy i na pewno będzie ona panu dokuczać w przyszłości.

–No, a co to oznacza w tej chwili? To, że nie wyjdę stąd i nie wrócę już do służby? – spytał Strange.

Curran zaśmiał się.

–Nadal chce pan jechać za ocean do Anglii?

–Staram się o to – odparł chłodno Strange.

–Nie będę tu pana zatrzymywał. Pańska dłoń nie wymaga w tej chwili następnych operacji. Tak, za parę dni odeślę pana do służby.

–To wspaniale – powiedział Strange. – Przestraszył mnie pan.

–Ale musiałem pana uprzedzić co do tej dłoni – dodał ostrzejszym tonem Curran. – Może to się rozpocząć jutro. Albo za tydzień. Z uwagi na to radzę panu ją oszczędzać.

Teraz z kolei Strange się uśmiechnął.

–Mogę się z tym kryć. Za pierwszym razem pracowałem z niesprawną dłonią przez pół roku – powiedział.

–Tego nie radziłbym. Sam pan wie, co się z nią stało za pierwszym razem, po sześciu miesiącach bagatelizowania kontuzji.

–Tym razem, myślę, że ukryję to przez rok.

–Tak czy owak odeślę pana do służby z ograniczeniem – oświadczył Curran.

–Właściwie praca szefa kuchni w frontowej jednostce piechoty nie różni się zasadniczo od pracy szefa kuchni w jednostce służby ograniczonej – odparł ostrożnie Strange.

Curran uśmiechnął się i potrząsnął głową.

–To niczego nie zmienia. Ja tylko wykonuję rozkazy – rzekł.

–Oczywiście – przytaknął Strange, bo trudno mu się było o to spierać.

–Jeżeli tylko dłoń zacznie panu dokuczać, natychmiast wróci pan do szpitala.

–Mam pytanie – powiedział Strange.

–Niech pan pyta.

–Przypuśćmy, że dłoń zaczyna mi dokuczać, kiedy nadal jestem gdzieś w tych okolicach, na Wschodzie.

Dokąd by mnie posłali?

Curran wzruszył ramionami.

–Teoretycznie do najbliższego szpitala, gdzie jest specjalista od chirurgii dłoni. Ale w praktyce do szpitala w pańskiej macierzystej jednostce. A gdyby nie pozwolił pan, żeby jakiś błazen zabawiał się pańską dłonią

i zoperował ją panu dla zabawy, to wówczas poszedłby pan do najbliższego szpitala ogólnego. I to bez względu na to, czy mieliby tam dobrego specjalistę od chirurgii ręki. No a tam by ją panu zoperowali.

–A gdyby stało się to tutaj, w O'Bruyerre?

–Wtedy odesłano by pana do nas.

–I zajęłby się nią pan.

Curran chwilę milczał.

–Nie, nie zajęłbym się – odparł.

–O rany. A dlaczego?

–Ponieważ trwa tutaj reorganizacja. Rozrastamy się. Przygotowujemy się do rozpoczęcia inwazji i kampanii w Europie. – Curran wzruszył ramionami. – Chirurgia podwaja personel, co oznacza, że ja i pułkownik Baker staniemy na czele całkiem nowych oddziałów chirurgicznych. W tym celu zabierają nas od stołów operacyjnych. Dostaliśmy kopniaka w górę. Zna pan to wyrażenie? Wątpię, czy któryś z nas znajdzie czas na jakiegokolwiek operacje.

–Cholera. A więc cokolwiek zrobię lub nie zrobię, nie zmieni to mojej sytuacji, czy tak? – spytał Strange.

Był zły.

–Tak, rzeczywiście nie zmieni. Ale przynajmniej dowiedział się pan wystarczająco dużo, żeby odmówić jakiemuś młodemu zadufanemu gorliwcowi, który zechce pana zoperować.

–Pan wie najlepiej, ile mi to pomoże.

Curran uśmiechnął się.

–Nie powinienem mówić panu aż tyle – powiedział.

–W wojsku są niezli chirurdzy, sam się pan przekonał...

Wstał z dużego czarnego fotela, z którym Strange tak się oswoił, i wyciągnął rękę.

–Naturalnie, jeżeli pan tu wróci, dopilnuję, żeby niczego panu nie zabrakło.

–Jasne, oczywiście – odparł Strange i uściśnął jego

delikatną silną dłoń. – Ale nie spodziewam się, żebyśmy się jeszcze spotkali, panie pułkowniku.

Curran przyglądał się mu dłuższą chwilę.

–Tak, ja również – rzekł. – Nie w czasie tej wojny.

I tak kończyły się wszystkie więzi, jakie czuł Strange. Po jego wyjeździe z Kilrainey do O'Bruyerre wszystkie znikły nagle, jak nożem uciął. Nawet telefoniczne na ogół i dotyczące Landersa kontakty z Winchem uległy ograniczeniu i wkrótce całkiem ustały.

Zresztą Landers był już wtedy na wylocie z wojska, bo już się na to zdecydował. A przynajmniej tak wówczas myśleli.

Po raz ostatni i jedyny Strange odwiedził Landersa na oddziale więziennym w dzień czy dwa po swojej naradzie z Curranem. Jeszcze nie przeniósł się do O'Bruyerre. Jak zwykle w wojsku, wszystko zajęło tydzień dłużej, niż liczył. Landers wydał mu się wymizerowany i blady, a oczy miał tak mocno podkrążone, że on, Strange, powinien był rozpoznać, iż z przyjacielem dzieje się coś niedobrego.

A potem sam przeniósł się do O'Bruyerre i był tak pochłonięty urządzeniem się i zorientowaniem się w sytuacji, że nie miał czasu odwiedzić go jeszcze raz i porozmawiać.

Oczywiście, podobnie jak wszyscy przybywający do O'Bruyerre, także Strange przeszedł przez kancelarię Wincha. Z nim również Winch wyszedł się przywitać.

Landers wspomniał Strange'owi o ukrytej butelce whisky w gabinecie ich szefa kompanii, miał więc teraz okazję zobaczyć ją na własne oczy i skwapliwie skorzystał z poczęstunku.

–No, to dokąd chciałbyś pójść, Johnny Stranger? – spytał serdecznym tonem Winch. – Mogę cię przydzielić, gdzie tylko zechcesz.

Strange uśmiechnął się szeroko.

–Mnie to nie robi aż takiej różnicy, drogi szefie – odparł.

–Już bardzo niedługo będzie robiło – rzekł cicho Winch. – Posłuchaj, Johnny...

jeżeli zgodzisz się na degradację z plutonowego na starszego kaprala, to jest takie jedno miejsce w mojej sekcji, gdzie mógłbym cię przydzielić. Byłbyś starszym kucharzem, ale nie mógłbym cię zrobić szefem kuchni, bo go już mam. Na to musiałbyś zaczekać kilka miesięcy. Zgodzisz się na niższy stopień?

Strange wcale nie musiał się nad tym zastanawiać.

–Nie, na to nie, szefie – odparł i znów się uśmiechnął.

–To znaczy, że chcesz wrócić do normalnej służby.

–Oczy Wincha zwęziły się i rozbłyły wściekłą zielenią.

–Ze wszystkimi konsekwencjami.

–Nie mam nic innego do roboty – usłyszał własną odpowiedź Strange. – A poza tym jeszcze nigdy nie byłem w Europie.

Winch nie powiedział już nic więcej, nie spierał się z nim. Usiadł w wielkim fotelu i nacisnął guzik telefonu wewnętrznego. Poprosił o przyniesienie wszystkich skierowań do kompanii, które potrzebują szefa kuchni w stopniu plutonowego. Dostarczono je i okazało się, że jest ich tylko cztery. We dwójkę zapoznali się ze wszystkimi. Było wśród nich skierowanie do jednostki łączności.

–To nie najgorszy pododdział – powiedział Winch, kiedy Strange wziął do ręki skierowanie. – A przynajmniej nie całkiem do dupy.

–A więc chyba w sam raz dla mnie – rzekł Strange.

Winch zadzwonił po jeszcze jedną teczkę, a kiedy kancelista przyniósł mu ją, przekartkował akta.

–Wkrótce wybierają się na manewry – oznajmił.

–A niedługo potem zostaną przewiezieni do Anglii.

–To świetnie.

–Wobec tego chyba dobrze trafisz. Swój majdan masz ze sobą?

–Dwa worki. Są w tej wielkiej stodole, którą nazywa się kancelarią.

–W takim razie nic im nie grozi – odparł z pewnym powątpiewaniem Winch i wyrztał przez zasłonięte okienko. – Posiedź tu chwileczkę i napij się jeszcze. Zadzwonię do twojej jednostki. Po tak ważną figurę na pewno wyślą jeepa.

–Och, dziękuję, szefie.

Chwilę rozmawiali o Landersie. Winch był, jak się zdaje, zdania, że Landers otrzymuje to, czego pragnie i czego mu potrzeba.

–Pęka w szwach – powiedział Winch. – Pomóc mu może tylko wyjście z wojska. W przeciwnym razie... jeżeli zostanie, to nie będzie to dobre dla nikogo...

A poza tym właśnie o zwolnienie z wojska poprosił – dodał. – Kazał oficerom ze swojej kompanii napisać opinie o nim właśnie pod tym kątem.

–A pan skąd o tym wie?

–Od oficera, który poszedł z nim porozmawiać.

–A więc wszystko mu pan załatwił, jak się domyślam.

–Staralem się o to. Mam nadzieję, że załatwiłem.

No, a co z tobą?

–A co ze mną?

–Zawiadomiłeś żonę? Powiedziałaś Lindzie Sue, co porabiasz?

–Nie. Nie zawiadomiłem jej – odparł Strange.

–A nie uważasz, że powinieneś?

–Nie. Nie bardzo.

–Nadal ma twoje ubezpieczenie wojenne?

–Tak. A bo co?

–W dalszym ciągu jesteście małżeństwem?

575

–Tak. Formalnie. Oficjalnie.

–A więc nie macie rozwodu. W takim razie uważam, że powinieneś ją zawiadomić, co porabiasz, czego ma się spodziewać.

–Coś zadecyduję – obiecał Strange, a ponieważ uznał, że zabrzmiało to za szorstko, dodał: – Może napiszę do niej krótki list przed odjazdem.

–Uważam, że powinieneś powiedzieć jej to osobiście, przynajmniej przez telefon. Tyle jesteś jej winien.

–Gównu jestem jej winien – wypalił Strange.

–Myślę... – zaczął Winch, ale urwał na dzwonek telefonu na biurku. Wziął słuchawkę i przez pół minuty słuchał, a kiedy ją odłożył, rozpostarł ręce.

–Jest twój jeep – powiedział i z rozłożonymi rękami wstał. – Nie wiem, co myślę. Taka jest prawda, kurwa mać!

–Ja również – wyznał Strange. – Nie pan jeden!

–Zajdź któregoś wieczora do głównej kantyny.

Jestem tam prawie co wieczór, od wpół do szóstej do szóstej – rzekł Winch.

Strange, tak jak przedtem Curranowi, po raz ostatni uścisnął mu rękę. Obaj podskórnie wyczuwali, że oto kończy się epoka, taka czy inna, tak jak wyczuwał to również Curran.

Ale kiedy Strange wziął swoje dwa worki i podążył schodami w dół za kierowcą jeepa, nie mógł się otrząsnąć z zaskoczenia, jak wiele o jego sprawach wie Winch. Winch nie widział Lindy i nie rozmawiał z nią od czasu ataku Japończyków na Wahoo, a jednak wiedział wszystko.

Strange pożegnał się już z Frances. Stało się to w Luxorze, następnego dnia po rozmowie z Curranem, ale na ich rozstanie również zanosilo się od dłuższego czasu.

Po części dlatego, że skończyły mu się pieniądze

z oszczędności i z żołdu, w związku z czym musiał zrezygnować z apartamentu w Peabodym. Być może dlatego. A być może nie.

Strange nie bywał tam już od dawna i wynajmował dla siebie i Frances dwuosobowy pokój, który załatwił mu Jack Alexander, stary kumpel Wincha. Z apartamentu korzystało jeszcze tylko dwóch żołnierzy ze starej kompanii – Corello z uszkodzoną ręką i Trynor, który przyjechał do szpitala w kilka dni po nim samym.

Przez resztę czasu bawili się tam i pili sami obcy i nieznajomi. Strange stracił ochotę na te juble. O wiele bardziej wolał być tylko z Frances.

Nie miał jednak zamiaru rezygnować z apartamentu, dopóki nie roztrwoni ostatniego centa z tamtych siedmiu tysięcy. Nie dbał o to, kto przychodzi tam co wieczór na ochlaję. Nie zależało mu również na uczestniczeniu w nich. Żaden cent z tych siedmiu tysięcy na restaurację nie mógł opuścić hotelu Peabody w jego kieszeni. I ani jeden cent tego nie zrobił.

Na szczęście – albo nieszczęście – dla Strange'a pieniądze skończyły się wkrótce po ucieczce Landersa z wojska, z której ten powrócił – sam się zgłosił – i trafił na oddział więzienny. Dopiero wówczas Strange zdał sobie sprawę, jak wiele pieniędzyłożył Landers na apartament w Peabodym. Bez niego i jego gotówki forsa na koncie bankowym, na którym w momencie otwarcia było siedem tysięcy, zaczęła błyskawicznie topnieć.

Podczas jedynych odwiedzin u Landersa Strange nie chciał od niego pieniędzy. Landers wyznał mu wówczas ze śmiechem, że sam też przepuścił prawie cztery i pół tysiąca dolarów. Cały żołąd i wszystkie oszczędności.

Wreszcie się splukał albo prawie splukał. Wcale się tym nie martwił, nie bardziej niż Strange, który dopiero po zamknięciu apartamentu w Peabodym i zlikwidowaniu

konta bankowego przekonał się, jak bardzo jego stosunki z Frances Highsmith zależą od pieniędzy.

–Skoro musisz zrezygnować z apartamentu, czy oznacza to, że się splukałeś? – spytała ostrożnie.

–Niezupełnie. Ale cienko przędę. Nadal przecież dostaję żołąd. No i trochę wygrywam w karty.

–I nic poza tym? Myślałam, że jesteś znajomym szefa Alexandra.

–Znajomym, owszem, ale nie wspólnikiem w interesach. A bo co? Chcesz, żebym cię z nim poznał?

–Z tym wielkim, ogromnym kłocem? Żartujesz sobie? A która by chciała się z nim pierdolić? To najszpetniejszy facet, jakiego widziałam. Ale tu, w Luxorze, z pewnością mnóstwo zarabia.

–Owszem, ale ja nie zaliczam się do jego wspólników.

–Przypomina wielkiego żółwia.

–Pewnie. Gdyby cię kiedyś dorwał i przycisnął, to przekonałabyś się, jaki z niego żółw.

Zirytowana Frances targnęła głową.

–A więc te wszystkie kosztowne obiady, te wszystkie wystawne kolacyjki i bywanie w szykownych miejscowych lokalach...

–Tak jest, koniec z nimi. – Strange uśmiechnął się szeroko. – Oczywiście mimo to mógłbym sobie pozwolić na jakiś wieczór raz w tygodniu... albo dwa.

–Posłuchaj, posiadam trochę pieniędzy – powiedziała ostrożnie Frances i uśmiechnęła się. – Ale właściwie to mam jedynie swoją pracę i to małe mieszkanko. A poza tym dużo nie zarabiam. – Znów się uśmiechnęła. – Oczywiście moje pieniądze są do twojej dyspozycji.

–Do głowy by mi nie przyszło brać je od ciebie – odparł Strange.

W ciągu zeszłych trzech miesięcy poznał ją na tyle,

żeby przynajmniej wiedzieć, czym się zajmuje. Pracowała jako zastępczyni kierowniczkini i zaopatrzeniowiec w sklepie z konfekcją dla kobiet Trzy Żony na Main Street, należącym do sieci mu podobnych na Południu i Środkowym Zachodzie. Mieszkanie dzieliła z inną luksorzanką, której mąż był za oceanem i która nie szukała okazji na mieście, a przynajmniej nieczęsto.

–Z drugiej strony, nie chcę siedzieć co wieczór w domu i słuchać radia – ciągnęła Frances. – Albo chodzić na kretyńskie filmy.

Spojrzała na niego ostrożnie.

–Oczywiście. Musisz znaleźć sobie kogoś innego.

–Nie, nie. Za nic. A nawiasem mówiąc, jak myślisz, ile jeszcze potrwa ta wojna?

–Och, dwa lata? – odparł niefrasobliwie Stranger.

–Co najmniej.

–Właśnie. A potem wszyscy będą musieli powrócić do normalnego życia. Być...

Urwała.

–Tak jest, Kopciuszkami. Jak w tej bajce. I kareta zamieni się z powrotem w dynię, a konie w myszy.

–Strange uśmiechnął się do Frances. – Ja to rozumiem.

–Tak to trochę wygląda – przyznała się Frances i więcej nie wracali do tego tematu.

–Tak więc Strange nie miał zbyt wielu złudzeń, co się stanie, gdy przyniesie jej wieść o swoich przenosinach do O'Bruyerre.

–Nie wyobrażam sobie, żebyś chciała się przenieść do tej wioski w pobliżu Obozu – powiedział.

–Och, do tej miejsciny? – spytała, bardzo starając się nie odmówić mu wprost i z miejsca. – Musiałabym porzucić pracę. A co z moim mieszkaniem? Założę się, że warunki życia są tam okropne. Nie wyobrażam sobie, jak mogłabym nie pracować.

Strange milczał. Ścisnęło go boleśnie w gardle.

–A poza tym słowem nigdy nie wspomniałeś o poślubieniu mnie – dodała ostrożnie Frances.

–Rzeczywiście, nie wspomniałem – przyznał Strange.

Miał wrażenie, że jej ulżyło.

–Nie wiem, jak mogłabym zostawić to wszystko, co tutaj mam i na co zapracowałam, i przenieść się tam – powiedziała.

–Tak. Nieładnie byłoby żądać od ciebie czegoś takiego – odparł.

–Jeśli chodzi o seks, to nie mam aż tak silnej woli, żeby siedzieć i czekać, czekać. Jak często będziesz stamtąd wychodził i przyjeżdżał? Na weekendy?

–Co dwa tygodnie. Na jedną noc.

–A widzisz.

Strange skinął głową.

–Ale możesz do mnie dzwonić – zaproponowała Frances. – Uprzedzać mnie za każdym razem. Tak, żebyśmy mogli się umówić.

–Oczywiście, oczywiście. Dobrze – przytaknął Strange. – Tak właśnie zrobię.

Ale wcale nie miał zamiaru tego robić. Tej nocy przeżyli jedno z najbardziej porywających zbliżeń miłosnych. Po wszystkim Frances płakała, a on również był bliski płaczu. Nie miało to jednak wpływu na zmianę jej decyzji.

Idąc za kierowcą jeepa po opuszczeniu kancelarii Wincha, Strange uznał za zdumiewające, że Winch nigdy nie wspomniał o Frances i rozmawiał z nim tylko o Lindzie Sue, jego żonie. Wydawało mu się, że Winch czyta w jego duszy.

Jeżeli bowiem w myślach Strange'a pozostał jeszcze jakiś ślad po miłości, to owe resztki miały związek z Lindą Sue, nie z Frances. Jeżeli w ogóle jeszcze kogoś kochał – a takiej tezie szczerze pragnął móc zaprzeczyć

–to Linde. Nie wiedział dlaczego. Miał jednak wrażenie, że Winch wie o jego miłości do żony.

Jeżeli po przeniesieniu się do O'Bruyerre snuł jakieś erotyczne fantazje, to ich bohaterką była nie Frances, tylko Linda. Jeżeli miewał napady wściekłości, co mu się zdarzało, to zawsze z powodu żony, nie kochanki.

W trakcie ataków zazdrości, kiedy miewał bardzo plastyczne wizje, w których jedna z tych dwóch kobiet z kimś spała, to nieodmiennie okazywała się nią Linda i jej przeklęty pułkownik lotnictwa, a nie Frances i jakiś gość.

Tak czy owak seksowi poświęcał w O'Bruyerre bardzo mało czasu i myśli. Był zbyt zajęty organizowaniem nowej kuchni, nowego personelu kuchennego i zmuszaniem go do pracy zespołowej. Tak jak powiedział Winch w swoim biurze, gdy szukał dla niego oddziału, żadna kompania potrzebująca nowego kuchmistrza nie mogła mieć dobrze zorganizowanej kuchni.

W innym przypadku awansowaliby któregoś ze swoich starszych kucharzy, a na przeszkolenie personelu kuchennego dobraliby żołnierzy z kompanii. Tak właśnie było w tym przypadku. Poprzedni szef kuchni mocno poparzył się tłuszczem, co w dobrze prowadzonej kuchni w ogóle nie powinno się zdarzyć, a straszny bałagan, który pozostawił po sobie, świadczył, że za jego rządów kuchnia nie mogła wyglądać wiele lepiej.

Jeden starszy kucharz był gruby, drugi chudy, ale obaj do niczego. Potrzeba było wielu namów, pochlebstw, pochwał, jak również rozkazów, złośliwości i ostrej ręki, przez co ze dwa razy o mało co nie doszło do bójki na pięści, żeby doprowadzić ich do jakiegoś takiego porządku. Niemniej do czasu nadejścia rozkazów wymarszu na dziesięciodniowe manewry Strange zdążył już ich wytresować i stworzyć z nich sprawnie działający zespół.

Na trzy dni przed wyruszeniem w pole zadzwonił do niego Winch z wiadomością o Landersie.

Od ujrzania Złotych Wrót w San Francisco Strange niczego nie przeżył tak mocno, jak tej wieści. Była właśnie dziesiąta rano. Landers zginął około wpół do dziesiątej. Zabrali go z powrotem do szpitala, bo nie wiedzieli dokąd. Potem zadzwonili do Wincha i ten tam przyjechał. Właśnie dlatego zadzwonił z pewnym opóźnieniem.

–Możesz się ze mną spotkać w głównej kantynie? – spytał schrypłym głosem. – W części dla starszych podoficerów? Masz przepustkę, żeby wejść tam tak wcześnie? Nieważne. Wypiszę ci jedną i sfałszuję podpis.

Odwróciwszy się od aparatu, Strange zobaczył, że jego nowy szef kompanii przygląda mu się ze zmartwioną miną.

–Co się stało? – spytał. – Wyglądasz, jakbyś ujrzął ducha.

–Co? Ach! Tak, prawie. Tu, w O'Bruyerre, zginął dopiero co mój stary kumpel z Pacyfiku.

Szef zdenerwował się.

–Co to było? Artyleria? Karabiny maszynowe?

Granat ręczny?

–Nie, nie. Wpadł pod samochód.

–Ech, starzy żołnierze. – Szef kompanii pokręcił głową. – Wy, starzy towarzysze walki, jesteście sobie bliżsi niż rodzina.

–Proszę, podpisze mi ją pan? Muszę się spotkać ze swoim dawnym szefem kompanii – powiedział Strange, biorąc z biurka pisarza przepustkę pozwalającą na wejście do kantyny podoficerskiej przed południem.

Szef kompanii miał minę tak zakłopotaną, jakby chciał powiedzieć, że przepustkę, o czym Strange wie, musi wystawić oficer. Niemniej po chwili podpisał ją nieczytelnym zawijasem.

Wrócę za jakiś czas – rzekł Strange. – A zresztą w kuchni wszystko w porządku i

każdy ma jakieś zajęcie.

Na dobrą sprawę nie musiał przejmować się przepustką. Nikt go nie zatrzymał i nie zażądał jej okazania.

Przepustki do kantyny były nowym zarządzeniem, które wprowadzono w życie z chwilą, kiedy szkolenie żołnierzy przed inwazją w Europie ruszyło pełną parą. Ponieważ w środku było o tej porze pusto, Strange nie miał kłopotów z odszukaniem Wincha. Znalazł się w wielkiej kantynie dopiero po raz drugi.

Winch siedział sam. Strange usadowił się obok przy dużym okrągłym stole.

–No – powiedział. – Niech pan zaczyna.

Winch opowiadał. Strange słuchał, jak powtarza mu, co zeznała władzom kobieta prowadząca wóz i co mówiła o wypadku, który wyglądał na samobójstwo.

Przez chwilę on i Winch rozważali taką możliwość.

Winch był zdania, że to niemożliwe, ale on nie był tego taki pewien.

–No bo jak to! – rzekł Winch. – Otrzymał dokładnie to, czego chciał. Powiedział, że tego chce, oficerowi ze swojej kompanii. W takiej sytuacji nikt się nie zabija.

–Wątpię, czy on wiedział, czego chce – odezwał się raptem Strange, jakby nagle zobaczył to zdanie na podstawce budweisera pod kuflem piwa i odczytał to z papierowego krążka. – Myślę, że chciał obu rzeczy naraz. Równie mocno. To sytuacja bez wyjścia.

Oderwał wzrok od podstawki. Winch przyglądał się mu z zaciekawieniem.

–W takim razie nikt mu nie mógł w niczym pomóc – skonstatował.

–Tak – zgodził się Strange. – W niczym.

–A więc to o to chodziło... A ja niepotrzebnie traciłem czas – rzekł do siebie Winch.

Jakiś żołnierz w wielkiej pustej sali podniósł się z miejsca i wrzucił monetę do wysokiej, kipiącej wirującymi kolorami, oświetlonej szafy grającej Wurlitzera.

Wielką salę wypełniły dźwięki Ciribiribin w wykonaniu Sióstr Andrews.

–Mój Boże, jak ja nienawidzę tych kurewskich wurlitzerów! – wybuchnął ze złością Winch.

Dopił stojący przed nim kieliszek białego wina i dał znak barmanowi przy mahoniowym barze, że chce jeszcze jeden. Potem wypił kolejne dwa i bąkając i pochrząkując wspomniął o oględzinach ciała Landersa, choć nie powiedział wprost, że je widział. Chcieli, żeby oprócz personelu szpitalnego jeszcze ktoś zidentyfikował zwłoki. Nie chcieli dzwonić do kompanii Landersa, który zresztą i tak już do niej nie należał. Rozpoznał go jakiś znajomy Wincha.

–Widział go pan? – spytał ponownie Strange.

–Tak, tak, widziałem go, a przynajmniej twarz. Nic specjalnego. Jeszcze jeden martwy żołnierz. Miał ten charakterystyczny, zielonkawy trupi kolor. Twarz nie była rozbita, nie licząc dużego siniaka na prawym policzku.

–Co zrobią z ciałem?

–Chyba odeślą je do domu, rodzinie.

–On nie przepadał za swoją rodziną.

–Tak, wiem. To również mi powiedział. Ale tam, na miejscu, Amerykański Związek Kombatantów wyprawi mu okazały wojskowy pogrzeb na starym cmentarzu. Spocznie obok swojego dziadka, pradziadka i tak dalej. Nad grobem wystrzelą parę salw.

–A jakiś skaut odegra mu capstrzyk na sygnałównce.

–A co tam! – powiedział Winch. – To przecież tylko zwłoki. Takie pozbycie się ich jest równie dobrym sposobem jak każdy inny.

–Wyśle pan do nich list?

–Nie – odparł Winch.

–Ja też nie. Nie wiedziałbym, co im napisać.

Winch dał znak, że chce jeszcze jedno wino.

–Nigdy tu nie zachodzisz, Johnny – powiedział.

–Przyjdź tu kiedyś między wpół do szóstej a szóstą.

Jeżeli chwyci cię chandra albo co.

–Pojutrze wyjeżdżamy w teren – odparł Strange.

–W takim razie wpadnij po powrocie – rzekł szorstko Winch.

Strange skinął głową.

–Oczywiście. To tylko dziesięć dni.

Tego wieczora Strange zadzwonił do Prella. Na jego prośbę Winch dowiedział się od Jacka Alexandra, że trupa objazdowa przebywa w hotelu Muehlebach w Kansas City. Jednakże z reakcji Prella na jego telefon wywnioskował, że nie ma sensu więcej do niego dzwonić.

Dziesięć dni w polu było w tej sytuacji najlepszym rozwiązaniem, bo przede wszystkim odcinało go od życia w garnizonie, a życie pod namiotem, który trzeba było co dwa dni związać i rozbijać w innym miejscu o dwadzieścia mil dalej, nie pozostawiało wiele czasu na myślenie. Od wpół do czwartej rano do północy cały czas był w ruchu: gotował, karmił wojsko, rozstawiał kuchenne namioty, pilnował, żeby były dobrze okopane na wypadek deszczu, i uwielbiał to wszystko bez reszty.

Na manewrach zastała ich wiosna. Przez trzy pierwsze dni padało, z początku był to przygnębiający zimowy deszcz, ale potem z każdym dniem robiło się coraz cieplej. Wreszcie wyrzało słońce i świeciło nieprzerwanie przez pozostałe siedem dni, drzewa wypuściły liście i las się zazielenił.

To było cudowne. I stało się tak nagle. Strange stawał przed swoim kuchennym namiotem w nagim jeszcze lesie, sprawdzał brezentowe zbiorniki z wodą

i patrzył przez mocno zarysowane kontury nagich gałęzi na prymitywną chatę z bali, którą zbudował jakiś farmer, a niedługo potem zginęła już za zasłoną z liści, które zdążyły wystrzelić z obsypanych pąkami gałązek.

Niewielu żołnierzy zwracało na to uwagę. Gdy padało, narzekali na wilgoć. Gdy świeciło słońce, narzekali na błoto. Ale dla Strange'a przyroda była niewiarygodnie piękna. Od sześciu lat po raz pierwszy oglądał nadejście wiosny w Ameryce. Przed wojną cztery lata spędził na Wahoo, gdzie nie było ani wiosny, ani zimy, a potem jeszcze jeden rok na tej wyspie po ataku Japończyków, wreszcie rok w tropikach na Południowym Pacyfiku. Od dawna nie widział prawdziwej amerykańskiej wiosny.

Znajdowali się na pogórzcu w zachodnim Tennessee, na zachód od rzeki o tej samej nazwie. Teren w niczym nie przypominał dzikiej górskiej krainy na wschodzie stanu, ale jeśli człowiek zapuścił się dość daleko, to jak oni mógł napotkać prymitywne chaty drewniane, pokryte gontami, studnie i dobudówki. Farmerzy w zniszczonych kapeluszach mieli oczy dzikich, kryjących się zwierząt i zawsze byli skorzy do sprzedania paru kwart domowej siwuchy, żółtawej, oleistej i szkaradnej z wyglądu. Nad drzwiami w środku wisiał domowy tytoń w rurkach ze zrolowanych, złożonych na pół i zwiniętych końcami liści. Tytoniem nie handlowali, ale mogli ci podarować zwój. Ich kobiety o wąskich twarzach miały, mimo zesznurowanych, zaciśniętych ust łagodne i wrażliwe oczy. Strange nie żuł domowych tytoniowych prymek od swojego dzieciństwa w Teksasie.

Niemal w każdym domu za chybotliwą, byle jak obsadzoną szybą wisiała amerykańska flaga z jedną, dwiema, a nawet większą liczbą gwiazd pośrodku, które świadczyły, ilu mężczyzn z tej rodziny służy w wojsku.

Jeżeli były tam jakieś dziewczęta, to w ogóle się nie pokazywały.

Wieczorem, w jedyną sobotę wypadającą w czasie tych dziesięciodniowych manewrów, nadeszły rozkazy przyznające im przepustki na sobotnie popołudnie, noc i niedzielę rano. Najbliższą miejscowością była oddalona o trzy mile malutka miejscina McSwamwille. Ci, którzy nie zabrali się okazyjnie którymś z kompanijnych pojazdów, poszli na piechotę błotnistymi, wiejskimi drogami.

Dysponujący kuchennym jeepem Strange zabrał do niego cały swój personel. Żołnierze zwisali z wozu jak przejrzałe winogrona huśtające się na przeciążonej kiści. Po zaparkowaniu samochodu w miasteczku Strange udał się do hotelu, inteligentnie rozumując, że jeżeli pragnie się coś poderwać, to potrzebny jest lokal. Zrobił

słusznie, dostał ostatni wolny pokój.

Do tego jedynego dostępnego miasteczka żołnierze zjechali się z całego terenu manewrów. Piechota. Artyleria. Wojska kwatermistrzowskie. Trochę nieokrzesanych, twardych spadochroniarzy, czołgiści, "druciki" z innych pododdziałów łączności. Dosłownie wszyscy, a nie wyglądało na to, że znajdą wiele okazji, żeby sobie popierdolić. Za to gorzały nie brakowało. Miasteczko mieniło się stolicą powiatu, w którym obowiązywała prohibicja, ale w jego opłotkach były trzy meliny, gdzie można było dostać nawet prawdziwą whisky. Wszystkie meliny z pewnością uprzedzono, żeby zaopatrzyły się w towar, bo panował w nich tłok, a kolejka wojaków wylewała się z ich drzwi i ciągnęła błotnistym poboczem powiatowej drogi. Kiedy po południu Strange szedł główną ulicą, już zaczęły się walki na pięści. Jedna tu, druga tam. Następna zaczynała się w chwili, gdy kończyła się poprzednia.

**Nie było widać zbyt wielu kobiet. Przeważnie siedziały zamknięte w domach.
Garstka miejscowych**

dziwek i prostytutek kręciła się w okolicach dwóch miejscowych garkuchni, w których "po kryjomu" głównie pito, albo okupowała nieliczne stoliki w melinach – zawsze w towarzystwie żołnierzy. Mężcy mieszkańcy miasteczka załatwiali na pozór codzienne sprawy, ale rzucało się w oczy, że w miarę możliwości starali się nie pokazywać na ulicach. Żandarmi wozili pełne jeepy w trupa zalanych żołnierzy do jakiegoś punktu etapowego, skąd miały ich odebrać własne kompanie. Strange szybko doszedł do wniosku, że nie znajdzie tu chyba żadnej okazji, więc zajął się piciem. Po wiejskiej krzakówie nawet zła whisky smakowała wybornie.

Wszędzie panowała atmosfera, jakby był to ostatni tydzień przed końcem świata. Strange poddał się więc jej i dał się ponieść.

Przestał już rozpaczać nad śmiercią Landersa. Ludzi, tak jak pory roku, czekał koniec. Taki czy inny. Strange'owi w jakiś sposób pomogła się z tym pogodzić wiosna.

Na przyjemnym rauszu, pogodzony z końcem świata wałęsał się po mieście, gdzieś coś zjadł, później, około jedenastej wieczorem, na głównej ulicy zaczepił go gruby starszy kucharz z jego kompanii. Obficie się pocił i ciężko dyszał, a wyszedł z ciemnej uliczki.

–Hej, szefie! Czy to prawda, że ma pan pokój w hotelu? – spytał.

–Tak, mam. A o co chodzi?

Gruby pierwszy kucharz sprawiał Strange'owi największe kłopoty w kompanii. Naturalnie pragnął zdobyć jego stanowisko i uważał, że czeka na nie w kolejce, ale Strange nie miał najmniejszego zamiaru ustąpić mu choćby na centymetr. W tej chwili jednak tamtemu było co innego w głowie.

–Są tu ze mną dwie pizdy, dwie dupy. Chciałbym jedną przehandlować za pół pokoju.

Strange zatrzymał się i wbił w niego wzrok. Nigdy go nie lubił. Gdybyż tylko tamten wywalił mu kawę na ławę i walczył otwarcie. Ale nic z tych rzeczy. Wszystko załatwiał po cichu, wysługując się innymi przy kopaniu dołków i ryciu. Strange miał zamiar pozbyć się go jak najprędzej.

–A ile biorą?

–One nie chcą pieniędzy. Chcą tylko się pierdolić.

–Czy wiedzą, że jedną z nich handlujesz?

–Och, jasne. To właśnie jedna z nich podsunęła mi tę myśl. Poszłyby do lasu albo do parku, ale gdybyśmy zabrali je gdzieś pod dach, to zostałyby na całą noc.

–A gdzie je znalazłeś?

–To nie ja je znalazłem, to one znalazły mnie – odparł kucharz. – Siedziałem sobie na trawie i popijałem sam jeden, a one wyszły do mnie z krzaków.

Wątpię, czy są miasteczkowe. Pewnie wsiowe.

–A w jakim wieku? Przynajmniej dorosłe?

–A skąd mam wiedzieć, jak rany?! Na oko w odpowiednim.

Strange spojrział w ciemną uliczkę.

–To po jaką cholere się tam kryją? Dlaczego nie wyjdą na światło?

–Nie kryją się. Po prostu nie chcą wychodzić tu, gdzie jest tylu chłopa. Gdyby wyszły bez męskiego towarzystwa, to od razu opadłby je tłum.

–Racja. Dobra, przyjrzyjmy się im.

Strange tak mocno wmówił sobie, że dziś nie załoi, że trudno mu było się przestawić.

Dziewczyny czekały w mroku zaułka. Obie miały na sobie wypłowiałe wzorzyste sukienki, które ledwo zakrywały im kolana zgrabnych nóg, i podniszczone płaszcze dla ochrony przed wiosennym chłodem. Nie były jeszcze kobietami, ale z pewnością były pełnoletnie.

Na ich widok Strange od razu zrozumiał, że nie odrzuci propozycji. Poznał to po ściśniętym gardle, kiedy przełknął ślinę, i po braku powietrza w płucach.

W towarzystwie mężczyzn dziewczyny nie miały nic przeciwko temu, żeby paradować główną ulicą. Nazywały się Donna i Ruby. Jedynym ich pragnieniem było iść do hotelu. Strange i kucharz nie mieli alkoholu, ale one i tak były niepijące. Nie chciały też nic zjeść. Myśląc o tych wszystkich dziewczynach, które z takim gestem podejmował w hotelu Peabody, Strange wielkopańsko zaproponował, że postawi im kolację w restauracji. Nie chciały.

Chłopak siedzący w małej, starej, rozwalającej się recepcji zrobił na widok dziewcząt duże oczy, lecz udał, że ich nie dostrzega i wręczył Strange'owi klucz. W pokoju, do którego Strange wcześniej nie zajrzał, stało jedno łóżko. Dziewcząt to nie zmartwiło.

Na szczęście łóżko było podwójne. Gruby kucharz natychmiast zaczął się uwalniać ze swojego zielonego polowego munduru. Najwyraźniej już liczył godziny uciechy.

Do tej pory dziewczęta wypowiedziały najwyżej po kilka słów, ale na widok nagiego kucharza ze stojącym fiutem zaczęły chichotać i zastrzegły się, że nie życzą sobie, aby im się przyglądano w trakcie rozbierania i gdy będą nagie. Mężczyźni mają odwrócić się plecami do nich i zakryć oczy. Ale zaraz po tym, jak one ułożą się w pościeli, mogą wejść za nimi do łóżka.

Oczywiście obaj zerkali, z czego było dużo pisku, śmiechu i połajanek. Za swoją fatygę zostali nagrodzeni widokiem dwóch ładnych, młodych, szczupłych kobiecych ciał i jędrnych piersi. Tylko opalone ręce i twarze dziewcząt nosiły ślady szybkiego starzenia się, tak widocznego u mieszkańców podgórskich gospodarstw.

Dziewczęta zwały się na łóżko i pozwoliły im przyjść.

I tam już wszyscy pozostali na dobrą sprawę aż do siódmej, kiedy dziewczęta oświadczyły, że muszą wrócić do domu, żeby się umyć i pójść do kościoła. Z rzadka zapadali w drzemkę, podczas gdy małe miasteczko wokół nich podskakiwało i falowało od napływu łapiących ostatni dech, oczekujących końca świata żołnierzy. Wrzaski, odgłosy bitek, brzęk tłuczonego szkła i chóralne śpiewy nie przeszkadzały dziewczętom, a już w żadnym razie Strange'owi i kucharzowi. Zdumiewające, jak dwie pierdolące się w jednym łóżku pary mogły w nim spędzić tyle czasu, a jednocześnie mieć z sobą tak mało wspólnego.

Strange, który z tego wszystkiego zdrowo zgłodniał i myślał o naleśnikach, maśle, syropie owocowym i kielbasie jedzonych gdzieś na słońcu w wiosenny ranek, chciał postawić im wszystkim wspaniałe śniadanie, ale dziewczęta odmówiły. Przed hotelem pożegnały się bez jednego całusa (na całowanie nie miały ochoty nawet wałac się z nimi w wielkim mosiężnym łożu) i w porannym słońcu odeszły cichą już ulicą, a potem dalej ścieżką i zniknęły w krzakach, z których wyszły.

Tak więc na śniadanie Strange został ze swoim grubym kucharzem. Śniadania to nie zepsuło, ale niewiele brakowało, żeby zepsuło całą resztę. Kucharz cały czas trzepał jęzorem, jaką to wspaniałą noc spędzili, podczas gdy Strange pragnął jedynie w spokoju zjeść.

Uważał, że jest winien kucharzowi uprzejmość, a zamiast tego był na niego zły. Wreszcie, zirytowany, kazał mu się zamknąć.

–Och, dobra. Dobra, John, dobra.

Pierwszy raz kucharz odważył się zwrócić do niego po imieniu. Strange podniósł wzrok i posłał mu zimne, zabójcze, rybnie spojrzenie.

Ale kucharz nie był w stanie zepsuć wszystkie591 go. Strange wyszedł z tej dziwacznej nocy spędzonej z dwiema dziewczynami przy akompaniamencie pijackich hulank za oknem z przekonaniem, że owe dziewczyny są mitycznym uosobieniem samej wiosny, a wrażenia tego nie zniweczyła nawet obecność grubego kucharza.

Strange czuł, że gdyby nie było tej wiosny, tak wymownej na wiele niemych sposobów, to nie byłoby również tych dwóch dziewcząt.

Razem z kucharzem pozbierał powoli resztę personelu kuchni, chodząc od lokalu do lokalu, od grupki do grupki, aż wreszcie odszukali wszystkich. Na gorącym wiosennym słońcu musieli zdjąć kurtki polowe i nieść je w ręku. A potem przepełnionym jeepem ruszyli w trzymilową powrotną jazdę do biwaku przez pola i lasy, które od wczoraj wypuściły najwyraźniej więcej liści.

Przed powrotem do koszar czekały ich jeszcze cztery dni manewrów, a spędzili je przeważnie na pogaduszkach o minionej sobocie.

Strange nie rozmawiał na ten temat. Nie powstrzymało to jednak kucharza od chwalenia się przed każdym, jaki to mieli fart i jaką wspaniałą noc spędzili z dwiema napalonymi wiejskimi dziewczuchami. Strange jednak nie chciał odpowiadać na żadne pytania, nawet te najżartobliwsze.

Wcale nie był dumny z tego, że dzielił łożę ze swoim starszym kucharzem i dwiema wiejskimi dziewczynami.

A co więcej, gwoli prawdzie, zaczął fantazjować na temat tej nocy.

Dotyczyło to kwestii, czy dziewczęta przeżyły orgazm.

Według jego rozeznania żadna z nich ani razu przez całą noc, kiedy je dymali, nie spuściła się. Ale nie sprawiały wrażenia zawiedzionych. Przeciwnie, wyglądały na zupełnie zadowolone i szczęśliwe, że pierdolą je raz po raz faceci, którzy na nie wleźli.

Nic nie mógł poradzić na to, że one zmuszały go do myśli o młodej Lindzie Sue.

Strange bardzo chciał zrobić swojej dziewczynie minetę i doprowadzić ją do orgazmu, być może pierwszego w jej życiu. Frances Highsmith zwierzyła się mu, że taki orgazm jest dwakroć intensywniejszy niż orgazm wywołany samogwałtem. Ale ponieważ w łóżku obecny był również kucharz, o miniecie nie mogło być mowy.

A poza tym Strange wcale nie był taki pewny, czy dziewczyna zgodzi się na to bez zgorszenia i przestachu.

To właśnie tak bardzo różniło go od tych dziewcząt.

Czy był zboczony?

Strasznie się tym wszystkim dręczył. W następny weekend, po powrocie kompanii z manewrów, Strange otrzymał dwudniową przepustkę do Luxoru, zawczasu umówił się z Frances i spytał ją o to.

Leżeli przytuleni do siebie jak starzy przyjaciele, którzy pierwsze erotyczne uniesienia mają już za sobą, a Frances rozkosznie przyciskała piersi do jego brzucha.

Strange bardzo się pilnował, by nie zadać jej pytania, co porabiała, lub z kim wychodziła, odkąd się rozstali.

–Chcę cię o coś zapytać – rzekł, z podbródkiem opartym na jej głowie. – Poważnie. Czy jestem zboczony?

–Zboczony? Dlaczego? – spytała głosem stłumionym przez jego tors.

–Dlatego, że tak bardzo lubię robić dziewczynie minetę, psiakrew.

Frances odepchnęła się od niego, żeby bez słowa zajrzeć mu w oczy. Po chwili uśmiechnęła się.

–No a czy psy są zboczone? – spytała wreszcie.

–Co chcesz przez to, do licha, powiedzieć?

–Psy liżą sobie nawzajem genitalia. O ile wiem, robią to wszystkie zwierzęta. I żadne z nich nie martwi się o to, że jest zboczone.

–To są psy, a my jesteśmy ludźmi.

–Próbuję ci powiedzieć, że moim zdaniem, jest to

czynność całkowicie naturalna. Nie wiem, kto pierwszy wprowadził zasadę, że nią nie jest, ale uważam to za absurd. Słowem, moim zdaniem, jesteś zboczony tylko wtedy, jeśli uważasz się za zboczeńca.

Strange dłuższy czas milczał.

–Chyba jednak jestem zboczony – rzekł cicho.

–Bo tak bardzo to lubię. Więc chyba jestem zboczeńcem, hmm?

–Niech ci będzie, jesteś – odparła Frances. – Skoro myślisz, że jesteś zboczeńcem, to jesteś. – Roześmiała się. – Czy to nie wspaniałe?

Strange też zaczął się śmiać.

–Właściwie, tak. I podoba mi się.

Jej dobry humor był zaraźliwy. I przewiał całą mroczną mgłę ze wszystkich okien. Frances była taka rozsądna i tak pozbawiona poczucia winy. Ale przecież jej poczucie humoru nie mogło mu towarzyszyć cały czas i wspierać. Zwłaszcza po wyjeździe z O'Bruyerre.

–Ale jest dużo takich, którzy myślą inaczej niż ja i ty – powiedział Strange.

–Owszem – przyznała. – Chyba więc musisz się na coś zdecydować. Tak jak ja.

Strange skinął głową. Opowiedział jej o dwóch dziewczętach, grubym kucharzu i jednym łóżku.

Przez większość jego opowieści Frances śmiała się.

–Tak. Przyznaję, że w tym przypadku lepiej byłoby zachować tę historię dla siebie. Jesteś chrześcijaninem?

Strange musiał rozważyć to pytanie.

–Nie wiem – odparł wreszcie. – Już nie wiem.

–Ale zostałeś wychowany w duchu chrześcijańskim.

Przez wierzących.

–Tak.

–I na tym właśnie polega twój problem. Tak jak i mój. Bo chrześcijańskie poglądy na seks są tak prymitywne, jak poglądy znachorów. Nie wiem, skąd to się

wszystko wzięło. Myślę że to sprawka purytanów, których ci przekłęci Anglicy przysłali tu w roku 1620.

Anglicy byli na tyle cwani, żeby się ich pozbyć.

–Niedługo wyjeżdżam do Anglii – rzekł Strange i uśmiechnął się. – Może tam będzie trochę inaczej.

–Sądząc na podstawie tego, jak pozbyli się tych purytanów, na pewno. Chociaż z drugiej strony wiktorianie też byli z seksem na bakier. – Frances pokręciła głową. – Na uczelni dowiedziałam się, że w trzydziestu sześciu z czterdziestu ośmiu stanów ty i ja lizalibyśmy się nielegalnie. Właściwie łamalibyśmy prawo. Dokładnie i szczegółowo. Myślę, że to dotyczy także tego stanu.

Jeżeli ktoś nas przyłapie, pójdziemy do więzienia.

Wszystkie prawa ustanowili tutaj ci cholerni chrześcijanie.

–Ale ty mimo to nie uważasz się za zboczoną – rzekł Strange.

–Nie, w żadnym razie. Ja po prostu lubię brać w usta.

Strange'a znowu zdjął śmiech i kiedy następnego dnia w niedzielę rozstał się z Frances, żeby powrócić do koszar, czuł się znacznie podniesiony na duchu, jeśli chodzi o kwestię perwersji.

Być może właśnie ów dobry humor przyczynił się w jakiejś mierze do tego, że poszedł zobaczyć się z Winchem w głównej kantine i poprosić go o przeniesienie z jednostki łączności gdzie indziej.

Myślał już o tym wielokrotnie, ale ostatecznie szalę decyzji przechyliła przygoda z grubym kucharzem i dwiema wiejskimi dziewczynami. Kucharz już by się od niego nie odczepił. Nadal uparcie zwracał się do Strange'a po imieniu, a Strange czuł, że nie powinien mu tego zabraniać. Gdyby zażądał, żeby kucharz tego nie robił, mogłoby to być źle odebrane przez wszystkich. Na wszelkie inne niż słowne sposoby starał się dać poznać

kucharzowi, że mu się to nie podoba, ale tamten miał skórę nosorożca. Albo też postanowił, co podejrzewał Strange, nie zwracać na to uwagi.

Ale o decyzji nie przesądził kucharz, on jedynie przepelił czarę. Strange'owi nie podobała się sama kompania. Odeszło jej dwóch dowódców, dwóch oficerów zabrano, a na ich miejsce przysłano innych. Przeniesiono też dwóch dowódców plutonów i awansowano.

Później Strange dowiedział się, że jeden z nich idzie do szkoły oficerskiej. Jeżeli w oddziale w ogóle istniał jakiś duch i grupowa więź, to od chwili gdy do niego przybył, wyraźnie osłabły.

Nieco się sumitując, wszystko to dokładnie wyjaśnił Winchowi, który siedział i uśmiechał się do niego jak głupi.

–No, a gdzie wasza zasrana mość życzy sobie pójść? – spytał Winch, kiedy Strange skończył.

–Chciałbym wrócić do piechoty.

–Nie ma co, ty uwielbiasz dostawać w dupę. Dobra, zobaczę, co da się zrobić.

Siedzieli przy małym stoliku kawałek od dużego stołu Wincha, w zatłoczonej i hałaśliwej o szóstej po południu wielkiej piwiarni. Obie szafy grające ryczały na cały regulator. Kiedy Winch usłyszał od Strange'a, że ten chce z nim porozmawiać, zaprowadził go do małego stolika. Widać stolik ten służył mu za gabinet. Nawet w panującym o tej porze tłoku szefostwo piwiarni trzymało dla niego ten stolik wolny.

–Wiesz, że spora część tego lokalu należy do naszego starego znajomka, Jacka Alexandra? – spytał Winch z wariacko roześmianymi oczami.

–Oczywiście, to do niego pasuje.

–W tej chwili nic nie mogę dla ciebie zrobić – ciągnął Winch. – Obie dywizje wyjeżdżają stąd. Jedna za tydzień do Anglii, a druga niedługo po niej. W obu

przeprowadzono już ostatnie badania lekarskie i nie ma w nich wolnych miejsc. – Urwał, żeby się podrapać i pociągnąć za ucho, czego Strange dotąd u niego nie oglądał. – Ale zaraz za nimi, po ukończeniu przygotowań, wyjadą dwie nowe dywizje.

–Oczywiście. To świetnie. A co z moją kategorią służby z ograniczeniem?

Winch ponownie uśmiechnął się szeroko.

–Próbujesz mnie zażyć? – spytał.

Strange przecząco potrząsnął głową.

–Kiedy ma wyjechać moja kompania? – spytał.

–Nie teraz, za jakiś czas. Jeszcze nie wydano rozkazów. Ale to też nie ma najmniejszego znaczenia – rzekł Winch. – Mogę cię stamtąd zabrać i czasowo zatrzymać tutaj. Gdyby takie rozkazy nadeszły.

–A więc dobrze. To mi odpowiada.

Strange zrobił ruch, jakby chciał wstać, ale Winch chwycił go za przegub i przytrzymał.

–Do czego doszedłeś w sprawie Landersa?

Strange rozważył pytanie.

–Nie doszedłem do niczego – odparł. – To pewnie ten pobyt tam, w terenie, na manewrach sprawia, że wszystko wydaje mi się takie odległe.

–Pewnie – mruknął Winch.

Strange spojrział na niego zakłopotany.

–Zastała nas tam wiosna, wie pan – rzekł.

–Dawno nie widziałem prawdziwej wiosny. Od sześciu lat.

–Tak? – spytał Winch, a jego oczy straciły szaleńczy blask i spojrzały szczerzej.

–Każdy musi kiedyś umrzeć, w taki czy inny sposób.

–Owszem. A im później, tym lepiej.

-Tak, na ogół. Ale nie zawsze. Myślę, że nikt nie mógł temu zapobiec.

–To przemyślana opinia.

Nie było to pytanie, tylko stwierdzenie, i to wypowiedziane niemal od siebie.

–Tak – przyznał Strange, a kiedy Winch puścił jego rękę, wstał. – Chyba powinienem już iść – powiedział.

–Nie, nie, nie – zawołał Winch i oczy znów mu rozbłysły. – Musisz podejść do mojego stołu i wypić parę piw z tą bandą łajz. Chcę, żebyś poznał kilku.

Strange nie chciał, ale w końcu poszedł. Czuł, że przynajmniej tyle jest winien Winchowi, ale nie podobały mu się ani miny zebranych przy stole, ani nie schodzące z ich twarzy szerokie uśmiechy. Nigdy nie przepadał za starymi zawodowymi podoficerami.

Kiedy po wypiciu kilku piw w ich towarzystwie żegnał się, zadbał, żeby uścisnąć dłonie wszystkim, którym został przedstawiony.

–Musisz tu wrócić, musisz, Johnny Stranger! – zawołał za nim Winch z płonącymi oczami i z twarzą zmarszczoną w uśmiechu po jakimś dowcipie. – W każdej chwili. W każdej chwili. Jutro.

Strange uznał, że Winch wcale nie wygląda dobrze.

Rozdział trzydziesty pierwszy Niechęć Strange'a do siedzących przy wielkim stole nie uszła uwagi Wincha. Jeżeli Strange sądził, że Winch jej nie wyczuł i nie docenił, to się kompletnie mylił.

Winch zdecydowanie nie pochwalał sposobu, w jaki Strange postanowił przepuścić swoje pieniądze. Dla niego roztrwonienie siedmiu tysięcy dolarów na apartament hotelowy i ubawy było idiotyzmem. Decyzja Strange'a o wyjeździe do Anglii i Europy, kiedy wcale nie musiał tam jechać, była jeszcze bardziej szalona.

A już przyjscie tu z prośbą o przeniesienie go z pododdziału, w którym zdobył sobie niejaki posłuch, było czystym obłędem.

Kryła się w tym bez wątplenia jakaś wariacka samobójcza intencja. Strange'owi z pewnością odbiło również z powodu jego głupiej żony. Winch zresztą też zaczął się zachowywać trochę nietypowo, odrobinę zdziwaczał, nie na tyle jednak, żeby nie dostrzegać i nie analizować posunięć, które tak bardzo rzucały się w oczy.

Sam mógł mieć lekkiego bzika, ale nie aż takiego.

Obaj dobrze wiedzieli, że statystycznie szef kuchni w kompanii piechoty ma większe szansę stracić życie

w Europie niż szef kuchni w jednostce łączności, i to z bardzo wielu powodów.

Winch nie zgadzał się również z opinią Strange'a o Landersie. Te wszystkie dyrdymały o wiośnie! Landers nie miał nic wspólnego z wiosną ani niczym, co choć trochę ją przypominało. Był człowiekiem z rąk, nóg, krwi i zwichrowanego, nieco zbrakowanego mózgu, i jako taki powinien być ocalony. Winch nie wiedział jednak, jak do niego trafić. I Strange również nie. Pieprzenie od rzeczy, w rodzaju tych głupot o wiośnie, było samookłamywaniem.

Można było posunąć się dalej i oświadczyć, że Landers zwariował, ale to również niczego nie tłumaczyło. Przecież wszyscy byli szaleni: Strange, Prell, dwóch szefów chirurgii w szpitalu, on sam, zawodowi podoficerowie, którzy przychodzili do dużego stołu w piwiarni.

Jeśli wariatami nie zrobiła ich wojna, to szaleństwo przynieśli ze sobą z przeszłości. Tak zapewne miały się sprawy z każdym.

On i Strange zawalił sprawę z Landersem. Tylko tak można to było nazwać. On sam też zawałał w tej chwili sprawę z Johnnym Strange'em, ponieważ po zjawieniu się tu tych dwóch nowych dywizji nie pozostawało mu nic innego, jak nadać bieg jego prośbie i załatwić mu przeniesienie. W przeciwnym razie Strange walczyłby o to jak wariat.

Psiakrew, nie wyszło mu to nawet z Landersem!

Na trzy dni przed wizytą Strange'a w kantynie Winch wariacko poszedł na całego w grze w pokera, toczącej się nieustannie u Jacka Alexandra w Claridge'u, i wygrał dwanaście tysięcy dolarów. Z nie wyjaśnionego powodu zasiadł do gry i karta zaczęła mu walić drzwiami i oknami. Ukryte fule w studzie z siedmioma kartami.

Niespodziewane strity z blotek. Trójki z dwójek w studzie z pięciu kart wygrywające z dwiema parami. Winch

stawiał na ośle, jak szalony, więc inni myśleli, że bluffuje (nikt nie mógł uwierzyć, że tak mu idzie karta), aż w końcu doprowadził do zamknięcia gry. Pozostali uczestnicy zrezygnowali z niej i wycofywali się stopniowo z dużymi stratami, nie chcąc przegrać ostatnich portek.

Rzecz niemal niesłychana, pokera wreszcie przerwano, ale wcześniej doszło do starcia Wincha z Alexandrem na temat sposobu, w jaki Winch gra.

–Ty przeklęty idioto – powiedział w obecności innych graczy rozzłoszczony Jack, który był wprawdzie tylko kibicem, ale ekstrawagancja Wincha rozjątrzyła jego wrodzony konserwatyzm. – Jeżeli, kurwa mać, nie zaczniesz grać jak człowiek, to odstraszysz od pokera wszystkich partnerów!

–Mam to gdzieś! – zawołał Winch i uśmiechnął się, łyskając niepokojąco zielonymi oczami. – A chuj mnie to obchodzi!

Alexander miał oczywiście rację, a kiedy zakończono grę i został z Winchem sam na sam, odbyli jeszcze jedną, większą kłótnię.

Winch postanowił, że nie weźmie ze sobą wygranej.

O to właśnie się poróżnili.

–Zatrzymaj te pieniądze i zainwestuj w moim imieniu – powiedział Winch.

–Posłuchaj – odparł Alexander. – Wezmę wszystko albo część i przetrzymam ci to w kasie pancерnej, jeśli nie chcesz wozić tylu pieniędzy przy sobie. Za parę dni możesz je odebrać. Ale nie chcę się nimi opiekować.

Byli sami w dwupokojowym apartamencie hotelowym, ale Winch dla pewności zajrzał do sypialni.

–Nie, nie tego chcę – oświadczył. – Chcę, żebyś je przechował – dla mnie. Jak tylko nawinie się jakaś pierwsza dobra transakcja, to wkup mnie w nią. Nie chcę tych kurewskich pieniędzy.

–Nic z nimi nie zrobię. Nie jestem twoim maklerem od lokat.

–A właśnie że jesteś – odparł Winch i uśmiechnął się po swojemu, szelmowsko.

Alexander pokręcił ciężką głową.

–Nie, nie jestem, kurwa mać. O ile wiem, nie zanosi się w tej chwili na żadne transakcje. Weź tę forszę i włóż ją do banku. Najlepiej do skrytki. Jak tylko coś się nawinie, dasz mi, ile trzeba. To rozsądne wyjście. Masz tu kupę pieniędzy.

Mówił prawdę, bo chociaż wymienił Winchowi tyle banknotów o niskich nominałach, ile mógł, to i tak ich stos był pokaźny. Utworzyły gruby plik zielonych, ściśniętych gumową opaską. Winch wziął go i rzucił na zielony filc stołu gry pod wiszącą nad nimi lampą z zielonym kloszem.

–Proszę, masz, nie chcę ich. Nie biorę. – Odwrócił się i podszedł do drzwi. – Chcesz, to możesz mi dać pokwitowanie.

–A niech cię cholera! – zaklął Alexander, ale wziął kartkę i zabrał się do wypisywania kwitu. – Trzymaj.

Przechowam te pieniądze, ale ich nie zainwestuję. Nie zrobię tego bez porozumienia z tobą. Jeżeli coś się pokaże, to zadzwonię do ciebie, a ty powiesz mi, czy mam wyłożyć tę forszę czy nie. – Wydarł kartkę z bloku. – Ale zrobię to tylko w ten sposób, nie inaczej.

–Dobrze. Zgoda.

Winch wziął kartkę, podszedł do drzwi, obrócił się, żeby mrugnąć, i uśmiechnął się po swojemu.

Oczy osadzone w wielkiej, mocnej, żółwiej twarzy patrzyły na niego lodowato.

–A niech cię cholera! – powtórzył Alexander.

–Jesteś największym kłopotem, jaki podrzucił mi stary Hoggenbeck. Nie wiem, dlaczego nie zachowujesz się

rozsądniej. A teraz bierz dupę w troki i nie wracaj tu, nie graj, chyba że potrafisz zachować się jak człowiek.

Winch zaśmiał się gardłowo. Gdy znalazł się na ciemnej ulicy, wyjął małe pokwitowanie i podpalił je zapalką. Kiedy ostatni rożek zamienił się w popiół, strzepnął go z palców w nocny wiosenny wiatr. Po co mu było pokwitowanie Alexandra? Jak długo Alexander wiedział, że je ma, nie robiło to żadnej różnicy. A gdyby nawet wiedział, że on, Winch, pokwitowania nie ma, to i tak by go nie oszukał. A jeśli mimo to oszukałby? To dopiero byłoby ciekawe.

Sprawa ta nie przypominała jednak w niczym wariactwa, jakim było potraktowanie przez Strange'a swoich siedmiu tysięcy. Winch nie wziął przecież jak idiota swoich wygranych dwunastu i nie przepuścił ich na ubawy i eleganckie lokale fundowane kupie jakichś kutasów, którzy i tak nie byli w stanie tego docenić.

Na głównej ulicy Luxoru, teraz, o trzeciej w nocy, niemal pustej w porównaniu z wieczorem, wiał lekki, południowy wiosenny wietrzyk, a w parkach pękające na drzewach pąki przeistaczały się w liście. Winch szedł chodnikiem i patrzył na zegarek. Nadal kręcili się tu żołnierze z dziewczynami albo samotni, wałęsający się po Main Street i na Union, tam w dole, gdzie obie ulice tworzyły literę T. W ostatnich tygodniach napłynęło do Luxoru masę wojska, ale wszystko było pozamykane.

Winchowi marzyła się jakaś otwarta knajpa, niechby nawet restauracja, w której mógłby posiedzieć beczynnienie przez godzinę przed powrotem do mieszkania. O czwartej wstawała Carol i szła do domu. Ostatnio, żeby uniknąć spania przy niej, Winch coraz częściej wychodził.

Dla niego było to duże obciążenie fizyczne. Bardzo go wyczerpywało, ale nie mógł dłużej znieść sytuacji, że

budzą ją jego krzyki i że Carol słyszy, jak on mówi przez ten czy inny straszny sen.

Wszystkie otwarte dłużej knajpy były rozproszone i ukryte w ostatnich dzielnicach miasta. Sprzedawano tam przeważnie mięso z rożna, którego i tak nie tykał. W tych małych, prowadzonych przez czarnych, knajpkach mogłeś napić się piwa, a na zapleczu, pod konarami olbrzymich starych wiązków kupić pół litra albo ćwiarteczkę nielegalnej gorzały.

Wincha nie ciągnęło do takich miejsc, a Carol ich nie lubiła. Kiedy stanął przed

hotelem Peabody, postanowił, że wróci do mieszkania, które znajdowało się zaledwie dziesięć przecznic stamtąd. Idąc wolno, bez pośpiechu, dotrze tam, zanim Carol wstanie.

Nikommu o tym dotąd nie wspominał, ale ostatnio coraz częściej nawiedzały go duszności. Najtrudniej przychodziło mu zwieść Carol, zwłaszcza gdy się kochali, co zdarzało się prawie codziennie, jeśli wracał w miarę wcześnie. Wysokie, nie zadaszone, zewnętrzne schody prowadzące do mieszkania też sprawiały mu teraz więcej kłopotów. Wspinając się na nie, dwa razy przystawał, żeby złapać oddech. W towarzystwie Carol udawał w takich razach, że podziwia widok, z pewnością na tyle piękny, że wart przystąpienia. Na szczęście tej nocy Carol z nim nie było.

Siedząc w piwiarni po odejściu Strange'a, gdzie szafy grające ryczały melodie, walcząc ze sobą o lepsze, Winch odsunął krzesło i wstał.

Zgromadzonych podoficerów obdarzył swoim uśmiechem. Przebiegło mu przez głowę, że z rozkoszą rzuciłby w te ryczące szafy dwa granaty. Ni stąd, ni zowąd pomyślał, że należą do świata przyszłości. Ten chrom, rury, plastik, wirujące tęczowe światła i porażająca uszy muzyka z płyt. Muzyka służąca kojeniu dusz żołnierzy, którzy szli umierać i walczyć z innymi żołnierzami,

równie wściekłymi i gotowymi z determinacją walczyć za swoje melodie z płyt. Góóównooo! – chciał krzyknąć, ale się powstrzymał.

Chciał również zostać dziś w koszarach, ale obiecał Carol, że zabierze ją na miłą kolację.

–No cóż, panowie, bardzo sobie cenię wasze wspaniałe towarzystwo, ale tak jak zwykle mam dziś kupę ciężkiej roboty.

Winch uśmiechnął się do podoficerów.

–Co się stało, Mart?! – wrzasnął któryś. – Załatwiłeś sobie jakąś dupę nie do zdarcia?

–Mój Boże – odparł szelmowsko Winch. – Nie widziałem takiej od tak dawna, że nie pamiętam, czy gra się na nich bokiem, jak na organkach, czy od frontu, jak na tubie.

Jego odpowiedź wzbudziła gromki śmiech i stała się dobrym pretekstem, żeby wyjść. Winch zatrzymał się przy samochodzie i przez dwie minuty łapał z trudem oddech. W ten wiosenny wieczór uświadomił sobie z niejakim smutkiem, że już niedługo będzie musiał znowu odwiedzić szpital i że najprawdopodobniej zatrzymają go tam czas jakiś. Teraz jednak nie chciał o tym myśleć.

Strange miał rację co do jednego: Winch nie czuł się najlepiej. Wprawdzie Johnny nic mu nie powiedział, ale Winch wyczytał to w jego oczach. Śmierć Landersa ugodziła go mocniej, niż gotów byłby się przyznać, nawet Strange'owi. Nawet Carol.

Któregoś wieczoru w mieszkaniu załamał się i spróbował opowiedzieć jej o wszystkim. O Landersie, o tym, co się stało, i gdzie on sam zawałił. Carol tylko mu się przyglądała, a potem oczy zaszyły jej łzami. Płakała z jego powodu, a nie z powodu Landersa.

Popełnił błąd, wciągając ją w swoje sprawy. Być

może nie potrafił dobrze wyrazić swoich uczuć. Ale ludzie tacy jak ona właściwie nie chcieli wiedzieć, że tacy jak on czymś się przejmują. Woleli postrzegać ich jako twardych, zabawnych twardzieli.

W każdym razie dostał dobrą nauczkę, żeby więcej tego nie próbować.

Kiedy podjechał małym samochodem i wspiął się po schodach do mieszkania, Carol czekała na niego. Zanim otworzył drzwi, odczekał dwie minuty na zewnętrznym podejściu, żeby złapać oddech. Z jakiegoś niewytłumaczonego powodu czuł się dzisiaj znacznie lepiej niż zwykle. Może po tych wypitych kieliszkach wina.

W zapadającym zmierzchu widzianym przez wysokie drzewa nadciągała wiosna, gwałtownie jak szalony, galopujący koń. Ludzie krzatali się na swoich podwórkach i w ogródkach.

–Pomyślałam, że być może nie będziesz mógł dziś przyjechać – powiedziała beztrosko Carol, kiedy zamknął drzwi.

Na dzisiejszy wieczór wystroiła się w nową wiosenną sukienkę, której jeszcze nie widział. Gdzieś z tyłu za nią stały dyskretnie, jedna przy drugiej, dwie damskie walizki. – Żartujesz sobie? – spytał Winch i uśmiechnął się.

Podeszła, wsunęła się mu w ramiona. Piersi wypychały jej bluzkę i całując ją Winch poczuł znowu, jaka jest młoda.

Pocałunek trwał i trwał i jak zwykle w takich chwilach Wincha ścisnęło w gardle. W żaden sposób nie mogłeś dogłębnie posiąść kobiety. Tylko naskórek.

Zawsze tylko naskórek. Naskórek okrywał nawet wnętrze sromu.

–Co powiesz na to, żebyśmy się najpierw napili? – spytał, odrywając się od niej.

–Naturalnie – zgodziła się. – Naturalnie. Nie ma pośpiechu.

–Czy zostało nam jeszcze sauterne?

–Jest w lodówce. Przyniosę. Ja napiję się szkockiej z wodą, nalejesz mi?

Odeszła długim, gibkim krokiem.

–Mam dla ciebie dwie niedobre wiadomości – oznajmiła, kiedy sobie nalali, usiedli na kanapie i przytuliła się do niego.

Winch, który obejmował ją ramieniem, uśmiechnął się.

–Zaczekamy z tym. Co ty na to? – spytał.

Z kieliszkami podeszli do łóżka. Na łóżku zaczął powoli rozbierać Carol z nowej kreacji i zdejmować mundur. Do jej najwspanialszych zalet należało, że zupełnie nie dbała o to, czy pogniecie sobie ubranie.

Winch miał leciutką zadyszkę, ale nigdy przed ani w trakcie stosunku. Zawsze potem.

Tym razem mógł swobodnie oddychać i kiedy Carol wytoczyła się spod niego, żeby się umyć, co robiła zawsze, klepiąc go na odchodnym po uchu i szyi, Winch leżał w pościeli i cieszył się, że nie musi wstawać i obchodzić po cichu pokoju, żeby złapać dech.

Nie miał najmniejszego pojęcia, z czego to wszystko wynika. Czuł się prawie dobrze. W tej chwili martwiły go jedynie wzdęcia, które nękały go, ilekroć próbował coś zjeść. Leżąc nago w łóżku i patrząc na zamknięte drzwi łazienki puścił długiego, cichego, ale olbrzymiego bąka.

Carol nie spuściła się. Nie przeżyła orgazmu. Winch nie wylizał jej, ani ona się nie onanizowała, a tylko te dwie rzeczy doprowadzały ją do rozkoszy. Winch nie dbał o to. Dawno temu przekonał się, że opowieści o przeżywaniu przez kobiety wielokrotnego orgazmu to na ogół wierutne bzdury, poczęte w wyobraźni mężczyzn,

a nie prawda obwieszczona przez płęć piękną. Carol czerpała dość dużą przyjemność z samego wsadzania, z tego, że Winch ją wykorzystuje. To, że on się spuszczał, satysfakcjonowało ją i tym razem zadowoliło wystarczająco.

Fajna z niej była dziewczyna, ale Winch wolałby już dostać wciroy, niż wychodzić z nią dziś na kolację. Ale nie dało się tego uniknąć i wreszcie wdali się w gorącą dyskusję, dokąd pójda zjeść.

Wyszła naga z łazienki, pozbierała porozrzucane części garderoby i zaczęła się ubierać. Wkładając sukienkę, rozchichotała się.

–Chcę wyglądać na taką, jaką jestem i czym się zajmuję – powiedziała.

–Martwi cię to? – spytał Winch, uśmiechając się do niej z łóżka. Wstał i zaczął zbierać części swojego munduru.

–Nie pozwoliłeś mi jeszcze przekazać ci moich dwóch nowości – zaczęła Carol, kiedy się ubrali.

–Nie mogą poczekać na później? Powiedzmy, do po kolacji?

–A więc nie chcesz ich znać, nawet jednej? – spytała.

–Czyżbyś nie zauważył walizek?

–Zauważyłem. Wybierasz się dokądś w podróż?

–Nie, stało się. Te walizki są tutaj, ponieważ się do ciebie wprowadzam.

Winch naprawdę nie wiedział, czy się z tego cieszyć, czy złościć. Chcąc zyskać na czasie, zdecydował się na uśmiech.

–Wprowadzasz się do mnie? A co z twoimi rodzicami?

Carol z pełnym powodzeniem udało się wygładzić zmarszczki na spódnicy. Podniosła oczy na swoje odbicie w lustrze i wzięła głęboki oddech, jak ktoś, kto za chwilę będzie deklamował przed całą klasą.

–Doszłam do wniosku, że to głupie wstawać o czwartej rano, lecieć w pełnym, świeżo zrobionym makijażu do domu i starać się zdrowo spać przez jeszcze półtorej godziny. Nikt nie spytał mnie nigdy, o której wracam.

–No i?

Odwróciła się od lustra.

–No i rozmówiłam się z nimi. Zebrałam ich, posadziłam i oświadczyłam, że mam kochanka. I że uważam za idiotyzm tracenie czasu na porządny sen.

–Powiedziałaś im o mnie?

Carol oznajmiła Winchowi, że wprowadza się do jego mieszkanie w Luxorze, gdyż codzienne wstawanie rano, ubieranie się i powrót do domu nie ma sensu, a poza tym w chwili buntu wyznała rodzicom, że ma kochanka i zamierza z nim zamieszkać. Skłamała im jednak mówiąc, że jest on komandorem marynarki wojennej. Winch nie wiedział – cieszyć się czy martwić z takiego obrotu sprawy.

Szykowali się właśnie do wyjścia na kolację. Kiedy zauważył jej dwie walizki, wyjaśniła, że wprowadza się do niego z rzeczami, chociaż Winch mógł pomyśleć, że walizki te oznaczają koniec ich romansu i wyjazd Carol z Luxoru, i właśnie z tego powodu nie chciał w pierwszej chwili usłyszeć "dwóch wiadomości".

Po wyjściu z mieszkania postanowili zjeść kolację w szykowej i nobliwej restauracji rodzinnej w hotelu Peabody, zamiast w jakimś lokalu odwiedzanym przez wojsko. Kelner za napiwek od Wincha posadził ich przy dobrym stoliku, w otoczeniu spokojnych, zacnych obywateli Luxoru.

Do sercowych dolegliwości Wincha doszły kłopoty

z żołądkiem, a w restauracji oprócz objawów choroby, pojawiły się symptomy jego wzrastającej nienormalności.

Siedząc przy stoliku i rozmawiając z Carol, pochylił się lekko i puścił potwornie głośnego, soczystego bąka, który odbił się echem od ścian restauracji.

W całej sali zapadła krótka, choć wymowna cisza, goście wokół dyskretnie zaczęli obracać głowy i po chwili wrócili do swoich kolacji. Winch dalej rozmawiał z Carol jakby nigdy nic, choć obserwował jej oczy – nie rozszerzyły się, może odrobinę

związy – lecz nie dała po sobie poznać, że słyszała jego strasznie głośne pierdnięcie. W mieszkaniu, gdzie wrócili taksówką po krótkiej jeździe w tę piękną kwietniową noc, oznajmiła Winchowi drugą wiadomość.

Postanowiła iść na letnie zajęcia na uczelni. Jej nowy chłopak, o którym wspomniała Winchowi, a który odpowiadał jej znacznie bardziej niż poprzedni, zaczął za jej namową studiować w Wesern Reserve i teraz chciał, żeby przyjechała do niego do Ohio i za niego wyszła. Przyznała, że gotowa jest się zgodzić i że w duchu już się na to zdecydowała.

Tak więc był to w istocie początek jej rozstania z Winchem, które miało nastąpić pod koniec maja.

Winch od dawna tego oczekiwał, choć prawdę mówiąc wiedział, że gdyby miał ochotę ją zatrzymać, to w każdej chwili mógł ją skłonić do małżeństwa. Na swój sposób była w nim nadal zakochana, czerpiąc z ich erotycznego związku radość i naukę, ale za sprawą jego powściągliwości, tak jak i on, dobrze zdawała sobie sprawę, że ich małżeństwo byłoby katastrofą.

Winch, który zniósł tę wiadomość w miarę dobrze, pod koniec tego rozdziału stanął przed perspektywą przyszłości bez Carol, co tylko przyśpieszyło jego zbliżająca się niepoczytalność. Kiedy się nad tym zastanawiał, bardziej obchodziło go to, że kochanka nie będzie budziła go w nocy z koszmarnych snów, niż to, że już wkrótce ją straci.

Na końcu rozdziału pomyślał o Prellu, uznając – po tym, co usłyszał od Strange'a o jego rozmowie telefonicznej z Prelllem przebywającym w Kansas City – że jako jedyny spośród nich czterech z dawnej kompanii znalazł dla siebie "pokój" w czasach wojny.

Rozdział trzydziesty drugi Kiedy w Rozdziale 29 opuszczaliśmy Bobby'ego Prella, brał właśnie udział w objazdowej sprzedaży obligacji wojennych w Kansas City, Lincoln i Denver. Po telefonie Strange'a, który zadzwonił do niego z Luxoru do hotelu Muehlebach, żeby zawiadomić go o śmierci Landersa, Prell wyrzucał sobie, że w czasie rozmowy z Johnnym nie zareagował właściwie na oczywiste samobójstwo ich kolegi. Tak jak pozostałych, dręczyły go koszmarne sny o drużynie, patrolu na Nowej Georgii i Landersie, który śnił mu się jako jeden z zabitych.

Wyrzucał też sobie własną pozycję, zdobytą dzięki Medalowi Honorowemu, na który swoim zdaniem nie zasłużył.

Miał wrażenie, że przemówieniami zarabia na życie, że stał się estradowcem, członkiem kabaretowej trupy.

Po powrocie z pierwszego objazdu do Luxoru zaczął unikać kontaktów nie tylko z Winchem, ale i ze Strange'em. Nie chciał ich widzieć. Nie chciał narazić się na

prześmiewki, które wywoła jego fałszywa rola agenta reklamowego.

Pozostały mu już tylko, jak sądził, synowsko-ojcowskie, bardzo życzliwe stosunki z byłym pułkownikiem, a obecnie generałem brygady Stevensem, datujące się od pierwszej wizyty Stevensa w szpitalu, kiedy to lekarze

grozili Prellowi amputacją nogi, a które wraz z upływem miesięcy pogłębiły się.

Jednakże teraz w gabinecie generała w luxorskim szpitalu Prell, ku swojemu zmartwieniu, odkrył, że Stevens nie tylko nie rozumie, ale nigdy nie rozumiał jego poczucia winy i niedostosowania. Nie potrafił wyjaśnić mu, że czuje się hipokrytą w swojej roli sprzedawcy obligacji i fałszywego bohatera.

Z rozmowy ze Stevensem wyszedł jeszcze bardziej samotny i nieszczęśliwy, ponieważ uświadomił sobie, że właściwie współczuje mu tylko dwóch ludzi – Strange i Winch. Ale w dalszym ciągu nie miał ochoty do nich zadzwonić.

O powrocie Prella na kilka dni do szpitala w Luxorze poinformował Wincha Jack Alexander. Według niego, choć nie wiadomo, z czego to wnioskował, Prellowi nic nie było. Winch miał nadzieję, że Prell odwiedzi go i Strange'a, w każdym razie rozmowa z Alexandrem uspokoiła go.

Tymczasem Prell został przeniesiony właściwie na stałe do Los Angeles wraz z majorem Kurntzem i tą samą ekipą, która towarzyszyła mu podczas pierwszej objazdowej sprzedaży obligacji. Po ogromnym rozczarowaniu, jakim okazało się dla niego spotkanie w Luxorze z ciężarną żoną Delią Mae i ambitną teściową, wynajął w Los Angeles mieszkanie i nie podał im ani adresu, ani telefonu.

W Los Angeles Prell wystąpił dwukrotnie z kilkoma gwiazdami i gwiazdeczkami filmowymi. Po wygłoszeniu pierwszego przemówienia, które okazało się ogromnym sukcesem, upił się i pojechał wieczorem limuzyną, oddaną do jego dyspozycji razem z wojskowym kierowcą, plutonowym. Po odwiedzeniu knajp w tanich dzielnicach skończył ów objazd w barze pełnym pijanych żołnierzy.

Kierowca czekał na zewnątrz.

Pod wpływem nagromadzonej w nim, wrzącej wściekłości Prell próbował wywołać bójkę, ale przy swoich niesprawnych nogach właściwie nie był w stanie się bronić. W chwili gdy rozsierzdzeni żołnierze, którym naubliżał i sprowokował do bójki, szykowali się, żeby mu przyłożyć, a być może nawet zabić, któryś z nich rozpoznał na jego bluzie wstążkę Medalu Honorowego, a potem przypomniał go sobie ze zdjęć w miejscowych gazetach.

–O Boże, mało brakowało, a pobilibyśmy zdobywcę Medalu Honorowego! – wykrzyknął żołnierz i powstrzymał bójkę.

Na wieść, że przed barem czeka na Prella plutonowy w limuzynie, żołnierze poszli po niego i go sprowadzili.

–On nie powinien przebywać w takiej mordowni – ostrzegł szofera żołnierz, który rozpoznał Prella.

Po odwiezieniu Prella do domu plutonowy, kierując się naturalnym instynktem żołnierza, by nie mówić przełożonym o niczym, czego jeszcze nie wiedzą, i sądząc, że ochrania swojego pasażera, ani słowem nie wspomniał majorowi Kurntzowi o tym, co się stało.

Następne przemówienie było w Bakersfield. Zajmująca się sprzedażą obligacji trupa wyjechała na wieczorny "występ" limuzynami. Po wygłoszeniu przemówienia Prell powtórzył jota w jotę swoją eskapadę z pierwszym kierowcą. Spił się i zażądał od szofera, żeby zawiózł go do innej knajpy.

Tam wysiadł z limuzyny i wkuśtykał do baru na swoich niesprawnych nogach, z miną zawziętą i rozpaczliwie zdeterminowaną. W barze było zielono, pełno dymu, stukotu bilardowych kul, przy stolikach i na barowych stołkach siedziały zawiadki w mundurach, a w kącie toczyły się dwie partie pokera. Po wypiciu kilku szklanek Prell zaczął drażnić się z jakimiś żołnierzami i sprowokował bójkę. Tym razem nikt go nie

rozpoznał. W krwawej burdzie, której stał się ośrodkiem, poważnie kogoś ranił. Wśród oparów papierosowego dymu jeden z żołnierzy chwycił kij bilardowy, uderzył nim Prella w głowę i go zabił.

Słyszając hałas, kierowca wpadł do baru i ujrzał zakrwawionego Prella na podłodze. Zbadał puls. Żołnierze byli przerażeni, ale ich zdaniem Prell sam się o to prosił, bo w rzeczywistości rozmyślnie sprowokował ich do bójki.

Rozdział trzydziesty trzeci W tym krótkim rozdziale poznajemy, jak Winch przyjmuje wieść o śmierci Prella. Obserwujemy jego postępujący obłąd. Wariuje.

Widzieliśmy już wcześniej oznaki grożącego mu załamania się: w nocy, kiedy na przedniej szybie samochodu zobaczył jednego ze swoich zabitych podwładnych; nagłą chęć, żeby ścisnąć pierś wolontariuszki Czerwonego Krzyża na ślubie Prella; szaloną grę w pokera u Claridge'a, a następnie spalenie pokwitowania od Jacka Alexandra; złe sny o Japończyku, który go atakuje w czasie ostrzału z mózdzierzy, o żołnierzu, który leży na ziemi niczyjej i obrywa raz po raz bez nadziei na pomoc; bąka puszczanego w restauracji hotelu Peabody; nienawiść do dwóch grających szaf w kantine, które postrzega jako świat przyszłości – "chrom, rury, plastik, wirujące tęczowe światła i porażająca uszy muzyka z płyt"; jego z całych sił tłumiony żal po śmierci Landersa. To kumulujące się psychiczne napięcie miesza się z coraz silniejszymi symptomami nadchodzącego zawału. Zostawiając Wincha na końcu Rozdziału 30 w Obozie O'Bruyerre Strange stwierdza, że "Winch wcale dobrze nie wygląda".

"Z prawdziwego życia pozostali mu tylko Prell,

Landers i Strange", pisze o nim Autor w Rozdziale 22.

I oto do Wincha dociera wiadomość o śmierci Bobby'ego.

Akcja tego rozdziału zaczynającego się od zadumy Wincha nad losem Prella, ma miejsce w maju 1944 roku, niedługo przed dniem inwazji w Normandii.

Winch wciąż widywał się z Carol, ale oboje zaczęli już przygotowywać się do rozstania. Jeszcze z nią nie zerwał – z Luxoru wyjeżdżała dopiero w czerwcu – ale na dobrą sprawę skłonił ją do wyjazdu i zachęcił do poślubienia jej nowego chłopaka z Ohio. Wraz z jej wyjazdem skończył się ich romans.

W tym pożegnalnym okresie, gdy namawiał ją, żeby zamiast za pierwszego chłopaka z Luxoru wyszła raczej za swojego drugiego kochanka, Winch w koszarach O'Bruyerre zachodził popołudniami na poligon, gdzie ćwiczono rzucanie granatami. Jako szef całej jednostki i chorąży był w przyjaznych stosunkach z oficerem szkoleniowym i instruktorem rzutu granatem. Często przekomarzali się po przyjacielsku, przypatrując się ćwiczeniom surowych rekrutów. Któregoś popołudnia, kiedy nikt nie patrzył, Winch od niechcienia podniósł dwa granaty, schował je do dwu kieszeni płaszcza i niepostrzeżenie odszedł. Później w swoim pokoju rozkręcił je, proch przesypał do słoika i ukrył go. Przez dwie albo trzy noce spał z rozbrojonymi granatami pod poduszką.

W jakiś czas potem, wieczorem, po napiciu się wina w głównej kantynie, wśród ryków dwóch rywalizujących ze sobą szaf grających, wrócił do siebie i z powrotem wsypał proch do granatów. Zaczekał, aż w bazie się uspokoï. O trzeciej nad ranem schował granaty do kieszeni i przez wyludnione koszary chyłkiem przemknął do kantyny.

Nasadą granatu wytłukł szybę, a potem bardzo

wolno i z rozmysłem wyciągnął zawlecзки i przez okno wrzucił granaty jeden po drugim do pustej sali, tak że przetoczyły się po podłodze i zatrzymały przy szafach Wurlitzera.

Winch odsunął się od okna i natychmiast schylił.

Straszliwy wybuch rozwalił nie tylko szafy grające, ale i prawie całą kantinę. Dym i gruz były wszędzie.

Winch odczekał, aż opadną, i zajrzał przez wybite okno, by przekonać się, co działo. A wtedy wybuchnął obłąkańczym śmiechem. Na miejsce błyskawicznie przyjechali jeepami żandarmi. Wincha wypatrzyli w krzakach, gdzie się ukrywał. Próbował uciekać, nie przestając się dziko śmiać, ale serce nie pozwoliło mu na to, a kiedy zgiął się wpół bez tchu, żandarmi pochwycili go i zabrali.

Wylądował na więziennym oddziale szpitala obozowego.

Rozdział trzydziesty czwarty W rozdziale tym, ostatnim rozdziale Księgi Piątej i powieści, przedstawione są myśli Johnny'ego Strange'a, ostatniego ze starej kompanii.

Różnica w czasie pomiędzy zamknięciem Wincha na oddziale dla wariatów a akcją ostatniego rozdziału wynosi około półtora miesiąca, jest koniec czerwca, po inwazji w Europie.

Strange trafił szczęśliwie do dywizji piechoty, dokąd przeniesienie załatwił mu Winch. Po unicestwieniu dawnej kompanii całe swoje przywiązanie, sympatię i uczucia przelał na swój nowy pododdział i jednostkę. Po opuszczeniu zgodnie ze swoim życzeniem kompanii łączności, ze zdziwieniem odkrył, jak bardzo jest przywiązany do żołnierzy z nowej kompanii piechoty. I chociaż dobrze wiedział, co ich czeka (a czekała ich, całkiem zielonych i naiwnych, walka, o której nie mieli w przeciwieństwie do niego, pojęcia), nie potrafił ożywić swoich przeżyć.

Tak miała się kończyć jego historia i akcja książki.

W ostatnim rozdziale Strange i jego nowa jednostka płynęli do Anglii i Europy w dużym konwoju wojskowym. Pośród żołnierzy krążyły pogłoski, że najszybciej jak to możliwe zostaną rzuceni w roli armatniego mięsa do walk na zachodzie Francji.

Kiedy konwój znajdował się w odległości kilku dni żeglugi od Nowego Jorku, pewnej mglistej nocy Strange spacerował sam po statku. W głowie przesuwaly mu się obrazy z przeszłości. Rozmyślał nad losem swojej kompanii.

Najpierw pomyślał o Winchu. Przypomniał sobie wczesny ranek w koszarach O'Bruyerre, kiedy ktoś z dowództwa powiedział mu o szturmie Wincha na kantynę. Mógł wtedy zrobić bardzo niewiele, mimo że wziął przepustkę i dłuższy czas kręcił się pod szpitalnym oddziałem więziennym.

Potem przypomniał sobie, jak następnego dnia poszedł odwiedzić Wincha. Na szpitalnym korytarzu usłyszał, że Winch wykrzykuje w swojej sali to samo zdanie co tamtego dnia na wzgórzu 27 na Guadalcanale:

"Zabierzcie ich! Zabierzcie ich stamtąd! Nie widzicie, że dostali się pod ostrzał moździerzy?!" Z żalem pojął, że nie ma sensu odwiedzać dawnego szefa kompanii, wrócił więc do swojego nowego oddziału, który przygotowywał się właśnie do wyjazdu do portu w Nowym Jorku. Tuż przed opuszczeniem O'Bruyerre inny żołnierz powiedział Strange'owi, że widział Wincha, jak wyglądał przez zakratowane okno wydziału psychiatrycznego i wykrzykiwał te same słowa.

Przemierzając dalej okręt transportowy gdzieś na Północnym Atlantyku, Strange skierował z kolei myśli ku swojej żonie Lindzie, którą, jak sobie uświadomił, nadal kochał, mimo że miała go za nic. A potem przyszedł mu na myśl Marion Landers, a wreszcie własny straszny żal na wieść o śmierci Bobby'ego Prella w knajpianej bójce w Kalifornii.

Kiedy patrzył na ocean i na inne zaciemnione jednostki płynące w konwoju na wschód, do Europy, w jego pamięci błąkały się wspomnienia o szpitalnym statku na Pacyfiku, gdy wreszcie, prawie rok temu dotarł on do amerykańskich brzegów, do "wielkiego niebieskiego kontynentu". Podobnie jak Landers w chwili gdy wpadł pod

samochód, Strange niczym we śnie przypomniał sobie wolno sunący biały statek z wielkimi czerwonymi krzyżami na burtach, swoje odwiedziny u Prella w byłej kabine głównej, w której oddzielono od reszty poważnie rannych – "składnicę, kolekcję i bank wszelkiego ludzkiego nieszczęścia" – i to, jak w tamtą spokojną bezksiężycową noc przyglądał się kalifornijskiemu brzegowi.

Od myśli o szpitalnym statku sprzed miesiący Strange powrócił do rzeczywistości, do konwoju, którym płynął.

W tym miejscu następuje scena końcowa, kulminacja akcji, finał powieści...

Strange w mglistą, deszczową noc – noc, choć to czerwiec, niemiłą i bardzo zimną – wychodzi spod ciasnego pokładu pełnego wszelkich smrodów i zapachów stłoczonych tam ludzi na górny pokład i opiera się o szalupę okrętową.

Nareszcie jasno uświadamia sobie, że po prostu nie będzie w stanie przeżyć tego wszystkiego jeszcze raz. Że nie może jechać do Anglii i Europy ze swoją wiedzą nabytą na Pacyfiku, siedzieć na swojej stosunkowo bezpiecznej pozycji szefa kuchni i patrzeć, jak młodzi żołnierze są okaleczani i giną. Nie może znieść myśli o tym, że będzie świadkiem udręk, jatek, krwi i cierpienia.

A kiedy zdaje sobie z tego sprawę, spostrzega, w jaką pułapkę sam się złapał, nalegając na wyjazd do Europy i wcielenie do nowej jednostki piechoty, która podoba mu się bardziej od kompanii łączności, gdzie miał dużo władzy, lecz mu na niej nie zależało.

Z tymi myślami w głowie, właściwie niewiele się namyślając, w hełmie, ciepłej kurtce i wełnianych rękawiczkach na chłodne noce Strange chwyta za okrężnicę i po cichu – w pobliżu nie ma nikogo – przełazi przez nią. Nikt tego nie słyszy, nikt tego nie widzi.

Kiedy uderza w wodę, sam jest wstrząśnięty tym, co zrobił. Stało się to bowiem nagle, jeszcze przed chwilą nie miał pojęcia, co zaraz nastąpi.

Utrzymuje się na powierzchni wody, a kiedy statek odplywa i znika mu z oczu w ciemnościach i mgle, Strange nie stara się ściągnąć na siebie uwagi... Patrząc na oddalający się transportowiec, właściwie nie martwi się... W pełnym umundurowaniu utrzymuje się na wodzie, a statek powoli wsuwa się w mgłę.

W owej chwili Strange myśli, że już nigdy nie pozna odpowiedzi, co znaczyły osobliwe sny o rzymskim sprawiedliwym lub niesprawiedliwym sędzim, które śnił znieczulony podczas operacji dłoni. Myśli o tym z pewnym żalem, pojmując, że już nigdy się tego nie dowie.

No a potem, rozgarniając rękami w wełnianych rękawiczkach wodę, odkrywa, że od zimna zaczynają mu puchnąć dłonie. Po chwili zaś przywiduje mu się, że zaczyna puchnąć cały, robi się coraz większy, aż wreszcie spostrzega oddalający się statek. Olbrzymieje i olbrzymieje, puchnie i puchnie, aż staje się większy od oceanu, większy od planety, większy od Układu Słonecznego, większy od Galaktyki we wszechświecie.

A kiedy tak puchnie i rośnie, ma wrażenie, że on, żołnierz w pełnym umundurowaniu, w hełmie, butach, żołnierskich wełnianych rękawiczkach wchłania w siebie całe cierpienie, mękę, zgryzoty i niedole, które są losem wszystkich żołnierzy, że wchłania je wszystkie w siebie i we wszechświat.

No a potem, ciągle w przywidzeniu, zaczyna kurczyć się na powrót do normalnych rozmiarów, zmniejsza się, przechodząc po kolei przez wszystkie stadia karlenia – Galaktyki, Układu Słonecznego, planety, oceanu aż do Strange'a w wodzie. Kurczy się jednak dalej – do rozmiarów konika morskiego, ameby, wreszcie atomu.

Nie dowie się nigdy, czy najpierw utonął, czy zmarzł.

Koniec

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-25

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/